

DOUGLAS PRESTON
LINCOLN CHILD

BIAŁY OGIEŃ

*Nawet wśród śniegów
nienawiść pali jak ogień.*



Douglas Preston
Lincoln Child

Biały ogień

Przełożył
Robert P. Lipski



Wersja elektroniczna

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[PROLOG. PRAWDZIWA OPOWIEŚĆ](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47. Przygoda w Aspern Hall](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

65

EPILOG

Podziękowania

Przypisy

Biogram autorów

PROLOG

PRAWDZIWA OPOWIEŚĆ

30 sierpnia 1889 r.

Młody doktor pożegnał się z żoną na peronie w Southsea, wsiadł do ekspresu odjeżdżającego o 16.15 do Londynu i w trzy godziny przybył na Victoria Station. Utorował sobie drogę wśród gwaru i ścisku, wyszedł ze stacji i zatrzymał przejeżdżającego fiakra.

– Do hotelu Langham, bardzo proszę – rzekł do dorożkarza, gdy zajął miejsce w dwukółce, przepełniony nerwowym wyczekiwaniem.

Usiadł na podniszczonym skórzanym siedzeniu, gdy keb ruszył w dół Grosvenor Place. Był przyjemny letni wieczór, jeden z tych najrzadszych w Londynie, gdy promienie zachodzącego słońca przepływają przez zatłoczone od dorożek ulice i rozjaśniają osmolone sadzą budynki, zalewając wszystko złocistą poświatą. Dopiero o wpół do ósmej zaczynało zapalać latarnie.

Doktor nieczęsto miał okazję bywać w Londynie i z zaciekawieniem wyglądał przez okno dorożki. Gdy fiakier skręcił w Piccadilly, doktor ujrzał St. James's Palace i gmach Akademii Królewskiej w blasku zachodzącego słońca. Tłumy, hałas i smród miasta, tak inne niż na jego rodzimej prowincji, przepełniły go energią. Na bruku rozlegał się stukot końskich kopyt, a na chodnikach było aż gęsto od ludzi wykonujących najróżniejsze profesje: urzędników, sędziów i fircyków, a także kominiarzy, ulicznych sprzedawców i handlarzy kocim mięsem.

Przy Piccadilly Circus keb skręcił ostro w Regent Street, mijając Carnaby i Oxford Circus, zanim zatrzymał się przed *porte cochère* przy Langham. To był pierwszy *grand hotel* wzniesiony w Londynie i pozostawał najbardziej stylowy. Zapłaciwszy dorożkarzowi, doktor omiół wzrokiem ozdobną fasadę

z piaskowca, z francuskimi oknami, balkonami z kutego żelaza, wysokimi szczytami i balustradami. Interesował się trochę architekturą i domyślił się, że fasada była mieszanką stylu *beaux-arts* i północnoniemieckiego neorenesansu.

Gdy przeszedł przez wielką bramę, usłyszał dźwięki muzyki: kwartetu smyczkowego, ukrytego za parawanem szklarniowych lili, grającego Schuberta. Przystanął w olbrzymim holu pełnym mężczyzn siedzących na krzesłach z wysokimi oparciami, czytających świeżo wyprasowane egzemplarze „Timesa” i popijających porto albo sherry. W powietrzu unosił się dym z drogich cygar mieszający się z aromatem kwiatów i damskich perfum.

U wejścia do sali jadalnej napotkał niskiego, dość korpulentnego mężczyznę w surducie i spodniach piaskowego koloru, który podszedł do niego szybkim krokiem.

– Ty musisz być Doyle – powiedział i uściśnął jego dłoń. Miał pogodny uśmiech i wyraźny akcent amerykański. – Jestem Joe Stoddart. Cieszę się, że się pojawiłeś. Wejdz, pozostali właśnie przybyli.

Doktor podążył za Stoddartem, gdy ten, lawirując między zastawionymi stolikami, zmierzał w stronę przeciwległego końca sali. Restauracja była jeszcze wystawniejsza niż hol, z boazerią z nasyczonego oliwą dębu, kremowymi fryzami i ozdobną sztukaterią na suficie. Stoddart zatrzymał się przed suto zastawionym stołem, przy którym siedziało już dwóch mężczyzn.

– Pan William Gill, pan Oscar Wilde – dokonał prezentacji. – Pozwólcie, że przedstawię doktora Conan Doyle’a.

Gill, którego Doyle rozpoznał jako jednego ze sławetniejszych irlandzkich parlamentarzystów, wstał i uklonił się z rewerencją. Z kieszeni jego mocno opiętej kamizelki zwieszał się łańcuszek ciężkiego złotego zegarka marki Albert. Wilde, który właśnie nalewał sobie kieliszek wina, otarł dość pełne usta serwetką z adamaszku i ruchem ręki wskazał Conan Doyle’owi puste krzesło obok siebie.

– Pan Wilde raczył nas właśnie opowieścią o herbatce, na którą został zaproszony dziś po południu – wyjaśnił Stoddart, gdy już zajęli miejsca.

– U lady Featherstone – dopowiedział Wilde. – Niedawno owdowiała. Nieszczęsna kobieta, z żalu jej włosy przybrały barwę złota.

– Oscarze – rzucił ze śmiechem Gill – jesteś doprawdy okropny. Jak można w ten sposób mówić o damie.

Wilde machnął obojętnie ręką.

– Moja dama by mi podziękowała. Na świecie jest tylko jedna rzecz gorsza niż mówienie o kimś, a mianowicie niemówienie o tej osobie. – Miał cichy, wystudiowany głos.

Doyle ukradkiem przyjrzał się Wilde'owi. Robił wrażenie. Niemal gigantycznej postury, z niemodnie długimi włosami z przedziałkiem pośrodku i zaczesanymi nonszalancko do tyłu, z mocnymi, surowymi rysami twarzy. Jego ubiór znamionował ekscentryczność graniczącą z szaleństwem. Nosił surdut z czarnego aksamitu, który ciasno opinał jego potężne ciało, rękawy ozdobione były haftowanymi kwiatowymi wzorami i wywatowane przy ramionach. Wokół szyi miał zawiązany cienki trzyrzędowy żabot z takiego samego brokatowego materiału co rękawy surduta. Był na tyle zuchwały, że nosił bryczesy do kolan, równie obcisłe jak surdut, a do tego pończochy z czarnego jedwabiu i pantofle z fantazyjnymi kokardami. Brązową butonierkę zdobiła wielka biała orchidea sprawiająca wrażenie, jakby lada chwila miała uronić kilka kropel nektaru. Palce jego wypielęgnowanych dłoni obciążone były masywnymi złotymi pierścieniami. Pomimo dziwaczego ubioru wyraz twarzy tego mężczyzny był łagodny i równoważył zapał dostrzegalny w jego brązowych oczach. Zdawał się on emanować delikatnością i taktem. Mówił powoli, starannie dobierając słowa, lekko tylko przy tym gestykulując.

– Jesteś doprawdy wspaniały, że nas tak tu gościsz, Stoddart – mówił Wilde. – W dodatku w Langham. W przeciwnym razie zmuszony byłbym sam o siebie zadbać. Nie żebym potrzebował pieniędzy na opłacenie kolacji. Pieniądzy brakuje tylko tym, którzy regulują swoje rachunki, a ja swoich nigdy nie płacę.

– Obawiam się, że motywy mojego postępowania są powodowane wyłącznie chciwością – odrzekł Stoddart. – Równie dobrze mogę już wyjawic, że jestem tu, by poprowadzić brytyjską edycję „Lippincott's Monthly”.

– Filadelfia nie jest dla ciebie dostatecznie duża? – zapytał Gill.

Stoddart zachichotał, po czym spojrzał kolejno na Wilde'a i Doyle'a.

– Moim zamiarem jest, zanim ta kolacja dobiegnie końca, uzyskać od każdego z was nową powieść.

Usłyszawszy te słowa, Doyle poczuł ogarniającą go ekscytację. W swoim telegramie Stoddart dość mglście wyjaśniał powody zaproszenia go do Londynu na kolację, lecz mężczyzna ten był dobrze znanym amerykańskim wydawcą i właśnie to w głębi serca Doyle miał nadzieję usłyszeć. Jego praktyka medyczna rozwijała się znacznie wolniej, niż oczekiwał. Dla zabicia czasu, czekając na pacjentów, zaczął pisać powieści. Kilka ostatnich odniosło jaki taki sukces. Stoddart był człowiekiem, jakiego potrzebował, aby zrobić pewien postęp. Doyle uznał go za miłego, może nawet czarującego – jak na Amerykanina.

Kolacja okazała się wyborna.

William Gill był zabawnym mężczyzną, ale Oscar Wilde nie miał sobie równych. Doyle był wręcz urzeczony pełnymi gracji ruchami jego dłoni, rozwlekłym sposobem wysławiania się, który przeradzał się w ożywioną narrację, gdy opowiadał kolejną ze swych niezwykłych anegdot lub rzucał zabawne bon moty. Zdaniem Doyle'a było to niemal magiczne, że za sprawą nowoczesnej techniki zaledwie w ciągu kilku godzin przeniósł się z sennego nadmorskiego miasteczka do tego wytwornego miejsca i znalazł się w towarzystwie znanego wydawcy, członka parlamentu oraz słynnego orędownika estetyki.

Potrawy serwowano suto i pospiesznie: kociołek krewetek, galantyna z kurczaka, flaczki, *bisque de homard*. Czerwone i żółte wino pojawiło się już na początku wieczoru i od tej pory płynęło hojnym strumieniem. To zdumiewające, ile pieniędzy mieli Amerykanie; Stoddart musiał wydać fortunę.

Zgranie w czasie było wręcz idealne. Doyle zaczął właśnie nową powieść, która powinna spodobać się Stoddartowi. Jego przedostatnia książka *Micah Clarke* spotkała się z przychylnymi recenzjami, choć najnowsza, o detektywie wzorowanym po części na jego starym profesorze z uniwersytetu Josephie Bellu, nie została przyjęta entuzjastycznie, gdy pojawiła się w „Beeton's Christmas Annual”.

Zmusił się, by wrócić do toczącej się rozmowy. Gill, irlandzki parlamentarzysta, zakwestionował prawdziwość maksymy, jakoby szczęście jednego z przyjaciół dla drugiego było powodem do niezadowolenia. Usłyszawszy te słowa, Wilde ożywił się, a w jego oczach pojawił się błysk.

– Pewnego razu – zaczął – szatan, wędrując po pustyni, natknął się na miejsce, gdzie gromada czartów dręczyła świątobliwego pustelnika. Mężczyzna ten z łatwością odpierał ich zgubne podszepty. Szatan przyglądał się ich nieudolnym staraniom, po czym postąpił naprzód, aby dać im nauczkę. „To, co robicie, jest zbyt prymitywne i toporne – powiedział. – Spójrzcie, jak to się robi. – To rzekłszy, wyszeptał do świątobliwego męża: – Twój brat został właśnie biskupem Aleksandrii”. Spokojne oblicze pustelnika na moment przesłonił chmurny grymas zjadliwej zazdrości. „Oto jak moim zdaniem powinniście to robić” – zwrócił się do swoich czartów szatan.

Stoddart i Gill roześmiali się w głos, po czym zaczęli toczyć spór na tematy polityczne. Wilde zwrócił się do Doyle'a:

– Musisz mi powiedzieć, czy napiszesz książkę dla Stoddarta.

– Myślę, że tak. Prawdę mówiąc, zacząłem właśnie pracę nad nową powieścią. Pomyślałem, że nazwę ją *Splątane tropy* albo może *Znak czterech*.

Wilde złączył dłonie w geście zadowolenia.

– Mój drogi kolego, co za wspaniałe nowiny. Mam nadzieję, że będzie to kolejna opowieść o Holmesie.

Doyle spojrział na niego zdziwiony.

– Chcesz powiedzieć, że czytałeś *Studium w szkarłacie*?

– Nie tyle czytałem, ile raczej pochłonałem, drogi chłopcze. – Wilde wyjął z kieszeni kamizelki egzemplarz tejże książki w wydaniu Ward Lock & Co., z tytułem stylizowanym na modłę orientalną. – Nawet ponownie ją przekartkowałem, gdy dowiedziałem się, że będziesz towarzyszył nam podczas dzisiejszej kolacji.

– To bardzo miłe – rzekł Conan Doyle z braku lepszej odpowiedzi. Był zdziwiony i zarazem zaszczycony, że księciu angielskiej dekadencji spodobała się prosta powieść detektywistyczna.

– Odnoszę wrażenie, że tworząc Holmesa, wymyśliłeś naprawdę wielką postać. Ale... – Wilde nie dokończył.

– Tak?

– Najbardziej ujęła mnie wiarygodność tego wszystkiego. Szczegóły policyjnego dochodzenia i śledztw prowadzonych przez Holmesa były naprawdę inspirujące. W tej kwestii wiele mogę się od ciebie nauczyć. Bo widzisz, pomiędzy mną a życiem zawsze snuje się gęsta mgła słów. Wyrzucam prawdopodobieństwo precz dla dobra jakiejś frazy, a szansa na epigramat sprawia, że oddalam się od prawdy. Ty jesteś wolny od takich błędów. A mimo to... wierzę, że mógłbyś osiągnąć dużo więcej z tym twoim Holmesem.

– Byłbym wielce zobowiązany za bardziej szczegółowe wyjaśnienia – odparł Doyle.

Wilde upił łyk wina.

– Jeśli ma się stać naprawdę wielkim detektywem, wielką personą, powinien być bardziej ekscentryczny. Świat nie potrzebuje kolejnego sierżanta Cuffa czy inspektora Dupina. Nie, spraw, by jego człowieczeństwo dorównywało wielkości jego talentu. – Przerwał na chwilę i w zamyśleniu głaskał orchideę, którą miał w butonierce. – W *Studium w szkarłacie* określiłeś Watsona mianem wyjątkowo leniwego. W moim mniemaniu powinieneś obdarzyć takimi przymiotami jak lenistwo i ogólne zniechęcenie swego bohatera, a nie jego chłopca na posyłki. I niech Holmes będzie miał więcej rezerwy. Nie pisz, że „jego oblicze przepełniło głębokie zadowolenie” ani nie każ mu „zanosić się śmiechem”.

Doyle zarumienił się, gdy rozpoznał niefortunnie dobrane słowa.

– Niech ma też jakieś nałogi – ciągnął Wilde. – Ludzie bez skazy są banalni,

nie znoszę ich. – Znow przerwał. – Nie tylko nałogi, Doyle, daj mu słabość. Niech no się zastanowie... Och, tak! Już sobie przypominam. – Otworzył egzemplarz *Studium w szkarłacie*, przewertował pospiesznie kilka stron, odnalazł właściwy akapit i zacytował słowa doktora Watsona: – „Zacząłbym go podejrzewać, że jest uzależniony od jakichś narkotyków, ale jego schludność i wstrzemięźliwość wykluczały taką ewentualność”^[1]. – Wsunął książkę z powrotem do kieszeni kamizelki. – Proszę, miałeś w rękach idealną słabość, lecz z tego zrezygnowałeś. Sięgnij po to raz jeszcze! Pchnij Holmesa w objęcia jakiegoś nałogu. Niech to będzie opium. Albo nie, opium jest dziś przerażająco pospolite, przedstawiciele klas niższych zdecydowanie z nim przesadzają. – Nagle Wilde pstryknął palcami. – Już wiem! Chlorowodorek kokainy. To nowy i elegancki nałóg, w sam raz dla ciebie.

– Kokaina – powtórzył dość niepewnie Doyle.

Jako lekarz niekiedy przepisywał siedmioprocentowy roztwór tej substancji pacjentom cierpiącym na przemęczenie i depresję, ale pomysł, aby uczynić Holmesa uzależnionym od tego specyfiku, wydał mu się dość absurdalny. Chociaż Doyle poprosił Wilde’a o opinię, poczuł się trochę zbity z tropu krytyką tamtego. Po drugiej stronie stołu wciąż trwał niezbyt zżarty spór pomiędzy Stoddartem a Gillem.

Esteta upił kolejny łyk wina i odgarnął włosy do tyłu.

– A ty? – zapytał go Doyle. – Napiszesz książkę dla Stoddarta?

– Mam taki zamiar. I uczynię to pod twoim wpływem – czy raczej pod wpływem Holmesa. Zawsze wierzyłem, że nie ma czegoś takiego jak moralna lub niemoralna książka. Książki są napisane dobrze albo źle – ot i wszystko. Postawiłem sobie jednak za cel napisanie książki zarówno o sztuce, jak i o zasadach moralnych. Zamierzam zatytułować ją *Portret Doriana Graya*. I wiesz co, wydaje mi się, że będzie to upiorna opowieść. Nie historia o duchach, lecz taka, w której protagonistę spotka naprawdę przerażający koniec. To będzie jedna z tych opowieści, które człowiek ma ochotę czytać w blasku dnia, a nie przy świetle lampy.

– To niezupełnie opowieść w twoim stylu.

Wilde spojrział na Doyle’a z niejakim rozbawieniem.

– Doprawdy? Czy uważasz, że jako ktoś, kto z lubością złożyłby sam siebie w ofierze na stosie estetyki, nie potrafiłbym rozpoznać oblicza grozy, gdyby przyszło mi się z nią zetknąć? Wiedz jedno: dreszcz strachu jest równie zmysłowy jak dreszcz rozkoszy, a może nawet bardziej. – Na podkreślenie tych słów machnął drugą ręką. – Poza tym opowiedziano mi kiedyś historię tak

straszliwą, tak przerażającą szczegółami i ogromem zawartego w niej zła, że odnoszę wrażenie, iż już nic nie może mnie naprawdę przerazić.

– To ciekawe – mruknął zdawkowo Doyle, wciąż nie mogąc przeboleć krytyki postaci Holmesa.

Wilde przyglądał mu się, a jego szerokie blade oblicze rozjaśnił uśmiezek.

– Chciałbyś ją usłyszeć? To nie jest opowieść dla ludzi o słabym sercu.

Ton, jakim Wilde to powiedział, zabrzmiał jak rzucone wyzwanie.

– Naturalnie.

– Opowiedziano mi ją podczas mojej wizyty w Ameryce kilka lat temu, gdy wybrałem się tam z cyklem wykładów. W drodze do San Francisco zatrzymałem się w dość zapuszczonej, choć malowniczej osadzie górniczej zwanej Roaring Fork. U wylotu kopalni dałem wykład, który został zdumiewająco dobrze przyjęty przez prawych dżentelmenów z tej osady. Podszedł do mnie jeden z górników, mężczyzna przedwcześnie podstarzały zapewne wskutek nadmiernej słabości do mocnych trunków. Odciągnął mnie na bok i wyznał, że moja opowieść tak mu się spodobała, iż chciałby podzielić się ze mną swoją.

Wilde przerwał, zwilżając mięsiste czerwone wargi łyżkiem wina.

– Przybliź się zatem do mnie, o właśnie tak, a opowiem ci tę historię tak, jak sam ją usłyszałem...

Dziesięć minut później goście w restauracji hotelu Langham z niejakim zdziwieniem spostrzegli pośród gwaru rozmów i delikatnego brzęku sztućców, że młody mężczyzna ubrany jak prowincjonalny lekarz, przeraźliwie blady, wstał od stołu. Uczynił to tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło, a potem, przykładając dłoń do czoła, chwiejnym krokiem, zataczając się, opuścił salę, nieomal zderzając się po drodze z kelnerem niosącym tacę pełną przysmaków. A gdy zniknął, kierując się w stronę męskiej toalety, na jego twarzy malował się wyraz nieopisanej zgrozy i bezgranicznego obrzydzenia.

1

Współcześnie

Corrie Swanson po raz trzeci weszła do damskiej toalety, żeby sprawdzić, czy dobrze wygląda. Bardzo się zmieniła, odkąd na drugim roku przeniosła się do John Jay College of Criminal Justice. Ten college był dość konserwatywną placówką. Przez jakiś czas opierała się, ale w końcu zdała sobie sprawę, że musi dorosnąć i dostosować się do reguł życia, zamiast w nieskończoność zgrywać buntowniczkę. Zrezygnowała z fioletowych włosów, licznych kolczyków, czarnej skórzanej kurtki, ciemnych cieni do powiek i innych typowo gotyckich elementów. Nie mogła jednak nic zrobić z tatuażem przedstawiającym wstęgę Möbiusa na karku poza ukrywaniem go pod włosami i noszeniem bluzek z kołnierzykami. Wiedziała, że któregoś dnia i z nim będzie musiała się pożegnać.

Jeżeli miała przestrzegać reguł, zamierzała to zrobić jak najlepiej.

Niestety zdaniem jej opiekuna, byłego nowojorskiego gliniarza, który wrócił na uczelnię i został profesorem, jej osobista przemiana dokonała się zbyt późno. Corrie odnosiła wrażenie, że od pierwszego spotkania uznawał ją za potencjalną przestępczynię, i przez ostatni rok nic się w tej kwestii nie zmieniło. Najwyraźniej postawił na niej krzyżyk. Odrzucił również jej pierwszą propozycję tematu pracy. Zebranie materiałów do niej wiązało się z wyprawą do Chile i analizą odkrytych w masowym grobie szczątków komunistycznych wieśniaków zamordowanych przez reżim Pinocheta w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Za daleko, stwierdził, zbyt drogo jak na projekt badawczy, a poza tym cała sprawa należała już do historii. Kiedy Corrie odrzekła, że o to właśnie chodzi – to były stare groby wymagające specjalnych technik i badawczych ekspertyz – powiedział coś o niemieszaniu się w kontrowersyjną politykę obcych państw, zwłaszcza komunistycznych.

Teraz miała inny pomysł na swoją pracę, zdecydowanie lepszy, i była gotowa niemal na wszystko, aby dopiąć swego.

Przejrzawszy się w lustrze, poprawiła kilka kosmyków, lekko uszmkowała usta klasyczną pomadką, wygładziła szary zakiet z samodziałowej wełny i delikatnie upudrowała nos. Zmieniła się nie do poznania, Boże, można by nawet wziąć ją za młodą republikankę. Tym lepiej!

Wyszła z toalety i szybkim krokiem przemaszerowała przez korytarz; jej czółenka stuknęła dystyngowanie o twarde linoleum. Drzwi gabinetu jej promotora jak zwykle były zamknięte, zastukała więc energicznie i zdecydowanie.

– Proszę – rozległ się głos ze środka.

Weszła. Gabinet był nieskazitelny: książki i dzienniki stały w równiutkich rzędach na półkach; wygodne, typowo męskie, obite skórą meble tworzyły atmosferę spokoju, wygody i przytulności. Profesor Greg Carbone siedział za wielkim biurkiem, którego blat z polerowanego mahoniu był wolny od jakichkolwiek książek, papierów, rodzinnych fotografii czy bibelotów.

– Dzień dobry, Corrie – rzekł Carbone, wstając i zapinając guziki granatowego garnituru z serży. – Usiądź, proszę.

– Dziękuję, panie profesorze. – Wiedziała, że lubi, gdy zwracano się do niego oficjalnie. Biada studentowi, który chciałby odezwać się do niego per „proszę pana” albo, co gorsza, po imieniu.

Zajął ponownie swoje miejsce, gdy i ona usiadła. Carbone był zdumiewająco przystojnym mężczyzną o włosach przyprószonych siwizną, wspaniałych zębach, smukłej, wysportowanej sylwetce, zadbanym, dobrze ubranym, wykształconym, inteligentnym, wysławiającym się elokwentnie, niepodnoszącym głosu i cieszącym się z odniesionego sukcesu. Wszystko, co robił, czynił jak należy i w rezultacie był skończonym dupkiem.

– No, no, Corrie – zaczął. – Świetnie dziś wyglądasz.

– Dziękuję, doktorze Carbone.

– Nie mogę się doczekać, aby usłyszeć o twoim nowym pomysle.

– Dzięki. – Corrie otworzyła aktówkę (college Johna Jaya nie był miejscem odpowiednim dla plecaków), wyjęła szarą kartonową teczkę i położyła ją sobie na kolanach. – Jestem pewna, że czytał pan o archeologicznym śledztwie prowadzonym w City Hall Park. Niedaleko miejsca, gdzie znajdowało się stare więzienie zwane Tombs.

– Opowiedz mi o tym.

– Wydział parków i terenów zielonych, prowadząc prace nad budową nowego

wejścia do metra, odkrył nieduże cmentarzysko straconych więźniów.

– Tak, czytałem o tym – przyznał Carbone.

– Cmentarz funkcjonował od roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego ósmego do tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego. Po sześćdziesiątym piątym ciała wszystkich więźniów straconych w wyniku egzekucji przeniesiono na Hart Island, gdzie pozostają niedostępne.

Carbone powoli skinął głową. Wyglądał na zaniepokojonego, co dodało jej odwagi.

– Myślę, że to doskonała okazja, by przeprowadzić osteologiczne badanie tych szkieletów, żeby przekonać się, czy poważne niedożywienie w dzieciństwie, które, jak pan wie, pozostawia wyraźne ślady na kościach, może mieć jakiś związek z późniejszymi przestępczymi tendencjami u tych osób.

Carbone ponownie skinął głową.

– Mam tu ogólny zarys. – Corrie położyła na biurku wstępny szkic proponowanej pracy. – Hipotezy, metodologia, grupa kontrolna, obserwacje i analiza.

Carbone przysunął dokument do siebie i zaczął go przeglądać.

– Z wielu powodów należy to potraktować jako wyjątkową okazję – ciągnęła. – Po pierwsze, miasto posiada rzetelne archiwa dotyczące większości spośród straconych i pochowanych tam przestępców: nazwiska, listy popełnionych zbrodni, zapisy z procesów. Sieroty wychowywane w przytułku w Five Points, będącym tak naprawdę zakładem pracy przymusowej, również mają swoje akta. Wszystkich tych przestępców stracono w jednakowy sposób – przez powieszenie – więc przyczyna śmierci jest identyczna. Cmentarz funkcjonował zaledwie przez siedem lat, zatem wszystkie szczątki pochodzą z mniej więcej tego samego okresu.

Corrie przerwała. Carbone powoli przewracał strony, jedna po drugiej, wydawał się pogrążony w lekturze. Nie sposób było stwierdzić, o czym myślał; jego oblicze pozostawało beznamiętne.

– Popytałam tu i ówdzie i wygląda na to, że wydział parków zgodzi się, aby studentka college’u Johna Jaya przeprowadziła badanie szczątków.

Powolne przewracanie stron ustało.

– Już się z nimi kontaktowałeś?

– Tak. Wybadałam tylko grunt...

– Wybadałaś grunt... Skontaktowałaś się z inną służbą miejską, nie zapytawszy o pozwolenie?

Hmm...

– To oczywiste, że nie chciałam składać na pana ręce projektu, który mógłby zostać później utracony przez czynniki zewnętrzne. Czy popełniłam błąd?

Długa cisza, aż w końcu:

– Czytałaś kodeks praw i obowiązków studenta?

Corrie poczuła ogarniający ją niepokój. Owszem, czytała kodeks, gdy przyjęto ją na studia. Ponad rok temu.

– Ostatnio nie.

– Wszystko jest tam wypisane czarno na białym. Student nie może samodzielnie kontaktować się z innymi wydziałami służb miejskich, może to robić jedynie drogą oficjalną. To dlatego, że jak wiesz, jesteśmy instytucją miejską, podlegamy miejskiemu uniwersytetowi nowojorskiemu – powiedział łagodnym, niemal życzliwym tonem.

– Ja... No cóż... Nie zapamiętałam tego z lektury kodeksu. – Przełknęła ślinę, czując narastającą panikę i gniew. To była jakaś niewiarygodna bzdura. Zmusiła się jednak, by zachować spokój. – To było tylko kilka rozmów telefonicznych, nic oficjalnego.

Skinienie głową.

– Jestem pewien, że nie złamałaś zasad naszej uczelni rozmyślnie. – Carbone znów zaczął przerzucać strony, powoli, jedną po drugiej, nie patrząc na nią. – Ale tak czy siak, znajduję inne problemy związane z proponowanym przez ciebie tematem pracy.

– Tak? – Corrie zrobiło się niedobrze.

– Ta hipoteza, jakoby niedożywienie prowadziło do przestępczego życia... To idea stara i nieprzekonująca.

– Cóż, uważam, że warto ją sprawdzić.

– Niegdyś, jak wiesz, niemal wszyscy byli niedożywieni. Ale nie wszyscy stawali się przestępcami. Poza tym pachnie mi to trochę... jak by to powiedzieć... pewną filozofią, zgodnie z którą zbrodnicze skłonności można by powiązać z niefortunnymi wypadkami z dzieciństwa tej czy innej osoby.

– Ale niedożywienie, poważne niedożywienie, może spowodować zmiany neurologiczne, naprawdę duży uszczerbek na zdrowiu. To nie jest filozofia, ale nauka.

Carbone uniósł sporządzony przez nią plan pracy.

– Już teraz mogę przewidzieć wynik: odkryjesz, że ci straceni więźniowie cierpieli w dzieciństwie na poważne niedożywienie. Prawdziwe pytanie powinno brzmieć, dlaczego spośród wszystkich głodnych dzieci jedynie niewielki procent zdecydował się na prowadzenie przestępczego procederu i popełnianie

najgorszych zbrodni. Ale twój plan pracy tego nie obejmuje. Przykro mi, nie uzyskasz mojej aprobaty. Nic z tego.

Rozluźniwszy palce, Carbone pozwolił, aby kartki sporządzonego przez Corrie dokumentu łagodnie spłynęły na blat biurka.

2

Słynne – choć niektórzy uważali je za niesławne – Czerwone Muzeum w college’u prawa karnego wzięło swój początek od kolekcji starych akt śledczych, dowodów rzeczowych, przedmiotów osobistych więźniów i pamiątek, które niemal sto lat temu zostały wystawione w gablocie w jednej z sal starej akademii policyjnej. Od tamtej pory zasoby te rozrosły się, stając się jednym z najlepszych i największych w kraju zbiorów przestępczych memorabiliów. Największe perełki tej kolekcji można było ujrzeć w nowej Sali Ekspozycji w należącym do uczelni gmachu Skidmore, Owings & Merrill przy Dziesiątej Alei. Pozostała jej część – w głównej mierze butwiejące archiwa i pleśniejące dowody rzeczowe zbrodni sprzed lat – zgromadzono w upiornych piwnicach starego budynku akademii policyjnej przy Dwudziestej Wschodniej.

Corrie odkryła archiwum na samym początku swoich studiów. Była to dla niej istna żyła złota – gdy tylko zaprzyjaźniła się z archiwistą i zorientowała, jak należy radzić sobie z nieuporządkowanymi materiałami i stosami rozmaitych szpargałów. Była w Czerwonym Muzeum już wielokrotnie, by przeczesać tutejsze archiwa w poszukiwaniu tematów do prac oraz projektów, a ostatnio do pracy, która miała rywalizować o Nagrodę Rosewella. Spędziła dużo czasu wśród akt spraw nierozwiązanych, „zimnych dochodzeń”, tak starych, że wszyscy, którzy byli z nimi związani (w tym potencjalni sprawcy), zapewne dawno nie żyli.

Dzień po spotkaniu z Carbone’em zjeżdżała skrzypiącą windą do piwnic. Zjawiała się tu w rozpaczliwej misji znalezienia dla siebie czegoś nowego, zanim będzie za późno i minie termin składania tematów prac. Była już połowa listopada i Corrie miała nadzieję, że poświęci zimowe ferie na badania i pisanie. Otrzymywała niewielkie stypendium, a resztę czesnego uiszczał agent Pendergast, ale postawiła sobie za punkt honoru nie brać od niego ani centa więcej, niż to było konieczne. Gdyby jej praca zdobyła Nagrodę Rosewella, czemu towarzyszył grant w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów, nie

potrzebowałyby niczyjego wsparcia.

Drzwi windy rozsunęły się i Corrie poczuła znajomą woń – mieszaninę kurzu i zakwaszonego papieru oraz odor szczurzego moczu. Przeszła korytarzem w stronę poobijanych metalowych drzwi ozdobionych napisem „Archiwa Czerwonego Muzeum” i nacisnęła dzwonek. Ze starego głośnika dobiegł niewyraźny dźwięk, podała swoje nazwisko i rozległ się brzęk zwalnianej elektrycznej blokady drzwi.

– Corrie Swanson? Jak miło znowu cię widzieć! – dał się słyszeć ochryply głos archiwisty Willarda Blooma, który wstał od biurka skapanego w kręgu światła strzegącego bezmiaru przestrzeni magazynowej, tonącej w ciemnościach hen poza nim. Wyglądał niczym szkielet, był chudy jak patyk, z długimi posiwiałymi włosami, ale wydawał się naprawdę uroczym, dobrotliwym staruszkiem. Corrie nie przeoczyła tego, że jego wzrok często błędził po różnych szczegółach jej anatomii, gdy sądził, iż tego nie widzi.

Bloom podszedł, wyciągając do niej poprzecinaną żyłami rękę, a ona ją ucisnęła. Dłoń miał zaskakująco gorącą, co ją zdumiało. Aż się wzdrygnęła.

– Chodź usiądź. Napij się herbaty – zaproponował.

Przed biurkiem stało kilka krzeseł, stolik do kawy i poobijana szafka z kuchenką elektryczną, czajnikiem i imbrykiem do herbaty; było to miejsce nieformalnych spotkań pośród całego morza kurzu i ciemności. Corrie opadła na krzesło i ciężko postawiła aktówkę na podłodze obok siebie.

– Faj – rzuciła.

Bloom uniósł brwi w niemym geście pytania.

– Carbone. Znow odrzucił temat mojej pracy. I ponownie muszę zaczynać od zera.

– Carbone – rzekł piskliwym głosem Bloom. – Wszyscy wiedzą, że to osioł.

To pobudziło jej ciekawość.

– Zna go pan?

– Znam wszystkich, którzy tu przychodzą. Carbone! Zawsze narzekał, że pobrudzi sobie garniturki od Ralphi Laury, że mu się zakurzą, chciał, żebyśmy poszukał dla niego różnych rzeczy i przynosił mu je do rąk własnych. Cóż, nigdy nie udało mi się znaleźć niczego, o co prosił... Tak bywa. Znasz prawdziwy powód, dla którego odrzuca tematy twoich prac, prawda?

– Zapewne dlatego, że jestem tu dopiero od niespełna roku.

Bloom przyłożył palec do nosa i pokiwał głową potakująco.

– Otóż to. A Carbone jest reliktem szkoły, uparcie trzyma się procedur.

Tego właśnie Corrie się obawiała. Nagroda Rosewella za najlepszą pracę na

roku cieszyła się w college'u Johna Jaya wielką estymą. Jej laureaci byli często studentami starszych roczników wygłaszającymi mowy pożegnalne po promocji i mieli przed sobą szczytną karierę w służbie prawa. Nie słyszała, by jak dotąd nagrodę tę zdobył ktoś z niższych roczników, prawdę mówiąc, młodszym studentom odradzano składanie prac i ubieganie się o nią. Ale nie było w tej kwestii żadnej reguły i Corrie nie zamierzała pozwolić, aby jakieś niepisane zasady pokrzyżowały jej szyki.

Bloom uniósł imbryczek i wyszczerzył w uśmiechu poźółkłe zęby.

– Herbaty?

Spojrzała na okropne naczynie, które przypuszczalnie nie było myte od dobrych dziesięciu lat.

– To imbryk? Myślałam, że narzędzie zbrodni. No wie pan, arsenik do środka i jazda.

– Zawsze masz gotową ripostę. Ale wiesz z pewnością, że trucizny używają najczęściej kobiety? Gdybym to ja miał być mordercą, chciałbym ujrzeć krew swojej ofiary. – Nalał herbaty. – A więc Carbone odrzucił twój temat. Cóż za niespodzianka. Jaki jest plan B?

– To był mój plan B. Miałam nadzieję, że podsunie mi pan jakieś nowe pomysły.

Bloom usiadł na krześle i siorbnął łyk herbaty ze swojej filizanki.

– Niech no pomyślę. O ile dobrze pamiętam, robisz magisterium z osteologii sądowej. Czego konkretnie szukasz?

– Muszę zbadać jakieś kości ludzkie, by wykazać ich przedśmiertne lub pośmiertne uszkodzenia. Ma pan jakieś akta spraw, które mogłyby się z tym wiązać?

– Hmm. – Zniszczoną twarz Blooma wykrzywił grymas głębokiego skupienia.

– Problem polega na tym, że trudno uzyskać dostęp do ludzkich szczątków. Chyba że byłyby to szczątki prehistoryczne. Ale mogłoby to tylko na nowo rozjątrzyć stare rany i wywołać zadawnione konflikty z bardziej wrażliwymi przedstawicielami rdzennych Amerykanów. A ja potrzebuję szczątków, które mają rzetelnie spisane akta. Chodzi mi o szczątki historyczne.

Bloom przełknął kolejny łyk herbaty i zamyślił się.

– Kości. Uszkodzenia przed-albo pośmiertne. Historyczne. Dobre akta. Dostępne.

Zamknął oczy, a jego powieki były tak ciemne i poprzecinane żyłkami, że wyglądał, jakby został ciężko pobity. Corrie czekała, wsłuchując się w rozlegające się w archiwum głośnie tykanie, cichy szmer wentylatorów

i skrobanie czegoś, co, jak się obawiała, mogło być szczurem lub myszą.

Oczy Blooma znów się otworzyły.

– Właśnie coś mi przyszło do głowy. Słyszałaś kiedykolwiek o Baker Street Irregulars?

– Nie.

– To bardzo ekskluzywny Klub Miłośników Sherlocka Holmesa. Każdego roku wydają kolację w Nowym Jorku i publikują prace naukowe obracające się wokół tematu Holmesa, udając przy tym, że Sherlock naprawdę istniał. Otóż jeden z tych ochotników z Baker Street, jak ich nazywam z uwagi na Irregulars – nieformalne ugrupowanie zbrojne – zmarł kilka lat temu, a wdowa po nim, nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić, przesłała do nas całą jego kolekcję rzeczy związanych z Sherlockiem Holmesem. Być może nie wiedziała, że Holmes był fikcyjnym detektywem, a my tutaj zajmujemy się tylko faktami. Tak czy owak pogrzebałem w tym trochę. Są to w dużej mierze nic niewarte śmieci. Natknąłem się jednak na kopię dziennika Doyle’a – niestety, kserokopię – który okazał się wyjątkowo interesującą lekturą dla starego człowieka wykonującego niewdzięczną pracę w zakurzonej, ciemnym archiwum.

– Co konkretnie pan odkrył?

– Wzmiankę o niedźwiedziu ludojadzie.

Corrie zmarszczyła brwi.

– Niedźwiedź ludojad? Nie bardzo wiem...

– Chodź ze mną.

Bloom podszedł do rzędu włączników światła i uderzył w nie płasko dłonią, sprawiając, że wewnątrz archiwum rozjaśnił oślepiająco biały, migotliwy blask świetlówek. Corrie zdawało się, że usłyszała, jak w chwili gdy zapaliło się światło, gdzieś wśród rzędów starych regałów rozległo się popiskiwanie i skrobanie pazurów pierzchających w popłochu gryzoni.

Podążyła za archiwistą wzdłuż jednego z długich przejść między regałami i drewnianymi szafkami oznaczonymi pożółkłymi wyblakłymi fiszkami, by dotrzeć na sam koniec pomieszczenia, gdzie na stołach bibliotecznych stały wielkie kartonowe pudła. Trzy, jeden przy drugim, na nich napis „BSI”. Bloom podszedł do jednego z pudeł, grzebał w nim przez chwilę, po czym wyjął opasłą teczkę, otrzepał ją z kurzu i zaczął przeglądać papiery.

– O proszę. – Uniósł starą kserokopię. – To dziennik Doyle’a. Powinienem oczywiście powiedzieć poprawnie Conan Doyle’a, ale i tak wiadomo, o kogo chodzi.

W słabym świetle zaczął przerzucać strony, a potem przeczytał na głos:

– „...Byłem w Londynie w interesach literackich. Stoddart, Amerykanin, okazał się wspaniałym człowiekiem i zaprosił na kolację jeszcze dwóch innych gości. Byli to: Gill, nader rozrywkowy irlandzki parlamentarzysta, oraz Oscar Wilde...”.

Przerwał, a jego głos przeszedł w ciche mruczenie, gdy mężczyzna pomiął pewien fragment dziennika, zaraz jednak znów przybrał na sile, gdy archiwista odnalazł fragment, który uważał za szczególnie ważny.

– „...Punktem kulminacyjnym wieczoru, jeśli mogę tak to nazwać, była relacja Wilde’a z jego objazdowej wizyty w Ameryce z serią wykładów. Może trudno w to uwierzyć, ale piewca estetyki wzbudził w Ameryce ogromne zainteresowanie, zwłaszcza na zachodzie, gdzie w pewnej osadzie grupa prostych, nieokrzęsanych górników urządziła mu owację na stojąco...”.

Corrie zaczęła się wiercić nerwowo. Miała niewiele czasu do stracenia. Odchrząknęła.

– Nie jestem pewna, czy Oscar Wilde i Sherlock Holmes to coś, czego szukam – powiedziała uprzejmie.

Ale Bloom czytał dalej, unosząc palec wskazujący i domagając się jej uwagi, a jego świszczący głos zagłuszył wszelkie protesty dziewczyny.

– „...Pod koniec wieczoru Wilde, który nie szczędził sobie wybornego czerwonego wina oferowanego przez Stoddarta, opowiedział mi *sotto voce* opowieść tak przerażającą, tak osobliwą i mrozącą krew w żyłach, że musiałem odejść od stołu. Opowieść ta dotyczyła jedenastu górników, którzy w ubiegłych latach zostali zabici i pożarci przypuszczalnie przez niedźwiedzia grizzly, samotnika, w okolicach osady górniczej zwanej Roaring Fork. Szczegóły są tak upiorne, że nie ośmielę się przelać ich teraz na papier, choć wrażenia, jakie owa historia pozostawiła, wydają się niezatarte i obawiam się, że pamięć o niej będzie mi towarzyszyć aż po kres moich dni”.

Bloom przerwał i wziął głęboki oddech.

– No i proszę. Jedenaście trupów, górników zabitych i pożartych przez niedźwiedzia grizzly. W Roaring Fork, jeśli chodzi o ścisłość.

– Roaring Fork? Ma pan na myśli ten szpanerski kurort narciarski w Kolorado?

– Ten sam. Ta osada zaczęła się rozrastać, gdy w okolicy znaleziono pokłady srebra.

– Kiedy to było?

– Wilde był tam w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku. A więc ta historia z niedźwiedziem ludojadem musiała się wydarzyć w połowie lub pod koniec lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Corrie pokręciła głową.

– I niby jak miałabym wykorzystać ten temat w swojej pracy?

– Prawie tuzin szkieletów, ofiar niedźwiedzia ludojada! Z całą pewnością na szczątkach muszą być liczne ślady obrażeń przed i pośmiertnych: kłów i pazurów, gryzienia, miażdżenia, kruszenia, rozrywania i gruchotania.

Bloom wymówił te słowa z wyraźną satysfakcją.

– Studiuję kryminalistykę sądową, a nie niedźwiedziologię sądową.

– Ale wiesz, że wiele, jeżeli nie większość szkieletów będących ofiarami morderstw, wykazuje obecność uszkodzeń dokonanych przez zwierzęta. Powinnaś przejrzeć akta, jakie mamy na ten temat. Trudno byłoby rozróżnić pomiędzy śladami zwierzęcia a pozostawionymi przez mordercę. O ile sobie przypominam, nikt jak dotąd nie sporządził obszernego studium traktującego o tego rodzaju przed-i pośmiertnych uszkodzeniach kości. Byłby to z pewnością nader oryginalny wkład w dziedzinę kryminalistyki i medycyny sądowej.

To prawda, pomyślała Corrie, zaskoczona przenikliwością i słowami Blooma. A skoro o tym mowa, byłby to naprawdę rewelacyjny i oryginalny temat pracy.

Bloom mówił dalej:

– Nie wątpię, że przynajmniej niektórzy spośród tych nieszczęsnych górników zostali pochowani na historycznym cmentarzu w Roaring Fork.

– Widzi pan, na tym właśnie polega problem. Nie mogę zacząć rozkopywać mogił na historycznym cmentarzu w poszukiwaniu ofiar niedźwiedzia zabójcy.

Bloom wyszczerzył w uśmiechu pozóółkłe zęby.

– Moja droga Corrie, jedynym powodem, dla którego zapoznałem cię z tą sprawą, był fascynujący artykuł w dzisiejszym „Timesie”. Czyżbyś go nie czytała?

– Nie.

– Wszystkie mogiły z historycznego cmentarza w Roaring Fork zostały właśnie rozkopane, a znajdujące się w nich trumny przewieziono do wielkiego magazynu sprzętu narciarskiego. Tak się akurat składa, że tamtejsze władze postanowiły przenieść cmentarz z uwagi na planowaną rozbudowę jednego z osiedli w kurorcie.

Archiwista popatrzył na Corrie i mrugnął porozumiewawczo, uśmiechając się przy tym jeszcze szerzej.

3

Na Lazurowym Wybrzeżu na południu Francji mężczyzna w czarnym garniturze, w otoczeniu bugenwilli, odpoczywał na kamiennym tarasie na szczycie Cap Ferrat, pławiąc się w popołudniowym słońcu. Było ciepło jak na tę porę roku, a promienie słoneczne złościły cytrynowe drzewka rosnące wokół tarasu oraz na stromym stoku opadającym ku brzegowi Morza Śródziemnego i kończącym się pasmem opustoszałej białej plaży. W oddali widać było jachty stojące na kotwicach, a na skalistym cyplu na krańcu przylądka wznosił się starodawny zamek odcinający się na tle błękitnego horyzontu.

Mężczyzna leżał wyciągnięty na szezlongu nakrytym jedwabnym adamaszkiem, obok niewielkiego stolika ze srebrną tacą. Srebrzyste oczy mężczyzny były na wpół przymknięte. Na tacy znajdowały się cztery przedmioty: egzemplarz *Królowej krainy czarów* Spensera, nieduży kieliszek z pastisem, dzbanek z wodą i nieotwarty list. Tacę przyniósł przed dwiema godzinami służący, który teraz oczekiwał w cieniu portyku na dalsze polecenia. Mężczyzna, który wynajął willę, rzadko otrzymywał pocztę; kilka listów nosiło adres zwrotny panny Constance Greene z Nowego Jorku, reszta nadchodziła, jak się wydawało, z ekskluzywnej szkoły z internatem w Szwajcarii.

W miarę upływu czasu służący zaczął się zastanawiać, czy chorobliwie wyglądający dżentelmen, który najął go za horrendalnie wysoką stawkę, mógł doznać ataku serca – przez ostatnich kilka godzin leżał w całkowitym bezruchu. Ale nie, jedna jego ręka poruszyła się właśnie z płynną gracją, sięgając po dzbanek z wodą. Mężczyzna dolał odrobinę wody do kieliszka z pastisem, sprawiając, że żółtawy płyn zmętniał i stał się żółtozielony. Mężczyzna uniósł wówczas kieliszek i wziął długi łyk, zanim odstawił go na tacę.

Bezruch powrócił, a popołudniowe cienie wydłużyły się. Czas mijał powoli. Dłoń znów się poruszyła jak w zwolnionym tempie, raz jeszcze unosząc kryształowy kieliszek do bladych ust, które upiły kolejny długi łyk likieru. Następnie mężczyzna sięgnął po tomik poezji. Znów zapadła cisza, gdy pogrążył

się w lekturze, przewracając strony bardzo powoli. Ostatnie promienie słońca skąpały fasadę willi złocistym blaskiem. Z dołu napłynęły odgłosy życia codziennego: jakiejś kłótni, szmeru jachtu podpływającego do brzegu, śpiewu ptaków wśród drzew, cichych dźwięków fortepianu grającego Hanona.

Wreszcie mężczyzna w czarnym garniturze zamknął tomik poezji, odłożył na tacę i skupił uwagę na liście. Wciąż powoli, jakby poruszał się pod wodą, sięgnął po kopertę i otworzywszy ją długim wypielegnowanym paznokciem, wyjął z niej kartki, które rozłożył i zaczął czytać.

27 listopada

Drogi Aloysiusie,

wysłałam do Pana ten list za pośrednictwem Proctora w nadziei, że go Panu przekaże. Wiem, że wciąż jest Pan w podróży i zapewne nie chce, by Panu przeszkadzano, ale nie ma Pana już prawie od roku i pomyślałam, że może zamierza Pan wkrótce wrócić do domu. Czy nie korci Pana już, by zakończyć bezterminowy urlop z FBI i znów zacząć rozwiązywać sprawy zabójstw? A poza tym po prostu musiałam opowiedzieć Panu o projekcie mojej pracy badawczej. Uwierzy Pan lub nie, ale wybieram się do Roaring Fork w Kolorado!

Wpadłam na naprawdę niezwykły pomysł. Będę się streszczać, bo wiem, jaki jest Pan niecierpliwy, ale by to wyjaśnić, muszę najpierw nakreślić krótki rys historyczny. W roku 1873 w górach za działem wodnym utworzonym przez Góry Skaliste, niedaleko Leadville w Kolorado odkryto pokłady srebra. W dolinie powstała osada górnicza nazwana Roaring Fork, od nazwy rzeki, która przez nią przepływała, a w okolicznych górach jak grzyby po deszczu pojawiły się kolejne działki. W maju 1876 roku niedźwiedź grizzly samotnik zabił i pożarł górnika na odległej działce w górach – i przez resztę lata niedźwiedź na dobre sterroryzował ten teren. Z osady wyruszyło wiele myśliwskich drużyn, aby wytropić i zabić bestię, lecz bez powodzenia, gdyż obszar gór był wyjątkowo odludny i niedostępny. Zanim morderczy szal ludojada ustał, jedenastu górników zostało rozszarpanych i pożartych przez bestię. Wtedy była to olbrzymia sensacja, w miejscowych gazetach pojawiło się mnóstwo artykułów na ten temat (stąd poznałam szczegóły), raportów szeryfa itp. Jednak Roaring Fork było osadą leżącą na uboczu i o tej historii przestano pamiętać, gdy tylko zabijanie się skończyło.

Górników pochowano na cmentarzu w Roaring Fork i bardzo szybko

zapomniano o ich losie. Kopalnie zamknięto, populacja Roaring Fork znacznie się zmniejszyła i szybko zmieniło się ono niemalże w wymarłą osadę – miasteczko duchów. Wreszcie w 1946 roku wykupili je inwestorzy i zmienili w kurort narciarski, jeden z najpopularniejszych i najdroższych kurortów na świecie – przeciętna cena domu wynosi tutaj ponad cztery miliony dolarów!

To tyle, jeżeli chodzi o historię. Tej jesieni pierwotny cmentarz Roaring Fork przekopano, aby usunąć stamtąd ciała i przygotować miejsce na nowe osiedle. Wszystkie szczątki są obecnie przechowywane w starej szopie na sprzęt narciarski wysoko na jednym ze stoków i wszyscy kłócą się o to, co należy z nimi zrobić. Sto trzydzieści trumien, z czego w ośmiu znajdują się szczątki górników zabitych przez niedźwiedzia grizzly. (Trzy pozostałe ciała zaginęły lub może nigdy ich nie znaleziono).

To podsunęło mi temat mojej pracy:

Szczegółowa analiza uszkodzeń przed- i pośmiertnych na szkieletach ośmiu górników zabitych przez niedźwiedzia grizzly na podstawie badań szczątków pochodzących z historycznego cmentarza w Kolorado

Nigdy dotąd nie przeprowadzono szeroko zakrojonych, kompleksowych badań kości ludzkich uszkodzonych przez wielkiego mięsożernego drapieżnika. Nigdy! Właściwie nieczęsto się zdarza, by ludzie byli zjadani przez zwierzęta. Moja praca będzie pierwsza!!!

Mój promotor profesor Greg Carbone odrzucił dwa wcześniejsze tematy, które mu przedstawiłam, i cieszę się, że ten drań to zrobił – proszę wybaczyć, moje słownictwo. Ten temat też by Pana odrzucił z powodów, o których nie będę tu pisać, bo nie chcę nimi zanudzać, ale postanowiłam rozegrać to jak Pan. Poszperałam trochę i dostałam w swoje spocone dłonie akta osobiste Carbone'a. Wiedziałam, że ten facet jest zbyt doskonały, by nie miał czegoś na sumieniu. Kilka lat temu bzykał jedną ze swoich studentek i był na tyle głupi, że ją oblał, gdy z nim zerwała. Nic dziwnego, iż dziewczyna się poskarżyła – nie na to, że zadawała się z wykładowcą, lecz że dał jej zaniżoną ocenę. Nie doszło do złamania prawa (dziewczyna miała dwadzieścia lat), ale ten szmaciarz postawił jej jedynekę, podczas gdy należała jej się szóstka. Sprawę uciszono, dziewczyna dostała szóstkę i w dodatku „refundowano” jej chesne za cały rok – bez wątplenia po to, aby zatuszować aferę i żeby dziewczyna otrzymała jakieś pieniądze w „nieformalny” sposób.

Czasy są takie, że każdego można znaleźć, odszukałam więc tę dziewczynę i złożyłam jej wizytę. Nazywa się Molly Denton i jest teraz policjantką w Worcester w Massachusetts, w dodatku pracuje w wydziale zabójstw i ma na koncie wiele nagród i wyróżnień za zasługi. Rany, ależ się od niej nasłuchiłam o moim promotorze! Kiedy udałam się później na spotkanie z Carbone'em, byłam uzbrojona jak na wojnę, ale na wszelki wypadek miałam też pod ręką parę bomb atomowych.

Szkoda, że Pana tam nie było. To było piękne. Zanim jeszcze wyłuszczyłam mu nowy temat mojej pracy, uprzejmie poinformowałam, że mamy wspólną znajomą. Mówiąc to, uśmiechnęłam się do niego znacząco, aby dać mu do zrozumienia, o co mi chodzi. Chciałam, żeby dobrze mnie zrozumiał. Zbladł jak ściana. Nie mógł się doczekać, aż zmienię temat i powiem, co też nowego wymyśliłam w związku z moją pracą, chciał o tym usłyszeć, był bardzo uważny i natychmiast stwierdził, że to z całą pewnością najciekawszy temat pracy, z jakim miał okazję się zetknąć od lat, obiecał, że osobiście poprze mój projekt przed komisją kadry uczelnianej. A potem – i to jest najlepsze – zasugerował, że powinnam „jak najszybciej” udać się do Roaring Fork. W moich rękach facet zrobił się miękki jak wosk.

Właśnie zaczęły się ferie zimowe, za dwa dni wyjeżdżam do Roaring Fork! Proszę mi życzyć powodzenia. A jeżeli Pan zechce, proszę napisać do mnie, przekazując list za pośrednictwem Pańskiego przyjaciela Proctora, który będzie miał mój nowy adres do korespondencji, gdy tylko sama go poznam.

Pozdrawiam serdecznie,

Corrie

PS. Ach, zapomniałabym wspomnieć o najciekawszym szczególe dotyczącym mojej pracy. Proszę wierzyć lub nie, ale o zabójstwach dokonanych przez tego grizzly ludojada dowiedziałam się ni mniej, ni więcej, tylko z dziennika Arthura Conan Doyle'a! A Doyle usłyszał o tym od samego Oscara Wilde'a na uroczystej kolacji w Londynie w 1889 roku. Wygląda na to, że Wilde był kolekcjonerem upiornych opowieści, a tę zasłyszał podczas swoich wykładów na amerykańskim zachodzie.

Służący, który stał wśród cieni, patrzył, jak jego dziwny pracodawca kończy czytać list. Długie białe palce nagle opadły i list ześlizgnął się na stół, jakby został porzucony. Gdy dłoń uniosła się, by sięgnąć po kieliszek z pastisem, podmuch wieczornego wiatru porwał kartki i zwał je poza barierkę tarasu, aż uleciały ponad wierzchołkami cytrynowych drzewek i pofrunęły w błękitną dal,

falując i wirując nieprzerwanie. Zniknęły wśród morskich fal, ale bladolicy mężczyzna siedzący samotnie na kamiennym tarasie zdawał się nie przejmować tym, a może nawet tego nie zauważył.

4

Komenda policji w Roaring Fork mieściła się w klasycznym wiktoriańskim budynku w stylu starego zachodu, z czerwonej cegły i niezwykle malowniczym, stojącym w parku, na tle majestatycznych ośnieżonych szczytów. Przed nią wznosił się czterometrowy, pokryty śniegiem posąg Sprawiedliwości, o dziwo, niemającej tradycyjnej przepaski na oczach.

Corrie Swanson zaopatrzyła się w przewodniki po Roaring Fork i przeczytała wszystko na temat tego budynku pełniącego także funkcję gmachu sądu, osławionego licznymi podsądnymi, którzy znaleźli się w tych murach, od Huntera S. Thompsona po seryjnego mordercę Teda Bundy'ego. Wiedziała, że Roaring Fork było nie takim sobie kurortem. Znajdowały się tu najdroższe nieruchomości w całym kraju. Okazało się to uciążliwe, musiała bowiem zatrzymać się w miasteczku o nazwie Basalt, położonym prawie trzydzieści kilometrów jazdy krętą drogą nr 82 od Roaring Fork. Zamieszkała w kiepskim motelu Cloud Nine, ze ścianami z dykty i twardym łóżkiem, płacąc horrendalną cenę 109 dolarów za noc. Był pierwszy grudnia i sezon narciarski zaczął się na dobre. Ze zleceń przyjmowanych na studiach i tego, co jej zostało z pieniędzy otrzymanych od agenta Pendergasta rok temu, gdy w trudnym dla niego okresie wysłał ją, by przeczekała niebezpieczne chwile u ojca, zdołała zaoszczędzić prawie cztery tysiące dolarów. Jednak sto dziewięć dolarów dziennie plus posiłki i absurdalne trzydzieści dziewięć dolców dziennie za wynajem starego rzęcha – te wydatki w szybkim tempie uszczuplą jej oszczędności.

Innymi słowy, nie miała chwili do stracenia.

Problem polegał na tym, że w swym zapamiętaniu, aby uzyskać akceptację dla tematu swojej pracy, posunęła się do drobnego kłamstwa. No może nie było ono takie drobne. Powiedziała Carbone'owi i komisji uczelnianej, że zdobyła pozwolenie na zbadanie szczątków, że miała *carte blanche* na dostęp do ciał. Tak naprawdę nie otrzymała odpowiedzi na żadnego maila, które wysłała do komendanta policji w Roaring Fork, bo – jak sądziła – to on był w stanie wyrazić

zgode na ten dostęp, co gorsza, nie oddzwonił, choć o to prosiła. Nie żeby ktokolwiek zachował się wobec niej nieuprzejmie – było to coś w rodzaju łagodnego zaniedbania.

Gdy dzień wcześniej była na posterunku, zdołała w końcu umówić się na spotkanie z komendantem Stanleyem Morrisem. Teraz wmaszerowała do budynku i skierowała się do stanowiska przyjęć interesantów. Zdziwiła się, że nie obsługiwał go masywny, ogorzały policjant, lecz dziewczyna, która wyglądała na młodszą nawet niż Corrie. Była dość ładna, miała mleczną cerę, ciemne oczy i długie do ramion blond włosy.

Corrie podeszła do niej, a dziewczyna uśmiechnęła się.

– Jesteś policjantką? – spytała Corrie.

Dziewczyna zaśmiała się i pokręciła głową.

– Jeszcze nie.

– Wobec tego kim? Recepcjonistką?

Dziewczyna znów zaprzeczyła ruchem głowy.

– Odbywam staż na posterunku przez okres ferii zimowych. Akurat dziś mam za zadanie obsługę recepcji. – Przerwała. – Ale bardzo bym chciała wstąpić do policji.

– To już jest nas dwie. Ja studiuje w college'u Johna Jaya.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się.

– Bez kitu?!

Corrie wyciągnęła rękę.

– Corrie Swanson.

Dziewczyna uścisnęła jej dłoń.

– Jenny Baker.

– Mam umówione spotkanie z komendantem Morrisem.

– Ach, tak. – Jenny zajrzała do terminarza. – Czeka na ciebie. Zapraszam.

– Dzięki.

To był dobry początek. Corrie próbowała zapanować nad zdenerwowaniem i nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby komendant odmówił jej dostępu do szczytków. Od jego decyzji zależał los jej pracy. No i wydała już fortunę, aby tu dotrzeć, płacąc za bezzwrotne bilety na samolot.

Drzwi do gabinetu komendanta były otwarte i gdy weszła, mężczyzna wstał i wyszedł zza biurka, wyciągając do niej rękę. Zdziwił ją jego wygląd: był niskim, korpulentnym, pogodnie wyglądającym mężczyzną o uśmiechniętej twarzy, ze sporą łysinką i w wymiętym mundurze. Gabinet jeszcze bardziej potęgował wrażenie nieformalności, a to za sprawą starych, wygodnych,

skromnych mebli i biurka, na którego blacie prócz rodzinnych fotografii można było dostrzec stosy papierów i książek.

Komendant podprowadził Corrie do zacisznego kącika w rogu pomieszczenia, do którego sekretarka w podeszłym wieku przyniosła tacę z dwoma kartonowymi kubkami z kawą, cukrem i śmietanką. Corrie, która dotarła tu zaledwie przedwczoraj, wciąż cierpiała na jetlag, poczęstowała się więc i choć powstrzymała się przed wsypaniem do kawy czterech łyżeczek cukru, była świadkiem, jak komendant wsypał ich do swojego kubka aż pięć.

– No cóż – zaczął Morris, rozsiadając się wygodnie. – Wygląda na to, że przyjechałaś tutaj, wiedziona nader ciekawym projektem.

– Dziękuję – powiedziała Corrie. – I dziękuję, że tak szybko zdołał pan znaleźć dla mnie chwilę czasu.

– Zawsze fascynowała mnie przeszłość Roaring Fork. Zabójstwa dokonane przez niedźwiedzia ludojada są elementem miejscowego folkloru, przynajmniej dla tych z nas, którzy znają historię. Choć w obecnych czasach zna ją niewielu ludzi.

– Mój projekt badawczy to niemal idealna okazja, by poznać ją lepiej – rzekła Corrie, przechodząc w myślach do kolejnego punktu rozmowy, tak jak ją sobie uprzednio zaplanowała. – Prawdziwa szansa, aby wykonać kolejny krok naprzód w rozwoju kryminalistyki i ekspertyz sądowych.

Jej entuzjizm narastał, w miarę jak komendant słuchał z uwagą, opierając podbródek na miękkiej dłoni. Wymieniła wszystkie najważniejsze kwestie: wspomniała o tym, że jej projekt z pewnością zwróci na to miejsce uwagę prasy w całych Stanach i rzecz jasna ukaże w przychylnym świetle tutejszą policję; napomknęła, że college Johna Jaya – najważniejsza uczelnia prawa w całym kraju – nie omieszka docenić współpracy komendanta, a ona będzie ściśle z nim współpracować i przestrzegać wszelkich warunków, jakie jej postawi. Następnie przedstawiła mu bardzo skróconą wersję swojej historii – że przez całe życie chciała pracować w policji, że zdobyła stypendium w college'u, że ciężko pracowała. Na koniec zaś entuzjastycznie skomplementowała jego stanowisko, stwierdzając, że byłoby wspaniale móc popracować w tak ciekawej i cudownej społeczności. Powiedziała to wszystko w możliwie jak najprostszych słowach i z satysfakcją stwierdziła, że komendant reagował na jej monolog, kiwając głową, uśmiechając się i pomrukując do siebie z aprobatą.

Kiedy skończyła, zaśmiała się najszczerzej jak potrafiła, po czym stwierdziła, że na pewno za dużo mówi i chętnie usłyszałaby, co ma jej na to do powiedzenia komendant.

Morris upił łyk kawy, odchrząknął, pochwalił ją za ciężką pracę i trud, jakiego się podjęła, stwierdził, że docenia, iż się tu pofatygowała, i raz jeszcze powtórzył, że jej pomysł wydawał się nader interesujący. Tak, bez wątpienia. Oczywiście będzie musiał jeszcze się nad tym zastanowić i skonsultować z miejscowym biurem koronera oraz z towarzystwem historycznym i kilkoma innymi, aby zasięgnąć ich opinii, no i – ma się rozumieć – trzeba będzie wciągnąć w to wszystko lokalnego prawnika... Gdy dopił kawy i oparł dłonie na podłokietnikach fotela, przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby zamierzał wstać i zakończyć spotkanie.

Katastrofa. Corrie wzięła głęboki oddech.

– Mogę być z panem całkiem szczerą?

– Ależ oczywiście. – Komendant ponownie rozsiadł się w fotelu.

– Wieki trwało, aż udało mi się zebrać pieniądze na ten projekt. Musiałam podjąć dwie dodatkowe prace, mimo że otrzymuję stypendium. Roaring Fork to jedno z najdroższych miejsc w kraju i sam pobyt tutaj kosztuje mnie fortunę. Będę spłukana, zanim doczekam się niezbędnych pozwoleń.

Przerwała, aby nabrać powietrza.

– Prawdę mówiąc, komendancie Morris, gdyby faktycznie zamierzał pan skonsultować się z tymi ludźmi, byłoby to z pewnością czasochłonne. Zajmie wiele dni. Może nawet tygodni. Każdy na pewno będzie miał inne zdanie w tej sprawie. No a potem, niezależnie od tego, jaką podejmie pan decyzję, ktoś z pewnością uzna, że został potraktowany niesprawiedliwie, że przekroczone zostały kompetencje... Sprawa stanie się kontrowersyjna.

– Kontrowersyjna – powtórzył komendant, a w jego głosie dał się słyszeć niepokój i niesmak.

– Czy mogę zaproponować alternatywne rozwiązanie?

Komendant wydawał się odrobinę zaskoczony, ale nie sprawiał wrażenia zbitego z tropu.

– Oczywiście.

– Jak rozumiem, ma pan pełne prawo udzielić mi osobiście tego pozwolenia. Zatem... – Przerwała, po czym postanowiła wyłożyć kawę na ławę. – Byłabym niezmiernie wdzięczna, gdyby po prostu zgodził się pan tu i teraz, abym mogła przeprowadzić badania jak najszybciej. Potrzebuję tylko kilku dni sam na sam z tymi szczątkami oraz zezwolenia na zabranie kilku kości do dalszych analiz. To tyle. Im szybciej się to stanie, tym lepiej dla wszystkich. Te kości po prostu tam leżą. Mogłabym zrobić swoje po cichu, tak że nikt nawet by tego nie zauważył. Niech pan nie dopuści do protestów. Proszę, komendancie Morris, to dla mnie

naprawdę bardzo ważne!

Zakończyła swą wypowiedź bardziej rozpaczliwym i desperackim tonem, niż planowała, ale jak zdołała się zorientować, wywarła na swoim rozmówcy właściwe wrażenie.

– No tak – rzekł, chrząkając i pomrukując pod nosem. – Rozumiem, do czego zmierzasz. Hmm, tak. Wolelibyśmy uniknąć wszelkich kontrowersji.

Wychylił się ponad krawędzią fotela i spojrzał w stronę drzwi.

– Shirley? Przynieś jeszcze kawy!

Zjawiła się sekretarka z dwoma kolejnymi kartonowymi kubkami. Komendant raz jeszcze powtórzył znużony proces wsypywania do kubka ogromnej ilości cukru, zamieszał energicznie łyżeczką i dodał śmietanki, po czym przez dłuższą chwilę mieszał całą zawartość, a na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy świadczące o zamyśleniu i skupieniu. Wreszcie odłożył plastikową łyżeczkę i upił długi łyk.

– Jestem skłonny przychylić się do twojej sugestii – powiedział. – Nawet bardzo. Powiem ci coś. Jest dopiero południe. Jeżeli chcesz, zawiozę cię na miejsce i pokażę ci trumny. Oczywiście nie będziesz mogła od razu przystąpić do badania tych szczątków, ale przynajmniej zorientujesz się, co tam właściwie jest. A jutro rano dam ci konkretną odpowiedź. Co ty na to?

– Byłoby wspaniale. Dziękuję!

Komendant Morris rozpromienił się.

– A tak między nami, myślę, że możesz spodziewać się pozytywnego rozpatrzenia swojej prośby.

Kiedy oboje podnieśli się z foteli, Corrie z trudem się pohamowała, by nie uściskać szefa policji.

5

Corrie wślizgnęła się na fotel pasażera w wozie patrolowym, obok komendanta policji, który najwyraźniej zrezygnował z usług kierowcy i sam prowadził. Zamiast zwykle używanego przez policję crown vica samochodem patrolowym był jeep cherokee, tradycyjnie dwukolorowy, z symbolem miasta Roaring Fork – liściem osiki namalowanym na drzwiczkach i otoczonym przez sześcioramienną gwiazdę szeryfa.

Corrie uświadomiła sobie, że dopisało jej szczęście. Komendant wydawał się przyzwoitym, porządnym facetem i choć ewidentnie brakowało mu ikry, sprawiał wrażenie rozsądnego i inteligentnego.

– Byłaś już kiedyś w Roaring Fork? – zapytał, gdy przekręcił kluczyk w stacyjce i pojazd ożył.

– Nigdy. Nawet nie jeżdżę na nartach.

– Wielkie nieba! Musisz się nauczyć. Jesteśmy w samym środku sezonu, zbliżają się święta i w ogóle, więc będziesz miała okazję ujrzeć nasze miasto w pełnej krasie.

Dżip ruszył East Main Street, a komendant zaczął pokazywać jej mijane po drodze obiekty o historycznym znaczeniu: ratusz miejski, historyczny hotel Sebastian, rozmaite słynne budynki wiktoriańskie. Wszystko było obwieszone świątecznymi lampkami i gałązkami jedliny, na dachach leżał śnieg, szyby w oknach skuł mróz, a biały puch spowijał korony drzew. Wszystko wyglądało trochę jak z reprodukcji Curriera & Ivesa. Przejechali przez dzielnicę handlową; przy jednej ulicy było więcej butików niż przy słynącej z takich sklepików Piątej Alei. Na chodnikach aż gęsto od klientów robiących zakupy, ubranych w futra, obwieszonych brylantami lub sprzętem narciarskim i dźwigających torby ze sprawunkami. Pojazdy na ulicach poruszały się w tempie przesuwającego się lodowca i utknęli pomiędzy sznurami niezliczonych hummerów, mercedesów geländewagenów, range roverów, porsche cayenne i skuterów śnieżnych.

– Przepraszam za korki – rzekł komendant.

– Żartuje pan? To zdumiewające – powiedziała Corrie, niemal wychylając się przez okno i lustrując rząd sklepów, które mijali: Ralph Lauren, Tiffany, Dior, Louis Vuitton, Prada, Gucci, Rolex, Fendi, Bulgari, Burberry, Brioni, na wystawach piętrzyły się drogie towary. Ten ciąg drogich butików zdawał się nie mieć końca.

– Ilość pieniędzy w tym mieście wymyka się wszelkim skalom – zauważył komendant. – I szczerze mówiąc, z punktu widzenia policji może to stanowić poważny problem. Wielu z tych ludzi uważa, że nie obowiązują ich żadne zasady. Ale policja w Roaring Fork traktuje wszystkich, powtórzę raz jeszcze, wszystkich jednakowo.

– To dobre założenie.

– Jedyne możliwe w takim mieście jak to – odparł nie bez odrobiny zadęcia – gdzie niemal wszyscy są celebrytami, miliarderni, albo jednymi i drugimi.

– To musi działać na złodziei jak magnes – rzuciła Corrie, nie odrywając wzroku od drogich butików.

– Bynajmniej. Współczynnik przestępczości jest tu nieomal zerowy. Widzisz, nasze miasto leży na uboczu. Prowadzi tu tylko jedna szosa, numer osiemdziesiąt dwa, która zimą bywa często nieprzejezdna z uwagi na obfite opady śniegu, a nasze lotnisko przyjmuje wyłącznie prywatne odrzutowce. No i nie zapominajmy o kosztach pobytu tutaj, zwykłego złodzieja nie byłoby na to stać. Jesteśmy zbyt drodzy dla złodziei! – zaśmiał się radośnie.

Co ty nie powiesz, pomyślała Corrie.

Mijali właśnie kilka przecznic, które przypominały odtworzone w najdrobniejszych szczegółach miasteczko z Dzikiego Zachodu: bary z wahadłowymi drzwiami, rozmaite urzędy, składy i sklepiki, a nawet kilka domów publicznych z jaskrawo pomalowanymi futrynami okien. Wszystko było nieskazitelnie czyste, od błyszczących spluwaczek na podniesionych drewnianych chodnikach po wysokie sztuczne frontony budynków.

– Co to wszystko jest? – spytała Corrie, wskazując rodzinę robiącą sobie zdjęcie przed frontonem saloonu.

– Nasze stare miasto – odparł komendant. – To, co pozostało z najstarszej części Roaring Fork. Przez lata te budynki po prostu stały, niszcząc, gdy jednak powstał tu kurort, postanowiono wszystko wyburzyć. Na szczęście ktoś w porę wpadł na pomysł, aby odrestaurować stare widmowe miasteczko i zmienić je w coś w rodzaju muzeum przeszłości Roaring Fork.

Disneyland połączony z kurortem narciarskim, pomyślała Corrie, nie mogąc nadziwić się archaiczności rozrzuconych na dużej przestrzeni reliktyw

przeszłości, pośród targowiska próżności i niepohamowanej konsumpcji.

Gdy patrzyła na dobrze zachowane budowle, minęło ich kilka skuterów śnieżnych pozostawiających za sobą rozrzucone na boki kaskady białego puchu.

– Skąd tutaj tyle skuterów śnieżnych?

– Mamy tu wielu zwolenników korzystania z tych pożytecznych pojazdów. Miasto słynie nie tylko ze stoków narciarskich, lecz również z tras dla skuterów. Liczą one dziesiątki kilometrów długości, wykorzystaliśmy w tym celu głównie labirynt starych górniczych dróg, które wciąż istnieją w górach ponad miasteczkiem.

Wreszcie minęli dzielnicę handlową i pokonawszy kolejnych kilka zakrętów, przejechali obok niewielkiego parku pełnego ośnieżonych głązów.

– To park stanowy Centennial – wyjaśnił komendant. – Te kamienie są częścią Sanktuarium Johna Denvera.

– Johna Denvera? – Corrie wzdrygnęła się.

– Co roku fani zbierają się tu w rocznicę jego śmierci. To naprawdę poruszające doświadczenie. Cóż z niego był za geniusz – jaka to wielka strata.

– Tak, bez wątpienia – odezwała się pospiesznie Corrie. – Uwielbiam jego kawałki. *Rocky Mountain High* to moja ulubiona piosenka wszech czasów.

– Na samą myśl łzy mi napływają do oczu.

– Fakt. Mnie też.

Przebili się przez wąskie uliczki w północnej części miasta i pojechali dalej, przez gęsty zagajnik wysokich świerków pokrytych grubą warstwą śniegu.

– Dlaczego postanowiono przenieść cmentarz? – spytała Corrie. Oczywiście znała odpowiedź, ale chciała się przekonać, czy komendant policji zdoła rzucić na tę sprawę nowe światło.

– Niedaleko stąd powstało bardzo ekskluzywne osiedle o nazwie The Heights – Szczyty – domy za dziesięć milionów dolarów, połączenie przestrzeni, prywatne szlaki górskie, ekskluzywny klub. To największe i najdroższe przedsięwzięcie, które nadaje miastu prestiż. Jest jednak obwarowane licznymi obostrzeniami. Stare pieniądze i wszystko, co się z tym wiąże. W końcu lat siedemdziesiątych, podczas wczesnej fazy prac budowlanych, The Heights wchłonęło teren Boot Hill, cmentarnego wzgórze, na którym znajdowała się tutejsza pierwotna nekropolia, a nabywając te grunty, uzyskało również prawa do przeniesienia szczątków spoczywających na cmentarzu. To było jeszcze w czasach, gdy takie rzeczy były dozwolone. Tak czy owak parę lat temu udało im się uzyskać prawa do wybudowania na tym wzgórzu luksusowego spa i nowego prywatnego klubu. Oczywiście nie obyło się bez protestów i miasto zaskarżyło ich do sądu.

Deweloperzy mieli jednak szczwanych prawników i w siedemdziesiątym ósmym roku zawarto ugodę na warunkach dogodnych i intratnych dla obu stron. I tak inwestorzy zwyciężyli, cmentarz został ostatecznie przekopany, szczątki wydobyto z mogił. Na razie pozostają w magazynie na stoku góry. W sumie z ciał nie pozostało wiele prócz guzików, butów i kości.

– Dokąd zostaną przeniesione?

– Inwestor zamierza pogrzebać je w nowym miejscu niedaleko stąd i planuje to uczynić wczesną wiosną.

– Czy ta sprawa wciąż budzi kontrowersje?

Komendant machnął ręką.

– Kiedy szczątki zostały ekshumowane, szum ucichł. Zresztą nie chodziło wcale o szczątki, lecz o zachowanie historycznego cmentarza. Kiedy przestał on istnieć, ludzie stracili zainteresowanie.

Świerkowy zagajnik ustąpił miejsca szerokiej uroczej dolinie skąpanej w blasku południowego słońca. U jej wylotu stała prosta ręcznie wykonana tablica o zaskakująco skromnych rozmiarach, z napisem:

THE HEIGHTS

TYLKO DLA CZŁONKÓW

PROSIMY O ZGŁASZANIE SIĘ DO STANOWISKA OCHRONY

Nieco dalej wznosił się masywny mur z rzecznych kamieni z bramą z kutego żelaza, obok której stała budka strażnicza jak z bajki, ze spiczastym dachem z cedru i ścianami z gontu. Cała dolina była wypełniona gigantycznymi rezydencjami ukrytymi wśród drzew, a za nimi wyrastały ściany kotliny i spomiędzy jodeł wyłaniały się dachy domów, z wielu kamiennych kominów wydobywał się dym. Jeszcze dalej widać było tereny dla narciarzy, mnóstwo tras wijących się kręto ku szczytom kilku gór, na wysokiej grani zaś majaczyły kolejne rezydencje odcinające się na tle błękitnego, typowego dla Gór Skalistych nieba z rzadka upstrzonego chmurami.

– Wjedziemy tam? – spytała Corrie.

– Magazyn znajduje się z boku, przy osiedlu, na skraju stoków.

Komendant został przepuszczony przez strażnika ochrony i wóz patrolowy ruszył starannie utrzymanym krętym brukowanym podjazdem, który był idealnie oczyszczony. Nie, nie oczyszczony. Droga była dziwnie nieobludzona i zupełnie sucha, na poboczach i obrzeżach zaś nie było ani śladu odgarniętego śniegu.

– Podgrzewana droga? – spytała Corrie, gdy mijali coś, co wydawało się

siedzibą lokalnego klubu.

– Tutaj to nic niezwykłego. Ostateczne rozwiązanie. Płatki śniegu wyparowują, ledwie dotkną bruku.

Droga pięła się teraz po kamiennym moście ponad zamrożonym strumieniem, który, jak stwierdził komendant, nosił nazwę Silver Queen Creek, a potem pokonali jeszcze bramę serwisową. Z tyłu, przy stoku, za wysokim ogrodzeniem stało ukrytych kilka dużych magazynów na sprzęt narciarski, wzniesionych z propaneli i rozstawionych na wyrównanym gruncie. W promieniach słońca migotały zwieszające się wzdłuż ścian baraków trzymetrowe sople.

Komendant zatrzymał samochód na odsnieżonym placu przed największym magazynem, zgasił silnik i wysiadł. Corrie podążyła za nim. Dzień był chłodny, ale nie za bardzo – jakieś minus trzy, minus cztery – w dodatku bezwietrzny. Obok dużych drzwi w magazynie były drugie, mniejsze, i komendant Morris otworzył je kluczem. Corrie weszła za nim do ciemnego wnętrza i natychmiast w nozdrza uderzyła ją silna woń. Nie był to nieprzyjemny odór, smród zgnilizny, lecz zapach ziemi.

Komendant włączył kilka przełączników i zapaliły się lampy sodowe pod sufitem, rzucając żółtawą poświatę na całe pomieszczenie. W środku było zimniej niż na zewnątrz, więc Corrie mocniej otuliła się kurtką i zadygotała mimowolnie. We frontowej części magazynu stało rzędem sześć identycznych skuterów śnieżnych tej samej marki. Znajdujące się za nimi stare śniegołazy wyglądały na dość wiekowe, a ich masywne gąsienice i zaokrąglone kabiny zasłoniły to, co znajdowało się na drugim końcu magazynu. Przeszli pomiędzy ratrakami i wyszli na otwartą przestrzeń. Urządzono tu tymczasowe cmentarzysko; na rozłożonych płachtach brezentu ułożono rzędami plastikowe niebieskie trumny, z jakich korzystali koronerzy, aby zabierać szczątki z miejsca zbrodni.

Dotarli do pierwszego rzędu trumien, a Corrie przyjrzała się uważnie pierwszej skrzyni. Na wieku taśmą przyklepiono dużą kartkę z wydrukowanymi na niej informacjami. Corrie uklękła, by przeczytać jej treść. Na kartce zanotowano, gdzie na cmentarzu znaleziono dane szczątki, ze zdjęciem grobu w jego pierwotnym miejscu, była tam też rubryka, w której zaznaczono, czy mogile towarzyszył nagrobek, a jeśli tak, w sąsiedniej rubryce umieszczano widniejący na nim napis oraz zdjęcie nagrobka. Wszystko zostało ponumerowane, skatalogowane i uporządkowane. Corrie odetchnęła z ulgą: nie powinno być żadnych problemów z dokumentacją.

– Nagrobki są tam – powiedział komendant Morris.

Wskazał na przeciwległą ścianę, pod którą ułożono przywiezione z cmentarza kamienie nagrobne, niektóre fantazyjne, z marmuru czy łupku, głównie jednak były to zwykłe głązy lub płyty z wyrytymi na nich napisami. One także zostały skatalogowane i zaopatrzone w kartki.

– Mamy tu około stu trzydziestu szczątków ludzkich – wyjaśnił komendant. – I prawie sto nagrobków. Reszta... nie wiemy, kim byli ci ludzie. Może ich mogiły oznaczono drewnianymi tablicami, a może niektóre nagrobki zaginęły lub zostały skradzione.

– Czy w jakiś sposób oznakowano ofiary niedźwiedzia?

– W żaden. Napisy są absolutnie tradycyjne: nazwiska, daty, niekiedy cytaty z Biblii lub standardowe religijne epitafium. Przyczyny śmierci nie zamieszcza się zwykle na nagrobku. A faktu, że ktoś został zjedzony przez niedźwiedzia, raczej nie uwiecznia się dla potomnych.

Corrie skinęła głową. To bez znaczenia – sporządziła już listę ofiar, przeprowadzając gruntowne poszukiwania w archiwum starej miejscowej gazety.

– Czy można otworzyć któreś wieko? – spytała.

– Nie widzę przeszkód. – Komendant chwycił za rączkę najbliższej skrzyni.

– Chwileczkę. Mam tu listę. – Corrie sięgnęła do aktówki i wyjęła z niej teczkę. – Poszukajmy jednej z ofiar.

– Dobrze.

Przez kilka minut spacerowali wśród trumien, aż Corrie odnalazła nazwisko odpowiadające jednemu z zapisanych na jej liście: Emmett Bowdree.

– Poproszę o otwarcie tej tutaj – powiedziała.

Morris sięgnął do uchwyty i zdjął wieko.

Wewnątrz znajdowały się resztki zbutwiałej trumny z sosnowego drewna, w której wciąż spoczywał szkielet. Wieko rozpadło się, a jego fragmenty leżały na szkielecie i wokół niego. Corrie przyjrzała mu się z przejęciem. Kości obu ramion i nóg leżały z boku, czaszka była zmiażdżona, klatka piersiowa rozerwana, obie kości udowe zostały potrzaskane, zapewne pogruchotane przez potężne szczęki w poszukiwaniu szpiku. Na studiach Corrie badała wiele szkieletów wykazujących obrażenia przed-i pośmiertne, nigdy jednak nie spotkała się z czymś takim.

– Jezu, ten niedźwiedź naprawdę nieźle go załatwił – mruknął Morris.

– Bez dwóch zdań.

Oglądając kości, Corrie zauważyła coś: drobne ślady na rozdartej klatce piersiowej. Uklękła, by przyrzeć się uważniej i je rozpoznać. Chryste, potrzebowała szkła powiększającego. Przeniosła wzrok na zdruzgotaną kość

udową i spostrzegła na niej inny, podobny ślad. Sięgnęła, aby podnieść kość.

– Ej, ej, bez dotykania!

– Muszę lepiej się temu przyjrzeć.

– Nie – powiedział komendant. – Naprawdę już wystarczy.

– Proszę dać mi jeszcze chwilę – rzuciła błagalnie Corrie.

– Przykro mi. – Zamknął wieko. – Później będziesz miała na to mnóstwo czasu.

Wstała, poirytowana i zbita z tropu, wciąż niepewna, co właściwie zobaczyła. To musiało być jedynie wytworem jej wyobraźni. Na pewno tylko się jej zdawało. Poza tym ślady z pewnością musiały być przedśmiertne, nie było tu mowy o żadnej tajemnicy. W tamtych czasach Roaring Fork było niebezpiecznym miejscem. Może ten facet przeżył bójkę na noże.

Pokręciła głową.

– Lepiej już chodźmy – rzekł komendant.

Wyszli na zalany słońcem plac, świetlne refleksy odbite od śniegu na moment ich oślepiły. Mimo to, choć bardzo się starała, Corrie nie była w stanie wyzbyć się uczucia dziwnego niepokoju.

6

Z samego rana Corrie odebrała telefon. Teraz siedziała w bibliotece Roaring Fork i czytała o historii miasta. To była wspaniała biblioteka mieszcząca się w nowoczesnym budynku zaprojektowanym w zmodernizowanym stylu wiktoriańskim. Wnętrze prezentowało się przepięknie, z mnóstwem polerowanego dębu, łukowato sklepionymi oknami, miękkimi wykładzinami oraz starannie i dyskretnie rozmieszczonym oświetleniem, które otulało wszystko ciepłą poświatą.

Historyczna sekcja biblioteki była prawdziwym dziełem sztuki. Ted Roman, bibliotekarz zajmujący się tym działem, okazał się bardzo pomocny. Był sympatycznym facetem po dwudziestce, szczupłym i wysportowanym. Niedawno skończył studia na Uniwersytecie Utah i postanowił przez kilka lat pracować i jeździć na nartach. Corrie opowiedziała mu o swoim projekcie badawczym i o spotkaniu z komendantem Morrisem. Ted słuchał z uwagą, zadawał trafne pytania i pokazał jej, jak korzystać z archiwów historycznych. Co więcej, zaprosił ją na piwo nazajutrz wieczorem. Zgodziła się.

Biblioteczne zbiory starych gazet, artykułów i dokumentów historycznych z czasów gorączki srebra zostały zdigitalizowane i wspaniale zarchiwizowane w formacie PDF. Corrie w niespełna kilka godzin wyszukała dziesiątki artykułów na temat historii Roaring Fork i zabójstw dokonanych przez niedźwiedzia grizzly, znalazła też nekrologi i różne inne związane z tymi wypadkami informacje – znacznie więcej, niż udało jej się zdobyć w Nowym Jorku.

Miasto miało fascynującą historię. Latem 1873 roku grupa poszukiwaczy cennych kruszców z Leadville dzielnie stawiała czoło plemieniu Jutów i przekroczyła dział wód, kierując się na zachód w głąb niezbadanego dotąd terytorium. Tam oni i inni, którzy podążyli za nimi, odkryli jedno z największych złóż srebra w historii Stanów Zjednoczonych. Wybuchła gorączka srebra, tabuny poszukiwaczy wykupywały działki w całych górach, wzdłuż biegu rzeki Roaring Fork. Miasteczko zaczęło się rozrastać, pojawiły się zakłady wydobywania cennych

kruszców, kruszarnie i pospiesznie wybudowana huta do wytapiania srebra i złota z kruszców. Niebawem na wzgórzach zaroilo się od poszukiwaczy, kopalni i obozowisk górniczych, podczas gdy samo miasteczko pełne było inżynierów górnictwa, kupców, woźniców, probierców, wypalaczy węgla, pracowników tartaku, kowali, oberżystów, dziwek, robotników, pianistów, karciarzy, oszustów i złodziei.

Do pierwszego śmiertelnego wypadku doszło wiosną 1876 roku. Na odległej działce wysoko na Górze Przemysłownika samotny górnik został zabity i pożarty. Minęły tygodnie, zanim zorientowano się, że mężczyzna zaginął, dlatego jego ciała nie odnaleziono od razu, ale rzeńskie górskie powietrze zachowało je na tyle dobrze, by można było poznać szczegóły jego tragedii. Ciało zostało rozszarpane, najwyraźniej przez niedźwiedzia, który wypruł z niego wnętrzności i pourywał mu kończyny. Wyglądało na to, że niedźwiedź powracał przez prawie tydzień, by się pożywiać; większość kości była odarta z mięsa, brakowało też języka i wątroby, a wnętrzności i inne organy zostały rozwłóczone wokół szczątków lub pożarte.

Ten wzorzec krwawego zabójstwa powtórzy się jeszcze dziesięć razy tamtego lata.

Od samego początku Roaring Fork – i w zasadzie większość terytorium Kolorado – było nękanie przez agresywne niedźwiedzie grizzly, które zostały zmuszone do wycofania się w wyższe partie gór przez osady zakładane w dolinach. Grizzly – o czym wspominało niemal w każdym artykule prasowym – był jednym z nielicznych zwierząt, o których wiadomo, że poluje i zabija ludzi, aby żywić się ich mięsem.

Podczas tamtego długiego lata jedenastu górników i poszukiwaczy zostało zabitych i pożartych przez samotnego niedźwiedzia na terenach kilku odległych działek. Bestia grasowała na sporym terytorium, które niestety obejmowało większą część północnych granic obszaru wydobywania srebra. Zabójstwa wywołały ogromną panikę. Jednak przepisy federalne wymagały „wykonywania prac na działce, do której rościło się prawa”, aby móc nadal ją użytkować, więc nawet gdy wszyscy drżeli z lęku o życie, większość górników odmawiała opuszczenia swoich stanowisk.

Kilkakrotnie organizowano obławy na niedźwiedzia ludojada, ale na twardym, nieośnieżonym gruncie trudno było go wytropić, tym bardziej na skalistych obrzeżach masywów górskich, ponad linią drzew. Corrie odnosiła jednak wrażenie, że członkowie tych obław tak naprawdę wcale nie kwapili się do znalezienia grizzly. Wyglądało na to, że więcej czasu spędzali w saloonach,

organizując zbrojne grupy i wygłaszając mowy niż tropiąc niedźwiedzia na terenie jego żerowiska.

Zabójstwa ustały jesienią 1876 roku, tuż przed nadejściem pierwszych śniegów. Z czasem ludzie zaczęli uważać, że niedźwiedź przeniósł się gdzie indziej, zdechł albo zapadł w sen zimowy. Następnej wiosny wciąż jeszcze nie kryli obaw, ale gdy nie doszło do kolejnych napaści...

Corrie poczuła wibrację komórki i wyjęła ją z torebki, aby zobaczyć, że dzwoniło z posterunku policji. Rozejrzała się wokoło i stwierdziła, że w bibliotece nie było nikogo prócz bibliotekarza-narciarza, który siedział przy biurku pogrążony w lekturze książki Jacka Kerouaca, więc uznała, iż może odebrać.

To nie był komendant. Zadzwoiła jego sekretarka. Zanim Corrie zdążyła przebrnąć przez zwyczajowe uprzejmości, kobieta zaczęła mówić szybko i nerwowo.

– Komendant bardzo, ale to bardzo przeprasza, ale okazało się, że nie może wydać pani pozwolenia na zbadanie tych szczątków.

Corrie zaschło w ustach.

– Słucham? – wychrypiała. – Chwileczkę...

– Przez cały dzień jest zajęty, ma liczne spotkania i dlatego poprosił mnie, abym do pani zadzwoniła. Bo widzi pani...

– Ale przecież powiedział...

– Niestety to nie będzie możliwe. Jest mu bardzo przykro, że nie może pani pomóc.

– Ale dlaczego? – wykrztusiła Corrie.

– Nie znam szczegółów. Przykro mi...

– Mogłabym z nim pomówić?

– Przez cały dzień ma umówione spotkania i... ee... będzie zajęty do końca tygodnia.

– Do końca tygodnia? Ale przecież jeszcze wczoraj mówił...

– Przykro mi, jak już powiedziałam, nie znam szczegółów.

– Proszę posłuchać – wycedziła Corrie, starając się, bez większego powodzenia, opanować zdenerwowanie. – Jeszcze wczoraj zapewniał mnie, że nie będzie z tym żadnych problemów. Że się na to zgadza. A teraz zmienia zdanie, nie mówiąc dlaczego i... i jeszcze zrzuca na panią zadanie spławienia mnie jak byle śmiecia! To nie w porządku!

Corrie usłyszała ostatnie lodowate „Naprawdę chciałabym pani pomóc, ale decyzja jest ostateczna”, a potem połączenie zostało przerwane. W telefonie

zapadła głucha cisza.

Corrie usiadła prosto i uderzając otwartą dłoń w blat stołu, zawołała:

– Cholera, cholera, cholera!

A potem uniosła wzrok. Ted patrzył na nią rozszerzonymi oczami.

– O nie – powiedziała, zasłaniając usta. – Narobiłam hałasu na całą bibliotekę.

Uniósł dłoń i uśmiechnął się.

– Jak widać, nikogo tu teraz nie ma. – Zawahał się, po czym wyszedł zza biurka i podszedł do niej. Znów się odezwał, zniżając głos do szeptu: – Chyba domyślam się, co się stało.

– Naprawdę? Może wobec tego zechcesz mi to wyjaśnić?

Mimo że w bibliotece prócz nich nikogo więcej nie było, jeszcze bardziej ściszył głos:

– Pani Kermode.

– Kto?

– Pani Betty Brown Kermode skontaktowała się z komendantem policji.

– Kim jest Betty Brown Kermode?

Wywrócił oczami i rozejrzał się wokoło trwożliwie.

– Od czego by tu zacząć... Po pierwsze, jest właścicielką agencji nieruchomości Town and Mount Real Estate, nawiasem mówiąc, jedynej z prawdziwego zdarzenia takiej agencji w tym mieście. Jest szefową Wspólnoty The Heights i to ona była inicjatorką przeniesienia cmentarza. Jest jedną z tych egocentrycznych osób, które uważają, że wszystko wiedzą najlepiej, kierują wszystkimi i nie tolerują, gdy ktoś ma odmienne zdanie. Właściwie to ona ma największą władzę w tym miasteczku.

– I taka kobieta mogłaby wywrzeć naciski na komendanta policji?

Ted zaśmiał się.

– Poznałaś Morrisa. To miły gość. Na niego każdy mógłby wywrzeć nacisk, z powodzeniem. A co dopiero ona. Mówię ci, to przerażająca osoba, zwłaszcza że ma do pomocy swojego szwagra Montebello. Jestem pewien, że Morris naprawdę zamierzał dać ci pozwolenie, dopóki nie usłyszał, co w tej kwestii ma do powiedzenia Kermode.

– Ale dlaczego chciałaby mnie powstrzymać? Jak to, co planowałam zrobić, mogłoby komukolwiek zaszkodzić?

– Właśnie tego będziesz musiała się dowiedzieć – skwitował Ted.

7

Następnego ranka o dziewiątej Corrie podjechała rżęchem z wypożyczalni pod bramę osiedla The Heights. Strażnik, nie tak przyjazny jak wtedy, gdy przejeżdżała tędy w towarzystwie komendanta policji – wyjątkowo długo i skrupulatnie przeglądał jej dokumenty, po czym zadzwonił, aby potwierdzić, że faktycznie była umówiona na spotkanie, cały czas z pogardą wpatrując się w jej samochód.

Corrie starała się być uprzejma i miła. W końcu ją przepuszczono, aby mogła ruszyć dalej drogą w stronę miejscowego klubu i biur firmy deweloperskiej. Niebawem jej oczom ukazało się skupisko budynków wznoszących się w samym sercu doliny, malowniczych, ośnieżonych i obwieszonych lodowymi soplami, a z ich kamiennych kominów unosił się dym. W oddali, na drugim końcu kotliny, Corrie dostrzegła olbrzymie urwisko spowodowane trwającymi pracami budowlanymi – bez wątplenia wznoszono nową siedzibę klubu i ekskluzywnego spa. Zobaczyła koparki i spychacze pracujące przy wyrównywaniu i poziomowaniu ziemi. Zastanawiała się, po co komukolwiek był tutaj potrzebny nowy klub, skoro stary wyglądał naprawdę olśniewająco.

Zatrzymała wóz na parkingu dla gości i weszła do klubu, gdzie sekretarka wskazała jej drogę do biura agencji nieruchomości Town & Mount Real Estate.

Recepcja agencji prezentowała się okazale – wszędzie drewno i kamień, na ścianach kilimy Nawahów, interesujący kandelabr z poroży jelenia, meble w kowbojskim stylu, sama skóra i drewno oraz kamienny kominek, w którym buzował ogień podsycany prawdziwym drewnem opałowym. Corrie rozsiadła się wygodnie i cierpliwie czekała.

Godzinę później została wreszcie zaproszona do gabinetu pani Kermode, prezes agencji Town & Mount i dyrektor Wspólnoty Heights. Corrie miała na sobie swój najlepszy oficjalny ubiór: szary kostium, a do tego białą bluzkę i czólenka. Postanowiła zachować spokój, aby zyskać przychylność pani Kermode pochlebstwami, urokiem osobistym oraz siłą perswazji.

Poprzedniego popołudnia zadała sobie wiele trudu, aby poszukać jakichś haków na Kermode, zgodnie z zasadą wyznawaną przez Pendergasta, który twierdził, że jeśli chcesz uzyskać coś od kogoś, musisz znaleźć na niego jakieś brudy na wymianę. Jednak Kermode wydawała się krystalicznie czysta: była hojnym darczyńcą dla miejscowych organizacji charytatywnych, należała do starszyny w kościele prezbiteriańskim, pracowała jako ochotniczka w lokalnej garkuchni dla ubogich (Corrie zdziwiła się, że miasteczko takie jak Roaring Fork miało coś takiego jak garkuchnia dla ubogich), ale przede wszystkim była niezależną, rzutką, samodzielną bizneswoman, kobietą sukcesu. Choć nie cieszyła się dużą sympatią, wręcz przeciwnie, bo wiele osób z całego serca jej nienawidziło, szanowali ją – i obawiali się jej – dosłownie wszyscy.

Pani Kermode zaskoczyła Corrie, która, zważywszy na nazwisko Betty Brown Kermode, spodziewała się ujrzeć kompletne bezguście, ale zdziwiła się, gdy zobaczyła przed sobą zadbaną kobietę po sześćdziesiątce, szczupłą i wysportowaną, z idealnie ułożonymi platynowymi włosami i dyskretnym makijażem. Pani prezes była ubrana na styl kowbojski, w indiańską kamizelkę z koralikami, białą bluzkę, obcisłe džinsy i kowbojki. Wyglądu dopełniał ozdobny naszyjnik Indian Nawaho z motywami kwiatowymi. Ściany gabinetu ozdobione były fotografiami, na których pani Kermode przemierzała górskie szlaki na grzbiecie przepięknego nakrapianego wierzchowca albo rywalizowała na arenie, szarżując na koniu pośród stada krów. W rogu pomieszczenia stał automat z chłodną wodą. W drugim kącie można było ujrzeć wspaniałe westernowe siodło, ozdobione srebrnymi motywami i wykończeniami, prawdziwy majstersztyk.

Ze swobodą, przyjaźnie pani Kermode podeszła, przywitała się z Corrie i zaprosiła ją, aby usiadła. Rozdrażnienie Corrie, że kazano jej czekać przez godzinę, zaczęło słabnąć za sprawą tak ciepłego przywitania.

– Po pierwsze, Corrie – Kermode mówiła z wyraźnym teksańskim akcentem – chcę ci podziękować, że mnie odwiedziłaś. Mam dzięki temu okazję, by wyjaśnić ci osobiście, dlaczego komendant Morris i ja nie możemy niestety spełnić twojej prośby.

– Cóż, miałam nadzieję wyjaśnić...

Ale Kermode nie pozwoliła jej dojść do słowa.

– Corrie, będę z tobą szczerą. Naukowe badanie tych doczesnych szczątków na potrzeby... pisania pracy studenckiej to z naszego punktu widzenia przejaw braku szacunku wobec zmarłych.

Corrie zupełnie się tego nie spodziewała.

– Pod jakim względem?

Kermode zaśmiała się zjadliwie.

– Droga panno Swanson, jak możesz w ogóle zadawać takie pytanie? Czy chciałabyś, aby jakiś student grzebał w szczątkach twego dziadka?

– Ja... ee... nie miałabym nic przeciwko temu.

– Daj spokój. Wiesz, że to nieprawda. Przynajmniej tam, skąd ja pochodzę, traktujemy naszych zmarłych z szacunkiem. Ludzkie szczątki są święte.

Corrie rozpaczliwie próbowała przedstawić swoje racje.

– Ale to jedyna okazja z punktu widzenia kryminalistyki i medycyny sądowej. To pomoże całej służbie...

– Praca napisana na uczelni? Wkład w osiągnięcia medycyny sądowej? Panno Swanson, czy nie wydaje ci się, że odrobinę przeceniasz wagę swego projektu?

Corrie wzięła głęboki oddech.

– Ani trochę. To mogą być wyjątkowo ważne badania, jakich dotąd nie przeprowadzono. Jedyna możliwość zebrania danych o przed-i pośmiertnych uszkodzeniach ciał spowodowanych przez wielkiego drapieżnika. Kiedy odnaleziona zostaje ciało ofiary morderstwa, patolodzy sądowi muszą odróżnić ślady zębów zwierząt i inne pośmiertne obrażenia od śladów na kościach pozostawionych przez sprawcę. To poważna sprawa, a te badania...

– Nic z tego nie rozumiem, dla mnie to brzmi jak obcy język. – Pani Kermode zaśmiała się i machnęła ręką.

Corrie postanowiła zmienić podejście.

– To dla mnie bardzo ważna sprawa także ze względów osobistych, pani Kermode, ale może okazać się równie istotna dla całego Roaring Fork. Dzięki temu uczynilibyśmy coś konstruktywnego, zrobilibyśmy coś pozytywnego dla tych szczątków i z ich udziałem. To miałoby wielki wydźwięk dla całej tutejszej społeczności, a komendant...

– To przejaw braku poszanowania – powiedziała stanowczo pani Kermode. – To nie po chrześcijańsku. W tym miasteczku jest wielu ludzi, którzy potraktowaliby to jako pogwałcenie świętości. Jesteśmy strażnikami tych szczątków i traktujemy nasze obowiązki bardzo poważnie. Nie widzę powodów, abyśmy mogli na to zezwolić.

– Ale... – Corrie poczuła, że choć bardzo się stara, nie jest w stanie pohamować oburzenia. – Ale... przecież sami wykopaliście je z mogił.

Zapadła cisza, aż w końcu Kermode odparła półgłosem:

– Tę decyzję podjęto dawno temu. Jeszcze w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku. Całe miasto wyraziło na to zgodę. Tu, w The

Heights, planowaliśmy budowę nowego klubu i spa od blisko dziesięciu lat.

– Po co wam nowy klub, skoro macie już jeden, i to bardzo okazały?

– Potrzebujemy większej siedziby, aby mógł przyjąć nowych gości z Fazy Trzeciej, gdy otworzymy Górę Zachodnią i pobudujemy tam nowe osiedle ekskluzywnych domów. Raz jeszcze zaznaczam, że planowaliśmy to już od wielu lat. Mamy zobowiązania wobec naszych właścicieli i inwestorów.

Naszych właścicieli i inwestorów.

– Chcę jedynie zbadać kości, z zachowaniem pełnego poszanowania, dla ważnych celów naukowych. To chyba nie może zostać uznane za przejaw braku szacunku?

Pani Kermode wstała, na jej ustach widniał jak przyklejony szeroki nieszczerzy uśmiech.

– Panno Swanson, decyzja już zapadła, jest ostateczna, a ja mam mnóstwo zajęć. Już czas na ciebie.

Corrie także wstała. Czuła, że wzbiera w niej znajomy niepohamowany gniew.

– Przekopaliście cały cmentarz, żeby móc wykorzystać te grunty pod działki budowlane i zarobić na tym mnóstwo szmalu, umieściliście ciała w plastikowych skrzyniach i przechowujecie je w magazynie ze sprzętem narciarskim, a pani śmie mi zarzucać, że to ja nie mam poszanowania dla zmarłych, bo chcę zbadać ich kości? Jest pani hipokrytką, wstrętną, załganą hipokrytką!

Kermode zbladła jak ściana. Corrie dostrzegła na jej szyi pulsującą gwałtownie żyłę. Głos pani prezes zmienił się, stał się cichy i nieomal męski.

– Ty mała suko – wycedziła. – Masz pięć minut na opuszczenie tego budynku. Jeśli jeszcze kiedykolwiek spróbujesz tu wrócić, każę cię aresztować za bezprawne wtargnięcie na prywatny teren. A teraz wynocha stąd, ale już!

Corrie poczuła nagle dziwny spokój. To koniec. Po wszystkim. Ale nie zamierzała pozwolić, aby ktokolwiek nazywał ją suką. Spojrzała na panią Kermode, mrużąc lekko powieki.

– Podobno należysz do starszyny w swoim kościele? Żadna z ciebie chrześcijanka. Jesteś do cna fałszywa. Sztuczna, nieszczerza do bólu, kłamliwa i załgana.

Gdy wracała do Basaltu, zaczął sypać śnieg. Kiedy sunęła w ślimaczym tempie piętnastu kilometrów na godzinę po śliskiej szosie, a wycieraczki w aucie przesuwwały się z boku na bok i zupełnie sobie nie radziły, nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Przypomniała sobie o dziwnych śladach, które spostrzegła na kościach szkieletu... i w przyływie olśnienia uświadomiła sobie, że być może istniał jeszcze inny sposób na rozwiązanie tego problemu.

8

Leżąc w łóżku w swoim pokoju w motelu Cloud Nine w Basalcie w Kolorado, Corrie podjęła decyzję. Jeżeli te ślady były tym, jak sądziła, czym są, jej problemy zostaną rozwiązane. Nie będzie innej możliwości – szczątki będą musiały zostać przebadane. Nawet Kermode nie zdoła temu zapobiec. To będzie jej karta przetargowa.

Ale tylko wtedy, gdy zdoła to udowodnić.

Aby tego dokonać, musiała raz jeszcze uzyskać dostęp do szczątków. Przynajmniej na pięć minut – tylko tyle czasu potrzebowała na sfotografowanie ich swoim aparatem przy maksymalnym zbliżeniu.

Jak to zrobić?

Zanim jeszcze zadała sobie to pytanie, znała odpowiedź – będzie musiała się włamać.

W jej umyśle pojawiło się wiele kontrargumentów: że włamanie z wtargnięciem to przestępstwo, że to niewłaściwe z etycznego punktu widzenia, że jeśli ją złapią, jej kariera w służbie prawa zostanie pogrzebana na zawsze. Chociaż nie powinno to być aż takie trudne. Podczas poprzedniej wizyty przed dwoma dniami komendant nie wyłączał żadnych alarmów ani urządzeń zabezpieczających, otworzył jedynie kłódkę wiszącą na drzwiach i wszedł do środka. Magazyn stał w pewnym oddaleniu od reszty zabudowań, otaczał go wysoki drewniany płot i zasłaniały drzewa. Z jednej strony roztaczał się widok na stok narciarski, ale nocą nikt przecież nie będzie szusował. Magazyn był oznaczony na mapach tras tego rejonu i widniała na nich droga dla dostawców prowadząca z okolicy dla narciarzy, omijająca teren osiedla The Heights.

Gdy tak rozważała wszystkie za i przeciw, zadała sobie jedno zasadnicze pytanie: co w takiej sytuacji zrobiłby Pendergast? On nigdy nie pozwalał, by zawilości natury prawnej stanęły na drodze prawdy i sprawiedliwości. Z całą pewnością włamałby się i zdobył potrzebne informacje. Choć było już za późno, aby Emmett Bowdree zaznał sprawiedliwości, nigdy nie było za późno, żeby

dociec prawdy.

Śnieg przestał sypać o północy, pozostawiając krystalicznie czyste nocne niebo z księżycem w trzeciej kwadrze. Było wyjątkowo chłodno, zgodnie ze wskazaniem aplikacji WeatherBug w jej iPadzie, minus trzynaście stopni Celsjusza. Na zewnątrz wydawało się, że jest jeszcze zimniej. Droga dojazdowa okazała się przejezdna tylko dla skuterów śnieżnych, pokryta warstwą ubitego śniegu, ale dało się po niej przejść.

Corrie zostawiła samochód na poboczu drogi, pod drzewami, by nie rzucał się w oczy, i zaczęła wspinać się pod górę z ciężkim od różnych narzędzi plecakiem. Miała w nim aparat Canon z trójnogiem i wielkim makroobiektywem, przenośny zestaw oświetleniowy z akumulatorem, lupy, latarkę, przecinak do metalu, foliowe zamykane torebki i iPada, do którego załadowała całą masę podręczników i monografii na temat analizy uszkodzeń kości. Rozrzedzone górskie powietrze sprawiło, że szybko zaczęła się męczyć; mgiełka oddechu wydobywającego się z jej ust zdawała się lśnić w blasku księżyca, gdy Corrie mozolnie brnęła naprzód, a przy każdym kroku pod jej stopami cicho skrzypiał zbity śnieg. Poniżej niczym czarodziejski dywan rozpościerało się roziskrzone światłami miasteczko, powyżej Corrie dostrzegała już magazyn oświetlony lampami na długich tyczkach, których żółta poświata przesączała się pomiędzy jodłami. Była druga w nocy, dokoła panowały spokój i cisza. Jedyłą aktywność można było dostrzec wysoko na szczycie góry, gdzie wciąż pracowały ekipy budowlane.

Raz po raz powtarzała w myślach kolejne kroki, które będzie musiała przedsięwziąć, poprawiając je i usprawniając, aby udało jej się spędzić wewnątrz pomieszczenia jak najmniej czasu. Pięć minut, góra dziesięć – i zaraz stamtąd zniknie.

Podchodząc ostrożnie do magazynu, przeprowadziła drobiazgowy zwiad; musiała upewnić się, że w pobliżu nikogo nie ma. Następnie zakradła się do furtki w parkanie i zajrzała ponad nią. Po lewej stronie znajdowały się drzwi, przez które weszła tu wcześniej w towarzystwie komendanta policji, jasno oświetlone blaskiem lamp, śnieg przed nimi był mocno ubity i wydeptany. Drzwi były zamknięte na kłódkę. Z przyzwyczajenia Corrie miała przy sobie zestaw wytrychów. W liceum niemal wykuła na pamięć „podziemny” podręcznik znany jako *Przewodnik forsowania zamków* i bardzo się szczyciła swoimi umiejętnościami. Kłódka okazała się tania, za dziesięć dolców, kupiona w pierwszym lepszym sklepie z artykułami żelaznymi – nie stanowiła dla niej żadnej przeszkody. Corrie musiała jednak prześlizgnąć się przez oświetlony

teren, aby dostać się do drzwi. No i będzie na widoku podczas forsowania kłódki. To jeden z dwóch niemożliwych do uniknięcia niebezpiecznych elementów w całym jej planie.

Czekała, nasłuchując, ale wokoło panowała niezmacona cisza. Ciężki sprzęt wciąż pracował na szczycie góry i nic nie wskazywało na to, aby w najbliższym czasie coś miało się zmienić.

Wzięła głęboki oddech, przeskoczyła przez ogrodzenie i przemknęła przez oświetlony plac. Miała już przygotowany zestaw wytrychów. Kłódka była zimna, a jej palce szybko zaczęły drętwieć na mrozie. Mimo to uporanie się z kłódką zajęło jej tylko dwadzieścia sekund. Uchyliła drzwi, wślizgnęła się do środka i delikatnie zamknęła drzwi za sobą.

Wewnątrz magazynu było bardzo zimno. Wyjęła z plecaka małą LED-ową latarkę, włączyła ją i szybko przeszła pomiędzy rzędami skuterów śnieżnych i starych śniegołazów na drugi koniec pomieszczenia. Trumny, ułożone w równych rzędach, zaśniły słabo w blasku latarki. Potrzebowała tylko paru chwil, by odnaleźć trumnę Emmetta Bowdreego. Zdjęła ostrożnie wieko, starając się ograniczyć hałas do minimum, po czym uklękła i poświeciła na kości. Jej głos wewnętrzny raz jeszcze dał jej do zrozumienia, że robi jedną z najgłupszych rzeczy w całym swoim życiu, a inny głos ponownie odpowiedział, że to jedyne, co może zrobić.

Weź się w garść, wyszeptała do siebie. Skup się.

Realizując kolejne punkty swojego planu, Corrie znów zdjęła rękawiczki, postawiła plecak na ziemi i go otworzyła. Szybko przyłożyła lupę do oka, wsunęła dłonie w rękawiczki, wyjęła złamaną kość udową, która wcześniej zwróciła jej uwagę, i przyjrzała się jej w świetle. Na powierzchni kości widać było kilka długich równoległych rys. Corrie szukała oznak gojenia, zmiany kształtu kości albo podniesienia okostnowego, ale nic takiego nie odnalazła. Podłużne ślady były czyste, świeże i nie przejawiały żadnych oznak reakcji kostnej. To świadczyło, że rysy powstały tuż przed albo wkrótce po śmierci tego mężczyzny.

Żaden niedźwiedź nie mógłby pozostawić takiego śladu. Wykonano go prymitywnym narzędziem, być może ostrzem stępionego noża, najwyraźniej po to, aby oddzielić mięso od kości.

Skąd jednak mogła mieć pewność? Jej doświadczenie w tym zakresie było bardzo ograniczone. Ponownie zdjawszy rękawiczki, wyjęła iPada i przywołała na ekranie wyświetlacza treść podręcznika uczelnianego zatytułowanego *Analiza uszkodzeń ciała*. Zaczęła przeglądać ilustracje przedstawiające obrażenia przed-i

pośmiertne, w tym kilka takich, na których widniały podobne rysy jak te na badanej przez nią kości udowej, i porównała ilustracje z obrazem kości, którą trzymała w ręku. Potwierdziły jej pierwsze wrażenie. Próbowwała ogrzać skostniałe palce, chuchając na nie, ale bez powodzenia, więc znów włożyła rękawiczki i zaczęła możliwie jak najciszej uderzać w dłonie. To pozwoliło jej odzyskać w nich trochę czucia.

Teraz musiała sfotografować uszkodzoną kość. Znów trzeba było zdjąć rękawiczki. Wyciągnęła z plecaka przenośne oświetlenie, akumulator i niewielki trójnóg. Potem przyszła kolej na cyfrowy aparat z ogromnym makroobiektywem, który kosztował ją fortunę. Zamontowała aparat na statywie i włączyła sprzęt. Ułożyła kość na podłodze, najlepiej jak mogła po ciemku, i włączyła światło.

To było drugie z zagrożeń, na które nic nie mogła poradzić – światło na pewno widać z zewnątrz. Ale nie dało się tego uniknąć. Przygotowała wszystko tak, by pozostałe czynności wykonać jak najszybciej, bez dodatkowego włączania i wyłączania, aby, gdy tylko się z tym upora, mogła pozbierać swoje rzeczy i zwinąć się stąd błyskawicznie.

Boże, ależ zrobiło się jasno, wszystko spowił silny blask. Pospiesznie ustawiła aparat i wyregulowała ostrość. Zrobiła kilkanaście zdjęć, za każdym razem nieznacznie zmieniając ułożenie kości i dostrajając oświetlenie dla lepszego efektu. Dostrzegła na kości coś jeszcze: wyraźne ślady zębów. Przerwała na chwilę, aby przyjrzeć się im przez lupę. Były to bez wątplenia ślady zębów, nie kłów grizzly; były zbyt drobne, zbyt do siebie zbliżone i ze zbyt płaską koroną. Sfotografowała je pod różnymi kątami.

Odłożyła kość na powrót do trumny, po czym skupiła się na kolejnym nietypowym śladzie, który zwrócił jej uwagę podczas wcześniejszej wizyty w magazynie – zdeformowanej czaszce. Czerep wykazywał ślady potężnego uszkodzenia, twarzoczaszka była dosłownie zmiażdżona. Najsilniejszy i przypuszczalnie pierwszy cios musiał trafić na prawo od kości ciemieniowej, rozłupując czaszkę w gwiazdzisty wzorec i rozdzielając ją wzdłuż szwów. To także musiały być obrażenia przedśmiertne, bo tak silnego i druzgocącego ciosu nie sposób przeżyć. Niedźwiedź niewątpliwie mógł zmiażdżyć ludzką czaszkę uderzeniem łapy lub zgruchotać ją w uścisku swych potężnych szczęk. Jednak ten ślad nie wyglądał na dzieło jego kłów ani pazurów. Był nieregularny, z licznymi wgnieceniami.

Posiłkując się lupą, potwierdziła swoje przypuszczenia. Ranę zadano jakimś ciężkim, nieregularnym przedmiotem – przypuszczalnie kamieniem.

Teraz, pracując z jeszcze większą szybkością i precyzją, wykonała serię zdjęć

fragmentów czaszki, ponownie używając do tego celu teleobiektywu w aparacie. To mogło stanowić wystarczający dowód. Ale czy na pewno? Odczekała chwilę, po czym pod wpływem impulsu wyjęła kilka zamkniętych foliowych torebek i włożyła do nich fragment kości udowej oraz jeden z odłamków uszkodzonej czaszki. To na pewno były dowody.

Gotowe. Wyłączyła oświetlenie. Teraz miała niezbita dowody, że Emmett Bowdree nie został zabity i pożarty przez niedźwiedzia. Za to został zabity i zjedzony przez człowieka. Zważywszy na rozległe obrażenia, w zabójstwie mogło tak naprawdę uczestniczyć dwóch, trzech, a może nawet więcej sprawców. Najpierw ogłuszyli ofiarę uderzeniem w głowę, miażdżąc czaszkę mężczyzny, pogruchotali mu kości, a następnie rozdarli go na strzępy gołymi rękami. Potem tęnym nożem albo kawałkiem jakiegoś metalu odarli mięso z kości. Na koniec zjedli go na surowo, o czym mogły świadczyć ślady zębów oraz brak osmalań kości czy innych znamion, jakie powinny towarzyszyć na przykład gotowaniu.

Przerażające. Niewiarygodne. Odkryła morderstwo sprzed stu pięćdziesięciu lat. Nasunęło jej się następne pytanie: Czy pozostałych dziesięciu górników zostało zabitych w ten sam sposób, przez ludzi?

Spojrzała na zegarek: jedenaście minut. Poczowała na plecach lodowate ciarki strachu. Pora się zwijać. Szybko zaczęła pakować sprzęt, szykując się do opuszczenia magazynu. Nagle odniosła wrażenie, że usłyszała jakiś dźwięk. Zgasła latarkę i nasłuchiwała przez chwilę. Nic. Cisza. Zaraz jednak znów to usłyszała, ciche skrzypienie śniegu przed wejściem do magazynu.

Jezu, ktoś tu się zbliżał. Sparaliżowana strachem, z sercem dudniącym głośno w piersi nasłuchiwała dalej. Usłyszała wyraźne: skrzyp, skrzyp, skrzyp. A potem dostrzegła promień latarki przesuwający się w górę przez całe wnętrze magazynu od strony jednego z okien. I znowu cisza. A po chwili stłumione głosy i szum krótkofalówki.

Na zewnątrz byli ludzie. I mieli radio.

Ochrona osiedla? Gliny?

Z największą ostrożnością zapięła plecak. Wieko trumny wciąż było zdjęte. Czy powinna je zamknąć? Już miała to zrobić, ale wieko zazgrzytało tak głośno, że natychmiast przerwała tę czynność. Ale ponieważ musiała to zrobić, domknęła wieko szybkim, zdecydowanym ruchem.

Na zewnątrz zrobiło się większe poruszenie, słychać było chrzęst kroków, szepty. Przed magazynem zebrało się kilka osób, które bez większego powodzenia starały się zachowywać cicho.

Zarzuciła plecak na ramię i odsunęła się od trumien. Czy magazyn miał tylne

wyjście? Nie wiedziała i nie była w stanie teraz tego stwierdzić, gdyż w budynku było za ciemno, ale nie przypominała sobie, aby je widziała. Musiała znaleźć bezpieczną kryjówkę i przeczekać to zamieszanie.

Stąpając cicho na palcach, skierowała się w głąb magazynu, gdzie przechowywano olbrzymie elementy starego wyciągu narciarskiego – pylony, krzeselka i koła będące elementem całego urządzenia. Usłyszała otwierające się drzwi i ostatnich kilka metrów pokonała biegiem. W magazynie rozległy się stłumione szepty. I trzaski krótkofalówek.

Dotarłszy do sterty starego sprzętu, zaczęła wciskać się pomiędzy krzeselka, na czworakach próbowała wpełznąć jak najgłębiej, pod masywne metalowe części wyciągu.

Nagle rozległo się pstryknięcie i w pomieszczeniu zapaliły się rzędy świetlówek; wewnątrz magazynu załała powódź jasnego, oślepiającego blasku. Corrie popęzła jeszcze szybciej, wślizgując się za olbrzymi zwój stalowego kabla, po czym zwinęła się w kłębek, tuląc plecak do piersi i starając się pozostać niewidoczna. Czekala, prawie nie oddychając. Może pomyślała, że ktoś przypadkiem zostawił niezamkniętą kłódkę. Może nikt nie zauważył jej samochodu. Może jej nie znajdą...

Kroki na betonowej podłodze. I Corrie znów usłyszała szepty. Była teraz w stanie rozróżnić poszczególne głosy i wychwycić niektóre zdania. Ze zgrozą usłyszała swoje nazwisko wymienione z charakterystycznym dla Kermode teksańskim akcentem; ton był kwękliwy, ponaglący.

Ukryła twarz w dłoniach, na których ciągle miała rękawiczki, jakby w ten sposób chciała uchronić się przed koszmarem. Była tak przerażona i oszołomiona, że serce nieomal wyskakiwało jej z piersi. Po co to zrobiła? Po co?

Usłyszała głos Kermode, ostry, nosowy:

– Corrie Swanson?

Echo tych słów rozbrzmiało przeraźliwie głośno wewnątrz rozległego pomieszczenia.

– Corrie Swanson, wiemy, że tu jesteś. Wiemy to. Masz nie lada kłopoty. Jeżeli teraz wyjdiesz i oddasz się w nasze ręce, będzie to rozsądna decyzja. Jeżeli zmusisz tych policjantów, aby zaczęli cię szukać, postąpisz głupio. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Corrie była prawie sparaliżowana ze strachu. Kolejne dźwięki – zjawili się jeszcze jacyś ludzie. Nie była w stanie się poruszyć.

– W porządku – usłyszała zrezygnowany głos komendanta policji. – Joe,

zaczynij z tyłu. Fred, zostań przy drzwiach. Sterling, zajrzyj pomiędzy skutery i ratraki.

Corrie wciąż nie mogła się poruszyć. Gra skończona. Powinna się ujawnić. Ale jakaś szalona, rozpaczliwa nadzieja nakazywała jej pozostać w ukryciu.

Ukrywając twarz w dłoniach, jak dziecko chowające głowę pod kocem, czekała z niepokojem. Usłyszała ciężkie kroki, szuranie przestawianych sprzętów, trzaski krótkofalówek. Minęło kilka minut. Wreszcie, niemal tuż nad nią, rozległo się głośne:

– Jest tutaj! – A potem skierowane pod jej adresem: – Policja. Wstań powoli i trzymaj ręce tak, żebyśmy je widzieli.

Nie była w stanie się ruszyć.

– Wstań powoli, trzymając ręce na widoku. Natychmiast.

Zdołała unieść ręce i ujrzała gliniarza stojącego o metr, może dwa od niej i mierzącego do niej z rewolweru. Zbliżało się do niego dwóch innych gliniarzy. Corrie podniosła się sztywno, z rękami w górze. Gliniarz podszedł, schwycił ją za jeden przegub, odwrócił, ściągnął jej ręce do tyłu i założył kajdanki.

– Masz prawo milczeć – usłyszała dochodzący jakby z oddali głos policjanta. – Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie w sądzie...

Nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje.

– ...Masz prawo, aby porozumieć się z adwokatem i by był on obecny podczas twego przesłuchania. Jeżeli nie stać cię na adwokata, zostanie ci przydzielony obrońca z urzędu. Czy rozumiałaś?

Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

– Rozumiesz? Proszę powiedz tak albo skinij potakująco głową.

Corrie skinęła głową. To wszystko, na co mogła się zdobyć.

Policjant powiedział głośno:

– Pragnę odnotować, że aresztowana skinieniem głowy potwierdziła, że zna i rozumie swoje prawa.

Policjant wyprowadził ją za rękę spomiędzy stert rozmaitych sprzętów na otwartą przestrzeń. Zamrugała w silnym świetle. Inny policjant otworzył jej plecak i zaczął go przeszukiwać. Po krótkiej chwili natknął się na dwie foliowe torebki z kawałkami kości.

Komendant Morris sprawiał wrażenie wyjątkowo niezadowolonego. Obok niego, w otoczeniu kilku funkcjonariuszy ochrony osiedla The Heights, stała pani Kermode w pasiastym zimowym kostiumie ozdobionym futrzaną lamówką, a na jej twarzy malował się złowrogi triumf.

– Proszę, proszę – powiedziała, a z jej ust, jak ze smoczego pyska, buchały

kłęby pary. – Dziewczyna studiująca prawo jest w rzeczywistości przestępczynią. Odkąd ujrzałam cię po raz pierwszy, wiedziałam, że coś jest z tobą nie tak. Domyśliłam się, że spróbujesz wywinąć jakiś numer, i proszę bardzo, moje przypuszczenia się potwierdziły. Jesteś taka przewidywalna. Bezprawne wtargnięcie na teren prywatny, wandalizm, kradzież i stawianie oporu podczas aresztowania. – Wyciągnęła rękę i odebrawszy foliową torebkę z rąk policjanta, pomachała nią Corrie tuż przed nosem. – I rabowanie grobów.

– Wystarczy – rzekł komendant policji do pani Kermode. – Proszę oddać dowód rzeczowy funkcjonariuszowi i chodźmy już stąd.

Delikatnie ujął Corrie za rękę.

– A ty, młoda damo, niestety jesteś aresztowana.

9

Pięć długich dni później Corrie wciąż pozostawała zamknięta w więzieniu okręgowym Roaring Fork. Wysokość kaucji ustalono na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, których nie miała, nie stać jej było nawet na gwarancję w wysokości pięciu tysięcy dolarów, a miejscowy poręczyciel odmówił przyjęcia jej jako klientki, ponieważ pochodziła spoza stanu, nie miała żadnego majątku ani krewnych, którzy mogliby za nią zaręczyć. Wstydziła się zadzwonić do ojca, a poza tym on też nie miał pieniędzy. Nie było nikogo innego w jej życiu – z wyjątkiem Pendergasta. A nawet gdyby zdołała się z nim skontaktować, prędzej by umarła, zanim przyjąłaby od niego kolejne pieniądze, zwłaszcza forszę na opłacenie kaucji.

Tak czy owak musiała do niego napisać. Nie miała pojęcia, gdzie on teraz przebywa ani co robi. Nie miała żadnych wiadomości o nim od prawie roku. Jednak on, lub ktoś, kto działał w jego imieniu, wciąż opłacał jej chesne. A dzień po jej aresztowaniu, gdy cała historia trafiła na pierwszą stronę „Roaring Fork Timesa”, zdała sobie sprawę, że musi napisać list. Bo gdyby tego nie zrobiła, a Pendergast dowiedziałby się o tym, co ją spotkało, od kogoś innego, gdyby zobaczył nagłówki... Była mu to winna i chciała, żeby usłyszał tę historię bezpośrednio od niej.

Dlatego zaadresowała list na jego nowojorski adres w Dakota House, aby został mu przekazany przez Proctora.

Opisała wszystko bez upiększeń. Pominęła jedynie kwestię kaucji. Uświadomiła sobie, jak bezmyślnie, autodestrukcyjnie i buńczucznie się zachowała. Na koniec stwierdziła, że jego zobowiązania wobec niej uznaje za wygasłe i nie oczekuje odpowiedzi. Nie powinien dłużej zawracać sobie nią głowy. Od tej pory ona sama o siebie zadba. I spodziewa się, że kiedyś, jak tylko to będzie możliwe, spłaci co do grosza pieniądze, jakie zmarnował na chesne w college’u Johna Jaya.

Napisanie tego listu było dla niej najtrudniejszym zadaniem, jakie

kiedykolwiek musiała wykonać. Pendergast ocalił jej życie; wyrwał ją z Medicine Creek w stanie Kansas; uwolnił od agresywnej matki alkoholiczki; zapłacił za to, by mogła dokończyć szkołę – i finansował jej studia. I... po co to było?

Na nic się to wszystko zdało.

Więzienie było dość wygodne, co wprawiało Corrie w fatalny nastrój. Cele miały wielkie słoneczne okna z widokiem na góry, dywany na podłogach i niebrzydkie meble. Pozwalano jej wychodzić z celi od ósmej rano do zamknięcia o wpół do jedenastej wieczorem. Więźniowie mogli spędzać czas w świetlicy, czytać, oglądać telewizję i gawędzić z innymi osadzonymi. W sali obok była nawet siłownia z atlasem, hantlami, sztangami i bieżniami.

Teraz Corrie siedziała w świetlicy i wlepiła wzrok w dywan w czarno-białą szachownicę. Nic nie robiła. Przez ostatnie pięć dni pogrążyła się w tak głębokiej depresji, że prawie nie była w stanie jeść, czytać ani nawet spać. Po prostu siedziała tam przez cały dzień, gapiąc się w przestrzeń, a potem wracała na noc do swojej celi, gdzie leżała na pryczy, tępo wpatrując się w ciemność.

– Corrie Swanson?

Otrząsnęła się z odrętwienia i uniosła wzrok. W drzwiach świetlicy stał strażnik z notesem na podkładce w dłoni.

– Tu jestem – powiedziała.

– Przyszedł na widzenie twój adwokat.

Zapomniała o tym. Podniosła się i poszła za strażnikiem do osobnego pokoju. Odnosiła wrażenie, jakby powietrze wokół niej zgęstniało, stało się grudkowate. Z oczu płynęły jej łzy. Nie mogła tego powstrzymać. Nie płakała, a w każdym razie niezupełnie – to była reakcja fizjologiczna.

Weszła do niewielkiego pokoju konferencyjnego, by ujrzeć siedzącego przy stoliku adwokata z leżącą obok niego otwartą aktówką i rozłożonymi w zgrabny wachlarz kartonowymi teczkami. Nazywał się George Smith i już kilka razy się z nim widziała. Był łysiejącym, jasnowłosym, drobnej budowy mężczyzną w średnim wieku, a na jego twarzy nieustannie malował się przeproszający grymas. Był całkiem miły i miał dobre intencje, ale nie dorastał Perry’emu Masonowi do pięt.

– Dzień dobry, Corrie – powiedział.

Usiadła na krześle bez słowa.

– Miałem kilka spotkań z prokuratorem okręgowym – zaczął Smith – i cóż, muszę powiedzieć, że osiągnąłem pewien postęp w kwestii ewentualnej ugody przedprocesowej.

Corrie pokiwała głową apatycznie.

– Oto jak się przedstawia sytuacja. Przyznajesz się do włamania z wtargnięciem, bezprawnego wejścia na teren prywatny i zbezczeszczenia ludzkich szczątków, a zapomną o zarzucie popełnienia przez ciebie również drobnej kradzieży. Czeka cię najwyżej dziesięć lat odsiadki.

– Dziesięć lat?

– Wiem. Miałem nadzieję na co innego. Są spore naciski, aby potraktować cię z całą surowością. Nie do końca rozumiem, ale może to mieć związek z hałasem, jaki zrobił się wokół tej sprawy, i kontrowersjami dotyczącymi samego cmentarza. Chcą urządzić pokazówkę z tobą w roli głównej.

– Dziesięć lat? – powtórzyła.

– Za dobre zachowanie będziesz mogła wyjść już po ośmiu.

– A jeśli sprawa trafi do sądu?

Oblicze prawnika spochmurniało.

– To nie wchodzi w rachubę. Dowody przeciwko tobie są przytłaczające. Mamy tu do czynienia z wianuszkami przestępstw, począwszy od włamania z wtargnięciem aż po zbezczeszczenie zwłok. Choćby za to ostatnie przestępstwo grozi ci kara do trzydziestu lat pozbawienia wolności.

– Żartuje pan, trzydzieści lat?

– W Kolorado obowiązują wyjątkowo surowe obostrzenia prawne z uwagi na długą historię przypadków rabowania grobów. – Przerwał. – Posłuchaj, jeśli się nie przyznasz, prokurator się wkurzy i może zechcieć powalczyć o najwyższy wyrok dla ciebie. Już mi zapowiedział, że to zrobi.

Corrie popatrzyła na porysowany blat stołu.

– Musisz się przyznać. To twoja jedyna szansa.

– Ale... to nie do wiary. Dziesięć lat tylko za to, co zrobiłam? To więcej, niż dostają niektórzy mordercy.

Długa cisza.

– Zawsze mogę wrócić do rozmów z prokuratorem. Problem polega na tym, że przyłapali cię na gorącym uczynku. Nie masz nic na swoją obronę. Nie możesz zaproponować im niczego w zamian.

– Ale przecież nie zbezczeszczałam żadnych zwłok.

– Cóż, wedle tutejszego prawa to właśnie zrobiłaś. Otworzyłaś trumnę, dotykałaś kości, fotografowałaś je i zabrałaś dwie z nich. Oto co ci zarzucają, a ja nie będę miał argumentów, żeby obalić to oskarżenie. Gra nie jest warta świeczki. Lepiej nie ryzykować. Tutejsza ława przysięgłych będzie pochodzić z terenu całego hrabstwa, nie tylko z Roaring Fork, a wielu tutejszych to

konserwatywni ranczerzy i farmerzy, ludzie bardzo religijni, którzy nie spojrzą przychylnie na to, co zrobiłaś.

– Ale przecież próbowałam tylko udowodnić, że ślady na kościach... – Nie była w stanie dokończyć.

Adwokat rozłożył szczupłe dłonie, a na jego pociągłej twarzy pojawił się zboląły grymas.

– To najlepsze, co mogę ci zaproponować.

– Ile mam czasu do zastanowienia?

– Nie za dużo. Mogą wycofać tę propozycję praktycznie w każdej chwili. Najlepiej byłoby, gdybyś zdecydowała się od razu.

– Muszę to przemyśleć.

– Masz mój numer.

Corrie wstała i uściskawszy jego wiotką, spoconą dłoń, wyszła. Strażnik, który czekał za drzwiami, odprowadził ją do świetlicy. Usiadła i wlepiała wzrok w czarno-białą szachownicę dywanu, zastanawiając się nad tym, jak będzie wyglądało jej życie za dziesięć lat, gdy odsiedzi wyrok. Oczy znów zaczęły jej łzawić i otarła je z wściekłością zdecydowanym ruchem ręki, ale to nic nie dało.

10

Jenny Baker zjawiała się w ratuszu miejskim Roaring Fork, dźwigając w obu rękach drugą teczkę komendanta Stanleya Morrisa. Na każde zebranie, w którym uczestniczył, komendant zabierał dwie pękate teczki, jak się zdawało po to, aby udzielić odpowiedzi na każde pytanie, które mogło zostać skierowane pod jego adresem. Jenny próbowała przekonać go do tabletu, ale był zdeklarowanym przeciwnikiem postępu technicznego i odmawiał nawet korzystania z komputera w swoim gabinecie.

Zresztą jej się to podobało pomimo niedogodności taszczenia wszędzie dwóch teczek. Jak dotąd komendant był dość miłym pracodawcą, niezbyt wymagającym i nader ugodowym. Przez pół miesiąca, odkąd rozpoczęła staż na posterunku policji, widywała go wzburzonego i zmartwionego, ale nigdy rozzłoszczonego. Teraz szedł obok niej, gawędząc o sprawach miasta, gdy kierowali się do sali zebrań. Duże spotkania odbywały się niekiedy w Opera House, ale to, na które zmierzali trzynastego grudnia, niespełna dwa tygodnie przed świętami, raczej nie zgromadzi wielu uczestników.

Jenny zajęła miejsce tuż za komendantem w tej części sali, która była zarezerwowana dla urzędników miejskich. Zjawili się przed czasem – Morris miał taki zwyczaj – i mogła obserwować przybycie burmistrza, członków zarządu planowania miasta, lokalnego prawnika i innych oficjeli, których nazwisk nie знаła. Tuż po nich, nieomal depcząc im po piętach, zjawiała się reprezentacja The Heights, z panią Kermode na czele – w starannie ułożonej fryzurze, z platynowymi włosami polakierowanymi tak, że były sztywne jak hełm, wyglądała idealnie. Towarzyszył jej szwagier Henry Montebello i kilku anonimowych mężczyzn w garniturach.

Głównym tematem zebrania, którego plan został zwyczajowo opublikowany w gazecie, była propozycja The Heights dotycząca miejsca przeniesienia starego cmentarza Boot Hill. Po otwarciu zebrania i wymianie uprzejmości oraz odczytaniu harmonogramu spotkania myśli Jenny zaczęły krążyć wokół kobiety,

którą niedawno poznała, i tego, co ją spotkało. Zaskoczyło ją to i nawet trochę przeraziło. Corrie wydawała się taka miła i poukładana i nagle została schwyтана na gorącym uczynku – podczas włamania do magazynu, otwarcia trumny i kradzieży kości. Nigdy nie wiadomo, do czego ludzie są zdolni. W dodatku studentka prawa. W The Heights nigdy nic podobnego się nie zdarzyło i całe sąsiedztwo wciąż jeszcze było wzburzone. Jej rodzice przy śniadaniu nie rozmawiali o niczym innym, nawet dziś, dziesięć dni po tym zdarzeniu.

Trwały czynności wstępne, a Jenny zdziwiła się, widząc, ile osób zajmuje sektor dla tutejszej społeczności. Już teraz zrobiło się tam tłoczno, zabrakło miejsc siedzących i wolna przestrzeń z tyłu sali też szybko się zapełniała. Może przyciągnęła ludzi ta kontrowersyjna sprawa z cmentarzem. Jenny miała nadzieję, że zebranie się nie przedłuży, bo była wieczorem umówiona na kolację.

Rozpoczęło się omawianie pierwszego punktu zebrania. Prawnik z The Heights wstał i nosowym tonem wygłosił swoją prezentację. Stwierdził, że The Heights proponują przeniesienie szczątków wydobytych z mogił na pole, nabyte przez nich w tym właśnie celu, na zboczu wzgórza, niecałe dziesięć kilometrów stąd, przy szosie numer 82. To zaskoczyło Jenny, gdyż sądziła, że szczątki zostaną ponownie pogrzebane w granicach miasta. Teraz zrozumiała, dlaczego zeszło się tu tylu ludzi.

Przedstawiciel palestry w typowy dla swego zawodu zawiły i pokrętny sposób, używając prawnego żargonu, wyjaśnił, że cała ta operacja jest legalna, uzasadniona, właściwa, wskazana i nieunikniona z wielu powodów, których Jenny nie rozumiała. W miarę jak mężczyzna mówił, słyszała coraz głośniejsze wyrazy dezaprobaty, szmery, a nawet ciche posykiwania dochodzące z sektora przedstawicieli lokalnej społeczności. Spojrzała w stronę, skąd dobiegał hałas. Najwyraźniej ta propozycja nie spotkała się z przychylnością zebranych.

Już miała ponownie przenieść uwagę w stronę podium, gdy spostrzegła wyróżniającą się wśród zebranych z tyłu sali postać w czarnym garniturze. W tym mężczyźnie było coś, co sprawiło, że na moment zamarła w bezruchu. Czy spowodowała to jego twarz jakby wyrzeźbiona z alabastru? A może włosy, tak jasne, że wydawały się prawie białe? Lub oczy, dziwnie jasnoszaroniebieskie; gdy patrzył nawet z drugiego końca sali, wyglądał prawie jak kosmita. Czy był jakimś celebrytą? Jeżeli nie, to Jenny stwierdziła, że powinien nim być.

Teraz podniósł się z miejsca projektant zagospodarowania przestrzennego. Rozpoczął przemowę połączoną z pokazem slajdów, przedstawiając zdjęcia proponowanego miejsca przeniesienia zwłok oraz trójwymiarowy model przyszłego cmentarza, z kamiennymi murami, łukowato sklepioną bramą

z kutego żelaza i brukowanymi alejkami pośród grobów. Potem zaprezentował kolejne slajdy ukazujące to miejsce: tak jak wygląda ono obecnie – przepiękną zieloną łąkę w połowie wysokości góry. Urzekające, ale nie leży w Roaring Fork.

Szmer niezadowolenia wśród zebranych narastał coraz bardziej. Jenny rozpoznała w pierwszym rzędzie sektora dla ludności miejscowej reportera z „Roaring Fork Timesa”, a wyraz pełnej wyczekiwania rozkoszy na jego twarzy świadczył o tym, że oczekiwał on sensacji.

Wreszcie wstała pani Betty Brown Kermode, aby zabrać głos. Była w miasteczku postacią znaną i budzącą lęk – nawet ojciec Jenny wyraźnie się jej obawiał – a zatemi wszyscy, którzy się zebrali, by wyrazić swoje opinie, zupełnie zamilkli.

Zaczęła od wzmianki o wyjątkowo niefortunnym włamaniu przed dziesięcioma dniami, szokującym zbezczeszczeniu zwłok, podsumowując, że ten wstrząsający incydent stanowi jawny dowód na to, iż szczątki powinny jak najszybciej znaleźć się na powrót w ziemi. Jakby na marginesie wspomniała o powodzie tego bulwersującego przestępstwa – tak poważnego, że jego sprawczyni przyznała się do popełnionego czynu, jeszcze zanim sprawa trafiła do sądu, i już wkrótce miała trafić na dziesięć lat do więzienia.

The Heights, ciągnęła Kermode, traktują szczątki ludzkie z największym szacunkiem i powagą. Mają świadomość, że ich obowiązkiem jest dopilnować, by nieokrzesani górnicy, pionierzy Roaring Fork, otrzymali za swe poświęcenie godne miejsce spoczynku, stanowiące odpowiednią nagrodę za ich ducha oraz wkład w rozwój amerykańskiego Zachodu. Znaleziono dla nich idealny punkt, na zboczach Catamount, z zapierającymi dech widokami, jakie roztaczają się stamtąd na masyw działu wód. Wspólnota Szczytów nabyła setki arów otwartej przestrzeni wokół miejsca, gdzie ulokowany zostanie stary cmentarz, dzięki czemu zachowa ono po wsze czasy swój dziki charakter. Pionierzy z Kolorado z pewnością na to zasłużyli, nie dla nich mały, otoczony murami placyk cmentarny wśród gwarnej i nerwowej atmosfery miasteczka, w którym panuje ożywiony ruch uliczny, szal zakupów i sportów zimowych.

To była przekonująca prezentacja. Nawet Jenny zgadzała się z przedstawionymi argumentami. Gdy Kermode wróciła na swoje miejsce, nie było już słychać szeptów z sali.

Jako następny podniósł się z krzesła Henry Montebello, który wzenił się w rodzinę Kermode'ów i dzięki temu natychmiast zyskał władzę i szacunek w miasteczku. Był starszym mężczyzną, wychudzonym i pełnym rezerwy. Jenny go nie lubiła, co więcej, bała się go. Miał lakoniczny, śródatlantycki akcent, który

nie wiedzieć czemu sprawiał, że wszystkie wypowiedziane przez niego uwagi brzmiały odrobinę cynicznie. Chociaż był głównym architektem osiedla The Heights, w przeciwieństwie do Kermode nie mieszkał na jego terenie, lecz w wielkiej rezydencji w innej części miasta, gdzie otworzył również biuro.

Odchrząknął. Aby osiedle The Heights mogło się rozwijać, jak powiedział zebrany, nie szczędzono wydatków, mało tego, dopilnowano, aby miejsce to nie tylko duchem czy estetyką odpowiadało Roaring Fork, ale by zostało również odpowiednio dostosowane do potrzeb ekologii i środowiska. Montebello stwierdził, że może za to ręczyć, gdyż osobiście nadzorował przygotowanie tego terenu, projektowanie rezydencji i siedziby klubu oraz jego planowaną rozbudowę. Zapewnił, że z taką samą uwagą będzie czuwał nad powstaniem nowego cmentarza. W jego słowach zawarła się niewypowiedziana sugestia, że nieżyjący od dawna górnicy, którzy spoczywali na Boot Hill, powinni być mu wdzięczni, że zechciał zająć się tą sprawą w ich imieniu. Mówił z godnością i powagą, lecz z jakąś dziwną zaciętością, jakby podświadomie rzucał zebranym wyzwanie, aby odważyli się zakwestionować choć jedną sylabę, która wypłynęła z jego ust. Nikt tego nie zrobił, a Montebello wrócił na swoje miejsce.

Teraz z kolei wstał burmistrz, aby podziękować pani Kermode i panu Montebello, wzywając słuchających do zadawania pytań. Uniosło się kilka rąk i burmistrz wskazał na kogoś. Kiedy ten ktoś wstał, aby się odezwać, mężczyzna w czarnym garniturze, który wysunął się przed resztę zebranych, uniósł rękę, prosząc o ciszę.

– Nie udzieliłem panu głosu – rzekł burmistrz, stanowczo i zdecydowanie uderzając młotkiem w podkładkę.

– To się okaże – padła odpowiedź. Głos był łagodny, przesycony miłym dla ucha południowym akcentem, którego pochodzenia Jenny nie potrafiła określić. W jego głosie brzmiało coś, co sprawiło, że burmistrz na chwilę zamilkł i pozwolił temu człowiekowi mówić dalej.

– Pani Kermode – rzekł mężczyzna, odwracając się do niej. – Jak pani dobrze wie, aby ekshumować ludzkie szczątki, niezbędne jest pozyskanie stosownego zezwolenia od uprawnionego do tego potomka osoby zmarłej. W wypadku historycznych miejsc pochówku zarówno stan Kolorado, jak i federalne prawo stanowią, że należy w dobrej wierze podjąć niezbędne wysiłki i odnaleźć owych potomków, zanim szczątki będą mogły zostać ekshumowane. Zakładam, że wspólnota The Heights podjęła takie wysiłki?

Burmistrz zastukał młotkiem.

– Powtarzam, że nie udzieliłem panu głosu!

– Z chęcią odpowiem na to pytanie – odezwała się łagodnie pani Kermode. – Podjęliśmy szeroko zakrojone wysiłki, aby odnaleźć potomków osób spoczywających na starym cmentarzu. Nie znaleźliśmy nikogo. Ci górnicy byli w większości włóczykijami bez rodzin, zmarli bezpotomnie sto pięćdziesiąt lat temu. Tego wszystkiego można się dowiedzieć, przeglądając stosowne dokumenty urzędowe.

– Doskonale – powiedział burmistrz. – Dziękuję za wyrażenie tej opinii. Jeszcze wiele innych osób chciałoby zabrać głos. Panie Jackson?

Mężczyzna mówił jednak dalej:

– To dziwne. Bo zaledwie po kwadransie zgoła leniwego surfowania po internecie zdołałem odnaleźć bezpośredniego potomka jednego z tych górników.

Cisza, a potem głos burmistrza:

– Kim pan właściwie jest?

– Zaraz do tego przejdziemy. – Mężczyzna wyjął kartkę papieru. – Mam tutaj list od kapitan Stacy Bowdree z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, która właśnie wróciła, odsłużwszy zmianę w Afganistanie. Kiedy kapitan Bowdree dowiedziała się, że wykopaliście szczątki jej prapradziadka Emmetta Bowdreego, wrzuciliście je do skrzyni i trzymacie w cuchnącym magazynie sprzętu narciarskiego przy jednym ze stoków, bardzo ją to zbulwersowało. Prawdę mówiąc, zamierza wytoczyć wam proces.

W sali zapadła cisza. Mężczyzna wyjął kolejną kartkę.

– Statut stanu Kolorado jest bardzo konkretny w kwestii bezczeszczenia cmentarzy i ludzkich szczątków. Proszę pozwolić, że przeczytam fragment z paragrafu dziewięćdziesiątego siódmego statutu i kodeksu karnego stanu Kolorado.

Zaczął czytać na głos:

– „Dwa a: każda osoba, która świadomie i dobrowolnie, z wyjątkiem przypadków dozwolonych przez prawo lub za przyzwoleniem upoważnionego do tego potomka zmarłej osoby, wykopuje jakiegokolwiek zwłoki lub szczątki istoty ludzkiej lub też doprowadzi słowem, namową lub uczynkiem, aby to się stało, winna będzie popełnienia ciężkiego przestępstwa zagrożonego karą do trzydziestu lat pozbawienia wolności i/lub grzywny w wysokości do pięćdziesięciu tysięcy dolarów lub obiema tymi karami łącznie w zależności od decyzji sądu”.

Burmistrz zerwał się z miejsca, gniewnie uderzając młotkiem w podkładkę.

– Nie jesteśmy w sądzie! – Bach! – Nie pozwolę na storpedowanie harmonogramu dzisiejszego zebrania. Jeżeli ma pan wątpliwości natury prawnej,

proszę zgłosić je do tutejszej kancelarii prawnej, zamiast marnować nasz czas podczas publicznego zebrania!

Jednak mężczyzna w czarnym garniturze nie pozwolił się uciszyć.

– Burmistrzu, czy mogę zwrócić panu uwagę na pewną frazę? „Lub też doprowadzi słowem, namową lub uczynkiem, aby to się stało”. To się tyczy pana, jak również pani Kermode oraz komendanta policji. Cała wasza trójka jest odpowiedzialna słowem, namową i uczynkiem za nielegalną ekshumację Emmetta Bowdreego. A może się mylę?

– Dość! Ochrona, wyprowadzić stąd tego człowieka!

Gdy dwaj policjanci zaczęli przeciskać się przez tłum w stronę mężczyzny w garniturze, ten odezwał się ponownie, a jego głos ciął powietrze niczym ostrze brzytwy:

– A czy nie skazaliście już kogoś na dziesięć lat więzienia za złamanie tego samego statutu, który, jak wszystko na to wskazuje, sami jawnie pogwałciliście?

Zebrani zaczęli szemrać, pojawiły się głosy za i przeciw, słychać było szepty i rozlegające się raz po raz wykrzykiwane przez osoby z sali pytania:

– Czy to prawda? Co się dzieje?

A także:

– Zabierzcie go stąd! Kim jest ten facet?!

Dwaj policjanci zdołali w końcu zbliżyć się do mężczyzny. Jeden schwycił go za rękę.

– Proszę nie sprawiać problemów.

Nieznajomy uwolnił się z uchwytu.

– Nie radziłbym mnie dotykać.

– Aresztujcie go za zakłócanie porządku! – zawołał burmistrz.

– Dajcie mu mówić! – zakrzyknął ktoś.

– Proszę pana – Jenny usłyszała słowa policjanta. – Jeżeli nie zechce się pan podporządkować, będziemy musieli pana aresztować.

Odpowiedź mężczyzny zagłuszył harmider w sali. Burmistrz uderzał młotkiem raz po raz, nawołując do spokoju.

– Jest pan aresztowany – rzekł policjant. – Proszę ręce do tyłu.

Zamiast wykonać polecenie, mężczyzna wyciągnął z kieszeni mały portfel i otworzył go jednym płynnym ruchem. Jenny zauważyła złocisty błysk i dwaj policjanci zastygli w bezruchu.

Gwar zaczął cichnąć.

– W odpowiedzi na wcześniejsze pytanie – mężczyzna zwrócił się melodyjnym tonem do burmistrza – agent specjalny Pendergast z Federalnego

Biura Śledczego.

W sali zapadła grobowa cisza. Jenny nigdy nie widziała u pani Kermode takiego wyrazu twarzy, pełnego szoku i wściekłości zarazem. Oblicze Henry'ego Montebello nie zdradzało zupełnie niczego. Komendanta Morrisa zaś jakby sparaliżowało. Choć może nie było to odpowiednie słowo – wyglądał, jakby nagle usechł, zmarniał w oczach. Sprawiał wrażenie, jakby chciał wtopić się w swoje krzesło i zniknąć. Burmistrz też miał nietęgą minę.

– Emmett Bowdree – ciągnął mężczyzna nazwiskiem Pendergast – to tylko jeden ze stu trzydziestu zmarłych, których szczątki cała wasza czwórka: pani Kermode, burmistrz, pan Montebello i komendant policji, który podpisał i osobiście zlecił realizację tego projektu, ośmieliła się zbezczęścić i jest winna tego przestępstwa zgodnie ze statutem stanu Kolorado. Odpowiedzialność cywilna i karna jest w tym wypadku bezsporna.

Pani Kermode pierwsza odzyskała nad sobą panowanie.

– Czy tak właśnie działa FBI? Przychodzi pan tu, zakłóca publiczne zebranie i grozi? Czy aby naprawdę jest pan agentem federalnym? Proszę podejść tutaj i we właściwy sposób pokazać burmistrzowi swoje dokumenty!

– Z przyjemnością.

Bładolicy mężczyzna prześlizgnął się przez bramkę odgradzającą część sali dla lokalnych mieszkańców od tej dla urzędników miejskich i nonszalanckim krokiem podszedł do podium. Stał przed burmistrzem i położył na blacie swoją odznakę. Burmistrz obejrzał ją z narastającą konsternacją.

Szybkim ruchem agent Pendergast zgarnął ze stołu mikrofon. Dopiero wtedy Jenny zdała sobie sprawę, że być może zaproszenie przybysza na podium nie było rozsądną decyzją. Zauważyła, że reporter z „Roaring Fork Timesa” notuje jak szalony, uśmiechając się od ucha do ucha.

Burmistrz znów się odezwał, ale bez mikrofonu jego głos nie brzmiał już silnie.

– Agencie Pendergast, czy jest pan tu oficjalnie i służbowo?

– Jak na razie nie – padło w odpowiedzi.

– Wobec tego odraczam to spotkanie, aby nasi prawnicy, przedstawiciele palestry z The Heights i pan mogli przedyskutować wspomniane sprawy na gruncie prywatnym, między sobą.

Uderzył młotkiem dla podkreślenia swoich słów.

Ręka agenta Pendergasta przecięła powietrze, wyłuskała młotek z dłoni burmistrza i położyła w miejscu, gdzie ten nie mógł go osiągnąć.

– Dość tego niecywilizowanego hałasu.

Zebrani zareagowali gromkim śmiechem.

– Jeszcze nie skończyłem. – Głos Pendergasta, wzmocniony przez mikrofon, wypełnił salę. – Kapitan Bowdree napisała mi, że skoro jej prapradziadek został tak bezceremonialnie i bezprawnie wykopany, że nic nie byłoby w stanie zmyć piętna hańby wywołanego tym czynem, skoro jego pamięć została już zbrukana, uważa za stosowne, aby przynajmniej jego szczątki zostały zbadane w celu ustalenia przyczyny śmierci – dla celów historycznych, ma się rozumieć. Dlatego też udziela zezwolenia niejkiej pannie Corrine Swanson na przebadanie ich, zanim zostaną ponownie pogrzebane. Nawiasem mówiąc, w pierwotnym miejscu ich spoczynku.

– Co? – Kermode z wściekłością zerwała się z miejsca. – To ta dziewczyna tu pana przysłała? Ona za tym stoi?

– Ona nie wie nawet, że tu jestem – odparł ze spokojem agent. – Jakkolwiek wygląda na to, że najpoważniejszy zarzut przeciwko niej staje się odtąd bezpodstawny, choć nie traci swej mocy w stosunku do waszej czwórki. Teraz to wam grozi kara do trzydziestu lat pozbawienia wolności, i to przemnożona przez sto trzydzieści. – Przerwał. – Śmiem twierdzić, że wymienione kary będziecie odbywać sukcesywnie.

– Pana oskarżenie to jakiś absurd! – zawołał burmistrz. – Niniejszym odraczam zebranie. Ochrona ma natychmiast opróżnić salę!

Zapanował chaos. Pendergast nie zrobił jednak nic, aby temu zapobiec, i sala wkrótce opustoszała, by ostatecznie agent pozostał w niej sam na sam z ojcami miasta, prawnikami z The Heights, panią Kermode, Henrym Montebello, komendantem Morrisem i kilkoma innymi oficjelami. Jenny siedziała obok komendanta, pełna napięcia, które zapierało jej dech. Co teraz się stanie? Po raz pierwszy Kermode wyglądała na pokonaną, sponiewieraną, jej platynowe włosy były w nieładzie. Komendant ociekał potem, burmistrz zbladł jak ściana.

– Zdaje się, że jutro w „Roaring Fork Timesie” będzie można przeczytać ciekawy artykuł – rzekł Pendergast.

Te słowa wstrząsnęły wszystkimi. Burmistrz otarł spocone czoło.

– Chciałbym, aby poza tym artykułem – ciągnął Pendergast – w waszej gazecie pojawił się jeszcze jeden.

Zapadła długa cisza. Montebello odezwał się pierwszy.

– Jaki konkretnie?

– Artykuł, w którym zostanie napisane czarno na białym, że oficjalnie wycofał pan – zwrócił się Pendergast do komendanta – wszystkie oskarżenia i zarzuty przeciwko pannie Corrine Swanson i wypuścił ją z więzienia.

Dał Morrisowi chwilę, aby przetrawił tę wiadomość.

– Jak już wspomniałem, najpoważniejszy zarzut wobec niej stracił rację bytu. Panna Swanson ma pozwolenie na zbadanie szczątków Emmetta Bowdreego. Inne zarzuty – włamanie z wtargnięciem – są mniej poważne i można je wycofać bez większego problemu. Prawdę mówiąc, wszystko to można złożyć na karb niefortunnego nieporozumienia, jakie wyniknęło pomiędzy komendantem Morrisem a panną Swanson.

– To szantaż – wycedziła Kermode.

Pendergast odwrócił się do niej.

– O ile mi wiadomo, nie było żadnego nieporozumienia. Komendant Morris wyraźnie zaznaczył, że panna Swanson otrzyma zezwolenie na zbadanie szczątków i będzie mieć do nich dostęp. Ale pod pani naciskami wycofał swoje wcześniejsze przyzwolenie. To nie było uczciwe. Ja jedynie naprawiam wyrządzoną szkodę.

Zaległa cisza. Wszyscy zebrani powoli przyswajali sobie kolejne fakty.

– A co uczyni pan dla nas w zamian? – spytała Kermode. – To znaczy, jeżeli komendant wypuści tę pańską przyjaciółkę.

– Przekonam kapitan Bowdree, aby nie wносиła oficjalnej skargi do FBI – odparł łagodnie Pendergast.

– Rozumiem – rzekła Kermode. – Wszystko zależy od tej kapitan Bowdree. Zakładając, rzecz jasna, że taka osoba w ogóle istnieje.

– Jakie to dla was niefortunne, że nazwisko Bowdree jest rzadko spotykane. Ale ten drobny szczegół ułatwił mi zadanie. Jeden telefon wystarczył, by potwierdzić, że ta kobieta pochodzi z Kolorado i co więcej, jest dumna ze swoich korzeni. Pani Kermode, powiedziała pani, że wspólnota The Heights w dobrej wierze zadała sobie trud, by odnaleźć potomków zmarłych górników. To jawne kłamstwo. I FBI z całą pewnością zechce bliżej się temu przyjrzeć.

Jenny zauważyła, że twarz pani Kermode pod makijażem stała się bardzo blada.

– Wyjaśnijmy coś sobie. Kim jest dla pana ta mała Swanson? Krewną? A może dziewczyną?

– Nic mnie z nią nie łączy. – Agent Pendergast przymrużył srebrzyste oczy, przeszywając Kermode świdrującym spojrzeniem. – Pozostanę jednak w Roaring Fork aż do świąt, między innymi po to, by dopilnować, żebyście jej już nie przeszkadzali.

Jenny patrzyła, jak Pendergast odwraca się do komendanta.

– Proponuję, aby natychmiast zadzwonił pan do redakcji lokalnej gazety.

Domyślam się, że zbliża się u nich termin oddawania artykułów do druku. Zarezerwowałem już dla panny Swanson pokój w hotelu Sebastian i mam nadzieję – dla pańskiego dobra – że nie spędzi ona kolejnej nocy za kratkami.

11

Dochodziła północ, kiedy srebrne porsche 911 turbo s kabriolet zajechało przed eleganckie frontowe wejście do domu przy Quaking Aspen Drive 3. Nie zatrzymało się tam jednak, lecz stanęło w cieniu garażu na cztery samochody znajdującego się na tyłach.

Młody mężczyzna siedzący za kierownicą wyłączył silnik.

– Do domu – powiedział. – Wedle życzenia. – Nachylił się nad dźwignią zmiany biegów, by objąć dziewczynę na fotelu pasażera.

– Przestań. – Żartobliwie odepchnęła go od siebie.

Młody mężczyzna udał urażonego.

– Przecież jestem twoim przyjacielem, zgadza się?

– Tak.

– Trzeba z tego korzystać. – Znów spróbował ją objąć.

– Co za palant. – Dziewczyna, śmiejąc się, wysiadła z samochodu. – Dzięki za kolację.

– I kino.

– I kino.

Jenny Baker trzasnęła drzwiczkami, po czym patrzyła, jak samochód zjeżdża w dół długiego łukowatego podjazdu, w kierunku drogi prowadzącej do głównej bramy The Heights kilometr dalej, w głębi doliny. Dla wielu dziewcząt z Hollywood High utrata dziewictwa była niczym zdobycie sprawności – im szybciej się z tym uporały, tym lepiej. Ale z Jenny było inaczej. Nie zamierzała tego zrobić na pierwszej randce, a tym bardziej nie z takim tępakiem jak Kevin Traherne. Jak wielu młodzieńców z Roaring Fork on najwyraźniej również uważał, że pieniądze tatusia to wystarczający argument, aby każda dziewczyna rozłożyła przed nim nogi.

Podeszła do najbliższych drzwi garażu, wstukała kod na panelu elektronicznym i czekała, aż drzwi się podniosą. Następnie minęła rząd lśniących drogich aut, przycisnęła guzik, żeby zamknąć garaż, i otworzyła drzwi do domu.

Alarm był jak zwykle wyłączony; w Roaring Fork włamania praktycznie się nie zdarzały, a w The Heights nie było ani jednego takiego przypadku... No chyba że policzyliby się włamanie Corrie Swanson do magazynu... Powróciła myślami do zebrania sprzed kilku godzin i budzącego lęk agenta FBI w czarnym garniturze, który spadł na tutejsze elity jak anioł zemsty. Było jej żal komendanta – to naprawdę porządny, przyzwoity człowiek, ale niestety pozwalał wykorzystywać się ludziom w rodzaju tej wiedźmy Kermode. Tak czy owak Jenny cieszyła się, że ten agent, jak mu tam, Pendergast, wyciągnął Corrie z więzienia. Miała nadzieję, że znów się na nią natknie, a wówczas zapyta ją o college Johna Jaya... jeżeli w pobliżu nie będzie akurat komendanta.

Wyszła z garażu, przeszła przez spiżarnię i znalazła się w eleganckiej kuchni domu urlopowego. Przez szklane drzwi widziała choinki udekorowane mrugającymi światełkami. Jej rodzice i młodsza siostra Sarah zapewne już spali na górze.

Zapaliła światło. Silny blask rozjaśnił długie granitowe blaty, kuchenkę, lodówkę i zamrażarkę oraz troje drzwi prowadzących do pralni, drugiej kuchni oraz jadalni.

Nagle uświadomiła sobie, że nie usłyszała znajomego stukania pazurów o podłogę i nie zobaczyła kosmatego przyjaznego psa machającego na powitanie krzywym ogonem.

– Reks? – zawołała.

Nic.

Wzruszyła ramionami, wyjęła szklankę z jednej z szafek, podeszła do lodówki, jak zwykle ozdobionej przez Sarah kretyńskimi fotkami nastoletnich idoli, nalała sobie mleka, a potem usiadła przy stole w kąciku śniadaniowym. Na parapecie okiennym leżał stosik książek i czasopism, przejrzała je, stwierdzając z zadowoleniem, że Sarah w końcu posłuchała jej rady i zaczęła czytać *Wodnikowe Wzgórze*, po czym sięgnęła po egzemplarz *Criminal Justice Today* Schmallegera. W tej samej chwili zauważyła, że jedno z krzeseł przy stole w kuchni jest przewrócone.

Nikomu nie chciało się go podnieść. Lenie i niezguły.

Odnalazła fragment, na którym skończyła ostatnio, i zabrała się do lektury, popijając przy tym mleko. Jej ojciec, znany i szanowany prawnik z Hollywood, dostawał białej gorączki na myśl, że chciała wstąpić do policji. Postrzegał gliniarzy i prokuratorów jako niższe formy życia. Ale w pewnym sensie był odpowiedzialny za jej pasję. Wszystkie premiery policyjnych filmów akcji wyprodukowanych lub wyreżyserowanych przez klientów ojca sprawiły, że od

wczesnego dzieciństwa była zafascynowana pracą w służbie prawa. Najbliższej jesieni podejmie studia na pierwszym roku Uniwersytetu Northeastern, aby spełnić swoje pragnienia.

Dopiwszy mleko, ponownie zamknęła książkę, odstawiła szklankę do zlewu i wyszła z kuchni, kierując się w stronę schodów, aby pójść do swego pokoju. Jej ojciec miał koneksje i mógł uniemożliwić jej podjęcie letniej pracy w policji kalifornijskiej, ale nie mógł zrobić nic, by wstrzymać jej staż w Roaring Fork. Gdy pomyślał o tym, co wyprawia jego córka, dostawał szału.

I poniekąd o to właśnie chodziło.

W olbrzymim, rozległym domu panowała kompletna cisza. Jenny weszła po łukowato biegnących schodach na piętro; podest tonął w ciemnościach i ciszy. Znów pomyślała o tajemniczym agencie FBI. FBI, hm... Może w przyszłym roku powinnam załatwić sobie staż w Quantico...

U szczytu schodów przystanąła. Coś było nie tak. Przez chwilę nie potrafiła stwierdzić, co konkretnie. Aż wreszcie zrozumiała: drzwi do pokoju jej siostry były otwarte na oścież i na tonący w półmroku korytarz wylewało się słabe światło.

Szesnastoletnia Sarah weszła w wiek, gdy dla nastolatki nie liczyło się prawie nic poza prywatnością. Drzwi do jej pokoju były więc cały czas zamknięte. Jenny pociągnęła nosem, ale nie wyczuła zapachu trawki. Uśmiechnęła się: jej siostra musiała przysnąć nad jakimś pismem. Wykorzysta okazję, aby zakraść się tam i poprzekładać jej rzeczy. To powinno ją obudzić.

Po cichu przeszła wzdłuż korytarza. Podeszła do framugi drzwi, dotknęła jej i zerknęła do środka.

W pierwszej chwili nie była w stanie zrozumieć, co właściwie zobaczyła. Sarah leżała na łóżku skrupowana drutem, z brudną szmatą wciśniętą do ust, w których tkwiła też kula bilardowa – Jenny zauważyła siódemkę na jej żółto-białej powierzchni. Bila była opasana kawałkiem gumki bungee związanej na supeł na potylicy Sarah. W słabym niebieskim świetle Jenny spostrzegła, że kolana siostry mocno krwawiły; na pościeli pojawiły się coraz większe, niemal czarne plamy. Kiedy ze zgrozy i szoku wstrzymała oddech, zrozumiała, że Sarah patrzy na nią pełnym przerażenia, błagalnym wzrokiem.

I wtedy kątem oka Jenny zarejestrowała coś jeszcze. Odwróciła się z cichym westchnieniem, by zobaczyć w korytarzu tuż obok niej koszmarną postać w czarnych dżinsach i obcisłej kurtce z czarnej skóry. Milczącą i zupełnie nieruchomą. W rękawiczkach i z kijem bejsbolowym. Ale najgorsza była maska kłowna – biała, z wielkimi czerwonymi wargami wykrzywionymi w szaleńczym

uśmiechu i z czerwonymi rumieńcami na policzkach. Jenny zatoczyła się do tyłu i nogi ugięły się pod nią. Przez otwory w masce po obu stronach długiego spiczastego nosa mogła zobaczyć parę ciemnych oczu, zupełnie pozbawionych wyrazu, przez co tworzyły upiorny kontrast dla wyszczerzonej maski.

Otworzyła usta do krzyku, ale postać, która w mgnieniu oka eksplodowała gwałtownym ruchem, wyciągnęła rękę i błyskawicznie przytknęła jej do nosa i ust okropnie cuchnący kawałek materiału. Gdy świat wokół Jenny pociemniał i osunęła się na podłogę, usłyszała jeszcze, zanim ogarnął ją mrok, dochodzące spod knebla w ustach Sarah słabe piskliwe skomlenie...

Powoli, bardzo powoli odzyskiwała przytomność. Wszystko było rozmazane i niewyraźne. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Leżała na czymś twardym i gładkim, co ją w jakiś sposób otaczało. Wreszcie, rozglądając się dokoła w ciemnościach, zrozumiała: znajdowała się w wannie w swojej łazience. Co tu robi? Odnosiła wrażenie, jakby przespała wiele godzin. Ale nie – zegar na ścianie nad umywalką wskazywał za dziesięć pierwszą. Odpłynęła zaledwie na kilka minut. Próbowwała się poruszyć i stwierdziła, że ma skrępowane ręce i nogi.

Wtedy wspomnienie tego, co się stało, powróciło do niej z mrozącą krew w żyłach przejrzyścieścią.

W okamgnieniu jej serce zaczęło bić szybciej, jakby chciało wyrwać się z piersi. Próbowwała splunąć, ale okazało się, że nie może. Ciasno zadziergnięty sznur ocierał jej nadgarstki i kostki. W myślach zaczęła widzieć galerię zdjęć z miejsc zbrodni, jakie miała okazję oglądać, przesuwające się jedno za drugim niczym podczas pokazu slajdów.

Zostanę zgwałcona, pomyślała, wzdrygając się na wspomnienie wyszczerzonej maski kłowna. Ale gdyby miało chodzić o gwałt, napastnik nie skrępowałby jej w ten sposób. To było najście na dom, a ona znalazła się w samym środku niebezpiecznych wydarzeń.

Najście na dom.

Może chodzi mu tylko o pieniądze, pomyślała. Albo o biżuterię. Weźmie, co zdoła znaleźć, i pójdzie, a wtedy...

Ale to wszystko rozegrało się w tak przerażającej ciszy, wszystko wydawało się tak potwornie skalkulowane. Najpierw Sarah, teraz ona...

...A co z rodzicami?

Na tę myśl poczuła ogarniającą ją niepohamowaną panikę.

Zacząła szamotać się gwałtownie, jej zuchwy poruszały się, język wypychał tkwiący w ustach knebel. Spróbowała wstać, ale porażający ból, jaki przeszył nogi, omal nie pozbawił jej ponownie przytomności. Zauważyła, że tak jak

siostra miała strzaskane rzepki kolanowe; spod rozdartej okrwawionej skóry wystawały białe krawędzie pogruchotanych kości. Przypomniała sobie kij bejsbolowy w dłoni osłoniętej czarną rękawiczką i jęknęła pod wpływem kolejnej fali paniki, miotając się na dnie wanny pomimo dojmującego bólu okaleczonych nóg.

Nagle w korytarzu rozległy się odgłosy zacieklej walki – ojciec krzyknął, matka wrzasnęła z przerażenia. Jenny przysłuchiwała się temu z niewypowiedzianą zgrozą. Słysząc było łoskot przewracanych mebli i brzęk tłuczonego szkła. Krzyki matki przybrały na sile. Później rozległo się głucho łupnięcie. Ostrzegawcze nawoływania ojca, pełne gniewu i niepokoju, zmieniły się nagle w okrzyki bólu. Zaraz potem dał się słyszeć nieprzyjemny trzask drewna uderzającego o kość i głos ojca zamilkł jak ucięty nożem.

Jenny wsłuchiwała się w przeraźliwą ciszę, skamłając pod kneblem, jej serce biło jeszcze szybciej. Po krótkiej chwili rozległ się inny dźwięk – szloch i biegnące stopy. To matka przebiegła przez korytarz, próbując uciec. Jenny usłyszała, że wbiegła do pokoju Sarah, po czym usłyszała jej krzyk. W tej samej chwili w korytarzu zadudniły cięższe kroki. To nie był ojciec.

Matka znów krzyknęła z przerażenia, słysząc było tupot stóp zbiegających po schodach. Uda jej się, pomyślała Jenny, a w jej wnętrzu jak silne światło zapłonął płomyk nadziei. Włączy alarm, wybiegnie na zewnątrz, zacznie nawoływać sąsiadów, wezwie policję...

Nieznane kroki przyspieszyły, napastnik ciężko zbiegał po schodach.

Ze ściśniętym gardłem Jenny nasłuchiwała cichnących odgłosów. Matka pobiegła do kuchni i głównego panelu instalacji alarmowej. Krzyknęła, bo najwyraźniej intruz zablokował jej drogę. Rozległ się trzask przewracanego krzesła i brzęk zrzuczonych na podłogę naczyń. Jenny, mocując się z więzami, słyszała to wszystko, była w stanie śledzić przebieg pościgu z mrozącą krew w żyłach wyrazistością. Usłyszała kroki matki przebiegającej przez gabinet, salon, bibliotekę. Chwila ciszy. A potem ostrożne skrzypnięcie – matka ukradkiem otwierała drzwi na patio przy basenie. Wymknie się tyłem, pomyślała Jenny. Wyśliźnie się tylnym wyjściem, żeby pobiec do domu MacArthura...

I nagle nastąpiła seria gwałtownych, brutalnych trzasków – matka krzyknęła przeraźliwie jeden jedyny raz, po czym zamilkła. Zapadła cisza.

Nie, niezupełnie cisza. Gdy pojękując, Jenny nasłuchiwała z rozszerzonymi oczami pośród szumu krwi w uszach, znów zdołała wychwycić obce, ciężkie kroki. Zbliżały się. Powoli. Z rozmysłem. Dochodziły z frontowego korytarza. Po chwili usłyszała te same ciężkie kroki na schodach, skrzypnięcie stopnia, który

jej ojciec od dawna miał naprawić.

Blisko. Coraz bliżej. Ktoś zbliżał się od strony korytarza – wszedł do jej sypialni. Po chwili ujrzała ciemną sylwetkę w drzwiach łazienki. Postać milczała, jeżeli nie liczyć ciężkiego, zdyszanego oddechu. Jenny zobaczyła wyszczerzoną do niej maskę kłowna. Intruz nie trzymał już w dłoni kija bejsbolowego. Zastąpiła go plastikowa butelka błyszcząca złociście w słabym świetle.

Postać weszła do łazienki.

Gdy się zbliżyła, Jenny zaczęła się wić na dnie wanny, nie zważając na ból w kolanach. Napastnik nachylił się nad nią. Dłoń, w której ścisnął butelkę, wysunął w jej stronę. Gdy w milczeniu zaczął chlustać na nią strugami złocistego płynu, w pomieszczeniu rozeszła się charakterystyczna gryząca woń – benzyny.

Jenny zaczęła szamotać się jeszcze bardziej.

Człowiek w masce kłowna wciąż oblewał ją benzyną, starannie, aby nie przeoczyć żadnego fragmentu ciała – benzyna zaczęła wsiąkać w ubranie, moczyła włosy, rozlewała się po porcelanowych ścianach wanny. Wreszcie gdy ruchy Jenny stały się jeszcze bardziej desperackie, odstawił butelkę na bok i cofnął się o dwa kroki. Dłoń wsunęła się do kieszeni skórzanej kurtki i wyjęła zapalniczkę. Trzymając ostrożnie za koniec intruz potarł główką zapalniczki o szorstką powierzchnię ściany łazienki. Rozległ się syk i pojawił się żółtawy płomyk, który zawisł tuż nad nią, a ten trwający niespełna sekundę moment zdawał się przeciągać w nieskończoność.

Wreszcie kciuk i palec wskazujący rozsunęły się, wypuszczając zapalniczkę.

...A świat Jenny pośród rozzwierającego ryku eksplodował feerią płomieni.

12

Gdy Corrie Swanson weszła do restauracji w hotelu Sebastian, elegancja tego miejsca ją urzekła. Jadalnię urządzono w stylu radosnych lat dziewięćdziesiątych, z czerwonymi aksamitnymi tapetami na ścianach, wykończeniami z polerowanej miedzi i rżniętego szkła, sufitem z tłoczonego aluminium i mahoniowymi stołami oraz krzesłami wiktoriańskimi, zdobionymi złoceniami i wyłożonymi jedwabiem. Przez wielkie okna zajmujące całą jedną ścianę widać było Main Street rozjaśnioną blaskiem świątecznej iluminacji aż po odległe zbocza gór, ośnieżone stoki narciarskie i rysujące się na tle nieba turnie.

Choć dochodziła północ, w jadalni panował spory tłok, gwar głosów mieszał się z brzękiem naczyń i krzątaniem kelnerów. Światła były przyćmione i Corrie potrzebowała dłuższej chwili, aby wypatrzeć samotną postać Pendergasta siedzącego przy jednym ze stolików przy oknie.

Zbyła szefa sali, który zapytał, czym może jej służyć – wciąż była ubrana w te same ciuchy, które miała na sobie w więzieniu – i podeszła do stolika agenta. Wstał, wyciągając rękę. Jego wygląd zaskoczył ją: wydawał się jeszcze bardziej blady, chudy i ascetyczny – uznała, że pasowało do niego słowo „oczyszczony”.

– Cieszę się, że cię widzę, Corrie. – Ujął jej dłoń w swoją, chłodną jak marmur, po czym wysunął dla niej krzesło.

Usiadła. Zastanawiała się wcześniej, co powie, ale teraz wszystkie emocje wypłynęły z niej wraz z istnym potokiem słów.

– Nie mogę uwierzyć, że jestem wolna. Jak ja się panu odwdzięczę? Byłam po uszy w szambie, myślałam, że już po mnie, no wie pan, bo przecież zmusili mnie, żebym się przyznała i przyjęła propozycję dziesięciu lat za kratkami. Byłam pewna, że już po mnie, że jestem załatwiona, dziękuję, dziękuję za wszystko, za uratowanie mi tyłka, za ocalenie mnie przed własną niewiarygodną głupotą, no i przede wszystkim przepraszam, tak bardzo mi przykro, naprawdę jest mi przykro...!

Uniesiona dłoń zatrzymała niekończący się monolog.

– Napijesz się? Może wina?

– Ee, mam dopiero dwadzieścia lat.

– Ach, no tak. Oczywiście. Wobec tego zamówię butelkę dla siebie. – Wziął do ręki oprawioną w skórę kartę win, tak masywną, że mogłaby posłużyć za narzędzie zbrodni.

– Tu jest o niebo lepiej niż w więzieniu – ciągnęła Corrie, rozglądając się wokoło, chłonąc atmosferę i aromat potraw.

Nie mogła uwierzyć, że jeszcze parę godzin temu była za kratkami, a jej życie wydawało się bezpowrotnie stracone. Wtedy jednak znów jak anioł stróż pojawił się agent Pendergast i wszystko odmienił.

– Uporanie się z papierkową robotą zajęło im więcej czasu, niż się spodziewałem – rzekł Pendergast, przeglądając listę trunków. – Na szczęście restauracja w hotelu Sebastian jest czynna do późna. Myślę, że marka Château Pichon-Longueville rocznik dwa tysiące będzie w sam raz, co ty na to?

– Nie znam się na winach, przykro mi.

– Powinnaś się nauczyć. To jedna z prawdziwych i prądawnych przyjemności, które czynią ludzką egzystencję znośną.

– Hm... wiem, że może to nie jest właściwy moment... ale muszę zapytać... – Poczula, że się czerwieni. – Dlaczego mnie pan uratował? Po co zadał pan sobie tyle trudu? Bo przecież wyciągnął mnie pan z Medicine Creek, zapłacił najpierw za szkołę z internatem, teraz opłaca pan moje chesne w college'u. Ale po co? Jestem do niczego. Wszystko, czego się dotknę, muszę zaraz schrzanić.

Spojrzał na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

– Do wina powinna idealnie pasować porcja jagnięciny dla dwóch osób przyrządzona na lokalny sposób. Jak rozumiem, musi być wyborna.

Spojrzała na menu. Musiała przyznać, że niemal kona z głodu.

– Brzmi zachęcająco.

Pendergast przywołał kelnera i złożył zamówienie.

– Wracając do tego, o czym mówiłam... naprawdę chciałabym wiedzieć, ale tak bez ściemy, dlaczego mi pan pomaga. Zwłaszcza że, no wie pan, stale daję ciała.

Znów spojrzał na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

– Dawłaś ciała? Widzę, że twój niewątpliwy dar posługiwania się czarującymi eufemizmami ani trochę nie osłabł.

– Wie pan, o czym mówię.

Przenikliwe spojrzenie zdawało się świdrować ją na wylot.

– Może któregoś dnia będzie z ciebie naprawdę dobra policjantka, albo

przestępczyni. Oto dlaczego. Nie było żadnego innego powodu.

Znów poczuła, że się czerwieni. Nie była pewna, czy odpowiedź jej się spodobała. Żałowała, że w ogóle zadała to pytanie.

Pendergast znów sięgnął po kartę win.

– Zdumiewające, ile butelek wybornego francuskiego wina z rzadkich roczników trafiło do tego niewielkiego miasteczka położonego w samym sercu gór. Mam szczerą nadzieję, że szybko zostaną wypite, bo wysokość, na jakiej leży osada, wyjątkowo nie służy bordeaux. – Odłożył kartę. – A teraz, Corrie, opowiedz mi, proszę, ze szczegółami, co zauważyłaś, badając kości pana Emmetta Bowdreego.

Przełknęła ślinę. Pendergast był tak cholernie... skryty.

– Miałam na to tylko parę minut. Ale jestem pewna, że tego człowieka nie zabił grizzly.

– Masz na to dowody?

– Zrobiłam kilka zdjęć, ale skonfiskowali mi kartę pamięci. Mogę jedynie powiedzieć, co widziałam lub co wydaje mi się, że zobaczyłam.

– Doskonale.

– Po pierwsze, czaszka wykazywała oznaki strzaskania kamieniem. A na prawej kości udowej zauważyłam ślady zdrapywania jakimś tępym narzędziem, bez oznak jakiegokolwiek reakcji kostnej czy ewentualnej infekcji.

Powolne skinienie głową.

Mówiła dalej z coraz większą pewnością siebie.

– Wydawało mi się też, że widziałam słabe ślady ludzkich zębów na jednej z kości siatkowatych. Te zęby były inaczej rozstawione i nie tak ostre jak kły niedźwiedzia. Myślę, że ten człowiek padł ofiarą kanibali.

W chwilowym zapamiętaniu podniosła głos i nagle uświadomiła sobie, że trochę ją poniosło. Osoby siedzące przy sąsiednich stolikach odwróciły się i patrzyły na nią.

– Ups – powiedziała, wlepiając wzrok w blat stolika.

– Mówiłaś komuś o tym? – zapytał Pendergast.

– Jeszcze nie.

– Bardzo dobrze. Nikomu ani słowa. To mogłoby tylko przysporzyć niepotrzebnych problemów.

– Ale ja muszę zdobyć dostęp do innych szczątków.

– Pracuję nad tym. Co się tyczy innych górników, mam nadzieję, że uda się odnaleźć potomków chociaż kilku z nich. A wtedy, ma się rozumieć, będziemy musieli uzyskać od nich stosowne zezwolenie.

– Och. Dziękuję, ale, no wie pan, mogłabym zająć się tym sama. – Przerwała.
– Jak długo zamierza pan tutaj zostać? Kilka dni?

– W tak cudownym, niestroniącym od uciech, bogatym miasteczku? Chyba nigdy nie widziałem drugiej takiej osady. Na dodatek w święta wygląda czarująco.

– A zatem zamierza pan... zostać dłużej?

– O, jest już wino.

Przyniesiono im butelkę wina i dwa duże kieliszki. Corrie patrzyła, jak Pendergast wykonuje rytuał zakręcenia odrobiny wina w kieliszku, wachania, skosztowania i spróbowania raz jeszcze.

– Obawiam się, że niestety jest korkowe – zwrócił się do kelnera. – Poproszę o przyniesienie następnej butelki. Dla bezpieczeństwa poproszę o rocznik dwa tysiące jeden.

Gęsto się tłumacząc, kelner oddalił się z butelką i kieliszkami.

– Korkowe? – spytała Corrie. – Co to znaczy?

– Że wino jest niedobre i smakuje, powiedzmy, powtarzając za niektórymi, mokrym psem.

Pojawiła się nowa butelka i Pendergast powtórzył cały ceremoniał, ale tym razem pokiwał głową z aprobatą. Kelner napełnił jego kieliszek, po czym skinął butelką w stronę Corrie. Wzruszyła ramionami, a więc napełnił i jej kieliszek.

Corrie upiła łyk. Jak dla niej trunek miał po prostu smak wina.

– Jest prawie tak dobre jak mateus, którego wszyscy pijaliśmy w Medicine Creek – powiedziała.

– Widzę, że nadal lubisz mnie prowokować.

Upiła kolejny łyk. Zdumiewające, jak szybko wspomnienie więzienia rozmywało się w jej pamięci.

– A wracając do mego uwolnienia. Jak to się panu udało?

– Tak się złożyło, że gdy otrzymałem twój drugi list, byłem właśnie w drodze powrotnej do Nowego Jorku.

– Znudziło się panu wreszcie podróżowanie po świecie?

– W gruncie rzeczy twój pierwszy list skłonił mnie do powrotu.

– Tak? A dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć, Pendergast zajrzał w rubinową głębię wina w swoim kieliszku.

– Miałem szczęście, że udało mi się szybko odnaleźć kapitan Bowdree. Wszystko szczerze jej wyjaśniłem: że szczątki jej przodka zostały bezceremonialnie ekshumowane z historycznego miejsca spoczynku, aby

inwestor mógł pobudować tam ekskluzywne spa. Wyjaśniłem, kim jesteś, skąd pochodzisz, czym się zajmujesz i że komendant obiecał ci dostęp do szczątków, a potem zmienił zdanie. Opowiedziałem jej o twoim nieroztropnym włamaniu i że zostałeś złapana. A potem wspomniałem, że czeka cię dziesięć lat więzienia.

Upił łyk wina.

– Pani kapitan natychmiast zrozumiała całą sytuację. Uznała, że nie można dopuścić, aby, tu cytuję, tak rozpieprzyli ci życie. Powtórzyła te słowa jeszcze kilka razy z równie silnym naciskiem, co pozwoliło mi domyślić się, że mogła poniekąd mieć w tej kwestii pewne doświadczenia, być może związane z jej karierą w wojsku. Tak czy owak wspólnie napisaliśmy dość sążnisty list, w którym jednocześnie zagroziliśmy złożeniem skargi do FBI, i pani kapitan udziela ci zgody na przebadanie szczątków jej przodka.

– Och – szepnęła Corrie. – I w ten sposób wyciągnął mnie pan z pudła?

– Odbywało się zebranie mieszkańców oraz rady miejskiej i pozwoliłem sobie, niejako przy okazji, poruszyć na nim kwestię listu pani kapitan. – Pendergast uśmiechnął się łagodnie. – Moja prezentacja okazała się wyjątkowo skuteczna. Przeczytasz o tym ze szczegółami w jutrzejszej gazecie.

– Cóż, ocalił mi pan tyłek. Nigdy nie zdołam się panu za to odwdzięczyć. I proszę podziękować w moim imieniu kapitan Bowdree.

– Nie omieszkam.

W jadalni nagle zrobiło się poruszenie, rozległy się ciche szmery, kilkoro gości zwróciło wzrok w kierunku okien, kilkoro innych wstało od stolików i wskazywało na coś. Corrie podążyła za ich spojrzeniem i dostrzegła niewielki migocący żółty punkcik z boku, na jednym z sąsiednich wzgórz. Punkcik szybko zaczął się powiększać i stawał się coraz jaśniejszy. Teraz kolejni goście wstali z miejsc i podeszli do okien. Gwar narastał.

– O Boże, czyjś dom się pali! – powiedziała Corrie, również podnoszą się, aby móc lepiej się temu przyjrzeć.

– Na to wygląda.

Ogień rozprzestrzenił się z zaskakującą gwałtownością. Dom wydawał się naprawdę olbrzymi, a płomienie ogarniały go z coraz większą żarłocznością; jęzory ognia wystrzeliły w nocne niebo pośród kłębow dymu i fontanny iskier. Gdzieś w mieście dał się słyszeć jęk syreny pożarowej, zawodzący dźwięk, do którego po chwili dołączył kolejny. Teraz już wszyscy goście zerwali się od stołów, wlepiając wzrok w odległe zbocze góry. Ogarnęła ich zgroza, a ciszę, jaka nagle zapadła w sali, rozdarł niespodziewanie czyjś krzyk:

– To dom Bakerów w The Heights!

13

Larry Chivers widział wiele zniszczeń w swojej karierze inspektora do spraw pożarów, ale nigdy nie spotkał się z czymś takim. Dom był olbrzymi, miał powierzchnię ponad pięć tysięcy metrów kwadratowych, zbudowany z masywnych bali, z krokwiami, ścianami z bierwion i dachami z cedru. Spłonął z taką intensywnością, że w miejscach, gdzie były okna, pozostały kałuże stopionego szkła, żar wypaczył nawet stalowe belki podłużne. W promieniu pięciuset metrów od pogorzelska śnieg zniknął zupełnie, a zgliszcza wciąż jeszcze promieniowały falami żaru i biły z nich kłęby cuchnącej pary.

Chivers, który prowadził w Grand Junction firmę zajmującą się badaniem wypadków pożarów, odebrał telefon o siódmej rano. Większość zleceń otrzymywał od zakładów ubezpieczeniowych pragnących dowieść, że pożar powstał w wyniku podpalenia, aby nie trzeba było wypłacać odszkodowania. Jednak od czasu od czasu wzywała go też policja w celu ustalenia, czy dany pożar powstał wskutek wypadku czy może rozmyślnego, zbrodniczego działania. To był jeden z takich wypadków.

Z Grand Junction do Roaring Fork było dwie godziny drogi, ale Chivers dotarł na miejsce w dziewięćdziesiąt minut, pędząc jak szalony w swoim dodge'u pikapie. Lubił podczas jazdy włączać syrenę i koguta i przekraczać dozwoloną prędkość, nie zważając na stojące przy autostradzie patrole drogówki. Pomijając fakt, że sprawa wydawała się naprawdę frapująca, policja z Roaring Fork dobrze płaciła i nie wyklócała się z nim o każdego dolara, jak niektóre z wydziałów policji, z którymi miał wątpliwą przyjemność współpracować.

Jednak jego dobry humor prysnął, gdy na własne oczy ujrzał koszarne pogorzelsko. Nawet komendant policji Morris wydawał się wstrząśnięty; jąkał się, nie potrafił wydobyć z siebie słów ani zapanować nad sytuacją. Chivers starał się otrząsnąć z szoku. Prawda była taka, że dom należał do zamożnej rodziny z Hollywood, która korzystała z tej wielkiej rezydencji tylko przez kilka tygodni w roku. Trudno wykrzesać z siebie choćby odrobinę współczucia dla ludzi tego

pokroju. Bez wątplenia właściciel mógł sobie pozwolić na wybudowanie pięciu takich domów i nie nadszarpnęłoby to jego budżetu. Facet, który był właścicielem posesji, Jordan Baker, zniknął, jakby zapadł się pod ziemię, i nikt nie był w stanie się z nim skontaktować, aby powiadomić go o pożarze. Zapewne przebywał teraz z rodziną w którymś ze szpanerskich kurortów. A może mieli trzeci dom, co ani trochę nie zdziwiłoby Chiversa.

Zaczął się przygotowywać do swojej pracy, sprawdzając sprzęt, testując dyktafon cyfrowy i nakładając lateksowe rękawiczki. Jednym z plusów ewidentnej niemocy, jaka ogarnęła komendanta, było to, że pogorzeliśko nie zostało zdeptane. Eksperci sądowi wciąż stali z boku, czekając na zezwolenie, aby mogli robić to, co do nich należy. Morris nie dopuścił nikogo do zgliszczy, oczekując na przyjazd Chiversa, który był mu za to głęboko wdzięczny. Choć jak zwykle Larry musiał brać pod uwagę skutki działań jednostek straży pożarnej, zwalone ściany i uszkodzone podłogi, nagromadzone zwały rozmaitych szczątków i fakt, że wszystko było obficie zalane wodą. Strażacy przeprowadzili pobieżne badanie integralności struktury budynku i stwierdziwszy, że niektóre fragmenty rezydencji grożą zawaleniem, odcięli dostęp do nich, rozpinając na zagrożonym obszarze taśmę zabezpieczającą. Chivers zarzucił torbę na ramię i skinął głową do Morrisa.

– Jestem gotowy.

– Dobrze – powiedział jakby od niechcienia komendant. – Świetnie. Rudy pana poprowadzi.

Strażak imieniem Rudy uniósł taśmę, po czym poprowadził Chiversa brukowanym chodnikiem do miejsca, gdzie znajdowały się drzwi frontowe. Pogorzeliśko okropnie cuchnęło spalenizną; rozmiękłym plastikiem, drewnem i poliuretanem. Wewnątrz wciąż było gorąco pomimo ujemnych temperatur na zewnątrz, w domu tlił się żar, a w mroźne błękitne niebo wzbijały się kłęby pary. Chivers nałożył kask ochronny, ale nie wziął aparatu tlenowego: postrzegał siebie jako inspektora pożarnictwa starej daty, twardego, rzeczowego, polegającego na intuicji, pozostawiającego naukę jajogłowym z laboratorium. Przywykł do smrodu, a nosa potrzebował, by móc wyczuć pozostałości ewentualnych przyspieszaczy.

Przystanął za drzwiami; znalazł się w miejscu, które zapewne było holem. Całe piętro runęło, przez co na parterze zrobił się wielki bałagan. Schody urywały się, jakby prowadziły ku niebu. Tu i ówdzie znajdowały się kałuże roztopionego szkła i metalu oraz sterty strzaskanej przez żar porcelany.

Przeszedł z holu do pomieszczenia, gdzie, sądząc po śladach osmaleń, musiała

być kuchnia. W tym biznesie chodziło przede wszystkim o stwierdzenie, czy doszło do podpalenia – czy popełniono przestępstwo. W tym wypadku Chivers nie miał wątpliwości, że ktoś podpalił. Jedyne przyspieszacze mogły sprawić, że ogień rozprzestrzenił się szybko i osiągnął wysoką temperaturę. Potwierdzenie tego uzyskał, gdy rozejrzał się po kuchni i natrafił na ślady jakiejś substancji, którą rozlano na tym, co pozostało z wyłożonej terakotą posadzki. Ukląkł, wyjął z torby przenośny wykrywacz węgłowodoru, po czym pobrał kilka próbek powietrza, przesuwając urządzeniem to w jedną, to w drugą stronę. Umiarkowanie i rozsądnie.

Wciąż klęcząc, wbił ostrze noża w spaloną posadzkę i wydobywszy kilka kawałków spalonej terakoty, umieścił je w nylonowych torebkach na materiały dowodowe.

W kuchni panował okropny nieład, wszystko było wypalone, zwęglone, stopione. Do kuchni wpadła łazienka z pierwszego piętra ze szczątkami porcelanowej wanny wspartej na żelaznych nóżkach w kształcie lwich łap oraz fragmenty umywalki, toalety, kafelkowej podłogi i ścian, które usypały się dokoła w nierówne sterty.

Wykorzystując wykrywacz, Chivers stwierdził wyraźną obecność węgłowodoru w tym, co pozostało z łazienki z pierwszego piętra. Pełzając naprzód na czworakach i przesuwając czujnikiem tuż nad ziemią, próbował zlokalizować źródło wykrytych substancji. Wskaźniki poziomu węgłowodoru zaczęły wzrastać, w miarę jak Chivers zbliżał się do wanny. Wstał i zajrzał do środka. W wannie było sporo różnych substancji, na dnie gruba warstwa gęstego czarnego szlamu, a w niej pogrążone jakieś szczątki.

Pobrał próbkę gęstego mułu i zamieszał tę substancję palcem osłoniętym lateksem. Wskaźniki urządzenia zaczęły szaleć. W tej samej chwili Chivers znieruchomiał. Wśród błota i rumowiska dostrzegł wystające fragmenty kości, a w miejscu, które przed chwilą rozgarnął palcem, kilka zębów. Ludzkich zębów. Ostrożnie podłubał w bloku, odsłaniając niewielki fragment czaszki, żuchwy i oczodołu.

Chivers podparł się, opuścił czujnik; igła wykrywacza znów skoczyła na drugi koniec skali. Wyjął swój cyfrowy dyktafon i zaczął mówić do mikrofonu:

– A więc dom nie był wcale pusty. Nie ulega wątpliwości, że ciało zostało ułożone w wannie i obficie polane przyspieszaczem.

Odstawił dyktafon na bok, wyjął jeszcze jedną nylonową torebkę na materiały dowodowe, po czym pobrał próbki błota, szczątków i kilku drobnych fragmentów kości. Gdy tak gmerał w czarnym szlamie, spostrzegł coś

błyszczącego – złotą bryłkę, która bez wątpienia była elementem biżuterii. Zostawił ją, ale wziął próbki błota i drobin wokół niej, łącznie ze zwęglonymi fragmentami czegoś, co musiało być kiedyś palcami.

Wstał, ciężko oddychając i czując lekkie mdłości. To było trochę więcej niż wszystko, do czego do tej pory przywykł. Zanosił się na grubszą sprawę. Na wielką sprawę. Skup się, powiedział do samego siebie, biorąc kolejny głęboki oddech.

Chivers skinął głową do Rudy'ego i podążył za strażakiem przez dalszą część domu, operując czujnikiem, pobierając próbki i recytując swoje spostrzeżenia do dyktafonu. Zwęglone szczątki czegoś, co było kiedyś psem, stopiły się z kamienną posadzką na tyłach domu. Obok nich leżały dwie kupki popiołów, które Chivers zidentyfikował jako zwęglone zwłoki dwóch kolejnych ofiar, osób dorosłych, leżących jedna przy drugiej, jak można było sądzić po długości tych stosików. Kolejne kałuże roztopionego złota i srebra.

Jezu. Sprawdził czujnikiem, ale nie odkrył niczego znaczącego. Chryste, nikt mu nie powiedział – dopiero teraz uświadomił sobie, że miejscowa policja nie miała o tym pojęcia – iż w pożarze zginęli ludzie.

Jeszcze parę głębokich oddechów i Chivers ruszył dalej. I wreszcie w pomieszczeniu, które musiało być salonem, natknął się na coś innego. Na zapadniętej podłodze leżały ociekające wodą sterty rozmaitych szczątków, a pośrodku spoczywały resztki częściowo stopionego łóżka. Gdy podszedł do zniszczonego materaca, z którego wystawały poskręcane, zniekształcone sprężyny, zauważył przymocowane do nich pętle z drutu, jakby coś było przywiązane do łóżka. Cztery pętle, rozmieszczone tam, gdzie powinny znajdować się ludzkie przeguby i kostki. A w jednej z tych drucianych pętli spostrzegł fragment małej, należącej do młodej osoby kości piszczelowej.

Jezus, Maria. Chivers zbliżył czujnik do materaca, a igła wskaźnika nieomal wyskoczyła poza podziałkę. To, co się tu stało, było aż za bardzo oczywiste. Dzieciak został przywiązany drutem do łóżka, obłany przyspieszaczem i podpalony.

– Muszę na chwilę na powietrze – powiedział, podnosząc się chwiejnie i zataczając w stronę wyjścia. – Muszę odetchnąć.

Strażak schwycił go za ramię.

– Wyprowadzę pana.

Gdy Chivers wyszedł z pogorzelniska i ledwie trzymając się na nogach, zaczął iść chodnikiem, kątem oka dostrzegł bladego mężczyznę w czarnym garniturze, przypuszczalnie tutejszego koronera, stojącego wśród zgromadzonego tłumu

i przyglądającego mu się z uwagą. Zachowanie zimnej krwi sporo go kosztowało. Z trudem nad sobą panował.

– Już wszystko w porządku, dziękuję – rzekł do strażaka, uwalniając się z krępującego uścisku pomocnego ramienia Rudy’ego.

Rozejrzył się dokoła i odnalazł komendanta Morrisa w tymczasowym punkcie dowodzenia, otoczonego coraz liczniejszymi ekipami ekspertów, fotografów, speców od daktyloskopii, zbierania włókien i włosów oraz próbek DNA.

Tylko spokojnie, powiedział do siebie. Ale nie potrafił się uspokoić. Nogi miał jak z waty i nie był w stanie iść, nie zataczając się przy tym jak pijany.

Podszedł do komendanta. Morris był spocony pomimo chłodu na dworze.

– Co pan odkrył? – zapytał półgłosem.

– To miejsce zbrodni – odrzekł Chivers, próbując zapanować nad drżącym głosem. Przed jego oczami pojawiły się roztańczone powidoki. – Cztery ofiary. To znaczy co najmniej cztery. Tyle zdołałem odnaleźć.

– Cztery? O Boże. A więc byli w domu. Byli tam wszyscy. Cała rodzina... – Komendant drżącą ręką otarł spocone czoło.

Chivers przełknął ślinę.

– Jedną z ofiar była... osoba nieletnia, którą... przywiązano do łóżka, oblaną łatwopalnym środkiem... i podpalono. Inna spłonęła w... w...

Kiedy Chivers próbował wydobyć z siebie słowa, oblicze komendanta zwiotczało, jednak prawie tego nie zauważył. Świat wokół niego z każdą chwilą ciemniał coraz bardziej.

I nagle, wciąż próbując dokończyć zdanie, Chivers osunął się na ziemię zemdłony.

14

Corrie wstała przed świtem, pozbierała swój sprzęt i wyruszyła do Roaring Fork. Zbliżało się południe, a ona pracowała bez wytchnienia w magazynie w The Heights. Szczątki Emmetta Bowdreego zostały starannie rozłożone na składanym plastikowym stoliku, który Corrie nabyła w Walmarcie i wokół którego rozlokowała silne lampy, jakich używa się w pracowniach artystycznych. Ustawiła stereozoom, podłączyła do laptopa i na ekranie pojawił się obraz z mikroskopu. Jej nikon był już zamocowany na statywie. Cóż za wspaniałe uczucie móc pracować starannie i w spokoju, nie obawiając się, że w każdej chwili ktoś odkryje jej obecność.

Jedyny problem polegał na tym, że odmrażała tu sobie tyłek. Było dobrze poniżej zera, gdy wyruszyła z Basaltu; odmówiła skorzystania z darmowego pokoju w hotelu Sebastian wynajętego dla niej przez uczynnego Pendergasta. Darowała sobie śniadanie, aby zaoszczędzić parę dolców, więc teraz nie dość, że była zziębnięta, to jeszcze mocno wygłodniała. Ustawiła przy nogach tani grzejnik elektryczny, ale urządzenie niemiłosiernie szumiało i warkotało, a strumień ciepłego powietrza ledwie do niej docierał. Ogrzewał jej tylko łydki.

Ale ani zimno, ani głód nie stłumiły w niej narastającego podniecenia wywołanego tym, co zdołała odkryć. Niemal na wszystkich kościach widać było uszkodzenia w postaci śladów zadrapań, cięć zadanych tępym narzędziem oraz żłobień. Żaden ślad nie wykazywał oznak reakcji kostnej, zaognienia lub granulacji, co oznaczało, że obrażenia zostały zadane tuż przed śmiercią mężczyzny. Miękkie, siatkowate lub gąbczaste tkanki kostne nosiły niezaprzeczalnie wyraźne ślady zębów – nie kłów niedźwiedzia, lecz zębów ludzkich, jak można było wnioskować po promieniu ugryzienia i na podstawie profilu zęba. Prawdę mówiąc, Corrie nie zauważyła żadnych śladów niedźwiedzich kłów ani pazurów.

Wewnątrz złamanej kości udowej i czaszki odkryła dodatkowe rysy i ślady żłobienia wskazujące na to, że mózg oraz szpik zostały z nich wybrane

metalowym narzędziem. Pod stereozoomem ślady zdejmowania mięsa z kości ujawniły bardzo słabo widoczne równoległe linie biegnące blisko siebie oraz coś, co wyglądało jak osad tlenku żelaza i mogło sugerować, że użyto starego żelaznego pilnika.

Pierwsze uderzenie w czaszkę z całą pewnością zadano kamieniem. Pod mikroskopem Corrie zdołała wydobyć kilka jego maleńkich fragmentów, które przy bliższym badaniu okazały się kawałkami kwarcu.

Również klatka piersiowa mężczyzny została rozłupana kamieniem, żebra wyłamano najwyraźniej po to, by dostać się do serca. Kości wykazywały niewielkie ślady obrażeń zadanych ostrym narzędziem, takim jak siekiera lub nóż, nie było też żadnych ran, które mogły powstać w wyniku postrzału. To zaskoczyło Corrie, bo przecież w tamtych czasach większość górników miała rewolwer albo przynajmniej nóż.

Artykuł prasowy z tamtego okresu relacjonujący odkrycie zwłok Emmetta Bowdreego stwierdzał, że jego kości zostały odnalezione rozwłóczone na ziemi sto metrów od drzwi jego chatki, a mężczyzna został „niemal w całości pożarty” przez rzekomego niedźwiedzia. Być może z uwagi na wrażliwość czytelników nie wymieniono szczegółowo, które części ciała zostały pożarte albo jak rozwłóczone były kości, pojawiła się jednak wzmianka, że „fragmenty serca i innych organów wewnętrznych zostały odkryte w pewnej odległości od ciała, na wpół zjedzone”. W artykule nie było ani słowa o ogniu czy gotowaniu, a i przeprowadzone przez Corrie badanie szczątków nie wykazało, aby kości poddano działaniu wysokich temperatur.

Emmett Bowdree został pożarty na surowo.

Podczas pracy Corrie oczyma duszy zaczęła postrzegać sekwencję obrażeń, które odniósł Bowdree. Musiał zostać osaczony przez grupę ludzi; jedna osoba nie byłaby w stanie rozerwać ludzkiego ciała z taką gwałtownością. Uderzono go kamieniem w tył głowy, co spowodowało silne uszkodzenie czaszki. Być może ten cios okazał się śmiertelny, zabijając Emmetta na miejscu, najprawdopodobniej jednak tylko pozbawił go przytomności. Potem napastnicy zaczęli okładać całe ciało mężczyzny gradem ciosów, gruchocząc niemal wszystkie kości, a następnie rozczłonkowali je na wysokości głównych stawów – wyraźnie można było dostrzec ślady chaotycznych uderzeń zadawanych ostrymi kawałkami kamieni. Później ciało zostało rozerwane na kawałki gołymi rękami. Po wyłamaniu stawów napastnicy oddzielili kończyny od korpusu, rozczłonkowali nogi w kolanach, rozłupali czaszkę, usuwając mózg, i odarli mięso z kości, połamali większe kości, wybierając z nich szpik, i wyjęli

większość organów wewnętrznych. Zabójcy zdawali się dysponować jednym tylko narzędziem, starym, zniszczonym pilnikiem, dlatego pomagali sobie ostrymi kawałkami kwarcu, gołymi rękami i zębami.

Corrie podejrzała, że zabójstwo zostało zapoczątkowane przez wybuch wściekłości i gniewu, po czym przerodziło się w ucztę kanibali. Odstąpiła na moment od szczątków, rozmyślając. Co za banda dokonała tak strasznego czynu? I dlaczego? Raz jeszcze uznała za bardzo dziwne, że w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku w górach mogli grasować mordercy nieposiadający broni palnej ani noży. No i dlaczego nie usmażyli albo nie ugotowali mięsa? Zupełnie jakby byli plemieniem zabójców z epoki kamienia, bezlitosnymi, bezwzględnyimi dzikusami.

Bezlitosne, bezwzględne dzikusy. Ogrzewając się przy elektrycznej dmuchawie i zacierając ręce, Corrie znów powróciła myślami do strasznego pożaru, do jakiego doszło poprzedniego wieczoru i do śmierci Jenny Baker. Wydawało się niepojęte, że cała rodzina zginęła w płomieniach. Przed godziną do magazynu zajrzał dozorca i przekazał jej tę nowinę. Nic dziwnego, że zdołała prześlizgnąć się przez ochronę osiedla The Heights o dziesiątej rano i nikt nawet nie próbował jej zatrzymać – przepuszczono ją przez bramę i pozostawiono samą, bez żadnego nadzoru.

Cały ten koszmar, wspomnienie twarzy Jenny Baker, miłej, sympatycznej i niebrzydkiej dziewczyny, wciąż nie dawały jej spokoju. Skup się na pracy, powiedziała do siebie, prostując się i przygotowując do ułożenia pod mikroskopem kolejnej kości do zbadania. Teraz potrzebowała jedynie dotrzeć do innych szczątków, dla porównania. Pendergast powiedział, że jej pomoże i postara się odszukać potomków innych górników. Przerwała na chwilę pracę, usiłując ustalić, co w tym wszystkim tak bardzo ją denerwowało. Agent miał tak silną osobowość, że potrafił obrócić na swoją korzyść każdą sytuację, w jakiej się znalazł. Ale to był jej projekt – i zamierzała go dokończyć sama. Nie chciała, aby ludzie w college'u, a zwłaszcza jej promotor, odrzucili pracę dlatego, że wspierał ją słynny agent FBI. Nawet najdrobniejsza pomoc z jego strony mogła zniweczyć jej odkrycie i spowodować, że praca zostanie automatycznie odrzucona.

Zaraz jednak Corrie odeгнаła od siebie tę myśl. Agent właśnie ocalił jej karierę, a może nawet życie. Władcze podchodzenie do tej sprawy, próba całkowitego jej zawłaszczenia byłaby przejawem niewdzięczności. Poza tym Pendergast zawsze unikał rozgłosu i przypisywania sobie jakichkolwiek zasług.

Zdjęła rękawiczki, aby ułożyć kość piszczelową pod mikroskopem. Przesunęła ją, aż światło padło na kość pod właściwym kątem. Widniały na niej takie same

ślady jak na innych kościach: wyraźne pęknięcia i złamania goleni, brak oznak gojenia, wyraźne rysy i zadrapania, a także najwyraźniejsze jak dotąd ślady zębów. Ludzie, którzy to zrobili, byli wynaturzeni. A może po prostu byli naprawdę, ale to naprawdę wściekli?

Ręce niemal całkiem jej odmarzały, ale zdołała wykonać serię zdjęć, zanim znów musiała zrobić sobie chwilę przerwy, aby ogrzać się przy dmuchawie.

Oczywiście istniała możliwość, że był to odosobniony przypadek. Inne ofiary mogły naprawdę zostać zabite przez niedźwiedzia ludojada. Artykuły prasowe cytowały relacje świadków, którzy widzieli to zwierzę, a w jednym wypadku natknęto się na bestię, która akurat pożerała ciało górnika – ogryzała z mięsa jego kości. Corrie coraz bardziej kusilo, aby zajrzeć do którejś z pozostałych trumien, ale się pohamowała. Od tej pory zamierzała robić wszystko zgodnie z prawem.

Kiedy znów odzyskała czucie w dłoniach, wyprostowała się. Jeżeli pozostałe szczątki okażą się pozostałościami ofiar bandy morderców, będzie musiała zmienić temat swojej pracy. Będzie mieć odtąd do czynienia z przypadkiem seryjnych zabójstw sprzed stu pięćdziesięciu lat. I co tu dużo mówić, byłoby naprawdę świetnie, gdyby zdołała rozwikłać tę sprawę. To z pewnością popchnęłoby do przodu jej rozwijającą się dopiero od niedawna karierę.

15

Larry Chivers, stojąc obok swojej furgonetki, zapieczętował torebki na materiały dowodowe zgrzewarką do folii i kończył nagrywać na dyktafon swoje spostrzeżenia. Doszedł już do siebie, ale wciąż czuł gniewne zakłopotanie. Coś takiego nigdy mu się nie zdarzyło – przenigdy. Odnosił wrażenie, że wszyscy na niego patrzyli i szeptali o nim za jego plecami.

Krzywiąc się, starannie zabezpieczył ostatnią torebkę. Zakończył rejestrowanie swoich uwag, dopóki jeszcze miał wszystko na świeżo w pamięci. Musiał być absolutnie pewny, że zrobił wszystko jak należy. To będzie duża sprawa, może nawet o wydźwięku ogólnokrajowym. Z tyłu za nim rozległ się jakiś dźwięk, a gdy się odwrócił, ujrzał zbliżającego się ku niemu Morrisa. Komendanta wyglądał na kompletnie rozbitego.

– Przepraszam za moją wcześniejszą reakcję – wymamrotał Chivers.

– Znałem tę rodzinę – powiedział policjant. – Jedna z tych dziewcząt pracowała w moim biurze jako stażystka.

Chivers pokręcił głową.

– Przykro mi.

– Czy mógłby pan zrekonstruować przebieg tego pożaru.

– Mogę podzielić się z panem jedynie pierwszymi wrażeniami. Wyniki badań laboratoryjnych potrwają pewnie kilka dni.

– Słucham.

Chivers wziął głęboki oddech.

– Moim zdaniem zarzewie pożaru znajdowało się albo w wannie w łazience na pierwszym piętrze, albo w sypialni nad salonem. W obu tych miejscach użyto sporych ilości przyspieszacza. Sprawca zapewne musiał opuścić dom w pośpiechu. W obu wymienionych przeze mnie miejscach odkryłem szczątki ludzkie.

– Chce pan powiedzieć, że Bakerowie... ofiary... zostały spalone przy użyciu przyspieszacza?

– Dwie osoby tak.

– Spalone żywcem?

Cóż za pytanie.

– Będzie to musiał stwierdzić koroner, ale wątpię.

– Dzięki Bogu.

– Kolejne dwie ofiary odnalazłem przy tylnych drzwiach, zapewne tamtędy sprawca opuścił dom. Były tam również zwłoki psa.

– Reksa – rzekł do siebie komendant, wycierając czoło drżącą ręką.

Chivers spostrzegł mężczyznę w czarnym garniturze, tego samego, na którego już wcześniej zwrócił uwagę, stojącego między ludźmi w pewnym oddaleniu i przyglądającego im się. Zmarszczył brwi. Dlaczego przedsiębiorcy pogrzebowemu pozwolono wejść poza granicę kordonu?

– Motyw? – zapytał komendant.

– Mogę jedynie snuć przypuszczenia – odparł Chivers. – Ale na podstawie trzydziestoletniego doświadczenia podejrzewam, że mamy tu do czynienia z przypadkiem najścia na dom i kradzieży połączonych przypuszczalnie z przestępstwem o charakterze seksualnym. Ponieważ cała rodzina została obezwładniona i unieszkodliwiona, można przypuszczać, że sprawców było kilku.

– To nie była kradzież – rozległ się łagodny, melodyjny głos.

Chivers odwrócił głowę, by ujrzeć, że mężczyzna w czarnym garniturze zdołał podejść niepostrzeżenie i stał teraz tuż za nimi. Skrzywił się.

– Rozmawiam z komendantem. A pan nam przeszkadza.

– Tak się tylko panu wydaje. Chciałbym podsunąć kilka uwag i spostrzeżeń na potrzeby śledztwa. Zwykły rabuś nie zadałby sobie tyle trudu, aby skrupować swoje ofiary, a potem spalić je żywcem.

– Żywcem? – powtórzył komendant. – Skąd pan to wie?

– Sadyzm i wściekłość są w wypadku tej zbrodni nadto widoczne. Sadysta pragnie widzieć, jak jego ofiary cierpią. Stąd czerpie największą satysfakcję. Przywiązać kogoś do łóżka, oblać benzyną, a potem podpalić – gdzie satysfakcja z popełnionego czynu, gdyby ofiara już była martwa?

Twarz komendanta poszarzała jak popiół. Jego usta poruszały się, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

– Bzdura – wycedził z emfazą Chivers. – To było najście na dom i kradzież. Miałem już wcześniej do czynienia z takimi przypadkami. Sprawcy wdzierają się do domu, widzą ładne dziewczyny, robią z nimi, co zechcą, zgarniają biżuterię, a potem puszczają cały dom z dymem w nadziei, że to zniszczy dowody,

a zwłaszcza ich DNA w ciałach dziewcząt.

– Tylko że ci rzekomi sprawcy nie zabrali żadnej biżuterii, jak przed paroma minutami sam pan raczył odnotować na potrzeby rejestrowanego nagrania, wspominając o kilku roztopionych złotych bryłkach, które pan napotkał.

– Ejże, ejże! Podśluchiwał pan, co mówię? Kim pan jest, do cholery? – Chivers odwrócił się do komendanta. – Czy ten człowiek jest tu służbowo?

Komendant przetarł czoło chusteczką. Wyglądał na niezdecydowanego i przerażonego.

– Proszę. Już dość.

Mężczyzna w czarnym garniturze przyglądał mu się przez chwilę srebrzystymi oczami, po czym wzruszył nonszalancko ramionami.

– Nie pełnię tu oficjalnie żadnej funkcji. Jestem zwykłym gapiem dzielącym się swoimi spostrzeżeniami. Nie będę wam dłużej przeszkadzał, panowie, róbcie, co do was należy.

Odwrócił się, aby odejść, ale w pewnej chwili przystanął i rzucił przez ramię:

– Powinienem jednak nadmienić, że to raczej nie koniec... będą... kolejne.

I oddalił się. Prześlizgnął się pod policyjną taśmą i rozpląnął wśród tłumu gapiów.

16

Horace P. Fine III przystanął, obrócił się na pięcie i otaksował Corrie wzrokiem od stóp do głów, jakby coś nagle mu przyszło do głowy.

– Masz doświadczenie w opiekowaniu się domem? – zapytał.

– Ależ oczywiście – odparła natychmiast Corrie.

Było to poniekąd zgodne z prawdą: gdy jej matka wychodziła na nocną popijawę, musiała zajmować się ich domem, czy raczej przyczepą mieszkalną. No i pół roku temu mieszkała u ojca, na czas jego wyjazdu na targi pracy do Pittsburgha.

– Ale nigdy tak dużym – dodała, rozglądając się dokoła.

Fine spojrział na nią podejrzliwie, a może po prostu miał taki wyraz twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby w każdym wypowiedzanym słowie pobrzmiwała nuta nieufności.

– Cóż, nie miałem czasu sprawdzić twoich referencji – odparł. – Osoba, którą wynająłem, wycofała się w ostatniej chwili, a ja muszę załatwić pilne sprawy w Nowym Jorku i już jestem spóźniony. – Nieznacznie przymrużył oczy. – Ale będę miał cię na oku. Chodź, pokażę ci twoje pokoje.

Corrie podążyła za mężczyzną przez długi, rozbrzmiewający echem korytarz na parterze, zastanawiając się, jak Horace P. Fine zamierzał mieć ją na oku z odległości trzech tysięcy kilometrów.

Z początku to zakrawało na cud. Dowiedziała się o ofercie przypadkiem; podsłuchiwała w kafejce rozmowę na temat domu, którym trzeba by się zająć. Kilka telefonów doprowadziło ją do właściciela. Idealna sytuacja – dom znajdował się w Roaring Fork. Koniec z pokonywaniem prawie trzydziestu kilometrów w jedną stronę i powrotami do obskurnego motelu. Mogła nawet wprowadzić się jeszcze tego samego dnia. Teraz będzie zarabiać pieniądze, zamiast je wydawać, co więcej, zrobi to z klasą.

Kiedy jednak zjawiała się w rezydencji na spotkanie z właścicielem, jej entuzjazm osłabł. Choć dom teoretycznie znajdował się w Roaring Fork, stał na

kompletnym odludziu, u podnóża gór, na końcu wąskiej, krętej, ciągnącej się przez ponad półtora kilometra prywatnej drogi. Był wielki, bez dwóch zdań, ale ten okropny postmodernistyczny projekt ze szkła, stali i łupków nadawałby się raczej na siedzibę lecznicy stomatologicznej niż zamieszkanie. W przeciwieństwie do większości wielkich rezydencji, jakie miała okazję widzieć, wznoszących się na zboczach wzgórz i oferujących przepiękne widoki, tę postawiono na samym dnie kotliny otoczonej z trzech stron strzelistymi jodłami, przez co dom wydawał się stale pogrążony w półmroku. Z czwartej strony rozciągała się głęboka lodowa rozpadlina wypełniona ośnieżonymi głazami; pozostałość dawnego osuwiska. Jak na ironię większość olbrzymich panoramicznych okien wychodziła na ten właśnie „widowiskowy” element krajobrazu. Wystrój wewnątrz był tak agresywnie współczesny i spartański, że pasowałby raczej do więzienia o surowym rygorze; chromowany metal, szkło i marmury – z wyjątkiem drzwi nie było tu praktycznie żadnych prostych i równych krawędzi, a na ścianach wisały wyszczerzone maski, włochate gobeliny i inne niepokojące eksponaty sztuki afrykańskiej. Na dodatek w domu było zimno, niemal tak jak w magazynie, gdzie wykonywała swoją pracę. Podczas całego obchodu miała na sobie kurtkę.

– Te prowadzą do drugiej piwnicy – powiedział Fine, przystając, by wskazać zamknięte drzwi. – Na dole jest stary piec. Ogrzewa wschodnią część domu.

Ogrzewa. No jasne.

– Druga piwnica? – spytała Corrie.

– To jedyna pozostałość oryginalnego domu. Gdy wyburzano domek myśliwski, deweloper zostawił piwnicę, aby wznieść na niej nową budowlę.

– Był tu domek myśliwski?

Fine parsknął.

– Ten domek myśliwski nazywany był Wąwozem Kruków, ale w rzeczywistości była to po prostu stara chata z bali. Pewien fotograf korzystał z niej jako bazy wypadowej, gdy wyruszał w góry robić zdjęcia. Nazywał się Adams. Mówiono mi, że był sławny.

Adams. Ansel Adams? Corrie potrafiła to sobie wyobrazić. Niegdyś zapewne znajdowała się tu przytulna mała chatka w stylu rustykalnym, ukryta wśród drzew, w odludnym zakątku, dopóki jej nie wyburzono, aby wybudować to okropne monstrum. Nie zdziwiło jej, że Fine nie słyszał o Adamsie, jedynie filister mógłby nabyć te wszystkie, pożałuj Boże, dzieła sztuki.

Horace Fine sam był niemal równie chłodny jak jego dom. Zarządzał funduszem hedgingowym na Manhattanie. A może amerykańską filią jakiegoś

zagranicznego banku inwestycyjnego. Corrie słuchała tylko jednym uchem, gdy jej o tym mówił. Filia, fundusz, dla niej to wszystko czarna magia. Na szczęście Fine najwyraźniej nie miał okazji o niej usłyszeć ani nie wiedział o jej niedawnym pobycie w tutejszym więzieniu. Dał jej jasno do zrozumienia, że nie znosi Roaring Fork, nienawidzi tego domu i kobiety, która zmusiła go, aby nabył tę nieruchomość, a która teraz na wszelkie możliwe sposoby utrudnia mu pozbycie się jej. W rozmowie z Corrie nie nazywał tej kobiety inaczej niż jędra lub megiera. Uskarżał się na nią przez dobrych dwadzieścia minut. Pragnął tylko tego, by ktoś tu zamieszkał i zajął się domem, aby on sam mógł jak najszybciej wrócić do Nowego Jorku.

Prowadził ją dalej korytarzem. Dom był równie rozległy, jak szpetny. Wydawał się składać z jednego niekończącego się korytarza, który od czasu do czasu skręcał pod kątem, to w jedną, to w drugą stronę w zależności od ukształtowania terenu. Wszystkie ważne pokoje znajdowały się po lewej, od strony rozpadliny. Cała reszta – łazienki, garderoby i pomieszczenia gospodarcze – była rozmieszczona po prawej stronie jak czyraki na kończyńie. O ile zdołała się zorientować, pierwsze piętro miało podobny rozkład.

– Co się tu znajduje? – spytała Corrie, przystając przed nie do końca przymkniętymi drzwiami po prawej stronie.

Górne światła się nie paliły, ale wewnątrz pomieszczenia było rozjaśnione upiorną poświatą dziesiątków zielonych, czerwonych i bursztynowych światełek.

Fine znów się zatrzymał.

– To pomieszczenie techniczne. Właściwie możesz tam zajrzeć.

Otworzył drzwi szerzej i zapalił światło. Corrie rozejrzała się dokoła, otaksowując wzrokiem całą gamę rozmaitych paneli, ekranów i urządzeń.

– Oczywiście to inteligentny dom – powiedział Fine. – Wszystko jest zautomatyzowane i możesz to monitorować bezpośrednio stąd, stan generatora, sieci zasilania, systemów bezpieczeństwa i kontroli elektronicznej. Kosztowało fortunę, ale ostatecznie pozwoliło mi zaoszczędzić krocie na opłatach za ubezpieczenie. Wszystko jest podłączone do sieci i dostępne również w internecie. Mogę nadzorować cały system poprzez moje komputery w Nowym Jorku.

A więc to w ten sposób zamierza mieć mnie na oku, pomyślała Corrie.

– Jak działa system kontroli elektronicznej?

Fine wskazał na wielki płaski panel z niewielkim komputerem typu wszystko w jednym i umieszczonym poniżej urządzeniem, wyglądającym jak odtwarzacz DVD na sterydach.

– Są tutaj dwadzieścia cztery kamery. – Fine nacisnął przycisk i panel ożył, ukazując obraz salonu. W lewym górnym rogu widniał numer, a u dołu data i aktualny czas. – Każdemu z tych dwudziestu czterech przycisków przyporządkowana jest jedna z kamer. – Nacisnął guzik z napisem „podjazd” i obraz zmienił się, ukazując, jakżeby inaczej, podjazd ze stojącym na nim pośrodku rękodem z wypożyczalni.

– Czy kamerami można manipulować? – spytała Corrie.

– Nie. Ale każdy ruch wychwycony przez czujniki aktywuje kamery i zostaje zarejestrowany na twardym dysku. O, proszę, sama zobacz. – Fine wskazał na ekran, gdzie przez podjazd przechodził właśnie jeleń. Poruszające się na ekranie zwierzę zostało otoczone niewielką chmurą czarnych kwadracików – niemal jak w ramie kompozycyjnej cyfrowego aparatu fotograficznego – i chmura ta podążyła w ślad za zwierzęciem. W tej samej chwili na ekranie pojawił się krąg z czerwoną literą R pośrodku.

– R jak ruch – wyjaśnił Fine.

Jeleń zniknął z ekranu, ale czerwona litera pozostała.

– Dlaczego R wciąż pokazuje się na ekranie? – zainteresowała się Corrie.

– Dlatego że gdy jedna z kamer wykryje ruch, zapis tego nagrania wideo zostaje zarejestrowany na twardym dysku, rejestracja zaczyna się minutę przed pojawieniem się ruchu i kończy w minutę po jego ustaniu. Potem, jeżeli nic już się nie porusza, R znika.

– I może pan monitorować to wszystko przez internet? – Corrie nie spodobało się, że mogła stać się obiektem inwigilacji zdalnego podglądacza.

– Nie. Ta część inteligentnego systemu nigdy nie została podłączona do internetu. Przerwaliśmy prace nad systemem bezpieczeństwa, gdy postanowiliśmy sprzedać dom. Niech nowy właściciel wpakuje się w koszty. Ale równie dobrze można to kontrolować stąd. – Fine wskazał na inny guzik. – Możesz także podzielić ekran, naciskając kilkakrotnie ten przycisk.

Po raz pierwszy Fine wydawał się mówić z przejęciem. Zademontrował to, o czym mówił, a obraz na ekranie podzielił się na dwie części: lewa połowa ekranu ukazywała podgląd na podjazd, a prawa na rozpadlinę. Kolejne naciśnięcia przycisku spowodowały rozdzielenie ekranu na cztery, osiem i szesnaście coraz mniejszych obrazów, każdy pochodził z innej kamery.

Ciekawość Corrie gasła coraz szybciej.

– A jak miałabym obsługiwać alarm bezpieczeństwa?

– Jego też nigdy nie zainstalowano. Właśnie dlatego potrzebuję kogoś do pilnowania domu.

Zgasił światło, wyszedł z pokoju i na końcu korytarza przeszedł przez drzwi. Nagle dom stał się inny. Znikły drogie dzieła sztuki, ultranowoczesne meble i błyszczące akcesoria z najwyższej półki. Corrie miała przed sobą krótki, wąski korytarz z dwójgiem drzwi po obu stronach i pojedynczymi drzwiami w głębi prowadzącymi do niewielkiej łazienki z tanim wyposażeniem. Na podłodze leżało linoleum, a na ścianach ze sklejki nie było żadnych obrazów. Wszystkie powierzchnie pomalowano na biało.

– Pomieszczenia dla służby – rzekł z dumą Fine. – Tu będziesz mieszkać.

Corrie postąpiła naprzód i zajrzała przez otwarte drzwi. Te po lewej prowadziły do sypialni, które pod względem spartańskiego wystroju i wielkości dorównywały mnisim celom w klasztorze. Te po prawej wiodły do kuchni z lodówką jakby przywiezioną tu wprost z akademika i tanią kuchenką. Ostatni pokój okazał się skromnym gabinetem. Standard tych pomieszczeń tylko w niewielkim stopniu przewyższał warunki, jakie oferował pokój w motelu w Basalcie.

– Jak już wspomniałem, wyjeżdżam dosłownie zaraz – powiedział Fine. – Wróćmy do gabinetu, to dam ci klucze. Jakies pytania?

– Gdzie jest termostat? – spytała Corrie, otulając się ramionami, aby pohamować dreszcze.

– Tutaj.

Fine wyszedł z pomieszczenia dla służby i przeszedł korytarzem, by skrócić do pokoju dziennego. Na ścianie, owszem, był termostat, ale zamknięty w przezroczystej plastikowej osłonie zabezpieczonej zamkiem.

– Dziewięć stopni Celsjusza – powiedział Fine.

Corrie spojrzała na niego.

– Słucham?

– Dziewięć stopni Celsjusza. Na tyle nastawiłem termostaty w całym domu i tak ma zostać. Nie zamierzam wydać na ten cholerny dom ani centa więcej niż to absolutnie konieczne. Niech ta jędza zapłaci za prąd i ogrzewanie, jeżeli zechce. A, i jeszcze jedno, postaraj się ograniczyć zużycie prądu do minimum. Nie pal niepotrzebnie światła. – Nagle przyszło mu do głowy coś jeszcze. – Nawiasem mówiąc, mogę monitorować przez internet ustawienia termostatu i wskazania licznika zużycia prądu. Jestem w stanie kontrolować je nawet przez mojego iPhone'a.

Corrie z ciężkim sercem spojrzała na zablokowany termostat. No to pięknie. Teraz będę sobie odmrażać tyłek nie tylko w dzień, ale również w nocy. Zaczęła rozumieć, dlaczego osoba, która zgłosiła się tu wcześniej, zrezygnowała z tej

roboty.

Spojrzenie Fine'a dało jej jasno do zrozumienia, że mężczyzna uważa rozmowę za zakończoną. Pozostała już tylko jedna kwestia.

– Ile wynosi wynagrodzenie za opiekowanie się domem? – spytała.

Fine aż wybałuszył oczy ze zdumienia.

– Wynagrodzenie? Możesz tu mieszkać za darmo, w tym wielkim, pięknym domu, w samym Roaring Fork i chcesz jeszcze dostawać za to pieniądze? Masz szczęście, że nie każę ci płacić czynszu.

Zakończył i ruszył szybkim krokiem w stronę gabinetu.

17

Stylista gwiazd Arnaz Johnson widział w swoim życiu wielu niezwykłych ludzi zatrzymujących się w słynnym Big Pine Lodge na samym szczycie Roaring Fork Mountain – gwiazdki srebrnego ekranu wyszykowane jak na ceremonię rozdania Oscarów; miliarderów obnoszących się ze swymi zdobycznymi dziewczynami otulonymi futrami z norek i soboli; domniemanych Indian w skórzanych strojach od markowych projektantów; pseudokowbojów w kapeluszach marki Stetson i kowbojkach z ostrogami. Arnaz nazywał to paradą narcyzów. Mało kto z nich umiał jeździć na nartach. Parada była powodem, dla którego Arnaz nabył bilet sezonowy i raz czy dwa razy w tygodniu jeździł kolejką do Lodge. Parada i atmosfera najświetniejszego ośrodka narciarskiego na Zachodzie, ze ścianami z bali obwieszonymi starymi kilimami Indian Nawaho, masywnymi kandelabrami z kutego żelaza i buzującym kominkiem, w którym można było upiec na grillu całego byka. Nie wspominając o szklanych ścianach, przez które rozciągał się widok na ocean gór, obecnie szarych i pośpnych pod ciemniejącym niebem.

Arnaz jednak nigdy dotąd nie widział kogoś, kto choć trochę przypominałby dżentelmena siedzącego samotnie przy niewielkim stoliku pod ogromnym oknem, ze stojącą na blacie przed nim srebrną piersiówką z bliżej nieokreśloną zawartością, spoglądającego przez szybę w kierunku ośnieżonej Kotliny Przemysłownika i znajdującego się tam kompleksu starych, dawno opuszczonych konstrukcji kopalnianych, otaczających jak zgraja akolitów olbrzymi niszczejący drewniany budynek, w którym mieściła się słynna Irlandzka Pompa: wspinały przykład dziewiętnastowiecznej inżynierii, niegdyś największa pompa na świecie, teraz już tylko rdzewiejąca kupa złomu.

Arnaz obserwował widmowego mężczyznę z fascynacją od dobrych trzydziestu minut i przez cały ten czas niezajomy ani razu się nie poruszył. Nawet nie drgnął. Arnaz jako miłośnik mody rozpoznał rzeczy, jakie tamten miał na sobie. Czarny płaszcz z wełny wigonia, najwspanialszego kroju, najlepszej

jakości i w najlepszym stylu, Arnaz jednak nie zdołał określić marki. Płaszcz był rozpięty, odsłaniał równie wyśmienicie dobrany czarny garnitur w angielskim kroju, krawat od Zegny i luźno udrapowany przepiękny jedwabny szal w kremowym kolorze. Wizerunku dopełniał – dosłownie – zgoła bezsensowny, zupełnie nie na miejscu czarny filcowy kapelusz tkwiący na głowie bladego mężczyzny. Mimo że w sali kominkowej Lodge było ciepło, dzentelmen wydawał się zimny, jakby wykuty z lodu.

Nie był aktorem. Arnaz, fan kina, wiedział, że nigdy nie widział tego mężczyzny na srebrnym ekranie, nawet w epizodzie. Na pewno nie był to bankier, makler giełdowy, prezes jakiejś firmy, prawnik ani jakikolwiek inny geniusz świata biznesu lub finansów, bo wśród tych ludzi taki wizerunek byłby nie do przyjęcia. Nie był również pozerem, bo nosił swój ubiór na luzie, nonszalancko, jakby się w nim urodził. Wyglądał zbyt elegancko, aby mógł pracować w biznesie internetowym. W takim razie kim on mógł być, u licha?

Gangsterem.

Tak, to miało sens. Facet był przestępcą. Co więcej, niepospolitym przestępcą. Takim, któremu się udało. Być może Rosjaninem – wyglądał trochę na cudzoziemca, zwłaszcza z tymi bladymi oczami i wysokimi kośćmi policzkowymi. To rosyjski oligarcha. Ale nie... gdzie jego kobiety? Rosyjskim miliarderem, którzy przybywali do Roaring Fork – a było ich już tutaj paru – zawsze towarzyszyły grupki atrakcyjnych, obwieszonych świecidełkami, cyncatych dziwek.

Arnaz był nielicho zakłopotany.

Usłyszawszy swoje nazwisko, Pendergast odwrócił się powoli, by ujrzeć komendanta Morrisa zmierzającego w jego stronę z drugiego końca sali.

– Mogę?

Pendergast ruchem ręki zaprosił tamtego, aby usiadł.

– Dziękuję. Słyszałem, że tu pana znajdę.

– A od kogo pan słyszał?

– No cóż... powiedziałbym, że trudno pana przeoczyć, agencie Pendergast.

Cisza. W pewnej chwili Pendergast wyjął z kieszeni płaszcza mały srebrny kubeczek i postawił na blacie stolika.

– Sherry? To raczej marne amontillado, ale mimo wszystko przyjemne w smaku.

– Ach, nie, dziękuję. – Komendant wyglądał na niespokojnego, zaczął wiercić się na krześle, aby usadzić na nim swe miękkie ciało. – Proszę posłuchać, zdaje sobie sprawę, że dałem się we znaki pańskiej... ee... protegowanej, pannie

Swanson, i bardzo za to przepraszam. Nie wie pan, jak to jest być szefem policji w mieście takim jak to, gdzie zawsze ciągną człowieka w pięciu kierunkach naraz.

– Przykro mi to mówić, ale obawiam się, że pańskie mikroskopijne problemy ani trochę mnie nie obchodzą. – Pendergast nalał sobie kapkę sherry i wypił jednym haustem.

– Proszę posłuchać – rzekł komendant, ponownie zmieniając pozycję na krześle. – Przyszedłem, aby prosić pana o pomoc. Mamy to okropne poczwórne morderstwo, miejsce zbrodni o powierzchni około pół hektara i skomplikowaną sprawę, która spędza nam sen z powiek. Moi eksperci kłócą się między sobą i są, tak jak ten spec od badania miejsc pożarów, kompletnie sparaliżowani, gdyż nigdy dotąd nie zetknęli się z czymś takim... – Głos zaczął mu się łamać i Morris zamilkł na chwilę. – Widzi pan, ta dziewczyna, Jenny, starsza córka, pracowała u mnie jako stażystka. To była dobra dziewczyna... – Zdołał się opanować. – Potrzebuję pomocy. Nieformalnie. Proszę tylko o wsparcie. O radę. Nic oficjalnego. Zasięgnąłem nieco informacji na pana temat. Ma pan doprawdy oszałamiające osiągnięcia na swoim koncie.

Blada dłoń znów wysunęła się naprzód, napełniając mały kubeczek, i uniosła go do ust. Jeden łyk i kubeczek był pusty. Zapadła cisza. Wreszcie Pendergast się odezwał.

– Przyjechałem tu, żeby uratować swoją protegowaną – sam pan użył tego zwrotu, ja go tylko powtarzam – przed pańskim niekompetentnym zachowaniem. Moim celem, moim jedynym celem, jest dopilnować, aby panna Swanson dokończyła swoją pracę i by zwłaszcza pani Kermode ani nikt inny nie próbował jej w tym przeszkodzić. Po wszystkim opuszczę to zepsute miasto i ochoczo wrócę do Nowego Jorku.

– Ale przecież był pan dziś rano na pogorzeliśku. Pokazał pan swoją odznakę, żeby wejść poza kordon.

Pendergast zbył te słowa zdawkowym ruchem ręki, jakby odganiał natrętą muchę.

– Był pan tam. Po co?

– Zobaczyłem pożar. I odrobinę mnie to zaintrygowało.

– Powiedział pan, że będą... kolejne. Dlaczego pan tak twierdzi? Jeszcze jeden zbywający gest.

– Do cholery! Dlaczego pan tak powiedział?

Żadnej odpowiedzi.

Komendant wstał.

– Powiedział pan, że dojdzie do kolejnych morderstw. Dowiedziałem się tego i owego na pański temat i zrozumiałem, że kto jak kto, ale pan będzie wiedział, jak należy zająć się tą sprawą. Jeśli zginą kolejne osoby, a pan odmówi nam pomocy, te zbrodnie obciążą pańskie sumienie. Przysięgam na Boga.

Słowa komendanta zostały skwitowane lekceważącym wzruszeniem ramion.

– Nie waż się tak mnie traktować, sukinsynu! Z jakiej racji mnie zbywasz? – zawołał komendant, tracąc w końcu panowanie nad sobą. – Widziałeś, co ci dranie zrobili tamtej rodzinie. Jak możesz tak siedzieć i spokojnie popijać sherry?

– Zacisnął palce na krawędzi stolika i wychylił się do przodu. – Mam ci do powiedzenia jeszcze tylko jedno, Pendergast, pieprz się i wielkie dzięki za nic!

W tej samej chwili na wąskich wargach pojawił się wątki cień uśmiechu.

– Teraz już lepiej.

– Niby co lepiej? – ryknął Morris.

– Mój stary przyjaciel z nowojorskiej policji ma dość barwne określenie, idealnie pasujące do tej sytuacji. Jak on to mówił? Ach, tak. – Pendergast spojrzał na komendanta. – Pomogę ci, ale tylko pod warunkiem że – i tu cytuję – odnajdziesz w końcu swoje jaja.

18

Komendant Stanley Morris wpatrywał się w zgliszcza domu. Żar pozostały po pożarze z dnia poprzedniego wygasł, a ubiegłej nocy spadł jeszcze śnieg, skrywając ruiny budowli pod warstewką miękkiego białego puchu. W newralgicznych miejscach rozłożono płachty brezentu i ludzie Morrisa starannie oczyszczali je teraz ze śniegu, przygotowując się do przejścia przez pogorzeliśko. Była ósma rano, słoneczny dzień, sześć stopni na minusie. Przynajmniej nie wiał wiatr. Morris nigdy dotąd nie spotkał się z czymś takim ani na gruncie zawodowym, ani tym bardziej prywatnym i wewnątrznie przygotowywał się na to, co go czekało. Minionej nocy prawie nie zmrzył oka, a gdy w końcu przysnął, zaraz obudził go okropny koszmar. Czuł się fatalnie i wciąż jeszcze nie był w stanie w pełni ogarnąć rozmiarów zepsucia i zgrozy, jakie kryła w sobie ta zbrodnia.

Wziął głęboki oddech i rozejrzał się dokoła. Po lewej stronie stał Chivers, ekspert pożarnictwa, po prawej Pendergast, w długim płaszczu z wigonia narzuconym ekstrawagancko na jaskrawoniebieską kurtkę. Obrazu dopełniały mitenki i okropna wełniana czapeczka. Mężczyzna był tak blady, że wyglądał, jakby doznał hipotermii. Jednak jego oczy pozostawały żywe i błyszczące, poruszały się nieustannie, lustrując miejsce zbrodni.

Morris odchrząknął i zebrał się w sobie, aby sprawiać wrażenie opanowanego, kontrolującego sytuację szefa policji.

– Jesteście gotowi, panowie?

– Jeszcze jak – odparł bez większego entuzjazmu Chivers. Obecność agenta FBI wyraźnie mu się nie podobała.

Trudno, musisz to przełknąć, stary, pomyślał Morris. Miał serdecznie dość wzajemnych waśni, wewnętrznych przepychanek i ogólnego zamętu, jaki powstał w związku z tą sprawą.

Pendergast przytaknął ruchem głowy.

Komendant schylił się i przeszedł pod taśmą. Pozostali ruszyli za nim. Świeży

śnieg zakrył wszystko z wyjątkiem miejsc, w których rozłożono brezent, a które wyglądały teraz jak duże ciemne prostokąty pośród kompletnie białego pejzażu. Koroner nie zabrał jeszcze szczątków ludzkich. Eksperci porozstawiali wśród zgliszczy chorągiewki w różnych kolorach, które łagodziły panującą tu złowieszczą i mroczną atmosferę. Wciąż czuło się w powietrzu gryzącą woń dymu, spalonej instalacji elektrycznej i stopionego plastiku.

Pendergast poszedł przodem, poruszając się miękko i płynnie pomimo ubrań, jakie miał na sobie. Zrobił kilka szybkich kroków, przyklęknął i niewielkim pędzelkiem odgarnął śnieg z pewnego miejsca, odsłaniając płytki spalonej terakoty. Powtórzył tę czynność jeszcze kilkakrotnie w, zdawałoby się, przypadkowych miejscach, w miarę jak przesuwali się naprzód. W którymś momencie wyjął spod płaszcza szklaną fiolkę, do której pęsetą nabrał mikroskopijne próbki jakiejś substancji.

Chivers trzymał się z tyłu, nic nie mówiąc, a na jego szerokiej twarzy malowało się nieskrywane niezadowolenie.

W końcu doszli do upiornej wanny. Morris nie był nawet w stanie na nią spojrzeć. Pendergast jednak pochylił się i ukląkł przy niej prawie jak do modlitwy. Zdjąwszy jedną rękawiczkę, zaczął gmerać w wannie długimi bladymi palcami i pęsetą, po czym włożył do fiolek kolejne próbki. Wreszcie podniósł się i kontynuowali obchód przez zgliszcza domu.

Zbliżyli się do spalonego materaca z pętlami z drutu i fragmentami kości. Tu Pendergast ponownie przystanął i wpatrywał się w materac przez dość długą chwilę. Morris zaczął się trząść, gdy bezruch, zimno i nieprzyjemne doznania skumulowały się i zaczęły wnikać do jego wnętrza. Agent wyjął z kieszeni płaszcza dokument i rozłożył go, ukazując szczegółowy plan domu – skąd on to wziął? Przyglądał się schematowi przez pewien czas, po czym złożył papier i schował do kieszeni. Następnie ukląkł i przez szkło powiększające przyjrzał się zwęglonemu szczątkom szkieletu przywiązanego do materaca; pozostało z niego zaledwie kilka kawałków kości i jakichś innych substancji. Morris czuł, jak zimno głębiej wdziera mu się pod ubranie. Chivers był coraz bardziej niespokojny, zaczął spacerować w tę i z powrotem, oklepywał się rękoma – mimo iż nosił rękawiczki – aby zachować ciepło, a mową swojego ciała jasno dawał do zrozumienia, że jego zdaniem to wszystko jest zwyczajną stratą czasu.

Pendergast w końcu się wyprostował.

– Pójdziemy dalej?

– Doskonały pomysł – odparł Chivers.

Szli przez zgliszcza, upiornie wypalony pejzaż pokryty warstewką szronu,

wśród osmolonych ścian, stert popiołów i lśniących kałuż stopionego metalu i szkła. Teraz ich oczom ukazało się leżące z jednej strony ciało psa i dwie ułożone równolegle stertki popiołów i kości będące niegdyś rodzicami Jenny Baker.

Morris musiał odwrócić wzrok. Tego już było dla niego za wiele.

Pendergast ponownie ukląkł i przyjrzał się wszystkiemu z największą uwagą, pobierając kolejne próbki i zachowując nieprzerwane milczenie. Wydawał się szczególnie zainteresowany zwęglonymi szczątkami psa, które sondował bacznie długą pęsetą i narzędziem wyglądającym jak używany przez stomatologów zgłębnik prostokątny. Weszli do ruin garażu, gdzie znajdowały się stopione i wypalone wraki trzech samochodów. Agent FBI przyjrzał się im pobieżnie.

I na tym skończyli. Pendergast odwrócił się, gdy przeszedł pod taśmą. Jego oczy błyszczące w świetle zimowego słońca zdziwiły i zaniepokoiły Morrisa.

– Tak jak się obawiałem – powiedział.

Komendant czekał na coś więcej, ale odpowiedzią była jedynie cisza.

– No cóż – rzekł Chivers – to tylko potwierdza informacje, które przekazałem ci wcześniej, Stanleyu. Wszystkie dowody świadczą, że mamy tu do czynienia z próbą zatuszowania napadu i rabunku z udziałem dwóch, a może nawet więcej sprawców. Możliwe, że doszło także do przemocy na tle seksualnym.

– Agencji Pendergast? – odezwał się w końcu Morris.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że dokładne odtworzenie przebiegu tej zbrodni może okazać się niemożliwe. Ogień pochłoniął zbyt wiele cennych informacji. Udało mi się jednak ustalić kilka istotnych szczegółów, jeżeli chciałby pan je usłyszeć.

– Chcę. Proszę mówić.

– Był tylko jeden sprawca. Wszedł przez niezamknięte na klucz tylne drzwi. Troje członków rodziny było w domu, przebywali na piętrze i przypuszczalnie już spali. Sprawca natychmiast zabił psa, który zjawił się, aby sprawdzić, kto wchodzi do domu. Wówczas intruz – mężczyzna lub kobieta – wszedł po frontowych schodach na piętro, zaskoczył nieletnią córkę znajdującą się w swojej sypialni i obezwładnił ją, a następnie zakneblował, zanim zdążyła narobić hałasu, po czym, wciąż żywą, przywiązał drutem do łóżka. Być może zmierzał właśnie w kierunku sypialni jej rodziców, gdy do domu wróciła druga nastolatka.

Odwrócił się do Morrisa.

– To zapewne była pańska stażystka Jenny. Przeszła przez garaż i udała się na górę. Tam została zaatakowana, obezwładniona, zakneblowana i ułożona w wannie. Sprawca dokonał tego z olbrzymią wprawą i skutecznością, jednak

druga napaść musiała sprawić, że obudzili się rodzice nastolatek. Doszło do krótkiej walki, która zaczęła się na piętrze, a zakończyła na parterze. Podejrzewam, że jedno z rodziców zostało zabite na miejscu, na dole, podczas gdy drugie zwleczono na parter później. Zapewne załuczono ich na śmierć.

– Skąd pan może wiedzieć to wszystko? – zapytał Chivers. – To czyste spekulacje!

Pendergast ciągnął, nie zważając na słowa eksperta od pożarów:

– Sprawca wrócił na górę, oblał obie nastolatki benzyną i podpalił. Potem z konieczności pospiesznie opuścił dom, zaciągając drugiego rodzica na parter i po drodze rozlewając wszędzie przyspieszacze. Odszedł pieszo, nie odjechał samochodem. Szkoda, że ślady w ośnieżonym zagajniku wokół domu zostały zdeptane przez sąsiadów i straż pożarną.

– Nie ma mowy. – Chivers kręcił głową. – To wykluczone, aby zdołał pan wyciągnąć te wszystkie wnioski na podstawie informacji, jakimi dysponujemy, i z całym szacunkiem, ale muszę zaznaczyć, że większość pańskich konkluzji jest błędna.

– Muszę powiedzieć, że podzielam... ee... sceptycyzm pana Chiversa w kwestii wniosków, jakie wyciągnął pan na podstawie jednego tylko przejścia przez pogorzelnisko – dodał Morris.

Pendergast odpowiedział tonem, jakby zwracał się do wyjątkowo tępego dziecka.

– To jedyna logiczna sekwencja zdarzeń odpowiadająca znanym faktom. A są one następujące: gdy Jenny Baker wróciła do domu, intruz już znajdował się w środku. Weszła do środka przez garaż – jej chłopak to potwierdził – a gdyby rodzice już wtedy nie żyli, musiałyby zobaczyć ich ciała przy tylnych drzwiach. Nie widziała zwłok psa, ponieważ leżały wówczas za kontuarem, który znajdował się wtedy... o, tutaj. – Wyciągnął plan domu.

– A skąd pan wie, że sprawca był już na górze, gdy Jenny wróciła do domu?

– Ponieważ Jenny została napadnięta na piętrze.

– Mogła zostać napadnięta w garażu i zmuszona do wejścia na piętro.

– Gdyby była pierwszą ofiarą i została zaatakowana w garażu, pies jeszcze by żył i szczekaniem obudziłby jej rodziców. Nie, pierwszą ofiarą był pies, zabity przy tylnych drzwiach przypuszczalnie uderzeniem w głowę jakimś tępym narzędziem w rodzaju kija bejsbolowego.

– Kija? – powtórzył z niedowierzaniem w głosie Chivers. – Skąd pan wie, że sprawca nie użył noża? Albo broni palnej?

– Sąsiedzi nie słyszeli strzałów. Próbował pan kiedykolwiek zabić nożem

owczarka niemieckiego? Poza tym na zwęglonej czaszce psa widać charakterystyczne ślady wskazujące na uszkodzenie kości wskutek silnego uderzenia. – Przerwał. – Nie potrzeba Sherlocka Holmesa, aby przeanalizować kilka równie prostych szczegółów.

Chivers zamilkł.

– Reasumując, gdy Jenny wróciła do domu, sprawca już był na górze i unieszkodliwił jej siostrę, bo z pewnością nie zdołałby poradzić sobie z obiema dziewczynami równocześnie.

– Chyba że sprawców było dwóch – wtrącił Chivers.

– Proszę kontynuować – rzekł Morris do Pendergasta.

– Używając kija, albo w jakiś inny sposób, błyskawicznie poradził sobie z Jenny.

– I właśnie dlatego musiało być co najmniej dwóch sprawców – upierał się Chivers. – Mamy tu do czynienia z nieudanym napadem rabunkowym. Sprawcy włamali się do domu, ale sytuacja wymknęła się spod kontroli, zanim zdołali ukraść kosztowności. To się często zdarza.

– Nie. Sekwencja zdarzeń została starannie przemyślana i zaplanowana, a sprawca cały czas kontrolował sytuację. Psychologiczne znamiona tej zbrodni oraz jej gwałtowność sugerują, że mamy do czynienia z jednym sprawcą, którym kierował inny motyw aniżeli chęć rabunku.

Chivers wywrócił oczami i spojrzał na Morrisa.

– Wracając do pańskiej teorii o jakoby nieudanym rabunku, to sprawca doskonale zdawał sobie sprawę, że w domu przebywają co najmniej trzy osoby. Profesjonalny złodziej nie włamuje się do domu, w którym są ludzie.

– Chyba że są tam dwie dziewczyny, które sprawcy chcieliby... – Chivers przełknął ślinę i spojrzał na komendanta.

– Dziewczęta nie były molestowane. Gdyby zamierzał je zgwałcić, pozbyłby się potencjalnego zagrożenia i najpierw zabiłby rodziców. A gwałt nie pasuje ani do linii czasowej, ani do sekwencji zdarzeń. Pragnę nadmienić, że od momentu, gdy chłopak Jenny odwiózł ją do domu do pojawienia się ognia na górze, upłynęło niespełna dziesięć minut.

– Skąd pan wie, że jedno z rodziców zostało zabite na dole, a drugie zaciągnięto na parter dopiero później?

– To, przyznaję, jedynie przypuszczenie. Ale zdaje się pasować do materiałów dowodowych. Mamy tu do czynienia z samotnym zabójcą i wydaje się mało prawdopodobne, aby mógł walczyć na parterze z obojgiem rodziców równocześnie. Ułożenie ich ciał jest kolejnym zaaranżowanym elementem ataku

– ot upiorny szczegół mający na celu zasianie dodatkowego lęku i niepokoju.

Chivers pokręcił głową z niesmakiem i niedowierzaniem.

– No dobrze. – Komendant z trudem wymówił na głos pytanie, które chcąc, nie chcąc, musiał zadać: – Ale skąd pewność, że będą kolejne takie zabójstwa?

– To ewidentnie zbrodnia zrodzona z nienawiści, sadyzmu i brutalności, popełniona przez osobę, przypuszczalnie obłąkaną, która do pewnego stopnia zachowuje pozory normalności. Ogień jest zazwyczaj ulubioną bronią szaleńców.

– Czy powodem tej zbrodni mogła być zemsta?

– Wątpliwe. Rodzina Bakerów nie była dobrze znana w Roaring Fork. Sam pan powiedział, że nie mieli w miasteczku wrogów i każdego roku spędzali tu zaledwie parę tygodni. Skoro zatem nie zemsta, co mogło być motywem? Trudno stwierdzić z całą pewnością, ale czyn ten mógł nie być skierowany pod adresem konkretnie tej jednej rodziny, ale raczej tego, co ona sobą reprezentowała.

Cisza.

– A co reprezentowała sobą ta rodzina? – zapytał Morris.

– Może to, co reprezentuje sobą całe to miasteczko.

– Czyli co konkretnie?

Pendergast chwilę milczał, po czym dokończył:

– Pieniądze.

19

Corrie weszła do działu historycznego biblioteki w Roaring Fork. Piękne, wyłożone boazerią wnętrza znów świeciło pustkami, jeśli nie liczyć Teda Romana, który czytał książkę przy swoim biurku. Uniósł wzrok, gdy Corrie weszła do sali, a jego pociągłe oblicze rozpromieniło się.

– Proszę, proszę! – powiedział, wstając. – Triumfalny powrót najbardziej niesławnej dziewczyny w całym Roaring Fork!

– Jezu. Co to miało być za powitanie?

– Szczere. To nie był żart z mojej strony. Ty i ten agent FBI nieźle dopiekliście Kermode. Boże, to była jedna z najwspanialszych rzeczy, jakie widziałem w tym mieście.

– Byłeś na spotkaniu?

– Pewnie, że byłem. Już najwyższy czas, żeby ktoś usadził tę – mam nadzieję że cię nie urażę, używając tego słowa, ale powiem to wprost – tę wredną sukę.

– Nie czuję się urażona.

– Ten facet w czerni nie tylko podciął Kermode nogi w kolanach, ale również dowalił całemu jej małemu, słodkiemu triumwiratowi, jej komendantowi i burmistrzowi. Twój przyjaciel sprawił, że pierwszy raz w życiu mieli pełne gacie. Montebello również! – Nieomal zacmokał z radości, a jego śmiech był tak zaraźliwy, że Corrie chętnie się do niego przyłączyła.

– Muszę przyznać, że miło było to usłyszeć – powiedziała. – Zwłaszcza że przez tych ludzi spędziłam dziesięć dni za kratkami.

– Gdy tylko dowiedziałem się o twoim aresztowaniu, od razu pomyślałem, że to jakaś ściema... – Ted spróbował przyglądzić niesforny kosmyk sterczący mu nad czołem. – No dobrze. To nad czym dzisiaj pracujesz?

– Chcę się dowiedzieć jak najwięcej o życiu Emmetta Bowdreego... i o jego śmierci.

– Masz na myśli tego górnika, którego ciało badałaś? Sprawdźmy, co uda nam się znaleźć na jego temat.

– Czy w tej bibliotece nigdy nie ma nikogo? – spytała, gdy podchodzili do stanowiska z komputerem.

– Tak. To jakiś obłąd, no nie? Najpiękniejsza biblioteka na Zachodzie, a nikt tu nie przychodzi. To przez ludzi, jacy mieszkają w tym mieście. Są zbyt zajęci paradowaniem po głównej ulicy w brylantach i futrach z norek.

Przez chwilę naśladował tę czy inną gwiazdę filmową, robiąc miny i stąpając jak po czerwonym dywanie przed wejściem na uroczystą galę.

Corrie zaśmiała się. Ten Ted był całkiem zabawny.

Usiadł przy komputerze i zalogował się. Zaczął zmudny proces wyszukiwania na podstawie różnych kryteriów, tłumacząc, co robi, podczas gdy Corrie zaglądała mu przez ramię.

– W porządku – powiedział. – Mam kilka trafień, jeżeli chodzi o tego twojego pana Bowdreego. – Usłyszała, jak uruchamia się stojąca za nią drukarka. – Będziesz musiała zerknąć na listę i powiedzieć mi, co chciałabyś zobaczyć.

Podał jej plik wydruków, a ona przejrzała je pospiesznie zadowolona, a nawet trochę wystraszona ilością odniesień. Wyglądało na to, że w internecie było sporo informacji o Emmecie Bowdreem, artykułów prasowych, wzmianek z archiwów probierczych i biur zatrudnienia, dokumentów górniczych, aktów własności działek i innych mniej istotnych szczegółów.

– Powiedz... – zaczął Ted, po czym nagle zamilkł.

– Co?

– No wiesz, zważywszy na to, jak mnie wtedy wystawiłaś, gdy umówiliśmy się na piwo...

– Przepraszam, byłam zbyt zajęta oglądaniem więzienia od wewnątrz.

Zaśmiał się.

– Cóż, ale tak czy owak wciąż wisisz mi piwo. Może dziś wieczorem?

Corrie popatrzyła na niego i nagle się zaczerwieniła, poczuła się niezręcznie, ale jednocześnie przepełniona nową nadzieją.

– Z przyjemnością – wykrztusiła.

20

Komendant organizował już wcześniej konferencje prasowe, zwykle wtedy, gdy jakiś niegrzeczny chłopiec celebryta wpakował się w kłopoty. Tym razem było inaczej, o wiele gorzej. Obserwując z kulis gromadzący się tłum, poczuł narastający niepokój. Ponieważ stary gmach komendy policji miał tylko jedną małą salkę konferencyjną, znów spotkali się w sali ratusza – miejscu jego niedawnego upokorzenia – i to wspomnienie nie należało do przyjemnych.

Ale teraz miał wsparcie Pendergasta. Człowiek, który początkowo wydawał się jego zagorzałym wrogiem, zdeklarował się po jego stronie i zaoferował pomoc. Chivers się wściekał, a połowa ludzi z jego wydziału dostawała białej gorączki, ale Morris ani trochę się tym nie przejął. Ten facet był prawdziwym geniuszem, choć z pewnością dość ekscentrycznym, i szczerze się ucieszył, mogąc powitać go w swoim zespole. Jednak na pewno Pendergast nie pomoże mu zapanować nad zgromadzonym tłumem. Z tym akurat musiał poradzić sobie sam. Musiał wejść na salę, sprawiając wrażenie osoby, która sprawuje nad wszystkim kontrolę.

Spojrzał na zegarek. Za pięć druga – gwar brzmiał jak złowrogi warkot. Znajdź w końcu swoje jaja. Racja: postara się i uczyni wszystko, co w jego mocy.

Przejrzawszy po raz ostatni notatki, wyszedł na scenę i szybkim krokiem skierował się do podium. Gdy szmer głosów ucichł, komendant odczekał jeszcze chwilę, aby przyjrzeć się zebranym. Sala pękała w szwach; były tylko miejsca stojące, a drugie tyle chętnych zebrało się na zewnątrz. Galeria dla prasy również została wypełniona do ostatniego miejsca. Wychwycił wzrokiem czarną sylwetkę Pendergasta siedzącego anonimowo z przodu w części sali przeznaczonej dla miejscowych. W sektorze zarezerwowanym dla osób publicznych dostrzegł wielu oficjeli – burmistrza, Chiversa i lokalnego prawnika. Choć to mogło się wydawać podejrzanym, brakowało pani Kermode. Dzięki Bogu.

Wychylił się do przodu, postukał w mikrofon.

– Szanowni państwo.

W sali zapadła cisza.

– Chciałbym się przedstawić tym, którzy mnie nie znają – powiedział. – Jestem komendantem policji w Roaring Fork. Nazywam się Stanley Morris. Odczytam teraz oświadczenie, a następnie odpowiem na kilka pytań ze strony prasy i opinii publicznej.

Ułożył starannie plik kartek i zaczął czytać, zachowując pełen powagi, lecz neutralny ton głosu. To było krótkie oświadczenie ograniczające się do niezaprzeczalnych faktów – czasu pożaru, liczby i tożsamości ofiar, stwierdzenia, że było to morderstwo, oraz obecnego stanu śledztwa. Żadnych spekulacji. Zakończył apelem skierowanym pod adresem wszystkich osób, aby zgłosiły się, jeżeli mogą pomóc w rozwiązaniu tej sprawy i dysponują informacjami, choćby najbardziej banalnymi, które jednak okazałyby się przydatne policji. Oczywiście nie powtórzył słów Pendergasta, że może dojść do kolejnych tego typu zdarzeń, bo niepotrzebnie zaogniłby sytuację. Poza tym – tak jak powiedział Chivers – były to czyste spekulacje.

Uniósł wzrok.

– Jakież pytania?

Na galerii dla prasy zawrzało. Morris, który wcześniej podjął decyzję, komu udzieli głosu i w jakiej kolejności, wskazał na pierwszego z dziennikarzy, starego kumpla z „Roaring Fork Timesa”.

– Komendancie Morris, dziękuję za to oświadczenie. Czy są już jacyś podejrzani?

– Mamy kilka istotnych tropów i właśnie je sprawdzamy – odparł Morris. – Nie mogę powiedzieć nic więcej. – Bo właściwie nie mamy kompletnie nic, pomyślał ponuro.

– Czy to możliwe, że sprawcą jest ktoś stąd?

– Nie wiemy tego – odparł Morris. – Zdobyliśmy listy gości ze wszystkich hoteli i pensjonatów, mamy informacje o liczbie sprzedanych biletów na kolejkę linową, pozyskaliśmy też pomoc ze strony Krajowego Centrum Analiz Brutalnych Zbrodni, które obecnie penetruje swoje bazy danych w poszukiwaniu informacji o wcześniejszych tego typu przypadkach podpałek i schwytych oraz skazanych podpalaczach.

– Jakiś motyw?

– Nic konkretnego. Rozważamy różne możliwości.

– Na przykład?

– Włamanie, usiłowanie kradzieży, zemsta, dziwne skłonności.

– Czy to prawda, że jedna z ofiar pracowała w pańskim biurze?

Boże, miał nadzieję, że zdoła uniknąć tych pytań.

– Jenny Baker była stażystką w moim biurze, miała tu pracować przez ferie zimowe. – Przełknął ślinę i próbował mówić dalej, choć poczuł, że ma dziwnie ściśnięte gardło. – Wspaniała dziewczyna, która chciała zrobić karierę w służbie prawa. To... tragiczna strata.

– Krążą plotki, że jedna z ofiar została przywiązana do łóżka i oblana benzyną – wtrącił inny dziennikarz.

Niech to szlag. Czy źródłem przecieku jest Chivers?

– To prawda – przyznał po krótkim wahaniu komendant.

To wywołało sensację.

– A kolejną ofiarę znaleziono spaloną w wannie?

– Tak – odrzekł, nie rozwijając tego tematu.

Znów szmer i narastający gwar. Sytuacja robiła się nieciekawa.

– Czy dziewczęta były napastowane seksualnie?

Prasa mogła pytać o wszystko, ci ludzie nie mieli za grosz wstydu.

– Koroner jeszcze nie zakończył swoich badań. Z uwagi jednak na stan szczątków możliwe, że nigdy nie zdołamy tego stwierdzić.

– Czy coś zostało zabrane?

– Nie wiemy.

– Czy spalono ich żywcem?

Coraz większy harmider.

– Upłynie co najmniej tydzień, zanim większość materiałów dowodowych zostanie odpowiednio przebadana. W porządku, to tyle, jeżeli chodzi o pytania od przedstawicieli prasy. Przejdźmy teraz do pytań od przedstawicieli miejscowej społeczności.

Komendant miał nadzieję, że to będzie nieco prostsze.

Cała chmara ludzi zerwała się z miejsc, wymachując rękami i domagając się, by mogli zadać pytanie komendantowi. Wskazał na kogoś, kogo nie znał, starszą, z wyglądu spokojną i łagodną kobietę, ale osoba siedząca przed nią mylnie lub może świadomie zrozumiała, że to chodzi o nią, i natychmiast odpowiedziała grzmiącym głosem. Boże, to była Sonja Marie Dutoit, na wpół emerytowana aktorka ciesząca się w Roaring Fork złą sławą za niemiłe zachowanie w sklepach i restauracjach i za twarz, która przeszła tyle liftingów i otrzymała tyle zastrzyków z botoksu, że stale widniał na niej grymas będący czymś pomiędzy krzywym uśmiechem a wyrazem dezaprobaty.

– Dziękuję, że mnie pan wybrał – powiedziała ochrypłym od papierosów, nieprzyjemnym głosem. – Pragnę w imieniu wszystkich wyrazić oburzenie

i zgrozę, jesteśmy wstrząśnięci i przerażeni tym, co się stało, ta zbrodnia to dla nas prawdziwy szok.

– Z pewnością – rzekł Morris. – Mogę usłyszeć pytanie?

– Minęło trzydzieści sześć godzin od tego strasznego, przerażającego, okropnego pożaru. Widzieliśmy go wszyscy. A sądząc po tym, co właśnie pan powiedział, policja nie poczyniła większych postępów, jeżeli w ogóle zrobiła jakiegokolwiek.

Komendant Morris odpowiedział ze spokojem:

– Ma pani jakieś pytanie, pani Dutoit?

– Oczywiście, że mam. Dlaczego jeszcze nie schwytaliście zabójcy? To nie Nowy Jork, w tym mieście jest zaledwie dwa tysiące ludzi. I jedna droga prowadząca do i z miasteczka. Wobec tego na czym polega problem?

– Jak już powiedziałem, ściągnęliśmy do tej sprawy zastępy wykwalifikowanych ekspertów, w tym także specjalistów z Grand Junction, pozyskaliśmy również wsparcie ze strony KCABZ. Ale myślę, że jeszcze inne osoby chciałyby zadać jakieś pytania.

– Jeszcze nie skończyłam – ciągnęła Dutoit. – Kiedy spłonie następny dom?

Te słowa wywołały spore zamieszanie na sali. Kilka osób wywróciło oczami w reakcji na bulwersujące słowa pani Dutoit, inne zaczęły sprawiać wrażenie coraz bardziej zdenerwowanych.

– Nie ma żadnych dowodów na to, że mamy do czynienia z seryjnym podpalaczem – powiedział komendant, pragnąc położyć kres takim spekulacjom.

Ale Dutoit najwyraźniej jeszcze nie skończyła.

– Kto z nas obudzi się dziś w nocy w łóżku otoczonym morzem płomieni? I co, na Boga, zamierza pan z tym zrobić?

21

Trudno było uwierzyć, że tawerna Mineshaft – Szyb Kopalniany – z podłogą wysypaną trocinami i kamiennymi piwnicznymi ścianami obwieszonymi starym zardzewiałym sprzętem górniczym, stanowiła część Roaring Fork. W powietrzu dominowała tutaj woń piwa i teksańskiego grilla, a klientela ograniczała się do prostych, szorstkich w obyciu robotników. Jednak najgorszą opinię temu lokalowi wystawiał pozbawiony choćby odrobiny talentu balladzista smęcący skomponowaną przez siebie piosenkę z wyrazem twarzy, na której malował się przesadny patos.

Gdy Corrie weszła do środka, przeżyła miłe zaskoczenie. To miejsce okazało się bardziej w jej stylu niż restauracja w hotelu Sebastian.

Odnalazła Teda przy „jego” stoliku w głębi sali, tam gdzie zapowiadał, że będzie; na blacie przed nim stał wielki kufel piwa. Ted wstał – co spodobało się Corrie – i pomógł jej usiąść, zanim sam wrócił na miejsce.

– Na co masz ochotę?

– A co ty pijesz?

– Maroon bells stout z tutejszego browaru. Jest po prostu fantastyczne.

Zjawił się kelner i zamówiła piwo, mając nadzieję, że nie zostanie poproszona o okazanie dokumentu w celu potwierdzenia jej pełnoletności. To byłoby krępujące. Ale kelner nie robił żadnych problemów.

– Nie wiedziałam, że w Roaring Fork są miejsca takie jak to.

– W tym mieście wciąż jest sporo zwyczajnych ludzi, obsługa wyciągu narciarskiego, kelnerzy, pomywacze, złote rączki, mechanicy... bibliotekarze. – Mrugnął do niej porozumiewawczo. – Potrzebujemy tanich miejsc rozrywki dla pospólstwa.

Kiedy przyniesiono dla niej piwo, stuknęli się szklaneczkami. Upiła łyk.

– Łał. Dobrze.

– Lepsze niż guinness. I tańsze.

– A kim jest ten facet na scenie? – Corrie starała się zachować neutralny ton,

na wypadek gdyby gość okazał się kumplem Teda.

Ale Ted parsknął.

– Dziś wieczór karaoke. Nie znam faceta, ale jest żaloszny. Miejmy nadzieję, że nie rzucił swojej stałej pracy. – Sięgnął po menu. – Głodna?

Zamyśliła się przez chwilę, czy ją na to stać. Ale dania nie były zbyt drogie. Gdyby nic nie zjadła, mogłaby się upić i zrobić coś głupiego. Uśmiechnęła się, pokiwała głową.

– A więc – zaczął Ted – jak sytuacja w kostnicy na górze?

– Świetnie. – Corrie wahała się, czy opowiedzieć mu o swoim odkryciu, ale nie zrobiła tego. Nie знаła Teda dość dobrze. – Szczątki Emmetta Bowdreego mają wiele do przekazania. Mam nadzieję, że wkrótce dostanę zezwolenie, aby obejrzeć jeszcze parę innych szkieletów.

– Cieszę się, że dobrze ci idzie. Nie posiadam się z radości, że Kermode aż zgrzyta zębami w poczuciu niemocy, podczas gdy ty robisz tam na górze, co do ciebie należy.

– No nie wiem. Myślę, że ma teraz większe zmartwienia. Sam rozumiesz, ten pożar.

– Racja. Jezu, jakie to musiało być okropne! – Przerwał. – Bo widzisz, ja tam dorastałem. Znaczą się w The Heights.

– Naprawdę? – Corrie nie ukrywała zdziwienia. – Nigdy bym się nie domyśliła.

– Dziękuję. Potraktuję to jako komplement. Mój tato był producentem telewizyjnym, sitcomy i takie tam. Przyjaźnił się z wieloma osobami z Hollywood. Moja matka sypiała z większością z nich. – Pokręcił głową, napił się piwa. – Miałem popieprzone dzieciństwo.

– Współczuję. – Nie zamierzała jednak opowiadać o swoim dzieciństwie.

– Jakoś dałem radę. Rodzice się rozwiedli i wychowywał mnie tato. Ponieważ ciągle wznawiano emisje sitcomów, nie musiał już więcej pracować. Kiedy wróciłem z college'u, zmyłem się z The Heights i znalazłem sobie mieszkanie w miasteczku, niedaleko stąd, przy East Cowper. Jest nieduże, ale tamtejsze powietrze lepiej mi służy.

– A on nadal mieszka w osiedlu The Heights?

– Nie, sprzedał dom parę lat temu, a w ubiegłym roku zmarł na raka. Miał zaledwie sześćdziesiąt lat.

– Tym bardziej ci współczuję.

Ted machnął ręką.

– Tak, dzięki. Ale ucieszyłem się, mogąc wreszcie pozbyć się wszystkiego, co

mnie łączyło z The Heights. Okropnie mnie zbulwersowała ta sprawa z Boot Hill, gdy przenieśli szczątki z tamtejszych mogił i to, co z nimi zrobili. Jak można było zlikwidować jeden z najstarszych, historycznych cmentarzy w Kolorado, aby zbudować w tym miejscu spa dla bogatych dupków.

– Tak. To okropne.

Ted nagle wzruszył ramionami i lekko się zaśmiał.

– Cóż. Tak czasem bywa. Cóż począć? Gdybym naprawdę nie znosił tego miejsca, nie byłoby mnie tu, prawda?

Corrie pokiwała głową.

– Z czego zrobiłeś magisterium na Uniwersytecie Utah?

– Ze sztuki przetrwania. W sumie żaden był ze mnie student. Zbyt wiele czasu poświęcałem na jazdę na nartach i skuterach śnieżnych. Uwielbiam jazdę skuterem niemal tak bardzo jak szusowanie na deskach. Ach, no i lubię też wspinaczkę po górach.

– Wspinaczkę po górach?

– Tak. Wspiąłem się na czterdzieści jeden czterotysięczników.

– Co to jest czterotysięcznik?

Ted zachichotał.

– Rany, naprawdę jesteś dziewczyną ze wschodu. W Kolorado jest pięćdziesiąt pięć gór mierzących powyżej czterech tysięcy metrów, nazywamy je czterotysięcznikami. Zdobycie ich wszystkich to dla miłośników wspinaczek górskich jak znalezienie świętego Graala, a przynajmniej dla tych, którzy mają na koncie mniej niż czterdzieści osiem szczytów.

– Imponujące.

Przyniesiono im jedzenie: placek pasterski dla Corrie, a dla Teda hamburgera i jeszcze jedno piwo. Corrie podziękowała za piwo, mając w perspektywie jazdę przerażającą górską drogą do nowego domu na szczycie wzgórza.

– A ty? – spytał Ted. – Jestem ciekaw, skąd znasz tego człowieka w czerni.

– Pendergasta? To mój... – Boże, jak to nazwać? – Jest kimś w rodzaju mojego opiekuna.

– Tak? Jakby był twoim ojcem chrzestnym czy kimś takim?

– Coś w tym rodzaju. Kilka lat temu pomogłam mu przy pewnej sprawie i od tamtej pory się mną interesuje.

– Fajny gość, bez kitu. Naprawdę jest agentem FBI?

– Jednym z najlepszych.

Przy mikrofonie stanął kolejny balladzista – ale znacznie bardziej utalentowany od poprzedniego – i słuchali przez chwilę, rozmawiając i kończąc

posiłek. Ted próbował zapłacić, ale Corrie była na to przygotowana i uparła się, żeby uścili rachunek po połowie.

Gdy wstali, żeby wyjść, Ted zniżył głos do szeptu:

– Chciałabyś zobaczyć moje małe mieszkanko?

Corrie zawahała się. Kusiło ją, nawet bardzo. Ted wyglądał na żyłastego chłopaka, same ścięgna i mięśnie, był szczupły i twardy, a zarazem ujmująco czarujący i trochę nieporadny, a do tego miał urocze brązowe oczy. Corrie nie czułaby się jednak dobrze, gdyby poszła z chłopakiem do łóżka na pierwszej randce.

– Nie dzisiaj, dziękuję. Muszę wrócić do domu i trochę się przespać – odparła, ale uśmiechnąwszy się na sam koniec, dała mu do zrozumienia, że nie jest jeszcze u niej całkiem przegrany.

– Nie ma sprawy. Będziemy musieli to powtórzyć możliwie szybko.

– Bardzo chętnie.

Gdy Corrie odjechała sprzed tawerny, kierując się w stronę mrocznego lasu i mając w perspektywie noc w zimnym łóżku, bardzo szybko pożałowała, że odmówiła wizyty w małym, lecz przytulnym mieszkanku Teda.

22

W swoim apartamencie na najwyższym piętrze hotelu Sebastian agent Pendergast odłożył książkę, którą czytał, dopił niewielką filiżankę espresso stojącą na nocnym stoliku, po czym wstał i podszedł do panoramicznego okna po drugiej stronie pokoju dziennego. W apartamencie panowała kompletna cisza; Pendergast nie znosił hałasujących sąsiadów i zarezerwował pokoje przylegające z obu stron do jego apartamentu, aby nic nie zakłócało mu spokoju. Stał przy oknie w zupełnym bezruchu, spoglądając w dół na East Main Street, lekki śnieg padający na chodniki, budynki i przechodniów, łagodzący wieczorny pejzaż i potęgujący nieco stłumione, senne wrażenie milionów lampek świątecznych rozciągniętych wzdłuż ulic. Trwał tak przez dobrych dziesięć minut, wpatrując się w noc. W końcu ponownie odwrócił się i podszedł do biurka, na którym leżała nieotwarta koperta z pieczętkami FedExu. Została mu przesłana z Nowego Jorku przez Proctora, jego człowieka od wszystkiego, i dostarczona do apartamentu przez obsługę hotelu Sebastian.

Pendergast wziął kopertę do ręki, otworzył ją zdecydowanym ruchem i wysypał zawartość na biurko. Wypadło z niej kilka zaklejonych kopert różnej wielkości oraz nieco większy od wizytówki kartonik z wypukłym grawerunkiem, charakterystycznym znakiem, zaopatrzone w kilka zdań skreślonych ręką Proctora. Liścik stwierdzał pokrótce, że podopieczna Pendergasta Constance Greene wyjechała do Dharamsali w Indiach, gdzie zamierzała spędzić dwa tygodnie, odwiedzając dziewiętnastego rinpocze. Fantazyjny kartonik zawierał zaproszenie na ślub porucznika Vincenta D'Agosty i kapitan Laury Hayward, który był zaplanowany na dwudziestego dziewiątego maja przyszłego roku.

Wzrok Pendergasta przeniósł się na nieotwarte koperty. Agent patrzył na nie przez chwilę, żadnej nie dotykając. W końcu sięgnął po kopertę ze stemplem poczty lotniczej i przez chwilę w zamyśleniu obracał ją w dłoniach. Wrócił na fotel w pokoju dziennym, usiadł i otworzył kopertę. Wewnątrz znajdowała się kartka papieru, list nakreślony ręką dziecka staroświeckim niemieckim rodzajem

pisma znanym jako Sütterlin. Zaczął czytać.

6 grudnia

École Mère-Église

St. Moritz, Szwajcaria

Drogi Ojcze,

wydaje się, że minęło tyle czasu od Twojej ostatniej wizyty. Odliczam dni. Ułynęło ich już sto dwanaście. Mam nadzieję, że wkrótce znów się pojawisz.

Traktuj mnie tu dobrze. Jedzenie jest naprawdę wyśmienite. W soboty na deser dostajemy Linzer Torte. Jadłeś kiedyś Linzer Torte? Jest pyszny.

Wielu nauczycieli tutaj mówi po niemiecku, ale ja staram się używać angielskiego. Mówią, że mój angielski się poprawia. Nauczyciele są bardzo mili z wyjątkiem Madame Montaine, która zawsze pachnie wodą różaną. Lubię historię i nauki przyrodnicze, ale matematyki już nie. Nie jestem dobry z matematyki.

Jesienią lubiłem po zajęciach spacerować wśród wzgórz, teraz jednak jest tam za dużo śniegu. Powiedziano mi, że po świętach będę się uczył jazdy na nartach. Myślę, że to mi się spodoba.

Dziękuję za Twój list. Przyślij mi, proszę, następny. Mam nadzieję, że niebawem znów się zobaczymy.

Pozdrawiam,

Twój syn,

Tristram

Pendergast przeczytał list ponownie. Potem bardzo wolno złożył go i wsunął na powrót do koperty. Zgasiwszy nocną lampkę, siedział po ciemku pogrążony w myślach, zapominając o książce, a minuty mijaly jedna za drugą. Wreszcie otrząsnął się z odrętwienia, wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer z prefiksem północnej Wirginii.

– Centrala nadzoru – rozległ się oschły głos pozbawiony akcentu.

– Mówi S.A. Pendergast. Proszę mnie połączyć z wydziałem operacji południowoamerykańskich. Stanowisko 14-C.

– Oczywiście.

Zapadła krótka cisza, po czym dał się słyszeć cichy trzask i na linii rozległ się inny głos.

– Agent Wilkins.

– Mówi Pendergast.

Głos stał się nagle nieco chłodniejszy.

– Tak jest, słucham.

– Jaki jest status Dzikiego Ognia?

– Prowadzimy poszukiwania na okrągło, ale jak dotąd bez rezultatu. Nie mamy żadnych trafień.

– Co z monitoringiem?

– Wszystkie punkty kontroli i ośrodki nasłuchu są aktywne. Monitorujemy krajowe i lokalne raporty policyjne oraz wiadomości podawane przez media przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu, sprawdzamy też codziennie pliki informacji przechwycone przez NSA. Poza tym współpracujemy z agentami terenowymi CIA w Brazylii i krajach sąsiednich w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak... podejrzanych działań.

– Wiecie, gdzie obecnie przebywam?

– W Kolorado? Tak.

– Doskonale, agencie Wilkins. Proszę poinformować mnie niezwłocznie, gdyby status Dzikiego Ognia się zmienił.

– Oczywiście, sir.

Pendergast zakończył połączenie. Sięgnął po telefon w pokoju i zamówił jeszcze jedno espresso. Potem ponownie użył swojej komórki; tym razem zadzwonił na przedmieścia Cleveland do River Pointe.

Telefon odebrano po drugim sygnale. Nikt się nie odezwał, ale dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk zestawionego połączenia.

– Mimie? – rzucił, przerywając ciszę, Pendergast.

Przez chwilę nic. W końcu wysoki świszczący głos wychrypiął:

– Czy to mój agent specjalny? Mój tajny agent?

– Podaj mi, proszę, porcję najświeższych wiadomości, Mimie.

– Na zachodzie bez zmian.

– Zupełnie nic?

– Nic a nic.

– Chwileczkę. – Pendergast przerwał, gdy zjawił się pracownik obsługi, przynosząc espresso. Agent dał mu napiwek i zaczekał, aż tamten wyjdzie. Gdy znów został w pokoju sam, powiedział: – Jesteś pewien, że zarzuciłeś swoją sieć dostatecznie szeroko i głęboko, aby... wychwycić obiekt... gdyby się pojawił?

– Tajny agencie, mam całą serię algorytmów AI i heurystycznych wzorców przeszukiwania online, które mogłyby sprawić, że sfajdałbyś się w swoje służbowe gatki z rządowego przydziału. Monitoruję wszystkie oficjalne

posunięcia i całą masę zgoła nieoficjalnych ruchów w sieci, wchodzących i wychodzących, w obszarze, w którym operował nasz cel. Nie wyobrażasz sobie szerokości pasma, przez jakie się przepalam. Powiem tylko, że musiałem podłączyć się do farm serwerów w co najmniej kilkunastu...

– Nie wyobrażam sobie. Ani nawet nie chcę.

– Tak czy owak cel jest absolutnie nieobecny w sieci, ten chłopak nie dba o uaktualnienie swojego profilu na Facebooku. Ale jeżeli jest tak pokręcony, jak mówisz, w którymś momencie wypłynie – a wtedy hip, hip, hurra! Mamy cię, chłopcze! – Nagła cisza. – Ups, przepraszam. Wciąż zapominam, że Alban jest twoim synem.

– Kontynuuj, proszę, Mimie, swoje działania monitorujące. Prowadź nasłuch na okrągło. I daj mi znać niezwłocznie, gdy tylko coś wychwycisz.

– Nie ma sprawy.

Połączenie zostało przerwane. A Pendergast jeszcze bardzo długo siedział w ciemnym pokoju w absolutnym bezruchu.

23

Corrie zaparkowała rżęcha z wypożyczalni, forda focusa, na rozległym podjeździe przy Ravens Ravine Road 1 – przed domem Fine’a – i otworzyła drzwiczki. Dochodziła północ, a olbrzymi bładzi księżyc wisiał nisko na niebie, sprawiając, że strzeliste sosny wydawały się niebieskawe na tle kremowego kobierca białego śniegu poprzecinanego pasmami cieni. Sypał lekki śnieg i tu, w przypominającej nieckę kotlinie, na skraju rozpadliny, Corrie poczuła się, jakby znalazła się w trzymanej przez dziecko do góry nogami szklanej kuli, w której wirują małe białe płatki. Na wprost niej rząd sześciorga drzwi garażu odcinał się na tle betonowego podjazdu jak wielkie szare zębiska. Zgasiła silnik – z niewiadomego powodu Fine nie chciał, aby korzystała z garażu – i wysiadła z samochodu. Podeszła do najbliższych drzwi, zdjęła rękawiczkę i wstukowała kod. Kiedy brama zaczęła się unosić na metalowych szynach, odwróciła się nagle i aż westchnęła ze zdumienia.

W cieniu z boku garażu dostrzegła jakiś kształt. W pierwszej chwili nie potrafiła rozpoznać, co to było. Gdy jednak światło z urządzenia otwierającego drzwi garażu zapewniło jej słabą iluminację, zdołała dostrzec niedużego psa dygocącego w ciemnościach.

– No proszę – powiedziała, klękając obok zwierzęcia. – Co ty tu robisz?

Pies zaskomlał i polizał ją po rękę. To był kundel, wyglądał jak krzyżówka niedużego psa gończego ze spanielem, miał oklapnięte uszy, smutne brązowe ślepia i brązowo-białe łaty na całym ciele. Nie miał obroży.

– Nie możesz tu zostać. Chodź do środka.

Pies chętnie wszedł za nią do garażu. Corrie nacisnęła guzik opuszczający drzwi. Garaż był pusty – wielka betonowa pustynia. Z zewnątrz dochodziło zawroźnienie wiatru, który kołysał konarami drzew. Czemu, u licha, nie mogła tu parkować?

Spojrzała na psa, który gapił się na nią, machając ogonem, ze ślepiami przepełnionymi nadzieją. Chrzanić pana Fine’a, psiak zostaje.

Corrie zaczekała, aż drzwi garażu się zamkną, zanim otworzyła sąsiednie i weszła do domu. W środku było niemal równie zimno jak na zewnątrz. Minęła pralnię z urządzeniami tak wielkimi, że mogłyby obsłużyć batalion wojska, potem spiżarnię większą niż domek jej ojca, aż doszła do korytarza biegnącego przez całą długość rezydencji. Maszerowała dziarsko, a pies dreptał przy jej nodze, pokonując meandry korytarza dostosowanego do ukształtowania terenu przy skraju rozpadliny. Przeszła przez wielkie pokoje pełne wyglądających na niewygodne awangardowych mebli. Korytarz był wypełniony afrykańskimi rzeźbami, postaciami o wielkich brzuchach, pociągłych gniewnych twarzach i wypukłych oczach, które zdawały się śledzić każdy jej krok. Wysokie panoramiczne okna w pokojach po lewej stronie nie miały zasłon, a blask księżycy rzucał widmowe cienie na zalane srebrzystą poświatą ściany.

Poprzedniej nocy – pierwszej, którą spędziła w tym miejscu – Corrie sprawdziła zarówno pierwsze piętro, jak i piwnice, aby zapoznać się z rozkładem domu. Na górze znajdowała się wielka główna sypialnia z dwiema łazienkami i garderobami, sześć innych nieumeblowanych sypialni i kilka łazienek dla gości. W głównej piwnicy założono siłownię, kręgielnię na dwa tory, maszynownię, basen – pusty – i kilka pomieszczeń magazynowych. To skandal, żeby dom był tak wielki – albo taki pusty.

Wreszcie doszła do końca korytarza i drzwi prowadzących do jej niewielkiej przestrzeni mieszkalnej. Zamknęła za sobą drzwi i włączyła nieduży grzejnik w pokoju, który dla siebie wybrała. Wyciągnęła z szafki dwie miseczki i do jednej nalała wody, a do drugiej nasypała trochę płatków i krakersów, aby pies mógł zjeść przygotowaną naprędce kolację. Jutro, jeśli nie znajdzie się właściciel kundelka, kupi mu prawdziwą karmę.

Patrzyła na małego brązowo-białego psiaka, który jadł łapczywie. Biedak musiał być bardzo wygłodniały. Choć to kundelek, wydawał się uroczy, miał śmieszna grzywkę opadającą mu na ślepia. Przypominał jej Jacka Corbetta, chłopaka, którego znała w Medicine Creek. Jemu też grzywka tak przesłaniała oczy.

– Będziesz się wabił Jack – rzekła do psa, a ten spojrzał na nią i zamerdał ogonem.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zrobić ziołowej herbaty, ale była zbyt zmęczona, żeby zadać sobie tyle trudu, i nawet się nie umyła, tylko włożyła rzeczy do spania, po czym wślizgnęła się do chłodnej pościeli. Usłyszała skrobanie pazurów, a po chwili pies podszedł i ułożył się na podłodze, przy nogach łóżka.

Stopniowo ciepło jej ciała i nieduży grzejnik – włączony na maksimum – sprawiły, że chłód był mniej odczuwalny. Zrezygnowała z lektury, uznając, że woli zużyć prąd na ogrzewanie niż włączenie lampki. Zamierzała zwiększać ilość zużytej energii, by sprawdzić, czy Fine jej to wypomni.

Powróciła myślami do randki z Tedem. Był szczery, zabawny, miły, choć trochę nieporadny, ale niektórzy miłośnicy narciarstwa już tacy są: przystojni, nieporadni i beztroscy. Poza tym nie był wcale lekkoduchem – miał swoje zasady. Wydawał się idealistą. Podziwiała jego niezależność i decyzję o porzuceniu wielkiego rodzinnego domu na rzecz małego mieszkania w miasteczku.

Przewracała się na łóżku, ale robiła się coraz bardziej senna. Ten chłopak, poza tym że miły, wyglądał na niezłe ciacho, ale chciała trochę lepiej go poznać, zanim...

Gdzieś z odległych zakamarków domu ponad nią dobiegło głośnie łupnięcie.

Usiadła na łóżku, w jednej chwili kompletnie rozbudzona. Co to było, do cholery?

Pozostała w bezruchu. Jedyne światło w pomieszczeniu płynęło z jasnopomarańczowych spiralnych cewek grzejnika. Gdy tak siedziała, nasłuchując z uwagą, usłyszała słabe, smętne zawrozczenie wiatru, którego poddmuchy przetaczały się przez wąską kotlinę.

I nic więcej. To musiała być odłamana przez wiatr gałąź, która spadła i uderzyła w dach.

Powoli się położyła. Teraz, gdy wiedziała już, że na zewnątrz wieje, leżąc w ciemnościach, zaczęła wsłuchiwać się w odgłosy wiatru. Mijały kolejne minuty i senność znów zaczęła ją ogarniać. Przez chwilę zastanawiała się nad swoimi planami na następny dzień. Prowadzone przez nią badania szkieletu Emmetta Bowdreego dobiegały końca i jeśli miała rozwinąć swoją teorię, potrzebowała pozwolenia na przebadanie innych szczątków. Oczywiście Pendergast zapewnił ją, że to załatwi, a znając jego pokrętne sposoby działania, była skłonna uwierzyć, że...

Pokrętne sposoby działania. Dlaczego użyła akurat takiego zwrotu?

I dlaczego w ogóle pomyślała o Pendergastie po raz pierwszy, odkąd go znała, w pejoratywny sposób, jak o źródle potencjalnych problemów? Bądź co bądź ten człowiek uchronił ją przed dziesięcioletnim wyrokiem więzienia. Ocalił jej karierę. Zapłacił za jej edukację i w gruncie rzeczy pchnął jej życie na właściwe tory.

Gdyby miała być uczciwa wobec siebie, musiałaby przyznać, że to nie miało

nic wspólnego z Pendergastem, a wyłącznie z nią samą. To składowisko szkieletów zapowiadało się na wielki projekt i niebywałą okazję. Bała się, że ktoś mógłby wkroczyć i zgarnąć wszystkie laury dla siebie. A Pendergast rzecz jasna mimowolnie mógł do tego doprowadzić. Gdyby się wydało, że jej pomógł, wszyscy pomyśleliby, iż to on odważył najważniejszą robotę, i umniejsziliby jej wkład w te badania.

Matka przy każdej nadarzającej się okazji wypominała jej, że jest nieudacznicą. Koledzy i koleżanki z Medicine Creek nazywali ją dziwołagiem i popaprańcem. Aż do teraz nie zdawała sobie sprawy, jak wielkie znaczenie miało dla niej dokonanie czegoś naprawdę ważnego...

I nagle: znów jakiś dźwięk. Ale to na pewno nie było uderzenie odłamanej konara o dach domu. To przypominało raczej ciche skrobnięcie dochodzące z miejsca niezbyt oddalonego od jej sypialni – cichy odgłos, jakby ktoś skradał się korytarzem.

Corrie nasłuchiwała. Może to znowu wiatr sprawiający, że konar sosny ocierał się o ścianę domu. Ale dźwięk wydawał się przeraźliwie regularny.

Odgarnęła pościel, wstała z łóżka i nie zważając na chłód, stanęła w ciemnej sypialni. Nasłuchiwała.

Zgrzyt. Zgrzyt. Zgrzyt. Zgrzyt. Zgrzyt.

U jej stóp zaskomlał Jack.

Wyszła na korytarzyk, zapaliła światło, otworzyła drzwi do głównej części budynku i znów przystanęła, nasłuchując. Dźwięk nagle się urwał. Nie, znów się rozległ. Wydawał się dobiegać z tej części domu, która znajdowała się bliżej rozpadliny, możliwe, że z salonu.

Corrie przeszła szybko korytarzem pełnym cieni i ech, po czym wślizgnęła się do pomieszczenia kontrolnego. Różne urządzenia były włączone, wydawały z siebie szumy i kliknięcia, ale panel główny został wygaszony. Włączyła go. Na ekranie pojawił się obraz: kamera numer jeden, widok na pusty obecnie podjazd przed domem.

Wcisnęła przycisk powodujący rozdzielenie ekranu na wiele mniejszych i zaczęła przeglądać obrazy z innych kamer. Dwa, cztery, osiem, szesnaście... i nagle w oknie kamery numer dziewięć dostrzegła czerwoną literę R obwiedzioną kółkiem.

R jak ruch.

Natychmiast wcisnęła przycisk przypisany kamerze numer dziewięć. Obraz wypełnił cały ekran: widok na tylne drzwi prowadzące z kuchni na rozległy taras od strony rozpadliny. Litera R była teraz większa. Ale nie było widać żadnego

ruchu, nie spostrzegła niczego podejrzanego.

Wlepiała wzrok w rozpixlowany obraz. Nic.

Co, u licha, mówił Fine? Kiedy kamera zarejestrowała ruch, nagrywała zapis na twardy dysk na minutę przed wychwyceniem poruszenia i przez minutę po jego ustaniu.

Co sprawiło, że uaktywniła się kamera numer dziewięć?

To nie mógł być wiatr kołyszący konarami drzew, bo w polu widzenia nie było żadnych drzew. Corrie patrzyła, a tymczasem litera R znikła z ekranu. Teraz widziała już tylko tylne wejście do domu, z datą i godziną zarejestrowaną w dolnej części obrazu.

Powróciła do szachownicy obrazów i spojrzała na komputer w nadziei, że zdoła odtworzyć nagranie z dziewiątki. Urządzenie było włączone, ale gdy poruszyła myszką, otworzyło się okno, domagając się hasła.

Szlag. Teraz przeklinała samą siebie, że nie zadała Fine'owi więcej pytań.

Kątem oka dostrzegła czerwonawy błysk. Natychmiast powróciła wzrokiem do ekranu. I faktycznie, zauważyła coś dużego i ciemnego, co przesunęło się wzdłuż ściany domu – zarejestrowała to kamera numer osiem. Wokół kształtu unosiły się czarne prostokąty śledzące poruszający się obiekt. Na ekranie znów pojawiła się obwiedziona kręgiem czerwona litera R.

Może powinna zadzwonić na policję. Tyle że zostawiła swoją komórkę w samochodzie, a ten kutwa Fine odłączył wszystkie telefony stacjonarne w domu.

Corrie przyjrzała się uważniej, serce mocniej zabiło w jej piersi. Ta część tylnego patia tonęła wśród głębokich cieni, dom przesłonił blask księżyca i nie bardzo potrafiła określić, co właściwie zobaczyła. Czy to jakieś zwierzę? Może kojot? Nie, było za duże jak na kojota. W sposobie poruszania się tego czegoś była dziwna rozwaga, to coś skradało się w tak celowy i rozmyślny sposób, że Corrie poczuła dojmujący strach, a po plecach przeszły jej lodowate ciarki.

Teraz to coś znikło z ekranu. Żadna z pozostałych kamer się nie uaktywniła. Mimo to Corrie nie poczuła się pewniej. Cokolwiek to było, obchodziło dom, przesunęło się wzdłuż ściany. Szło w jej stronę.

Odwróciła się nagle. Co to był za dźwięk? Pisk myszy? A może – kto wie – ciche skrzypnięcie okna, które ktoś próbował podważyć i otworzyć na siłę?

Serce podeszło jej do gardła, gdy wybiegła z pomieszczenia kontrolnego i korytarzem pognęła do swojej sypialni. Wysokie okna naprzeciw niej wypełniała ziejąca czerń.

– Spierdalaj stąd! – zawołała w ciemność. – Mam broń i nie zawaham się jej

użyć! Podejdź bliżej, a wezwę gliny!

Nic. Kompletna cisza.

Corrie stała w ciemnościach, ciężko oddychając. Nadal nic.

Wreszcie wróciła do pomieszczenia kontrolnego. Obraz z kamer pozostał niezakłócony, żadne z urządzeń nie zarejestrowało jakiegokolwiek poruszenia.

Corrie stała przed ekranem, przeglądając obrazy z poszczególnych kamer jeszcze przez co najmniej kwadrans. Potem obeszła z psem cały dom, sprawdzając wszystkie drzwi i okna, aby upewnić się, że były pozamykane na zasuwę i zamki. W końcu wróciła do swojej sypialni, położyła się po ciemku i przykryła kołdrą aż pod brodę. Ale nie mogła zasnąć.

24

Następnego ranka było jeszcze zimniej niż wczoraj, choć wydawało się to niemożliwe. Jednak krzątając się w magazynie sprzętu narciarskiego, Corrie prawie nie zwróciła na to uwagi. Jedząc śniadanie, przekonywała samą siebie, że ubiegłej nocy coś jej się tylko przywidziało, ale gdy ciepło się ubrała i wyszła na zewnątrz, odkryła na śniegu wokół domu bardzo wyraźne ślady ludzkich stóp. Najwyraźniej ktoś tam krążył, i to bardzo długo, może nawet przez wiele godzin.

To napędziło jej sporego stracha, ale nie była w stanie rozpoznać pogmatwanych śladów ani określić, skąd nadszedł ten, kto je zostawił.

Wsiadłszy do auta i sprawdziwszy komórkę, odsłuchiwała wiadomość od Pendergasta, który oświadczył, że załatwił dla niej niezbędne zezwolenia na zbadanie kolejnych trzech szkieletów spośród szczątków znajdujących się w trumnach w magazynie. Pojechała do hotelu Sebastian, aby odebrać wszelkie potrzebne papiery i podziękować Pendergastowi, poinformowano ją jednak, że go nie zastała, lecz zostawił wszystko dla niej w recepcji.

Niemal zupełnie zapomniała o chłodzie, gdy odnalazła pierwszy z trzech szkieletów – Asy Cobba. Starannie wydobyla szczątki z topornej trumny i przeniosła je na stół do badań. Rozkładając narzędzia, wzięła głęboki oddech, po czym rozpoczęła metodyczną analizę kości.

Było tak, jak się spodziewała. Na wielu kościach odkryła ślady narzędzi: nacięcia, złobienia, rysy. A także ślady zębów – ewidentnie ludzkich, nie kłów niedźwiedzia. Także w tym wypadku nic nie wskazywało, aby ciało gotowano lub smażono – tego mężczyznę również zjedzono na surowo. Nie zauważyła żadnych ran od kuli czy noża – śmierć spowodowało potężne uderzenie kamieniem w głowę, a następnie takie samo jak w poprzednim wypadku brutalne pobicie i rozczłonkowanie. Stare, zbrązowiałe kości zdradziły Corrie brutalną, krwawą historię człowieka, który został zwabiony w pułapkę, napadnięty, rozerwany na kawałki i zjedzony na surowo.

Wyprostowała się. Nie miała już żadnych wątpliwości: ci górnicy padli ofiarą

gangu seryjnych zabójców.

– Czy jest tak, jak się tego spodziewałaś? – rozległ się z tyłu melodyjny głos.

Corrie odwróciła się, a serce w jej piersi zaczęło bić jak szalone. Opoдал stał Pendergast, w czarnym płaszczu, z jedwabnym szalem owiniętym wokół szyi. Jego twarz i włosy były niemal tak białe jak śnieg oblepiający mu buty. Ten facet naprawdę potrafił się skradać. Poruszał się bezszelestnie.

– Widzę, że odebrałaś moją wiadomość – rzekł. – Wczoraj wieczorem próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale nie odbierałaś.

– Przepraszam. – Gdy jej serce zwolniło rytm, zaczerwieniła się. – Miałam randkę.

Jedna brew uniosła się.

– Naprawdę? Mogę zapytać z kim?

– Z Tedem Romanem. To bibliotekarz z Roaring Fork. Dorastał w mieście. Miły chłopak, dawny zapalony narciarz i miłośnik jazdy na skuterach śnieżnych. Zna się na wyszukiwaniu różnych informacji. Trochę mi pomógł.

Pendergast skinął głową, po czym odwrócił się znacząco w stronę stołu do badań.

– Zdążyłam przebadać tylko jeden szkielet – wyjaśniła. – Ale odkryłam na kościach takie same ślady jak na szczątkach Emmetta Bowdreego.

– A więc twoim zdaniem mamy tu do czynienia z, jak by to ująć, grupą sprawców zaangażowanych w serię zabójstw.

– Tak. Myślę, że musiało być ich trzech, czterech albo nawet więcej.

– To ciekawe. – Pendergast wziął do ręki jedną z kości i zaczął obracać ją w dłoniach, dokonując pobieżnych oględzin. – Dwóch morderców działających razem to rzadkość, choć znamy takie przypadki. Jednak trzech lub czterech współpracujących ze sobą to unikat, *rara avis*. – Odłożył kość na stół. – Teoretycznie konieczne są trzy osobne zabójstwa, by nazwać ich sprawcę seryjnym mordercą.

– Zginęło jedenastu górników. Czy to nie wystarczy do ustalenia kwalifikacji czynu?

– Prawie na pewno. Nie mogę się już doczekać, aż otrzymam od ciebie szczegółowy raport z badań dwóch pozostałych górników.

Corrie pokiwała głową.

Wkładając ręce do kieszeni, Pendergast rozejrzał się po wnętrzu magazynu, po czym zatrzymał wzrok na Corrie.

– Kiedy ostatni raz czytałaś *Psa Baskerville'ów*?

Pytanie było tak zaskakujące, że Corrie wydawało się, iż się przesłyszała.

– Co?

– *Psa Baskerville'ów*. Kiedy to ostatnio czytałaś?

– To opowiadanie o Holmesie? W dziewiątej klasie. Może w ósmej. Dlaczego pan pyta?

– Pamiętasz pierwszy list, który do mnie wysłałaś, dotyczący tematu twojej pracy? W postscriptum wspomniałaś o spotkaniu Arthura Conan Doyle'a z Oscarem Wilde'em. Wilde opowiedział Conan Doyle'owi dość makabryczną historię, którą zasłyszał podczas swego tournée po Ameryce.

– Zgadza się. – Corrie zerknęła na blat stołu. Chciała jak najszybciej wrócić do pracy.

– Czy zainteresowałoby cię, gdybyś wiedziała, że jednym z miejsc, gdzie Oscar Wilde zatrzymał się podczas swego cyklu wykładów, było Roaring Fork?

– Wiem o tym wszystko. Była o tym wzmianka w dzienniku Doyle'a. Jeden z górników z Roaring Fork opowiedział Wilde'owi historię o grizzlym ludojadzie, a Wilde przekazał ją Doyle'owi. Właśnie to podsunęło mi temat pracy.

– Doskonale. Wobec tego pozwól, że zadam ci jedno pytanie: czy wierzysz, że opowieść Wilde'a mogła zainspirować Doyle'a do napisania *Psa Baskerville'ów*?

Corrie przestępowała z nogi na nogę.

– To możliwe. Powiedziałabym, że nawet prawdopodobne. Ale nie dostrzegam związku.

– Pomyśl tylko, gdybyś uważnie przeczytała *Psa*, istnieje szansa, że natknęłabyś się na pewne tropy pozwalające domyślić się, co się naprawdę zdarzyło.

– Co się naprawdę zdarzyło? Ale... jestem pewna, że Wilde usłyszał fałszywą historię i podzielił się nią z Doyle'em. Żaden z nich nie mógł znać prawdy, że tych górników nie zabił niedźwiedź.

– Jesteś pewna?

– Doyle wspominał w swoim dzienniku o niedźwiedziu samotniku. Nie było tam ani słowa o grupie kanibali.

– Zastanów się przez chwilę: a jeśli Wilde usłyszał prawdziwą historię i opowiedział ją Doyle'owi? I jeśli Doyle uznał ją za zbyt kontrowersyjną, aby wspomnieć o niej w dzienniku? Jeśli Doyle postanowił ukryć pewne elementy tej historii w *Psie Baskerville'ów*?

Corrie prawie parsknęła. Czy to możliwe, żeby Pendergast mówił serio?

– Przykro mi, ale uważam, że to trochę naciągane. Naprawdę sugeruje pan, że opowiadanie o Holmesie mogłoby rzucić nowe światło na mój projekt?

Pendergast nie odpowiedział. Stał tylko w długim czarnym płaszczu, patrząc jej prosto w oczy.

Zadrżała.

– Proszę posłuchać, niech się pan nie gniewa, ale naprawdę chciałabym już wrócić do swoich badań.

Pendergast wciąż milczał, wpatrując się w nią swoimi niezwykłymi oczami. Corrie odniosła wrażenie, że właśnie oblała bliżej nieokreślony, ale ważny sprawdzian. Nic nie mogła na to poradzić; odpowiedź nie kryła się na kartach beletrystycznego opowiadania, lecz tu, w samych kościach.

Po dłuższej chwili Pendergast lekko się jej ukłonił.

– Oczywiście, panno Swanson – rzekł chłodno.

Odwrócił się i opuścił magazyn równie bezszelestnie, jak się tu zjawiał.

Corrie patrzyła w stronę wyjścia, dopóki nie usłyszała cichego trzasku zamykających się drzwi. Wówczas z zapałem i niejaką ulgą powróciła do badania doczesnych szczątków Asy Cobba.

25

Stanley Morris zamknął drzwi swego gabinetu i polecił sekretarce, aby mu nie przeszkadzano, bo zamierza zająć się trudnym zadaniem uporządkowania prowadzonych spraw na dużej korkowej tablicy. Właśnie tak komendant radził sobie ze złożonymi sprawami, redukując wszystko do różnokolorowych kartoników wielkości osiem na dwanaście centymetrów z rozpisanymi na każdym z nich pojedynczymi informacjami, materiałami dowodowymi, zdjęciami lub nazwiskami świadków. Układał wszystko w porządku chronologicznym, przypinając kartoniki pinezkami do korkowej tablicy, a następnie, rozwijając szpagat łączący kartoniki, szukał wzorców, tropów i wzajemnych powiązań.

To było standardowe podejście i jak dotąd doskonale się sprawdzało. Kiedy jednak zlustrował wzrokiem chaotyczną gmatwaninę na swoim biurku i korkową tablicę mieniącą się wszystkimi kolorami tęczy od nadmiaru barwnych fiszek i kawałków szpagatu rozchodzących się we wszystkich kierunkach, zaczął się zastanawiać, czy nie potrzebuje innego systemu. Z każdą chwilą coraz bardziej narastała w nim frustracja.

Zadzwoił telefon. Komendant odebrał.

– Na miłość boską, Shirley, prosiłem, żeby mi nie przeszkadzano!

– Przepraszam, szefie – rozległ się głos w słuchawce – ale jest tu ktoś, z kim naprawdę musi się pan zobaczyć...

– Nawet gdyby to był sam papież, jestem zajęty!

– To kapitan Stacy Bowdree.

Potrzebował dłuższej chwili, aby przyswoić sobie tę wiadomość. Zrobiło mu się zimno. Jeszcze tego brakowało.

– O Jezu... Dobra, wpuść ją.

Zanim zdołał się przygotować, drzwi otworzyły się i do środka weszła zjawiskowa kobieta. Kapitan Bowdree miała krótkie kasztanowe włosy, urzekającą twarz, przenikliwe ciemnobrązowe oczy i metr osiemdziesiąt wzrostu. Była dobrze po trzydziestce.

Komendant wstał i wyciągnął rękę.

– Komendant Stanley Morris. Cóż za niespodzianka.

– Stacy Bowdree.

Uścisnęła jego dłoń zdecydowanym ruchem. Choć była po cywilnemu, w dżinsach, białej koszuli i skórzanej kamizelce, miała typowo wojskowe maniery. Komendant prosił ją, żeby usiadła, co skwapliwie uczyniła.

– Po pierwsze – zaczął Morris – pragnę przeprosić za problemy z ekshumacją pani... ee... przodka. Wiem, jakie to musiało być bulwersujące. Naprawdę byliśmy przekonani, że deweloperzy przeprowadzili gruntowne poszukiwania, i byłem wstrząśnięty, naprawdę wstrząśnięty, gdy dowiedziałem się o pani liście...

Bowdree posłała komendantowi ciepły uśmiech i machnęła ręką.

– Proszę się tym nie przejmować. Nie żywię urazy. Naprawdę.

– Cóż. Dzięki za wyrozumiałość. Ja... postaramy się to naprawić, obiecuję. – Komendant zdał sobie sprawę, że nieomal bełkocze.

– Nie ma sprawy – odparła. – Proszę posłuchać. Postanowiłam zabrać szczątki i po zakończeniu badań pochować je na naszym rodzinnym cmentarzu w Kentucky. Po to tu przyjechałam. W związku z tym moje wcześniejsze żądanie, aby pochować Emmetta na pierwotnym miejscu, przestaje być wiążące.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie odetchnąłem z ulgą. To znacznie uprości sprawy.

– Czy... wydaje mi się, czy poczułam zapach kawy?

– Ma pani ochotę na filiżankę?

– Bardzo chętnie. Czarną, bez cukru.

Komendant przywołał Shirley i złożył zamówienie, poprosił też o drugą kawę dla siebie. Zapadła krótka niezręczna cisza.

– A więc... – zaczął. – Jak długo jest pani w mieście?

– Niedługo, od paru dni. Postanowiłam się rozejrzeć, poczuć tutejszy klimat, zanim się ujawnię. Zdałam sobie sprawę, że mój list wywołał spore zamieszanie, i nie chciałam wystraszyć wszystkich, wparowując do miasta jak Samotny Jeździec. Właściwie jest pan pierwszą osobą, której się przedstawiłam.

– Proszę pozwolić, że oficjalnie powitam panią gorąco w Roaring Fork. – To, co usłyszał od Stacy Bowdree, przepełniło komendanta głęboką ulgą, zjednała go sobie również przyjaznym, swobodnym zachowaniem. – Cieszymy się, że możemy tu panią gościć. Gdzie się pani zatrzymała?

– W Woody Creek, ale szukam czegoś w miasteczku. Niestety ciężko jest znaleźć coś, na co byłoby mnie stać.

– Obawiam się, że mamy teraz pełnię sezonu. Chciałbym móc coś doradzić, ale podejrzewam, że miasteczko pęka w szwach. – Przypomniał sobie hałaśliwą, zjadliwą konferencję prasową i zastanawiał się, czy coś w tej kwestii miało się zmienić.

Przyniesiono kawę, Bowdree przyjęła ją skwapliwie i upiła łyk.

– Muszę przyznać, że nie jest to kawa, jaką zwykle pije się na posterunku policji.

– Szczerze mówiąc, jestem kawoszem. Mamy w mieście prażalnię kawy, której właściciel zna się na rzeczy.

Bowdree upiła jeszcze jeden łyk, potem drugi.

– Nie będę zabierać panu czasu, widzę, że jest pan zajęty. Chciałam tylko wpaść, przywitać się i opowiedzieć o swoich planach pozostania tu przez dłuższą chwilę. – Odstawiła filiżankę. – Zastanawiałam się, czy mógłby mi pan pomóc. Gdzie dokładnie są teraz szczątki i jak mogłabym tam dotrzeć? Chciałabym je zobaczyć i spotkać się z kobietą, która prowadzi te badania.

Komendant udzielił jej wyjaśnień, szkicując naprędce niewielką mapkę osiedla The Heights.

– Powiadomię tamtejszą ochronę. Zapowiem, że się pani pojawi.

– Dziękuję. – Kapitan Bowdree wstała, raz jeszcze wzbudzając u komendanta podziw figurą i sylwetką. Była naprawdę atrakcyjną kobietą, silną i sprężystą. – Bardzo mi pan pomógł.

Morris poderwał się pospiesznie z miejsca i uściskał jej dłoń.

– Gdybym mógł jeszcze czymś służyć, proszę dać mi znać.

Odprowadził ją wzrokiem z przekonaniem, że piekielny tydzień wreszcie zaczął odmieniać się na lepsze. Zaraz jednak jego wzrok padł na korkową tablicę i chaotycznie rozłożone na biurku kartoniki i kawałki szpagatu – uczucie niepokoju powróciło w jednej chwili. Zdał sobie sprawę, że piekielny tydzień wcale się nie skończył.

26

Corrie usłyszała, że drzwi magazynu trzasnęły, i przerwała pracę, zastanawiając się, czy to Pendergast wrócił. Jednak zamiast postaci w czarnym garniturze ujrzała wysoką kobietę w puchowej kurtce i wielkiej wełnianej czapce ozdobionej zwisającymi pomponami.

– Corrie Swanson? – zapytała nieznajoma, podchodząc bliżej.

– To ja.

– Stacy Bowdree. Uścisnęłabym ci dłoń, ale przyniosłam kawę. – Podała Corrie duży kubek ze Starbucksa. – Niskośluszczowa latte venti z czterema śmietankami i dodatkowym cukrem. Strzelałam w ciemno.

– Łał. Trafiłaś w dziesiątkę. – Corrie przyjęła kubek z wdzięcznością. – Nie wiedziałam, że wybierasz się do Roaring Fork. To dla mnie niespodzianka.

– Ale oto jestem.

– Boże, Stacy – mogę ci mówić po imieniu? – tyle ci zawdzięczam. Ocaliłaś mi tyłek tym listem. Czekają mi dziesięć lat za kratkami, nie masz pojęcia, jaka ci jestem wdzięczna...

– Oj, bo poczuję się skrupowana! – Bowdree zaśmiała się, otworzyła swój kubek i napiła się. – Jeżeli chcesz komuś podziękować, to raczej swojemu przyjacielowi Pendergastowi. Wyjaśnił mi całą sytuację i to, jak z tobą postąpili. Z przyjemnością udzieliłam ci drobnego wsparcia. – Rozejrzała się dokoła. – Proszę, proszę, ile tu tych trumien. Która z nich należy do prapradziadka Emmetta?

– Ta tutaj.

Corrie podprowadziła Stacy do szczątków mężczyzny rozłożonych na sąsiednim stole. Gdyby wiedziała, że ta kobieta przyjedzie do Roaring Fork, postarałaby się zaprowadzić tu porządek. Miała nadzieję, że potomkini Emmetta zrozumie.

Upiła łyk kawy lekko zdenerwowana, gdy Bowdree podeszła, wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła fragmentu czaszki.

– Jezu, ten niedźwiedź naprawdę nieźle go załatwił.

Corrie już chciała się odezwać, ale zmytygowała się. Pendergast nie bez powodu poradził jej, żeby nie zdradzała nikomu – ale to absolutnie nikomu – prawdziwej przyczyny śmierci górników, dopóki nie zakończy swoich badań.

– Myślę, że to fascynująca praca – powiedziała Bowdree, delikatnie odkładając fragment czaszki. – A więc naprawdę chcesz zostać policjantką?

Corrie zaśmiała się. Od razu polubiła Stacy Bowdree.

– Sądzę, że wolałabym zostać agentką FBI ze specjalizacją z antropologii sądowej. Nie myślę o sobie jako o jajogłowej z laboratorium, lecz raczej o agentce terenowej ze szczególnymi umiejętnościami.

– Świetnie. Też zastanawiałam się nad pracą w służbie prawa... W gruncie rzeczy to logiczne rozwiązanie po zakończeniu kariery wojskowej.

– Już nie jesteś w służbie czynnej?

Bowdree uśmiechnęła się.

– Zawsze będę panią kapitan, ale tak, zostałam zwolniona z wojska. – Przerwała. – Chyba powinnam się już zbierać. Muszę znaleźć tańsze lokum, jeżeli chcę zabawić tu dłużej. Opłaty za hotel są tak wygórowane, że ani się obejrzę, a będę spłukana.

– Znam ten ból – roześmiała się Corrie.

– Chciałam się tylko przywitać i powiedzieć, że moim zdaniem to, co tutaj robisz, jest naprawdę ważne i wspaniałe.

Odwróciła się, by odejść.

– Zaczekaj – rzekła Corrie.

Bowdree ponownie się odwróciła.

– Miałabyś później ochotę wyskoczyć do Starbucksa na kawę? – Uniosła trzymany w dłoni kubek. – Chętnie się zrewanżuję, jeżeli odpowiada ci późniejsza pora. Zamierzam posiedzieć tu do wieczora, oczywiście jeżeli wcześniej nie zamarznę.

Bowdree rozpromieniła się.

– Jeszcze jak. Może być o dziewiątej?

– Jesteśmy umówione.

Pani Betty B. Kermode upiła łyk herbaty Earl Grey i wyjrzała przez panoramiczne okno swego salonu wychodzące na dolinę Silver Queen. Z jej domu na szczycie góry, najlepszej lokalizacji w całym The Heights, rozciągał się naprawdę przepiękny widok na górskie łańcuchy wznoszące się ku działowi wód i strzelistym szczytom Mount Elbert i Mount Massive, dwóm najwyższym w Kolorado, które o tej porze, w nocy, wyglądały jak rozmyte cienie. Sam dom był dość skromny; wbrew temu, co myśleli o niej ludzie, Kermode nie była z natury krzykliwa i pretensjonalna. Mieszkała w najmniejszej rezydencji na osiedlu. Dom był bardziej tradycyjny niż inne, zbudowany z kamienia i cedru, klasyczny, gdyż nie przepadała za ultranowoczesnym, postmodernistycznym stylem.

Z okna dobrze widać było również magazyn. To właśnie stąd niecałe dwa tygodnie temu pani Kermode dostrzegła podejrzanе światło w środku nocy. Od razu zorientowała się, kto jest w środku, i poczyniła stosowne kroki.

Filizanka zabrzęczała na spodeczku, gdy odstawiła ją i dołała sobie herbaty. Na wysokości dwóch tysięcy ośmiuset metrów trudno zaparzyć porządną herbatę. Temperatura wrzenia wody wynosiła dziewięćdziesiąt stopni Celsjusza i pani Kermode nie mogła przywyknąć do mdławego smaku, niezależnie jakiej wody mineralnej używała, z ilu torebek robiła herbatę ani jak długo je namaczała. Wydeła wargi, dodając mleka i odrobiny miodu, zamieszała i napiła się. Przez całe życie była abstynentką – nie z pobudek religijnych, lecz dlatego, że miała ojca alkoholika i picie kojarzyło jej się z przemocą, najgorszymi rzeczami, a przede wszystkim z brakiem kontroli. Dla pani Kermode kontrola była celem samym w sobie.

A teraz była wściekła, tłumiała to w sobie, ale wrzała w niej złość za upokorzenie, jakiego doznała ze strony tej dziewczyny i jej przyjaciela z FBI. Nic takiego nigdy jej się nie przydarzyło i nie zamierzała o tym zapomnieć ani tym bardziej tego wybaczyć.

Upiła kolejny łyk herbaty. The Heights było najbardziej pożądaną enklawą w Roaring Fork. Jednym z najstarszych osiedli w miasteczku pełnym prostackich nuworyszy. Uosabiało smak, stabilizację i rys arystokratycznej władczości. Ona i jej partnerzy nigdy nie pozwolili, by osiedle zaczęło podupadać jak inne kurorty narciarskie z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Nowe spa i klub staną się decydującą o powodzeniu częścią projektów poprzedzających otwarcie Fazy Trzeciej, trzydziestu pięciu hektarowych posesji w cenie od siedmiu milionów trzystu tysięcy dolarów w górę. Przedsięwzięcie to zostało zapowiedziane jako prawdziwa gratka mająca przynieść krociowe zyski pierwotnym inwestorom. Gdyby tylko dało się rozwikłać problem z cmentarzem. Artykuł w „Roaring Fork Timesie” był utrapieniem, ale okazał się niczym w porównaniu z tym, co wyrabiała Corrie Swanson, zachowując się jak słoń w składzie porcelany.

To suka. Wszystko to jej wina. Zapłaci za to.

Kermode dopiła herbatę, odstawiła filiżankę, wzięła głęboki oddech, po czym sięgnęła po telefon. W Nowym Jorku było już późno, ale Daniel Stafford był nocnym markiem i zwykle to o tej porze najłatwiej mogła się z nim skontaktować.

Odebrał po drugim sygnale i usłyszała jego łagodny patrycjuszowski głos.

– Witaj, Betty. Jak tam jazda na nartach?

Ogarnęła ją złość. Doskonale wiedział, że ona nie jeździ na nartach.

– Mówiono mi, że to wspaniała rozrywka, Danielu. Ale ja nie dzwonię do ciebie, żeby pomówić o prostych codziennych przyjemnościach.

– Szkoda.

– Mamy problem.

– Pożar? Będzie problemem tylko w sytuacji, jeśli sprawca nie zostanie schwytany, a zostanie. Zaufaj mi, zanim Faza Trzecia pojawi się w sieci, ten typek będzie już w drodze na krzesło elektryczne.

– Nie dzwonię w sprawie pożaru. Chodzi o tę dziewczynę. I agenta FBI, którzy mi bruździli. Słyszałam, że udało mu się odnaleźć jeszcze trzech potomków tamtych górników i uzyskał od nich zezwolenie na zbadanie kości ich przodków.

– Na czym polega problem?

– Jak to „na czym polega problem”? Jakby nie dość było, że kapitan Bowdree pojawiła się tu osobiście. Dobrze, że przynajmniej postanowiła pogrzebać szczątki swego przodka gdzie indziej. Danielu, co będzie, jeśli pozostali potomkowie tamtych górników zażądają, aby szczątki ich przodków trafiły z powrotem na stary cmentarz? Włożyliśmy w tę budowę pięć milionów dolarów!

– Dobrze, już dobrze, Betty, uspokój się. Tak się nie stanie. Jeżeli którykolwiek z tak zwanych potomków przedsięwzięmie kroki prawne – a jak dotąd tak się nie stało – nasi prawnicy będą ich zwodzić całymi latami. Mamy pieniądze, sposoby i całą armię adwokatów, aby proces taki jak ten – o ile do niego dojdzie – ciągnął się bez końca.

– Nie tylko o to chodzi. Martwiłam się, do czego to może doprowadzić – o ile wiesz, o co mi chodzi.

– Ta dziewczyna tylko ogląda kości, a gdy skończy, będzie po sprawie. To nie doprowadzi do tego, czego się obawiasz. Bo niby jak? A gdyby nawet, zaufaj mi, wszystkim się zajmujemy. Twój problem, Betty, polega na tym, że jesteś jak twoja matka, za bardzo się przejmujesz i hołubisz w sobie gniew. Zrób sobie martini i odpuść.

– Jesteś odrażający.

– Dziękuję. – Chichot. – Powiem ci coś. Dla twojego spokoju każę moim ludziom pogrzebać w przeszłości tych osób, znaleźć na nich jakieś brudy. Na tę dziewczynę, agenta FBI... kogoś jeszcze?

– Kapitan Bowdree. Tak na wszelki wypadek.

– Świetnie. Pamiętaj, robię to tylko po to, żebyśmy w razie potrzeby mogli wytoczyć ciężkie działa. Przypuszczalnie i tak nie będziemy musieli tego wykorzystać.

– Dziękuję, Danielu.

– Dla ciebie wszystko, moja droga kuzynko.

28

Siedziały na wygodnych krzesłach w zupełnie pustym Starbucksie. Corrie obejmowała swój kubek obiema rękami, chłonąc jego ciepło. Siedząca naprzeciw niej przy niedużym stoliku Stacy Bowdree wpatrywała się w swoją kawę. Wydawała się cichsza, mniej wylewna niż rano.

– Dlaczego właściwie odeszłaś z wojska? – zapytała Corrie.

– Z początku myślałam o zrobieniu kariery w lotnictwie. Po jedenastym września. Byłam na studiach, moi rodzice nie żyli i szukałam dla siebie miejsca, więc przeniosłam się do college'u. Byłam prawdziwą idealistką, zapалу mi nie brakowało. Ale dwie tury w Iraku, a potem dwie następne w Afganistanie wyleczyły mnie z tego na dobre. Zdałam sobie sprawę, że nie mam zadatków na zawodowego trepa. To wciąż robota dla mężczyzn, niezależnie, co o tym mówią, a zwłaszcza służba w lotnictwie.

– Cztery tury? Łał.

Bowdree wzruszyła ramionami.

– To nic niezwykłego. Potrzebują sporo personelu naziemnego.

– Czym się zajmowałaś?

– Podczas ostatniej tury byłam oficerem dowodzącym trzysta osiemdziesiątego drugiego pułku ekspedycyjnego UMW Bunkier. Usuwanie materiałów wybuchowych. Stacjonowaliśmy w FOB w Gardez, w prowincji Paktia.

– Rozbrajałaś bomby?

– Czasami. Zazwyczaj oczyszczaliśmy okolice bazy albo wywoziliśmy amunicję na strzelnicę i pozbywaliśmy się jej. W gruncie rzeczy za każdym razem, gdy trzeba było wbić łopatę w ziemię, musieliśmy najpierw oczyszczać cały teren. Od czasu do czasu musieliśmy też wyjść poza bazę i rozbrajać miny przeciwpiechotne oraz bomby pułapki.

– W takich specjalnych kombinezonach ochronnych?

– Tak, jak w filmie *W pułapce wojny*. Ale to już przeszłość. Parę miesięcy temu zwolniono mnie z wojska. Trochę podróżowałam, zastanawiając się, co

mam zrobić ze swoim życiem, aż ni stąd, ni zowąd otrzymałam wiadomość od Pendergasta.

– I jesteś teraz tu, w Roaring Fork.

– Tak, a ty zapewne zastanawiasz się dlaczego.

– No może troszeczkę. – Corrie zaśmiała się nieco nerwowo. Bała się zadać nurtujące ją pytanie.

– Kiedy z nim skończysz, zabiorę mojego prapradziadka i pochowam na małym rodzinnym cmentarzu w Kentucky.

Corrie pokiwała głową.

– Fajnie.

– Moi rodzice nie żyją, nie mam rodzeństwa. Zainteresowałam się przeszłością rodziny. Bowdree mają długą historię. Byliśmy pionierami w Kolorado jak Emmett, mieliśmy w rodzinie dowódców wojskowych jeszcze w czasach wojny o niepodległość, a mój osobisty faworyt kapitan Thomas Bowdree Hicks walczył po stronie Południa w Armii Północnej Wirginii. Był prawdziwym bohaterem wojennym i kapitanem tak jak ja. – Jej oblicze rozpromieniło się, przepełniała ją duma.

– To wspaniale.

– Cieszę się, że tak uważasz. Bo nie przyjechałam tu, żeby cię ponaglać. Nie mam żadnych pilnych spraw, chcę jedynie połączyć się z moją przeszłością. Z moimi korzeniami, odbyć coś w rodzaju osobistej podróży, a na koniec przewieźć szczątki przodka do Kentucky. Może do tego czasu będę wiedziała, co dalej zrobić ze swoim życiem.

Corrie tylko pokiwała głową.

Bowdree dopiła kawę.

– Co za straszna śmierć zostać pożartym przez niedźwiedzia.

Corrie zawahała się. Myślała o tym przez całe popołudnie i uznała, że miałyby nieczyste sumienie, gdyby ukrywała prawdę przed Stacy.

– Ee... widzisz... jest coś... co powinnaś wiedzieć, a co dotyczy twojego przodka.

Bowdree uniosła wzrok.

– To musi pozostać między nami, przynajmniej do czasu zakończenia moich prac.

– Zgoda.

– Emmett Bowdree nie został zabity i pożarty przez grizzly.

– Nie?

– Ani pozostali, mówię w każdym razie o tych, których szczątki miałam okazję

przebadać do tej pory. – Wzięła głęboki oddech. – Zostali zamordowani i... – Nie była w stanie powiedzieć tego na głos.

– Zamordowani i...?

– Zjedzeni.

– Żartujesz sobie.

Corrie pokręciła głową.

– Czy ktoś o tym wie?

– Tylko Pendergast.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

Corrie milczała chwilę.

– Cóż, chciałabym tu zostać i rozwikłać zagadkę tej zbrodni.

Bowdree aż gwizdnęła przeciągle.

– Wielkie nieba. Domyślasz się, kto to mógł zrobić? Albo dlaczego?

– Jeszcze nie.

Zapadła długa cisza.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie. No może jednak tak. Mam całą masę starych gazet do przejrzenia i chyba przy tym faktycznie przydałaby mi się pomoc. Ale wszystkie analizy osteologiczne zamierzam przeprowadzić sama. To moja pierwsza tak duża praca i... cóż... postanowiłam ją wykonać sama. Pendergast uważa mnie za wariatkę i chce, żebym skończyła prace i wróciła do Nowego Jorku z tym, co mam, ale nie jestem jeszcze na to gotowa.

Bowdree uśmiechnęła się szeroko.

– W zupełności cię rozumiem. Jesteś taka jak ja. Lubię sama robić to, co do mnie należy.

Corrie napiła się kawy.

– Znalazłaś dla siebie jakieś lokum?

– Niestety nie. Nigdy nie widziałam tak drogiej i zamożnej enklawy.

– Może zatrzymasz się w tym samym miejscu co ja? Opiekuję się domem, pustą rezydencją przy Ravens Ravine Road, jestem tam tylko ja i kundelek przybłąda, a przyznam szczerze, że to miejsce trochę mnie przeraża. Przydałby mi się ktoś do towarzystwa.

Zwłaszcza ktoś, kto do niedawna służył w wojsku.

Corrie przez całe popołudnie myślała o śladach na śniegu i o tym, że lepiej by się poczuła, mając współlokatora albo współlokatorkę.

– Musiałabyś jedynie unikać kilku kamer ochrony, bo właściciel, którego tu teraz nie ma, to prawdziwe utrapienie. Ale byłoby mi przyjemniej w twoim

towarzystwie.

– Mówisz poważnie? Naprawdę? – Bowdree rozpromieniła się. – Wspaniale. Bardzo dziękuję.

Corrie dopiła kawę i wstała.

– Jeżeli jesteś gotowa, to od razu możemy tam pojechać.

– Od urodzenia jestem gotowa – powiedziała Bowdree, po czym zebrała swoje rzeczy i wyszła za Corrie w mroźną ponurą noc.

29

Pięć minut przed czwartą nad ranem czasu londyńskiego Roger Kleefisch wszedł do olbrzymiego salonu w swoim domu przy Marylebone High Street i z satysfakcją otaksował wzrokiem tonące w półmroku wnętrze. Wszystko znajdowało się idealnie na swoim miejscu: obite aksamitem fotele ustawione z obu stron przy kominku, niedźwiedzia skóra rozłożona pomiędzy nimi na podłodze, długi rząd rozmaitych ksiąg na polakierowanym obramowaniu kominka, list przybity składanym nożem do drewnianej ściany poniżej, mapy na ścianie, stół do badań z blatem poznaczonym śladami różnych rozlanych na nim substancji chemicznych, litery V.R. na przeciwległej ścianie utworzone z otworów po kulach – ma się rozumieć, były to dziury jedynie stylizowane na ślady po kulach. W rogu leżały nawet podniszczone skrzypce – Kleefisch próbował uczyć się na nich grać, ale nawet zupełnie atonalne rzępolenie w zupełności tu wystarczyło. Gdy rozejrzał się wokoło, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Pomieszczenie idealnie odtworzone na podstawie opisów w opowiadaniach. Brakowało jedynie roztworu wodorochloru kokainy i staroświeckiej strzykawki.

Wcisnął włącznik przy drzwiach i zapaliły się światła – oczywiście specjalnie zainstalowane lampy gazowe, co kosztowało fortunę. Podeszedł w zamyśleniu do wielkiego mahoniowego regału i zajrzał przez przeszklone drzwiczki. Wszystko wewnątrz poświęcone było jednemu tematowi. Trzy górne półki zajmowały najróżniejsze kopie dzieł kanonicznych – naturalnie nie stać go było na zakup egzemplarzy pierwszych edycji, nie pozwalała na to nawet jego prawnicza pensja, zdołał jednak pozyskać egzemplarze kilku naprawdę ciekawych wydań, a zwłaszcza *Ostatniego ukłonu* w wydaniu George'a Bella z 1917 roku, z nienaruszoną obwolutą oraz *Dzienników Sherlocka Holmesa* w wydaniu George'a Newnesa z 1894 roku z niezbyt jeszcze zatartym grzbietem i kilkoma tylko zagięciami oraz przebarwieniami. Dolne półki regału były zarezerwowane na rozmaite prace naukowe związane z tym tematem i egzemplarze „Baker Street

Journal”. Periodyk ten wydawany był przez Baker Street Irregulars – Ochotników z Baker Street, grupę osób, które poświęciły się badaniu i unieśmiertelnieniu wszystkiego, co wiązało się z postacią Sherlocka Holmesa. Kleefisch także opublikował na łamach „Journal” kilka artykułów – wszystkie bez wyjątku dotyczyły prowadzonych przez Holmesa studiów nad truciznami – i zwrócił się do Ochotników, aby zaproponowali mu członkostwo w organizacji i podarowali Szylinga Irregularsów. O członkostwie w Ochotnikach nie decydowała aplikacja, trzeba było o nie poprosić. A przynależność do Inwestytury była bez wątpienia największym z osiągnięć Kleefischa.

Otworzywszy drzwiczki regału bibliotecznego, zaczął przeglądać dolne półki w poszukiwaniu periodyku, który zamierzał ponownie przeczytać. Znalazł go, znów zamknął drzwiczki, podszedł do najbliższego fotela i usiadł, wdychając z zadowoleniem. Lampy gazowe rzucały na wszystko ciepły, przyjemny blask. Nawet ten dom w Lisson Grove został wybrany z uwagi na bliskość Baker Street. Gdyby nie rozlegające się sporadycznie odgłosy z ulicy, Kleefisch był w stanie wyobrazić sobie, że znajduje się teraz w Londynie z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Zadzwoił telefon, antyczny coffin z 1879 roku, z drewna i utwardzanego kauczuku, ze słuchawką w kształcie przydużego uchwytu do wysuwania szuflady. Uśmiech znikł z twarzy Kleefischa, gdy spojrzął na zegarek i podniósł słuchawkę.

– Halo.

– Roger Kleefisch? – Głos miał amerykański akcent, z Południa, jak zauważył Kleefisch, i wydawał się dochodzić z daleka. Nie zdołał go jednak rozpoznać.

– Przy telefonie.

– Mówi Pendergast. Aloysius Pendergast.

– Pendergast. – Kleefisch powtórzył to nazwisko, jakby je smakował.

– Pamiętasz mnie?

– Tak. Tak, oczywiście. – Znał Pendergasta z Oksfordu, gdy studiował prawo, a Pendergast miał wykłady z filozofii w Centrum dla Absolwentów Balliol College. Pendergast był dziwnym człowiekiem, pełnym rezerwy i wyjątkowo skrytym, a mimo to Kleefisch z życzliwością wspominał intelektualną więź, jaka się między nimi wytworzyła. Przypomniawszy sobie, że Pendergast skrywał w sobie jakiś osobisty smutek, ale choć taktownie próbował go o to wypytywać, wszelkie jego wysiłki spełzły na niczym.

– Przepraszam, że dzwonię o takiej porze. Pamiętałem jednak, że funkcjonujesz w dość... powiedzmy sobie szczerze... nietypowych godzinach

i miałem nadzieję, że pod tym względem nic się nie zmieniło.

Kleefisch zaśmiał się.

– To prawda. Rzadko się kładę wcześniej niż o piątej rano. Kiedy nie jestem w sądzie, wolę spać do późna. Czemu zawdzięczam ten telefon?

– Jak rozumiem, jesteś członkiem Baker Street Irregulars.

– Mam ten zaszczyt, tak.

– Może wobec tego mógłbyś mi pomóc.

Kleefisch rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Dlaczego? Czyżbyś pracował nad jakimś akademickim projektem związanym z Sherlockiem Holmesem?

– Nie. Jestem agentem FBI i prowadzę śledztwo w sprawie serii morderstw.

Zapadła krótka cisza, gdy Kleefisch powoli przetrawiał tę informację.

– W tej sytuacji nie bardzo rozumiem, jak miałbym ci pomóc.

– Postaram się mówić w miarę zwięźle. Podpalacz puścił z dymem dom wraz z jego mieszkańcami w kurorcie narciarskim Roaring Fork w Kolorado. Zna pan Roaring Fork.

Oczywiście, że Kleefisch słyszał o Roaring Fork.

– W końcu dziewiętnastego wieku Roaring Fork było osadą górniczą. Jako ciekawostkę dodam, że między innymi tam zatrzymał się Oscar Wilde podczas swego tournée objazdowego po Ameryce z cyklem wykładów z estetyki. Podczas pobytu w tym miasteczku jeden z górników opowiedział mu pewną barwną historię. Chodziło w niej o niedźwiedzia ludojada.

– Mów dalej – rzekł Kleefisch, zastanawiając się, do czego mogła zmierzać ta dziwna opowieść.

– Wilde z kolei opowiedział tę historię Conan Doyle’owi podczas ich wspólnej kolacji w hotelu Langham w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Opowieść ta wywarła wpływ na Conan Doyle’a – silny, nieprzyjemny i długotrwały.

Kleefisch milczał. Oczywiście słyszał o tej legendarnej kolacji. Będzie musiał zajrzeć do dziennika Conan Doyle’a i sprawdzić wpisy dotyczące tego zdarzenia.

– Śmiem twierdzić, że to, co usłyszał Conan Doyle, tak nim wstrząsnęło, że wpłócił owo zdarzenie – oczywiście opisując w tym celu fikcyjną historię – do jednego ze swoich dzieł, aby przeżyć coś w rodzaju katharsis. Mam na myśli konkretnie *Psa Baskerville’ów*.

– Ciekawe – mruknął Kleefisch.

To było coś zupełnie nowego, nigdy nie spotkał się z taką hipotezą. Brzmiała jednak obiecująco i mogła stanowić trzon interesującej monografii dla

Ochotników z Baker Street. Oczywiście sam ją napisze, ostatnio rozglądał się za nowym tematem, na którym mógłby się skupić.

– Przyznam jednak, że wciąż nie mam pojęcia, jak mógłbym ci pomóc. I zupełnie nie pojmuję, co to wszystko mogłoby mieć wspólnego z przypadkiem podpalenia, który badasz.

– Jeżeli chodzi o tę ostatnią sprawę, pozwolę sobie zachować to dla siebie. W tej pierwszej kwestii jestem coraz bardziej przekonany, że Conan Doyle wiedział więcej, niż zechciał ujawnić.

– Chcesz powiedzieć, że więcej, niż zawarł w treści *Psa Baskerville'ów*?

– Właśnie.

Kleefisch usiadł. To było coraz ciekawsze, wręcz ekscytujące. Miał w głowie gonitwę myśli.

– To znaczy?

– Moim zdaniem Conan Doyle mógł napisać o tym niedźwiedziu ludojadzie dużo więcej, ale gdzie indziej, być może w listach albo którejś z nieopublikowanych prac. Dlatego zwróciłem się z tym do ciebie.

– Wiesz co, Pendergast, twoje spekulacje mogą nie być wcale tak dalekie od prawdy.

– Słucham z uwagą.

– Mówi się, że pod koniec swego życia Conan Doyle napisał jeszcze jedno, ostatnie już opowiadanie o Holmesie. Nic nie wiadomo na jego temat, nieznana jest fabuła ani nawet tytuł. Podobno Conan Doyle złożył je u wydawcy, ale zostało mu zwrócone, ponieważ temat był zbyt bulwersujący, aby można je było zaprezentować czytelnikom. Nie wiadomo, co się z nim potem stało. Większość podejrzewa, że zostało zniszczone. Od tamtej pory zaginione opowiadanie o Holmesie obrosło w legendy i stanowi temat niekończących się spekulacji wśród Ochotników z Baker Street.

Na drugim końcu łącza zapanowała cisza.

– Prawdę mówiąc, Pendergast, moim zdaniem to tylko jeszcze jedna legenda dotycząca postaci Sherlocka Holmesa, a jest ich naprawdę co niemiara. To trochę jak z historią o kudłatym psie Ellery Queena. Jednak biorąc pod uwagę to, co od ciebie usłyszałem, zaczynam skłaniać się ku przypuszczeniu, że może to opowiadanie rzeczywiście istnieje... A jeżeli tak... – Kleefisch urwał.

– Może zawiera resztę historii, która nie dawała Conan Doyle'owi spokoju – dokończył za niego Pendergast.

– Właśnie.

– Wiesz może, od czego można by zacząć poszukiwania tego zaginionego

opowiadania?

– Nie mam pojęcia. Ale jako Ochotnik i uczoney zajmujący się Holmesem mam do swojej dyspozycji wiele różnych dostępnych źródeł. To może być nowa, nieprzewidywalna przygoda. – Umysł Kleefischa pracował na coraz większych obrotach. Odkryć po latach nieznanne dotąd zaginione opowiadanie o Sherlocku Holmesie...

– Jaki jest twój adres w Londynie? – zapytał Pendergast.

– Marylebone High Street pięćset siedemdziesiąt dwa.

– Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, jeśli odwiedzę cię w niedalekiej przyszłości?

– Jak niedalekiej?

– Powiedziałbym, że za jakieś dwa dni. Kiedy tylko uwolnię się od śledztwa w sprawie podpalenia. Zatrzymam się w hotelu Connaught.

– Doskonale. To będzie prawdziwa przyjemność móc znowu się z tobą zobaczyć. A tymczasem rozpocznę wstępne poszukiwania na własną rękę, zobaczę, co uda się nam...

– Tak – przerwał mu Pendergast. Jego głos nagle się zmienił, pojawiła się w nim gwałtowność i pasja. – Tak, dziękuję. Wobec tego do rychłego zobaczenia. Muszę kończyć, przepraszam, Kleefisch, spotkamy się niebawem.

– Coś się stało?

– Wygląda na to, że pali się kolejny dom.

Pendergast nagle się rozłączył i na linii zapanowała cisza.

30

Pomimo włączonej syreny i wielokrotnego nawoływania przez zewnętrzny megafon umieszczony w wozie patrolowym komendant Morris nie mógł dotrzeć dalej niż przecznicę od posterunku, tak zrobiło się ciasno od zaparkowanych aut, furgonetek przedstawicieli mediów i tłumu gapiów. A było jeszcze przed ósmą rano. Wraz z drugim podpaleniem sprawa zyskała rozgłos ogólnokrajowy – nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę tożsamość ofiar – zjechali się wszyscy łowcy sensacji, łącznie z przedstawicielami dużych sieci informacyjnych, CNN i Bóg wie kim jeszcze.

Komendant pożałował teraz, że sam prowadził radiowóz, bo nie miał kto utorować mu drogi i pozostawało mu tylko wysiąść i precyzyjnie się przez zgromadzoną ciżbę. Dziennikarze i przedstawiciele agencji informacyjnych otoczyli zwartym kordonem jego samochód, kamery pracowały bez ustanku, mikrofony kołysały się w powietrzu jak maczugi wzniesione do zadania ciosu. Spędził całą noc na miejscu pożaru, który wybuchł o ósmej wieczorem, a teraz był brudny, wyczerpany, cuchnął dymem, drapało go w gardle, ciągle pokasywał i nie mógł pozbierać myśli. I jak w takim stanie miał pokazać się przed kamerami.

Tłum reporterów napierał zwartą falą, kołysząc raz po raz unieruchomionym radiowozem. Dziennikarze zarzucili komendanta pytaniami, pokrzykiwali do niego i przepychali się między sobą, aby zająć jak najlepsze miejsce. Zdał sobie sprawę, że musi coś powiedzieć prasie.

Wziął głęboki oddech, zebrał się w sobie i nie bez trudu otworzył drzwiczki radiowozu. Reakcja była natychmiastowa; tłum naparł naprzód, kamery i mikrofony zakołysały się groźnie, jeden z nich strącił mu z głowy kapelusz. Komendant schylił się, podniósł kapelusz, otrzepał, włożył na głowę i uniósł obie ręce.

– Dobrze, proszę o spokój. Proszę o spokój! Nie mogę wygłosić oświadczenia, dopóki nie będzie tu spokoju! Zróbcie mi trochę miejsca, proszę!

Tłum nieznacznie się cofnął. Komendant rozejrzył się dokoła, zdając sobie sprawę, że jego twarz zostanie zaprezentowana w wiadomościach wieczornych w całym kraju.

– Oświadczenie będzie krótkie. I nie przewiduję potem udzielania odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. – Wziął głęboki oddech. – Właśnie wracam z miejsca pożaru. Mogę państwa zapewnić, że robimy wszystko, co w naszej mocy, aby rozwikłać zagadkę tych okropnych zbrodni i postawić sprawców przed obliczem sprawiedliwości. W tej sprawie współpracują z nami najlepsi eksperci sądowi i specjaliści od badania miejsc zbrodni. Wykorzystujemy wszelkie zasoby, aby rozwiązać tę sprawę. Sprowadziliśmy też w charakterze konsultanta jednego z najlepszych agentów FBI specjalizującego się w seryjnych zabójstwach i psychologii dewiantów, gdyż, jak wszystko na to wskazuje, możemy mieć do czynienia z seryjnym podpalaczem.

Odchrząknął.

– Przejdźmy teraz do samej zbrodni. Oczywiście miejsce jako takie jest w dalszym ciągu badane. Odkryliśmy tam dwa ciała. Zostały wstępnie zidentyfikowane jako należące do aktorki Sonji Dutoit i jej dziecka. Myślami i modlitwami jesteśmy z ofiarami, ich rodzinami i tymi wszystkimi, którzy zostali dotknięci przez tę straszną tragedię. To wielki dramat dla naszego miasta i nie znajduję słów, by wyrazić bezmiar mojego smutku i szoku... – Przez chwilę nie był w stanie mówić dalej, w końcu jednak ucisk w gardle zelżał i komendant podjął wywód. – Jeszcze dziś podczas konferencji prasowej przekazemy państwu dalsze informacje. To wszystko, co mam teraz do powiedzenia. Dziękuję.

Ruszył naprzód, nie zważając na wykrzykiwane pytania i las mikrofonów, i w niespełna pięć minut później chwiejnym krokiem wszedł do swego biura. Przed jego gabinetem siedział już Pendergast ubrany jak zwykle nienagannie i popijający herbatę. Telewizor był włączony. Pendergast wstał.

– Pan pozwoli, że pogratuluję mu udanego wystąpienia.

– Co? – Morris odwrócił się do Shirley. – Już byłem w telewizji?

– To był przekaz na żywo, szefie – odparła. – A pan całkiem niezłe sobie poradził. Wyglądał pan jak bohater, z tym pełnym determinacji głosem... i smugami sadzy na twarzy.

– Smugi sadzy? Na mojej twarzy? – Cholera, powinien się umyć.

– Nawet hollywoodzki spec od charakteryzacji nie mógłby zrobić tego lepiej – rzekł Pendergast. – To w połączeniu z wymiętym mundurem, rozwianymi od wiatru włosami i nieskrywanymi emocjami wywołało naprawdę niezwykle wrażenie.

Komendant osunął się na fotel.

– Nie dbam o to, co myślą inni. Mój Boże, nigdy dotąd nie spotkałem się z czymś takim. Agencie Pendergast, jeżeli słyszał pan, co powiedziałem, to wie pan, że wyniosłem pana do rangi naszego oficjalnego konsultanta w tej sprawie.

Pendergast lekko skinął głową.

– Mam tylko nadzieję, że zgodzi się pan nam pomóc. Potrzebuję pańskiej wiedzy i doświadczenia bardziej niż kiedykolwiek. Co pan na to?

W odpowiedzi agent wyjął z kieszeni cieką kopertę i trzymając ją dwoma palcami, podsunął ją w stronę Morrisa.

– Obawiam się, że pana ubiegłem. Jestem nie tylko konsultantem, ale od tej pory to ja oficjalnie prowadzę tę sprawę.

31

Kiedy Corrie weszła do pustej biblioteki, wydała się jej ona mniej przytulna niż wcześniej, bardziej złowieszcza. Może z powodu ponurej atmosfery, jaka ogarnęła całe miasteczko, a może po prostu za sprawą ciemnych burzowych chmur, które zaczęły gromadzić się nad górami, zwiastując opady śniegu.

Stacy Bowdree weszła za nią do działu historycznego i gwizdnęła cicho.

– Czy to miasto ma pieniądze, czy jak?

– Ma, ale nikt tu nigdy nie przychodzi.

– Wszyscy są zbyt zajęci robieniem zakupów?

Corrie dostrzegła Teda siedzącego przy swoim biurku na drugim końcu sali. Przerwał lekturę książki i wstał, aby się z nimi przywitać. Miał na sobie podkoszulek i wyglądał wyjątkowo dobrze, a ona poczuła, że serce niespodziewanie zatrzępotało jej w piersi. Wzięła głęboki oddech i przedstawiła Stacy.

– Co mamy dziś w programie, drogie panie? – spytał Ted, otaksowując Stacy wzrokiem od stóp do głów.

Corrie musiała przyznać, że Stacy jest wyjątkowo atrakcyjna i każdy mężczyzna zwróciłby na nią uwagę, ale spojrzenie, jakim Ted obdarzył panią kapitan, trochę ją zaniepokoiło.

– Mord i rozlew krwi – odparła. – Chcemy zobaczyć wszystkie artykuły, jakimi możesz dysponować na temat morderstw, egzekucji, rabunków, samozwańczych stróżów prawa, strzelanin, waśni, innymi słowy wszystkiego, co najgorsze, z okresu, gdy ci górnicy zostali zabici przez grizzly.

Ted zaśmiał się.

– W niemal każdym numerze starego „Roaring Fork Timesa” był artykuł o jakiejś zbrodni. W tamtych czasach tu naprawdę wiele się działo, nie to co teraz. Od których numerów chciałybyście zacząć?

– Po raz pierwszy niedźwiedź zabił w maju tysiąc osiemset siedemdziesiątego szóstego, zacznijmy więc od pierwszego kwietnia siedemdziesiątego szóstego

i sprawdzimy kolejne numery z sześciu miesięcy.

– Doskonale – odparł Ted.

Corrie zauważyła, że wzrok chłopaka regularnie wędruje w stronę Stacy i bynajmniej nie zatrzymuje się tylko na jej twarzy. Pani kapitan jednak zdawała się tego nie dostrzegać, a może przywykła do takich reakcji mężczyzn przez lata służby w wojsku.

– Wszystkie stare gazety zostały zdigitalizowane. Posadzę was przy jednym z monitorów i powiem, co macie robić. – Przerwał. – Dziś w mieście rozpętało się prawdziwe szaleństwo.

– Taa – mruknęła Corrie. Prawda była taka, że poza korkami nie zwracała większej uwagi na to, co się działo.

– Jak w *Szczękach*.

– To znaczy?

– Jak się nazywało to miasteczko... Amity? No wiesz, turyści wyjeżdżający całymi tabunami. To samo dzieje się tutaj. Nie zauważyłaś? Nagle wszystkie stoki narciarskie opustoszały, podobnie jak hotele. Nawet ci, którzy mają tu drugie domy, szykują się do wyjazdu. Za dzień, dwa jedynymi ludźmi, którzy tu zostaną, będą reporterzy i dziennikarze. To jakiś obłąd. – Włączył dwa ustawione obok siebie monitory, po czym wyprostował się. – Dobra, wszystko już gotowe.

Pokazał im, jak mogą obsługiwać sprzęt. Nagle przerwał.

– Powiedz, Stacy, kiedy się tu zjawiłaś?

– Cztery dni temu. Ale nie rozgłaszałam tego, żeby nie robić zamieszania.

– Cztery dni? Na dzień przed pierwszym pożarem?

– Chyba tak. Usłyszałam o tym następnego ranka.

– Mam nadzieję, że spodobało ci się nasze małe miasteczko. To naprawdę świetne miejsce, jeżeli ma się pieniądze. – Zaśmiał się i mrugnął, a Corrie odetchnęła z ulgą, gdy wrócił za swoje biurko. Czy była zazdrosna? Nie miała na niego ochoty, nie przyjęła nawet zaproszenia, gdy chciał pokazać jej swoje mieszkanie.

Podzieliły się pracą. Corrie zaczęła przeszukiwać artykuły z pierwszych trzech miesięcy, a Stacy z trzech kolejnych. Zapadła cisza przerywana jedynie cichym stukaniem klawiszy. Nagle Stacy zagwizdała cicho.

– Przeczytaj to:

**PRAGNĘLI TEJ SAMEJ DZIEWCZYNY
I STOCZYLI O NIĄ POJEDYNEK PRZY ŚWIETLE LATARNI
OBAJ MĘŻCZYŹNI DOSŁOWNIE ROZERWALI SIĘ**

NAWZAJEM NA STRZĘPY

Dwaj zakochani młodzieńcy spotkali się o północy i przy świetle latarni zaczęli walczyć, a bronią w tym pojedynku były rapiery oraz składane noże. Walczyli tak długo, aż obaj stracili przytomność. Wreszcie jeden z młodzieńców doszedł do siebie i przebił swego przeciwnika rapiерem, powodując śmiertelną ranę. Ta straszliwa burda przepełniła damę będącą obiektem westchnień obu awanturników, pannę Williams, głębokim smutkiem i żalem.

– Trochę dziwne – zauważyła Corrie, mając nadzieję, że Stacy nie zamierza podtykać jej każdej kretyńskiej historii, na jaką się natknie. Tylko z nadmiaru przytłaczających obowiązków przyjęła propozycję pomocy ze strony Stacy.

– To mi się podoba. „Przepełniła głębokim smutkiem i żalem”. Mogę się założyć, że to ta szacowna dama napuściła tych zalotników na siebie, żeby wszczęli „burdę”.

Ten szorstki ton zaskoczył Corrie. Ale może kobiety w wojsku wysławiały się w taki bezpośredni sposób.

Przeglądając kolejne nagłówki, Corrie stwierdziła, że Ted miał rację: Roaring Fork, przynajmniej latem 1876 roku, było osadą, gdzie krew lała się dość często. Praktycznie każdego tygodnia dochodziło tu do morderstwa, a strzelaniny i bójki na noże były na porządku dziennym. Na Independence Pass, Przełęczy Niepodległości, dochodziło do napadów na dyliżanse, sporów o prawa własności do działek, często mordowane były prostytutki, nagminnie zdarzały się kradzieże koni i samosądy. W miasteczku roiło się od szulerów, oszustów, złodziei i morderców. Była też olbrzymia przepaść ekonomiczna. Nieliczni wzbogacili się ponad miarę i wznosili wielkie jak pałace rezydencje przy Main Street, podczas gdy większość gnieździła się w przepełnionych pensjonatach, mieszkając po cztery, pięć osób w jednym pokoju albo w miasteczkach namiotowych, gdzie królowały brud, szczury i komary. Szerzył się rasizm. Na obrzeżach miasteczka po jednej stronie założono Obóz Chiński zamieszkały przez tak zwanych kulisów, których dyskryminowano w okrutny sposób. Było tam również Miasteczko Czarnych. W gazecie napisano, że w obskurnym ciasnym obozowisku w wąwozie nieopodal mieszkali też gustujący w mocnych trunkach żałośni przedstawiciele czerwonoskórych, smętni potomkowie dumnych ongiś członków plemienia Jutów.

W 1876 roku prawo dopiero co dotarło do Roaring Fork. Sprawiedliwość najczęściej była wymierzana przez samozwańcych stróżów prawa. Jeżeli poprzedniego wieczoru doszło w saloonie do strzelaniny po pijaku albo bójki na

noże, częstokroć sprawcę znajdowano następnego ranka zwisającego z konara wielkiej topoli amerykańskiej rosnącej na drugim końcu miasta. Ciała pozostawiano na wiele dni, aby ich widok witał nowo przybyłych. Zdarzały się tygodnie, gdy z konarów tego drzewa zwisały się dwa, trzy, a nawet cztery ciała „z osypującymi się z nich larwami”, jak to obrazowo opisał jeden z dziennikarzy. Gazety pełne były soczystych i oburzających historii: o krwawej waśni pomiędzy dwiema rodzinami, która zakończyła się ich całkowitą eksterminacją – przy życiu pozostał tylko jeden mężczyzna; o otyłym koniokradzie, który był tak ciężki, że podczas egzekucji przez powieszenie urwało mu głowę; o mężczyźnie, który dostał szału wskutek czegoś, co gazeta określiła mianem „burzy mózgu”, uważał się za Jezusa, a potem zabarykadował się w burdelu i zdołał zamordować większość pracujących tam kobiet, aby oczyścić miasto z grzechu.

Praca w kopalniach była straszną mordęgą, górnicy schodzili do sztolni przed świtem, a wychodzili stamtąd po zmierzchu, i tak przez sześć dni w tygodniu, a światło dnia oglądali jedynie w niedziele. Wypadki, zawały i eksplozje były na porządku dziennym. Ale jeszcze gorsza była harówka w zakładach kruszarskich i w hucie. Właśnie tam, w warunkach przemysłowych, na olbrzymią skalę kruszec zawierający srebro miażdżyły ważące kilka ton gigantyczne tłuczarki. Masywne kafary dosłownie roznosiły rudę w drobny mak, pracując dzień i noc i powodując nieustanny hałas, od którego trzęsło się w posadach całe miasteczko. Powstały w wyniku tego procesu miał wsypywano do ogromnych żelaznych zbiorników z metalowymi trzęsarkami i kruszarkami, aby rozetrzeć go na jeszcze drobniejszą papkę; później dodawano rtęć, sól oraz siarczan miedzi. Otrzymany w ten sposób „wiedźmi wywar” mieszano i gotowano przez wiele dni, podgrzewając go w wielgachnych, opalanych węglem, buchających dymem kotłach. Ponieważ miasteczko leżało w otoczonej górami kotlinie, węglowe opary wywoływały dławiący, iście londyński smog, który całymi dniami unosił się nad osadą, przesłaniając słońce. Pracownicy fabryki i huty mieli jeszcze gorzej niż górnicy, gdyż często ginęli wskutek poparzeń, w wyniku eksplozji przewodów parowych i kotłów, dusili się w trujących oparach lub doznawali okropnych okaleczeń za sprawą ciężkiego sprzętu. Nie było żadnych przepisów gwarantujących bezpieczeństwo pracy, kontroli czasu pracy, ustalonych płac ani związków zawodowych. Jeśli ktoś uległ w pracy wypadkowi i doznawał trwałego kalectwa, był natychmiast zwalniany, nie otrzymywał żadnej zapłaty za dodatkowy dzień pracy i odtąd sam musiał się o siebie troszczyć. Najgorsze i najbardziej niebezpieczne prace zlecano chińskim kulisom, których zgony

odnotowywano najczęściej na ostatnich stronach gazety z taką obojętnością, z jaką relacjonowano by śmierć bezpańskiego psa.

Corrie coraz bardziej się oburzała, czytając o niesprawiedliwościach, wykorzystywaniu ludzi i bezmyślnym okrucieństwie w pogoni za zyskiem, których dopuszczały się firmy górnicze. Najbardziej jednak zdziwiło ją, gdy dowiedziała się, że Staffordowie – jedna z najbardziej szanowanych za filantropię rodzin z Nowego Jorku, słynąca z założenia Stafford Museum of Art i zasobnego Funduszu Stafforda – zbili fortunę podczas gorączki srebra w Kolorado jako finansiści fabryki przetwarzania kruszcu i huty srebra w Roaring Fork. Wiedziała, że rodzina Staffordów przez lata uczyniła dzięki swoim pieniądзом wiele dobrego, i choćby dlatego niewygodna prawda o źródle ich fortuny okazała się zaskakująca.

– Cóż za miejsce – odezwała się Stacy, wrywając Corrie z chwilowego zamyślenia. – Nie miałam pojęcia, że Roaring Fork było taką piekielną dziurą. A teraz, popatrz tylko, najbogatsze miasteczko w Stanach!

Corrie pokręciła głową.

– Ironia losu, no nie?

– Tyle okrucieństwa i ludzkiej niedoli.

– To prawda – powiedziała Corrie i już ciszej dodała: – choć nie znalazłam nic, co mogłoby wskazywać na istnienie grupy seryjnych morderców kanibali.

– Ja też nie.

– Jednak musi być coś, co mogłoby nas na to naprowadzić. Jakies wskazówki, tropy, cokolwiek. Trzeba je tylko znaleźć. One muszą tu być.

Stacy wzruszyła ramionami.

– Myślisz, że to mogli być ci Jutowie z wąwozu? Mieli motyw, górnicy odebrali im ich ziemię.

Corrie zamyśliła się nad tym. Z dawnej prasy dowiedziała się tylko, że Jutowie znad White River i Uncompahgre walczyli z białymi, którzy spychali ich coraz dalej na zachód przez Góry Skaliste. Kulminacją konfliktu była bitwa nad White River w 1879 roku, gdy Jutowie zostali ostatecznie wypędzeni z Kolorado. Możliwe, że niektórzy Indianie biorący udział w tym konflikcie zdołali przedostać się na południe i wzięli odwet na górnikach w Roaring Fork.

– Myślałam o tym – przyznała w końcu. – Ale górnicy nie zostali oskalpowani, skalpowanie pozostawia charakterystyczne ślady. No i wśród Jutów kanibalizm był objęty wyjątkowo surowym tabu.

– Podobnie jak u białych. A może nie oskalpowali tych ludzi, żeby nie zdradzić swojej tożsamości.

– To możliwe. Jednak te zabójstwa zostały dokonane w wyjątkowo przemyślany sposób. Chcę przez to powiedzieć – dodała pośpiesznie Corrie – że nie były nieudolne i chaotyczne. Zwabienie w pułapkę twardego, niezmordowanego górnika z Kolorado strzegącego swojej działki nie mogło być proste. Wątpię, aby żalosna gromadka zapijaczonych Jutów mogła dopuścić się tych zabójstw.

– A Chińczycy? Nie mogę uwierzyć, jak okrutnie ich traktowano, jakby uważano ich za podludzi.

– Też się nad tym zastanawiałam. Skoro jednak motywem była zemsta, czemu mieliby ich zjadać?

– Może to zostało tylko w odpowiedni sposób zainscenizowane, aby wyglądało, że tych ludzi zabił niedźwiedź.

Corrie pokręciła głową.

– Moje analizy wykazują, że oni naprawdę zjadali ludzkie mięso – na surowo. I tu pojawia się kolejne pytanie: dlaczego nagle przestali? Jaki cel osiągnęli, jeżeli w ogóle jakikolwiek?

– To faktycznie dobre pytanie. Ale już pierwsza i nie wiem jak ty, ale ja jestem tak głodna, że sama mogłabym zjeść paru górników.

– Chodźmy na lunch.

Kiedy wstały, aby wyjść, podszedł do nich Ted.

– Corrie – zaczął. – Już wcześniej chciałem cię o to zapytać. Co powiesz na kolację dziś wieczorem? Z rezerwacją miejsc raczej nie powinno być problemu. – Przeczesał palcami kręcone kasztanowe włosy i spojrzał na nią z uśmiechem.

– Z przyjemnością – odparła, ciesząc się, że Ted pomimo wyraźnego zaciekawienia Stacy wciąż był nią zainteresowany. – Ale miałam dziś zjeść kolację z Pendergastem.

– Ach, tak. No cóż. Wobec tego innym razem. – Uśmiechnął się, ale Corrie zauważyła, że nie potrafił ukryć wyrazu bólu i rozczarowania, który odmalował się przez moment na jego twarzy. Wyglądał jak skrzywdzony szczeniak i zrobiło jej się głupio, że go tak potraktowała.

Po chwili Ted odwrócił się do Stacy i mrugnął do niej.

– Miło było cię poznać.

Gdy włożyły grube kurtki i wyszły na mróz, Corrie zaczęła się zastanawiać, jak mogłaby się zakończyć jej kolejna randka z Tedem. Prawda była taka, że już od dawna nie miała chłopaka, a jej łóżko w rezydencji nad Wąwozem Kruków było bardzo, ale to bardzo zimne.

32

To było jak niekończący się koszmar, który jednej nocy przerażał, a kolejnej powracał w jeszcze bardziej złowrogiej postaci. A przynajmniej tak się wydawało komendantowi Morrisowi, gdy przechodził przez to, co pozostało z domu Dutoitów. Dymiące zgliszczka wznosiły się na zboczu wzgórza; rozciągał się stąd widok na rozłożystą kotlinę i miasto poniżej oraz okalający je łańcuch górski. Z trudem dawał radę: znowu przechodzenie przez korytarze wytyczone rozpiętymi pasmami taśmy, woń spalonego drewna, plastiku i gumy, widok zwęglonych ścian i kałuż roztopionego szkła, osmalone pozostałości łóżek, strzaskanych żarem toalet i umywalek. Niektóre drobiazgi jakimś cudem przetrwały: szklana butelka perfum, przemoczony do cna pluszowy misiek i plakat z filmu *Maszerująca orkiestra*, najśłynniejszego z udziałem Dutoit, wciąż przypięty pinezkami do ściany, czarnej od sadzy.

Całą noc trwało gaszenie pożaru i okiełznanie zarzewia ognia w tym, co pozostało z domu. Teraz nad pogorzeliem unosiły się tylko kłęby pary i cuchnącego dymu. Eksperci sądowi i koroner przyjechali o świcie i najlepiej, jak potrafili, dokonali identyfikacji ofiar. Ciała nie były spalone tak bardzo jak rodzina Bakerów – co jeszcze bardziej potęgowało koszmarnie wrażenie. Komendant poczuł ulgę, że nie musi mieć do czynienia z Chiversem; pojawił się on na miejscu zbrodni wcześniej, a teraz przygotowywał raport, w którego rzetelność Morris powątpiewał. Ta sprawa najwyraźniej przerosła Chiversa.

Komendant był natomiast zadowolony, że na miejscu pojawił się Pendergast. Ten człowiek pomimo swych ekscentrycznych nawyków działał na niego dziwnie kojąco i nie zmieniał tego faktu, że wszyscy inni reagowali na obecność agenta zaniepokojeniem. Pendergast szedł przed Morrisem ubrany w niestosownie formalny czarny płaszcz i biały jedwabny szal, a na głowie miał ten sam co poprzednio dziwaczny kapelusz. Milczał jak zaklęty. Zimowe chmury zasnuły słońce, a temperatura na zewnątrz, poza obrębem zgliszczki, wynosiła kilka stopni poniżej zera. W ruinach domu utrzymujące się ciepło i kłęby pary

utworzyły wilgotny cuchnący mikroklimat.

Zbliżyli się do pierwszej ofiary, którą koroner określił wstępnie jako panią Dutoit. Szczątki wyglądały jak przyduży szerniały płód spoczywający wśród sterty sprężyn, metalowych płyt, śrub, gwoździ tapicerskich i spalonych warstw bawełnianej wyściółki oraz fragmentów stopionego plastiku i kawałków drutu. Czaszka była cała, szczęki rozwarte i zastygłe w niemym krzyku, ramiona spalone do kości, palce zaciśnięte, całe ciało zwinięte w kłębek jakby pod wpływem gorąca.

Pendergast zatrzymał się i długo przyglądał się ofierze. Nie wyjął fiolek i pęsety, aby pobrać próbki. Po prostu patrzył. Wreszcie powoli okrążył upiorny kształt. Trzymając w dłoni szkło powiększające, zaczął oglądać ślady stopionego plastiku i inne mniej oczywiste rzeczy, które wzbudziły jego zainteresowanie. Gdy to robił, zmienił się kierunek wiatru i w nozdrza komendanta uderzyła woń spalonego mięsa, powodując natychmiastowy odruch dławienia. Boże, jak bardzo pragnął, aby Pendergast się pospieszył.

Wreszcie agent FBI wstał i poszli dalej przez ogromne pogorzelsko, kierując się nieuchronnie ku drugiej ofierze. Małej dziewczynce. To było jeszcze gorsze. Komendant celowo nie zjadł dziś śniadania, więc nie miał czego wyrzucić z żołądka, ale mimo to czuł, że zbiera mu się na mdłości.

Ofiara, córka pani Dutoit, Sallie, miała dziesięć lat. Chodziła do szkoły z córką komendanta. Dziewczynki się nie przyjaźniły, ponieważ Sallie była bardzo skryta i zamknięta w sobie, ale to nic dziwnego, skoro ma się taką matkę. Teraz, gdy zbliżyli się do ciała, komendant odważył się na nie spojrzeć. Dziewczynka spoczywała w pozycji siedzącej, ciało było spalone tylko z jednej strony. Przykuto ją kajdankami do rury pod zlewem.

Mdłości podeszły Morrisowi do gardła, jakby miał atak czkawki, błyskawicznie więc odwrócił wzrok. Znów zdawało mu się, że Pendergast przyglądał się zwłokom bez końca. Nie mógł zrozumieć, jak tamten jest w stanie to znieść. Znów zrobiło mu się niedobrze i musiał, po prostu musiał zacząć myśleć o czymś innym, by nie stracić panowania nad sobą.

– To naprawdę zastanawiające – rzekł ot tak, żeby zająć czymś umysł. – Zupełnie tego nie rozumiem.

– Czego konkretnie?

– Chodzi mi o to... jak sprawca wybiera swoje ofiary. Co je ze sobą łączy? Wszystko wydaje się przypadkowe.

Pendergast wstał.

– Miejsce zbrodni jest rzeczywiście prowokujące. Ma pan rację, że ofiary są

zgoła przypadkowe. Jednakże same ataki już nie.

– Jak to?

– Zabójca nie wybiera ofiar. On – lub ona, gdyż jak na razie etiologia ataków nie pozwala na określenie płci sprawcy – wybiera domy.

Komendant zmarszczył brwi.

– Domy?

– Tak. Oba domy mają jedną cechę wspólną. Są doskonale widoczne od strony miasta. Podejrzewam, że następny dom nie będzie pod tym względem różnił się od poprzednich.

– Chce pan powiedzieć, że wybrano je na pokaz? Ale dlaczego, na Boga?

– Być może dlatego, żeby przekazać wiadomość. – Pendergast odwrócił się. – A teraz wróćmy do najistotniejszej sprawy. To miejsce jest szczególnie interesujące, rzuca bowiem światło na umysł zabójcy. – Mówił powoli, rozglądając się wokoło. – Sprawca wydaje się odpowiadać definicji osobowości sadystycznej Millona, a konkretnie podtypowi wybuchowemu. Poszukuje on ekstremalnych sposobów kontroli, czerpie przyjemność, a może nawet rozkosz seksualną z głębokiego cierpienia innych. To zaburzenie przejawia się w sposób gwałtowny u ludzi, którzy z pozoru wydają się całkiem normalni. Innymi słowy, osoba, której szukamy, może sprawiać wrażenie zwyczajnego, produktywnego członka społeczności.

– Skąd pan to wie?

– Wnioskuje to na podstawie rekonstrukcji zbrodni.

– Jak to wszystko się rozegrało pana zdaniem?

Pendergast znów powiódł wzrokiem po zgłiszczach, by na koniec zatrzymać spojrzenie na komendancie.

– Po pierwsze, sprawca wszedł do środka przez okno na piętrze.

Komendant nie zapytał, jak Pendergast zdołał to ustalić, bo przecież pierwsze piętro już nie istnieje.

– Wiemy to, ponieważ drzwi do domu były masywne i pozamykane na wszystkie spusty. Nawiasem mówiąc, można było się tego spodziewać z uwagi na panikę wywołaną w okolicy przez poprzedni pożar i być może także ze względu na to, że dom stał na uboczu, z dala od innych. Co więcej, okna na parterze są masywną, wieloelementową konstrukcją z taflami drogiego, najwyższej jakości trójwarstwowego szkła, z framugami z anodyzowanego aluminium nakładanego na dolną dębową warstwę. Te, które zbadałem, były wszystkie pozamykane, możemy zatem założyć, że również pozostałe były zamknięte, czy to z powodu niskiej temperatury, czy strachu wywołanego przez

pierwsze podpalenie. Takie okno bardzo trudno jest wybić, a każda próba byłaby czasochłonna i spowodowałaby hałas, który postawiłby na nogi cały dom. Ktoś na pewno zadzwoniłby na policję albo nacisnął guzik alarmowy, w który ten dom był wyposażony. A jednak obie ofiary zostały zaskoczone na górze podczas snu. Okna na piętrze były mniej wytrzymałe, dwupanelowe, i co więcej, nie wszystkie zamknięto na noc, o czym może świadczyć widok tego tutaj. – Pendergast wskazał na ślady popiołu i metalu u jego stóp. – Stąd moje przypuszczenie, że zabójca wszedł i wyszedł przez okno na piętrze. Obezwładnił obie ofiary, po czym zwlókł je na dół, na... hmm... *dénouement*.

Komendantowi trudno było się skupić na słowach Pendergasta. Wiatr znów się zmienił i musiał znowu oddychać przez usta.

– To mówi nam nie tylko o stanie umysłu zabójcy, lecz zdradza również pewne jego cechy fizyczne. On, lub ona, musi być wysportowany, możliwe, że uprawia wspinaczkę skałkową albo inne wymagające siły fizycznej sporty ekstremalne.

– Wspinaczkę skałkową?

– Drogi komendancie, wnioskuję to z faktu, że nie ma tu żadnych śladów drabiny czy choćby liny, po której można by się wspiąć.

Morris przełknął ślinę.

– A ten... wybuchowy sadyzm?

– Panią Dutoit przyklejono taśmą do kanapy na dole. Oklejono taśmą całą kanapę, wielokrotnie i skrupulatnie – co samo w sobie było nie lada zadaniem – aby unieruchomić tę kobietę. Potem ofiarę oblano benzyną i podpalono. Istotniejszy jednak wydaje mi się fakt, że ofiary nie zakneblowano.

– Co to oznacza?

– Że sprawca chciał z nią rozmawiać, słyszeć, jak błaga o życie, a później, gdy ogień zaczął się rozprzestrzeniać... usłyszeć także jej krzyki.

– Boże. – Morris przypomniał sobie mocny głos Dutoit podczas konferencji prasowej. Znów poczuł, że zbiera mu się na mdłości.

– Ale w tym wypadku – Pendergast łagodnym ruchem ręki wskazał na szczątki martwej dziewczynki – jego sadyzm jest widoczny o wiele bardziej. Posunął się, rzekłbym, do granic okrucieństwa.

Komendant nie chciał tego wiedzieć, ale agent mówił dalej:

– Tej dziewczynki nie oblano benzyną. Dla naszego sprawcy byłoby to zbyt szybkie rozwiązanie. Rozniecił ogień na wprost niej, o, w tym miejscu, aby płomienie przesuwają się nieubłaganie w jej stronę. Jeżeli zechciałby pan przyjrzeć się rurom, do których była przykuta kajdankami ta dziewczynka,

zauważyłby pan, że są wygięte. Ciągnęła za nie z całej siły, próbując się uwolnić.

– Rozumiem. – Ale komendant nawet nie próbował na nie spojrzeć.

– Proszę jednak zwrócić uwagę, w którą stronę rury są wygięte.

– Niech pan mi to powie. – Morris zasłonił twarz, bo nie mógł już znieść tego widoku.

– Są powyginane w kierunku ognia.

Zapadła cisza.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– To, przed czym starała się uciec dziewczynka, musiało być po stokroć gorsze niż rozszalałe płomienie.

33

Ostatnim razem, gdy Corrie była w starym, wiktoriańskim gmachu mieszczącym posterunek policji, miała na rękach kajdanki. Wspomnienie było na tyle świeże, że przez chwilę bała się przestąpić próg tego budynku. Jednak recepcjonistka Iris okazała się nad wyraz miła i gorliwie skierowała ją do znajdującego się w piwnicy tymczasowego biura Pendergasta.

Corrie zeszła po stromych schodach, minęła mroczny pomrukujący piec grzewczy i znalazła się w wąskim korytarzu. Gabinet na końcu nie miał tabliczki z nazwiskiem, widniał tam jedynie numer. Zapukała i głos Pendergasta zaprosił ją do środka.

Agent specjalny stał za starym metalowym stołem, a na blacie znajdował się stojak z probówkami i całym mnóstwem akcesoriów do badań chemicznych, których przeznaczenia nie była w stanie określić, a które bulgotały cichutko w tle. W biurze nie było okien i panował tu spory zaduch.

– To panu przydzielili? – spytała Corrie. – Toż to przecież lochy!

– Sam o to poprosiłem. Nie chciałem, by mi przeszkadzano, a tu mam absolutny spokój i ciszę. Nikt do mnie nie przychodzi i nie zawraca mi głowy, absolutnie nikt.

– Gorąco tu jak w piekle.

– Nie bardziej niż wiosną w Nowym Orleanie. Jak wiesz, nie lubię chłodu.

– Pójdziemy na kolację?

– Aby nie zakłócać naszego posiłku rozmowami o nieboszczykach i kanibalizmie, powinniśmy najpierw spędzić trochę czasu tutaj i dowiedzieć się czegoś więcej o twoich badaniach. Usiądź, proszę.

– Oczywiście, ale czy moglibyśmy się streszczać? Obawiam się, że dostanę udaru cieplnego.

Usiadła, a Pendergast zrobił to samo.

– Jak postępują twoje prace?

– Wspaniale. Skończyłam badania czterech ciał i wszystkie opowiadają tę

samą historię: wszystkie padły ofiarą grupy seryjnych zabójców kanibali.

Pendergast lekko uniósł głowę.

– To doprawdy niewiarygodne. Ale nie ma mowy o pomyłce. Podczas badania ostatniego szkieletu natrafiłam na coś szczególnie ciekawego. To były szczątki faceta o dziwnym imieniu Isham Tyng. Był jednym z pierwszych, którzy zginęli, a jego kości wykazywały wyraźne oznaki uszkodzeń pośmiertnych dokonanych przez wielkie zwierzę, jak również typowe ślady pobicia przez ludzi, rozczłonkowania i kanibalizmu. W artykułach prasowych dotyczących zabójstw przeczytałam, że nadejście partnerów Tynga spłoszyło niedźwiedzia pożywającego się szczątkami. Bez wątpienia niedźwiedź zerował na ofierze już po tym, jak została zabita przez grupę kanibali. Jednak właśnie ta scena wpoila wszystkim przekonanie, że zabójcą górników był grizzly. Skądinąd rozsądne przypuszczenie, ale jak się okazało, był to zbieg okoliczności.

– Doskonale. Teraz historia jest już kompletna. Zakładam, że nie musisz badać więcej zwłok?

– Nie, cztery ciała w zupełności wystarczą. Mam wszystkie potrzebne mi dane.

– Świetnie – mruknął pod nosem Pendergast. – A kiedy wracasz do Nowego Jorku?

Corrie wzięła głęboki oddech.

– Jeszcze nie wracam.

– A to dlaczego?

– Ja... postanowiłam rozszerzyć zakres swojej pracy.

Czekała, ale Pendergast milczał.

– Przepraszam, że to powiem, ale ta historia nie jest jeszcze kompletna. Teraz, gdy wiemy, że tych górników zamordowano... – Zawahała się. – Cóż, zamierzam rozwikłać sprawę tych morderstw.

Znów grobowa cisza. Srebrzyste oczy Pendergasta zwięziły się w szparki.

– To naprawdę fascynująca sprawa. Czemu nie doprowadzić jej do końca? Dlaczego zabito tych górników? Kto to zrobił? I dlaczego zabójstwa tak nagle ustały? Pytań jest mnóstwo, a ja chcę znaleźć odpowiedzi. Mam olbrzymią szansę sprawić, aby dobra praca stała się naprawdę genialna.

– Jeżeli przeżyjesz – wtrącił Pendergast.

– Nie sądzę, aby cokolwiek mi groziło. Prawdę mówiąc, odkąd zaczęły się te pożary, wszyscy mnie ignorują. I nikt nie wie o moim najważniejszym odkryciu. Wszyscy wciąż wierzą, że to robota grizzly.

– Mimo to niepokoję się o siebie.

– Jak to? Przecież dom, którym się opiekuję, stoi wiele kilometrów od

spalonych domów. Mam też nową współlokatorkę, kapitan Bowdree. Tak się złożyło, że ze mną zamieszkała. Nie mogłabym prosić o lepszą ochronę. Mało tego, pani kapitan ma pistolet, czterdziestkępiątkę, i na pewno umie strzelać.

Nie wspomniała o śladach stóp wokół rezydencji.

– Nie wątpię. Muszę jednak opuścić Roaring Fork na parę dni, może na dłużej, i nie będę mógł cię ochraniać. Obawiam się, że grzebiąc w tej sprawie, obudzisz przysłowiowe śpiące licho. A co do tego, że w tym mieście obudzone licho jest wyjątkowo niebezpieczne, nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Chyba pan nie wierzy, że te podpalenia są powiązane z zabójstwami górników? To było sto pięćdziesiąt lat temu.

– Jak na razie nie wierzę w nic. Ale czuję, że coś tu się kroi. Moim zdaniem nie powinnaś pozostawać w Roaring Fork dłużej, niż to absolutnie konieczne. Radzę ci, abyś opuściła to miejsce pierwszym samolotem. Jak najszybciej.

Corrie spojrzała na niego.

– Mam dwadzieścia lat, a to jest moje życie. Nie pańskie. Naprawdę bardzo dziękuję za dotychczasową pomoc, ale... nie jest pan moim ojcem. Zostaję.

– Spróbuję nakłonić cię do zmiany decyzji, cofając swoje wsparcie finansowe.

– No i dobrze! – Corrie poczuła, jak uchodzi z niej cały nagromadzony gniew.

– Od początku ingerował pan w moją pracę. Miesza się pan w różne sprawy – ten typ tak ma – ale ja tego nie akceptuję. Nie rozumie pan, jakie to dla mnie ważne? Mam już dość wysłuchiwania, co mam robić.

Przez twarz Pendergasta przemknęło coś, co Corrie rozpoznałaby jako niebezpieczne, gdyby nie była tak wściekła.

– Martwię się jedynie o twoje bezpieczeństwo – powiedział. – A muszę dodać, że ryzyko, któremu zamierzasz stawić czoło, będzie spotęgowane przez twoją niefortunną skłonność do popędliwości i nieprzemyślanych zuchwałych działań.

– Skoro pan tak twierdzi. Ale już zdecydowałam. I zostaję w Roaring Fork, czy to się panu podoba czy nie.

Zanim Pendergast zdążył znów się odezwać, Corrie wstała z miejsca tak gwałtownie, że aż przewróciła krzesło, i wyszła, nie czekając, by usłyszeć, co agent ma jej do powiedzenia.

34

To była jedna z najbardziej wyróżniających się wiktoriańskich rezydencji przy głównej ulicy. Ted, skarbnica informacji na temat Roaring Fork, opowiedział Corrie historię tego budynku. Dom został wzniesiony przez Harolda Griswella, znanego jako król srebra z Roaring Fork, który zbił fortunę, a potem zbankrutował wskutek paniki w 1893 roku. Popęłił samobójstwo, rzucając się do głównego szybu Czarnej Kopalni, pozostawiając młodą wdowę, dawną tancerkę z saloonu nazwiskiem Rosie Ann. Przez następne trzy dekady Rosie Ann wynajmowała i zwalniała prawników, wносиła do sądu kolejne pozwy, niestrudzenie usiłując odzyskać przejęte kopalnie i majątek, w końcu zaś, gdy wyczerpała wszystkie możliwości prawne, zabiła deskami okna w rezydencji Griswellów i stała się odludkiem, nie wychodziła nawet po to, żeby zrobić najbardziej podstawowe zakupy, i wegetowała tylko dzięki życzliwości sąsiadów, którzy zostawiali dla niej jedzenie przed drzwiami domu. W 1955 roku sąsiedzi zaczęli się skarżyć na nieprzyjemną woń dochodzącą z wnętrza domu. Kiedy policja weszła do środka, oczom funkcjonariuszy ukazała się niesamowita scena: cały dom był od sufitu aż po dach wypełniony chwiejącymi się stosami dokumentów i innych papierów nagromadzonych przez lata procesów, w których uczestniczyła właścicielka domu. Były tam także sterty gazet, worki pełne próbek kruszcu, bilety do kina, ulotki, dzienniki, raporty i sprawozdania, zezwolenia na prace wydobywcze, poświadczenia, transkrypcje rozpraw sądowych, rachunki, wyciągi bankowe, mapy działek, plany kopalni itp. Wymizerowane ciało Rosie Ann znaleziono pogrzebane pod toną papierów; cała ściana dokumentów naruszona przez buszujące w nich myszy przewróciła się i przygwoździła ją do podłogi. Rosie Ann Griswell zagłodziła się na śmierć.

Zmarła bezpotomnie i budynek został wykupiony przez miasto. Zgromadzone w nim dokumenty okazały się skarbem o wyjątkowym znaczeniu historycznym. Ponad pół wieku później wciąż jeszcze trwał proces sortowania i katalogowania przejętych papierów, który był wznawiany z wielką ochotą, gdy tylko

Towarzystwo Historyczne Roaring Fork zdołało wysupłać na ten cel dodatkowe fundusze.

Ted ostrzegł Corrie, że ta kolekcja w niczym nie przypomina uporządkowanego, przeniesionego na nośniki cyfrowe archiwum prasowego, którym dysponowała biblioteka. Jednakże po przejrzaniu gazet w poszukiwaniu dowodów na istnienie grupy kanibali morderców, gdy jej wysiłki spęły na niczym, Corrie postanowiła zajrzeć do Archiwum Griswellów.

Jak się okazało, archiwista zjawiał się tylko dwa razy w tygodniu. Ted uprzedził Corrie, że facet jest niewykwalifikowanym dupkiem. Kiedy więc zjawiała się tam szarego grudniowego poranka, a z nieba o barwie cynku zaczęły spadać pierwsze białe płatki, odnalazła archiwistę w salonie rezydencji, siedzącego za biurkiem i bawiącego się iPadem. W salonie nie było żadnych papierów, ale przez otwarte drzwi nieopodal dostrzegła sięgające od podłogi po sufit metalowe regały i szafki archiwizacyjne pękające w szwach od nagromadzonych tam dokumentów.

Archiwista wstał i wyciągnął do niej rękę.

– Wynn Marple – powiedział.

Był przedwcześnie łysiejącym facetem po trzydziestce, z kucykiem i sporym mięśniem piwnym, ale sprawiał wrażenie wyjątkowo pewnego siebie casanowy, który mrugał porozumiewawczo.

Przedstawiła się i wyjaśniła, co ją tu sprowadza – szuka informacji z 1876 roku na temat zabójstw będących dziełem niedźwiedzia, a także innych dotyczących zbrodni i ewentualnej działalności grupy przestępców w Roaring Fork.

Odpowiedź Marple'a była długa, archiwista bardzo szybko zszedł bowiem na temat, który najbardziej mu odpowiadał, a było to mówienie o samym sobie. Corrie dowiedziała się, że był kiedyś w olimpijskiej drużynie narciarskiej, która trenowała w Roaring Fork, i właśnie wtedy zakochał się w tym mieście, wciąż uwielbiał szusować na deskach, lubił też biegi narciarskie, a tras było tu sporo, ale niestety nie mógł udostępnić jej wglądu do archiwum bez odpowiednich dokumentów i zezwoleń, nie wspominając o zawężonym do konkretnego tematu zakresie poszukiwań.

– Bo widzisz, takie szperanie w papierach w ciemno jest zabronione. Wiele z tych dokumentów to poufne, osobiste papiery zawierające kontrowersyjne – znów do niej mrugnął – lub wręcz skandalizujące treści.

Tej przemowie towarzyszyło cmokanie, gdy archiwista parę razy oblizał wargi i bezceremonialnie otaksował Corrie wzrokiem od stóp do głów.

Wzięła głęboki oddech i upomniała samą siebie, że ma nad sobą panować. To

nie jej wina, że faceci często zachowują się jak ostatni krety. A ona potrzebuje tych dokumentów. Jeżeli nie znajdzie w nich odpowiedzi dotyczącej zabójstw, to będzie oznaczało, że na dobre przepadły w zakamarkach historii.

– Byłeś narciarzem olimpijskim? – zapytała z udawanym podziwem w głosie.

To zainicjowało kolejny chełpliwy monolog, w którym zawarła się też informacja, że archiwista mógł zdobyć brązowy medal, gdyby nie warunki na torze, temperatura, sędziowie... Corrie przestała słuchać, ale wciąż kiwała głową i uśmiechała się.

– To naprawdę ekstra – powiedziała, gdy zorientowała się, że skończył. – Nigdy dotąd nie spotkałam olimpijczyka.

Na ten temat Wynn Marple miał jeszcze więcej do powiedzenia. Po pięciu czy dziesięciu minutach, w przypływie desperacji, Corrie zgodziła się umówić z nim na randkę w sobotę wieczorem, a w zamian uzyskała nieograniczony dostęp do archiwum.

Wynn szedł za nią, gdy przemierzała eleganckie, lecz niszczące pokoje wypełnione papierami. Niestety były one tylko z grubsza posortowane chronologicznie, nikt nie zadał sobie trudu, aby poukładać je tematycznie.

Czekając, aż Wynn, który nagle stał się bardzo gorliwy i usłużny, znajdzie i przyniesie jej żądane papiery, usiadła przy długim stole nakrytym rypsem. Gdy otrzymała dokumenty, zaczęła je sortować. Były pomieszane; ktoś, kto zajmował się archiwizacją tych danych, musiał być wyjątkowo niedbały lub zwyczajnie głupi. Przeglądała jeden plik dokumentów po drugim, a wewnątrz pokoju wypełniała woń niszczonego papieru i starego wosku.

Minuty zmieniły się w godziny. W pomieszczeniu było wyjątkowo ciepło, aż do przesady, oświetlenie pozostawiało wiele do życzenia i coraz bardziej piekły ją oczy. Nawet Wynn w końcu znudził się opowiadaniem o sobie. Papiery były suche i przy każdym kartkowaniu ze stron wzbijał się kurz. Miała przed sobą całe rzyzy niemożliwych do przebrnięcia dokumentów prawnych, kartotek, świadectw, zawiadomień i zapisów z przesłuchań, transkrypcji procesów, zeznań świadków i protokołów ławy przysięgłych przemieszanych z planami, opisami pomiarów gruntu, analizami próbek kruszcu, górniczymi ugodami partnerskimi, sumami wypłat, listami zakupionych sprzętów, zapisami porządku prac, bezwartościowymi certyfikatami giełdowymi, fakturami i kompletnie niezwiązanymi z tematem plakatami oraz afiszami. Od czasu do czasu z fali dokumentów wyłaniał się barwny afisz teatralny ogłaszający przybycie biuściastej królowej burleski albo trupy komików slapstikowych.

Momentami Corrie napotykała dokumenty, które wzbudzały w niej jakie takie

zaciekawienie – skargę od osoby poszkodowanej, transkrypcję procesu sądowego, plakaty poszukiwanych przestępców, akta policyjne dotyczące osób niepożądanych oraz przyjezdnych, których podejrzewano lub oskarżano o rozmaite przestępstwa. Nic się tu jednak nie wyróżniało, żadnej bandy szaleńców ani nikogo, kto miałby motyw, aby zamordować i spożyć jedenastu górników.

Nazwisko Stafford pojawiało się dość regularnie, zwłaszcza w połączeniu z aktami personelu huty srebra. Te archiwa były wyjątkowo obrzydliwe, znajdował się tu dziennik z listą nazwisk zabitych robotników, które odnotowywano jak utracony sprzęt, a obok nich kwoty wypłacone wdowom i sierotom nieprzekraczające nigdy pięciu dolarów, ale przy większości nazwisk widniało po prostu 0.00 dol. i adnotacja „brak wypłaty/błąd pracownika”. Były tam archiwa robotników, którzy podczas pracy w zakładzie zostali trwale okaleczeni, ulegli zatruciom lub odnieśli ciężkie obrażenia, ale nie otrzymali za to żadnej rekompensaty czy choćby zapomogi.

– Co za wredne bydlaki – wycedziła pod nosem Corrie, oddając kolejną porcję papierów Wynnowi.

W którymś momencie jej uwagę zwróciła niewielka ulotka.

TEORIA ESTETYKI
WYKŁAD SZ.P. OSCARA WILDE'A Z LONDYNU W ANGLII
Praktyczne zastosowanie zasad teorii estetyki,
z uwagami na temat sztuk pięknych,
oraz upiększania samych siebie i swego domu
ODBĘDZIE SIĘ W GALERII GŁÓWNEJ
KOPALNI SALLY GOODIN
W SOBOTĘ PO POŁUDNIU, Z CZERWCA
O WPÓŁ DO TRZECIEJ
WSTĘP PŁATNY
CENA BILETU 75 CENTÓW

Corrie niemal wybuchnęła śmiechem, tak wydało jej się to dziwne i niezwykle. Zapewne podczas tego wykładu Wilde poznał historię o zabójstwach będących dziełem grizzly ludojada. Do ulotki przypięty był plik wycinków z gazet, listów i adnotacji dotyczących wykładu. Wręcz zakrawało na absurd, że szorstcy, prości górnicy z Roaring Fork mogli być zainteresowani teorią estetyki, a co dopiero upiększaniem samych siebie lub swoich domów. Jednak jak wynikało

z wycinków, wykład okazał się wielkim sukcesem i zakończył owacją na stojąco. Może sprawiła to postawa Wilde'a, jego ekstrawagancki ubiór i wyszukane maniery albo cięty dowcip i nadzwyczajna wręcz błyskotliwość. Biedni górnicy z Roaring Fork mieli niewiele rozrywek poza chodzeniem na dziwki i piciem.

Szybko przejrzała pozostałe dołączone dokumenty i natknęła się na zabawną odręczną notatkę – krótki liścik napisany przez górnika do jego żony na wschodzie. Liścik był całkowicie pozbawiony znaków interpunkcyjnych.

Najdroszsza Żono

we w niedziele był u nas wykład pana Łoscara Wilda z Londynu Po wykładzie co my go przyjęli bardzo miło pan Wild zechciał porozmawiać z górnikamy i wieśniakamy czekałek co by do niego zagadnąć aż tu nagle ten stary opoj Swinton wzion go na stronę i opowiedział historie po której nasz Gość zblat jak płutno i jużem myślał że padnie zemdlony...

Wynn, czytając przez jej ramię, parsknął śmiechem.

– Analfabeta, psia jego mać. – Postukał palcem w ulotkę o wykładzie. – Założę się, że to jest warte sporo forsy.

– Na pewno – odparła z wahaniem, po czym spięła te wszystkie wycinki razem. List górnika, choć niewątpliwie niepozbawiony uroku, był zbyt luźno związany z całą sprawą, aby włączać go do treści pracy.

Odsunęła papiery na bok i przeszła do następnego pliku. Zauważyła, że gdy Wynn odkładał stos papierów na miejsce, wysunął z niego ulotkę i przełożył gdzie indziej. Pewnie zamierzał sprzedać ją później na eBayu czy czymś takim.

Upomniała się w duchu, że to, co robi archiwista, to nie jej sprawa. Na stole przed nią pojawiła się kolejna sarta papierów, a po niej następna. Większość dokumentów dotyczyła kruszarni i huty i tym razem prawie wszystko było związane z rodziną Staffordów, którzy, jak wiele na to wskazywało, stawali się coraz większymi ciemiężcami, w miarę jak zyskiwali władzę i pomnażali swoją fortunę. Wyglądało na to, że srebrną panikę w 1893 roku przetrwali całkiem nieźle, a nawet wykorzystali tę okazję, by przejąć kopalnie i działki, płacąc po parę centów od każdego dolara. Było tu też sporo wyblakłych map okręgów wydobywczych ze starannie zaznaczonymi na nich i opisanymi kopalniami, sztolniami i tunelami. Dziwne jednak, że istniało niewiele zapisów dotyczących pozyskiwania srebra z kruszczu.

W pewnym momencie natrafiła na dokument, który bardzo ją zainteresował. Była to pocztówka datowana na 1933 rok od członka rodziny nazwiskiem

Howland Stafford do kobiety nazwiskiem Dora Tiffany Kermod. Zaczynała się od słów: „Droga kuzynko”.

Kermod. Kuzynka.

– Jezu! – wybuchnęła Corrie. – Ta suka Kermod jest powiązana z rodziną, która wycisnęła z tego miasteczka wszystkie soki.

– O kim mówisz? – spytał Wynn.

Corrie uderzyła w dokument otwartą dłonią.

– O Betty Kermod. Tej okropnej kobiecie, która rządzi The Heights. Jest powiązana ze Staffordami, no wiesz, tymi, którzy byli właścicielami huty w czasach, gdy Roaring Fork było jeszcze niedużą osadą górniczą. Niewiarygodne.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Wynn Marple wyprężył się, jakby kij połknął. A potem z wyrzutem, niemal karcącym tonem, jak nauczyciel zwracający się do krnąbrnego ucznia powiedział:

– Pani Kermod jest jedną z najwspanialszych, najbardziej szlachetnych osób w całym mieście.

Corrie szybko zaczęła się wycofywać:

– Przepraszam. Ja tylko... no bo to ona była odpowiedzialna za wsadzenie mnie do więzienia... Nie zdawałam sobie sprawy, że to twoja przyjaciółka.

Jej pospieszne bełkotliwe przeprosiny najwyraźniej poskutkowały.

– Cóż, potrafię zrozumieć, że masz do niej żal, ale mogę za nią ręczyć. To naprawdę dobra kobieta. – Znowu do niej mrugnął.

No to pięknie! Przez pięć godzin nie dowiedziała się niczego i w dodatku umówiła na randkę z tym bufonem. Miała nadzieję, że nie potrwa ona długo i odbędzie się w miejscu, gdzie Ted nie zobaczy ich razem. A może zdoła się wykpić w ostatniej chwili, wymówi się nagłą chorobą czy czymś takim. Otóż to, tak właśnie robi.

Spojrzała na zegarek. Nie ma mowy, aby zdołała coś znaleźć w tym składzie makulatury. Po raz pierwszy zaczęła odnosić wrażenie, że chyba przeliczyła się z siłami. Może Pendergast miał rację. Zebrała już dość materiału, aby napisać świetną pracę. Wstała.

– Wiesz co, chyba nic z tego nie będzie. Powinnam już iść.

Wynn odprowadził ją do frontowego salonu.

– Przykro mi, że nie zdołałaś odkryć czegoś bardziej przydatnego. Ale przynajmniej... – znów do niej mrugnął – ...jesteśmy umówieni.

Tak, na pewno wymówi się nagłą chorobą.

Przełknęła ślinę.

– Dziękuję za pomoc, Wynn.

Nachylił się do niej, trochę za bardzo się zbliżając.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Nagle znieruchomiała. Coś dotknęło jej tyłka. To była jego ręka. Cofnęła się o pół kroku i odwróciła, ale dłoń była przyklejona niczym macka ośmiornicy i tym razem lekko ścisnęła jej pośladek.

– Mógłbyś zabrać rękę? – spytała gniewnym tonem, odtrącając dłoń zdecydowanym gestem.

– Ale... przecież umówiliśmy się na randkę.

– I to usprawiedliwia łapanie mnie za tyłek?

Wynn wyraźnie się zmieształ.

– Ale... ja tylko chciałem się bardziej zaprzyjaźnić. Pomyślałem, że to ci się spodoba. Nie co dzień chodzi się na randkę z olimpijczykiem i uznałem, że może...

Ostatnie lubieżne mrugnięcie okazało się kroplą, która przepełniła czarę. Corrie odwróciła się gwałtownie do Wynna.

– Olimpijczyk? Kiedy ostatni raz przeglądałeś się w lustrze? Gdybyś to zrobił, zobaczyłbyś łysiejącego, grubego, zasapanego frajera. Nie poszłabym z tobą na randkę, nawet gdybyś był ostatnim pozostałym przy życiu facetem na Ziemi.

Zabrała kurtkę i wyszła, a gdy znalazła się na zewnątrz, zimne powietrze uderzyło ją jak niewidzialny mur.

Wynn Marple usiadł za swoim biurkiem. Ręce mu drżały, a z ust wydobywał się przyspieszony, płytki oddech. Nie mógł uwierzyć, że ta suka tak go potraktowała, chociaż jej pomógł. To z pewnością jedna z tych wojujących feministek, dla których każde przyjazne, niewinne klepięcie czy dotyk stanowi powód do awantury.

Wynn był tak wściekły, tak oburzony, że czuł dudnienie krwi w skroniach niczym dźwięki odległych tam-tamów. Trwało to dobrych kilka minut, ale w końcu zdołał się opanować na tyle, by sięgnąć po telefon i wybrać numer.

35

Betty Brown Stafford Kermode siedziała w salonie swego domu na najwyższym punkcie osiedla The Heights, przed kominkiem, w którym buzował ogień. Odłożyła właśnie słuchawkę telefonu. Jeszcze przez kilka minut tkwiła w bezruchu, spoglądając przez panoramiczne okno na góry, rozmyślając nad problemem. Jej szwagier Henry Montebello rozsiadł się w fotelu po drugiej stronie kominka. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur ze starannie zawiązaną ciemną muszką i śnieżnobiałą elegancką koszulę. Oglądał swoje paznokcie z istic patrycjuszowskim znudzeniem. Do pokoju wsączały się słabe promienie zimowego słońca.

Kermode zastanawiała się nad problemem jeszcze przez minutę. Wreszcie znów sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Daniela Stafforda.

– Witaj ponownie, moja droga – rozległ się oschły, szyderczy głos.

Kermode nie lubiła rozmawiać z kuzynem Danielem, ale słowa „lubić” czy „troszczyć się” nie figurowały w relacjach, które łączyły rodzinę Staffordów. Te więzy były dziełem pieniędzy i to pieniądze definiowały wszystkie kontakty rodzinne. Ponieważ Daniel był nie tylko szefem Funduszu Staffordów z aktywami rzędu dwóch miliardów dolarów, lecz także jednym z dwóch partnerów zarządzających rodzinną firmą inwestycyjną z aktywami rzędu szesnastu miliardów dolarów, uważała go za bliską sobie osobę. Nigdy nie przeszło jej przez myśl, by zastanowić się, czy faktycznie go lubi, czy też nie.

– Czy przełączyłaś na głośnik? – zapytał Stafford.

– Jest tu ze mną Henry – odparła Kermode. Chwilę milczała. – Mamy problem.

– Jeżeli chodzi ci o ten nowy pożar, dzięki Bogu, że nie wydarzył się w The Heights. W gruncie rzeczy to cudownie, dzięki temu uwaga wszystkich nie jest już na nas skoncentrowana. Przydałby się nam trzeci pożar, jeszcze dalej od naszego osiedla. – Rozległ się ochryply rechot.

– To nie jest zabawne. Zresztą nie dzwonię w tej sprawie. Zadzwoniłam,

ponieważ ta dziewczyna, Corrie Swanson, odkryła więź łączącą Kermode'ów i Staffordów.

– To nie jest tajemnica państwowa.

– Danielu, ona poszła do Archiwum Griswellów i grzebała w dokumentach dotyczących kopalni, kruszarni i huty oraz działań, jakie były tam prowadzone. Wtedy, dawno temu.

Cisza. W którymś momencie Kermode usłyszała, jak jej kuzyn klnie cicho pod nosem.

– Coś... ehm... więcej? – Jego głos stał się nagle nieco zimniejszy i zjadliwszy.

– Nie. Przynajmniej na razie.

Znów cisza.

– Jak dobrze umie szukać, jeżeli jej na czymś zależy?

– Jest jak cholerny terier, zatopi swoje małe ostre ząbki w tym, co zdoła schwycić, i już nie puści. Najwyraźniej jeszcze nie powiązała jednego z drugim, ale jeśli będzie grzebać dalej, w końcu do tego dojdzie.

Kolejna długa cisza.

– Byłem przekonany, że najważniejsze i najbardziej niepożądane dokumenty zostały usunięte.

– Poczyniliśmy w tym celu spore wysiłki, ale w tych archiwach panuje straszny bałagan. Mogliśmy coś przeoczyć. To nietrudne.

– Rozumiem. Wobec tego faktycznie mamy problem.

– Wygrzebałeś jakieś brudy na nią i na innych, jak obiecałeś?

– Owszem. Ten facet, Pendergast, ma bardzo barwną i dość niechlubną historię, ale jest nietykalny. Bowdree to bohaterka wojenna z mnóstwem medali i pochwał, co czyni ją trudnym celem do ruszenia. Wyjątkiem jest to, że zwolniono ją z wojska z powodów zdrowotnych.

– Była ranna? – spytała Kermode. – Wygląda na całkiem zdrową.

– Spędziła kilka miesięcy w amerykańskim szpitalu wojskowym w Landstuhl w Niemczech. Jej akta medyczne są utajnione, a Siły Powietrzne chronią je jak skarb narodowy.

– A co z tą Swanson?

– To istna diablica. Dorastała w przyczepie mieszkalnej, w okropnej małej miejscinie w Kansas. Rodzice pochodzili z nizin społecznych i rozstali się, gdy mała się urodziła. Matka jest alkoholiczką, a ojciec nieudacznikiem, niedawno oskarżono go o napad na bank. Ona sama ma już jako nieletnia listę zarzutów długą jak twoje ramię. Jedyнным powodem tego, że zdołała zająć tak daleko, jest

to, że ten Pendergast wziął ją pod swoje skrzydła i sfinansował jej naukę. Z pewnością otrzymuje od niej coś w zamian. Problem polega na tym, że dopóki Pendergast jest w pobliżu, trudno będzie się do niej dostać.

– Komendant policji powiedział mi, że on wczoraj wieczorem wyjechał do Londynu.

– To dobra wiadomość. Musisz działać szybko.

– Ale co konkretnie miałabym zrobić?

– Nie wątpię, moja droga, że jesteś w stanie uporać się z tym małym problemem jeszcze przed powrotem agenta FBI. Pragnę jedynie przypomnieć ci, co jest stawką w tej grze. Nie zwlekaj więc. Uderz szybko i skutecznie. A jeśli zdecydujesz się kogoś wynająć, postaw na najlepszego. Cokolwiek zrobisz, nie chcę o tym wiedzieć.

– Tchórz z ciebie.

– Dziękuję. Jestem skłonny przyznać, droga kuzynko, że w naszej rodzinie to ty masz podwyższony poziom testosteronu.

Kermode gniewnym ruchem wdusiła przycisk z napisem „głośnik”, kończąc połączenie.

Montebello milczał przez całą tę rozmowę i wydawało się, że skupia uwagę wyłącznie na starannie wypielęgnowanych paznokciach. Teraz jednak uniósł wzrok.

– Zostaw to mnie – powiedział. – Znam kogoś w sam raz do tej roboty.

36

Ekskluzywna restauracja Espelette w holu hotelu Connaught była urządzona w kremowo-białej estetyce, miała wysokie okna i wykrochmalone obrusy na stolikach. Zmiana klimatu po mroźnym Roaring Fork była naprawdę przyjemna. Tego roku w Londynie panowała łagodna zima i promienie popołudniowego słońca spływały miękko, wypełniając lekko zakrzywioną przestrzeń. Agent specjalny Pendergast siedzący przy dużym stoliku z widokiem na Mount Street, podniósł się z miejsca, gdy do restauracji wszedł Roger Kleefisch. Pendergast zauważył, że sylwetka Kleefisha trochę się zaokrągliła, a jego twarz wydawała się ogorzała i poprzecinana delikatnymi zmarszczkami. Kleefisch już podczas studiów na Oksfordzie był łysy, więc lśniący placek na czubku jego głowy ani trochę nie zdziwił Pendergasta. Mężczyzna wciąż miał zdecydowany krok, szedł wychylony nieznacznie do przodu, nos chwycił powietrze jak ogar podążający za tropem. Właśnie te przymioty – oraz członkostwo w Ochotnikach z Baker Street – skłoniły Pendergasta do wybrania tego człowieka na swego partnera w nowej i niezwyklej przygodzie.

– Pendergast! – rzekł Kleefisch, wyciągając rękę i szeroko się uśmiechając. – Wyglądasz dokładnie tak samo. No, powiedzmy, prawie tak samo.

– Mój drogi Kleefisch – odparł Pendergast, uściskawszy podaną dłoń.

Obaj natychmiast i zgoła mimowolnie przyjęli typową dla byłych studentów Oksfordu i Cambridge manierę polegającą na zwracaniu się do rozmówcy po nazwisku.

– Popatrz tylko na siebie, wtedy w Oksfordzie myślałem, że po prostu nosisz żałobę. Widzę jednak, że źle cię oceniłem. Z czernią ci do twarzy. – Kleefisch usiadł. – Uwierzyłybyś, że będziemy mieć w Londynie taką pogodę? Nie wydaje mi się, aby Mayfair kiedykolwiek wyglądało pięknie.

– W rzeczy samej – przyznał Pendergast. – A dziś rano nie bez satysfakcji zauważyłem, że temperatura w Roaring Fork wynosiła szesnaście stopni poniżej zera.

– To okropne. – Kleefisch aż się wzdrygnął.

Kelner podszedł do stolika, położył na blacie karty dań i oddalił się.

– Cieszę się, że udało ci się złapać poranny samolot – rzekł Kleefisch, zacierając ręce i przeglądając menu. – Popołudniowa herbatka „szyk i szok” jest doprawdy wyborna. Podają tu również najlepszy kir royale w całym Londynie.

– Miło wrócić do cywilizacji. Roaring Fork pomimo swoich wielkich pieniędzy – a może właśnie z tego powodu – jest prostackim, prymitywnym miastem.

– Wspominałeś coś o podpaleniu. – Uśmiech zniknął z twarzy Kleefischa. – Czy podpalacz, o którym mówiłeś, znowu dał znać o sobie?

Pendergast skinął głową.

– O Boże... Ale może przejdźmy do przyjemniejszych spraw. Mam nadzieję, że będziesz zadowolony z odkrycia, jakiego udało mi się dokonać. Że twoja podróż przez ocean nie okaże się stratą czasu.

Zjawił się kelner. Pendergast zamówił kieliszek szampana Laurent-Perrier i imbirowy trójkątny placuszek z mąki pszennej, z kwaśną śmietaną, Kleefisch zaś kilka małych kanapek. Ochotnik z Baker Street odprowadził kelnera wzrokiem, po czym sięgnął do swojej aktówki, wyjął z niej cienką książkę i przesunął ją po blacie stolika.

Pendergast wziął ją do ręki. Autorem był Ellery Queen, a książka nosiła tytuł *Królewskie kworum: historia detektywistycznych opowiadań kryminalnych na podstawie 106 najważniejszych książek z tego gatunku od 1845 roku*.

– *Królewskie kworum* – wyszeptał Pendergast, spoglądając na okładkę. – Pamiętam, że podczas naszej rozmowy telefonicznej wspominałeś o Ellerym Queenie.

– Oczywiście słyszałeś o nim.

– Tak. A właściwie o nich, jeżeli chodzi o ścisłość.

– Właśnie. O dwóch kuzynach piszących pod pseudonimem. Opublikowali mnóstwo wybitnych antologii opowiadań kryminalnych. Poza tym sami też napisali wiele naprawdę wspaniałych książek. – Kleefisch postukał palcem w tom, który trzymał w dłoniach Pendergast. – A ta publikacja jest zapewne najsłynniejszym dziełem krytycznym o literaturze detektywistycznej, zbiór i studium najwybitniejszych opowiadań tego gatunku. Nawiasem mówiąc, to pierwsze wydanie tej książki. Ale jest tu coś naprawdę dziwnego: pomimo tytułu *Królewskie kworum* zawiera ona listę nie stu sześciu, ale stu siedmiu tytułów. I spójrz tylko na to.

Odebrawszy książkę z rąk agenta, Kleefisch otworzył ją na spisie treści,

a następnie wskazał palcem znajdujący się tam wpis.

74. – Anthony Wynne – *Sinners Go Secretly* – 1927

75. – Susan Glaspell – *A Jury of Her Peers* – 1927

76. – Dorothy L. Sayers – *Lord Peter ogląda zwłoki* – 1928

77. – G.D.H. & M. Cole – *Superintendent Wilson's Holiday* – 1928

78. – W. Somerset Maugham – *Ashenden, czyli brytyjski agent* – 1925

78a. – Arthur Conan Doyle – *Przygoda w (?)* – 1928 (?)

79. – Percival Wilde – *Rogues in Clover* – 1929

– Widzisz to? – spytał Kleefisch z nutą triumfu w głosie. – Numer siedemdziesiąt osiem a. Tytuł nieznany. Data powstania nieznana. Nie wiadomo nawet, czy to opowiadanie w ogóle istnieje, stąd podpunkt a. W tekście głównym nie ma żadnej wzmianki o tym utworze, widnieje on tylko na tej liście. Najwyraźniej jednak Queen, zapewne dlatego, że miał wysoką pozycję w tym środowisku, usłyszał od osób trzecich dostatecznie dużo o tym jakże rzadkim utworze, aby uznać, iż warto byłoby zamieścić go na tej liście. A może wcale nie. Ponieważ gdy w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym opublikowano poprawione wydanie tej książki, a listę wydłużono do stu dwudziestu pięciu tytułów, numer siedemdziesiąt osiem a został z niej usunięty.

– I uważasz, że to właśnie nasze zaginione opowiadanie o Holmesie.

Kleefisch pokiwał głową.

Podano im herbatę.

– Dość niezwykle jest to, że nazwisko Conan Doyle'a widnieje już wcześniej na tej liście – rzekł Kleefisch, odgryzając kawałek kanapki z wędzonym łososiem i pastą wasabi. – *Przygody Sherlocka Holmesa*. W *Królewskim kworum* pod numerem szesnastym.

– Wobec tego naszym następnym krokiem powinno być ustalenie, co właściwie Ellery Queen wiedział o tym opowiadaniu o Holmesie i skąd on, a raczej oni się o nim dowiedzieli.

– Niestety chyba nic z tego. Możesz mi wierzyć. Ochotnicy z Baker Street próbowali podążać tą ścieżką niezliczenie wiele razy. Jak się zapewne domyślasz, pozycja siedemdziesiąt osiem a z listy Queena stanowi jedno z największych wyzwania dla naszej organizacji. Utworzono specjalny tytuł, zostanie on przyznany osobie, która zdoła odnaleźć to opowiadanie. Dwaj kuzyni nie żyją od wielu dekad i nie pozostawili po sobie nawet cienia dowodów, które mogłyby wyjaśnić, dlaczego pozycja numer siedemdziesiąt osiem a znalazła się

na liście w pierwszym wydaniu *Królewskiego kworum* ani dłaczego została usunięta w późniejszej edycji.

Pendergast upił łyk szampana.

– To zachęcające.

– W rzeczy samej. – Kleefisch odłożył książkę. – Dawno temu Ochotnicy zgromadzili całą masę listów z późnego okresu życia Conan Doyle’a. Do dziś nie pozwoliliśmy uczonym z zewnątrz na zapoznanie się z tą korespondencją, chcieliśmy zachować je do naszych naukowych publikacji w „Journal” i innych periodykach. Niemniej listy z późnego okresu życia Conan Doyle’a zostały w znacznej mierze zignorowane, dotyczą bowiem czasów, gdy mocno zaangażował się on w spirytyzm i pisywał dzieła z dziedziny literatury faktu w rodzaju *Przybycia wróżek*, *Na granicy nieznanego*, a o Holmesie zupełnie zapomniał.

Kleefisch sięgnął po następną kanapkę, tym razem z kurczakiem w sosie teriyaki i bakłazanem z grilla. Ugryzł raz, potem drugi i zamknąwszy oczy, przeżuwał. Następnie starannie wytarł palce w płócienną serwetkę, aż wreszcie z łobuzerskim błyskiem w oku sięgnął do kieszeni surduta i wyjął dwa wyblakłe, podniszczone listy.

– Jestem zmuszony prosić cię o dochowanie tajemnicy – zwrócił się do Pendergasta. – Pozwoliłem sobie... ee... pożyczyć je na pewien czas. Nie chciałbyś chyba, żebym został wykluczony z organizacji.

– Możesz być pewien, że zachowam to w sekrecie.

– Doskonale. Wobec tego mogę śmiało ci powiedzieć, że oba te listy zostały napisane przez Conan Doyle’a w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym, rok przed jego śmiercią. Oba są zaadresowane do pana Roberta Creightona, powieściopisarza i spirytysty, z którym Conan Doyle przyjaźnił się w jesieni swego życia. – Kleefisch rozłożył jeden z listów. – W pierwszym z nich czytamy, co następuje: „Lada dzień spodziewam się wieści w sprawie Aspern Hall, która ostatnimi czasy wciąż nie daje mi spokoju”. – Złożył list, schował do kieszeni i sięgnął po kolejny. – W drugim widnieje następujący fragment. Cytuję: „Mam złe wieści w sprawie Aspern Hall. Jestem w kropce, nie bardzo wiem, co robić – i czy w ogóle powinienem coś zrobić. Wiem jednak, że nie zaznam spokoju, dopóki nie doprowadzę tej sprawy do końca”.

Kleefisch schował list.

– Wszyscy Ochotnicy, którzy czytali te listy, ale nie było ich wcale tak wielu, uznali, że Conan Doyle był zamieszany w jakieś spekulacje związane z nieruchomościami. Ale przez cały wczorajszy poranek przeglądałem listę

dworów i rezydencji zarówno w Anglii, jak i Szkocji... i w żadnym ze spisów nie widnieje posiadłość o nazwie Aspern Hall. Taka posiadłość nie istnieje.

– Sugerujesz zatem, że Aspern Hall to nie miejsce, lecz tytuł opowiadania?

Kleefisch uśmiechnął się.

– Kto wie, może tak właśnie brzmiał tytuł odrzuconego opowiadania Conan Doyle'a. *Przygoda w Aspern Hall*.

– Gdzie może się znajdować to opowiadanie?

– Wiemy, gdzie na pewno go nie ma. W jego domu. Conan Doyle, złożony przez wiele miesięcy chorobą, przykuty do łóżka ciężkim przypadkiem dusznicy bolesnej, zmarł w lipcu tysiąc dziewięćset trzydziestego w Windlesham, swoim domu w Crowborough. W kolejnych latach niezliczone rzesze Ochothników i innych uczonych zafascynowanych postacią Holmesa odbywały podróż do wschodniego Sussex, aby zbadać każdy centymetr kwadratowy tego domu. Znalezione fragmenty rękopisów, listy i inne dokumenty, ale zaginionego opowiadania o Holmesie nie. Dlatego obawiam się, że niestety ... – Kleefisch zawahał się – że to opowiadanie zostało zniszczone.

Pendergast pokręcił głową.

– Przypomnij sobie, co Conan Doyle napisał w drugim liście: że ma dylemat, jest w kropce, nie wie, co ma teraz robić, wie jednak, że nie zazna spokoju, dopóki nie doprowadzi tej sprawy do końca. To nie są słowa człowieka, który później mógłby zniszczyć swoje opowiadanie.

Kleefisch słuchał z uwagą i powoli pokiwał głową.

– Ten sam nieprzeparty impuls, pragnienie przeżycia katharsis, które nakłoniło Doyle'a, aby w ogóle napisał to opowiadanie, musiało później zmusić go, aby je zachował. Jeżeli miałem wcześniej jakieś wątpliwości, ten wpis na liście Queena je rozwiązał. To opowiadanie istnieje i gdzieś jest. Kto wie, może zawiera nawet informację, której poszukuję.

– Jaką informację? – zapytał z przejęciem Kleefisch.

– Nie mogę jeszcze o tym mówić. Obiecuję ci jednak, że jeśli znajdziemy to opowiadanie, ty je opublikujesz.

– Wspaniale!

Wymienili uścisk dłoni.

– Cytując wielkiego detektywa, gra się rozpoczęła – rzekł Pendergast, dopił szampana i gestem dał kelnerowi znak, żeby przyniósł mu następny kieliszek.

37

Okazało się, że Stacy lubiła pospać dłużej i zazwyczaj wstawała nie wcześniej niż o dziesiątej, jedenastej, a Corrie, zwlekając się z łóżka po ciemku, z zazdrością popatrzyła przez otwarte drzwi na postać leżącą na łóżku w drugiej sypialni. Uświadomiła sobie jednak, że ona sama zachowywała się podobnie, dopóki nie zrozumiała, co chce w życiu robić.

Zamiast zaparzyć sobie kawę w niewielkiej kuchni, Corrie postanowiła pojechać do Starbucksa w miasteczku. Nie znosiła tego zimnego domu i nawet mimo obecności Stacy Bowdree starała się spędzać w nim jak najmniej czasu.

Spojrzała na termometr: piętnaście stopni poniżej zera. Robiło się coraz zimniej. Włożyła czapkę, rękawiczki i grubą kurtkę, po czym wyszła na podjazd, gdzie stał jej samochód. Oczyszczyła go ze śniegu – wczoraj w nocy trochę padało – i znów pożałowała, że tak ostro potraktowała Wynna Marple’a. Głupio postąpiła, paląc za sobą ten most. Ale to była cała ona, ze swoim niewyparzonym językiem i wybuchową naturą. Cóż, nie znosiła takich palantów. Tyle że takie zachowanie mogło się sprawdzać na zadupiu w rodzaju Medicine Creek, gdy była jeszcze zbuntowaną licealistką. Teraz i w miejscu takim jak to podobne wybuchy złości były niewybaczalne. Musiała, po prostu musiała przestać atakować ludzi, zwłaszcza wtedy, gdy gwałtowne reakcje nie służyły jej interesom.

Uruchomiła samochód i zjechała stromym podjazdem na Ravens Ravine Road. Niebo było szare, znów zaczął prószyć śnieg. Prognoza pogody zapowiadała silniejsze opady, co w kurorcie narciarskim takim jak Roaring Fork przyjęto z entuzjazmem, z jakim rolnik zwykle wita deszcz. Corrie miała już dość śniegu i mrozu. Może faktycznie czas zabrać zabawki i wyjechać z miasta.

Jechała wolno, bo na krętej drodze było sporo oblodzonych miejsc, a ford z wypożyczalni miał kiepskie opony, w związku z tym i słabą przyczepność.

Co teraz? Miała przed sobą jeszcze dzień, może dwa pracy nad szkieletami, żeby postawić kropkę nad i. I to będzie koniec. Prawdopodobnie zwróci się do Teda z prośbą o pomoc, może podpowie jej, gdzie mogłaby znaleźć wskazówki,

które pozwoliłyby w ustaleniu tożsamości morderców; naturalnie zrobi to oględnie, bo przecież bibliotekarz nie zna prawdy i nie wie, jak naprawdę zginęli górnicy. Znow zaprosił ją na kolację; byli umówieni jutro wieczorem, postanowiła, że wykorzysta okazję i go o to zapyta.

Sześć dni do Bożego Narodzenia. Ojciec błagał ją, żeby przyjechała do Pensylwanii i spędziła z nim święta. Był nawet gotów posłać jej pieniądze na bilet lotniczy. Może to znak. Może...

Głośny huk, rozdzierające bach! sprawiło, że dała po hamulcach i krzyknęła mimowolnie. Samochód, którym zarzuciło, wpadł w poślizg, ale nie zjechał z szosy, jedynie poszorował po niej kilkanaście metrów i zatrzymał się w poprzek drogi.

– Co, u licha? – Corrie mocno ścisnęła dłońmi kierownicę. Co się stało? Coś strzaskało przednią szybę, tworząc na niej nieprzejrystą siateczkę pęknięć.

I wtedy zobaczyła pośrodku szyby niewielki, idealnie okrągły otwór.

Krzyknąwszy raz jeszcze, zgięła się w pół, pochylając głowę poniżej framugi drzwiczek. Wokoło panowała cisza, a w umyśle Corrie trwała gonitwa myśli. To był otwór po kuli. Ktoś próbował ją zastrzelić. Ktoś chciał ją zabić.

Cholera, cholera, cholera...

Musiała opuścić to miejsce. Wzięła głęboki oddech i wyprostowała się na siedzeniu, a potem dłonią w rękawiczce wybiła we wgiętej do środka przedniej szybie otwór na tyle duży, aby mogła widzieć szosę, po czym znow chwyciła kierownicę i dodała gazu. Focus zakręcił, ale zdołała zapanować nad nim, spodziewając się w każdej chwili kolejnych strzałów. W przypiływie paniki zbyt gwałtownie przyspieszyła: samochód najechał na spłachetek lodu i znow stracił przyczepność. Zarzuciło go w stronę barierki nad krawędzią przepaści, ale odbił się od niej, wrócił na drogę przy wtórze głośnego pisku opon i zrobił kolejny obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni. Corrie była wstrząśnięta, ale po krótkiej, przepełnionej paniką chwili uświadomiła sobie, że nic jej się nie stało.

– Cholera! – krzyknęła.

Strzelec wciąż gdzieś tam był, może nawet zmierzał właśnie w jej kierunku. Ford zatrzymał się w poprzek drogi, drzwiczki od strony pasażera były wgniecione, ale samochód nie odniósł poważniejszych uszkodzeń. Corrie przekręciła kluczyk w stacyjce i silnik natychmiast ożył. Wykręciła, wykonując ten manewr bardzo powoli i starannie – na trzy – po czym ruszyła dalej. Wóz jakoś się toczył, choć wydawał przy tym nieprzyjemne odgłosy – chyba zgięty błotnik ocierał się o jedną z opon.

Ostrożnie, z drżącymi dłońmi zaciśniętymi mocno na kierownicy Corrie

sprowadziła samochód w dół zbocza i wjechała do miasta, kierując się w stronę posterunku policji.

Kiedy wypełniła zgłoszenie o incydencie, jaki jej się przydarzył, oficer dyżurny natychmiast zaprosił ją do gabinetu komendanta. Najwyraźniej była teraz ważną personą. Zastała Morrisa siedzącego za biurkiem, na którego blacie wałała się sterta prostokątnych kartoników, zdjęć, kawałków sznurka, pinezek i tubek z klejem. Na ścianie za nim widniał niemożliwy do rozszyfrowania schemat, który niewątpliwie odzwierciedlał niedawne zabójstwa i podpalenia.

Komendant wyglądał jak nieboszczyk. Fałdy luźnej skóry zwieszały się po obu stronach jego twarzy poniżej żuchwy, oczy miał zapadnięte i błyszczące, włosy w nieładzie. Jednak w jego spojrzeniu malował się dziwny blask. Przynajmniej to zdawało się świadczyć na jego korzyść.

Sięgnął po raport i ruchem ręki zaprosił Corrie, by usiadła. Przez kilka minut uważnie i w milczeniu czytał treść jej raportu. Przeczytał go ponownie, po czym odłożył na blat biurka.

– Czy jest jakiś powód, dla którego ktoś mógłby żywić wobec ciebie urazę? – zapytał.

Corrie była tak zaskoczona i wstrząśnięta jego słowami, że mimowolnie wybuchnęła śmiechem.

– Tak. Z grubsza rzecz biorąc, wszyscy z The Heights. Burmistrz. Kermode. Montebello. Że o panu nie wspomnę.

Komendant uśmiechnął się pod nosem.

– Oczywiście przeprowadzimy stosowne dochodzenie... Posłuchaj, nie chcę, byś pomyślała, że staram się zamieść tę sprawę pod dywan, ale w tej okolicy od dobrych paru tygodni grasuje kłusownik. Ścigamy go, ale jak dotąd nie zdołaliśmy go dopaść. Gość zabija i patroszy jelenie, bez wątplenia sprzedaje gdzieś później to mięso. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu jedna z jego kul strzaskała okno w pewnym domu przy lesie. Całkiem możliwe, że ta zbłąkana kula pochodziła z broni tego kłusownika, zwłaszcza że stało się to wczesnym rankiem, gdy jelenie i nasz kłusownik są szczególnie aktywni. Naturalnie nie twierdzę, że na pewno tak było. Sugeruję jedynie taką możliwość... bardziej dla twojego spokoju niż z jakiegokolwiek innego powodu.

– Dzięki – odparła Corrie.

Wstali, a komendant wyciągnął do niej rękę.

– Obawiam się, że będę musiał zatrzymać twój samochód, bądź co bądź to teraz dowód w sprawie. Przeprowadzimy analizę balistyczną i sprawdzimy, czy uda się nam odnaleźć pocisk.

- Bardzo proszę.
- Polecę jednemu z moich funkcjonariuszy, aby odwiózł cię, dokąd sobie zażyczysz.
- To nie będzie konieczne, ale bardzo dziękuję. Wybierałam się właśnie do Starbucksa tuż za rogiem.

Sącząc kawę, Corrie zastanawiała się, czy strzał faktycznie mógł być dziełem kłusownika. To prawda, że zaraz na początku swojej bytności tutaj zraziła do siebie mnóstwo ludzi, ale ta sprawa dawno przebrzmiała, zwłaszcza odkąd w okolicy rozszalała się plaga zbrodniczych podpałek. Strzał oddany w kierunku jej samochodu mógł być usiłowaniem dokonania morderstwa. Czy naprawdę stanowiła aż tak poważne zagrożenie, że ktoś postanowił raz na zawsze się z nią rozprawić? Kłopot polegał na tym, że komendant miał taki nawał obowiązków – podobnie jak wszyscy inni funkcjonariusze z posterunku – że szczerze wątpiła, aby był w stanie przeprowadzić rzetelne i efektywne śledztwo. Jeżeli ten strzał miał ją zastraszyć, to nie osiągnął pożądanego skutku. Mogła się wystraszyć, ale nie aż tak, aby wyjechać z miasta. Przeciwnie, teraz wiedziała już na pewno, że pozostanie tu o wiele dłużej.

Choć z drugiej strony... mógł to być kłusownik. Albo jakiś szajbus. Mógł to być nawet ten seryjny podpalacz, który postanowił zmienić *modus operandi*. Powróciła myślami do Stacy, która zapewne wciąż spała w najlepsze. W końcu jednak wybierze się do miasta i też może znaleźć się na celowniku nieznanego strzelca. Jej również groziło niebezpieczeństwo.

Corrie wyjęła komórkę i zadzwoniła do Stacy. Usłyszała zaspany głos. Kiedy zaczęła opowiadać, co się jej przytrafiło, Stacy bardzo szybko się rozbudziła.

- Ktoś ostrzelał twoje auto? Pojadę i poszukam tego skurwiela.
- Zaczekaj. Nie rób tego. To szaleństwo. Niech policja się tym zajmie.
- Na śniegu musiały pozostać jego ślady. Pójdę po nich i znajdę tego sukinsyna, choćby próbował schronić się w mysiej dziurze. Już ja go dopadnę.
- Błagam, nie.

Dziesięć minut zajęło Corrie przekonanie Stacy, by zrezygnowała ze swoich planów. Zanim jeszcze Corrie się rozłączyła, Stacy powiedziała:

- Mam nadzieję, że ostrzela też mój samochód. Mam parę pocisków Black Talon, które aż się palą, żeby zgłębić tajniki jego chorej psychiki.

Potem Corrie zadzwoniła do wypożyczalni rękochów. Pracownik biura rozpoczął od długiego wstępu, wyjaśniając, że właśnie zadzwonił do niego komendant policji, że to straszne, co ją spotkało, i czy aby na pewno dobrze się czuje, może jednak powinna wybrać się do lekarza... i czy zgodziłaby się przyjąć

na czas pobytu w mieście nowy samochód – forda explorera – nowszy model, znacznie lepszy od poprzedniego, oczywiście bez żadnych dodatkowych opłat.

Corrie uśmiechnęła się, kończąc połączenie. Komendant wreszcie pokazuje, że ma charakter.

38

Roger Kleefisch rozsiadł się na jednym z dwóch obitych aksamitem foteli w salonie swego londyńskiego domu, opierając stopy na rozciągniętej przed kominkiem niedźwiedziej skórze, i całym sobą gorliwie chłonał bijące z nad rusztu przyjemne ciepło. Agent Pendergast siedział na drugim fotelu, w zupełnym bezruchu, wpatrując się w ogień. Kiedy Kleefisch wprowadził go do środka, agent FBI rozejrzał się po pokoju, unosząc brwi, ale nic nie powiedział. A jednak Kleefisch odebrał to jako aprobatę.

Rzadko wpuszczał kogokolwiek do salonu, a teraz czuł się tu trochę jak Sherlock Holmes mający u swego boku partnera w detektywistycznych przygodach. Ta myśl dodała mu otuchy. Choć prawdę mówiąc, powinien dla siebie zarezerwować rolę Watsona. Bądź co bądź to Pendergast był zawodowym detektywem śledczym.

Wreszcie agent poruszył się na fotelu, odstawiając szklanekę whisky z wodą sodową na niewielki stolik.

– No dobrze, Kleefisch. Co udało ci się odkryć do tej pory?

Tego pytania Kleefisch się obawiał. Przełknął ślinę, wziął głęboki oddech i odparł:

– Obawiam się, że nic.

Blade oczy przeszywały go wzrokiem.

– Doprawdy?

– Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny przejrzałem dosłownie wszystko. Rzuciłem okiem na starą korespondencję, wielokrotnie przeczytałem wpisy w dzienniku Doyle'a. Sprawdziłem każdą książkę, każdą pracę na temat ostatnich lat życia tego pisarza, jakie udało mi się odnaleźć. Próbowałem nawet podpytywać, oczywiście mimochodem, kilku co bardziej światłych członków Inwestytury. Nie znalazłem nic, ani śladu jakichkolwiek dowodów. I pomimo początkowego entuzjazmu muszę przyznać, że zbytnio mnie to nie zaskoczyło. W przeszłości wielu Ochotników próbowało podążać tym tropem. Ten teren

został gruntownie przebadany. Byłem głupcem, sądząc, że uda nam się odkryć coś nowego.

Pendergast milczał. Z blaskiem migoczących płomieni omiatających jego wymizerowane oblicze, pochyloną głową i wyrazem głębokiego zamyślenia na twarzy, otoczony wiktoriańskimi eksponatami, w tej chwili tak bardzo przypominał Holmesa, że ten widok wprowadził Kleefischa w konsternację.

– Bardzo mi przykro, Pendergast – rzekł, wlepiając wzrok w rozciągniętą na podłodze niedźwiedzią skórę. – Naprawdę byłem pełen nadziei. – Przerwał. – Obawiam się, że gonimy za mrzonką, i to, niestety, w dużej mierze przeze mnie. Bardzo przepraszam.

Po chwili Pendergast otrząsnął się z odrętwienia.

– Wręcz przeciwnie. Uczyniłeś już całkiem sporo. Potwierdziłeś moje przypuszczenia co do zaginionego opowiadania o Holmesie. Pokazałeś mi dowód na kartach *Królewskiego kworum*. Udało ci się na podstawie listów Doyle’a powiązać zaginione opowiadanie z Aspern Hall. Niemal wbrew sobie przekonałeś mnie nie tylko o tym, że *Przygoda w Aspern Hall* istniała, ale że przetrwała do dziś. Muszę ją odnaleźć.

– Dla Ochotnika i uczonego zajmującego się Holmesem byłoby to największe osiągnięcie w życiu. Prawdziwy uśmiech losu. Ale muszę zapytać raz jeszcze, dlaczego to jest tak ważne dla ciebie.

Pendergast zawahał się przez chwilę.

– Mam pewne hipotezy, domysły, które ta opowieść może potwierdzić – albo nie.

– Czego dotyczą te hipotezy?

Wargi Pendergasta wykrzywił lekki uśmiech.

– Ty, znawca Holmesa, zachęcasz śledczego do wyjawienia niepotwierdzonych jeszcze spekulacji? Ależ mój drogi Kleefisch!

Kleefisch na te słowa aż się zaczerwienił.

– Choć zazwyczaj gardzę ludźmi, którzy twierdzą, jakoby byli obdarzeni szóstym zmysłem – kontynuował Pendergast – w tym wypadku czuję, że właśnie to zaginione opowiadanie kryje rozwiązanie wszystkich naszych zagadek, zarówno tych z przeszłości, jak i tych teraźniejszych.

– Wobec tego – rzekł w końcu Kleefisch – przykro mi, że nie byłem ci w stanie pomóc.

– Bez obawy – odparł Pendergast. – Pomogłeś mi, i to bardzo.

Kleefisch uniósł brwi.

Pendergast mówił dalej:

– Wychodziłem z założenia, że im więcej zdołam dowiedzieć się o ostatnich latach życia Conan Doyle’a, tym bardziej zbliżę się do odnalezienia zaginionego opowiadania. Skoncentrowałem swoje wysiłki na kręgu spirytystów, do którego należał w ostatnim okresie swego życia. Dowiedziałem się, że grupa ta często spotykała się w niewielkim domku o nazwie Covington Grange, na obrzeżach Hampstead Heath. Domek ten był własnością spirytystki nazwiskiem Mary Wilkes. Conan Doyle miał mały pokój w Covington Grange, gdzie czasami pisywał eseje o spirytyzmie, które później, wieczorami, czytał przybyłym na spotkania gościom.

– To fascynujące – powiedział Kleefisch.

– Pozwól, że zadam ci następujące pytanie: czy nie wydaje się prawdopodobne, że pracując nad swoimi tekstami traktującymi o spirytyzmie, Doyle w Covington Grange napisał również ostatnie opowiadanie o Sherlocku Holmesie, *Przygodę w Aspern Hall*?

Kleefisch poczuł narastającą ekscytację. To brzmiało sensownie. I wiedział, że do tej pory nikt, żaden z Ochotników z Baker Street, nie próbował podążać tym tropem.

– Czy z uwagi na kontrowersyjną naturę tego opowiadania nie wydaje się również możliwe, że autor ukrył ten tekst w niewielkim pokoiku, w którym pracował, albo w innym miejscu w murach Covington Grange?

– To całkiem możliwe! – Kleefisch poderwał się z miejsca. – Mój Boże! Nic dziwnego, że tego manuskryptu nie znaleziono w Windlesham! A zatem co dalej?

– Co dalej? Wydawało mi się, że to oczywiste. Jedziemy do Covington Grange!

Dorothea Pembroke weszła z filiżanką herbaty w ręku do swojego przytulnego pokoiku w centrali Narodowego Funduszu na rzecz Miejsc Historycznych i Przyrodniczych w Blackpool. Była dziesiąta czterdzieści pięć, a panna Pembroke przestrzegała przerw w pracy z takim samym oddaniem, jak traktowała swoje stanowisko, czyli nad wyraz poważnie. Na biurku leżała starannie złożona materiałowa serwetka, obok filiżanki herbaty jaśminowej Harrisons & Crosfield, z jedną kostką cukru i herbatnikiem owsianym, który panna Pembroke maczała w herbacie nie raz, nie trzy, lecz dokładnie dwa razy, zanim zaczęła go pogryzać.

Pod wieloma względami uważała, że to ona jest Narodowym Funduszem. W tej organizacji non profit było rzecz jasna wiele istotniejszych stanowisk, nikt inny jednak nie mógł pochwalić się szlachetniejszym rodowodem. Dziadek Dorothei sir Erskine Pembroke był panem Chiddingham Place, jednego z najbardziej imponujących i majestatycznych domów w całej Kornwalii. Jednak jego firma upadła, a gdy rodzina zdała sobie sprawę, że nie stać jej na spłacenie podatków i utrzymanie posiadłości, doszła do porozumienia z Narodowym Funduszem. Fundamenty budynku i ogólna struktura zostały odrestaurowane, ogrody powiększone i koniec końców Chiddingham Place otwarto dla gości, podczas gdy rodzina zajmowała skromniejsze pokoje na najwyższym piętrze. Kilka lat później ojciec panny Pembroke objął w Narodowym Funduszu stanowisko kierownika do spraw rozwoju. Gdy tylko skończyła ona szkołę, dołączyła do Funduszu i przez trzydzieści dwa lata pracy doszła do stanowiska zastępcy głównego zarządcy.

To bez wątpienia satysfakcjonujący awans.

Gdy odstawiła filiżankę i złożyła serwetkę, zdała sobie sprawę, że w drzwiach stoi mężczyzna. Była zbyt dobrze wychowana, by okazać zaskoczenie, ale przerwała wykonywaną czynność, zanim złożyła serwetkę raz jeszcze i odłożyła na biurko. Mężczyzna był całkiem przystojny – wysoki, blady, o włosach tak jasnych, że wydawały się nieomal białe, i oczach koloru lodu, ubrany w dobrze

skrojony czarny garnitur – ale nie rozpoznała go, a goście byli zazwyczaj anonsowani.

– Proszę wybaczyć – rzekł z amerykańskim akcentem z Południa, któremu towarzyszył czarujący uśmiech. – Nie chciałem przeszkadzać, panno Pembroke. Ale sekretarka musiała wyjść na chwilę z recepcji, a my faktycznie byliśmy dziś umówieni.

Dorothea Pembroke otworzyła swój dziennik i sprawdziła listę spotkań. Rzeczywiście, tego dnia o jedenastej piętnaście miał się u niej zjawić niejaki pan Pendergast. Przypomniała sobie, że zależało mu na spotkaniu z nią, a nie z głównym zarządcą, co było dość niezwykłe. Niemniej nie został zaanonsowany, a ona nie tolerowała żadnych uchybień w dopełnieniu formalności. Jednakże mężczyzna miał w sobie coś ujmującego i była gotowa wybaczyć mu naruszenie zasad dobrego wychowania.

– Czy mogę usiąść? – spytał z kolejnym uśmiechem.

Panna Pembroke ruchem głowy wskazała mu wolne krzesło przed jej biurkiem.

– Czy mogę wiedzieć, o czym chciał pan ze mną porozmawiać?

– Chciałbym odwiedzić jedną z pani własności.

– Odwiedzić? – spytała, a w jej głosie pojawiła się ledwie wyczuwalna nuta dezaprobaty. – Mamy ochotników, którzy mogą panu przy tym towarzyszyć. – Doprawdy, tego już za wiele, jak ten człowiek mógł zawracać jej głowę taką błahostką.

– Bardzo przepraszam – odparł mężczyzna – nie chcę zajmować pani cennego czasu. Rozmawiałem w tej sprawie w dziale obsługi gości i skierowano mnie do pani.

– Rozumiem. – To diametralnie zmieniało stan rzeczy. No i ten mężczyzna miał bardzo wykwintne maniery. Nawet jego akcent zdradzał dobre wychowanie; nie przeciągał zgłosek w barbarzyński sposób jak niektórzy gburowaci Amerykanie. – Zanim zaczniemy, musimy dopełnić formalności. Na początek musimy znać tożsamość naszych gości.

Mężczyzna znów się uśmiechnął. Miał przepiękne białe zęby. Sięgnął do kieszeni czarnego garnituru i wyjął z niej skórzany portfel, który otworzył i położył na blacie, ukazując złotą odznakę i legitymację ze zdjęciem. Panna Pembroke była zaskoczona.

– Wielkie nieba! Federalne Biuro Śledcze? Czy chodzi o... sprawę kryminalną?

Mężczyzna posłał jej wyjątkowo ujmujący uśmiech.

– Ależ nie! Nie ma powodu do niepokoju. To sprawa osobista. Nic oficjalnego. Pokazałbym pani mój paszport, ale został w hotelowym sejfie.

Panna Pembroke poczuła, że rozkołatane serce w jej piersi zaczyna się nieco uspokajać. Nigdy dotąd nie była zamieszana w sprawę kryminalną i mierzila ją sama myśl o tym.

– Dobrze więc, panie Pendergast, trochę mnie pan uspokoił. Słucham, w czym mogę pomóc? Zechciałby mi pan powiedzieć, którą posiadłość chciałby pan odwiedzić?

– Domek letni o nazwie Covington Grange.

– Covington Grange. Covington Grange. – Panna Pembroke nie kojarzyła tej nazwy. Ale Fundusz miał pod swoją pieczęć setki nieruchomości, w tym wiele najwspanialszych posiadłości w całej Anglii, i trudno było oczekiwać, że będzie pamiętała je wszystkie. – Chwileczkę.

Przeniosła wzrok na ekran komputera, przejrzała kilka menu i wprowadziła nazwę do wyszukiwarki. Na ekranie pojawiło się kilka zdjęć i długi opis. Gdy zaczęła go czytać, uświadomiła sobie, że jak przez mgłę pamięta to miejsce. Nic dziwnego, że w dziale obsługi gości skierowano agenta bezpośrednio do niej, a nie do głównego zarządcy. Odwróciła się.

– Covington Grange – powiedziała. – Niegdyś był własnością Leticii Wilkes, która zmarła w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, pozostawiając nieruchomość władzom.

Mężczyzna nazwiskiem Pendergast pokiwał głową.

– Z przykrością muszę poinformować, że wizyta w Covington Grange nie wchodzi w rachubę.

Na dźwięk tych słów twarz agenta przepełnił wyraz głębokiego zawodu i rozczarowania. Mimo to Pendergast zebrał się w sobie.

– To nie zajęłoby dużo czasu, panno Pembroke.

– Przykro mi, to niemożliwe. Zgodnie z posiadanymi przeze mnie informacjami ten dom od dziesięcioleci jest zamknięty na cztery spusty i niedostępny dla osób postronnych, do czasu gdy Fundusz zdecyduje o jego dalszym losie.

Pendergast wyglądał na załamanego. Nieszczęśnik tak bardzo przejął się tym, co usłyszał, że na widok jego gwałtownej reakcji nawet zimne i nieubłagane serce Dorothei Pembroke zaczęło mięknąć.

– Ta budowla została poważnie naruszona przez działania sił natury – wyjaśniła. – Wejście tam stanowi poważne ryzyko dla życia i zdrowia. Zanim wpuścimy kogokolwiek do środka, musimy przeprowadzić gruntowne prace

konserwatorskie. Obecnie nasze fundusze, jak zapewne domyśla się pan, są ograniczone. Mamy wiele innych, ważniejszych nieruchomości, o które także powinniśmy zadbać. A szczerze mówiąc, ten domek ma marginalne znaczenie historyczne.

Pan Pendergast spuścił wzrok, splatając i rozplatając dłonie. Wreszcie się odezwał:

– Dziękuję, że zechciała pani poświęcić swój czas, aby wyjaśnić mi całą sytuację. To brzmi sensownie. Tyle tylko że... – W tym momencie znów uniósł wzrok i spojrzał kobiecie w oczy. – Chodzi o to, że jestem ostatnim żyjącym potomkiem Leticii Wilkes.

Panna Pembroke patrzyła na niego zdumiona.

– Była moją babką. Z całej linii rodowej pozostałem tylko ja. Moja matka zmarła w zeszłym roku na raka, a ojciec zginął w katastrofie pociągu rok wcześniej. Moja... siostra została zamordowana zaledwie trzy tygodnie temu, gdy padła ofiarą brutalnej napaści i usiłowania rabunku. Dlatego, rozumie pani... – Pendergast odczekał chwilę, aby dojść do siebie. – Widzi pani, Covington Grange to wszystko, co mam. To miejsce, w którym jako chłopiec spędzałem letnie miesiące, zanim matka zabrała nas do Ameryki. W tym miejscu zawierają się wszystkie moje szczęśliwe wspomnienia o utraconej rodzinie.

– Ach, tak. Rozumiem.

To była doprawdy wzruszająca i chwytająca za serce historia.

– Chciałem tylko po raz ostatni zobaczyć ten dom, zanim wszystko, co się w nim znajduje, bezpowrotnie zniszczy i popadnie w ruinę. Jest tam zwłaszcza... stary album z rodzinnymi zdjęciami, który, jak pamiętam, lubiłem przeglądać w dzieciństwie. Powinien znajdować się w jednej z szuflad w kredensie i jeżeli nie ma pani nic przeciw temu, chciałbym móc zabrać go ze sobą. Nie mam niczego, zupełnie niczego, co przypominałoby mi rodzinę. Wyjeżdżając do Ameryki, pozostawiliśmy tutaj dosłownie wszystko.

Panna Pembroke, słuchając tej tragicznej opowieści, poczuła smutek przepełniający jej serce. Tyle że smutek to jedno, a obowiązki to zupełnie co innego.

– Jak powiedziałam, bardzo mi przykro. Z powodów, które przed chwilą podałam, wizyta absolutnie nie wchodzi w grę. A poza tym wszelkie ruchomości znajdujące się w domu należą do Funduszu, fotografie również, bo mogą mieć wartość historyczną.

– Ale one tam tylko niszczeją! Minęło ponad trzydzieści lat i nic z tym nie zrobiono! – W głosie Pendergasta pojawił się błagalny ton. – Może mógłbym

wejść do środka choćby na dziesięć minut? Albo chociaż na pięć? Nikt prócz pani i mnie nie musiałby o tym wiedzieć!

Ta insynuacja, że mogłaby uczestniczyć w potajemnych działaniach, o których Fundusz nie miałby pojęcia, zdjęła urok, jaki rzucił na nią Pendergast.

– To wykluczone. Dziwię się, że w ogóle miał pan czelność zasugerować coś takiego.

– To pani ostateczna decyzja?

Panna Pembroke lekko skinęła głową.

– Rozumiem.

Zachowanie mężczyzny nagle się zmieniło. Zniknął wyraz zagubienia i lekkie drżenie głosu. Agent rozsiadł się wygodnie na krześle i spojrzał na kobietę zupełnie inaczej niż do tej pory. Co więcej, w jego postawie i wyrazie twarzy pojawiło się coś, czego panna Pembroke nie potrafiła nazwać, a co wydawało jej się niepokojące.

– To dla mnie naprawdę ważne – powiedział – tak bardzo, że nie zawaham się przed niczym, aby osiągnąć swój cel.

– Nie bardzo rozumiem, co miałyby to oznaczać, ale już podjęłam decyzję – stwierdziła z niezłomną stanowczością.

– Wobec tego obawiam się, że pani opór nie pozostawia mi wyboru.

Sięgnąwszy do kieszeni, agent FBI wyjął plik papierów i uniósł je w dłoni.

– Co to ma być? – spytała, cedząc słowa.

– Mam tu informacje, które mogłyby panią zainteresować. – Ton jego głosu także się zmienił. – Jak rozumiem, pani rodzina zamieszkiwała Chiddingham Place?

– Wątpię, aby to pana interesowało, ale wciąż tam mieszkają.

– Tak. Na czwartym piętrze. Materiały, które jak sądzę, uzna pani za szczególnie ciekawe, dotyczą pani dziadka.

Szarmanckim ruchem położył dokumenty na biurku.

– Mam tu informacje, bezsporne informacje, że w ostatnich miesiącach działalności jego firmy, tuż przed bankructwem, wziął pożyczkę pod wartość pakietu akcji będącego w rękach udziałowców, pragnąc, zgoła rozpaczliwie, uratować swój biznes. W ten sposób nie tylko dopuścił się poważnego oszustwa finansowego, lecz również okłamał bank, twierdząc, że gwaranty pożyczki należały do niego. – Milczał chwilę. – Jego przestępcze poczynania pozostawiły wielu udziałowców bez grosza przy duszy, a wśród tych osób było wiele wdów i emerytów, którzy zmarli później w skrajnym ubóstwie. Obawiam się, że lektura tej historii nie będzie zbyt przyjemna.

Przerwał.

– Jestem pewien, panno Pembroke, że nie chciałaby pani, aby dobre imię pani dziadka i co za tym idzie, całej rodziny Pembroke'ów, zostało zbrukane. – Błysnął w uśmiechu śnieżnobiałymi zębami. – Czy zatem w pani interesie nie byłoby udzielenie mi zgody na tymczasowy dostęp do Covington Grange? Chodzi tylko o taki drobiazg. Wydaje mi się, że wszyscy byśmy na tym zyskali, czyż nie?

Ostatni lodowaty uśmiech i błysk drobnych idealnych zębów przeważały szalę. Dorothea Pembroke nagle zeszywniała. A potem bardzo wolno podniosła się z krzesła. Równie wolno wzięła do ręki papiery, które Pendergast położył na jej biurku. I pogardliwym gestem rzuciła je na podłogę u jego stóp.

– Ma pan czelność przychodzić do mojego gabinetu i mnie szantażować? – Jej głos pozostawał nadzwyczaj spokojny, co zdziwiło nawet ją samą. – Nigdy dotąd nie spotkało mnie coś równie oburzającego i niesłychanego. Jest pan zwyczajnym tupeciarzem. Nie zdziwiłabym się, gdyby historia, którą mi pan opowiedział, okazała się równie fałszywa, jak bez wątplenia fałszywa jest pańska odznaka.

– Prawdziwa czy nie, informacje na temat pani dziadka są bezsprzeczne. Proszę mi dać to, czego chcę, albo przekażę te dokumenty policji. Proszę pomyśleć o swojej rodzinie.

– Mam zobowiązania wobec stanowiska, jakie piastuję, oraz wobec prawdy. Ni mniej, ni więcej. Jeżeli chce pan zniszczyć dobre imię mojej rodziny i splamić je wyciągniętymi skądś brudami, jeżeli pragnie pan odebrać nam tę namiastkę finansowej stabilizacji, jaka nam jeszcze pozostała, proszę bardzo. Jakoś to przeżyję. A teraz, panie Pendergast – wyciągnęła rękę, wskazując palcem drzwi, i niewzruszonym głosem dodała: – żądam, aby natychmiast opuścił pan ten budynek, albo każę pana stąd wyprowadzić siłą. To wszystko. Życzę miłego dnia.

Stojąc na frontowych schodach wiodących do siedziby Narodowego Funduszu, agent Pendergast rozglądał się przez chwilę dokoła, a rozdrażnienie na jego twarzy z wolna ustępowało wyrazowi głębokiego podziwu. Prawdziwa odwaga ujawnia się niekiedy w najbardziej niecodziennych miejscach. Niewielu ludzi potrafiłoby stawić opór pod wpływem tak gwałtownej i zdecydowanej napaści; panna Pembroke, która, bądź co bądź, wykonywała tylko swoją pracę, była prawdziwym wyjątkiem. Na tysiąc osób zdarzała się zaledwie jedna taka jak ona. Wąskie usta agenta wykrzywił lekki uśmiech. Po chwili Pendergast wrzucił papiery do pobliskiego kosza na śmieci. Schodząc po schodach i kierując się w stronę dworca, by wrócić pociągiem do Londynu, zacytował pod nosem: „Sherlock Holmes zawsze mówił o niej jako o tej kobiecie. Rzadko słyszałem, by

określał ją w inny sposób. W jego oczach przesłania ona cały rodzaj żeński, do którego należy, i dominuje nad nim”[\[2\]](#).

40

Mockey Jones znów był na bani i to go cieszyło. Często myślał o sobie w trzeciej osobie, a cichy głosik w jego głowie mówił mu, że Mockey Jones idzie chwiejnym krokiem East Main Street, zataczając się, nie czując bólu (ani zimna), mając w żołądku pięć drogich martini i stek za osiemdziesiąt dolców. Jego łądzwie ostatnio sporo pracowały, portfel pękał w szwach od gotówki i kart kredytowych, ale Jones nie miał pracy, nie musiał zasuwać i niczym się nie przejmował.

Mockey Jones był jednym z jednego procenta, a ściśle mówiąc, zaliczał się do drobnego ułamka tych, którzy stanowili jeden procent, i choć sam nigdy nie zarobił w życiu ani grosza, nie miało to znaczenia, bo przecież forsa to forsa i lepiej ją mieć niż jej nie mieć, a jeśli już mieć, to lepiej mieć więcej niż tylko trochę. A Mockey Jones nie narzekał na brak szmalu.

Mockey Jones miał czterdzieści dziewięć lat, zostawił trzy żony i tyle samo dzieci – idąc ulicą, lekko pochylił głowę na ich cześć – a teraz był wolny, całkowicie niezależny i nierozważny, nie miał nic więcej do roboty poza jazdą na nartach, jedzeniem, piciem, bzykaniem i opieprzaniem swoich doradców inwestycyjnych. Mockey Jones był bardzo szczęśliwy, że może mieszkać w Roaring Fork. To miasto jest w jego typie. Ludzi nie interesuje, kim jesteś ani co robisz, grunt, żebyś był bogaty. I nie chodzi tu o zwykłych milionerów, to zdecydowanie za mało. W tym kraju aż się roi od tandetnych milionerów z klas średnich. Takimi ludźmi w Roaring Fork najzwyczajniej w świecie gardzono. Tu musiałeś być miliarderm lub przynajmniej multimilionerem, żeby należeć do odpowiedniego kręgu ludzi. Jones zaliczał się do multimilionerów i choć przywykł już do tej żenującej sytuacji i swego równie żalnego statusu, dwieście milionów, które odziedziczył po swoim ojcu palancie – cześć jego pamięci – w zupełności wystarczało na jego potrzeby.

Przystanął i rozejrzał się dokoła. Boże, powinien się odlać jeszcze w restauracji. W tym cholernym mieście nie było publicznych toalet. I gdzie, do

cholery, zostawił swój samochód? Nieważne, nie był na tyle głupi, aby w takim stanie siadać za kółkiem. Nie dopuści do tego, aby na pierwszej stronie „Roaring Fork Timesa” pojawił się krzykliwy nagłówek: „Mockey Jones aresztowany za jazdę po pijanemu!”. Zadzwoeni do jednej z firm przewozowych, które zajmują się odwożeniem podpitych birbantów do domów ekskluzywnymi limuzynami. Wyjął komórkę, ale wyslizgnęła mu się z rąk i wylądowała w zaspie śnieżnej. Mockey Jones zmełł pod nosem wyszukane przekleństwo, pochylił się, podniósł aparat, otrzepał ze śniegu i wcisnął odpowiedni numer na szybkim wybieraniu. Po chwili miał już załatwiony transport do domu. Martini w Brierly’s Steak House niewątpliwie były doskonałe i nie mógł doczekać się następnego drinka, gdy wróci do domu.

Stojąc przy krawężniku i kołysząc się lekko w oczekiwaniu na limuzynę, Mockey Jones zwrócił uwagę na coś, co dostrzegł kątem oka i co bardzo szybko rozprzestrzeniało się w jego polu widzenia po prawej stronie. Coś złotego i nienaturalnie błyszczącego. Odwrócił się i zobaczył, że na osiedlu Mountain Laurel, na wschodnim stoku, tuż przy samej granicy miasta, niecałe czterysta metrów od niego olbrzymi dom eksplodował feerią płomieni. Czuł żar ognia na policzku, widział pomarańczowe jęzory wzbijające się coraz wyżej w powietrze oraz iskry unoszące się ku mrocznemu niebu niczym gwiazdy i... o Boże święty, czy w oknie na piętrze ktoś był, jakaś postać otoczona przez ogień? Wciąż patrzył, gdy okno eksplodowało, a ciało wypadło na zewnątrz niczym gorejąca kometa, wijąc się przeraźliwie przy wtórze upiornego krzyku, który jak ostrze noża rozplątał nocną ciszę, rozbrzmiewając powracającym, wielokrotnie odbitym echem wśród gór, jakby miał się nigdy nie skończyć, nawet wtedy, gdy płonące ciało znikło poniżej, między jodłami. Niemal natychmiast, zdawałoby się, że po zaledwie kilku sekundach rozległo się wycie syren, na ulicach zaroilo się od samochodów patrolowych, wozów strażackich i gapiów, pojawiły się też furgonetki transmisyjne rozmaitych stacji telewizyjnych, z talerzami satelitarnymi na dachach. Na samym końcu nadleciały śmigłowce z oznaczeniami stacji telewizyjnych i radiowych, przemykając nisko, tuż nad wierzchołkami drzew.

Przeraźliwy wrzask wciąż rozbrzmiewał echem w jego zmęczonym i otępiałym mózgu i Mockey Jones poczuł między nogami coś ciepłego, a zaraz potem chłodnego. Po chwili zdał sobie sprawę, że zlał się w spodnie.

41

Corrie Swanson zajechała wynajętym exploerem na podjazd i spojrzała na zimny, ciemny dom. Światła się nie paliły, choć samochód Stacy stał nieopodal. Gdzie ona się podziewa? Corrie zaczęła się martwić o Stacy, czuła się za nią odpowiedzialna, chociaż miała nadzieję, że będzie na odwrót, że to obecność Stacy da jej poczucie bezpieczeństwa.

Stacy pewnie już się położyła, mimo że sprawiała wrażenie nocnego marka. A może się umówiła z chłopakiem, który przyjechał po nią swoim autem, i jeszcze nie wróciła.

Corrie wysiadła z samochodu, zamknęła go i weszła do domu. Światło w kuchni było zgaszone. To przesądziło sprawę: Stacy chyba jednak już spała.

Nisko nad domem przeleciał śmigłowiec, a zaraz po nim drugi. W drodze do wąwozu Corrie zauważyła wiele śmigłowców, słyszała też dźwięki syreny dochodzące od strony miasteczka. Miała nadzieję, że nie chodziło o podpalenie kolejnego domu.

Jej randka z Tedem nie skończyła się tak, jak na to liczyła. Nie była pewna dlaczego, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i nie zgodziła się, aby z nią wrócił i ogrzał jej zimne łóżko. Kusiło ją to, nawet bardzo, i wciąż czuła świerzbień warg od jego długich pocałunków. Jezu, dlaczego powiedziała „nie”?

Spędzili cudowny wieczór. Zjedli kolację w wytwornej restauracji, w starym kamiennym budynku, który został przepięknie odrestaurowany. Było to przytulne, romantyczne miejsce z mnóstwem świec i dyskretnym, przytłumionym oświetleniem. Podawano tam wyśmienite jedzenie. Corrie, która umierała z głodu, zjadła gigantyczny befsztyk z polędwicy, krwisty, a do tego wzięła duże piwo, smażone ziemniaki (jej ulubione), sałatę rzymską, na deser zaś – i to już zakrawało na istne obżarstwo – duże lody z polewą czekoladową. Rozmawiali i rozmawiali, zwłaszcza o tym pacanie Marple’u i o Kermode. Ted był zafascynowany – i wstrząśnięty – odkryciem, że Kermode ma powiązania

z niesławną rodziną Staffordów. Ponieważ dorastał w The Heights, znał Kermodę od dawna i szczerze jej nie cierpiał. Gdy jednak dowiedział się, że należy ona do bezdusznej rodziny, która wyzyskiwała i ciemniżyła to miasto w czasach jego górniczej świetności, przeżył prawdziwy szok. Okazało się, że on także miał Corrie do powiedzenia coś ciekawego: ziemie, na których wybudowano osiedle The Heights, należały pierwotnie do Staffordów i to właśnie ich firma wciąż dysponuje prawami na rozbudowę kompleksu, a ściślej prawami do tak zwanej Fazy Trzeciej, projektu, który ma ruszyć niedługo po otwarciu nowego klubu i spa.

Odganiając od siebie te myśli, Corrie przeszła z kuchni do głównego korytarza. Coś wzbudziło jej niepokój, dziwne uczucie, którego nie potrafiła sprecyzować, dziwna woń unosząca się w powietrzu. Skierowała się w stronę przybudówki dla służby, aby zajrzeć do Stacy.

Jej łóżko było puste.

– Stacy?

Cisza.

Nagle przypomniała sobie o psie.

– Jack?

Nie usłyszała radosnego szczekania, jakim ten szurnięty mały kundel zwykle ją witał. Teraz naprawdę zaczęła się niepokoić. Przyspieszyła kroku, raz po raz nawołując psa.

Wciąż nic.

Zawróciła do głównej części domu. Może gdzieś się schował albo zgubił.

– Jack?

Usłyszała stłumione skomlenie i drapanie. Dochodziło z głównego salonu, który był zamknięty i do którego miała absolutny zakaz wstępu. Podeszła do podwójnych drzwi.

– Jack?

Znów skomlenie, warczenie i lekkie drapanie.

Serce zaczęło się tłuc w jej piersi jak oszalałe. Zdecydowanie coś było nie tak.

Nacisnęła klamkę, stwierdziła, że drzwi nie były zamknięte na klucz, i uchyliła je powoli. W jednej chwili Jack wyskoczył z ciemności, przywarł do podłogi z podkulonym ogonem, skomlać i łaszac się do niej.

– Kto cię tu zamknął, Jack?

Rozejrzała się po ciemnym pokoju. Wydawał się cichy, pusty – i wtedy spostrzegła ciemną postać siedzącą na kanapie.

– Ej! – zawołała zaskoczona.

Jack skulił się za nią, popiskując cichutko.

Postać poruszyła się nieznacznie, powoli.

– Kim jesteś i co tu robisz? – spytała groźnie Corrie. To było głupie. Powinna stąd wyjść, i to natychmiast.

– Och – z ciemności dobiegł ją bełkotliwy głos. – To ty.

– Stacy?

Cisza.

– Boże Świąty, nic ci nie jest?

– Wszystko gra.

Corrie zapaliła światło. Stacy siedziała na kanapie z na wpół pustą butelką jima beama. Wciąż miała na sobie ciepłe ciuchy: szalik, czapkę i grubą kurtkę. U jej stóp rozlała się niewielka kałuża roztopionego śniegu, ślady prowadziły od drzwi aż do kanapy.

– O nie! Stacy!

Stacy machnęła ręką i ciężko opuściła ją na kanapę.

– Przepraszam.

– Co ty robisz? Byłaś na zewnątrz?

– Poszłam się przejść. Rozglądałam się za tym skurwielem, który strzelał do twojego samochodu.

– Zabroniłam ci tego robić. Mogłaś tam zamarznąć na śmierć!

Corrie zauważyła, że Stacy jest uzbrojona, że ma czterdziestkępiątkę w kaburze przy biodrze. Jezu, musi zabrać jej tę spluwę.

– Nie martw się o mnie.

– Martwię się. I to bardzo.

– Chodź, usiądź, napij się. Wyluzuj.

Corrie usiadła, ale zignorowała propozycję wypicia drinka.

– Co się dzieje?

Stacy zwiesiła głowę.

– Nie wiem. Nic. Moje życie jest do kitu.

Corrie wzięła ją za rękę. Nic dziwnego, że pies się wystraszył.

– Przepraszam. Sama też czasem tak się czuję. Chcesz o tym pogadać?

– Moja kariera w wojsku wzięła w łeb. Nie mam rodziny. Nie mam przyjaciół. Niczego. W moim życiu nie ma nic prócz pudła starych kości, które zamierzam zawieźć do Kentucky. I po co? Po jaką cholere w ogóle to robię? Co za porąbany pomysł.

– Ale twoja kariera wojskowa... Jesteś oficerem w randze kapitana. Te medale i pochwały – możesz wszystko...

– Moje życie jest do bani. Zostałam wydalona z wojska.

– To znaczy... nie odeszłaś sama?

Stacy pokręciła głową.

– Zwolniono mnie z powodów zdrowotnych.

– Byłaś ranna?

– Syndrom stresu pourazowego.

Cisza.

– O Jezu. Naprawdę bardzo mi przykro.

Długa pauza. Wreszcie Stacy znów się odezwała:

– Nawet sobie tego nie wyobrazasz. Dostaję napadów wściekłości, zupełnie bez powodu. Wrzeszczę jak wariatka. Albo hiperwentyluję, miewam straszne napady paniki. Chryste, to naprawdę okropne. I dzieje się bez ostrzeżenia. Czasami czuję się potwornie zdołowana. Nie mogę zwlec się z łóżka, sypiam po czternaście godzin na dobę. No i jeszcze zaczęłam pić. Nie potrafię znaleźć sobie roboty. Zwolnienie z wojska z powodów zdrowotnych... widzą coś takiego w moim podaniu o pracę i zaraz sobie myślą: – nie możemy jej zatrudnić, bo to kompletna wariatka. Wszyscy ozdabiają swoje samochody złotymi wstążkami, ale gdy trzeba zatrudnić weterana z zespołem stresu pourazowego... Spadaj, zdziro, nie chcemy cię tutaj.

Stacy sięgnęła po jima beama. Corrie schwyciła ją za przegub, a drugą ręką wyłuskała butelkę.

– Nie uważasz, że już wystarczy?

Stacy wyrwała jej butelkę, uniosła do ust, żeby się napić, ale nagłym ruchem cisnęła nią przez cały salon, roztrzaskując ją o ścianę.

– Fakt, kurwa. Mam dość.

– Pomogę ci, powinnaś się położyć.

Corrie ujęła Stacy za rękę. Stacy podniosła się chwiejnie na nogi, a Corrie ją podtrzymała. Boże, ależ ona cuchnęła burbonem. Corrie było żal Stacy. Zastanawiała się, czy zdołałaby niepostrzeżenie wyjąć czterdziestkępiątkę z kabury, uznała jednak, że to nie jest dobry pomysł. Stacy mogłaby opacznie to zrozumieć. Nie chciała jej prowokować. Położy ją do łóżka, a potem zabierze pistolet.

– Złapali tego drania, który ostrzelał twój samochód? – wybełkotała Stacy.

– Nie. Uważają, że to mógł być kłusownik.

– Kłusownik. Takiego wała. – Stacy potknęła się, a Corrie ją podtrzymała. – Nie mogli znaleźć śladów tego drania. Za dużo świeżego śniegu.

– Nie przejmujemy się tym teraz.

– Ale ja się przejmuję! – Stacy opuściła rękę i wyszarpnęła pistolet z kabury. – Rozwałę tego sukinsyna!

– Wiesz, że gdy popijesz, nie powinnaś sięgać po broń – powiedziała półgłosem Corrie, starając się opanować przepełniający ją niepokój.

– Taa. Jasne. Wybacz. – Stacy wyjęła magazynek, wyłuskała z niego naboje i upuściła je na podłogę. – Lepiej ty go weź.

Trzymając za lufę podała pistolet Corrie, a ta wzięła go od niej.

– Ostrożnie. W komorze został jeden nabój. Poczekaj, usunę go.

– Ja to zrobię.

Corrie pociągnęła zamek pistoletu, a nabój wyleciał z komory prosto na podłogę.

– No, no! Znasz się na rzeczy, dziewczyno.

– Powinnam, przecież studiuje prawo.

– W sumie tak, kurde, będzie kiedyś z ciebie niezła policjantka. Na pewno. Lubię cię, Corrie.

– Dzięki.

Pomogła Stacy przejść przez korytarz w stronę ich sypialni. Usłyszała przelatujące w górze kolejne śmigłowce, a przez okno dostrzegła skierowany z reflektora jednego z nich ku ziemi snop światła przesuwający się to w jedną, to w drugą stronę. Coś się działo.

W końcu udało jej się położyć Stacy. Postawiła na podłodze tuż obok łóżka plastikowy kosz na śmieci, na wypadek gdyby miała puścić pawia. Stacy usnęła natychmiast.

Corrie wróciła do salonu i zaczęła sprzątać. Jack nie odstępował jej ani na krok. Podpita Stacy nieźle wystraszyła kundelka. Ją zresztą też. Gdy się wyprostowała, usłyszała przelatujący nad domem następny śmigłowiec. Podeszła do panoramicznego okna i wyjrzała w ciemność. Patrząc w kierunku miasta, dostrzegła tuż nad granią intensywną żółtą lunę.

42

Kiedy myślisz, że już nie może być gorzej, tak właśnie się dzieje, pomyślał komendant Morris, patrząc na dwa rozbite samochody blokujące autostradę nr 82 i długi sznur aut z wściekłymi, zdesperowanymi kierowcami. Helikopter ratunkowy właśnie odleciał, podmuchy wywołane śmigłem wzbijały śnieg, przez co w powietrzu zaroilo się od białych płatków. Maszyna odleciała, zabierając dwie ofiary na oddział urazowy szpitala w Grand Junction; przynajmniej jedna z nich, postrzelona w głowę, niemal na pewno umrze. Komendanta najbardziej rozjuszyło to, że w wypadku pierwotnie nikt nie ucierpiał, dopiero kierowca bmw X5 wyciągnął broń i oddał strzały do pasażerów geländewagena, który wjechał mu w kufer. Morris słyszał, jak sprawca, zakuty w kajdanki na tylnym siedzeniu radiowozu w oczekiwaniu na przyjazd ratraka, na całe gardło wrzeszczał o „samoobronie” i „konieczności stawienia czoła presji”. Gdyby ofiara zmarła, a zwykle tak było przy postrzale w głowę z broni kalibru .38, oznaczałoby to dziewięć morderstw w nieco ponad tydzień. A wszystko to w miasteczku, w którym od lat nikt nikogo nie zamordował.

Co za koszmar – i jak na razie nic nie wskazywało na to, by miał się skończyć.

Zostało cztery dni do świąt Bożego Narodzenia, śnieg sypał w najlepsze, a na następne trzy dni przewidywano opady, które utworzą warstwę białego puchu o grubości od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu centymetrów, do tego silne wiatry i zamieci śnieżne. Autostrada 82, jedyna droga wyjazdowa z miasta, z powodu wypadku została zablokowana, pług śnieżny nie był w stanie pracować, a ciągłe opady śniegu tylko pogarszały i tak już trudną sytuację. Za godzinę lub szybciej drogę trzeba będzie zamknąć, natomiast wszystkich wściekłych ludzi siedzących w swoich samochodach, pokrzykujących i raz po raz naciskających na klakson zabrać stąd, zanim pozamarzają.

Na lotnisku McMaster panował nieprzerwany ruch, gulfstreamy i inne prywatne odrzutowce opuszczały to miejsce jeden po drugim, ale już wkrótce także ten port będzie musiał zostać zamknięty. A gdy to nastąpi, Roaring Fork

zostanie odcięte od świata i będzie można dostać się do miasteczka – lub z niego wyjechać – wyłącznie ratrakiem.

Morris spojrzął w lusterko wsteczne na pozostawione w tyle miasto. Trzecie podpalenie było najgorsze. Nie pod względem liczby ofiar, ale z uwagi na efekt psychologiczny, jaki wywarło na całe Roaring Fork. Spalony dom stał na obrzeżach miasta, na pierwszym zboczu wzgórza. Wiktorianańska wytworna budowla należała do Maurice'a Giraulta, słynnego bankiera i członka nowojorskiej socjety, numeru piętego na liście Forbesa, buńczuczego starszego mężczyzny, który miał ego wielkie jak Mount Everest. Ofiary były tylko dwie – on i jego młodziutka, niedawno poślubiona żona, która nie wyglądała na więcej niż osiemnaście lat i która, płonąc jak pochodnia, wyskoczyła przez okno na piętrze.

Widziało to całe miasto i wszyscy byli tym do głębi wstrząśnięci. A dodatkowym skutkiem tej sytuacji był masowy exodus mieszkańców, którzy z powodu niefortunnego wypadku ugrzęźli w kilometrowym korku.

Komendant mimowolnie powracał myślami do proroczych, jak się okazało, słów Pendergasta: „Następny dom bez wątpienia również będzie stał na widoku”. I do jego konkluzji: „Aby przekazać wiadomość”.

Ale jaką?

Popatrzył na rozbite auta. W jego radiowozie, z włączonym silnikiem i strzelcem siedzącym na tylnej kanapie, wciąż był włączony migający kogut – wszystko na pokaz. Idiotci uciekający z miasta zatarasowali autostradę w obu kierunkach, jak również pasy serwisowe, a wysokie zasy śniegu po obu stronach uniemożliwiały pojazdom zawrót – i w rezultacie droga została całkowicie zablokowana. Nawet komendant był uziemiony, bo choć starał się nie dopuścić do tego, by z tyłu podjechały inne samochody i uniemożliwiły mu przejazd, tak właśnie się stało.

W ten sposób udało się zapobiec jedynie powiększeniu korka przez kolejne dojeżdżające tu samochody. Dzięki Bogu policja w Roaring Fork dysponowała trzema ratrakami i wszystkie były teraz w drodze tutaj. Nawet gdy tak siedział i patrzył na przesuwające się rytmicznie wycieraczki nieradzące sobie z nadmiarem śniegu, Morris słyszał odgłosy pierwszego nadjeżdżającego ratraka. Natychmiast sięgnął po mikrofon od radia i polecił funkcjonariuszowi w ratraku, aby najpierw zabrał sprawcę z miejsca zdarzenia. Wokół radiowozu zaczął się gromadzić wściekły tłum wrzeszczący na strzelca, obsypujący go obelgami i pogroźkami, nawołujący, aby powiesić zakutego w kajdanki mężczyznę na najbliższym drzewie, a sprawca nie pozostawał im dłużny i odpowiadał na

zaczepki, co tylko zaogniało fatalną sytuację. To wszystko przypominało zdarzenie z czasów, gdy o sprawiedliwości decydowali samozwańcy stróże prawa. Cywilizowane oblicze człowieka było w istocie tylko maską.

Mało tego, Pendergast zniknął, zmył się, wyjechał do Londynu w najgorszym momencie. Chivers, specjalista do spraw pożarnictwa, wydał otwartą wojnę tutejszej policji, a jego ekipa śledcza była zdemoralizowana, gniewna i skłócona między sobą.

Zjawił się drugi ratrak, z ekipą ekspertów dochodzeniowych do badania miejsc zbrodni i detektywami, którzy mieli opisać incydent i miejsce zdarzenia oraz przesłuchać świadków. Sypał coraz gęstszy śnieg, wielkie białe płaty spadały bez przerwy. Komendant wysiadł z radiowozu, podszedł do ratraka i wspiął się do szoferki wraz z paroma swoimi podwładnymi, którzy musieli wrócić do miasta i zająć się sprawą kolejnego podpalenia. Wielu zdesperowanych kierowców także chciało wrócić do miasta. Komendant zezwolił trojgu z nich – małżeństwu z małym dzieckiem – wsiąść do ratraka, co spowodowało wybuch oburzenia innych, którzy musieli tu zostać.

Pojazd ruszył w stronę miasta, przedzierając się przez śnieżne zasy na poboczu autostrady, a Morris znów, po raz już chyba tysięczny, powrócił myślami do najistotniejszej zagadki związanej z tymi tajemniczymi podpaleniami: Co sprawca chciał w ten sposób dać do zrozumienia, jak brzmiała wiadomość, którą pragnął ogłosić światu? Czy był obłąkany? A jeśli tak, jakim cudem tak starannie planował i zrealizował swoje zbrodnie?

Gdy wjechali do miasta, komendant przeżył szok – na autostradzie panował nieopisany chaos, tu natomiast królowały pustka i cisza. Jakby osada znów stała się miasteczkiem duchów, ulice lśniły od świątecznych dekoracji, a wyeksponowane na sklepowych witrynach drogie towary przydawały temu wszystkiemu niesamowitej aury. Miejsce to wyglądało jakby żywcem wyjęte ze strefy mroku dzień po Armagedonie.

Komendant zastanawiał się, czy Roaring Fork będzie jeszcze kiedyś takie jak dawniej.

43

Później tego popołudnia, wracając z magazynu sprzętu narciarskiego, Corrie postanowiła zrobić sobie w mieście krótką przerwę i rozgrzać się kubkiem gorącej czekolady, a przy okazji sprawdzić maile. Było ciemno, padał śnieg i wiedziała, że powinna już wracać, ale nie chciała jeszcze znaleźć się w tej okropnej zimnej rezydencji, po tym jak większość dnia spędziła, marznąc na kość w magazynie, który w myślach zaczynała określać mianem „syberyjskiej izby tortur”.

Opady śniegu nieco zelżały, gdy zaparkowała forda explorera na ulicy. Od ostatniego podpalenia poprzedniego wieczoru nie brakowało przestrzeni parkingowej, choć wcześniej znalezienie wolnego miejsca graniczyło z cudem. Pomimo zamknięcia autostrady i lotniska, wcześniej tego dnia, naprawdę mnóstwo osób wyjechało z miasta. Udała się do Ozymandiasa, jednej z nielicznych, zwyczajnych, bezpretensjonalnych kafejek w tym mieście, z darmowym Wi-Fi i wyluzowanym personelem, który nie patrzył na nią z wyższością.

Lokal świecił pustkami, ale życzliwa kelnerka podeszła do niej i zdołała trochę poprawić jej nastrój. Corrie zamówiła gorącą czekoladę i wyjęła swego iPada. Miała kilka nowych maili, w tym jeden od promotora, który prosił o najnowsze informacje dotyczące jej pracy, pytał o szczegóły tego, co działo się w Roaring Fork, i skarżył się, że nie informuje go na bieżąco. To prawda, w swoich raportach była wyjątkowo skryta, nie chciała, żeby się mieszał albo próbował utrać jej projekt, więc im mniej informacji otrzymywał, tym lepiej dla niej.

Gdy już napisze i złoży swoją pracę, jej treść z pewnością powali całą komisję na kolana, a promotor nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko przyłączyć się do głosów uznania; zdobędzie Nagrodę Rosewella... a przynajmniej miała nadzieję, że tak się to odbędzie. Dlatego, aby zadowolić Carbone'a, sporządziła dość niejasną w treści odpowiedź na jego maile, zapewniając, że prace się posuwają, choć nie tak szybko, jak by sobie tego życzyła, i nie ma jeszcze nic

konkretniejszego do zakomunikowania. Wcisnęła przycisk „wyślij” w nadziei, że zyska parę dni spokoju.

Przyniesiono jej zamówioną czekoladę na gorąco i piła ją małymi łyчками, przeglądając ostatnie maile. Nic od Pendergasta, choć akurat to jej nie zdziwiło, bo nie był z tych, co nałogowo mailują. Następnie sprawdziła strony internetowe „New York Timesa”, „Huff Post” i kilku innych gazet. „Times” zamieścił na pierwszej stronie artykuł o zbrodniach podpalacza, który przeczytała z zaciekawieniem. Po drugim podpaleniu sprawa stała się ogólnokrajową sensacją, ale dopiero trzecie wyniosło ją do rangi jednej z budzących grozę historii, które przykuwały uwagę całej opinii publicznej. Jak na ironię, z powodu szalejącej śnieżycy reporterzy nie mogli tu dotrzeć, aby relacjonować na bieżąco przebieg wydarzeń.

Dopiwszy czekoladę, pomyślała, że naprawdę powinna już wrócić do domu. Otuliła się mocno szalikiem, wyszła z kafejki i jakie było jej zdziwienie, gdy na drugim końcu ulicy zobaczyła przechodzącą właśnie pod latarnią parę, którą rozpoznała jako Stacy i Teda. Patrzyła z uwagą. Choć nie trzymali się za ręce, sprawiali wrażenie zaprzyjaźnionych; szli, rozmawiając o czymś z przejęciem. W którymś momencie skręcili do pobliskiej restauracji.

Corrie nagle zrobiło się niedobrze. Wcześniej Stacy zapowiedziała, że zamierza spędzić dzień w domu Fine’a, bo ma kaca i boli ją głowa. Widać jednak kac nie dokuczał jej tak bardzo, skoro zdecydowała się na spotkanie z Tedem. Czy umawiali się potajemnie na randki? To wydawało się nie do pomyślenia, ale ni stąd, ni zowąd okazało się całkiem możliwe. Może to był odwet ze strony Teda za to, że poprzedniego wieczoru nie poszła z nim do łóżka. Czy umawiając się ze Stacy, próbował powetować sobie tę porażkę?

A Stacy? Możliwe, że miała dostatecznie pokręcone w głowie, aby zrobić coś takiego. Bądź co bądź okazało się, że nie jest kryształowo czystą i niezłomną panią kapitan, za jaką początkowo miała ją Corrie, lecz zagubioną i samotną kobietą. To wszystko zmieniło jej uczucia względem Stacy, ale nic nie mogła poradzić na to, że myślała o niej teraz jak o zupełnie innej osobie. Zastanawiała się, co oznacza zespół stresu pourazowego i jak może się objawiać. No i pozostawał jeszcze drobny szczegół, a mianowicie taki, że Stacy zjawiła się w mieście po cichu, nic nikomu nie mówiąc, i spędziła tu kilka dni, zanim zdecydowała się ujawnić. Co robiła przez ten czas? Czy naprawdę starała się „wyczuć atmosferę” tego miejsca?

Corrie wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik. Wnętrze forda wciąż było dość ciepłe, więc w miarę szybko znów się nagrzało, co ją ucieszyło. Wyjechała

z miasta i skierowała się w stronę Ravens Ravine Road, pokonując powoli kolejne zakręty, a na wycieraczkach gromadziło się coraz więcej śniegu. Padało teraz tak bardzo, że gdyby ktoś zasadził się na nią z bronią gotową do strzału, nawet nie zauważyłby jej samochodu, a co dopiero gdyby miał oddać do niego celny strzał. Im bardziej sypało, tym lepiej. Pomyślała o czekającym ją nędznym posiłku, fasoli z ryżem – na tyle tylko było ją stać – i o kolejnym wieczorze w lodowatym domu. Do diabła z tym, sforsuje zamek przy termostacie i podkręci ogrzewanie, a właściciel niech się wścieka. To jakiś absurd, żeby multimilioner tak się przejmował paroma marnymi dolarami.

Mroczna i posępna rezydencja wyłoniła się spośród wirującego śniegu. Samochód jej współlokatorki zniknął, tak jak się tego spodziewała. Corrie miała nadzieję, że Stacy nie zechce pić w restauracji i nie spróbuje później wrócić do domu autem.

Zaparkowała na podjeździe. Do rana jej wóz zostanie przykryty grubą warstwą śniegu, tak jak zdarzyło się to już kilka razy, i będzie musiała użyć łopaty, by go oczyścić. Wszystko dlatego, że właściciel nie pozwalał jej korzystać z garażu. Nic dziwnego, iż wpłatał się w koszmarny rozwód.

Gdy wysiadła z forda i od razu zrobiło jej się zimno, zdała sobie sprawę, że Pendergast miał rację. Już czas, żeby wyjechała z Roaring Fork. Skończyła podstawowe badania i było aż nazbyt oczywiste, że nie zdoła rozwikłać zagadki seryjnych zabójstw sprzed stu pięćdziesięciu lat. Wyczerpała wszystkie możliwości, ale nie natrafiła na żaden ślad, który mógłby doprowadzić ją do celu. Gdy tylko droga znów stanie się przejezdna, zmyje się stąd.

Decyzja podjęta.

Włożyła klucz do zamka w drzwiach wejściowych i otworzyła je, oczekując, że powita ją jak zwykle głośne, entuzjastyczne poszczekiwanie, ale wewnątrz domu panowała kompletna cisza. Znów – jak minionej nocy – poczuła ogarniający ją niepokój.

– Jack? – zawołała.

Cisza. Może Stacy zabrała psa ze sobą do miasta, żeby nie czuł się osamotniony? Ale ona nie przepadała za Jackiem i otwarcie wyznała, że woli koty.

– Jack? Gdzie jesteś, Jack?

Wciąż cisza. Corrie raz jeszcze spróbowała zapanować nad rozkołatanim sercem. Zapaliła wszystkie światła – do diabła z rachunkiem za prąd – i zaczęła nawoływać raz po raz. Przechodząc korytarzem do swojego skrzydła domu, stwierdziła, że drzwi do jej sypialni były zamknięte, ale nie na klucz.

Otworzyła je i uchyliła szerzej.

– Jack?

W pokoju było ciemno. Przy łóżku na podłodze leżał jakiś niewyraźny, ciemny kształt otoczony przez coś jeszcze ciemniejszego. Zapaliła światło i ujrzała ciało Jacka – bez głowy – na dywaniku wśród wielkiej kałuży szkarłatu.

Nie krzyknęła. Nie była w stanie krzyczeć. Po prostu się gapiła.

I wtedy spostrzegła głowę kundelka ułożoną na toalecie, z otwartymi ślepiami patrzącymi tępo w przestrzeń i kaskadą krzepnącej krwi ściekającą w dół przedniej, wykonanej z imitacji drewna ściany toaletki. Pomiedzy szczękami psiaka był wetknięty świstek papieru. Niczym we śnie, bezwiednie, jakby to przydarzyło się komuś innemu, Corrie sięgnęła po nóż do papieru, rozwarła nim szczęki Jacka, wyjęła kartkę i przeczytała to, co było na niej napisane.

Swanson, jeszcze dziś wyjedź z miasta albo zginiesz. Zarobisz kulkę prosto w tę swoją śliczną główkę.

Corrie patrzyła. To było jak scena wyjęta z *Ojca chrzestnego*. Najgorsze w tym wszystkim było to, że nawet gdyby chciała wyjechać z miasta, i tak nie mogła tego zrobić.

Liścik sprawił, że otrząsnęła się z chwilowego odrętwienia. Prócz przepelniających ją przyprawiających o mdłości uczuć trwogi i obrzydzenia poczuła wzbierający gniew, tak potężny, że aż się przeraziła. Była wściekła, że ktoś posunął się do tego, by ją zastraszyć, wściekła za to, co ten ktoś zrobił z biednym, niewinnym Jackiem.

Wyjechać z miasta? Nic z tego. Teraz na pewno tu zostanie.

44

Hampstead Heath, jak stwierdził w duchu Roger Kleefisch, mocno podupadło, od czasów gdy Keats podróżował tędy z Clerkenwell do letniego domku w Cowden Clarke, aby czytać tam poezje i gawędzić o literaturze; albo odkąd nauczyciel rysunku Walter Hartright, przemierzając tę okolicę późną nocą pogrążony w głębokiej zadumie, na jednej z odległych bocznych dróg spotkał Białą Damę. Obecnie było ono ze wszystkich stron otoczone przez Wielki Londyn, NW3, z przystankami autobusowymi i stacjami metra upstrzonymi dokoła jego granic, tam gdzie kiedyś rozpościerały się leśne zagajniki.

Była prawie północ, zrobiło się chłodniej i dawne wrzosowiska niemal opustoszały. Opuścili już Parliament Hill z jego cudowną panoramą City i Canary Wharf i zostawiając je za sobą, kierowali się na północny wschód. Wzgórza, stawy i niewielkie już skrawki zalesionych terenów wyglądały niemal jak cienie w świetle bladego księżyca.

– Wziąłem ślepą latarkę – rzekł Kleefisch bardziej dla dodania sobie otuchy niż gwoli informacji. Pomachał trzymanym w rękę przedmiotem, który miał do tej pory schowany pod ciężkim płaszczem. – Uznałem, że będzie najbardziej adekwatna do tej sytuacji.

Pendergast spojrział na zaprezentowany przedmiot.

– Anachroniczna, ale potencjalnie użyteczna.

Wcześniej, gdy w zaciszu jego londyńskiego domu planowali tę eskapadę, Kleefisch był bardzo podekscytowany. Gdy Pendergastowi nie udało się uzyskać pozwolenia na wejście do Covington Grange, agent zadeklarował, że i tak to zrobi, choćby nielegalnymi metodami. Kleefisch z entuzjazmem zgłosił się do pomocy. Teraz jednak, gdy zabrali się do realizacji opracowanego planu, poczuł niepokój. Pisać naukowe eseje na temat profesora Moriarty'ego, Napoleona zbrodni, albo pułkownika Sebastiana Morana, drugiego w hierarchii najbardziej niebezpiecznego człowieka w Londynie, to jedno, ale wyruszyć w teren z zamiarem dokonania włamania z wtargnięciem do domu na starych

wrzosowiskach to zupełnie co innego.

- W Hampstead Heath jest posterunek policji – powiedział.
- Zgadza się – padło w odpowiedzi. – Ilu mają ludzi?
- Dwunastu, może więcej. I specjalnie szkolone psy.

To stwierdzenie zostało skwitowane milczeniem.

Ominęli South Meadow i weszli w gęsty las przy Dueling Ground, gdzie niegdyś odbywały się pojedynki. Na północ od nich Kleefisch widział światła Highgate.

– Trzeba wziąć pod uwagę dozorców należących do Narodowego Funduszu – dodał. – Zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że któryś z nich będzie się kręcił w pobliżu.

– Wobec tego proponowałbym dobrze ukryć ślepą latarkę.

Zwolnili, gdy cel ich wyprawy pojawił się w zasięgu wzroku, tuż nad grzbietem niewielkiego wzgórza. Covington Grange mieścił się po drugiej stronie Dueling Ground i był z trzech stron otoczony drzewami. Po prawej rozciągał się Stone Bridge – Kamienny Most, i Wood Pond – Leśny Staw. Od północy w kierunku rozległego Kenwood House rozciągał się wielki pas zieleni. Jeszcze dalej słychać było odgłosy ruchu ulicznego na Hampstead Lane.

Pendergast rozejrzał się dokoła, po czym skinął na Kleefischa i ruszył naprzód, przemykając wzdłuż obrzeży lasu.

Grange był archeologiczną enigmą, jakby budowniczy nie potrafił się zdecydować, do jakiego stylu miał on przynależeć. Niska fasada była na wpół wykonana z drewnianych bali, w stylu Tudorów, ale niewielka przybudówka z boku stanowiła dziwaczny przykład stylu neoromańskiego. Długi, spadzisty drewniany dach najeżony odsłoniętymi okapami wyprzedzał swoją epokę o dobre pół wieku. Po drugiej stronie przy budynku znajdowała się cieplarnia, jej szklane panele były teraz popękane i zarośnięte pnączami. Całą budowlę otaczał wysoki parkan antyburzowy, teraz mocno podniszczony i poprzekrzywiany, który musiano postawić z powodów bezpieczeństwa wiele dekad temu, ale równie dawno o nim zapomniano.

Idąc za Pendergastem, Kleefisch podkraść się do frontowej części budynku, gdzie wąską furtkę w parkanie zabezpieczono masywną kłódką. Obok, na starej, zniszczonej tablicy widniał napis: „Własność rządu JKM. Wstęp wzbroniony”.

– Wejdziemy, Rogerze? – zapytał Pendergast spokojnie, jakby zapraszał Kleefischa na kanapkę z ogórkiem w Ritzu.

Kleefisch rozejrzał się niepewnie dokoła i mocniej przycisnął do ciała ślepą latarkę.

– Ale przecież jest zamknięte... – zaczął.

W tej samej chwili rozległ się cichy szcęk, a kłódka otworzyła się w dłoni Pendergasta.

Szybko przeszli przez furtkę, a Pendergast zamknął ją za nimi. Chmury przesłoniły księżyc, zrobiło się bardzo ciemno. Kleefisch czekał na dziedzińcu, podczas gdy Pendergast przeprowadził szybki rekonesans. Wychwytywał rozmaite odgłosy: odległy śmiech, staccato klaksonów od strony autostrady i – a może tylko to sobie wyobrażał – nerwowe bicie własnego serca.

Pendergast wrócił, po czym ruchem ręki wskazał na frontowe drzwi. One również niemal natychmiast ustąpiły pod wpływem dotyku agenta FBI. Mężczyźni weszli do środka, Pendergast zamknął drzwi, a Kleefisch znalazł się w kompletnych ciemnościach. Teraz wychwytywał coś jeszcze: woń trocin i pleśni, szuranie drobnych łapek, ciche popiskiwanie spłoszonych gryzoni. Z ciemności dobiegł głos:

– Aby dopomogło to nam w poszukiwaniach, raz jeszcze ustalmy, co wiemy. Przez ponad dekadę, od tysiąc dziewięćset siedemnastego do dwudziestego dziewiątego roku, Conan Doyle bywał częstym gościem Mary Wilkes. Kontynuował tutaj swoje badania nad spirytyzmem i czytał prace swojego autorstwa zafascynowanym tą tematyką przyjaciołom. Zmarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku, kierując się – jak to ujął – ku swej największej i najwspanialszej przygodzie. Mary Wilkes zmarła w trzydziestym czwartym. Jej córka Leticia Wilkes mieszkała tutaj w towarzystwie siostrzenicy i siostrzeńca aż do śmierci w osiemdziesiątym roku, kiedy to pozostawiła tę posiadłość władzom. Od tamtej pory nikt tu nie mieszkał i jak wszystko na to wskazuje, niczego nie ruszano.

Kleefisch niewiele mógł dodać, więc milczał.

Pojawił się mały, błyszczący, czerwony punkcik; Pendergast uniósł w dłoni latarkę z umieszczonym na końcu filtrem. Poświecił słabym promieniem to w jedną, to w drugą stronę, ukazując korytarz prowadzący do czegoś, co było najwyraźniej umeblowanym i całkiem przytulnym domem zamieszkiwanym mniej więcej do 1980 roku. Pod ścianami walały się stosy książek, na stolikach stało mnóstwo maleńkich krasnali i szklanych figurek. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Na drugim końcu korytarza znajdowała się kuchnia, po lewej i prawej stronie widniały wejścia, odpowiednio do salonu i jadalni. Podłogi na parterze wyłożono miękkimi włochatymi dywanami w odpychającym pomarańczowym kolorze.

Pendergast pociągnął nosem.

– Woń butwiejącego drewna i pleśni jest bardzo silna. Moja przyjaciółka z Narodowego Funduszu miała rację, dom jest wyjątkowo zaniedbany i w takim stanie, że jego konstrukcja wydaje się poważnie zagrożona. Musimy zachowywać się bardzo ostrożnie.

Skierowali się w stronę salonu, przystanęli w drzwiach, podczas gdy Pendergast omiół wewnątrz pokoju wąskim snopem światła swojej latarki. Panował tu nie lada bałagan. W jednym rogu stało pianino, zapisy nutowe zsunęły się ze stojaka i opuszczonej kłapy na podłogę, na kilku zapomnianych karcianych stolikach pokrytych warstewką pleśni można było dostrzec pozostawione układanki, karty do gry w monopol i chińskie warcaby. Na kanapach i krzesłach walały się najróżniejsze czasopisma.

– Najwyraźniej Leticia Wilkes nie trzymała swoich podopiecznych twardą ręką – rzekł Pendergast z dezaprobatą w głosie.

Pozostałe pomieszczenia na parterze wyglądały tak samo. Zabawki, bibeloty, rzucone niedbale rzeczy, kurtki, kąpielówki i kapcie – a wszędzie ten paskudny dywan nabierający karmazynowego odcienia w świetle zaopatrzonej w filtr latarki Pendergasta. Nic dziwnego, że Narodowy Fundusz pozwalał, by ten dom niszczał i z wolna obracał się w ruinę, pomyślał Kleefisch. Mógł sobie wyobrazić jakiegoś nieszczęsnego urzędnika, który zaszedł tu na moment, rozejrzał się pobieżnie dokoła, po czym zaraz zamknął za sobą drzwi, przerażony perspektywą kosztów, jakie pochłonęłaby renowacja tego budynku. Spojrzał na ozdobione barwnymi motywami ściany, na zniszczone, zaplamione meble, poszukując jakichś widmowych oznak magicznego domku, w którym dawno temu pracował i zażywał rozrywek Conan Doyle. Nie znalazł nic takiego.

Piwnice okazały się jedynie pustymi pomieszczeniami magazynowymi z zimnym piecem i mnóstwem martwych żuków. Pendergast ruszył przodem, prowadząc Kleefischa po niebezpiecznie skrzypiących schodach na pierwsze piętro. W głównym korytarzu było sześć drzwi. Za pierwszymi znajdowała się bieliźniarka, której zawartość mocno naruszył czas oraz mole. Drugie prowadziły do wspólnej łazienki. Trzecie następnych skrywało sypialnie. Jedna, w której panował względny porządek, musiała należeć do Leticii. Z pozostałych zapewne korzystali jej siostrzenica i siostrzeniec, o czym mogły świadczyć plakaty Dion i Frankiego Valli w pierwszym pokoju i wiele egzemplarzy „Sun” otwartych na trzeciej stronie w drugim pomieszczeniu.

Pozostały już tylko jedno zamknięte drzwi, na końcu korytarza. Kleefisch był coraz bardziej podłamany. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak wielką pokładał nadzieję w znalezieniu po tylu latach zaginionego opowiadania o Holmesie. Był

głupcem, gdyż uwierzył, że odniesie sukces tam, gdzie wielu jego poprzednikom się nie udało. Zwłaszcza w takim bałaganie – samo posprzątanie tu musiałyby im zająć dobrych parę tygodni.

Pendergast sięgnął ręką do klamki, otworzył ostatnie drzwi, a do serca Kleefischa zawitała nowa nadzieja.

Pokój za drzwiami różnił się od pozostałych jak dzień od nocy. Wyglądał jak kapsuła czasu zawierająca memorabilia z ubiegłego stulecia. Pokój był gabinetem, urządzonym spartańsko, lecz gustownie. Po koszmarnym bałaganie w pozostałej części domu ten pokój emanował atmosferą ładu. Kleefisch patrzył jak urzeczony, a podniecenie przegnało resztki niepokoju, gdy Pendergast poświecił latarką dokoła. Było tu biurko do pisania oraz fotel. Na ścianach w prostych ramach widniały reprodukcje scenek myśliwskich i dagerotypów, opodal stał niemal pusty regał na książki. Wysoko na ścianie można było dostrzec pojedyncze okno z rombokatami szybkami. Ściany ozdobiono również draperiami o prostych wzorach, ale mimo wszystko gustownymi.

– Myślę, że możemy zaryzykować i zapalić więcej światła – wyszeptał Pendergast. – Użyj, proszę, latarki.

Kleefisch wysunął latarkę do przodu, ujął przesuwaną przesłonę i nieznacznie ją uchylił. Natychmiast w pomieszczeniu zrobiło się jaśniej. Kleefisch zauważył z podziwem przepiękną drewnianą podłogę wyłożoną polerowanym parkietem ze staroświeckim wzorem. Pośrodku pokoju leżał niewielki dywanik, znany niegdyś jako drojet. Pod przeciwległą ścianą, pomiędzy draperiami, stał szeszlony, który zdawał się dawniej pełnić tutaj funkcję łóżka dziennego.

– Czy myślisz, że...? – odezwał się Kleefisch, odwracając się do Pendergasta i nieomal obawiając się dokończyć pytanie.

Jakby w odpowiedzi Pendergast wskazał na jeden z dagerotypów na ścianie za nimi.

Kleefisch przyjrzał się uważniej. Z pewnym zdumieniem zdał sobie sprawę, że nie jest to bynajmniej dagerotyp, lecz prawdziwa fotografia pochodząca zapewne z początku dwudziestego wieku. Ukazywała małą dziewczynkę wśród sielankowego leśnego krajobrazu, podpierającą jedną ręką podbródek i patrzącą w obiektyw aparatu z wyrazem rozbijającej powagi. Przed nią cztery niewielkie istotki o smukłych kończynach i z dużymi jak u motyla skrzydłami tańczyły, dokazywały i grały na instrumentach z trzciny.

Nic nie wskazywało na jawne oszustwo lub manipulację przy powstaniu tego zdjęcia: magiczne istoty wydawały się stanowić integralną część fotografii.

– Wróżki z Cottingley – wyszeptał Kleefisch.

– W rzeczy samej – przytaknął Pendergast. – Jak doskonale wiesz, Conan Doyle głęboko wierzył w istnienie wróżek i w autentyczność tych zdjęć. Napisał nawet na ten temat książkę *Przybycie wróżek*. Dwie dziewczynki z Yorkshire, Elsie Wright i jej kuzynka Frances Griffiths, twierdziły, że widziały wróżki i je sfotografowały. To jedno z ich zdjęć.

Kleefisch cofnął się o krok. Serce mocniej zabiło mu w piersi. Nie mogło być już żadnych wątpliwości: oto pracownia Conan Doyle’a, jego drugi gabinet, gdy przebywał z dala od domu. A rodzina Wilkesów zachowała to miejsce z pieczołowitą troską, mimo że pozwoliła, aby reszta domu niszczała i nieubłaganie popadała w ruinę.

Jeżeli zaginione opowiadanie nadal istniało, powinno być gdzieś tu, w tym pokoju.

Ze zdwojoną energią Pendergast postąpił naprzód, nie zważając na niepokojące skrzypienie desek podłogi, a promień jego latarki przesuwiał się z boku na bok. Otworzył biurko i bez pośpiechu, skrupulatnie przeszukał jego zawartość, wyjmując wszystkie szuflady i ostukując ścianki oraz blat. Następnie podszedł do regału, wyjął kilka zakurzonych woluminów i przejrzał pieczołowicie każdy z nich, posunął się nawet do tego, że zajrzał w szczeliny przy grzbietach każdej z nich. Potem pozdejmował ze ścian obrazy, zajrzał za każdy z nich i delikatnie sprawdził wyklejki, na wypadek gdyby coś zostało ukryte wewnątrz ram lub za nimi. Później podszedł do ozdobnych draperii i zbadał je koniuszkami palców centymetr po centymetrze.

W którymś momencie przerwał, a jego srebrzyste oczy zlustrowały wnętrze pokoju. Wyciągając z kieszeni nóż sprężynowy, agent podszedł do szeszlongu i wykonał niewielkie chirurgiczne nacięcie w miejscu, gdzie materiał stykał się z drewnianą ramą, wsunął do środka latarkę, a potem palce, dokonując niełatwego badania wnętrza starego mebla, lecz najwyraźniej bez rezultatu. Następnie zajął się ścianami, przykładając ucho do tynku i uderzając w szorstką powierzchnię kłykciami. W ten sposób okrążył cały pokój z niesamowitą, porażającą wręcz skrupulatnością, a potem zrobił to jeszcze raz.

Gdy Kleefisch patrzył, jak prawdziwy ekspert dokonuje tego starannego przeszukania, poczuł, że znów zaczyna tracić nadzieję. Spuścił wzrok i zatrzymał go na niewielkim dywaniku leżącym pośrodku podłogi. Było w nim coś znajomego. I nagle zorientował się, w czym rzecz.

– Pendergast – wychrypiał przez ściśnięte gardło.

Agent FBI odwrócił się do niego.

Kleefisch wskazał na dywanik.

– „...na niewielkim kwadratowym dywanie leżącym pośrodku pokoju i otoczonym szeroką połacią pięknej staromodnej podłogi wykonanej z polakierowanych na wysoki połysk, kwadratowych, drewnianych klepek”^[3].

– Obawiam się, że moja znajomość wszystkich dzieł nie jest tak dogłębna jak twoja – powiedział Pendergast. – Z czego to był cytat? Z *Rytuału Musgrave’ów*? Ze *Stałego pacjenta*?

Kleefisch pokręcił głową.

– Z *Drugiej plamy*.

Przez chwilę Pendergast patrzył na niego. Wreszcie w srebrzystych oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Czyżby to mogłoby być aż tak proste?

– Czemu nie?

Po chwili Pendergast klęczał już na podłodze. Odsunąwszy dywanik, wsunął czubek ostrza noża pomiędzy klepki podłogi, na przemian to sondując, to znów napierając i wywierając zróżnicowany nacisk na trzymany w dłoni nóż sprężynowy. Przykładał też koniuszki palców do poszczególnych klepek parkietu i naciskał z wyczuciem. Po niespełna minucie dało się słyszeć skrzypnięcie dawno nieużywanych zawiasów i jedna z klepek parkietu uniosła się, odsłaniając znajdujący się pod nią niewielki ciemny otwór.

Pendergast delikatnie sięgnął do skrytki. Kleefisch patrzył z zapartym tchem, jak agent wyciąga dłoń z otworu i trzyma w niej plik papieru kancelaryjnego, kruchego, zakurzonego, pożółkłego ze starości i przewiązanego wstążką.

Podnosząc się z podłogi, Pendergast rozwiązał wstążkę, która rozpadła mu się w dłoniach, i rozwinął rulon papierów, bardzo delikatnie odgarniając dłonią kurz z kartki, która znajdowała się na samym wierzchu.

Mężczyźni stanęli bardzo blisko siebie, gdy agent oświetlił promieniem latarki słowa napisane odręcznie na samej górze pierwszej strony.

Przygoda w Aspern Hall

Nie trzeba było dodawać nic więcej. Szybko i bezszelestnie Pendergast zamknął klapę niewielkiej skrytki i stopą przesunął na miejsce mały kwadratowy dywanik, po czym wraz z Kleefischem wyszedł z pokoju i skierował się ku schodom.

Nagle rozległ się potworny trzask. Olbrzymia chmura kurzu wzbiła się w górę, otaczając Kleefischa, przesłaniając światło jego latarki i pogrążając cały korytarz w ciemnościach. Kleefisch odgarnął kurz, machając energicznie ręką, pokaszując przy tym i spluwając raz po raz. Gdy odzyskał zdolność widzenia, zobaczył Pendergasta, a właściwie górną połowę jego ciała – głowę, barki i wyciągnięte

szeroko ramiona, wystające z podłogi na wysokości swoich stóp. Parkiet zarwał się pod agentem, a ten w ostatniej chwili zdołał się uratować tylko dzięki niezwykłemu refleksowi i opanowaniu.

– Rękopis, człowieku! – wychrypiał agent z wysiłkiem, jakim było dla niego utrzymanie się na miejscu. – Weź rękopis!

Kleefisch ukląkł i ostrożnie wyłuskał manuskrypt z ręki Pendergasta. Wsunąwszy papiery do kieszeni swojego płaszcza, schwycił Pendergasta za kołnierz i z ogromnym trudem wciągnął go z powrotem na podest pierwszego piętra. Agent odzyskał oddech, wstał, wyprostował się, skrzywił, a potem otrzepał się z kurzu. Następnie obaj szerokim łukiem obeszli otwór w zarwanej podłodze i zaczęli schodzić na dół, gdy z zewnątrz dobiegł ich bełkotliwy głos.

– Ej! Kto tam jest?

Zamarli w bezruchu.

– Dozorca – wyszeptał Kleefisch.

Pendergast ruchem ręki dał mu znak, żeby przesłonił swoją latarkę. Potem na moment promieniem własnej latarki oświetlił swoją twarz, przyłożył palec do ust i wskazał frontowe drzwi.

Ruszyli naprzód w ślimaczym tempie.

– Kto tam jest? – rozległo się ponownie.

Pendergast bezgłośnie wyjął z kieszeni marynarki duży pistolet i schwycił go za kolbę.

– Co chcesz zrobić? – zapytał z niepokojem w głosie Kleefisch, chwytając go za rękę.

– Ten człowiek jest pijany – odparł szeptem agent. – Powinienem... ee... unieszkodliwić go bez większego wysiłku, nie czyniąc mu przy tym żadnej szkody.

– Przemoc? – rzucił Kleefisch. – Wielkie nieba, toż to sługa Jej Królewskiej Mości!

– Masz lepszy pomysł?

– Po prostu wiejemy i już.

– Wiejemy?

– Sam powiedziałeś, że ten człowiek jest pijany. Wybiegniemy przez furtkę i pognamy na południe, do lasu.

Pendergast miał niepewną minę, ale mimo wszystko schował broń. Przeszedł po dywanie w stronę frontowych drzwi, uchylił je nieznacznie i wyjrzał na zewnątrz. Nie usłyszawszy nic więcej, dał Kleefischowi znak, aby poszedł za nim wąskim chodnikiem w stronę bramki. W chwili gdy otwierał furtkę, zza chmur

wyłonił się księżyc, a spoza gęstwiny pietrasznika rozległ się triumfalny okrzyk:

– Hej, wy tam! Stać i nie ruszać się!

Pendergast przemknął przez bramkę i pobiegł co sił w nogach. Kleefisch gnał tuż za nim. Rozległ się ogłuszający huk wystrzału z dubeltówki, ale żaden z uciekających nawet na moment nie zwolnił.

– Oberwałeś! – wysapał Kleefisch, próbując dotrzymać kroku agentowi. Widział kropelki ciemnoczerwonej, niemal czarnej krwi ulatujące ponad ramieniem Pendergasta przy każdym jego kroku.

– Podejrzewam, że mogło mnie trafić parę śrucin, powierzchowna rana, nic wielkiego. Usunę je pęsetą po powrocie do Connaught. A co z manuskrytem? Nie został uszkodzony?

– Nie, ależ skąd! Jest nienaruszony!

Kleefisch nie biegał tak szybko ani tak długo od czasu studiów w Oksfordzie. A jednak myśl o pijanym dozorczy z dubeltówką dodała mu sił i niezmordowanie pędził za Pendergastem, mijając Springett's Wood, w stronę Vale of Health, a stamtąd – Bogu niech będą dzięki! – ku East Heath Road, taksówce i wolności.

45

Śnieg wciąż sypał, gdy Corrie obudziła się w pokoju w hotelu Sebastian po nocy pełnej niespokojnych, urywanych koszmarów. Wstała i wyjrzała przez okno. Miasto było skryte pod pierzyną bieli, a pług pracowały na okrągło, sunąc w tę i z powrotem ulicami miasta, podobnie jak ładowarki i wywrotki, na które zrzucano zwały śniegu, by wywieźć je z miasta.

Spojrzała na zegarek: ósma.

Ostatnia noc była okropna. Na szczęście policja zjawiała się natychmiast – pierwszy przybył komendant. Zabrali ciało Jacka i liścik, zadali jej mnóstwo pytań, wzięli materiały dowodowe i obiecali, że przeprowadzą dochodzenie. Problem polegał na tym, że mieli ręce pełne roboty, gdyż w mieście szalał seryjny podpalacz. Komendant wyglądał, jakby był na skraju załamania nerwowego, a jego niewyspani ludzie mogliby robić za statystów w filmie o zombi. Wykluczone, aby zdołali przeprowadzić rzetelne śledztwo, czy to w tej sprawie, czy w sprawie ostrzelania jej samochodu; przynajmniej nie miała już żadnych wątpliwości, o co chodziło zaczajonemu przy szosie strzelcowi.

Corrie wróciła więc do miasta i wynajęła pokój w hotelu Sebastian. Wliczając pobyt za kratkami, spędziła w Roaring Fork już trzy tygodnie, a jej zapas gotówki – cztery tysiące dolarów – topniał w zastraszającym tempie. Opłata za hotel pochłonie lwią część tego, co jej jeszcze zostało, ale była tak przerażona śmiercią psa, którego zamordowano w okrutny sposób, że nie była w stanie zostać ani dnia dłużej w tej rezydencji ani nawet przespać tam choćby jeszcze jedną noc.

Zadzwoiła do Stacy, aby opowiedzieć jej, co się stało, i ostrzec ją, żeby nie wracała do domu Fine'a, gdyż było zbyt niebezpiecznie. Stacy odparła, że postara się załatwić sobie nocleg w mieście – Corrie miała niepokojące przeczucie, iż mogła zatrzymać się u Teda – i ustaliły, że spotkają się o dziewiątej rano w hotelu, w sali, gdzie wydawano śniadania. Za godzinę. Nie spieszyło jej się do tej rozmowy.

Jakby nie miała dość zmartwień, policja skontaktowała się z właścicielem

rezydencji, a ten zadzwonił na jej komórkę o szóstej rano, budząc ją, pokrzykując i złoszcząc się, zarzucając jej, że to, co się stało, jest jej winą, bo złamała wszystkie zasady, podkreślając ogrzewanie i wpuszczając do domu nieproszone osoby. W miarę jak się coraz bardziej nakręcał, nazwał ją przestępczynią, zaczął sugerować, że brała narkotyki, a potem zagroził, że pozwie do sądu ją i jej koleżankę lesbijkę, jeśli jeszcze kiedykolwiek któraś z nich przestąpi próg jego domu.

Corrie pozwoliła mu, żeby się wygadał, a potem sama mu wygarnęła, zaczynając od tego, jakim jest żalosnym łajdakiem, godnym pogardy kutwą i sknerą, dodała, że ma nadzieję, iż żona puści go w samych skarpetkach, odbierze mu cały majątek co do grosza, a na zakończenie wyraziła przypuszczenie, iż jego związek rozpadł się dlatego, że nie stawał na wysokości zadania, nie sprawdzał jako małżonek, co prawdopodobnie wiązało się z mikroskopijnymi rozmiarami jego członka. Mężczyzna zaczął z wściekłości wydawać nieartykułowane okrzyki, które przepełniły Corrie niejaką satysfakcją, gdy rozłączyła się, zanim tamten zaczął kolejny ze swoich gniewnych, ociekających jadem i wyrzutami monologów. Jej satysfakcja nie trwała długo, bo nieoczekiwanie stanęła przed poważnym problemem, gdzie właściwie miałyby teraz zamieszkać. Nie mogła wrócić do Basaltu, bo droga była zamknięta, a kolejna noc w hotelu Sebastian, czy jakimkolwiek innym hotelu w mieście, do reszty pozbawi ją pieniędzy. Co miała teraz zrobić?

Wiedziała, że nie opuści Roaring Fork. Czy bała się łajdaków, którzy do niej strzelali i zabili jej psa? Oczywiście, że tak. Ale nie pozwoli, by ktokolwiek przepędził ją z miasta. Jak mogłaby spojrzeć w lustro, gdyby do tego dopuściła? Jaką byłaby policjantką, gdyby zrejterowała z powodu takich pogroźek? Nie, zostanie tu i pomoże w schwytaniu ludzi, którzy byli za to odpowiedzialni.

Stacy Bowdree siedziała już przy stoliku, z wielkim kubkiem kawy przed sobą, gdy Corrie weszła do sali, w której serwowano śniadania. Stacy wyglądała okropnie, miała wielkie sińce pod oczami, a jej kasztanowe włosy były w nieładzie. Corrie zajęła miejsce i sięgnęła po menu. Trzy dolary za sok pomarańczowy, dziesięć dolarów za jajka na bekonie, osiemnaście za jajka po benedyktyńsku. Odłożyła menu, nie stać jej nawet na filiżankę kawy. Kiedy podeszła kelnerka, Corrie poprosiła o szklankę wody z kranu. Stacy tymczasem zamówiła gofry belgijskie z podwójną porcją jajeczniczy i bekonu. A potem przesunęła kubek z kawą w stronę Corrie.

– Śmiało – powiedziała.

Podziękowawszy pod nosem, Corrie upiła najpierw mały łyk, potem drugi, już

większy. Boże, potrzebowała kofeiny. Opróżniła kubek i oddała Stacy. Nie wiedziała, od czego zacząć. Na szczęście Stacy ją uprzedziła.

– Musimy porozmawiać. O tym łajdaku, który nastawał na twoje życie.

Dobra, skoro chcesz zacząć, nie ma sprawy.

– Niedobrze mi się robi na samą myśl o tym, jak potraktowali Jacka.

Stacy położyła dłoń na obu dłoniach Corrie.

– Właśnie dlatego nie wolno tego lekceważyć. Sprawa jest poważna. Ci, którzy to zrobili, są złymi ludźmi, naprawdę bardzo złymi, i nie zamierzają się z tobą cackać. Uważają cię za istotne zagrożenie. Domyślasz się dlaczego?

– Mogę jedynie podejrzewać, że nadepnęłam komuś na odcisk, prowadząc swoje badania. I musiałam za bardzo zbliżyć się do czegoś, co ktoś pragnie zatuszować. Chciałabym wiedzieć, o co chodzi.

– Może o Wspólnotę The Heights i tę sukę Kermode – zasugerowała Stacy. – Ona wydaje się zdolna do wszystkiego.

– Nie sądzę. Ta sprawa została już załatwiona, nowa lokalizacja cmentarza uzyskała powszechną akceptację, a wszyscy są zajęci poszukiwaniem potomków górników pochowanych na dawnym cmentarzu i uzyskaniem od nich stosownych zezwoleń. A co najważniejsze, ty nie nalegasz już na ponowne pochowanie twojego przodka na pierwotnym miejscu jego spoczynku, czyli na starym cmentarnym wzgórzu Boot Hill.

– Czy wobec tego uważasz, że to mogła być robota tego podpalacza?

– Nie zgadza się *modus operandi*. W tym wypadku kluczem jest dla mnie odkrycie, jaką informację zdobyłam lub której pozyskania byłam bliska, i co ich tak mocno wystraszyło. Gdy to ustalę, może zdołam zidentyfikować tych drani. Ale nie sądzę, żeby naprawdę chcieli mnie zabić. Gdyby faktycznie im na tym zależało, już by to zrobili.

– Corrie, nie bądź naiwna. Każdy, kto obcina łeb psu, jest jak najbardziej zdolny do zamordowania człowieka. Dlatego od tej pory zamierzam być stale przy tobie. To znaczy ja i... – Stacy poklepała się po biodrze, przy którym w kaburze spoczywała jej czterdziestkapiątka.

Corrie odwróciła wzrok.

– Co się stało? – spytała Stacy, patrząc z niepokojem.

Corrie uznała, że nie może dłużej tego ukrywać.

– Widziałam cię wczoraj wieczorem z Tedem. Mogłaś mi przynajmniej powiedzieć, że zamierzasz się z nim umówić. Przyjaciółki tak nie postępują. – Usiadła prosto.

Stacy również. Na jej twarzy pojawił się nieodgadniony grymas.

- Umówiłam się z nim?
- No tak.
- To znaczy na randkę? Matko jedyna, skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?
- Stacy podniosła głos.
- A co miałam myśleć, widząc, jak wchodzicie razem do restauracji...
- Wiesz, dlaczego weszliśmy do restauracji? Bo Ted zaprosił mnie na kolację, aby porozmawiać o tobie.

Corrie spojrzała na nią zdumiona.

- O mnie?
- Tak, o tobie! Zadurzył się w tobie po uszy, twierdzi, że się w tobie zakochał, i martwił się, że zrobił coś nie tak, że powiedział coś lub zachował się w taki sposób, że ma u ciebie przechłapanie. Chciał o tym ze mną pogadać, przez cały wieczór rozmawialiśmy wyłącznie na twój temat. Myślisz, że chciało mi się zrywać z łóżka i jechać do miasta z bolącą głową, by wysłuchiwać, jak jakiś facet przez cały wieczór truje mi o innej kobiecie?

– Przepraszam, Stacy. Chyba wyciągnęłam zbyt pochopne wnioski.

– Jeszcze jak! – Stacy nagle zerwała się z miejsca, a na jej twarzy pojawiło się oburzenie i głęboki zawód. – Znów ta sama durna śpiewka! Próbuję się zaprzyjaźnić, chronić cię, dbam o twoje interesy kosztem własnych i co dostaję w nagrodę? Pieprzone oskarżenia, że umówiłam się za twoimi plecami z twoim chłopakiem!

Nagły wybuch złości u Stacy wystraszył Corrie. Kilkoro gości przy sąsiednich stolikach odwróciło się i spoglądało w ich stronę.

– Posłuchaj, Stacy – rzekła uspokajającym tonem. – Naprawdę bardzo mi przykro. Przepraszam. Chyba nie czuję się pewnie, jeśli chodzi o moje związki z facetami, a ty jesteś tak atrakcyjna, że po prostu...

Ale Stacy nie pozwoliła jej skończyć. Spiorunowała ją wzrokiem, odwróciła się na pięcie i wyszła z restauracji, nie dokończywszy śniadania ani nie zapłaciwszy rachunku.

46

Znajomy jedwabisty głos zaprosił ją do środka. Corrie wzięła głęboki oddech. Zgodził się z nią zobaczyć – to dobry znak, przynajmniej na początek. Mówiła sobie, iż nie kontaktował się z nią od wyjazdu z Roaring Fork tylko dlatego, że był zajęty, i z całego serca miała nadzieję, że faktycznie tak było. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ostatnią rzeczą, jakiej mogła pragnąć, to zepsuć stosunki łączące ją z Pendergastem przez własną krótkowzroczność i gwałtowny charakter.

A tymczasem on wrócił równie nagle, jak stąd wyjechał.

Tego popołudnia w piwnicy było jeszcze parniej, niż gdy ostatnio Corrie odwiedziła tymczasowy gabinet Pendergasta. Agent siedział za starym metalowym stołem, z którego blatu znikły znajdujące się tu wcześniej urządzenia do badań chemicznych. W pomieszczeniu musiało być ze dwadzieścia siedem stopni, ale agent specjalny wciąż miał na sobie marynarkę.

– Corrie. Usiądź, proszę.

Usiadła posłusznie.

– Jak udało się panu wrócić do miasta? Myślałam, że droga została zamknięta.

– Komendant w swej życzliwości wysłał jednego ze swoich ludzi z ratrakiem, aby przywiózł mnie tu z Basaltu. Sprawiał wrażenie, jakby bardzo mu zależało na moim powrocie do Roaring Fork. W każdym razie mówi się o ponownym otwarciu drogi dojazdowej, choć na razie tylko tymczasowo.

– Jak pańska podróż?

– Owocna.

Corrie zaczęła wiercić się na krześle, miała dość tej luźnej pogawędki i chciała przejść do konkretów.

– Proszę posłuchać. Chciałam przeprosić za swoje zachowanie tamtego dnia. To było niedojrzałe i jest mi z tego powodu wstyd. Prawda jest taka, że jestem niezmiernie wdzięczna za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Ale... w pewien sposób przyćmiewa pan wszystko, w co się pan angażuje. Nie chcę, aby moi

profesorowie w college'u mówili: „Och, to jej przyjaciel Pendergast zrobił wszystko za nią”. – Przerwała. – Na pewno trochę przesadzam, ale trudno mi się dziwić, bądź co bądź to mój pierwszy tak duży projekt badawczy i w ogóle.

Pendergast przyglądał się jej przez chwilę. A potem po prostu pokiwał głową ze zrozumieniem.

– A jak tam sprawy pod moją nieobecność?

– Całkiem nieźle – odparła, unikając jego spojrzenia. – Właśnie skończyłam badania.

– Mam nadzieję, że nie wydarzyło się nic niestosownego?

– Był jeszcze jeden straszny pożar, na wzgórzu tuż za miastem, i strzelanina na szosie, ale podejrzewam, że komendant już panu o tym mówił.

– Miałem na myśli niestosowne zdarzenia dotyczące bezpośrednio twojej osoby.

– Ee, nie – skłamała. – Ponieważ nie byłam w stanie rozwikłać zagadki tych zbrodni sprzed stu pięćdziesięciu lat, postanowiłam dać sobie z tym spokój. Podczas poszukiwań natknęłam się co prawda na kilka ciekawych szczegółów, ale na nic, co mogłoby rzucić choćby odrobinę światła na sprawę zabójstw.

– To znaczy?

– Cóż... niech no się zastanowię... Dowiedziałam się, że pani Kermode jest związana z rodziną Staffordów, do której należała stara huta srebra, w czasach gdy Roaring Fork było jeszcze niewielką osadą górniczą, i że ta rodzina stoi za rozwojem osiedla The Heights.

Krótką pauza.

– Coś jeszcze?

– Ach, tak, coś, co mogłoby pana zaintrygować, biorąc pod uwagę pańskie zainteresowanie Doyle'em i Wilde'em.

Pendergast uniósł głowę, nakłaniając Corrie, żeby mówiła dalej.

– Grzebiąc w starych aktach w Archiwum Griswellów, natknęłam się na zabawny list o jakimś starym górniku, który zdybał Wilde'a po jego wykładzie i, jak się wydaje, opowiedział mu historię, po której usłyszeniu nasz szacowny esteta omal nie zemdlał. Mogłabym się założyć, że chodzi o niedźwiedzia ludojada.

Pendergast na moment znieruchomiał. A potem zapytał:

– Czy w liście wymieniono nazwisko tego staruszka?

Corrie zamyśliła się.

– Tylko nazwisko. Swinton.

Znów cisza, a potem Pendergast rzekł:

– Pewnie kończą ci się fundusze.

– Nie, skąd, nieźle sobie radzę – znowu skłamała. Niech to szlag, będzie musiała znaleźć sobie jakąś tymczasową pracę. I nowe lokum. Ale nie weźmie już od Pendergasta ani grosza, nie po tym wszystkim, co dla niej zrobił do tej pory. – Naprawdę nie musi pan się o mnie martwić.

Nie odpowiedział, a wyraz jego twarzy był trudny do rozszyfrowania. Czy jej uwierzył? Czy dowiedział się od komendanta, że ktoś ostrzelał jej samochód i zamordował psa? Nie sposób tego stwierdzić. O żadnej z tych spraw nie napisano w miejscowej gazecie – tematem numer jeden wciąż pozostawał seryjny podpalacz.

– Nie opowiedział mi pan o swojej podróży – odezwała się, zmieniając temat.

– Osiągnąłem swój cel – odparł, stukając szczupłymi palcami w szarą teczkę. – Odnalazłem zaginione opowiadanie o Sherlocku Holmesie, ostatnie, jakie zostało napisane przez Conan Doyle’a i którego po dziś dzień nie opublikowano. Jest nader ciekawe. Polecam ci tę niezwykłą lekturę.

– Gdy będę miała czas, chętnie rzucę na nie okiem.

Znów chwila ciszy. Długie palce Pendergasta podsunęły plik kartek w jej stronę.

– Na twoim miejscu przeczytałbym już teraz.

– Bardzo dziękuję, ale prawda jest taka, że wciąż mam mnóstwo spraw na głowie, bądź co bądź kończę swoje badania. – Dlaczego Pendergast tak się uparł na tę sprawę z Doyle’em? Najpierw *Pies Baskerville’ów*, a teraz to.

Błada dłoń chwyciła za róg teczki i otworzyła ją.

– Nie należy tego odkładać na później, Corrie.

Uniosła wzrok i zobaczyła oczy Pendergasta, lśniące w ten szczególny sposób, który tak dobrze знаła. Zawahała się. Aż wreszcie z westchnieniem rezygnacji wyjęła z teczki plik kartek i zaczęła czytać.

Przygoda w Aspern Hall

Spośród wielu spraw Sherlocka Holmesa, przy których miałem przywilej być jego kronikarzem, właśnie w kwestii tej jednej wahałem się, czy ją przelać na papier. Nie chodzi o to, iż przygoda sama w sobie była wyjątkowo posępna czy makabryczna, nie była też bardziej osobliwa od innych przypadków prowadzonych przez Holmesa. Zda mi się raczej, iż wynika to ze złowieszczej aury, jaka otacza tę sprawę w każdym jej aspekcie, aury, która zmroziła mnie do szpiku kości i nieomal odebrała mi duszę, i nawet dziś ma nade mną tak wielką władzę, że nie daje mi zasnąć. Są w życiu pewne doświadczenia, których człowiek nigdy nie chciałby przeżyć, dla mnie to właśnie jeden z takich przypadków. Postanowiłem wszelako opublikować tę historię drukiem i pozostawię innym ocenę, czy moje wahanie było uzasadnione.

Zdarzyło się to w marcu roku 1890, z nastaniem niespokojnej, ociągającej się wiosny, która nadeszła po jednej z najmroźniejszych zim, jakiej od dawna nie pamiętano. Mieszkałem wówczas w domu Holmesa przy Baker Street. Był ciemny wieczór, tym bardziej nieprzyjemny, że wąskie uliczki zasnuła gęsta mgła, wśród której jak małe żółte ogniki tliły się światła latarni gazowych. Siedziałem na fotelu przy kominku, a Holmes, który spacerował niespokojnie po pokoju, przystanął teraz przy wykuszowym oknie. Opowiadał mi o eksperymencie chemicznym, który przeprowadził po południu, a który dotyczył wykorzystania dwutlenku manganu jako katalizatora przyspieszającego rozkład chloranu potasu na chlorek potasu, i co istotniejsze, tlen.

Gdy tak mówił, w milczeniu radowałem się jego entuzjazmem. Fatalna pogoda sprawiła, że od wielu tygodni byliśmy praktycznie uwięzieni w tym domu; nie pojawiły się żadne „drobne problemy”, które mogłyby zwrócić jego uwagę; on sam zaś jał przejawiać oznaki znudzenia, które nazbyt często skłaniało go do

powrotu do nałogu i wstrzykiwania sobie chlorowodoru kokainy.

W tej samej chwili usłyszałem pukanie do frontowych drzwi.

– Spodziewasz się towarzystwa, Holmesie? – spytałem.

Odpowiedział krótkim przeczącym ruchem głowy. Podszedł najpierw do stojącej na kredensie karafki, a potem sięgnął po syfon znajdujący się tuż przy niej i nalał sobie brandy z wodą sodową, po czym usiadł w fotelu.

– Może pani Hudson kogoś zaprosiła – zasugerowałem, sięgając w stronę stojaka z fajkami.

Jednak głosy na schodach, a potem kroki w korytarzu zdawały się przeczyć moim słowom. Po chwili rozległo się ciche stukanie do drzwi.

– Wejść – zawołał Holmes.

Drzwi się otwały i pojawiła się w nich pani Hudson.

– Jakaś młoda dama do pana – oznajmiła. – Powiedziałam jej, że już późno i że powinna umówić się na wizytę jutro, ale stwierdziła, że to bardzo pilna sprawa.

– Ależ oczywiście, wpuść ją – odrzekł Holmes, ponownie dźwigając się z fotela.

Do salonu weszła młoda kobieta. Miała na sobie długi płaszcz podróżny modnego kroju i kapelusik z woalką.

– Proszę spocząć – rzekł Holmes, wskazując jej z typową dla siebie kurtuazją najwygodniejsze krzesło.

Kobieta podziękowała mu, zdjęła płaszcz i kapelusik, po czym usiadła. Miała zgrabną figurę, wyraźnie zaokrąglone kobiece kształty i emanowała pewnością siebie. Jedyne skazą na tym obrazie wydawały się jej rysy, nieco zbyt surowe i wyraziste, ale mogło to wynikać z trwogi malującej się na jej obliczu. Zgodnie ze swoim zwyczajem starałem się wykorzystać wobec nieznajomej metodę obserwacji, jakże lubianą przez Holmesa, nie dostrzegłem wszelako nic szczególnego poza tym, że nosiła wellingtony, buty przydatne zwłaszcza w długich podróżach.

Uświadomiłem sobie, że Holmes przyglądał mi się z niejakim rozbawieniem.

– Poza tym, że nasz gość pochodzi z Northumberland – oznajmił, zwracając się do mnie – że jest zapaloną miłośniczką jazdy konnej i że przyjechała tu dorożką, a nie kolejką podziemną, oraz że jest zaręczona i ma wyjść za mąż, nie zdołałem wydedukować nic więcej.

– Słyszałam o pańskich sławnych metodach, panie Holmes – rzekła młoda kobieta, zanim zdążyłem odpowiedzieć. – I spodziewałam się czegoś takiego. Pan pozwoli, że wydedukuję, na jakiej podstawie wysnuł pan te wszystkie przypuszczenia.

Holmes lekko skinął głową, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.
Kobieta uniosła dłoń.

– Po pierwsze, zauważył pan pierścionek zaręczynowy, ale obrączki ślubnej już nie.

Potakujący ruch głową.

Nadal trzymała dłoń w górze.

– I być może zwrócił pańską uwagę półksiężycowy odcisk po zewnętrznej stronie mojego prawego nadgarstka, dokładnie w miejscu, gdzie krzyżują się cugle, gdy trzyma je ktoś siedzący w odpowiedni sposób na koniu i dzierżący w dłoni szpicrutę.

– Nader uroczy odcisk – przyznał Holmes.

– Co się tyczy dorożki, to powinno być dość oczywiste. Widział pan ją, jak podjeżdża i zatrzymuje się przy chodniku. Ja zauważyłam pana stojącego przy oknie.

Słyszając te słowa, mimowolnie się zaśmiałem.

– Wygląda na to, że trafiłeś na godną przeciwniczkę, Holmesie.

– Jeżeli chodzi o Northumberland, domyślam się, że wychwycił pan ślad akcentu w moim głosie?

– Pani akcent nie jest dokładnie z Northumberland – odpowiedział jej Holmes.

– Sugeruje raczej okolice Tyne i Wear, może okolice Sunderlandu, z lekką naleciałością ze Staffordshire.

Kobieta wyraźnie się zdumiała.

– Rodzina mojej matki pochodzi z Sunderland, a mojego ojca ze Staffordshire. Nie zdawałam sobie sprawy, że zachowałam ślady obu tych akcentów.

– Nasz sposób mówienia jest cechą wrodzoną, madam. Nie jesteśmy w stanie tego uniknąć, tak jak nie mamy wpływu na kolor naszych oczu.

– Skąd zatem wiedział pan, że pochodzę z Northumberland?

Holmes wskazał na obuwiu kobiety.

– Ponieważ ma pani na nogach wellingtony, domyślam się, że zaczęła pani swoją podróż w śniegu. Nie mieliśmy deszczu przez ostatnie cztery dni, a Northumberland to najchłodniejsze hrabstwo w Anglii i jedyne, gdzie obecnie zalega śnieg.

– Skąd wiesz, Holmesie, że w Northumberland jest śnieg? – spytałem.

Wskazał ręką na leżący nieopodal egzemplarz „Timesa”, a jego twarz wykrzywił zboląły grymas.

– A teraz, madam, czy zechciałaby pani wyjawić nam swoje imię i powiedzieć, w czym możemy pomóc.

– Nazywam się Victoria Selkirk – odparła kobieta. – I w dużej mierze to, że wkrótce mam wyjść za mąż, jest powodem mojej wizyty tutaj.

– Proszę mówić dalej – rzekł Holmes, wracając na swój fotel.

– Proszę mi wybaczyć, że zjawiłam się bez jakiegokolwiek uprzedzenia – kontynuowała panna Selkirk. – Ale prawda jest taka, że nie wiedziałam, do kogo innego mogłabym się zwrócić.

Holmes upił łyk brandy i czekał, aż młoda dama zacznie mówić dalej.

– Posiadłość mojego narzeczonego, Aspern Hall, leży kilka kilometrów od Hexham. Moja matka i ja zamieszkałyśmy w niewielkim letnim domku w tamtejszych włościach, zajmując się przygotowaniami do ślubu. W ostatnich miesiącach ten region był nękany przez drapieżnego wilka.

– Wilka? – powtórzyłem ze zdumieniem.

Panna Selkirk skinęła głową.

– Zabił jak dotąd dwóch ludzi.

– Ale przecież w Brytanii nie ma wilków. Wyginęły – powiedziałem.

– Niekoniecznie, Watsonie – rzekł do mnie Holmes. – Niektórzy wierzą, że one nadal żyją w najbardziej odludnych i niedostępnych regionach. – Odwrócił się do panny Selkirk. – Proszę mi opowiedzieć o tych zabójstwach.

– Były brutalne, czego można się spodziewać po dzikiej bestii. – Zawahała się. – I wydaje się, że bestia zasmakowała w swoich ofiarach.

– Wilk ludojad? – wtrąciłem. – Niesłychane.

– Być może – odparł Holmes. – Jednak nie wykracza poza granice możliwości. Weźmy na przykład lwy ludojady z Tsavo. Gdy brakuje innej zwierzyny – a ostatnia zima była nad wyraz surowa – drapieżniki muszą się przystosować, jeżeli chcą przeżyć. – Spojrzał na pannę Selkirk. – Czy byli naoczni świadkowie?

– Tak. Dwaj.

– I mówili, że co widzieli?

– Wielkiego wilka znikającego w leśnych ostępach.

– Z jakiej odległości widzieli to zwierzę?

– W obu wypadkach dzielił ich od bestii pas grzędawiska... powiedziałabym, że kilkaset metrów.

Holmes uniósł głowę.

– Za dnia czy w nocy?

– Nocą. Przy księżycu.

– Czy poza wielkością było coś jeszcze, co wyróżniało tego wilka?

– Tak. Łeb miał porośnięty białą sierścią.

– Białą sierścią – powtórzył Holmes. Złączył palce dłoni i zamilkł na chwilę.

Wreszcie otrząsnął się z zadumy i znów zwrócił się do kobiety: – Jak właściwie moglibyśmy pani pomóc?

– Mój narzeczony Edwin jest dziedzicem majątku Aspern. Rodzina Aspernów jest bardzo znana w tych stronach. Z uwagi na strach, jaki padł na całą okolicę, mój narzeczony uznał za konieczne zgładzić bestię, zanim znów zabije, i stwierdził, że osobiście podejmie się tego zadania. Nocami wyrusza do lasu, zazwyczaj samotnie. Mimo iż jest uzbrojony, lękam się o jego bezpieczeństwo i obawiam, że może go spotkać coś złego.

– Rozumiem. Panno Selkirk... – ciągnął Holmes nieco bardziej stanowczym tonem. – Obawiam się, że nie mogę pani pomóc. Potrzebny pani wytrawny myśliwy, łowca grubej zwierzyny, a nie detektyw.

Trwoga na twarzy panny Selkirk nasiliła się.

– Ale... słyszałam, jak świetnie poradził pan sobie z tą upiorną sprawą w Baskerville Hall. I właśnie dlatego przyjechałam do pana.

– Tamta sprawa, droga pani, była dziełem człowieka, a nie bestii.

– Ale... – Panna Selkirk zawahała się. Jej stanowczość nieco osłabła. – Mój narzeczony jest wielce zdeterminowany. Uważa, że to jego obowiązek wynikający ze statusu, jaki mu przypadł w udziale. A jego ojciec sir Percival nie uważa za stosowne, aby go od tego odwieść. Proszę, panie Holmes. Nie ma nikogo innego, kto mógłby mi pomóc.

Holmes napił się brandy, westchnął, wstał i rozejrzawszy się po pokoju, ponownie rozsiadł się w fotelu.

– Wspomniała pani, że widziano, jak ten wilk znika w lesie – powiedział. – Czy mogę przyjąć, że ma pani na myśli las Kielder?

Panna Selkirk skinęła głową.

– Aspern Hall graniczy z nim.

– Czy wiedziałeś, Watsonie – Holmes zwrócił się do mnie – że northumberlandzki las Kielder jest największym obszarem leśnym, jaki jeszcze pozostał na terenie Anglii?

– Nie wiedziałem – odparłem.

– I że słynie, poniekąd, z tego, iż na jego terenie żyje największa pozostała w tym kraju populacja euroazjatyckiej wiewiórki rudej?

Popatrując na Holmesa, zauważyłem, że jego spojrzenie, pełne chłodnej obojętności, zmieniło się diametralnie, oczy stały się żywe, pojawiły się w nich znajome błyski. Naturalnie wiedziałem o jego ogromnym zainteresowaniu *Sciurus vulgaris*. Był, jak się wydaje, największym na świecie ekspertem w dziedzinie zachowań i taksonomii tych stworzeń i napisał na ich temat kilka

monografii. Wyczułem w nim także niezwykły podziw dla tej kobiety.

– Wśród tak licznej populacji można zaobserwować niezgodności, jakich nigdy dotąd nie odkryto – rzekł Holmes bardziej do siebie niż do nas. Następnie spojrzał na naszego gościa. – Czy wynajęła pani pokój w mieście?

– Zatrzymałam się u krewnych w Islington.

– Panno Selkirk – powiedział. – Jestem skłonny zająć się tą sprawą – nie tyle przez wzgląd na nią, ile raczej pomimo niej.

Spojrzał na mnie, a potem, znacząco, na wieszak na kapelusze, gdzie wisiał mój melonik i płócienna czapka Holmesa z opuszczanymi, zawiązywanymi pod szyją klapkami-nausznikami.

– Możesz na mnie liczyć – odparłem natychmiast.

– Wobec tego – oznajmił Holmes pannie Selkirk – spotkamy się z panią jutro rano na dworcu Paddington, skąd – o ile się nie mylę – o ósmej dwadzieścia odjeżdża ekspres do Northumberland.

I odprowadził młodą kobietę do drzwi.

Następnego ranka zgodnie z planem spotkaliśmy się z Victorią Selkirk na dworcu Paddington i przygotowaliśmy się do podróży do Hexham. Holmes, który zwykle wstawał dość późno, najwyraźniej wciąż miał spore wątpliwości związane z tą sprawą. Był niespokojny i niekomunikatywny i gdy pociąg ruszył ze stacji, na mnie spadł obowiązek prowadzenia konwersacji z panną Selkirk. Dla zabicia czasu spytałem ją o Aspern Hall i mieszkańców dworu, zarówno tych młodych, jak i starszych.

Dwór, jak wyjaśniła, został zbudowany na ruinach starego klasztoru, wzniesionego pierwotnie około roku 1450 i częściowo zniszczonego, gdy Henryk VIII postanowił pozbyć się klasztorów, rozwiązując je na terenie całego kraju. Jego obecny właściciel sir Percival Aspern był z zawodu kapeluszniakiem. W młodości opatentował rewolucyjną metodę wytwarzania zielonego filcu.

Holmes przerwał podziwianie krajobrazu za oknem.

– Zielonego filcu, powiada pani?

Panna Selkirk skinęła głową.

– Poza wykorzystaniem tego filcu jako obicia stołów do gier kolor ten był najmodniejszy w salonach modniarskich w latach pięćdziesiątych. Sir Percival zbił na tym fortunę.

Holmes machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę, i ponownie skierował wzrok w stronę okna.

Eleganckie kapelusze sprawiły, że sir Percival, jak mnie poinformowała panna Selkirk, uzyskał dyplom dostawcy królewskiego od królowej Wiktorii, który stał

się podstawą do nadania mu godności szlacheckiej. Jego syn sir Edwin, jej narzeczony, dość wcześnie wstąpił do wojska i przydzielono go do służby w pułku dragonów. Obecnie wrócił do Aspern Hall, gdzie zastanawiał się, czy nie zostać w wojsku na stałe i nie zrobić kariery jako zawodowy żołnierz.

Choć panna Selkirk była wielce taktowną kobietą, zdołałem wyczuć, że choć ojciec Edwina pragnął, by jego syn przejął po nim rodzinny interes, sam Edwin podchodził do tego nader sceptycznie i miał w tej kwestii mieszane odczucia.

W miarę jak nasza podróż się wydłużała, soczyste zielone trawy i wrzosowiska Home Counties zaczęły ustępować bardziej dzikim krajobrazom: moczarów, bagien, grzęzawisk i zeschniętych drzew, przetykanych tu i ówdzie skalistymi wystęgami i skarpami. W końcu dotarliśmy do Hexham, atrakcyjnego, prowincjonalnego miasteczka składającego się ze skupiska domków ze słomy i kamieni, pobudowanych wzdłuż jedynej w tej osadzie ulicy noszącej dumną nazwę High Street. Na stacji czekał na nas brek, a woźnicą był służący o srogim obliczu. Bez słowa załadował nasze bagaże, po czym znów usiadł na koźle i opuściwszy stację, skierował zaprzęg pełną kolein wiejską drogę w stronę dworu.

Droga wiodła po łagodnej stromiźnie w dół, a oczom naszym stopniowo ukazywał się coraz bardziej wilgotny i niepokojący pejzaż. Tu i ówdzie wciąż widać było na ziemi zalegający śnieg – o którym Holmes napomknął dzień wcześniej. Słońce, które pojawiło się w końcu podczas naszej podróży pociągiem, znów skryło się za chmurami, a otaczający nas krajobraz pograżył się w posępny półmrok. Gdy przejechaliśmy jakieś osiem kilometrów, Holmes, który nie odezwał się, odkąd wysiedliśmy z pociągu, niespodziewanie się ożywił.

– Co to takiego? – spytał, wskazując swoją laseczką hen w bok.

Spoglądając w tamtą stronę, ujrzałem coś, co wydawało się niskim zalewiskiem lub moczarami, których granicę wyznaczało pasmo wysokich trzcin. Nieco dalej, wśród popołudniowej mgły, dostrzegłem nieprzerwaną linię głębokiej czerni.

– To bagna, o których wcześniej wspomniałam – wyjaśniła panna Selkirk.

– A za nimi rozciąga się granica lasu Kielder?

– Tak.

– Czy dobrze wnioskuję z tego, co pani powiedziała, że wilk atakował pomiędzy jednym a drugim, między moczarami a lasem?

– Tak właśnie było.

Holmes pokiwał głową, jakby coś go usatysfakcjonowało, ale nic więcej nie dodał.

Jechaliśmy wśród tego prowincjonalnego pejzażu, omijając szerokim łukiem bagnisko, i w końcu naszym oczom ukazał się w oddali dwór Aspern Hall. Była to stara rezydencja o nader dziwnym wyglądzie, z niepasującymi do siebie skrzydłami i przybudówkami, które zdawały krzyżować się ukośnie między sobą; uznałem jednak, że ten przejaw architektonicznej ekscentryczności wynikał z faktu, iż dwór pobudowano na ruinach dawnego opactwa. Gdy podjechaliśmy bliżej, mogłem ujrzeć dodatkowe szczegóły. Fasada była stylizowana na rustykalną i upstrzona przez porosty, z wielkich ceglanych kominów unosiły się smugi dymu. Główną budowlę, podobnie jak znajdujące się tu przybudówki i pomniejsze domki, otaczały turzyce i karłowate dęby. Być może za sprawą chłodu w powietrzu albo bliskości moczarów i mrocznego lasu, ale nie byłem w stanie oprzeć się przekonaniu, że cały ten dom przejął posępną, złowieszczą aurę, jaka zdawała się emanować z terenów, na których go wzniesiono.

Woźnica zatrzymał brek przed główną bramą rezydencji. Zdjął torbę podróżną panny Selkirk i już miał sięgnąć po nasze, ale Holmes go powstrzymał i poprosił, by zaczekał. Podążając za panną Selkirk, weszliśmy do środka i znaleźliśmy się w długiej galerii urządzonej w dość surowym stylu. Mężczyzna, najwyraźniej dziedzic Aspern Hall we własnej osobie, czekał na nas u wejścia do czegoś, co okazało się salonem. Był wychudzony i wysoki, po pięćdziesiątce, z nieznacznie przerzedzonymi włosami i twarzą pobrużdżoną głębokimi zmarszczkami. Nosił czarny surdut, w jednym ręku trzymał gazetę, w drugim zaś bat na psy. Wyglądało na to, że usłyszał zajeżdżający brek. Odłożywszy gazetę i bat, podszedł do nas.

– Sir Percival Aspern, jak przypuszczam? – powiedział Holmes.

– To ja, nie wiem jednak, z kim mam przyjemność.

Holmes ukłonił się lekko.

– Jestem Sherlock Holmes, a to mój przyjaciel i współpracownik, doktor Watson.

– Rozumiem. – Sir Percival zwrócił się do naszej towarzyszki. – A więc to w tym celu wybrała się pani do miasta, panno Selkirk?

Panna Selkirk potaknęła.

– W rzeczy samej, sir Percivalu. Wybaczą panowie, ale muszę zobaczyć się z moją matką. – Szybkim krokiem oddaliła się, pozostawiając nas, dość nieoczekiwanie, sam na sam z dziedzicem.

– Słyszałem o panu, panie Holmes – rzekł sir Percival – lecz obawiam się, że zjawił się pan tu na próżno. Pańskie metody, jak rozumiem, wielce błyskotliwe, na nic się zdadzą wobec bestii, która nas prześladowuje.

– To się okaże – odparł krótko Holmes.

– Wejdźcie zatem, panowie. Czy mogę zaproponować wam brandy? – Sir Percival wprowadził nas do salonu, a kamerdyner wnet przyniósł drinki.

– Wygląda na to – rzekł Holmes, gdy już rozsiedliśmy się przy kominku – że nie podziela pan obaw swojej przyszłej synowej o bezpieczeństwo swojego syna.

– Ani trochę – odparł sir Percival. – Niedawno wrócił z Indii i potrafi o siebie zadbać.

– A jednak, jak mi mówiono, ta bestia zabiła już dwóch ludzi – wtrąciłem.

– Polowałem w przeszłości z moim synem i mogę ręczyć za jego umiejętności. Jest nie tylko wyśmienitym tropicielem, lecz także wyborowym strzelcem. Prawda jest taka, panie – Watson, zgadza się? – że Edwin bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki dziedzica Aspern Hall. A ja mogę jedynie dodać, że jego odwaga i zaangażowanie nie przeszły w tej okolicy bez echa.

– Czy możemy z nim pomówić? – spytał Holmes.

– Oczywiście, gdy wróci. Jest w lesie i poluje na bestię. – Przerwał. – Gdybym był młodszy, byłbym tam teraz z nim.

Ta wymówka wydawała mi się podszyta lekkim tchórzostwem i spojrzałem ukradkiem na Holmesa. On jednak wpatrywał się z niezmaconą uwagą w sir Percivala.

– Mimo to, niezależnie, czy są to tylko kobiece fanaberie czy nie, takich lęków nie należy lekceważyć – ciągnął mężczyzna. – Zamierzam oprowadzić pana po moich włościach, panie Holmes, i będę służył panu wszelką pomocą, zaoferuję panu również nocleg, gdyby zechciał pan zatrzymać się u nas na dłużej.

To zaproszenie, choć szczodre, nie zostało wypowiedziane szczerze i z przekonaniem.

– To nie będzie konieczne – odrzekł Holmes. – W Hexham mijaliśmy gospodę, nazywa się chyba The Plough – Pod Pługiem – i tam założymy naszą bazę.

Gdy to powiedział, sir Percival drgnął gwałtownie, zachlapując przód koszuli odrobiną brandy. Odstawił szklanekę, zakławszy cicho pod nosem.

– Jak rozumiem, zajmuje się pan wyrobem kapeluszy – rzekł Holmes.

– Zajmowałem się tym w przeszłości. Teraz inni doglądają za mnie interesu.

– Zawsze byłem zafascynowany procesem wyrobu filcu. Z czysto naukowej ciekawości. Sam pan rozumie, chemia to moja wielka pasja.

– Rozumiem. – Nasz gość jakby od niechcienia wycierał koszulę zalaną brandy.

– Głównym problemem jest, o ile dobrze rozumiem, zmiękczenie sztywnej zwierzęcej sierści, aby stała się na tyle giętka i elastyczna, by można było kształtować z niej filc.

Znów spojrzałem na Holmesa, zastanawiając się, do czego, u licha, miały prowadzić jego wywody i obrany przez niego temat rozmowy.

– Pamiętam, czytałem gdzieś – ciągnął Holmes – że w dawnych czasach Turcy rozwiązywali ten problem, wykorzystując do tego celu wielbłądzi mocz.

– Przebyliśmy długą drogę i nie stosujemy już tych jakże prymitywnych metod – odparł sir Percival.

Do salonu weszła panna Selkirk. Spojrzała w naszą stronę, uśmiechnęła się blado i usiadła. Najwyraźniej martwiła się o narzeczonego i bardzo starała się panować nad emocjami.

– Bez wątpienia stosowany przez pana proces jest znacznie bardziej nowoczesny – rzekł Holmes. – Ciekaw jestem, na czym też on polega.

– Chciałbym uchylić przed panem rąbka tajemnicy, panie Holmes, lecz to sekret naszego fachu i musi pozostać nieujawniony.

– Rozumiem. – Holmes wzruszył ramionami. – Cóż, to w sumie nic ważnego.

W tej samej chwili w sieni zrobiło się poruszenie. Po chwili w drzwiach pojawił się młody mężczyzna w stroju myśliwskim. Był to z całą pewnością syn sir Percivala, o wojskowej postawie, twarzy przepełnionej determinacją, szczupłej, zgrabnej sylwetce i z ciężkim sztucercem przewieszonym przez ramię. Panna Selkirk natychmiast wstała i z westchnieniem ulgi podbiegła do niego.

– Och, Edwinie – powiedziała. – Edwinie, błagam cię, niech to już będzie naprawdę ostatni raz!

– Vicky – odparł niezbyt głośno, lecz stanowczo, młody mężczyzna. – Tę bestię trzeba odnaleźć i zgładzić. Nie możemy dopuścić, aby wydarzyła się kolejna tragedia.

Sir Percival również wstał i przedstawił synowi Holmesa i mnie. Mój przyjaciel wszelako przerwał te kurtuazyjne uprzejmości i z niejakim zniecierpliwieniem zwrócił się do nowo przybyłego:

– Zakładam, że pańska dzisiejsza wyprawa nie przyniosła spodziewanego rezultatu.

– Niestety – odrzekł Edwin Aspern, uśmiechając się smętnie.

– Czy mogę zapytać, gdzie konkretnie polował pan na tę bestię?

– W zachodnich lasach, za moczarami.

– I nic pan nie odkrył? Żadnych tropów? Odchodów? Ani nawet leża?

Młody Aspern pokręcił głową.

– Ani śladu.

– To bardzo podstępny, szczywany wilk – rzekł sir Percival. – Nawet psy nie są go w stanie wytropić.

– Tajemnicza sprawa – szepnął pod nosem Holmes. – Naprawdę bardzo tajemnicza sprawa.

Holmes odmówił przyjęcia zaproszenia na kolację i po krótkim spacerze wokół rezydencji, by rozeznać się w terenie, wróciliśmy brekiem do Hexham, a tam wynajęliśmy pokoje w gospodzie Pod Pługiem. Po śniadaniu następnego ranka odwiedziliśmy posterunek miejscowej policji, gdzie, jak się okazało, stacjonował jeden tylko policjant, konstabl Frazier. Zastaliśmy go przy biurku zapisującego coś gorączkowo w niewielkim notesie. Moje wcześniejsze przygody z Holmesem sprawiły, że nie miałem zbyt wysokiego mniemania o prowincjonalnych stróżach prawa. Już na pierwszy rzut oka konstabl Frazier, w ciemnooliwkowym płaszczu i skórzanych nogawicach, zdawał się potwierdzać wszelkie moje obawy. Słyszał jednak o Holmesie i gdy zaczął odpowiadać na pytania mego przyjaciela, zdałem sobie sprawę, że mieliśmy przed sobą, jeśli nie tytana intelektu, to przynajmniej oddanego i kompetentnego funkcjonariusza o przychylnym i ujmującym usposobieniu.

Pierwszą ofiarą wilka, jak wyjaśnił, był dziwaczny, nader niepokojący, złowieszczy osobnik w niechlujnym odzieniu, z długimi zmierzwionymi włosami, dość mocno posunięty w latach. Pojawił się on w Hexham niespodziewanie na parę tygodni przed swoją śmiercią, budząc lęk wśród kobiet oraz dzieci swoimi zgoła bełkotliwymi, niezrozumiałymi słowami. Nie zatrzymał się w gospodzie i wydawało się, że nie ma grosza przy duszy, więc dzień czy dwa później konstabl został wezwany przez zaniepokojonych mieszkańców do sprawdzenia nieznanego z nazwiska, zagadkowego osobnika. Konstabl ustalił, że mężczyzna ów zamieszkał w opuszczonej chacie drwała na obrzeżach lasu Kielder. Na wszelkie jego pytania mężczyzna odmówił odpowiedzi, nie wyjaśnił też, co go sprowadza do miasteczka.

– Bełkotliwe, niezrozumiałe słowa? – powtórzył Holmes. – Czy mógłby pan sprecyzować?

– Mówił dużo do siebie, szaleńczo przy tym gestykulując, ale w jego słowach nie było za grosz sensu. Bredził coś o wyrządzonych mu krzywdach. I w ogóle plótł rozmaite bzdury.

– Bzdury, powiada pan? A konkretnie?

– To były urywane zdania. O tym, że go zdradzono. Że był prześladowany i szykanowany. Że go pozostawiono na pastwę losu. I że będzie dochodził sprawiedliwości przed sądem.

– Coś jeszcze? – naciskał Holmes.

– Nie – odparł konstabl. – Ach, tak, jeszcze jedno, i to było naprawdę dziwne.

Często wspominał o marchwi.

– O marchwi?

Konstabl Frazier pokiwał głową.

– Był głodny? Mówił o innym jedzeniu?

– Nie. Tylko o marchwi.

– I wspominał o marchwi nie raz, lecz wielokrotnie?

– To słowo zdawało się padać z jego ust dość często. Ale jak już wspomniałem, panie Holmes, to były zwyczajne brednie, bełkot i nic więcej. W jego słowach nie było żadnego sensu.

Ten tok zadawanych pytań wydawał mi się niepotrzebnym odwracaniem uwagi od głównego problemu. Roztrząsanie rojeń szaleńca uważałem za stratę czasu i nie pojmowałem, jaki to mogło mieć związek z jego tragiczną śmiercią w paszczy wilka. Odniosłem wrażenie, że konstabl Frazier podziela moje odczucia, bo obrzucił Holmesa badawczym spojrzeniem.

– Proszę opowiedzieć mi coś więcej o wyglądzie tego człowieka – kontynuował Holmes. – Wszystko, co pan pamięta. Proszę nie pomijać najdrobniejszych nawet szczegółów.

– Był wyjątkowo zaniedbany, miał włosy w nieładzie, a na sobie łachmany. Miał także przekrwione oczy i szerniałe zęby.

– Szerniałe, powiada pan? – przerwał mu Holmes. – Chodzi panu o to, że były popsute? Przeżarte próchnicą?

– Nie. Wydawały się ciemne, prawie szare, a w słabym świetle wręcz czarne. Poza tym mężczyzna ten sprawiał wrażenie, jakby był stale pijany, choć nie mam pojęcia, skąd mógłby wziąć pieniądze na alkohol.

– Skąd pan wie, że był pijany?

– Wskazywały na to klasyczne symptomy nawykowego opilstwa – bełkotliwa mowa, drżenie rąk, chwiejny krok.

– Czy w chacie drwała natknął się pan na butelki po alkoholu?

– Nie.

– Czy kiedy pan z nim rozmawiał, poczuł pan w jego oddechu woń alkoholu?

– Nie. Ale miałem do czynienia z pijakami na tyle często, że potrafię rozpoznać oznaki, panie Holmes. Ta sprawa jest absolutnie bezsporna.

– Dobrze więc. Proszę mówić dalej.

Konstabl z wyraźną ulgą podjął przerwany wywód:

– Cóż, ludzie w miasteczku byli tak bardzo nastawieni przeciwko niemu, że zamierzałem go przegnać, i zrobiłbym to, gdyby wilk nie dopadł go pierwszy. Następnego ranka po tym, jak przesłuchiwałem tego mężczyznę, znaleziono go

na skraju lasu, jego ciało było w potworny sposób rozszarpane i zmasakrowane, miał ślady zębów na rękach i nogach.

– Rozumiem – powiedział Holmes. – A druga ofiara?

Przyznam, że w tym momencie byłem bliski przerwania tego toku śledztwa. Holmes wypytywał konstabla przede wszystkim o rozmaite błahostki, nie poruszając tematów najważniejszych. Na przykład kto znalazł ciało. Nie odezwałem się jednak ani słowem, a konstabl Frazier mówił dalej:

– Stało się to dwa tygodnie później. Ofiarą był przyrodnik, który przyjechał z Oksfordu, aby badać tutejszą populację rudych lisów.

– Znalaziono go w tym samym miejscu co pierwszą ofiarę?

– Niedaleko. Nieco bliżej moczarów.

– Skąd wiadomo, że obu zabójstw dokonało to samo zwierzę?

– Wskazywał na to wygląd ran, sir. Tyle że drugi atak był brutalniejszy. Mężczyzna został... częściowo pożarty.

– Jak miasteczko zareagowało na drugie zabójstwo?

– Sporo się o tym mówiło. Ludzie są przerażeni. Sprawą zainteresował się sir Percival. A jego syn, który wrócił z kampanii indyjskiej, nocami ugania się po lesie uzbrojony w sztucer, pragnąc wytropić i ustrzelić bestię. Ja wszcząłem własne dochodzenie.

– Po drugim zabójstwie, jak mniemam.

– Pan wybaczy, panie Holmes, ale wcześniej wydawało się to mijać z celem. Sam pan rozumie: krzyżyk na drogę staremu zbirowi. Tym razem jednak ofiarą padł szanowany obywatel i najwyraźniej mieliśmy do czynienia z bestią ludojadem. Skoro wilk zabił już dwukrotnie, zrobi to znowu... o ile tylko zdoła.

– Czy przesłuchał pan naocznych świadków?

– Tak.

– Czy ich relacje się zgadzają?

Konstabl skinął głową.

– Po drugim zabójstwie widzieli bestię wycofującą się do puszczy, była to podobno naprawdę przerażająca istota.

– Z jak daleka ją zaobserwowali?

– Z pewnej odległości, w nocy, ale przy księżycu. Byli na tyle blisko, że zauważyli, iż sierść na łbie basiora jest śnieżnobiała.

Holmes zamyślił się przez chwilę.

– Co powiedział lekarz, który badał zwłoki?

– Jak już wspominałem, między innymi zwrócił uwagę na fakt, że choć obie ofiary rozszarpano i okrutnie zmasakrowano, tylko ciało drugiej zostało

częściowo pozarte.

– Na zwłokach pierwszej było jednak tylko kilka drobnych śladów ukąszeń. – Holmes odwrócił się do mnie. – Czy wiesz, Watsonie, że tak zwykle wygląda schemat, zgodnie z którym zwierzęta stają się ludojadami? Tak właśnie było z lwami z Tsavo, o których rozmawialiśmy wcześniej.

Pokiwałem głową.

– Być może tereny łowieckie tego wilka znajdują się gdzieś w głębi lasu, a długa mroźna zima skłoniła go do zbliżenia się do ludzkich osad.

Holmes znów odwrócił się do konstabla.

– Dokonał pan jeszcze jakichś obserwacji?

– Obawiam się, że na tym wszelkie obserwacje się kończą, panie Holmes.

– Proszę to sprecyzować.

– Cóż, to dziwne. – Na twarzy konstabla Fraziaera pojawił się wyraz konsternacji. – Moja rodzinna farma stoi na skraju lasu i miałem okazję wielokrotnie, spacerując po okolicy, widywać tropy różnej zwierzyny. Można by pomyśleć, że tak duże zwierzę powinno być łatwo wytropić. Ale odkryłem jedynie kilka tropów, już po drugim zabójstwie. Żaden ze mnie tropiciel śladów, ale mógłbym przysiąc, że w zachowaniu tej bestii jest coś niezwykłego.

– Niezwykłego? – zapytał Holmes. – Pod jakim względem?

– Chodzi o prawie całkowity brak śladów. Jakby ta bestia była duchem pojawiającym się znikąd i rozplywającym się bez śladu. Właśnie dlatego wyszedłem wieczorem w teren w poszukiwaniu świeżego tropu.

Holmes, usłyszawszy te słowa, wychylił się na krześle do przodu.

– Pozwoli pan, konstablu, że dam mu dobrą radę. Proszę natychmiast z tym skończyć. Od tej pory nie wolno panu błąkać się nocami po lesie.

Konstabl zmarszczył brwi.

– Ale ja mam obowiązki, panie Holmes. Poza tym osobą, której grozi największe niebezpieczeństwo, jest młody panicz Aspern. To on spędza pół nocy, wałęsając się po lesie i usiłując wytropić bestię.

– Proszę posłuchać – rzekł stanowczo Holmes – to nonsens. Aspernowi nic nie grozi. Ale panu, konstablu, wręcz przeciwnie, radzę mieć się na baczności.

To bezceremonialne stwierdzenie, jakoby obawy panny Selkirk o życie i zdrowie jej narzeczonego były bezpodstawne, zupełnie mnie zaskoczyło. Holmes nie powiedział jednak nic więcej ani o nic nie zapytał, jedynie raz jeszcze ostrzegł konstabla, aby nie zbliżał się do lasu – i przynajmniej na razie na tym nasze spotkanie z miejscowym stróżem prawa dobiegło końca.

Była niedziela, co skłoniło nas do odbycia rozmów z różnymi mieszkańcami

Hexham. Na początek Holmes odnalazł dwóch naocznych świadków, lecz nie mieli oni nic do dodania poza tym, co już usłyszeliśmy od pana Frazia: obaj widzieli naprawdę ogromnego wilka, który umykał w stronę moczarów i którego sierść na czubku łba lśniła niemal śnieżną bielą w blasku księżyca. Żaden z tych mężczyzn nie próbował ścigać bestii, lecz obaj, wiedzeni zdrowym rozsądkiem i instynktem samozachowawczym, w te pędy wrócili do domu.

My także wróciliśmy do gospody Pod Pługiem, gdzie Holmes zaczął wypytywać klientów o ich zdanie na temat wilka i niedawnych zabójstw. Wszyscy byli wstrząśnięci tą sytuacją. Niektórzy, unosząc kufle z piwem, oznajmili z dumą, że sami tego czy innego dnia pójdą do lasu, aby zapolować na bestię. Większość wydawała się zadowolona, że młody panicz Aspern postanowił w pojedynkę zgładzić wilka ludojada, i szczerze gratulowała mu odwagi.

Tylko dwie osoby miały odmienne zdanie. Właściciel miejscowego sklepu, który był święcie przekonany, że zabójstw tych dokonała sfora dzikich psów żyjących w ostępach lasu Kielder. I oberżysta, który powiedział nam, że druga ofiara – nieszczęsny przyrodnik z Oksfordu – oświadczyła mu wprost, iż bestia, która dopuściła się okrutnej zbrodni, nie jest wilkiem.

– Nie jest wilkiem? – powtórzył zdecydowanym tonem Holmes. – A czemuż to, jeśli wolno zapytać, zawdzięczamy tę światłą opinię?

– Nie potrafię panu odpowiedzieć. Ten człowiek stwierdził jedynie, że jego zdaniem w Anglii nie ma już wilków, bo wymarły co do jednego.

– Nie nazwałbym tego argumentem empirycznym – stwierdziłem.

Holmes spojrzał na oberżystę świdrującym wzrokiem.

– A jaką bestię ów bystry przyrodnik obwiniał za tę zbrodnię, jeżeli nie wilka z lasu Kielder?

– Tego nie wiem, szanowny panie. Nie raczył powiedzieć.

Oberżysta wrócił do wycierania szklanek.

Jeśli nie liczyć rozmowy z konstabłem, dzień ten okazał się zupełnie bezowocny dla naszego śledztwa. Przy kolacji Holmes był dziwnie milczący i wczesnie wstał od stołu z wyrazem niezadowolenia na twarzy.

Następnego ranka jednakże, tuż po wschodzie słońca, obudziła mnie kakofonia głosów rozbrzmiewających tuż pod moim oknem. Zerkając na zegarek, stwierdziłem, że jest dopiero po szóstej. Ubrałem się szybko i zszedłem na dół. Na High Street zebrała się spora gromada ludzi, którzy gestykulując z ożywieniem, rozprawiali o czymś. Holmes już tam był, a gdy ujrzał mnie na schodach gospody, czym prędzej podszedł do mnie.

– Musimy się pospieszyć – powiedział. – Znowu widziano wilka.

– Gdzie?

– W tym samym miejscu, między obrzeżem lasu a trzęsawiskiem. Chodź, Watsonie, ważne, abyśmy dotarli na miejsce pierwsi. Masz przy sobie swojego webleya dwójkę?

Poklepałem dłonią prawą kieszeń kamizelki.

– Wobec tego ruszajmy niezwłocznie. Ten pistolet może nie powali wilka, ale powinien go przepłoszyć.

Tym samym brekiem, kierowanym przez tego samego gburowatego antypatycznego woźnicę, opuściliśmy czym prędzej Hexham. Holmesowi bardzo się spieszyło i nie szczędził woźnicy złośliwych słów. Gdy znaleźliśmy się wśród odpychających, posępnych moczarów, mój przyjaciel wyjaśnił, że rozmawiał już z naocznym świadkiem odpowiedzialnym za całe zamieszanie: była to starsza kobieta, żona aptekarza, która wyszła za miasto i przy drodze zbierała zioła oraz rośliny lecznicze. Nie potrafiła dodać nic konstruktywnego ponad to, co powiedzieli dwaj inni naoczni świadkowie, potwierdziła natomiast, że bestia jest olbrzymia i sierść na czubku łba zwierzęcia jest śnieżnobiała.

– Obawiasz się...? – zacząłem.

– Lękam się najgorszego.

Gdy dotarliśmy na miejsce, Holmes polecił woźnicy, aby zaczekał, i nie tracąc ani chwili, zeskoczył z breku, by pobiec co sił w nogach przez gęste od jeżyn i turzycy chaszczce. Po lewej stronie mieliśmy moczary, po prawej czarną granicę lasu Kielder. Roślinność była wilgotna od chłodnej porannej rosy, a na ziemi wciąż jeszcze zalegały spłachetki śniegu. Zanim przeszliśmy sto metrów, moje buty i spodnie były zupełnie przemoczone. Holmes znacznie mnie wyprzedził, gnając przed siebie jak opętany. W pewnej chwili przystanął na szczycie niewielkiego pagórka, wydał z siebie okrzyk żałości i osunął się ciężko na kolana. Kiedy zbliżyłem się do niego, trzymając w ręku nabity pistolet, zdołałem zobaczyć to, na co się właśnie natknął. Wśród bagiennych traw, niespełna dwieście metrów od skraju lasu, na ziemi spoczywało ciało. Obok niego leżał wojskowy karabin Martini-Henry Mk IV. Aż za dobrze rozpoznałem długi płaszcz i skórzane nogawice rozszarpane teraz na strzępy jakby w przypiływie dzikiej, nieopisanej furii. To był konstabl Frazier – lub raczej to, co z niego zostało.

– Watsonie – rzekł władczo Holmes. – Nie dotykaj niczego. Byłbym jednak wdzięczny, gdybyś tylko na podstawie zwykłej obserwacji wzrokowej pokusił się o wyrażenie opinii medycznej dotyczącej stanu tego nieszczęśnika.

– Niewątpliwie został rozszarpany – powiedziałem, przyglądając się zwłokom.

– Przez jakieś olbrzymie drapieżne zwierzę.

– Wilka?

– To wydaje się najbardziej prawdopodobne.

Holmes wypytywał dalej:

– Czy dostrzegasz jakieś konkretne, dające się zidentyfikować ślady? Dajmy na to, ślady kłów albo pazurów?

– Trudno powiedzieć. Brutalność tego ataku, stan ciała, które zostało okrutnie zmasakrowane, utrudniają dostrzeżenie takich szczegółów.

– Czy brakuje jakichś części ciała?

Popatrzyłem raz jeszcze. Pomimo mojego medycznego przygotowania czynność ta wydała mi się wyjątkowo nieprzyjemna. Nieraz widywałem Hindusów, którzy zostali zaatakowani przez tygrysy, ale nigdy dotąd w całej swojej medycznej karierze nie spotkałem się z takim bezmiarem okrucieństwa, którego ofiarą padł konstabl Frazier.

– Tak – odparłem w końcu. – Wydaje mi się, że co najmniej kilku.

– Czy to pasuje do opisu drugiej ofiary? Tego przyrodnika?

– Nie. Nie, powiedziałbym, że ten atak był jeszcze gwałtowniejszy.

Holmes wolno pokiwał głową.

– Widzisz, Watsonie, tak jak to było w wypadku lwów ludojadów z Tsavo. Z każdą kolejną ofiarą stawały się coraz zuchwalsze i coraz chętniej pożywiały się ofiarami.

To rzekłszy, wyjął z kieszeni szkło powiększające.

– Z karabinu nie oddano ani jednego strzału – oznajmił, obejrawszy martini-henry'ego. – Najwyraźniej bestia podkrađła się i zaatakowała naszego konstabla od tyłu.

Po krótkich oględzinach zwłok Holmes zaczął zataczać coraz szersze kręgi, aż wydawszy z siebie kolejny okrzyk, schylił się nisko i ruszył naprzód, nie odrywając wzroku od ziemi, zmierzając w stronę odległej farmy otoczonej z dwóch stron rozległymi polami: domu, gdzie, jak podejrzewałem, mieszkał nieszczęsny konstabl. W pewnym momencie Holmes zatrzymał się, odwrócił, a potem, wciąż ze szkłem powiększającym w dłoni, ponownie podszedł do ciała i minął je powoli, docierając w ten sposób aż do skraju moczarów.

– Wilcze tropy – powiedział. – Nie ma co do tego wątpliwości. Prowadzą od skraju lasu w stronę farmy, a stamtąd do miejsca, gdzie doszło do ataku. Bez wątplenia bestia wyłoniła się z lasu, skradała się za swoją ofiarą, a potem na otwartej przestrzeni zbliżyła się, zaatakowała ją i zabiła. – Znów obejrzał przez lupę źdźbła bagiennych traw na skraju trzęsawiska.

– Trop wiedzie wprost na bagna.

Holmes postanowił obejść moczary dokoła, co było wyjątkowo żmudnym przedsięwzięciem, z licznymi postojami, cofaniem się po swoich śladach i uważnym przypatrywaniem się różnym rzeczom, które wzbudziły jego zainteresowanie. Ja zostałem przy zwłokach, niczego nie dotykałem, zgodnie z poleceniem Holmesa, i obserwowałem go z daleka. Obchód zajął mu ponad godzinę, a ja przez ten czas stałem przemoknięty do suchej nitki i dygotałem niczym liść osiki. Przy drodze pojawiła się niewielka gromadka gapiów, jak również miejscowy lekarz i sędzia – ten ostatni miał po śmierci konstabla Frazia pełnić tutaj funkcję stróża prawa. Tymczasem Holmes zakończył właśnie swoje dochodzenie. Nie powiedział ani słowa o tym, co udało mu się odkryć, stał tylko wśród wysokich traw, pogrążony w zamyśleniu, podczas gdy lekarz, sędzia i ja zawinęliśmy ciało i przenieśliśmy do breku. Gdy pojazd ruszył z powrotem w kierunku miasta, podszedłem do miejsca, gdzie Holmes trwał w zupełnym bezruchu, najwyraźniej nie zwracając uwagi na to, że ma zupełnie przemoknięte spodnie, a w butach chlupocze mu woda.

– Czy odkryłeś coś ciekawego? – zapytałem.

Po chwili spojrział na mnie. Zamiast odpowiedzieć, wyjął z kieszeni fajkę z korzenia wrzośca, zapalił i odpowiedział pytaniem:

– Czy nie wydaje ci się to dość niezwykle, Watsonie?

– Cała ta sprawa jest bardzo tajemnicza – odparłem. – A przynajmniej jeżeli chodzi o tego nader nieuchwytnego, przekłętego wilka.

– Nie chodziło mi o wilka. Miałem na myśli wyjątkowo ciepłe relacje pomiędzy sir Percivalem a jego synem.

To stwierdzenie, zdające się nie mieć żadnego związku z moimi słowami, zbiło mnie z pantafyku.

– Obawiam się, że nie rozumiem, do czego zmierzasz, Holmesie. Z mojej perspektywy te relacje nie wydają się ani odrobinę ciepłe, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że ów troskliwy na pozór ojciec ani trochę nie martwi się o bezpieczeństwo i życie swego syna.

Holmes pykał fajeczkę.

– Tak – odparł enigmatycznie. – I w tym właśnie kryje się cała zagadka.

Ponieważ znajdowaliśmy się bliżej Aspern Hall niż Hexham, a sędzia zabrał nasz środek transportu, ruszyliśmy drogą w stronę dworu, do którego dotarliśmy w niespełna godzinę. Na miejscu spotkaliśmy sir Percivala i jego syna, którzy właśnie skończyli śniadanie. Wieści o ostatnim ataku jeszcze do nich nie dotarły i niemal natychmiast w rezydencji zapanowało wielkie zamieszanie. Młody

Edwin stwierdził bez ogródek, że zamierza wyruszyć, aby zapolować na bestię, Holmes jednak stanowczo mu to odradził, gdyż po niedawnym ataku zwierz z pewnością wrócił do swego legowiska.

Następnie Holmes zapytał sir Percivala, czy mógłby skorzystać z jego broughama; zamierzał bowiem udać się niezwłocznie do Hexham i złapać pierwszy pociąg do Londynu.

Sir Percival wyraził swoje zdumienie, ale zgodził się na użyczenie powozu. Holmes popatrzył na mnie i zaproponował, abyśmy, zanim pojazd zostanie podstawiony, wybrali się na krótki spacer wokół ogrodu.

– Myślę, że powinieneś pojechać ze mną do Hexham, Watsonie – oznajmił. – Zabierz swoje rzeczy z gospody Pod Pługiem i wróć na noc tutaj, do Aspern Hall.

– Ale po co, na Boga? – wykrzyknąłem.

– Powiniennem wrócić z Londynu już jutro – odparł. – Przywiozę ze sobą potwierdzenie, którego szukam, a które pozwoli nam rozwikłać zagadkę okrutnej bestii.

– Jakże to, Holmesie?

– Do tego czasu jednakże, Watsonie, grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo. Musisz mi obiecać, że nie opuścisz dworu do mojego powrotu i nie wybierzesz się nawet na krótki spacer po okolicy.

– Powiadam ci, Holmesie...

– Nalegam. I w tej kwestii pozostanę nieustępliwy. Nie wolno ci opuszczać domu, zwłaszcza po zmierzchu.

Choć to życzenie wydawało się dziwaczne, zwłaszcza że Holmes wierzył, iż znacznie bardziej gwałtownemu Edwinowi Aspernowi nic nie grozi, zgodziłem się go usłuchać.

– Nie pojmuję jednak, jak chcesz rozwiązać tę sprawę – powiedziałem. – Wilk jest tutaj, w Hexham, a nie w Londynie. Jeśli nie zamierzasz wrócić z paroma potężnymi sztucerami nabitymi amunicją na grubego zwierza, daję słowo, że nie widzę możliwości, żebyś tego dokonał.

– Wręcz przeciwnie, wszystko jest aż nadto widoczne, musisz tylko dobrze się przyjrzeć – odparował Holmes. – I być bardziej zdecydowany w wyciąganiu wniosków, mój drogi Watsonie.

W tej samej chwili na zwirowym podjeździe rozległ się stukot końskich kopyt i powóz zatrzymał się powoli.

Spędziłem w Aspern Hall długi ponury dzień. Zerwał się wiatr, a potem się rozpadało, zrazu lekki deszczyk przeszedł w silną ulewę. Z braku lepszego zajęcia pograżyłem się w lekturze starego egzemplarza „Timesa”, pisałem trochę

w moim dzienniku i przejrzałem księgi w dobrze zaopatrzonej bibliotece sir Percivala. Do kolacji nie spotkałem nikogo prócz służby. Podczas posiłku Edwin oznajmił, że tego wieczoru znów zamierza wyruszyć, aby zapolować na wilka. Panna Selkirk, która z oczywistych względów teraz jeszcze bardziej lękała się o życie i zdrowie swego narzeczonego, zaczęła gwałtownie protestować. To była okropna scena. Edwin, choć poruszony obiekcjami panny Selkirk, nie zmienił postanowienia. Sir Percival natomiast wydawał się dumny z odwagi syna, który na argumenty swojej przyszłej małżonki odpowiadał słowami o rodzinnym honorze i umiłowaniu tych stron. Kiedy Edwin wyszedł, postanowiłem zostać z panną Selkirk i wdałem się z nią w rozmowę. Nie było to łatwe z uwagi na stan jej umysłu, ucieszyłem się jednak, gdy około wpół do dwunastej usłyszałem w sieni dworu donośne echo kroków Edwina. Polowanie znów się nie udało, ale przynajmniej wrócił bezpiecznie do domu.

Było późne popołudnie dnia następnego, gdy Sherlock Holmes wrócił do Aspern Hall. Wysłał uprzednio telegram z prośbą, by powóz sir Percivala czekał na niego na stacji w Hexham, i zjawił się we dworze w wyśmienitym nastroju. Sprowadził ze sobą sędziego oraz miejscowego lekarza i nie tracąc czasu, nakazał zebrać wszystkich członków rodziny oraz całą służbę w jednej z sal rezydencji.

Kiedy już wszyscy się tam zjawili, Holmes ogłosił, że rozwiązał sprawę. To wywołało istną lawinę pytań i konsternacji, a Edwin zapytał, co Holmes ma na myśli, mówiąc o „rozwiązaniu” sprawy, skoro wszyscy wiedzą, że sprawcą jest wilk. Holmes odmówił dalszych wyjaśnień. Pomimo późnej pory zamierzał wrócić do swego pokoju w gospodzie Pod Pługiem, gdzie pozostawił pewne kluczowe notatki dotyczące sprawy, i odpowiednio uporządkować wszystkie konkluzje. Jeszcze w powozie odbył długą dyskusję z sędzią i doktorem, a zjawił się w Aspern Hall tylko po to, by zabrać mnie ze sobą do miasta, gdzie miałem towarzyszyć mu przy ostatecznym zamknięciu dochodzenia. Oświadczył, że nazajutrz ogłosi swoje wnioski publicznie.

Gdy zbliżał się do końca swojej krótkiej przemowy, zjawił się woźnica, który oznajmił, że tylna oś powozu sir Percivala pękła i będzie ją można naprawić dopiero jutro rano. Było więc wykluczone, aby Holmes – czy sędzia lub też miejscowy lekarz, jeżeli chodziło o ścisłość – mógł wrócić do Hexham wcześniej niż nazajutrz rano. Nic nie można było na to poradzić, chcąc nie chcąc, wszyscy musieli spędzić noc w Aspern Hall.

Holmes, gdy się o tym dowiedział, wyraźnie sposepniał. Niemal przez całą kolację nie odezwał się ani słowem, a na jego twarzy malował się grymas

poirytowania. Grzebał widelcem w jedzeniu na talerzu i trzymając łokieć na adamaszkowym obrusie, którym nakryto stół, podpierał dłonią swój spiczasty podbródek. Gdy podano deser, oznajmił wszem wobec, że zamierza udać się do Hexham na piechotę.

– Ale przecież to nie wchodzi w rachubę – rzekł zdumiony sir Percival. – To ponad piętnaście kilometrów.

– Nie pójdę tam drogą – wyjaśnił Holmes. – Bo za bardzo kluczy. Udam się z Aspern Hall do Hexham najkrótszą trasą – na przełaj.

– To by oznaczało konieczność przejścia obok bagien – zauważyła panna Selkirk. – Tam, gdzie... – Zamilkła.

– Wobec tego będę panu towarzyszył – zaoferował się Edwin Aspern.

– Nie ma mowy. Ostatni atak wilka wydarzył się przedostatniej nocy i wątpię, aby do tego czasu bestia zdążyła zgłodnieć. Nie, pójdę do miasta samotnie. Watsonie, gdy tylko dotrę do Hexham, powiem komu trzeba i jutro z samego rana przyjedzie brek po ciebie i pozostałych.

Na tym sprawa została zakończona, a przynajmniej tak mi się zdawało. Gdy mężczyźni udali się do biblioteki, aby napić się brandy i zapalić cygaro, Holmes odprowadził mnie na stronę.

– Posłuchaj – zwrócił się do mnie *sotto voce* – gdy tylko będziesz miał możliwość, spróbuj wymknąć się z domu, dopilnuj tylko, aby nikt cię przy tym nie zauważył. Musisz to uczynić niepostrzeżenie, Watsonie, to jest w tym wszystkim najważniejsze. Pamiętaj też, że przynajmniej na razie wciąż grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo.

Pomimo swego zdumienia zapewniłem Holmesa, że może na mnie liczyć.

– Musisz dostać się niezauważony w okolicę niewielkiego pagórka, gdzie znaleźliśmy konstabla Fraziera. Znajdź dla siebie dogodną kryjówkę, w której nie można by cię zauważyć ani od strony moczarów, ani od strony lasu czy też drogi. Dopilnuj, żebyś znalazł się tam nie później niż o dziesiątej. I czekaj na mnie cierpliwie.

Pokiwałem głową, że tak właśnie zrobię.

– Gdy się pojawię, w żadnym wypadku nie krzycz, nie podnoś się ani nie próbuj zdradzić swojej obecności w jakikolwiek inny sposób.

– Co zatem mam wówczas zrobić, Holmesie?

– Po prostu czekaj, a gdy przyjdzie czas na działanie, zrób to, co uznasz za stosowne. Uwierz mi, gdy nadejdzie ten moment, będziesz wiedział. A teraz: czy wciąż masz przy sobie pistolet?

Poklepałem się po kieszeni, w której od naszego przybycia do Aspern Hall

dzień wcześniej spoczywał mój wierny webley.

Mój przyjaciel pokiwał głową zadowolony.

– Doskonale. Miej go pod ręką.

– A ty, Holmesie?

– Ja zabawię tu jeszcze trochę, zanim wyruszę w drogę, wdam się w rozmowę z młodym Aspernem, zagram w bilard lub wymyślę coś innego, co będzie konieczne, aby go czymś zająć. Zwłaszcza dziś, tej nocy musi on zrezygnować ze swej pasji wyruszania do lasu i tropienia wilka zabójcy.

Tak jak nakazał mi Holmes, czekałem cierpliwie, aż dżentelmeni na dobre zaangażują się w grę w wista. Wówczas przeprosiłem i udając, że kieruję się do mego pokoju, zabrałem czapkę i płaszcz podróżny, po czym upewniłem się, że nie widział mnie nikt z rodziny ani ze służby, i opuściłem rezydencję przez drzwi balkonowe niewielkiego salonu, przemknąłem cichcem przez trawnik i stamtąd dotarłem na drogę do Hexham. Deszcz ustał, ale księżyc pozostawał częściowo ukryty za chmurami. Dokoła w powietrzu unosiła się gęsta, falująca mgła, przesłaniając posępny krajobraz.

Podążałem rozmiękłym traktem biegnącym łagodnym łukiem na północny wschód, by ominąć znajdujące się na wprost trzęsawiska. Noc była chłodna, a tu i ówdzie wśród jeżyn i bagiennych traw można było dostrzec niewielkie spłachetki śniegu. Po przebyciu kilkunastu kilometrów na zakręcie, gdzie droga osiągała punkt najdalej wysunięty na północ i kierowała się na wschód, w stronę miasta, odbiłem na południe, przedzierając się przez niskie zarośla, i ruszyłem w stronę moczarów. Księżyc właśnie wynurzył się spoza chmur i mogłem zobaczyć przed sobą trzęsawisko spowite czymś w rodzaju widmowej poświaty. Za moczarami ledwie widoczna w ciemnościach rysowała się czarna granica lasu Kielder.

Dotarwszy w końcu na pagórek, rozejrzałem się dokoła, i postanowiłem co do joty wypełnić polecenia Holmesa – znaleźć sobie kryjówkę, w której nie byłbym widoczny ani od strony drogi, ani od strony moczarów, ani od strony lasu. Trochę to trwało, w końcu jednak natrafiłem na nieckę we wschodniej części pagórka, częściowo przysłoniętą przez janowiec ciernisty i inne krzewy, która stanowiła wymarzoną wręcz kryjówkę i skąd miałem doskonały widok na całą okolicę. Ułożywszy się tam wygodnie, czekałem cierpliwie, co się wydarzy.

Takie czuwanie mniej więcej po godzinie zaczęło się robić coraz bardziej nużące. Nogi mi ścierpły od ciągłego bezruchu, a płaszcz podróżny nie chronił przed wilgocią i chłodem. Od czasu do czasu rozglądałem się dokoła w coraz bardziej niespokojnym wyczekiwaniu albo, również za sprawą nerwowego

nawyku, sprawdzałem stan broni.

Było po jedenastej, gdy w końcu usłyszałem odgłos kroków nadchodzący od strony bagiennych traw i odległego Aspern Hall. Ostrożnie wyjrzałem ze swojej kryjówki. To był Holmes – nie mógłbym pomylić go z nikim innym; miał na sobie długi płaszcz i płócienną czapkę – jego szczupła sylwetka wyłoniła się z mgieł; szedł żwawym, charakterystycznym krokiem. Podążał wzdłuż brzegu trzęsawiska, kierując się w moją stronę. Wysunąwszy webleya z kieszeni kamizelki, przygotowałem się na to, co miało wydarzyć się już za parę chwil.

Czekałem w bezruchu, gdy Holmes kontynuował swój marsz. Szedł w stronę Hexham nonszalancko, z rękoma w kieszeniach, jak podczas zwykłej wieczornej przechadzki. Wtem od strony lasu spostrzegłem drugą postać, która pojawiła się zgoła niespodziewanie. Była duża i ciemna, prawie czarna, i gdy tak patrzyłem ze zgrozą, zaczęła wielkimi susami, biegnąc na czworakach, kierować się w stronę Holmesa. Ze swego miejsca po drugiej stronie pagórka przyjaciel mój nie był w stanie jeszcze dostrzec tego stworzenia. Zacisnąłem mocniej dłoń na kolbie webleya; nie ulegało wątpliwości, że oto miałem przed sobą budzącego grozę wilka ludojada, który zamierzał właśnie dopaść swoją czwartą ofiarę.

Uniosłem broń do strzału, na wypadek gdyby bestia zanadto zdołała zbliżyć się do Holmesa. Wtedy jednak, gdy zwierzę znajdowało się mniej więcej sto metrów od mego przyjaciela, wydarzyło się coś niesłychanego. Bestia zatrzymała się i po chwili zaczęła się skradać z dziką zajadłością.

– Dobry wieczór, sir Percivalu – powiedział jakby od niechcenia Holmes.

Bestia zareagowała na te słowa gniewnym warknięciem. Ja tymczasem wymknąłem się z kryjówki i zacząłem zachodzić wilka od tyłu. Nagle bestia podźwignęła się i stanęła na tylnych łapach. Podeszedłem bliżej, starając się, by nie było słyhać moich kroków, i stwierdziłem ze zdumieniem, że zwierzę było w rzeczywistości człowiekiem, a konkretnie sir Percivalem mającym na sobie coś, co przypominało płaszcz z niedźwiedziej skóry. Przy podeszwach butów miał założone przypinane pazury, a na rękawicach zapinane na guziki nakładki w kształcie wilczych łap. W jednym ręku trzymał pistolet, w drugim wielką maczugę przypominającą wilczą łapę, z masywną rączką i długimi ostrymi pazurami. Jego jasne rzadziejące włosy lśniły nienaturalną bielą w blasku wschodzącego księżyca. Byłem jak sparaliżowany tym dziwacznym i zupełnie nieoczekiwanym obrotem wydarzeń.

Sir Percival znów zaniósł się szaleńczym śmiechem.

– Dobry wieczór, panie Holmes – powiedział. – Będzie z pana wyborna przekąska.

I gdy z jego ust popłynął obłąkańczy potok słów, których nie potrafiłem zrozumieć i za którymi nie byłem w stanie nadążyć, odciągnął kurek pistoletu, po czym wymierzył broń w Holmesa. Ta skrajna sytuacja sprawiła, że mój paraliż minął.

– Proszę rzucić broń, sir Percivalu! – zawołałem, podchodząc z boku z bronią gotową do strzału. – Mam pana na muszce.

Zaskoczony sir Percival odwrócił się i wycelował w moją stronę. Nacisnąłem spust i trafiłam go w ramię. Schwycił się za nie z okrzykiem bólu, a potem upadł na kolana. W mgnieniu oka Holmes znalazł się przy nim. Odebrał sir Percivalowi i broń, i groteskowe narzędzie, które, jak się domyśliłem, było używane w celu zadania ofierze ran mających wyglądać na ślady wilczych pazurów, a następnie odwrócił się do mnie.

– Rad byłbym, Watsonie, gdybyś mógł możliwie jak najszybciej udać się do miasta – rzekł ze spokojem Holmes. – Wróc dwukółką z kilkoma silnymi mężczyznami. Ja zostanę tu z sir Percivalem.

Resztę można by streścić w kilku prostych zdaniach. Kiedy sir Percival został oddany w ręce władz i przewieziony na posterunek policji, gdzie miał trafić do aresztu, my wróciliśmy do Aspern Hall. Holmes rozmówił się krótko z sędzią, młodszym Aspernem i panną Selkirk, a potem uparł się, abyśmy najbliższym pociągiem wrócili do Londynu.

– Muszę ci wyznać, Holmesie – powiedziałem, gdy o świcie nasz powóz ruszył drogą w stronę Hexham – że choć w przeszłości mieliśmy do czynienia z różnymi sprawami i niejednokrotnie ich rozwiązanie było dla mnie nie lada zaskoczeniem, to, co stało się tej nocy, jest dla mnie prawdziwym szokiem. Bez wątpienia to tylko ugruntuje twoją pozycję wielkiego detektywa. To prawdziwe *coup de maître*. Skąd, u licha, wiedziałeś, że to człowiek, a nie wilk, stoi za tymi zabójstwami i że to sprawka sir Percivala – jeżeli faktycznie domyśliłeś się tego już wcześniej.

– Mój drogi Watsonie, chyba jednak mnie nie doceniasz – odparł Holmes. – Oczywiście, że wiedziałem, iż za to wszystko był odpowiedzialny sir Percival.

– Wobec tego wytłumacz mi, proszę, to wszystko.

– Mieliśmy do czynienia z kilkoma tropami, które były czytelne dla każdego, kto potrafiłby oddzielić to, co ważne, od tego, co było jedynie zwykłym zbiegiem okoliczności. Na początek mieliśmy pierwszą ofiarę – szaleńca. Gdy ma się do czynienia z więcej niż tylko jednym zabójstwem, Watsonie, należy przede wszystkim zwrócić uwagę na to pierwsze. Na ogół motyw, a co za tym idzie, cała sprawa zasadza się właśnie na tej pierwszej, szczególnej zbrodni.

– Tak, ale pierwszą ofiarą był obłąkany włóczęga.

– Mógł się stać nim w ostatnich latach swego życia, lecz nie zawsze tak było. Przypomnij sobie, Watsonie, że w jego majaczeniach pojawiała się często słowo „marchew”.

Pamiętałem to aż nazbyt dobrze, podobnie jak zafascynowanie Holmesa owym faktem. Nie pojmowałem jednak, jak rojenia szaleńca mogłyby mieć w tym względzie jakiegokolwiek znaczenie.

– Mów dalej – poprosiłem.

– Trzeba ci wiedzieć, że tak zwane marchwiowanie było procesem, w którym zwierzęce futra zanurzano w roztworze azotanu rtęci, dzięki czemu włosie miało uzyskać szczególną elastyczność, i w efekcie powstawał najlepszej jakości filc – wypowiedziawszy to ostatnie słowo, spojrział znacząco w moją stronę.

– Filc – powtórzyłem. – Masz na myśli taki do wyrobu kapeluszy?

– Dokładnie taki. Roztwór ma pomarańczowy kolor, stąd nazwa potoczna „marchwiowanie”. Jednakże proces ten miał dość nieprzyjemne skutki uboczne, których doświadczyli wszyscy pracujący przy nim rzemieślnicy, i dlatego obecnie jego stosowanie zostało w znacznej mierze ograniczone. Gdy opary rtęci wdycha się dość długo, zwłaszcza w zamkniętych pomieszczeniach, jak to się odbywało w procesie wytwarzania kapeluszy, toksyczne, nieodwracalne tego skutki są praktycznie nieuniknione. Należą do nich: drżenie rąk, czernienie zębów, bełkotliwa mowa. W niektórych przypadkach może wystąpić demencja lub pomieszanie zmysłów. Stąd powiedzenie, że ktoś jest „szalony jak kapelusznik”. – Holmes machnął ręką. – Oczywiście wiem to wszystko dzięki długoletniemu zainteresowaniu chemią.

– Ale co to ma wspólnego z sir Percivalem? – spytałem.

– Wyjaśnijmy wszystko po kolei. Pamiętasz zapewne, że konstabl Frazier uważał naszego włóczęgę za pijaka, wnioskując to na podstawie jego bełkotliwej mowy oraz drżenia rąk. A jednak w oddechu tamtego nie wyczuł woni alkoholu. Natychmiast domyśliłem się, że prawdziwym powodem dolegliwości tego człowieka była nie skłonność do alkoholu, lecz raczej skutki zatrucia rtęcią. Wzmianka o marchwi wyjaśniła, w jaki sposób doszło do zatrucia: to ryzyko zawodowe osób zajmujących się wytwarzaniem filcu i dość częsta choroba dotycząca trudniących się wyrobem kapeluszy. Oczywiście zdałem sobie sprawę, iż nie jest zwyczajnym zbiegiem okoliczności to, czym wcześniej zajmował się sir Percival i nagłe pojawienie się na scenie tego tajemniczego osobnika. Nie, człowiek ten z całą pewnością pracował kiedyś z sir Percivalem. Przypomnij sobie, proszę, dwie rzeczy. Po pierwsze, jak ów mężczyzna uskarżał

się, że go zdradzono, i groził, że zamierza dochodzić swoich praw w sądzie. Po drugie, pamiętaj, że sir Percival zbił fortunę na wykorzystaniu unikatowej metody wytwarzania filcu – metody, o której, jak zapewne pamiętasz, nie chciał ze mną rozmawiać, gdy poruszyłem ten temat w Aspern Hall.

Powóz, kolebiąc się rytmicznie, sunął w kierunku Hexham, a Holmes mówił dalej:

– Z uwagi na te fakty zacząłem rozważać ewentualność, że ten człowiek, obecnie w fatalnym stanie fizycznym i umysłowym, był niegdyś współnikiem w interesach sir Percivala i być może również autorem tej rewolucyjnej, nowej metody wytwarzania filcu. Teraz, wiele lat później, mężczyzna powrócił, by wyrównać rachunki ze swoim dawnym współnikiem, zdemaskować go jako oszusta i złodzieja i doprowadzić w ten sposób do ruiny. Innymi słowy, cała ta sprawa zaczęła się jako spór pomiędzy dwoma współnikami, spór, który sir Percival rozwiązał w tradycyjny sposób – poprzez morderstwo. Wydaje mi się wielce prawdopodobne, że gdy ów człowiek pojawił się w Hexham, sir Percival obiecał mu hojną rekompensatę i umówił się z nim na spotkanie w odludnym miejscu, na skraju trzęsawiska. Tam sir Percival zamordował swego dawnego współnika i – chcąc odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia – w okrutny sposób zmasakrował ciało, posunął się nawet do tego, że pozostawił na nim ślady ukąszeń, aby zabójstwo wyglądało na dzieło jakiejś olbrzymiej, dzikiej bestii, najprawdopodobniej wilka.

– I najwyraźniej mu się to udało – zauważyłem. – Czemu zatem zabił ponownie?

– Drugą jego ofiarą, jak zapewne dobrze pamiętasz, był przyrodnik z Oksfordu. Słyszano, jak w miejscowej gospodzie dementował plotki o grasującym w okolicy wilku i twierdził z całą stanowczością, że w Anglii nie ma żadnych wilków, bo zostały raz na zawsze wytępione. Zabijając tego człowieka, sir Percival osiągnął kilka celów. Uciszył człowieka, który upierał się, że populacja angielskich wilków została wytrzebiona, a ostatnią rzeczą, jakiej mógł pragnąć sir Percival, to tego, by uwaga wszystkich zwróciła się na pierwsze zabójstwo. Oczywiście do tej pory słyszał już niejednokrotnie krążące w Hexham plotki o wilku odpowiedzialnym za śmierć jego dawnego współnika. Na wypadek gdyby ktoś go zauważył, sprawił sobie obszerny płaszcz z niedźwiedziej skóry, a także specjalne buty i rękawice zaopatrzone w pazury na podobieństwo wilczych łap, a ponieważ był kapelusznikiem – o czym należy pamiętać – udało mu się wykonać to wszystko bardzo profesjonalnie i przekonująco. Wykorzystał swoje przebranie, żeby dotrzeć na miejsce drugiego morderstwa i uciec stamtąd

na czworakach. Wydaje mi się, Watsonie, iż tak naprawdę miał nadzieję, że ktoś go zauważy i że ów naoczny świadek podsyci krążące w miasteczku plotki o wilku ludojadzie. I w tym względzie rzeczywiście szczęście mu dopisało.

– Owszem, widzę okrutną logikę w tego rodzaju poczynaniach – stwierdziłem.
– Ale co z konstablami?

– Konstabl Frazier był, jak przypuszczam, wyjątkowo utalentowanym policjantem, śledczym obdarzonym tyleż przenikliwym umysłem, co w równej mierze człowiekiem nieustępliwym i uparcie dążącym do prawdy. Bez wątpienia sir Percival postrzegał go jako zagrożenie. Przypomnij sobie, jak konstabl w którymś momencie zwrócił uwagę na dość niezwykle skądinąd zachowanie tego wilka. Śmiem twierdzić, że miał tu na myśli fakt, iż wilcze ślady prowadziły zawsze na bagna, nie natrafił natomiast na tropy basiora mogące sugerować, że zwierzę wychodziło stamtąd na zewnątrz. Konstabl z pewnością zauważył to po drugim morderstwie, a może nawet wcześniej. Ja sam zwróciłem uwagę na to osobliwe zjawisko po tragicznej śmierci konstabla, gdy zrobiłem mały obchód wokół trzęsawiska. Wilcze tropy wiodły na moczary od wschodu, od zachodu zaś z grzęzawiska wychodziły już tylko ślady ludzkie. Sir Percival wbiegał na moczary na czworakach jak wilk, a później na bagnach, w bezpiecznym gąszczu, pozbywał się przebrania i opuszczał je jak zwyczajny człowiek. Konstabl musiał wspomnieć sir Percivalowi o swoich podejrzeniach. Przypomnij sobie, Watsonie, jak nadmienił, że dzień wcześniej był w Aspern Hall, aby ostrzec młodego panicza, by zaprzestał swoich nocnych polowań na wilka zabójcę. Czyniąc to, podpisał na siebie wyrok śmierci.

Usłyszawszy te rewelacje wypowiedziane przez Holmesa typowym dla niego zrównoważonym tonem, byłem bezbrzeżnie zdumiony. Mogłem jedynie pokręcić głową.

– O ostatecznym rozwiązaniu tej sprawy przesądziło zachowanie sir Percivala, który nie tylko nie odradzał swemu synowi nocnych polowań na bestię, ale wręcz go do nich nakłaniał. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie przejmował się dobrem Edwina, jakby nie dbał o jego życie i zdrowie. Dlaczego? W tym momencie wszystko stało się dla mnie oczywiste: stary Aspern wiedział, że jego synowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo ze strony wilka, ponieważ wilkiem był on sam. No i nie należy zapominać o tym, jak sir Percival w którymś momencie oblał się brandy.

– Co w związku z tym?

– Bardzo starał się ukryć drżenie rąk. Ten drobny, acz niepokojący szczegół, który został ujawniony wskutek wspomnianego incydentu, upewnił mnie, że pan

na Aspern Hall jest bliski szaleństwa wywołanego przez zatrucie rtęcią i że już wkrótce zmieni się w taką samą żalostną karykaturę człowieka, jaką stał się jego dawny wspólnik.

Tymczasem dotarliśmy do stacji w Hexham, wysiedliśmy z walizkami i weszliśmy na peron w samą porę, aby zdążyć na pociąg do Londynu o 8.20.

– Uzbrojony w te podejrzenia – ciągnął Holmes – udałem się do Londynu. Nie zajęło mi wiele czasu odkrycie tego, co chciałem jedynie potwierdzić, a mianowicie że przed wieloma laty sir Percival faktycznie miał wspólnika w interesach. Tamten oskarżył sir Percivala o kradzież cennego patentu, który jakoby miał należeć do niego. Został jednak uznany za niepoczytalnego i zamknięty w zakładzie dla obłąkanych na polecenie samego sir Percivala. Nieszczęśnik ten został wypuszczony z domu wariatów zaledwie kilka dni przed swoim pojawieniem się jako majaczący bez ładu i składu obłąkaniec w lesie Kielder.

Wróciłem z Londynu przekonany, że nie tylko nie mamy do czynienia z wilkiem ludojadem, ale że to właśnie sir Percival jest zabójcą trzech mężczyzn. Pozostawało tylko pytanie, jak mamy go złapać. Nie bardzo mogłem ujawnić prawdę, że nie ma żadnego wilka. Nie, musiałem znaleźć sposób, aby sir Percival zdecydował, iż to ja będę jego następnym celem, i co więcej, zaaranżować to na jego terenie. Stąd moje spektakularne oświadczenie, że rozwiązałem sprawę, i decyzja o nocnej wyprawie na przełaj, przez łąki pomiędzy bagnami i skrajem lasu, niedaleko miejsca, gdzie doszło do poprzednich zabójstw. Byłem przekonany, że sir Percival zechce wykorzystać sytuację i uczynić ze mnie swoją czwartą ofiarę.

– Ale przecież zdecydowałeś się na ten nocny spacer tylko dlatego, że w powozie sir Percivala pękła oś – zauważyłem. – Skąd mogłeś przewidzieć, że dojdzie do czegoś takiego?

– Nie mogłem tego przewidzieć, ale sam o to zadbałem.

– Chcesz powiedzieć, że... – nie dokończyłem.

– Tak, obawiam się, że pozwoliłem sobie uszkodzić powóz sir Percivala. Może powinienem wysłać mu czek z opłatą za naprawę.

W poranne niebo wzbili się cichy gwizd. Po chwili naszym oczom ukazał się ekspres. Parę minut później zajmowaliśmy już miejsca w pociągu.

– Muszę przyznać, że jestem zdumiony – powiedziałem, gdy weszliśmy do naszego przedziału. – Jesteś jak artysta, który przeszedł sam siebie w swoim kolejnym dziele. Pozostaje już tylko jedna rzecz, której w dalszym ciągu nie potrafię zrozumieć.

– Wobec tego, drogi Watsonie, nie krępuj się, lecz śmiało mnie o to zapytaj.

– Sprawienie, że zabójstwo wygląda jak dzieło zwierzęcia, to jedno, ale pożeranie ciała ofiary to zupełnie co innego. Wyjaśnij mi, Holmesie, dlaczego sir Percival to robił, dlaczego z każdą kolejną zbrodnią robił to na coraz większą skalę?

– Odpowiedź jest dość prosta – odrzekł Holmes. – Wygląda na to, że sir Percival w swoim postępującym szaleństwie nabierał coraz większego apetytu na dalsze zbrodnie. Innymi słowy, że zasmakował w swoich ofiarach.

Temat Wilka z Hexham nie pojawił się przez co najmniej kolejne pół roku, aż na łamach „Timesa” natknąłem się na informację, że nowy dziedzic na Aspern Hall i jego narzeczona mają się pobrać w St. Paul’s w przyszłym miesiącu. Wyglądało na to, że przynajmniej zdaniami miejscowych okrucieństwa popełnione przez ojca zostały skutecznie przyćmione przez sukcesy wojskowe jego syna oraz odwagę, jaką młody Edwin wykazał się, noc w noc tropiąc rzekomego wilka. Jeżeli chodzi o mnie, to chętnie spędziłbym więcej czasu – o ile rzecz jasna okoliczności byłyby bardziej sprzyjające – w towarzystwie jednej z najpiękniejszych młodych dam, jakie miałem okazję poznać: panny Victorii Selkirk.

Sam Holmes tylko jeden jedyny raz wspomniał o tej sprawie, wyznając z ubolewaniem, iż podczas rozwiązywania jej nie miał niestety okazji poświęcić choćby odrobiny czasu na kontynuowanie swoich studiów nad tamtejszą populacją *Sciurus vulgaris* – euroazjatyckiej rudej wiewiórki.

48

Corrie dokończyła lekturę i uniosła wzrok, by stwierdzić, że Pendergast wpatrywał się w nią swoimi srebrzystymi oczami. Zdała sobie sprawę, iż na moment wstrzymała oddech i wypuściła powietrze.

– O w mordę – powiedziała.

– Można też tak to ująć.

– To opowiadanie... nie mogę tego ogarnąć. – I nagle coś sobie uświadomiła.

– Skąd pan wiedział, że to właśnie ono jest kluczem?

– Nie wiedziałem. Przynajmniej na początku. Ale pomyśl tylko: Doyle był lekarzem. Zanim rozpoczął prywatną praktykę, pracował na statku wielorybniczym i jako chirurg okrętowy odbył rejs wzdłuż wybrzeża Afryki Zachodniej. To chyba najtrudniejsze zajęcie, jakie może znaleźć dla siebie lekarz. Podczas tych rejsów z całą pewnością widział całe mnóstwo okropności, najdelikatniej mówiąc. Opowieść, która sprawiła, że jak oparzony zerwał się od stołu, musiała być znacznie bardziej makabryczna niż historia o niedźwiedziu ludojadzie.

– A to zaginione opowiadanie? Co konkretnie pana do niego przywiodło?

– Doyle był wstrząśnięty opowieścią zasłyszaną od Wilde'a i uczynił to, co większość pisarzy, którzy pragną wyegzorcyzmować swoje demony: przetworzył ją w fikcyjne opowiadanie. Niemal natychmiast po spotkaniu w hotelu Langham napisał *Psa Baskerville'ów*, w którym można odnaleźć pewne nawiązania do faktycznej relacji Wilde'a. Jednak *Pies*, będący wspaniałą historią, był zaledwie widmową namiastką prawdy. Nie pozwolił Doyle'owi pozbyć się demona. Można się jedynie domyślać, że opowieść Wilde'a długo nie dawała Doyle'owi spokoju. Zacząłem więc zastanawiać się, czy w ostatnich latach Doyle postanowił w końcu napisać coś bardziej drastycznego, co zawierałoby większy ładunek prawdy i zapewniło mu katharsis. Popytałem trochę. Mój angielski znajomy, ekspert od Sherlocka Holmesa, potwierdził plotkę o istnieniu zaginionego opowiadania o Holmesie, które, jak zdołaliśmy ustalić, mogło mieć

tytuł *Przygoda w Aspern Hall*. Dodałem dwa do dwóch i pojechałem do Londynu.

– Ale skąd pan wiedział, że to była ta historia?

– Jak zdołałem się zorientować, opowiadanie o Aspern Hall zostało odrzucone przez co najmniej kilku wydawców. Nigdy go nie opublikowano. Pomyśl tylko: nowe opowiadanie o Holmesie, które wyszło spod pióra samego mistrza, pierwsze od lat, zostaje odrzucone? Można podejrzewać, że musiało zawierać coś niezwykle sprzecznego z konserwatywnymi, wiktoriańskimi gustami.

Corrie zmarszczyła nos.

– Gdy pan to mówi, wydaje się to takie proste.

– Większość działań śledczych jest w gruncie rzeczy prosta. Jeżeli nie nauczyłem cię niczego więcej, mam nadzieję, że przynajmniej to przyswoisz sobie dobrze.

Zaczerwieniła się.

– A ja tak długo odrzucałam ten trop. Idiotka ze mnie. Bardzo przepraszam. Naprawdę.

Pendergast machnął ręką.

– Skupmy się na sprawie, którą mamy przed sobą. Słynny *Pies Baskerville’ów* zaledwie otarł się o historię z grizzly. Ale to opowiadanie zawiera więcej z tego, co Doyle usłyszał od Wilde’a, a ten z kolei od tego starego górnika, o którym się dowiedziałaś, Swintona. To doprawdy bardzo ważne odkrycie.

– Przypadek.

– Przypadek jest jedynie elementem układanki, który nie znalazł jeszcze swego miejsca w całym jej obrazie. Dobry detektyw zbiera wszystkie „przypadki”, choćby nie wiadomo jak błahe.

– Musimy jednak określić, jakie znaczenie ma to opowiadanie w odniesieniu do prawdziwych zabójstw – stwierdziła Corrie. – No dobra, mamy gromadę morderców kanibali zachowujących się trochę jak ten gość Percival. Mordują i pożerają górników na ich działkach, starając się zatuszować swoje czyny i sprawić, by wszyscy sądzili, iż zabójstwa te są dziełem niedźwiedzia ludojada.

– Nie. Jeżeli mogę ci przerwać: przypisanie tych zbrodni niedźwiedziowi było dziełem przypadku, o czym zapewne sama wiesz doskonale. Jakiś grizzly akurat pojawił się w okolicy i zaczął pożywiać się szczątkami jednej z pierwszych ofiar, a opinia publiczna to podchwyciła – ludzie uwierzyli w tę historyjkę. Późniejsza obserwacja niedźwiedzi w tym rejonie zdawała się potwierdzać ugruntowaną na podstawie przypadkowego zdarzenia wersję wypadków. Tak już po prostu jest, że ludzie tworzą ciągi przyczynowo-skutkowe na bazie niepowiązanych ze sobą

wydarzeń, bezpodstawnych przypuszczeń i zwykłych uprzedzeń. Moim zdaniem gromada morderców, o której wspomniałaś, wcale nie starała się zatuszować swego dzieła tak, by wyglądało na zabójstwo dokonane przez grizzly ludojada.

– W porządku, ta banda nie próbowała zatuszować swoich zabójstw. Niemniej ta opowieść wcale nie tłumaczy, dlaczego ci ludzie mordowali. Co nimi powodowało? Sir Percival miał motyw: zabija swego współnika, żeby ukryć fakt, iż go oszukał i wtrącił do zakładu dla obłąkanych. Nie rozumiem, co to może mieć wspólnego z motywami kierującymi zabójcami w górach Kolorado.

– Nie ma nic wspólnego. – Pendergast przez dłuższą chwilę patrzył na Corrie. – A w każdym razie nie ma bezpośrednio. Nie koncentrujesz się na najistotniejszych rzeczach. Należałoby raczej zapytać: dlaczego sir Percival zjadał fragmenty ciał swoich ofiar?

Corrie powróciła myślami do opowiadania.

– Z początku chodziło o to, aby zabójstwo wyglądało na dzieło wilka. Później jednak robił to dlatego, że coraz bardziej popadał w obłąd i wydawało mu się, że w tym zasmakował.

– Ach! A dlaczego oszalał?

– Bo cierpiał na zatrucie rtęcią w wyniku prac przy produkcji filmu. – Corrie zawahała się. – Ale co ma wspólnego wyrabianie kapeluszy z wydobywaniem srebra? Nic z tego nie rozumiem.

– Wręcz przeciwnie, Corrie, rozumiesz doskonale. Musisz bardziej zdecydowanie i śmiało wyciągać wnioski. – Oczy Pendergasta zabłyśły, gdy powtarzał ten cytat.

Corrie zmarszczyła brwi. Co mogło łączyć te dwie sprawy? Wolałaby, żeby Pendergast sam jej to powiedział, zamiast stosować wobec niej metodę sokratejską.

– Nie czas teraz na naukę. Czy możemy darować sobie tę lekcję? Skoro to takie oczywiste, czemu sam mi pan tego nie powie?

– Nie gramy w intelektualne gierki. Sprawa jest śmiertelnie poważna, zwłaszcza dla ciebie. Dziwię się, że jeszcze nie wystosowano gróźb pod twoim adresem.

Przerwał. W ciszy, która zapadła, Corrie pomyślała o tym, jak ostrzelano jej samochód, o swoim zabitym psie, o liściku. Powinna powiedzieć Pendergastowi, prędzej czy później i tak się o tym dowie. Co by się stało, gdyby zwierzyła się Pendergastowi? Na pewno zaczęłyby na nią jeszcze bardziej naciskać, aby opuściła Roaring Fork.

– W pierwszym odruchu – ciągnął agent, jakby czytał w jej myślach –

chciałem natychmiast wywieźć cię z miasta, nawet gdyby oznaczało to zawłaszczenie jednego z ratraków należących do komendanta. Ale nazbyt dobrze cię znam, by wiedzieć, że na nic by się to zdało.

– Dziękuję.

– Potem przyszło mi na myśl nakłonienie cię, byś zrozumiała i zaczęła myśleć jak należy o tej sprawie, innymi słowy, co to wszystko oznacza, dlaczego grozi ci niebezpieczeństwo i z czyjej strony. Nie czas jednak teraz na naukę, jak to zgrabnie ujęłaś.

Powaga w jego głosie bardzo ją zaskoczyła. Przełknęła ślinę.

– Dobra. Przepraszam. Słucham uważnie.

– Wróćmy do zadanego przez ciebie pytania, które pozwolę sobie nieco bardziej doprecyzować: co dziewiętnastowieczny angielski kapelusznik ma wspólnego z dziewiętnastowieczną metodą rafinacji srebra?

Zrozumiała w jednej chwili. To było takie oczywiste.

– W obu procesach wykorzystywano rtęć.

– Otóż to.

I nagle wszystko zaczynało do siebie pasować.

– Jak o tym wspomniano w opowiadaniu, azotanu rtęci używano do miękczania skór, z których wykonywano filc na kapelusze. Nazywano to marchwiowaniem.

– Co dalej?

– Rtęć była także wykorzystywana do oddzielania srebra od złota z wydobytego i zmielonego kruszcu.

– Wspaniale.

Umysł Corrie pracował teraz na pełnych obrotach.

– A więc banda morderców składała się z górników, którzy pracowali w hucie srebra. I którzy powariowali wskutek zatrucia rtęcią.

Pendergast pokiwał głową.

– W hucie zwalniano robotników, którzy zwariowali, i zatrudniano na ich miejsce nowych. Może grupę zabójców założyło kilku z tych, których zwolniono. Pozbawieni pracy, kompletnie obłąkani, poszli w góry, pałając gniewem i żądzą zemsty, a ich szaleństwo tylko się pogłębiało. No i rzecz jasna... musieli coś jeść.

Kolejny potakujący ruch głową ze strony Pendergasta.

– A więc polowali na samotnych górników mających działki leżące daleko na uboczu, urządzając na nich zasadzki, zabijając, a potem zjadając. I jak lwy ludojady z Tsavo – oraz sir Percival – z czasem w tym zasmakowali.

Zapadła długa cisza. Co jeszcze? – zapytała samą siebie Corrie. Skąd mogło

nadejść niebezpieczeństwo?

– To wydarzyło się sto pięćdziesiąt lat temu – rzekła w końcu. – Nie rozumiem, jaki to mogłoby mieć teraz wpływ na nas. Dlaczego grozi mi niebezpieczeństwo?

– Nie umieściłaś na swoim miejscu ostatniego, kluczowego elementu układanki. Pomyśl o „przypadkowej” informacji, którą ostatnio odkryłaś i o której mi wspomniałaś.

– Poproszę o małą podpowiedź.

– Dobrze więc: kto był właścicielem huty?

– Rodzina Staffordów.

– Dalej.

– Ale przecież historia wykorzystywania i złego traktowania robotników oraz używania rtęci w hutach srebra jest doskonale znana. Zapisy na ten temat widnieją w annałach historycznych. Byłoby z ich strony głupotą, gdyby teraz starali się zatuszować tę historię.

– Corrie – Pendergast pokręcił głową – gdzie była ta huta?

– No cóż... znajdowała się gdzieś w tej okolicy, w której teraz znajduje się osiedle The Heights. Bądź co bądź to właśnie w ten sposób ta rodzina zdobyła owe tereny, aby móc na nich inwestować i wykorzystać je pod budowę osiedla.

– I...?

– I co? Huta już nie istnieje. Została zamknięta w latach dziewięćdziesiątych osiemnastego wieku, a ruiny wyburzono dawno temu. Nie zostało po niej nic... O Boże.

Przyłożyła dłoń do ust.

Pendergast czekał w milczeniu.

Corrie spojrzała na niego. Wreszcie zrozumiała.

– Rtęć. Ziemia pod całym osiedlem jest skażona rtęcią.

Pendergast złączył dłonie i rozsiadł się wygodnie.

– Zaczynasz myśleć jak prawdziwy detektyw. I mam nadzieję, że pożyjesz dostatecznie długo, aby się nim stać. Boję się o ciebie, zawsze byłaś i wciąż jesteś nazbyt zapalczywa i popędliwa. Ale pomimo tego mankamentu nawet ty musisz zrozumieć, o co toczy się tutaj gra i na jak poważne niebezpieczeństwo się narażasz, kontynuując niestrudzenie swoje śledztwo. Nie ujawniłbym przed tobą tego wszystkiego, nie opowiedziałbym ci o zaginionym opowiadaniu o Holmesie ani o związkach z rodziną Staffordów czy o zatruciu tutejszych wód gruntowych, gdyby z uwagi na twoją hardą, buntowniczą naturę nie było konieczne, abym przekonał cię, że po prostu musisz opuścić to okropne miejsce,

gdy tylko uda mi się załatwić dla ciebie odpowiedni środek transportu.

A.X.L. Pendergast z mocno zaciśniętymi wargami przepatrywał wzrokiem miasteczko Leadville. Tablica określała wysokość, na której się ono znajdowało: 3050 m n.p.m., i twierdziła, że jest to „najwyżej położone miasteczko samorządowe w Stanach Zjednoczonych”. Stanowiło surowy kontrast w zestawieniu z Roaring Fork, po drugiej stronie działu wód. Miało jedną główną ulicę z wznoszącymi się przy niej wiktoriańskimi budynkami w różnym stadium zaniedbania i ruiny, a przy chodnikach zalegały hałdy zamarzniętego śniegu. W oddali niemal aż po horyzont, w którąkolwiek by spojrzeć stronę, rozciągał się bezmiar jodłowej puszczy, hen, ku odległym strzelistym górskim szczytom. Świąteczne dekoracje ozdabiały każdy gzyms, latarnię, słup ogłoszeniowy czy parapet, co tylko potęgowało spowijającą całe miasto atmosferę ogólnego przygnębienia i zapomnienia, zwłaszcza na dwa dni przed świętami. A jednak mimo wczesnej pory i przejmującego chłodu Pendergast był zadowolony, mogąc choć na trochę wyrwać się z miejsca, gdzie królowały przepych, bogactwo i blichtr i gdzie aura zamożności i towarzyszącego mu zepsucia unosiła się niczym cuchnące miazmaty. Leadville, choć niezbyt zamożne, było prawdziwym miasteczkiem, w którym żyli prawdziwi ludzie, choć wydawało się dość niepojęte, dlaczego ktoś miałby ochotę żyć w tym białym piekle, na tym mroźnym, niemal syberyjskim pustkowiu, na pogrzebanej wśród gór lodowej pustyni, z dala od rozkoszy cywilizacji.

Agent Pendergast zadał sobie sporo trudu i poświęcił dużo czasu, aby odnaleźć potomka starego Swintona o nieznanym imieniu, który zdybał Oscara Wilde’a po jego wykładzie w Roaring Fork i opowiedział mu feralną historię. Z pomocą Mima zdołał wreszcie zidentyfikować jego jedyne żyjącego potomka, niejakiego Kyle’a Swintona, urodzonego w Leadville trzydzieści jeden lat temu. Był jedynakiem, którego rodzice zginęli w wypadku samochodowym mniej więcej w tym samym czasie, gdy jego wydalono z liceum w Leadville. Później jego cyfrowy ślad zniknął zupełnie. Nawet Mim, tajemniczy, wiodący żywot

odludka geniusz komputerowy wykonujący dla Pendergasta niektóre zlecenia, nie był w stanie wysledzić chłopaka poza ustaleniem istotnego faktu, że nie istniały żadne dokumenty mogące świadczyć o jego śmierci. Wszystko wskazywało na to, że Kyle Swinton wciąż żyje gdzieś na terytorium Stanów Zjednoczonych – i to było wszystko, co wiedział Pendergast.

Gdy tylko w Roaring Fork przestał padać śnieg – albo raczej na chwilę przestało prószyć, bo główna śnieżycą miała dopiero nadejść – otwarto drogę dojazdową i Pendergast udał się do Leadville sprawdzić, czy uda mu się odnaleźć poszukiwanego mężczyznę. Mając na sobie wełnianą kamizelkę, gruby czarny garnitur, zwykłą kamizelkę, płaszcz, dwa szaliki, grube rękawiczki i buty oraz wełnianą czapkę pod kapeluszem, wysiadł z samochodu i wszedł do – jak się wydawało – jedynej w tym mieście drogerii. Rozejrzał się dokoła i odnalazł wzrokiem najstarszego pracownika, farmaceutę obsługującego stanowisko, przy którym jak w staroświeckiej aptece wydawano leki na receptę. Poluzował szaliki, aby móc mówić, i odezwał się:

– Staram się odnaleźć niejakiego Kyle’a Swintona, który w latach dziewięćdziesiątych chodził do liceum w Leadville.

Farmaceuta otaksował go wzrokiem.

– Kyle’a Swintona? Czego pan od niego chce?

– Jestem adwokatem, chodzi o spadek.

– Spadek? Jego rodzina nie miała złamanego grosza.

– Stryjeczny dziadek miał pieniądze.

– Ach, tak. No i dobrze. Tak sędzę. Kyle nie zjawia się w mieście zbyt często. Czasem nie ma go tu aż do wiosny.

Co za wspaniała wiadomość.

– Byłbym wdzięczny, gdyby wskazał mi pan drogę do jego domu.

– Jasne, ale nie dojedzie pan tam. Droga jest nieprzejezdna. On mieszka na uboczu. Można tam dotrzeć tylko skuterem śnieżnym albo ratrakiem. No i... – Mężczyzna zawahał się.

– Tak?

– To jeden z tych fanatyków przetrwania. Surwiwalowiec. Zaszył się w wąwozie Elberta i czeka Bóg wie na co, może na kres całej cywilizacji.

– Doprawdy?

– Ma tam bunkier z zapasami żywności i sporym arsenałem broni, a w każdym razie tak mówią. Dlatego jeśli faktycznie pan się tam wybierze, lepiej niech pan będzie bardzo ostrożny, albo gość podziurawi pana jak sito.

Pendergast milczał przez chwilę.

– Czy zechciałby mi pan powiedzieć, gdzie mógłbym wynająć skuter śnieżny?
– Mamy tu kilka takich miejsc, bo w tych stronach to bardzo popularna rozrywka. – Farmaceuta raz jeszcze z powątpiewaniem otaksował Pendergasta wzrokiem. – Umie pan jeździć skuterem śnieżnym?

– Oczywiście.

Farmaceuta dał agentowi niezbędne wskazówki i nawet narysował mu małą mapkę wyjaśniającą, jak może dotrzeć do domu Kyle'a Swintona w wąwozie Elberta.

Pendergast wyszedł z apteki i przemaszerował Harrison Avenue, jakby był na zakupach, pomimo dwunastostopniowego mrozu, hałd śniegu i chodników oblodzonych tak, że nawet sól na nich zamarzała. W końcu wszedł do sklepu z bronią i amunicją, gdzie mieścił się również lombard.

Mężczyzna z tatuażem w kształcie ośmiornicy na ogolonej na łyso czaszce podszedł do lady.

– Czym mogę służyć?

– Chciałbym kupić małe pudełko naboju Cor-Bon kaliber .45 ACP.

Mężczyzna położył pudełko na ladzie.

– Czy pan Kyle Swinton zaopatruje się tutaj?

– Jasne, że tak, to dobry klient. Choć kompletnie szurnięty.

Pendergast zaczął się przez chwilę zastanawiać, jakich ludzi facet pokroju tego sprzedawcy mógł uważać za kompletnych szajbusów.

– Rozumiem, że ma sporą kolekcję broni palnej.

– Wydaje każdy grosz na broń i amunicję.

– Wobec tego musi kupować od pana sporo różnego rodzaju amunicji.

– Do licha, pewnie, że tak. Dlatego mamy tu tyle tej amunicji. Gość ma taką kolekcję wielkokalibrowej broni krótkiej, że byś pan nie uwierzył.

– Rewolwery?

– O tak. Rewolwery, pistolety i co tylko. Ma tam pewnie broni palnej za jakieś sto patoli.

Pendergast wyduł wargi.

– Skoro już o tym mowa, nabyłbym także pudełko S&W special kaliber .44, jedno pudełko remington magnum kaliber .44 i jedno S&W magnum kaliber .357.

Mężczyzna położył pudełka na ladzie.

– Coś jeszcze?

– To by było wszystko, dziękuję.

Mężczyzna podliczył wszystko.

– Podziękuję za reklamówkę. Schowam wszystko do kieszeni. – Wszystkie pudełka znikły w przepastnych zakamarkach płaszcza.

W najbliższym punkcie wynajmu skuterów śnieżnych interesy nie szły najlepiej. Pendergast poradził sobie z wstępnymi trudnościami związanymi z wypożyczeniem skutera na jeden dzień, i to pomimo jego nader niestosownego stroju, południowego akcentu i braku choćby nawet podstawowych umiejętności obsługi tego pojazdu. Założono mu na głowę kask, opuszczono owiewkę i udzielono krótkiego kursu jazdy na skuterze, na początek na sucho, a potem już na zewnątrz, przez pięć minut, na włączonym sprzęcie. Kazano mu podpisać całą masę różnych papierów i na koniec życzo powodzenia.

Pendergast dowiedział się nieco więcej o Kyle’u Swintonie. Najwyraźniej w całym Leadville znano go jako „szurniętego szajbusa”. Jego rodzice byli alkoholikami, którzy koniec końców wypadli z szosy i roztrzaskali się na skałach, na dnie Stockton Creek, prowadząc auto po pijanemu i rozbijając barierkę ochronną nad krawędzią trzystumetrowego wąwozu. Kyle od tej pory wiódł żywot trapera, żyjąc z tego, co udało mu się upolować albo złowić, a gdy potrzebował gotówki na zakup amunicji, szukał złota w pobliskim strumieniu, wypłukując je jak poszukiwacze z ubiegłego stulecia.

Pendergast miał już opuścić wypożyczalnię, gdy jej właściciel dodał:

– Tylko niech pan nie wpada tam znienacka, Kyle szybko się denerwuje. Niech pan podjedzie pod jego dom powoli i bez żadnych sztuczek, trzymając przez cały czas ręce na widoku i uśmiechając się przyjaźnie.

50

Droga do chaty Swintona okazała się wyjątkowo nieprzyjemna. Skuter śnieżny był hałaśliwą, rozdygotaną, cuchnącą maszyną mającą skłonność do gwałtownych zrywów i nagłego zatrzymywania się. Nie dorównywał nowoczesnym motocyklom terenowym. Pendergast prowadził skuter w górę krętą białą drogą, pozostawiając za sobą olbrzymie kaskady śniegu, którego płatki przylepiały się do jego drogiego płaszcza, tworząc na nim coraz grubsze warstwy. Wkrótce agent wyglądał jak bałwan w kasku motocyklowym.

Posłuchał rad, których mu udzielono, i zwolnił, gdy tylko ujrzał chatkę na wprost zasypaną śniegiem i ze smuzką dymu unoszącą się z komina na dachu. Zatrzymał się sto metrów od chaty, gdy na ganku pojawił się drobny mężczyzna przywodzący na myśl łasicę, ze szczeliną między dwoma przednimi zębami widoczną nawet z tej odległości. Trzymał w rękach wielostrzałową strzelbę zwaną potocznie „pompką”.

Pendergast zahamował, a skuterem lekko szarpnęło, zanim stanął. Płaty śniegu oderwały się i opadły z jego płaszcza. Uniósł niezdarnie obie ręce i w końcu udało mu się podnieść owiewkę przy kasku.

– Witaj, Kyle!

W odpowiedzi usłyszał charakterystyczny szcęk przeładowywanej strzelby.

– Co pana tu sprowadza?

– Chciałem się z tobą zobaczyć. Sporo słyszałem o tym, jak się tu urządziłeś. Też jestem entuzjastą sztuki przetrwania i jeżdżę po kraju, opisując starania innych ludzi w tej dziedzinie w czasopiśmie „Survival”.

– Gdzie pan o mnie usłyszał?

– Wieści się rozchodzą. Wiesz, jak to jest.

Wahanie.

– A więc jest pan dziennikarzem?

– Przede wszystkim survivalowcem, a dopiero potem dziennikarzem. – Podmuch zimnego wiatru omiótł śnieg wokół nóg Pendergasta. – Panie Swinton,

czy zechciałby pan okazać mi odrobinę gościnności, abyśmy mogli kontynuować tę rozmowę w czterech ścianach pańskiego domu?

Swinton zawahał się. Słowo „gościnność” nie pozostało niezauważone. Pendergast poszedł za ciosem.

– Zastanawiam się, czy trzymanie człowieka na siarczystym mrozie pod groźbą wycelowanego karabinu jest sposobem na okazanie gościnności bratniej duszy.

Swinton spojrzał na niego, mrużąc lekko powieki.

– Przynajmniej jesteś biały – rzekł, opuszczając strzelbę. – No dobra, wejdz. Ale przed drzwiami otrzep się porządnie ze śniegu. Nie chcę, żebyś naniósł mi błota do domu.

Czekał, aż Pendergast przebrnie przez śnieżne zaspy i dotrze do ganku. Przy drzwiach stała złamana miotła, więc Pendergast oczyścił się nią ze śniegu najlepiej jak potrafił, podczas gdy Swinton przyglądał mu się podejrzliwie.

Agent wszedł do chaty. Była zaskakująco duża, z mnóstwem izb w głębi i na tyłach domu. Wszędzie widać było błyszczący srebrzysto-czarny metal: stojaki z karabinkami szturmowymi, AK-47 i M-16 przerobionymi nielegalnie na broń w pełni automatyczną, rzędy uzi i strzelb szturmowych TAR-21, cała kolekcja chińskich karabinów i strzelb Norinco QBZ-97, również przerobionych na automaty. W stojącej nieopodal gablocie znajdował się olbrzymi zbiór pistoletów i rewolwerów, tak jak powiedział właściciel sklepu w Leadville. W jednym z sąsiednich pokoi Pendergast spostrzegł kilkanaście granatników przeciwczołgowych, w tym parę rosyjskich RPG-29, wszystkie jak najbardziej nielegalne. Pomijając fakt, że ściany zostały obwieszane mnóstwem rozmaitej broni, chatka okazała się bardzo przytulna, a w kozie wesoło buzował ogień; masywne drzwiczki pieca były uchylone. Wszystkie meble wykonano ręcznie z okorowanych kłód i gałęzi, pokryte wyprawioną bydlęcą skórą. I wszędzie panował idealny porządek.

– Zdejmij ten płaszcz i usiądź, zrobię kawę.

Pendergast zdjął płaszcz i przerzucił przez jedno z krzeseł, wygładził garnitur i usiadł. Swinton przyniósł dwa kubki, zdjął z piecyka dzbanek z kawą i napełnił je. Bez pytania wsypał do kubka łyżkę stołową śmietanki w proszku i dwie łyżeczki cukru, zanim podał go Pendergastowi.

Agent napił się powoli. Kawa smakowała tak, jakby gotowała się na kuchence od paru dni. Zauważył, że Swinton przygląda mu się z zaciekawieniem.

– Co ma znaczyć ten czarny garnitur? Umarł ktoś? Przyjechałeś tu skuterem w tym stroju?

– Jest służbowy.

– Jakoś mi nie wyglądasz na surwiwalowca.

– A na kogo?

– Na jakiegoś cipowatego profesorka z Żydojorku. Albo, sądząc po akcencie, z Żydoorleanu. Masz broń?

Pendergast wyjął kolta czterdziestkępiątkę i położył na stole. Swinton wziął pistolet do ręki i od razu się nim zachwyił.

– Les baer, co? Ładniutki. Umiesz z tego strzelać?

– Staram się – odparł Pendergast. – Masz tu niezłą kolekcję. Umiesz posługiwać się tą całą bronią?

Swinton poczuł się urażony i o to właśnie chodziło Pendergastowi.

– Myślisz, że wiem na ścianie takie rzeczy, a nie umiem się nimi posługiwać?

– Każdy potrafi pociągnąć za spust – rzekł Pendergast, sącąc kawę.

– Przynajmniej raz w tygodniu strzelam z każdej broni, jaką posiadam.

Pendergast wskazał na gablotę z bronią krótką.

– A co z superblackhawkiem?

– To doskonała broń. Ze starego, dobrego Dzikiego Zachodu. – Swinton wstał i wyjął broń z gabloty.

– Mogę zobaczyć?

Swinton podał blackhawka Pendergastowi. Agent zważył w ręku rewolwer, wycelował, po czym przełamał lufę i wysypał naboje z bębenka.

– Co ty wyprawiasz?

Pendergast podniósł jeden nabój, włożył na powrót do bębenka, zakręcił nim, zatrzasnął lufę i odłożył rewolwer.

– Uważasz się za twardziela, tak? Proponuję małą grę.

– Co to ma być, do cholery? Jaka znowu gra?

– Przyłóż rewolwer do skroni i pociągnij za spust. A ja dam ci tysiąc dolarów.

Swinton spojrzał na niego.

– Odbiło ci czy jak? Przecież widzę, że ten cholerny nabój nie jest w komorze pod kurkiem.

– Wobec tego właśnie wygrałeś tysiąc dolarów. Jeżeli sięgniesz po rewolwer i naciśniesz spust.

Swinton przyłożył rewolwer do skroni i pociągnął za spust. Rozległ się metaliczny szczęk. Mężczyzna odłożył broń.

Pendergast bez słowa sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął plik studolarowych banknotów i odliczył dziesięć z nich. Swinton zabrał pieniądze.

– Jesteś nienormalny, wiesz o tym?

– Tak. Jestem szalony.

– Teraz twoja kolej. – Swinton podniósł rewolwer, zakręcił bębenkiem i odłożył broń.

– A co ty mi dasz?

– Nie mam pieniędzy, a tego tysiąka nie oddam.

– Wobec tego może odpowiesz mi na pytanie. Na każde pytanie, jakie ci zadam. Tylko masz mi powiedzieć prawdę. Wyłącznie prawdę.

Swinton wzruszył ramionami.

– Jasne.

Pendergast odliczył kolejny tysiąc i położył na stole. Potem sięgnął po rewolwer, przyłożył do skroni i nacisnął spust. Znów metaliczny szczęk.

– A teraz pytanie.

– Wal.

– Twój prapradziadek był górnikiem w Roaring Fork w czasach gorączki srebra, jaka potem wybuchła. Wiedział to i owo o serii zabójstw będących rzekomo dziełem niedźwiedzia ludojada, ale popełnionych w rzeczywistości przez grupę obłąkanych górników.

Przerwał. Swinton podniósł się z krzesła.

– Nie jesteś żadnym dziennikarzem! Kim wobec tego jesteś?

– Kimś, kto właśnie zadał ci pytanie. Zakładając, że jesteś człowiekiem honoru, liczę, że otrzymam odpowiedź. Jeśli chcesz wiedzieć, kim naprawdę jestem, musisz poczekać na swoją kolejkę w tej grze. Jeżeli oczywiście będziesz miał odwagę ją kontynuować.

Swinton milczał.

– Twój przodek wiedział więcej niż inni na temat tych zabójstw. Myślę, że znał prawdę. – Pendergast przerwał. – Moje pytanie brzmi: Jaka jest prawda?

Swinton poruszył się na krześle. Wyraz jego twarzy zmieniał się jak w kalejdoskopie: kilka razy jego drżące wargi rozchyliły się, ukazując małe ostre zęby. Trwało to przez kilka chwil, aż w końcu odchrząknął:

– Po co chcesz to wiedzieć?

– Z osobistej ciekawości.

– Komu o tym powiesz?

– Nikomu.

Swinton popatrzył chciwie na tysiąc dolarów leżący na stole.

– Dajesz słowo? To było w mojej rodzinie tajemnicą od bardzo, naprawdę bardzo dawna.

Pendergast pokiwał głową.

Znów krótka pauza.

– Zaczęło się od Zgromadzenia Siedmiu – zaczął w końcu Swinton. – Mój prapradziadek August Swinton był jednym z nich. Tak przynajmniej zostało mi to przekazane. – W jego głosie pojawiła się nuta dumy. – Jak sam powiedziałaś, nie było żadnego niedźwiedzia ludojada. Tych zabójstw dokonało czterech szalonych bydlaków, dawnych pracowników huty, którzy żyli w górach jak dzikusy i stali się kanibalami. Mężczyzna nazwiskiem Shadrach Cropsey ruszył w góry, by wytropić grizzly, i odkrył, że sprawcą zabójstw wcale nie był niedźwiedź, lecz ci faceci zamieszkujący opuszczoną kopalnię. Ustalił, gdzie się ukrywali, i zwołał wspomniane Zgromadzenie Siedmiu.

– Co było potem?

– To już drugie pytanie.

– Fakt. – Pendergast uśmiechnął się. – Czas na kolejną rundę? – Sięgnął po rewolwer, zakręcił bębenkiem i odłożył broń.

Swinton pokręcił głową.

– Wciąż widzę nabój i nadal nie znajduje się on pod kurkiem. Kolejny tyśiączek?

Pendergast skinął głową.

Swinton ponownie podniósł rewolwer, pociągnął za spust, odłożył broń i wyciągnął rękę.

– To najgłupsza gra, jaką kiedykolwiek widziałem.

Pendergast podał mu tyśiąć dolarów. A potem sięgnął po rewolwer, zakręcił bębenkiem i nawet nie popatrzywszy, przyłożył lufę do skroni i nacisnął spust. Klik.

– Naprawdę chory z ciebie sukinsyn.

– W tej okolicy jest chyba wielu takich – odparł Pendergast. – A teraz wróćmy do mojego pytania. Co uczynili później Shadrach Cropsey i Zgromadzenie Siedmiu?

– W tamtych czasach takie problemy załatwiano się od ręki i tylko w jeden sposób. Chrzanić prawo i cały ten szajs. Pojechali tam i rozwalili tych kanibali. O ile wiem, stary Shadrach zginął w walce. Ale od tamtej pory nikt już w tej okolicy nie słyszał o niedźwiedziu ludojadzie.

– Gdzie zabito tych górników?

– To kolejne pytanie, przyjacielu.

Pendergast zakręcił bębenkiem i położył broń na stole. Swinton spojrzał nerwowo na rewolwer.

– Nie widzę naboju.

– Wobec tego albo jest pod kurkiem, albo w sąsiedniej komorze, zasłonięty przez obudowę broni. Czyli masz szansę pół na pół, że przeżyjesz.

– Nie gram.

– Powiedziałeś, że grasz. Nie spodziewałem się, że jesteś tchórzem, panie Swinton. – Pendergast sięgnął do kieszeni i wyjął plik setek. Tym razem odliczył dwadzieścia banknotów. – Podwajamy stawkę. Dostaniesz dwa tysiące, jeżeli naciśniesz spust.

Swinton obficie się pocił.

– Nie zagram.

– To znaczy, że rezygnujesz ze swojej kolejki? Nie będę nalegał.

– Otóż to. Pasuję.

– Ale ja nie.

– Śmiało. Pokaż, na co cię stać.

Pendergast zakręcił bębenkiem, uniósł rewolwer i nacisnął spust. Klik. Odłożył rewolwer.

– Moje ostatnie pytanie. Gdzie ludzie zabili tych górników?

– Nie wiem. Ale mam list.

– Jaki list?

– Ten, który mi przekazano. Wyjaśnia parę spraw.

Swinton wstał ze skrzypiącego krzesła i poczłapał w głąb chaty. Po chwili wrócił z zakurzoną starą poźółkłą kartką włożoną w nylonową koszulkę. Usiadł i podał list Pendergastowi.

Była to odręcznie napisana wiadomość, bez daty czy jakiegokolwiek podpisu. Nie wiadomo też, do kogo została skierowana.

Spotkajmy siem przy Ideale punkt 11 dzisiaj w nocy oni sie ukrywajom we w nieczynnej Świontecznej kopalni przy ścianie przemytnika jest ich 4 zabierta najlepszom broń i latarnie spalta ten list zanim wyruszyta

Pendergast odłożył list. Swinton wyciągnął rękę, a Pendergast oddał mu go. Na czole Swintona wciąż perlił się pot, ale na twarzy malowała się nieskrywana ulga.

– Nie mogę uwierzyć, że nawet nie spojrzaleś na bębenek przed naciśnięciem spustu. To jakieś wariactwo.

Pendergast włożył płaszcz, szalik i kapelusz, a potem sięgnął po rewolwer.

Przełamał go i wysypał na dłoń nabój kalibru .44.

– Nie było żadnego zagrożenia. Przyniosłem ten nabój ze sobą i wymieniłem na jeden z twoich, gdy rozładowałem rewolwer. – Uniósł go w dłoni. – Został przeze mnie spreparowany.

Swinton poderwał się z miejsca.

– Ty skurwysynu!

Rzucił się na Pendergasta, ale ten błyskawicznym ruchem ponownie wsunął nabój do bębena i zatrzasnął lufę, a nabój znalazł się tuż pod kurkiem. Agent uniósł rewolwer i wycelował w Swintona.

– A może nabój wcale nie został spreparowany.

Swinton znieruchomiał.

– Nigdy się tego nie dowiesz. – Pendergast zabrał swojego les baera i mierząc w Swintona, wyjął nabój z bębena blackhawka, po czym schował go do kieszeni. – A teraz odpowiem na twoje wcześniejsze pytanie. Nie jestem dziennikarzem, lecz agentem federalnym. I jedno mogę ci obiecać: jeśli mnie okłamałeś, dowiem się o tym i to niebawem, a wówczas nie uratuje cię nawet cały arsenał, jaki tu zgromadziłeś.

51

Tego samego dnia o trzeciej po południu, Corrie odpoczywała w wynajętym pokoju w hotelu Sebastian, ubrana w szlafrok frotté będący na wyposażeniu pokoju. Początkowo podziwiała widoki, później zajrzała do minibaru (na skorzystanie z niego nie było jej stać, ale i tak przetrząsnęła jego zawartość), a potem udała się do wyłożonej marmurami łazienki. Włączyła prysznic, wyregulowała wodę, zdjęła szlafrok i weszła do kabiny.

Rozkoszując się gorącym prysznicem, uznała, że sprawy zaczęły wreszcie przybierać pomyślny obrót. Źle się czuła po tym, co zaszło przy śniadaniu poprzedniego dnia, ale nawet to bladło w porównaniu z rewelacjami Pendergasta. Opowiadanie Doyle'a, górnicy obłąkani wskutek zatrucia rtęcią i związki z rodziną Staffordów – to było po prostu niesamowite. I naprawdę przerażające. Pendergast miał rację: grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

Roaring Fork znowu stało się miasteczkiem duchów jak niegdyś, tyle tylko że odświętnie udekorowanym. Wyglądało dość surrealistycznie. Nawet prasa spakowała już manatki i wyjechała. Z hotelu Sebastian znikła większość gości i personelu, ale restauracja prosperowała znakomicie, ruch był tu większy niż kiedykolwiek, jakby wszyscy, którzy tu pozostali, zdecydowali się jadać posiłki poza domem. Corrie dobiła targu z kierownikiem hotelu, zapewniając sobie pokój i darmowe śniadania w zamian za sześć godzin pracy w kuchni każdego dnia. I choć jej układ z hotelem opiewał na tylko jeden posiłek dziennie, miała spore doświadczenie z promocjami w rodzaju „zjedz, ile zdołasz”, była więc w stanie pochłonąć dostatecznie dużo jedzenia naraz, aby starczyło jej na dwadzieścia cztery godziny.

Wyszła spod prysznica, wytarła się ręcznikiem i uczesała włosy. Susząc je, usłyszała pukanie do drzwi. Szybko nałożyła na siebie szlafrok, podeszła do drzwi i wyjrzała przez judasza.

Pendergast.

Otworzyła, ale agent zawahał się.

– Przyjdę później...

– Niech pan nie przesadza. Proszę usiąść. Zaraz wracam.

Wróciła do łazienki, dokończyła suszenie włosów, otuliła się szczelnie szlafrokiem, wyszła i usiadła na kanapie.

Pendergast nie prezentował się dobrze. Jego zwykle alabastrową twarz pokrywały czerwone plamy, a włosy wyglądały, jakby wyszedł właśnie z tunelu aerodynamicznego.

– I jak poszło? – spytała. Wiedziała, że pojechał do Leadville, by odszukać tam potomka Swintona.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, rzekł po prostu;

– Cieszę się, widząc cię bezpieczną w tym hotelu. Jeżeli chodzi o koszty, chętnie pomogę...

– Dziękuję, to nie będzie konieczne – odparła pospiesznie. – Udało mi się zdobyć darmowy pokój i wikt w zamian za kilka godzin pracy w kuchni.

– To bardzo pomysłowe. – Przerwał, a jego oblicze sposepniało. – Żałuję, że uznałeś za stosowne mnie oszukać. Komendant wspomniał mi, że ostrzelano twój samochód i zabito twego psa.

Corrie zaczerwieniła się.

– Nie chciałam pana martwić. Przepraszam. I tak w końcu zamierzałam panu powiedzieć.

– Nie chciałaś, żebym cię wywiózł z Roaring Fork?

– To też. I chciałam znaleźć drania, który zabił mi psa.

– Nie możesz próbować szukać tego kogoś. Zrozumiałaś chyba, że masz teraz do czynienia z niebezpiecznymi ludźmi, którymi kierują poważne motywy. Chodzi o coś więcej niż o zabitego psa, jesteś dostatecznie inteligentna, by to sobie uświadomić.

– Oczywiście. Rozumiem to doskonale.

– Gra toczy się o inwestycję wartą dwieście milionów dolarów, ale nie chodzi tylko o pieniądze. To doprowadziłoby do postawienia poważnych zarzutów wobec osób zamieszanych w tę sprawę, a tak się składa, że zaliczają się do nich ludzie należący do najbogatszych i najbardziej wpływowych klanów w tym kraju, począwszy od pani Kermode, a kończąc na rodzinie Staffordów. Może teraz zrozumiesz, że ci nie zawahaliby się przed zabiciem cię.

– Ale ja chcę postawić ich przed obliczem sprawiedliwości...

– Tak też się stanie. Ale nie ty to zrobisz, nie dopóki przebywasz w tym mieście. Wrócisz do Nowego Jorku, a ja ściągnę tu agentów Biura i ujawnię całą tę aferę. W tej sytuacji, jak sama rozumiesz, nie pozostaje ci nic innego, jak

spakować swoje rzeczy i wrócić do Nowego Jorku, gdy tylko pogoda na to pozwoli.

Corrie pomyślała o nadciągającej śnieżycy. Droga znów zostanie zamknięta. Może powinna zacząć pisać pracę, sporządzić jej ogólny zarys, zanim stąd wyjedzie.

– W porządku – powiedziała.

– Chciałbym, abyś do tego czasu została w hotelu. Nie powinnaś opuszczać tego budynku. Rozmawiałem z tutejszą szefową ochrony – to wspaniała kobieta – będziesz tu bezpieczna. Być może przyjdzie ci tu spędzić kolejnych kilka dni. Prognoza pogody nie zapowiada się optymistycznie.

– Mnie to odpowiada. To jak... opowie mi pan o swojej wyprawie do Leadville?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo ta wiedza naraziłaby cię na dodatkowe niebezpieczeństwo. Pozwól, proszę, że od teraz ja się wszystkim zajmę.

Pomimo łagodnego tonu Pendergasta Corrie poczuła się poirytowana. Zgodziła się na jego propozycję. Powiedziała, że wróci do Nowego Jorku, gdy pogoda się poprawi. Dlaczego więc nie chciał jej wtajemniczyć w to, co udało mu się ustalić?

– Skoro tak pan uważa – skwitowała.

Pendergast wstał.

– Zaprosiłbym cię na kolację, ale mam spotkanie z komendantem. Osiągnęli pewien postęp w sprawie podpalacza.

Opuścił pokój. Corrie zamyśliła się przez chwilę, po czym podeszła do minibaru. Była głodna, a nie miała pieniędzy. Na śniadanie mogła liczyć dopiero nazajutrz rano. Pudełko pringlesów kosztowało osiem dolarów.

Chrzanić to, pomyślała i otworzyła je zdecydowanym ruchem.

Była trzecia w nocy dwudziestego czwartego grudnia. Przemykający jak zjawą przed podniszczonymi witrynami i ciemnymi oknami starego miasta Pendergast potrzebował zaledwie kilku sekund, aby włamać się do saloonu o nazwie Ideal, forsując uroczy, lecz nieskuteczny dziewiętnastowieczny zamek.

Wszedł do ciemnego wnętrza baru połączonego z muzeum, oświetlonego jedynie kilkoma awaryjnymi jarzeniówkami, których blask rzucał w całym pomieszczeniu fantazyjne cienie. Saloon składał się z jednego dużego centralnego pomieszczenia z okrągłymi stołami, krzesłami i drewnianą podłogą. Wzdłuż całej przeciwległej ściany ciągnął się kontuar barowy. Ściany wyłożono drewnianą boazerią z ułożonych pionowo desek błyszczących od bejcy i pociemniałych ze starości, powyżej zaś, na ścianach, można było zobaczyć aksamitne tapety z kwiecistym wiktoriańskim motywem. Na ścianach wisały kinkiety z miedzi i rżniętego szkła. Za barem, po prawej stronie, znajdowały się schody prowadzące do czegoś, co musiało być niewielkim burdelem. Jeszcze dalej po prawej, we wnęce, częściowo ukryte pod schodami stało kilka stołów do gry. Rozciągnięte na stojakach aksamitne sznury wyznaczały obszar dla zwiedzających, nie pozwalając gościom wejść w głąb saloonu.

Pendergast schylił się i przeszedł bezszelestnie pod aksamitnym sznurem, po czym powoli, w zamyśleniu rozejrzał się po całym pomieszczeniu, wykonując obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni. Na barze widniała butelka whisky, na kilku stolikach również znajdowały się butelki i szklanki. Za barem stała duża lustrzana gablota z butelkami rzekomo starych trunków, wypełnionymi barwioną wodą. Przeszedł w stronę stołów do gry. W jednym rogu wnęki stał stół do pokera wyścielony zielonym filcem, z rozłożonymi na nim pięcioma kartami: cztery asy przeciwko zwykłemu sekwensowi. Stolik do blackjacka, także z rozłożonymi kartami, znajdował się obok przepięknej starej ruletki, której koło wyłożone było kością słoniową, czerwonym jaspisem i hebanem.

Pendergast skierował się do drzwi pod schodami. Spróbował je otworzyć,

stwierdził, że są zamknięte, więc szybko sforsował zamek.

Za drzwiami znalazł małe zakurzone pomieszczenie, którego najwyraźniej nie odrestaurowano, z popękkanymi tynkami na ścianach i odłazącą tapetą, paroma starymi krzesłami i pękniętym stołem. Na jednej ze ścian agent dostrzegł wydrapane napisy pochodzące nawet z lat trzydziestych dwudziestego wieku, gdy Roaring Fork wciąż jeszcze było miasteczkiem duchów. W jednym kącie walały się szczątki potłuczonych butelek po whisky. Po drugiej stronie pokoju widniały drzwi prowadzące, o czym Pendergast dobrze wiedział, do tylnego wyjścia.

Zdjął płaszcz i szalik i starannie przewiesił je przez jedno z krzesel, po czym wolno, z uwagą rozejrzał się dokoła, jakby starał się zapamiętać każdy szczegół tego pomieszczenia. Stał w bezruchu przez dłuższą chwilę, aż w końcu znów się ożywił.

Wybrawszy wolne miejsce na podłodze, położył się na brudnych deskach i splótł dłonie na piersiach jak nieboszczyk leżący w trumnie. Powoli, bardzo powoli zamknął oczy. W ciszy skupił się na odgłosach burzy śnieżnej, na stłumionym wietrze zawodzącym na zewnątrz i smagającym ściany starego budynku, na skrzypieniu drewna i łomotaniu blaszanego dachu. Powietrze przesycone było wonią kurzu, pleśni i grzybów. Zaczął spowalniać oddech i tętno, zmuszając swój umysł do relaksacji.

Był pewien, że właśnie w tym pokoiku na tyłach saloonu spotkało się Zgromadzenie Siedmiu. Zanim jednak podąży tą ścieżką, pragnął odwiedzić najpierw inne miejsce, robiąc to wyłącznie w swoim umyśle.

Spędził kiedyś pewien czas w odległym tybetańskim klasztorze, studiując ezoteryczne nauki medytacyjne znane jako Chongg Ran. Była to jedna z najmniej znanych tybetańskich technik umysłowych. Nauk tych nigdy nie zapisano i nauczyciel przekazywał je adeptowi wyłącznie bezpośrednio.

Pendergast poznał tajniki Chongg Ran i połączył je z kilkoma innymi technikami mentalnymi, w tym z koncepcją pałacu pamięci, tak jak została ona opisana przez Giordana Bruna w szesnastowiecznym włoskim manuskrypcie zatytułowanym *Ars Memoria – Sztuka pamięci*. Rezultatem była unikatowa i wyjątkowo złożona forma mentalnej wizualizacji. Dzięki treningowi, starannemu przygotowaniu i iście fanatycznemu oddaniu, jeżeli chodzi o zachowanie dyscypliny intelektualnej, ćwiczenie to pomagało mu spojrzeć na złożony problem z perspektywy wielu tysięcy faktów oraz domysłów, a potem połączyć je mentalnie, aby tę całość można było przetwarzać, analizować, a przede wszystkim jej doświadczać. Pendergast używał tej techniki do

rozwiązywania najbardziej ulotnych i nieuchwytnych problemów, do zwizualizowania dzięki mocy swego umysłu miejsc, do których nie mógł dotrzeć fizycznie, miejsc odległych albo nawet należących do przeszłości. Ta metoda była jednak bardzo wyczerpująca i korzystał z niej tylko w skrajnych wypadkach.

Leżał przez wiele minut nieruchomo jak trup, najpierw porządkując starannie całe mnóstwo faktów, a potem wyostrzając zmysły i dostrajając je do otoczenia, a równocześnie wyciszając głos w swoim umyśle i wyłączając nieprzerwany komentarz, który rozlega się w ludzkich umysłach i który towarzyszy ludziom na co dzień, choć nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Ostatnio głos ten stał się wyjątkowo uporczywy i uciszenie go wymagało nie lada wysiłku. Pendergast musiał przejść z pozycji medytacyjnej stopnia trzeciego na poziom czwarty, wykonując w głowie skomplikowane równanie i rozgrywając cztery partie brydża równocześnie. Wreszcie głos ucichł, agent zaś przeszedł do kolejnych kroków starożytnej techniki mentalnej Chongg Ran. Na początek zablokował każdy dźwięk, każde doznanie, skrzywienie budynku, szum wiatru, zapach kurzu, twardość podłogi, na której leżał, pozorną nieskończoność swojej cielesnej świadomości, aż osiągnął stan stong pa nyid: stan Czystej Pustki. W tym stanie był tylko niebyt, nawet sam czas przestawał istnieć.

Wtedy wolno, bardzo wolno, z nicości coś zaczęło się materializować. Na początku było to niewielkie, delikatne i przepiękne jak jajko Fabergé. Bez pośpiechu kształt stawał się coraz większy i coraz wyraźniejszy. Wciąż mając zamknięte oczy, Pendergast pozwolił, aby to się ukształtowało i uformowało wokół niego. Dopiero wtedy otworzył oczy i znalazł się w jasno oświetlonym pomieszczeniu, wytwornym, eleganckim salonie restauracji, wypełnionym kryształami, brzękiem kieliszków i dźwiękami prowadzonych półgłosem rozmów.

Otoczony dymem z cygar i muzyką kwartetu smyczkowego, Pendergast rozejrzał się po wielkiej sali. Powiódł wzrokiem po stołach, aż zatrzymał spojrzenie na stoliku w samym rogu pomieszczenia. Siedziało przy nim czterech mężczyzn. Dwóch z nich śmiało się z jakiegoś żarciku; jeden miał na sobie surdut, drugi zaś strój wieczorowy. Pendergasta natomiast zainteresowało bardziej dwóch pozostałych gości. Jeden z nich szczególnie rzucał się w oczy, jeśli chodzi o ubiór: nosił białe rękawiczki, kamizelkę i mocno wyciągnięty surdut z czarnego aksamitu, a do tego cienki trzyrzędowy żabot, jedwabne bryczesy do kolan, pończochy i pantofle z fantazyjnymi kokardami. Z jego butonierki zwieszała się orchidea. Prowadził zawzięty dyskurs, mówiąc z ożywieniem i przytykając jedną rękę do piersi, drugą natomiast unosząc ku

niebu z wyprostowanym w górę palcem wskazującym, jakby naśladował Jana Chrzciciela. Mężczyzna obok niego, który zdawał się chłonać każde słowo swego kompana, wyglądał zgoła inaczej, a kontrast pomiędzy nimi był tak uderzający, że nieomal komiczny. Mężczyzna był krępy, w prostym, skromnym angielskim garniturze, z wielkimi wąsami i sądząc po zachowaniu, czuł się niepewnie.

Byli to Oscar Wilde i Arthur Conan Doyle.

Powoli w swoim umyśle Pendergast podszedł do stołu, przysłuchując się rozmowie lub raczej monologowi.

– Doprawdy? – spytał Wilde wyjątkowo głębokim, donośnym tonem. – Czy uważasz, że jako ktoś, kto z lubością złożyłby sam siebie w ofierze na ołtarzu estetyki, nie potrafiłbym rozpoznać oblicza grozy, gdyby przyszło mi się z nim zetknąć?

Nie było wolnych miejsc. Pendergast odwrócił się, skinął głową na kelnera i wskazał stolik. W jednej chwili mężczyzna przyniósł piąte krzesło i postawił je pomiędzy Conan Doyle'em a mężczyzną, którym, jak Pendergast się domyślił, musiał być Joseph Stoddart.

– Opowiedziano mi kiedyś historię tak straszliwą, tak przerażającą z uwagi na szczegóły i ogrom zawartego w niej zła, że odnoszę wrażenie, iż nie ma już nic, co mogłoby mnie naprawdę przerazić.

– To ciekawe.

– Chciałbyś ją usłyszeć? To nie jest opowieść dla ludzi o słabym sercu.

Przysłuchując się rozmowie, Pendergast wyciągnął rękę, nalał sobie kieliszek wina i stwierdził, że jest wyśmienite.

– Opowiedziano mi ją podczas mojej wizyty w Ameryce, kilka lat temu, gdzie wybrałem się z cyklem wykładów. W drodze do San Francisco zatrzymałem się w dość zapuszczonej, choć na swój sposób malowniczej osadzie górniczej zwanej Roaring Fork. – Wilde dla podkreślenia swoich słów dotknął ręką kolana Doyle'a. – Po wykładzie podszedł do mnie jeden z górników, mężczyzna przedwcześnie postarzały – zapewne wskutek nadmiernej słabości do mocnych trunków. Odprowadził mnie na stronę i wyznał, że moja opowieść tak mu się podobała, iż chciałby podzielić się ze mną swoją własną. – Wilde przerwał i nalał sobie odrobinę burgunda, po czym wypił niewielki łyk. – Przybliżył się zatem do mnie, o tak, a opowiem ci tę historię, tak jak sam ją usłyszałem...

Doyle nachylił się ku niemu. Pendergast również.

– Próbowałem mu się wymknąć, ale okazał się nieugięty i przez cały czas dyszał mi prosto w twarz tchnieniem przesyconym wonią miejscowego alkoholu. W pierwszej chwili miałem ochotę minąć go i pójść sobie, ale w jego oczach było

coś, co mnie powstrzymało. Przyznam, że byłem też nieco zaintrygowany – z antropologicznego punktu widzenia, Doyle, jeśli chodzi o ścisłość, tym obmierzłym osobnikiem, nieokrzesanym drabem, prostym, prymitywnym górnikiem, no i zaciekało mnie, co też mógł on mieć na myśli, mówiąc o „ciekawej historii”. Nadstawiłem więc uszu, gdyż amerykański akcent tego mężczyzny czynił jego bełkotliwą mowę prawie niezrozumiałą. Opowiedział mi o wypadkach, które rozegrały się kilka lat wcześniej, niedługo po tym, gdy odkrycia złóż srebra w pobliskich górach doprowadziły do powstania tej osady. Pewnego lata niedźwiedź samotnik – a przynajmniej tak wówczas sądzono – krążący po górach ponad miastem zaczął atakować, mordować... i zjadać... samotnych górników pracujących na swoich działkach.

Doyle pokiwał energicznie głową, a na jego twarzy odmalował się wyraz głębokiego skupienia.

– Naturalnie na całe miasteczko padł blady strach. Ale zabójstwa trwały, a w górach było wielu samotnych kopaczy. Niedźwiedź był bezlitosny, atakował górników w pobliżu ich chatynek, zabijając i okrutnie masakrując ciała, które rozczłonkowywał, a następnie pożywiał się ich mięsem. – Wilde przerwał. – Zapewne chciałbyś wiedzieć, czy... ee... do konsumpcji doszło, gdy nieszczęsna ofiara wciąż jeszcze była świadoma. Wyobrażasz sobie, jakie to musi być uczucie, gdy jest się pożeranym żywcem przez dziką bestię? Patrząc, jak odrywa ciało od kości, a potem przeżuwa i przełyka z wyraźnym zadowoleniem? To coś, czego Huysmans nigdy nie wziął pod uwagę w swoim *A rebours*. Jakie to smutne, że o tym nie pomyślał.

Wilde spojrział, by przekonać się, jaki skutek wywarły jego słowa na prowincjonalnym lekarzu. Doyle sięgnął po swój kieliszek z winem i opróżnił go jednym haustem. Pendergast, nasłuchując, też wypił mały łyk, a potem dał kelnerowi znak, aby przyniósł mu menu.

– Wielu próbowało wytropić tego niedźwiedzia – ciągnął Wilde – lecz nikomu się to nie udało, aż któregoś dnia pewien górnik, człek, który poznał tajniki tropienia, żyjąc pośród Indian, postanowił odnaleźć bestię. W wyniku podjętych przez siebie prób odnalezienia ludojada doszedł jednak do wniosku, że zabójstwa nie były wcale dziełem niedźwiedzia.

– Nie były dziełem niedźwiedzia?

– Czekał więc na kolejne zabójstwo, mężczyzna ów, nazwiskiem Cropsey, wyruszył w góry i idąc po śladach, odkrył niebawem, że sprawcami tej zbrodni jest grupka mężczyzn.

W tym momencie Doyle dość gwałtownie odchylił się do tyłu.

– Wybacz, Wilde. Chcesz powiedzieć, że ci mężczyźni byli... kanibalami?
– W rzeczy samej. To właśnie chcę powiedzieć. Byli amerykańskimi kanibalami.

Doyle pokręcił głową.

– Potworne. Potworne.

– To prawda – zgodził się Wilde. – Nie mieli za grosz dobrych manier, jak wasi angielscy kanibale.

Doyle, wyraźnie wstrząśnięty, spojrział na swego towarzysza.

– To nie powód do żartów, Wilde.

– Może i nie. To się okaże. Tak czy owak Cropsey dotarł tropem kanibali do ich kryjówki w opuszczonej kopalni, gdzieś na stokach góry, w miejscu zwanym Ścianą Przemysłownika. Naturalnie w mieście nie było policji, toteż mężczyzna zebrał niewielką grupkę samozwańczych stróżów prawa. Nazwali siebie Zgromadzeniem Siedmiu. Postanowili, że w środku nocy wdrapią się na górę, zaskoczą kanibali i wymierzą im sprawiedliwość wedle reguł amerykańskiego Zachodu. – Wilde poprawił kwiat w butonierce. – Następnej nocy, o północy, zebrali się w miejscowym saloonie, aby omówić strategię działań i zapewne odpowiednio uzbroić się do czekającej ich konfrontacji. Wyszli tylnym wyjściem, uzbrojeni po zęby i wyposażeni w latarnie, sznury i pochodnie. I w tym momencie, mój drogi Doyle'u, niniejsza opowieść przybiera... powiedziałbym, dość makabryczny obrót. Przygotuj się, to nie będzie przyjemne.

Kelner przyniósł menu, a Pendergast rzucił na nie okiem. Trzy lub cztery minuty później został wybity z chwilowego odrętwienia, gdy Doyle niespodziewanie poderwał się od stołu, przewracając przy tym krzesło, i niemal biegiem opuścił restaurację z wyrazem zgrozy i bezgranicznego obrzydzenia malującym się na jego twarzy.

– Co się stało? – zapytał Stoddart z niepokojem i troską w głosie, gdy Doyle pognął w stronę męskiej toalety.

– To pewnie przez krewetki – odparł Wilde, ocierając dyskretnie usta serwetką...

...Równie powoli, jak się rozległ, głos zaczął rozplýwać się i cichnąć w umyśle Pendergasta. Pełne przepychu wnętrza hotelu Langham zafalowały, jakby rozmywały się w ciemnościach i oparach mgieł. Wolno, bardzo wolno z pustki wyłoniło się nowe, zupełnie inne wnętrza. Było to zadymione, cuchnące wonią whisky wnętrza małego pokoiku na tyłach hałaśliwego saloonu, a przez cienkie drewniane ściany przesączały się odgłosy prowadzonych gier hazardowych, pijaństwa i zajadłych sporów. Pokoik niemal od złudzenia

przypominał ten, w którym znajdował się obecnie Pendergast we współczesnym Roaring Fork. Po krótkiej wymianie zdań prowadzonej pełnymi determinacjami głosami grupa siedmiu mężczyzn wstała od dużego stołu; nieśli latarnie i broń. Podążając za swoim przywódcą, jakimś Shadrachem Cropseyem, wyszli przez tylne drzwi w ciemną noc.

Pendergast pospieszył za nimi, a jego bezcielesna obecność unosiła się w chłodnym nocnym powietrzu jak duch.

Grupka górników schodziła gruntową główną ulicą miasteczka. Mężczyźni szli wolno, dopóki nie dotarli do granicy osady, gdzie kończyły się zabudowania, a wysoko w górę pięły się zalesione stoki. Noc była bezksiężycowa. W powietrzu unosiła się woń palonego drewna, a w pobliskich zagrodach konie krążyły zniecierpliwione. W milczeniu zapalili latarnie i ruszyli dalej nierówną górską ścieżką biegnącą zakosami coraz wyżej i znikającą wśród ciemnych jodeł.

Panował chłód, a niebo było upstrzone gwiazdami. Gdzieś pośród gór rozległo się wycie samotnego wilka, do którego po chwili dołączył następny. W miarę jak mężczyźni wspinali się coraz wyżej, strzeliste jodły zaczęły ustępować miejsca niższym, mniejszym drzewom iglastym, groteskowo powykręcany przez szalejące tu ciągle wichury i zalegający śnieg. Stopniowo zrobiło się ich coraz mniej i zastąpiły je gęste formacje równie powyginanych, poskręcanych drzew karłowatych. W oddali zaś dało się zauważyć ślady pozostawione przez koła wozów.

W myślach Pendergast podążał za mężczyznami.

Szereg żółtych latarni przesuwał się w górę po nagich, usłanych głazami stokach, zbliżając się do Kotliny Przemysłownika. Mężczyźni wchodzili właśnie na teren opuszczonej kopalni, a wokół nich można było dostrzec pozostałości po prowadzonych tu niegdyś pracach: walające się hałdy odpadów, ziejące otwory sztolni powyżej, skąd wyłaniały się rozchwierutane rynny do wysypywania wydobytego kruszcu, drewniane kozły oraz koryta.

W nocnych ciemnościach po prawej stronie majaczyła olbrzymia drewniana konstrukcja, wpasowana w płaską pochyłość u podstawy Kotliny Przemysłownika: główne wejście do słynnej kopalni Sally Goodin, kopalni, która wtedy, wczesną jesienią 1876 roku, wciąż była eksploatowana. Budowla mieściła urządzenia i bloki, z których korzystano, by podnosić i opuszczać klatki oraz wiadra, znajdowała się tu również dwustutonowa Irlandzka Pompa zdolna do przepompowywania ponad cztery i pół tysiąca litrów wody na minutę i z której

korzystano, gdy trzeba było usunąć wodę z kompleksu kopalni.

Teraz wszystkie latarnie zostały zgaszone – z wyjątkiem jednej, czerwonej, roztaczającej krwawy blask pośród czerni nocy. Szlak dla wozów rozdzielał się na kilka pomniejszych drózek wytyczonych w zboczach wzgórza ponad kotliną. Ich cel znajdował się w najwyżej położonym spośród wszystkich opuszczonych tuneli, na zboczu znanym jako Ściana Przemysłownika, na wysokości około trzech tysięcy metrów. Prowadził tam tylko jeden szlak, wykuty ręcznie w piargowym osypisku i pnący się pod górę ostrymi zakosami. Przechodził ponad granią i omijał niewielki staw polodowcowy, gdzie toń była czarna i nieruchoma, a na brzegach stały przerdzewiałe pompy i stare nieczynne koło wodne.

Siedmiu mężczyzn wspinało się coraz wyżej. Teraz, w słabym świetle gwiazd, na tle piargowego zbocza ukazało się wejście do Świątecznej Kopalni. Z otworu wyłaniały się drewniane kozły, a poniżej sterta starych belek i hałda odpadów kruszywa jaśniejszego koloru. Na zboczu poniżej walały się pozostałości drewnianych urządzeń.

Mężczyźni przystanęli, a Pendergast usłyszał cichy szmer głosów. Rozdzielili się w milczeniu. Jeden wspiął się na górę i ukrył wśród głązów nad wejściem. Drugi schował się pośród piargowego usypiska nieco poniżej wejścia.

Gdy obserwatorzy zajęli pozycje, czterech mężczyzn prowadzonych przez zaopatrzonego w latarnię Cropseya weszło do opuszczonego tunelu. Pendergast ruszył za nimi. Przesłona czerwonej latarni została wyregulowana tak, by dawała jedynie słabiutkie światło. Z bronią gotową do strzału podążyli gęsiego bezszelestnie wzdłuż żelaznych szyn wiodących w głąb tuneli. Jeden z nich trzymał w ręku smołowaną pochodnię, którą w każdej chwili mógł zapalić.

Gdy tak posuwali się coraz dalej, poczuli woń – smród, który w tej gorącej, wilgotnej, dusznej i ograniczonej przestrzeni stał się naprawdę nieprzyjemny.

Tunel Świątecznej Kopalni łączył się z drugim, poprzecznym, odchodzącym od tego głównego pod kątem prostym. Mężczyźni przystanęli i przygotowali broń. Żagiew została opuszczona, zazgrzytała zapalka i smoła zajęła się ogniem. W tej samej chwili mężczyźni wyłonili się zza zakrętu z bronią wycelowaną w głąb tunelu. Woń była teraz tak silna, że aż dławiała w gardle.

Cisza. Migające płomienie ukazały coś, co znajdowało się w ciemnościach na drugim końcu tunelu. Mężczyźni ostrożnie ruszyli w tę stronę. To był nieregularny pękaty kształt. Gdy podeszli bliżej, zobaczyli, że była to sterta miękkich rzeczy: butwiejącej juty, starych worków, liści, igliwia oraz mchu. Pośród tego zwałowiska można było dostrzec fragmenty nadgryzionych kości, pogruchotanych czaszek i strzępy czegoś, co wyglądało jak wysuszona

niewyprawiona skóra.

Skóra. Bezwłosa skóra.

Wokół tej sterty zalegały szerokie kręgi ludzkich odchodów.

Jeden z mężczyzn odezwał się ochryłym głosem:

– Co to ma być?

Z początku odpowiedzią na jego pytanie była cisza. Wreszcie jeden z pozostałych mężczyzn rzekł:

– To nora zwierzęcia.

– To nie są zwierzęta – powiedział Cropsey.

– Boże Wszchemogący.

– Gdzie oni są?

Głosy mężczyzn zaczęły przybierać na sile, rozbrzmiewać echem, w miarę jak pobrzmiwały w nich strach i niepewność.

– Ci dranie musieli wybrać się na łowy. Znów kogoś zabijają.

Pochodnia zaskwierczała i rozpałała się mocniej, tymczasem mężczyźni debatowali, co mają robić dalej. Schowali broń. Zdania były podzielone, konflikt w grupie narastał.

Wtem Cropsey uniósł rękę. Pozostali zamilkli, nasłuchując. Rozległo się szuranie stóp i gardłowe, zwierzęce ziajanie. Dźwięki ucichły. Mężczyzna z pochodnią czym prędzej zgasił ją w pobliskiej kałuży, a Cropsey przyciemnił latarnię. Zapadła niemal grobowa cisza, wydawało się, że zabójcy spostrzegli światło albo usłyszeli głosy, i wiedzieli, że ci ludzie tu są.

– Zrób choć trochę światła, na miłość boską – wyszeptał trwożliwie jeden z mężczyzn.

Cropsey nieznacznie uchylił przesłone latarni. Pozostali przykucnęli z rewolwerami i karabinami w gotowości do strzału. Słaba poświata z trudem rozpraszała półmrok.

– Więcej światła – powiedział ktoś.

Latarnia rozjaśniła teraz skraj bocznego tunelu. Zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Mężczyźni czekali, ale nic nie wyłoniło się zza załomu tunelu. Nie było też słycać odgłosów ucieczki.

– Dopadniemy ich – oznajmił Cropsey – zanim zdołają zbiec.

Nikt się nie poruszył. Wreszcie Cropsey pierwszy wysunął się naprzód, a pozostali podążyli za nim. Dotarł do bocznego chodnika, reszta została w tyle. Unosząc latarkę w dłoni, przystanął, przykucnął, po czym nagle wyskoczył zza załomu tunelu, trzymając karabin jak rewolwer w jednym ręku, a w drugim latarnię.

– Teraz!

Stało się to z nieprawdopodobną szybkością. Coś nagle błysnęło i przecięło powietrze, wydało bulgocący, gardłowy krzyk, a zaraz potem Cropsey odwrócił się i upuściwszy karabin, zatoczył się do tyłu, wijąc się z bólu. Nagi brudny mężczyzna wskoczył mu na plecy i rzucił się do gardła; bardziej niż istotę ludzką przypominał dziką bestię. Żaden z pozostałych czterech mężczyzn nie mógł oddać strzału, gdyż walczący byli zbyt mocno spleceni ze sobą. Cropsey krzyknął raz jeszcze, zataczając się chwiejnie i próbując zrzucić z siebie mężczyznę, który orał mu ciało zębami i paznokciami, atakując i rozdzierając wszystko, czego zdołał dosięgnąć: uszy, nos, oczy, usta. Wtem buchnęła struga tętniczej krwi z rozerwanego gardła i Cropsey upadł z wciąż wczepionym w niego potwornym stworem, a latarnia, która trzymał w ręku, spadła na ziemię i roztrzaskała się.

Jak pod wpływem jednego impulsu, czterej mężczyźni zaczęli równocześnie strzelać, na oślep, w ciemność. W błysku wystrzałów ujrzeli kolejne postacie zawodzące niczym dzikie zwierzęta, które wyłoniły się z bocznego chodnika pośród zamieszania, jakie wybuchło w głównym tunelu. Zaalarmowani hałasem, do kopalni wpadli także dwaj pozostawieni na zewnątrz obserwatorzy i przyłączyli się do strzelaniny. Raz po raz rozbrzmiewał huk wystrzałów z rewolwerów, a oślepiające błyski rozkwitały wśród kłębow gryzącego szarego dymu – i nagle zapadła cisza. Przez chwilę była jedynie ciemność. Nagle rozległo się skrobnięcie zapalniczki pocieranej o skałę; zapłonęła inna latarnia, a jej wątki blask ukazał walające się na ziemi ciała. Z czterech kanibali nie zostało nic prócz podziurawionych kulami zwłok rozrzuconych na nierównym podłożu i otaczających spoczywające pomiędzy nimi okrutnie rozszarpane ciało Shadracha Cropseya.

Było po wszystkim.

Piętnaście minut później Pendergast otworzył oczy. W pokoju było chłodno i cicho. Wstał, otrzepał swój czarny garnitur z kurzu, włożył ciepły płaszcz, szalik i rękawiczki, po czym wyszedł przez tylne drzwi saloonu. Burza śnieżna rozszalała się na dobre, przetaczając się przez Main Street i potrząsając świątecznymi dekoracjami jak delikatną pajęczyną. Pendergast otulił się szczelniej płaszczem, poprawił szalik, wtulił głowę w ramiona dla ochrony przed chłodem i ruszył przez ogarnięte śnieżycą miasteczko w stronę swego hotelu.

54

O jedenastej rano w Wigilię po posmarowaniu masłem dwustu kromek chleba, zmyciu minimum czterystu talerzy oraz posprzątaniu całej kuchni Corrie wróciła do swego pokoju, włożyła kurtkę i wyszła na mróz. Szanse, że Kermode albo jej zbiry mogły zacząć się na nią podczas takiej pogody, wydawały się niewielkie, mimo to Corrie poczuła przez moment na plecach lodowate ciarki. Pocięszała się myślą, że zmierza do najbezpieczniejszego miejsca w całym mieście, jakim jest posterunek policji.

Postanowiła stawić czoło Pendergastowi. No może niezupełnie chodziło jej o konfrontację, raczej o próbę wyciągnięcia od niego informacji, które udało mu się zdobyć podczas wyprawy do Leadville. Jej zdaniem postępował nieuczciwie, zatajając je przed nią. Bądź co bądź to ona odkryła związek Swintona z całą sprawą i podała mu to nazwisko. Skoro dowiedział się czegoś, co dotyczyło tych dawnych zabójstw, mógł jej przynajmniej o tym powiedzieć, aby zamieściła te informacje w swojej pracy.

Wiatr i wirujący śnieg przetaczające się przez całą ulicę zaatakowały ją, gdy skręciła w Main. Corrie pochyliła głowę i przytrzymała czapkę jedną ręką. Dzielnica biznesowa w Roaring Fork była względnie zwarta i wszystkie instytucje mieściły się blisko siebie, ale i tak dotarcie tam podczas śnieżycy okazało się wyprawą.

Z zadymki śnieżnej wyłonił się kształt posterunku policji, z okien bił żółty blask, który wydał się jej nieodparcie kuszący. Najwyraźniej pomimo pogody wszyscy byli w pracy. Wspięła się po schodach, otrzepała się w sieni ze śniegu, zdjęła wełnianą czapkę i szalik i weszła do środka.

– Zastałam agenta Pendergasta? – zwróciła się do Iris, recepcjonistki, z którą zaprzyjaźniła się przez ostatnie dziesięć dni.

– Ojej – westchnęła tamta. – On nie mówi, kiedy zjawi się i kiedy wychodzi, a pojawia się o najdziwniejszych porach. Nie potrafię za nim nadążyć. – Pokręciła głową. – Musisz zajrzeć do jego biura.

Corrie zeszła do piwnicy i po raz pierwszy ucieszyła się, że jest tu tak gorąco. Drzwi do biura były zamknięte.

Zapukała – bez odpowiedzi.

Gdzie on mógł się wybrać w taką pogodę? Na pewno nie było go w hotelu Sebastian, bo nie odebrał, gdy tam do niego zadzwoniła.

Nacisnęła klamkę. Drzwi zamknięte na klucz.

Chwilę stała bez ruchu z dłonią na klamce. A potem wróciła na górę.

– Znalazłaś go? – spytała Iris.

– Niestety nie – odparła Corrie. Zawahała się. – Zostawiłam w jego biurze coś ważnego. Masz może klucz?

Iris zamyśliła się.

– Mam, ale nie powinnam cię tam wpuszczać. Co zostawiłaś?

– Komórkę.

– Och. – Iris znów się zamyśliła. – No może jednak mogłabym cię wpuścić, ale musiałabym wejść tam z tobą.

– To cudownie.

Corrie zeszła za Iris do piwnicy. Po chwili kobieta otworzyła drzwi kluczem i zapaliła światło. W pokoju było gorąco i duszno. Corrie rozejrzała się dokoła. Na biurku leżały starannie poukładane papiery. Popatrzyła na nie, ale nic nie zdołała wyczytać.

– Nie widzę jej – powiedziała Iris, rozglądając się po pokoju.

– Może włożył ją do szuflady?

– Chyba nie powinnaś tam zaglądać.

– No jasne. Pewnie, że nie.

Nerwowo powiodła wzrokiem wokół biurka.

– Musi gdzieś tu być – powiedziała.

Właśnie wtedy Corrie zauważyła coś interesującego. Kartkę wyrwaną z niedużego notesu i pokrytą charakterystycznym odręcznym pismem Pendergasta, wystającą z pliku dokumentów. Jej uwagę zwróciły trzy podkreślone słowa: „Swinton” i „Świąteczna Kopalnia”.

– Może jest tutaj? – Corrie pochyliła się nad biurkiem, jakby chciała zajrzeć za lampę, ale „przypadkiem” potrafiła łokciem notatniki i odsłoniła kolejnych kilka linijek widniejących na wyrwanej kartce, na której Pendergast napisał: *Spotkajmy siem przy Ideale punkt 11 dzisiaj w nocy oni sie ukrywajom we w nieczynnej Świontecznej kopalni przy ścianie przemytnika jest ich 4...*

– Corrie, naprawdę musimy już iść – powiedziała stanowczo Iris, a na widok Corrie czytającej coś z kartki leżącej na biurku recepcjonistka aż zmarszczyła

brwi.

– No dobra. Przepraszam. Ale gdzie wobec tego mogłam zostawić tę cholerną komórkę?

Po powrocie do hotelu Corrie czym prędzej zapisała tych parę krótkich linijek z pamięci i popatrzyła na nie w zamyśleniu. Nie ulegało wątpliwości, że Pendergast skopiował jakiś liścik lub stary dokument traktujący o miejscu, gdzie miało dojść do rozprawy z kanibalami: w Świątecznej Kopalni. W rezydencji Griswellów widziała wiele map okręgu górniczego, każda kopalnia i tunel były starannie zaznaczone i opisane. Nie powinno być trudno znaleźć lokalizacji, a może nawet planów Świątecznej Kopalni.

To było ciekawe. Wszystko zmieniało. Podejrzewała, że górnicy obłąkani wskutek zatrucia rtęcią mogli ukrywać się w nieczynnej kopalni. Gdyby zostali zabici w tunelu lub szybie, ich szczątki wciąż jeszcze mogły tam leżeć.

Świąteczna Kopalnia... Gdyby zdobyła kilka kości i próbek włosów ze szczątków, mogłaby je przebadac na okoliczność zatrucia rtęcią. Takie badanie było proste i tanie, można było nawet zamówić specjalny zestaw, żeby przeprowadzić testy w domu. A jeśli wynik okaże się pozytywny, będzie to jej kolejny sukces. I to ona rozwiąże zagadkę starych zbrodni, ustalając ponad wszelką wątpliwość ich jakże niezwykły motyw.

Pomyślała przez chwilę o obietnicy złożonej Pendergastowi, że zostanie w hotelu i pod żadnym pozorem nie będzie próbowała odnaleźć osoby, która do niej strzelała oraz zabiła jej psa. Cóż, nie zamierzała szukać zamachowca. Tyle że Pendergast nie powinien zatajać przed nią informacji, zwłaszcza mających kluczowe znaczenie dla jej pracy.

Wyjrzała przez okno. Śnieżyca wciąż szalała w najlepsze. Ponieważ zbliżały się święta, wszystko było pozamykane, a miasteczko niemal całkiem opustoszało. To idealny czas, aby złożyć krótką wizytę w Archiwum Griswellów.

Corrie przystanęła na chwilę i włożyła do kieszeni niewielki zestaw wytrychów. Dom Griswellów z pewnością miał zamki z epoki – to dla niej żadne wyzwanie.

Znów ubrała się ciepło i wyszła w zadymkę. Na szczęście na ulicach nie było nic poza pługami śnieżnymi i nikt nie widział, jak dziarsko maszeruje przez opustoszałe miasto. Część świątecznych dekoracji, jak girlandy i wstęgi pozrywane przez wichurę, trzepotała teraz, smętnie zwieszając się z budynków i latarni. Zawieszane szeregowo ozdobne lampki świąteczne w niektórych miejscach też zostały pozrywane i migotały nieregularnie. Nie widziała zarysu gór, ale wciąż słyszała łoskot i zgrzyt pracującego wyciągu, czynnego pomimo

tego, co się wydarzyło, i pogody odstraszejacej amatorów białego szaleństwa. Możliwe jednak, że sporty narciarskie stanowiły tak integralną część kultury Roaring Fork, że i wyciągi, i pług odśnieżające ulice pracowały tu na okrągło.

Gdy skręciła w East Haddam, odniosła nagle wrażenie, że ktoś ją śledzi. Odwróciła się gwałtownie, przepatrując wzrokiem półmrok, ale nie zauważyła nic prócz wirującego śniegu. Zawahała się. Może to jakiś przechodzień albo po prostu jej wyobraźnia. Wciąż miała w pamięci ostrzeżenia Pendergasta.

Mogła to sprawdzić tylko w jeden sposób. Wróciła po swoich śladach, które na śniegu wciąż jeszcze były doskonale widoczne. I rzeczywiście, nieopodal dostrzegła ślady drugiej osoby. Ktoś ewidentnie szedł za nią, ale ni stąd, ni zowąd skręcił, znikając w sąsiedniej bocznej uliczce, zanim się odwróciła.

Corrie poczuła nagle, że serce zaczyna łomotać jej w piersi. No dobra, ktoś za nią szedł. Ktoś ją śledził. Może. Czy to był zbir, który chciał przegnać ją z miasta? Oczywiście mógł to być też zupełny zbieg okoliczności, a jej umysł był na skraju skądinąd usprawiedliwionej paranoi.

– Chrzanić to – powiedziała głośno, odwracając się i pobiegła w głąb ulicy.

Minęła jeszcze jeden zakręt i znalazła się przed rezydencją Griswellów. Tak jak przypuszczała, zamek był stary. Dostanie się do środka powinno być błahostką.

A jeśli mają tu system alarmowy?

Podmuchy wiatru uderzyły w nią, gdy zajrzała przez wąskie szybki w drzwiach frontowych, wypatrując alarmów. Nie zauważyła nic tak oczywistego jak czujniki podczerwieni czy detektory ruchu montowane zazwyczaj w rogach framugi. Nie zauważyła też informacji, jakoby budynek miał być strzeżony. Cała rezydencja wyglądała na zaniedbaną i na w pół zapomnianą. Może nikt nie uważał, aby znajdujące się tam sterty papierów miały jakąkolwiek wartość i że należałoby je chronić.

Ale jeśli był tu alarm i ona go uruchomi, czy policja faktycznie przyjedzie? Teraz gliny miały ważniejsze sprawy na głowie. A przy takiej śnieżycy, łamiących się konarach drzew i spadających soplach lodu alarmy zapewne rozdzwaniały się w całym mieście.

Rozejrzawszy się dokoła, zdjęła rękawiczki i szybko uporała się z zamkiem. Wślizgnęła się do środka, zamknęła za sobą drzwi i wzięła głęboki oddech. Zero alarmu, zero mrugających światełek, nic, cisza. O ile rzecz jasna nie liczyć zawodzenia śnieżycy na zewnątrz.

Zatarła energicznie dłonie, żeby je rozgrzać. To będzie bułka z masłem.

Pół godziny później, pochylona nad stertą papierów w pokoju na tyłach budynku, Corrie odnalazła to, czego szukała. Stara mapa pokazywała umiejscowienie i rozkład Świętecznej Kopalni. Według informacji, do których Corrie zdołała się dogrzebać, kopalnia została wyczyszczona do cna, była jedną z pierwszych, które wyeksploatowano i porzucono jeszcze w 1875 roku i – o ile zdołała się zorientować – nigdy nie otwarto jej ponownie. Zapewne dlatego właśnie tam urządzili sobie kryjówkę obłąkani górnicy.

Raz jeszcze z większą uwagą popatrzyła na mapę. Chociaż kopalnia znajdowała się na Ścianie Przemytnika na wysokości prawie czterech tysięcy metrów, nietrudno było do niej dotrzeć przez sieć starych górniczych dróg wyciosanych w zboczach góry, z których latem korzystały pojazdy z napędem na cztery koła, a zimą skutery śnieżne. Kopalnia wznosiła się nad dobrze znanym kompleksem starych zabudowań usytuowanych w naturalnej niecce zwanej Kotliną Przemytnika, która latem bywała często odwiedzana przez turystów. Jeden z budynków, nawiasem mówiąc, największy, służył z tego, że znajdowały się w nim pozostałości Irlandzkiej Pompy, rzekomo największej pompy świata, a przynajmniej tak ją reklamowano, gdy powstała; używano jej do odprowadzania wody z tuneli kopalni, kiedy szyby drażono poniżej poziomu wód gruntowych.

Święteczna Kopalnia z całą pewnością będzie zamknięta – wszystkie stare kopalnie i tunele w Roaring Fork, o czym dowiedziała się Corrie, były zamurowane lub zablokowane żelaznymi płytami. Włamanie do kopalni będzie trudne, a może wręcz niemożliwe, zwłaszcza z uwagi na śnieg. Mimo to warto spróbować. Miała uzasadniony powód, by wierzyć, że szczątki kanibali wciąż tam będą, być może ukryte w jakimś miejscu przez samozwańcych stróżów prawa, którzy ich zabili.

Gdy ślęczała nad papierami, planami i schematami, uświadomiła sobie – zgoła bezwiednie – że ma w głowie cały plan działania. Pojedzie do kopalni, odnajdzie

ciała i pobierze próbki. Co więcej, zrobi to teraz, dopóki droga wyjazdowa z miasta pozostaje nieprzejezdna i zanim Pendergast zdoła ją zmusić do powrotu do Nowego Jorku.

Ale jak miała dostać się tam, niemal na sam szczyt góry, podczas szalejącej śnieżycy? Odpowiedź zaświtała jej w głowie, niemal zanim jeszcze zadała sobie to pytanie. W magazynie sprzętu narciarskiego były przecież skutery śnieżne. Wybierze się do The Heights, pożyczy skuter ... i złoży krótką wizytę w Świątecznej Kopalni.

Pora była idealna: Wigilia, dziewięćdziesiąt procent tych, którzy jeszcze pozostali w mieście, na pewno odpoczywa teraz w najlepsze w zaciszu swoich domów. Nawet jeśli faktycznie ktoś ją śledził, nie zdoła dotrzeć za nią do kopalni, nie przy takiej pogodzie. Tylko krótki rekonesans, na szczyt góry i z powrotem... a potem zaszyje się w hotelu, dopóki warunki się nie zmienią i będzie mogła wreszcie opuścić to miasto.

Przyszło jej na myśl, że powinna uważać nie tylko na zbirów Kermode, lecz również na pogodę. Skoro jeszcze ktoś był tak szalony, żeby wychodzić w taką śnieżycę, to z nią nie było chyba aż tak źle? Powiedziała sobie, że musi działać powoli, krok po kroku. Gdyby burza śnieżna przybrała jeszcze bardziej na sile albo jeśli okaże się, że sytuacja ją przerosła, da sobie spokój i wróci do hotelu.

Schowała do kieszeni starą mapę kopalni i drugą, ukazującą całą okolicę, w której niegdyś znajdowały się kopalnie, z zaznaczonymi na niej tunelami łączącymi, po czym wróciła do hotelu Sebastian, wypatrując potencjalnego prześladowcy, ale nikogo nie zauważyła. W pokoju zaczęła przygotowywać się do czekającego ją zadania. Spakowała plecak z niewielką butelką wody, torebkami na próbki, czołówką z zapasowymi bateriami, dodatkowymi rękawiczkami, skarpetami, zapalnikami, manierką, batonami Mars i Reese's Pieces, zestawem wytrychów, nożem, pojemnikiem z gazem pieprzowym (który zawsze miała przy sobie) i komórką. Jeszcze raz spojrzała na zabraną z archiwum mapę Świątecznej Kopalni i stwierdziła zadowolona, że podziemne tunele są na niej bardzo wyraźnie zaznaczone.

Konsjerżka w hotelu wyposażyła ją w jakże przydatną mapę tras dla skuterów śnieżnych w okolicznych górach. Corrie zdołała także „pożyczyć” od obsługi hotelowej młotek z pazurem, przecinak do metalu oraz łom.

Ubrała się ciepło, załadowała rzeczy do samochodu i ruszyła Main Street, a wycieraczki pracowały pełną parą. Na szczęście opady śniegu trochę zelżały, wiatr również. Pługi nadal robiły swoje – w tym mieście usuwanie śniegu odbywało się na okrągło i skądinąd bardzo efektywnie – ale mimo to śnieżycą

ostro dała się drogowcom we znaki i na większości ulic warstwa białego puchu wynosiła od siedmiu do dziesięciu centymetrów. Ford explorer radził sobie jednak doskonale. Gdy Corrie zbliżała się do The Heights, w myślach powtórzyła wszystko, co zamierzała powiedzieć strażnikowi przy bramie, gdy jednak tam dotarła, okazało się, że brama jest otwarta, a budka strażnika pusta. Dlaczego nie? Robotnicy też chcieli mieć Wigilię, a komu by się chciało wychodzić w taką pogodę na dwór?

Ogrzewana droga na terenie osiedla była w niezłym stanie, choć syjący stale śnieg zmuszał systemy grzewcze do nieustannej pracy. Parę razy omal nie ugrzęzła, bo i tu mimo wszystko zaczęły tworzyć się zaspasy. Wrzuciła jednak napęd na cztery koła i samochód potoczył się dalej. Przynajmniej przy wyjeździe stąd będzie miała z górki.

Pośród wirującego śniegu spostrzegła budynek klubu, z zapalonymi światłami i wielkimi, wzmocnianymi oknami, przez które płynęła kusząca, złocista poświata. Na parkingu było jednak pusto i Corrie, podjechawszy przed sam budynek, wysiadła z samochodu. Wątpiła, aby ktokolwiek mógł być w środku. Mimo to nie chciała, by ktoś zauważył, jak wyprowadza skuter śnieżny. Potupawszy parę razy i otrzepawszy się ze śniegu, podeszła do budynku od frontu i nacisnęła klamkę w drzwiach.

Zamknięte.

Zajrzała do środka przez niewielkie szybki na prawo od drzwi. Wnętrze sali było jasno oświetlone i jaskrawo udekorowane. W kominku wesoło buzował gazowy ogień. Nikogo jednak nie było widać.

Dla pewności obeszła cały budynek dokoła, zaglądając przez okna, a wiatr, choć słabszy, wciąż szumiał jej w uszach. Potrzebowała pięciu długich minut, aby upewnić się, że nikogo nie ma w domu.

Wróciła pod boczną ścianę budynku gotowa ruszyć dalej, w stronę magazynu. Gdy przechodziła przez parking, zauważyła, że śnieg prawie przestał padać. Niewyasyfowana droga prowadząca do magazynu powinna być przejezdna. Wsiadła do explorera, uruchomiła silnik. Wszystko układało się po jej myśli. Wybierze skuter, bo wciąż miała klucz do kłódki przy drzwiach...

Kiedy jednak wykręciła przez okrągły podjazd w stronę budynku klubu i na powrót ku głównej, ogrzewanej drodze, zobaczyła na śniegu ślady drugiego kompletu opon nakładające się na te, które pozostawił jej samochód.

56

Zbieg okoliczności? To było możliwe. Corrie powiedziała sobie, że ślady mógł zostawić któryś z mieszkańców kompleksu, bądź co bądź stało tu dziesiątki domów. Może to jeden z rezydentów, który chciał zdążyć do domu, zanim burza śnieżna rozszałeje się na całego. Chociaż była już wcześniej śledzona, w mieście. I dlaczego samochód zajechał na parking? Ogarnął ją nagły niepokój i rozejrzała się dokoła, ale nigdzie nie dostrzegła innych pojazdów. Spojrzała na zegarek: druga. Zostały trzy godziny dziennego światła.

Ford wyjechał na drogę, lekko nim zarzucało. Corrie przyspieszyła. Ślizgiem weszła w ostatni zakręt i kierowała się ku parkingowi przy magazynie. Śnieg prawie już nie padał, ale szare chmury na niebie zapowiadały, że niebawem to się zmieni.

Nie zgasiła silnika; dwukrotnie sprawdziła zawartość plecaka – wszystko było na miejscu. Nie miała kombinezonu do jazdy na skuterze, ale ubrała się ciepło, na cebulkę, praktycznie miała na sobie wszystkie rzeczy, jakie tu ze sobą przywiozła, a poza tym dwie pary rękawiczek, kominiarkę i ciężkie śniegowe buty Sorela.

Wysiadła z auta i zważyła w dłoni ciężki plecak, by zaraz przerzucić go sobie przez ramię. Było dziwnie spokojnie. Wszystko tonęło w zimnym, szarym świetle, powietrze było mroźne, przy każdym oddechu z jej ust wypływała lekka mgiełka. W powietrzu czuło się zapach wiecznie zielonej roślinności. Korony drzew uginały się pod czapami śniegu i zwisały ciężko, śnieg piętrzył się też na dachu magazynu, rzędy sople lśniły zimno w słabym świetle.

Otworzyła kłódkę kluczem i po wejściu do magazynu zapaliła światło. Skutery śnieżne stały obok siebie z kluczykami w stacyjkach i z kaskami zawieszonymi na kołkach nieopodal. Podeszła, obejrzała je wszystkie po kolei, sprawdziła wskaźniki paliwa. Chociaż nigdy nie jeździła skuterem śnieżnym, jako nastolatka jeszcze w Kansas miała do czynienia z motocyklami krosowymi, a skutery zdawały się działać na podobnej zasadzie; przepustnica znajdowała się na

prawym uchwycie kierownicy, a hamulec na lewym. Wszystko wydawało się względnie proste. Wybrała najczystsza maszynę, upewniła się, że zbiornik paliwa jest pełen, wzięła kask i włożyła plecak do bagażnika pod siedzeniem.

Podeszła do głównych drzwi magazynu, otworzyła je od wewnątrz i z trudem rozsunała. Śnieg, który zebrał się przy wejściu, nasypał się do środka. Uruchomiła skuter, usiadła na siodełku i rzuciła okiem na urządzenia kontrolne, gaz, hamulec, zmianę biegów, po czym kilka razy zgasiła i zapaliła reflektory.

Pomimo trawiącego ją niepokoju i niepewności, poczuła, jak z wolna narasta w niej podniecenie. Potraktuje to jak swego rodzaju przygodę. Jeśli rzeczywiście ktoś ją śledzi, to czy uda się za nią na górę? Wydawało się to mało prawdopodobne.

Nałożyła kask i dodała lekko gazu, by wyprowadzić skuter z magazynu. Znalazszy się na zewnątrz, spróbowała zamknąć główne drzwi, ale uniemożliwiły to zalegające tam teraz zwały osypanego śniegu.

Uświadomiła sobie, że w zasadzie dopuściła się właśnie kradzieży skutera śnieżnego, co zapewne jest wykroczeniem. Biorąc jednak pod uwagę, że są święta, szaleje śnieżycy, a policja ściga podpalacza, szanse na schwytanie jej ocenia na zerowe.

Według mapy wejście do Świątecznej Kopalni znajdowało się pięć kilometrów stąd, wzdłuż starych szlaków, które teraz były dostępne wyłącznie dla skuterów śnieżnych. Jeśli będzie jechać ostrożnie, powinna dotrzeć na miejsce i dostać się do środka w maksimum piętnaście minut. Oczywiście może ją coś zaskoczyć. Może okazać się, że włamanie do tunelu jest niemożliwe albo że chodnik jest zasypany lub też same szczątki są zagrzebane albo tak ukryte, że nie zdoła ich odnaleźć. Lub też – uchowaj Boże! – zastanie na miejscu Pendergasta, który zdołał dotrzeć tam przed nią. Bądź co bądź o umiejscowieniu kopalni dowiedziała się w pewnym sensie od niego. Ale przynajmniej zrobiła wszystko co w jej mocy. Tak czy inaczej powinna dotrzeć na miejsce i wrócić w niecałą godzinę.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na mapy, próbując zapamiętać drogę, po czym włożyła je do schowka na rękawiczki pod niedużą owiewką. Wjechała jeszcze dalej w śnieg i nagle skuter zaczął się niebezpiecznie zapadać. Gdy jednak dodała gazu, zaraz podźwignął się i sunął pewnie. Wyjechała na drogę dojazdową łączącą się zgodnie ze wskazaniem mapy z siecią tras dla skuterów śnieżnych, którymi można było dotrzeć do starej górniczej drogi mającej doprowadzić ją do Kotliny Przemysłownika i znajdującego się powyżej wejścia do kopalni.

Bardzo szybko opanowała obsługę skutera i jechała teraz z całkiem niezłą

prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, a maszyna zostawiała za sobą kaskady wyrzucanego w górę śniegu. Jakie to przyjemne tak mknąć między drzewami, czując pęd powietrza i widzieć wokoło majestatyczne górskie szczyty. W wielowarstwowym stroju było jej całkiem ciepło.

Gdy dotarła do grani, znalazła tam główną trasę dla skuterów, nawiasem mówiąc, bardzo dobrze oznakowaną. Gęsty śnieg zasypał wszystkie ślady skuterów, ale trasa wiodła prosto wzdłuż Maroon Ridge i była oznakowana wysokimi słupkami z odblaskowymi pomarańczowymi paskami.

Jechała dalej. W miarę jak wysokość zwiększała się, drzewa dokoła stawały się coraz mniejsze i bardziej poskręcane, niektóre zupełnie niknęły pod warstwą śniegu – i niepostrzeżenie znalazła się powyżej linii drzew. Przystanęła, żeby spojrzeć na mapę – wszystko w porządku. Widok aż zapierał dech: w kotlinie poniżej Roaring Fork rozciągało się jak miniaturowa osada domków dla lalek, skąpana w bieli. Po lewej stronie miała stoki narciarskie poprzecinane białymi smugami tras zjazdowych. Wyciągi wciąż pracowały, ale na stokach dostrzegła jedynie garstkę najbardziej zapalonych miłośników białego szaleństwa. Za nią wznosiły się na prawie cztery i pół tysiąca metrów budzące trwogę wierzchołki działu wód.

Wedle wskazań mapy była w połowie drogi do kotliny, gdzie znajdowały się zabudowania starej kopalni.

Nagle z dołu dobiegło ją odległe brzęczenie, przystanęła więc, nasłuchując uważnie. To był silnik skutera śnieżnego. Oglądając się za siebie, zobaczyła na tej samej drodze, którą tu dotarła, niedużą czarną plamkę wyłaniającą się zza jednego z licznych zakrętów na szlaku i po chwili znikającą wśród drzew.

Ogarnęła ją fala paniki. Ktoś jednak ją śledził. A może to był po prostu miłośnik jazdy na skuterze śnieżnym? Nie, zbieg okoliczności to jedno, ale dziś już po raz trzeci odniosła wrażenie, że ktoś ją śledzi. To musiał być ten prześladowca – zbir najęty przez Kermode, człowiek, który jej groził i zabił jej psa. Znowu poczuła narastający strach. To nie była przygoda. To było niepotrzebne ryzyko graniczące ze zwykłą głupotą; naraziła się na niebezpieczeństwo, wyruszając poza miasto, w góry, na kompletne odludzie, gdzie nie mogła liczyć na niczyją pomoc.

Natychmiast wyjęła komórkę. Brak zasięgu.

Odgłos silnika szybko przybierał na sile. Nie miała wiele czasu.

Jej umysł pracował jak szalony. Nie mogła zawrócić, na dół wiodła tylko jedna droga, chyba że zdecydowałaby się na zjazd po niemal pionowym zboczu. Nie mogła zboczyć za szlaku i ukryć się gdzieś – maszyna zostawiła zbyt wyraźne

ślady. A śnieg był za głęboki, aby mogła porzucić skuter i ruszyć dalej pieszo.

Dopiero teraz zaczęło do niej docierać, że ma poważne kłopoty. Najlepsze, co mogła teraz zrobić, to pojechać do kopalni i włamać się tam, jeżeli zdoła, i wymknąć się prześladowcy gdzieś na tamtym terenie. Ma przecież mapę Świątecznej Kopalni, a facet, który ją ściga, nie.

Zanim ruszyła dalej, zauważyła, że skuter jej prześladowcy pokonał ostatni zakręt przed linią drzew i przyspieszył, zmierzając w jej stronę.

Odkręciwszy mocno przepustnicę, wyrwała do przodu, a skuter śnieżny przyspieszył do czterdziestu, pięćdziesięciu, w końcu do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nieomal frunęła, mając po jednej stronie prawie pionowe zbocze klifu, a po drugiej strome zwały śniegu. Pięć minut później pokonała kolejną grań i znalazła się na skraju odległej niecki, przed nią zaś, hen w dole, ukazał się stary kompleks górniczy zajmujący całe dno doliny oznakowanej na mapie jako Kotlina Przemytніка: otoczona wysokimi wzgórzami, z rozrzuconymi na jej obszarze dawnymi górniczymi zabudowaniami, których dachy zapadały się pod ciężarem zalegającego na nich śniegu. Niektóre chaty zmieniły się już w sterty potrzaskanych desek. Przystanęła na moment, aby zorientować się w terenie i spojrzeć na mapę. Świąteczna Kopalnia znajdowała się dużo wyżej, na stromym zboczu, w połowie wysokości góry, bezpośrednio nad starymi budynkami. Ściana Przemytніка. Z mapą w ręku, mrużąc lekko powieki, spojrzała w górę w szarym świetle, usiłując zlokalizować wejście. Oficjalnie szlak dla skuterów kończył się w tym miejscu, ale mapa pokazywała wciąż istniejącą starą górniczą drogę wiodącą do kopalni. Na stromej ścianie kotliny zobaczyła drogę wiodącą zygzakiem po zboczu, z mnóstwem ostrych zakrętów i zalegającymi na niej śnieżnymi zaspami.

Znów usłyszała odgłos zbliżającego się skutera śnieżnego.

Schowała mapę, dodała gazu, minęła stare zabudowania i skierowała się w stronę niecki, ku stromemu zboczu. Zdziwiła się, gdy wśród zabudowań ujrzała świeże ślady skutera, nieco już przysypane białym puchem, ale bez wątpienia utworzone wcześniej tego dnia.

Dotarła do wjazdu na stary szlak. To będzie przerażające. Gdy pomyślała o niemal pionowej ścianie wznoszącej się nad nią, usłyszała głośniejszy niż dotychczas ryk silnika i obejrawszy się przez ramię, stwierdziła, że drugi skuter pokonał właśnie grań na obrzeżach kotliny niecały kilometr od niej. Wyregulowała przepustnicę i ruszyła drogą pod górę, starając się trzymać jak najdalej od krawędzi zbocza, gdy pokonywała zalegające na drodze zasy i zwały śniegu. Pierwszy zakręt był tak stromy i wąski, że serce zamarło jej w piersi. Gdy

pokonywała go w ślimaczym tempie,omal nie ugrzęzła w zaspie, a próbując uwolnić się z pułapki, spowodowała lekkie osunięcie śniegu i jej skuter zaczął ześlizgiwać się ku krawędzi szlaku. Dodała gazu, rozrzucając kaskady śniegu dokoła, ale udało jej się opanować maszynę i powrócić na ścieżkę. Przystanąła, ciężko oddychając, przerażona ziejącą białą pustką poniżej. Zdała sobie sprawę, że na tym stromym zboczu zagrożenie lawinami musiało być duże. Zauważyła, że jej prześladowca przejeżdżał właśnie przez stary kompleks górniczy, zmierzając w ślad za nią. Był dostatecznie blisko, aby mogła zobaczyć, że przez ramię ma przewieszony karabin.

Zorientowała się, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Została uwięziona na tej górze. Droga kończyła się przy kopalni, nie było nic prócz pionowych klifów powyżej. I zabójcy poniżej.

Pokonała kilka kolejnych groźnych zakrętów, sunąc ryzykownie przez gęsty śnieg, nie zatrzymując się ani na chwilę. Wreszcie dotarła do wejścia do Świątecznej Kopalni, oznakowanego ustawionym tam drewnianym kozłem i prostokątnym otworem oszalowanym masywnymi zbutwiałymi belkami. Wjechała na skuterze wprost do kopalni, zdarła z głowy kask, podniosła siodełko i wyjęła plecak z bagażnika. Gdy tylko zgasła silnik, usłyszała ryk drugiego skutera.

Drzwi były umieszczone jakieś trzy metry od wylotu tunelu, a co za tym idzie, nie zostały zavalone przez śnieżne zasy. Zardzewiałe, wprawione we framugę z nitowanej stali, mocno naruszoną zębem czasu, miały ciężką, staroświecką kłódkę.

Odgłos silnika zbliżającej się maszyny stawał się coraz głośniejszy. Ogarnęła ją panika. Zdjęła rękawiczki, sięgnęła po swoje wytrychy i spróbowała użyć klucza uderzeniowego, ale zorientowała się, że kłódka jest zupełnie przerdzewiała i nie dałoby się jej sforsować żadnym, nawet najlepszym wytrychem. Wciąż słyszała w tle nadjeżdżający skuter.

Wyjęła z plecaka cęgi do metalu, ale okazały się zbyt wąskie, aby objąć masywną, grubą obręcz kłódki, przecięły jednak do połowy uchwyt, przez który obręcz kłódki była przewleczona. Z całej siły napała na uchwyty cęgów, które zwały się na metalowym uchwycie przy kłódce. Sięgnąwszy po młotek, uderzyła potężnie raz i drugi w nadcięty do połowy uchwyt, wyginając go tak, że wreszcie zdołała przeciąć go do końca. Ale całe drzwi były tak przerdzewiałe, że musiała uderzyć w nie parę razy młotkiem, żeby odbić kłódkę z uchwytu. Pchnęła żelazne drzwi, stawiały jednak silny opór przy wtórze przeszywającego uszy metalicznego zgrzytu.

Silnik zbliżającego się skutera wydał nagle głośniejszy ryk. Zobaczyła kaskadę śniegu, a po chwili maszyna pojawiła się u wylotu kopalni, kierowana przez mężczyznę w czarnym kasku i ocieplanym kombinezonie. Zsiadł ze skutera, zdjął kask i zsunął z ramienia karabin.

Z jej ust wyrwał się mimowolny okrzyk, gdy rzuciła się na drzwi, omal nie wybijając sobie przy tym barku; przy wtórze głośniego zgrzytu drzwi uchylły się na tyle, aby mogła się przez nie przecisnąć. Zabrawszy swój plecak, prześlizgnęła się przez szczelinę, po czym odwróciła się i znów napała całym ciałem na drzwi, aby je zatrzasnąć – w tej samej chwili rozległ się rozdzierający huk wystrzału, a kula karabinowa z wizgiem zrykoszetowała od drzwi i poleciała w głąb tunelu, krzesząc fontannę iskier, gdy trafiła w skalną ścianę za plecami dziewczyny.

Za drugim razem udało jej się całkowicie domknąć stare wrota. Zapierając się o nie, sięgnęła po czołówkę, nałożyła ją na kominiarkę i włączyła. Kilka pocisków uderzyło w metal z ogłuszającym łomotem, ale był solidny, gruby i kule pozostawiły na nim tylko niewielkie wgłębienia. Po chwili usłyszała, że mężczyzna uderza w drzwi z drugiej strony, uchylając je na kilka centymetrów. Znów napała na nie całym ciężarem, żeby je ponownie domknąć, po czym wyjęła z plecaka łom i wsunęła pod dolną krawędź drzwi. Zablokowała je, unieruchamiając łom paroma uderzeniami młotka, aż poczuła, że ten prowizoryczny klin trzyma mocno pomimo desperackich prób napastnika usiłującego sforsować tę zaporę.

Mężczyzna zaczął wściekle uderzać w metalowe drzwi, lecz nie ustąpiły. Wiedziała, że prędzej czy później desperat poradzi sobie z tą przeszkodą. Rozejrzała się dokoła. Wszędzie leżały pogruchotane kamienie oraz fragmenty starego sprzętu i pordzewiałego żelastwa.

Łup! Mężczyzna zaczął z impetem rzucać się całym ciężarem ciała na drzwi i za którymś razem łom wysunął się ze szczeliny.

Znów wbiła go młotkiem, a potem zaczęła nagarniać pod drzwi kamienie i stare żelastwo. Nieco dalej na torach zobaczyła stary wagonik do przewożenia kruszcu; nie bez trudu zdołała wprawić go w ruch i zepchnąć z szyn, tak że wagonik oparł się ukośnie o drzwi. Podtoczyła pod nie także kilka większych kamieni. Teraz wytrzymają – przynajmniej przez pewien czas. Osunęła się na ziemię, opierając się plecami o ścianę, i sapała ciężko, próbując odzyskać oddech i zastanawiając się, co teraz ma zrobić.

Kolejne kule uderzyły w drzwi, wywołując feerię ogłuszającego huku w tej ograniczonej przestrzeni i sprawiając, że gwałtownie poderwała się z ziemi. Sięgnęła po plecak i zaczęła wycofywać się w głąb tunelu. Dopiero teraz mogła

zobaczyć miejsce, w którym została uwięziona. Powietrze było chłodne, ale nie tak mroźne jak na zewnątrz, przesycone wonią pleśni i żelaza. Tunel biegł prosto w głąb litej skały podtrzymywany co dwa, trzy metry ciężkimi drewnianymi stemplami. W ciemność wiodły tory dla wagoników, którymi dawniej wywożono stąd urobek.

Pobiegła truchtem, a towarzyszyło jej echo odgłosów desperackich działań jej prześladowcy. Dotarła do odnogi tunelu, skręciła w nią, a gdy okazało się, że to ślepa uliczka, zatrzymała się, aby odpocząć. I pomyśleć.

Udało jej się zyskać trochę na czasie, ale facet w końcu sforsuje zablokowane przez nią drzwi. Według starej mapy ta część Świątecznej Kopalni łączyła się z innymi, niższymi chodnikami, tworząc istny labirynt szybów i sztolni; oczywiście nie wiadomo, czy wszystkie są wciąż dostępne. Gdyby mogła do nich dotrzeć... znaleźć wyjście... tylko co by jej to dało? Pokrywa śniegu na zewnątrz miała co najmniej metr grubości, nie ma mowy, żeby ktokolwiek wydostał się stąd na piechotę. Mogła wydostać się z tej góry tylko w jeden sposób – na skuterze śnieżnym.

Nikt nie wiedział, że ona tu jest. Nikomu o tym nie powiedziała. Boże, pomyślała, w co ja się znowu wpakowałam.

W tej samej chwili usłyszała przeraźliwy metaliczny zgrzyt, potem drugi. Wyrzała zza załomu korytarza w stronę odległych drzwi i zobaczyła wąziutki trójkąt światła. Jeszcze jeden zgrzyt i trójkąt poszerzył się.

Mężczyzna sforsował drzwi, podważając je. Zobaczyła rękę, okrutne oblicze – i dłoń z krótką bronią palną.

Gdy padł strzał, rzuciła się do ucieczki.

Kule ze świstem przelatywały obok niej, krzesząc snopy iskier, gdy rykoszetowały od kamiennego podłoża głównego chodnika na wprost niej i ulatywały w dal z dzikim brzęczeniem jak rozjuszony pszczoły. Przerazona biegła, przeskakując nad starymi torami i spodziewając się, że lada chwila poczuje na plecach pocisk powalający na ziemię. Tunel kończył się kolejnym rozwidleniem, kolejną odnogą i skalną ścianą. Następna kanonada wypełniła jego wnętrze głośnym echem; kule uderzały w stemple ponad nią, odłupując z nich długie drzazgi, wzbijając chmury kurzu i odbijając się przy wtórze oślepiających błysków od litej skały tuż przed nią.

Skoczyła za załom korytarza i pobiegła dalej. Rozpaczliwie próbowała przypomnieć sobie rozkład tuneli, który widziała na mapie, ale panika sprawiła, że jej umysł się wyłączył. Strzały na moment ucichły, gdy znikła w bocznym korytarzu, i teraz jej oczom ukazał się inny, dużo węższy tunel ciągnący się stromo w dół, z wyciosanymi w podłożu wrębami tworzącymi coś na kształt prymitywnych stopni. Zbiegła po nich, pokonując po dwa stopnie naraz, i znalazła się na niższym chodniku, którego środkiem, po kamienistym podłożu płynęła woda. Było tu znacznie cieplej, może nawet powyżej zera, i w stroju na cebulkę zaczęło jej się robić gorąco.

– Nie uciekniesz! – dobiegło ją wołanie mężczyzny. – Te wszystkie chodniki są pozasypywane! Nie wydostaniesz się!

Bzdura, powiedziała do siebie z zuchwałością, której jednak wcale nie czuła.

Rozległy się kolejne dwa strzały, ale kule trafiły w ścianę z tyłu za nią i poczuła tylko, jak poobłupywane drobne kamyki dziurawią jej kurtkę. Rozejrzała się wokoło. Następny tunel odchodził w lewo, także prowadząc w dół, pod jeszcze ostrzejszym kątem, stopnie były śliskie od wody, a przy ścianie, zapewne dla bezpieczeństwa, rozwieszono grubą, teraz mocno przegniłą linę.

Zacisnęła na niej dłoń i zbiegła w dół z brawurową prędkością. W którymś momencie poślizgnęła się i rozpaczliwie schwyciła za linę, ale ta rozsypała się

w pył pomiędzy jej palcami. Rzuciła się naprzód, przetoczyła przez ramię i poturlała w dół, aż wylądowała na dnie tunelu rozciągnięta bezwładnie na wilgotnych kamieniach. Gruba wielowarstwowa zimowa odzież i wełniana czapka złagodziły – choć nie do końca – impet upadku.

Podniosła się chwiejnie, bolały ją ręce i nogi, a na czole miała głębokie, piekące skaleczenie. Znajdowała się w szerokim, niskim wyrobisku o wysokości zaledwie półtora metra, gdzie sklepienie podtrzymywane było przez kamienne kolumny. Wyrobisko rozciągało się w dwóch kierunkach tak daleko, jak sięgało światło jej czołówki. Na ugiętych nogach lawirowała pomiędzy kolumnami, oświetlając sobie drogę czołówką, którą to zapalała na chwilę, aby zobaczyć, co ma przed sobą, to znowu ją gasiła i dalej poruszała się zupełnie po ciemku. Zrobiła tak jeszcze dwa razy, a potem, gdy światło było zgaszone, skrzyła ostro w prawo, zwolniła i zaczęła iść naprzód najciszej jak potrafiła.

Promień latarki prześladowcy przeciął ciemność za jej plecami; światło się kołysało z boku na bok, gdyż najwyraźniej mężczyzna biegł. Ukryła się za jedną z kolumn i przywarła do niej całym ciałem. Tamten już jakiś czas temu stracił ją z oczu i właśnie przechodził obok. Po chwili zobaczyła, że on zwalnia i obraca się, trzymając pistolet w prawym ręku. Najwyraźniej zdał sobie sprawę, że ją zgubił.

Wymknęła się zza kolumny i zawróciła w tę samą stronę, skąd oboje nadeszli, po czym skrzyła w inny korytarz, posuwając się naprzód po ciemku; nie odważyła się zapalić czołówki, tylko wyczuwała drogę, wyciągając przed siebie ręce. Zamrugła, otarła oczy – krew z rany na czole płynęła coraz obficie. Ujrzała za sobą błysk światła i zrozumiała, że mężczyzna również postanowił zawrócić. Przyspieszyła kroku, zdjęła z głowy czołówkę i trzymała ją tuż nad ziemią, by przez sekundę lub dwie oświetlać podłogę przed sobą i móc się zorientować, czy uda jej się iść trochę szybciej.

To nie było dobre posunięcie. Huknęły dwa strzały i usłyszała, jak mężczyzna za nią zrywa się do biegu; promień jego latarki przeciął mrok i odnalazł ją. Jeszcze jeden strzał. Tylko że ten idiota celował do niej w biegu, a takie sztuczki udają się tylko w serialach telewizyjnych, wobec czego wykorzystała tę okazję, aby pognać przed siebie co sił w nogach.

Dosłownie w ostatniej chwili zobaczyła pionowy szyb ziejący w kamiennym podłożu dokładnie na wprost niej. Zatrzymała się tak gwałtownie, że upadła na bok i poszorowała po ziemi jak zawodnik drużyny bejsbolowej zdobywający ostatnią bazę. Mimo to jej noga wysunęła się poza krawędź i Corrie zaczęła odczołgiwać się do tyłu, zapierając się o podłogę rękami i nogami, aby tylko

znaleźć się jak najdalej od tej czeluści. Z jej ust mimowolnie wydobył się pisk przerażenia. Ponad przepaścią rozciągnięty był żelazny chodnik, ale kładka wyglądała na kompletnie przerdzewiałą. W dół, w ciemność prowadziła równie skorodowana żelazna drabinka.

Albo jedno, albo drugie.

Wybrała drabinkę. Schwyciła pierwszy szczebel i opuściła się poza krawędź szybu; jej stopa odnalazła szczebel poniżej, a po chwili następny. Konstrukcja zaskrzypiała i zatrzęsała się pod jej ciężarem. Z dołu napłynął podmuch jeszcze cieplejszego powietrza. Nie było już odwrotu, zaczęła schodzić najszybciej jak tylko mogła, podczas gdy drabinka dygotała i kołysała się niebezpiecznie. Wtem rozległ się głośny trzask, potem drugi, gdy metalowe sworznie łączące drabinkę ze skałą oderwały się, a drabinka gwałtownie się osunęła. Corrie przywarła z całej siły do niepewnej konstrukcji, szykując się na nieunikniony, przypuszczalnie zabójczy w skutkach upadek, ale gięty metal tylko zazgrzytał, pozostając przytwierdzony do ściany.

Powyżej pojawił się snop światła i błysk pistoletu. Corrie zacisnęła dłonie na bocznych krawędziach drabinki i zdjęła stopy ze szczebli, by ześlizgnąć się szybko; wokół niej w powietrzu zaroilo się od osypujących się płatów rdzy. W końcu wylądowała ciężko na dnie szybu i odturlała się w bok na ułamek sekundy przed tym, jak padły następne strzały, orząc kamienne podłoże w miejscu, gdzie znajdowała się jeszcze przed chwilą.

Niech to szlag, coś jej się stało w kostkę.

Czy tamten miał dość odwagi, aby zejść po chyboczącej się drabince? U podstawy metalowej konstrukcji leżała sterta starych worków i desek. Corrie, kuśtykając, utworzyła z nich spory stos. Były suche jak pieprz i praktycznie rozpadały się w rękach. Drabinka nagle zaczęła dygotać i skrzypieć – prześladowca jednak zdecydował się zejść.

Co oznaczało, że nie będzie mógł do niej strzelać.

Na stercie worków ułożyła parę desek, wyjęła zapalniczkę i podpaliła ten prowizoryczny stos. Zapłonął jak pochodnia.

– Idź do piekła! – zawołała, oddalając się w głąb tunelu i starając się ignorować przejmujący ból w kostce.

Boże, odniosła wrażenie, że kostka jest złamana. Kuśtykając i krzywiąc się z bólu, przeszła przez jeszcze jeden tunel, a potem następny; skręcała w kolejne odnogi na chybił trafił. Teraz na dobre się pogubiła. Na pewno opuściła już Świętęcną Kopalnię i znalazła się w labiryncie tuneli Sally Goodin lub któregoś ze znajdujących się głębiej wyrobisk, które wypełniały całe wnętrze tej góry

podziurawionej niczym plaster miodu. Usłyszała dochodzące z tyłu odgłosy, co mogło świadczyć o tym, że jej prześladowca zdołał ominąć ognistą pułapkę albo po prostu poczekał, aż stare drewno i worki wypalą się do końca.

Przed sobą w świetle czołówki dostrzegła zawał, ostre, kanciaste głązy rozsypane na skalnym podłożu, na nich zaś spoczywało kilka starych stempli. Jednak pośród rumowiska można było dostrzec wąziutki przesmyk. Z góry napływało chłodne powietrze. Wspięła się z niemałym trudem na stertę głązów i potrząskanych belek, po czym spojrzała w górę. Przez szczelinę dostrzegła fragmencik ciemnego szarego nieba – i nic poza tym. Nie było stąd wyjścia, nie miała jak dostać się do szczeliny.

Pięła się coraz wyżej przez zwałowisko i w końcu dotarła do płaskiego obszaru po jego drugiej stronie. Nagle usłyszała dziwne grzechotanie. Znieruchomiała, poświeciła przed siebie, a z jej ust wyrwał się okrzyk. Gorączkowo zaczęła się wycofywać. Wśród zwałonych głązów na jej drodze przez zapadlisko spoczywała splątana masa pogrążonych w hibernacji grzechotników. Węże drzemały, gdyż panował tutaj chłód, ale kłębowisko gadów cały czas się poruszało jak w zwolnionym tempie, pulsując i przelewając się jeden przez drugiego, jakby stanowiły jeden organizm. Niektóre się rozbudziły na tyle, że poruszały ostrzegawczo ogonami, na których końcach znajdowały się charakterystyczne grzechotki.

Poświeciła dokoła i zauważyła jeszcze więcej grzechotników zalegających w rozmaitych większych i mniejszych szczelinach między głązami. Były wszędzie, w ogromnych ilościach. Poczula lodowate ciarki, gdy uświadomiła sobie, że znajdowały się również za nią.

Rozległ się huk wystrzału i poczuła, że jej dłoń drgnęła w odpowiedzi na uderzenie kuli. Odruchowo przeskoczyła nad płataniną węży, przeciskając się wśród kamieni, a ból w kostce dawał się coraz bardziej we znaki. Dał się słyszeć następny wystrzał i jeszcze jeden, więc Corrie ukryła się za wielkim gładem, tuż obok śpiącego tłustego grzechotnika. Opodal było mnóstwo kamieni – tej okazji nie mogła przegapić. Ujęła w prawą dłoń ciężki kamień – z lewą ręką było coś nie tak, ale tym będzie przejmować się później – po czym wskoczyła na ogromny gład i z impetem cisnęła kamień prosto w największe skupisko węży.

Kamień trafił w płataninę grzechotników, a reakcja była natychmiastowa i przerażająca – istna eksplozja gniewnego brzęczenia, które wypełniło tunel. Leniwe i ospałe dotąd kłębowisko zmieniło się w wir prześlizgujących się giętkich, sprężystych ciał, wijących się, atakujących i rozłazących się na wszystkie strony; kilka pełzło także w jej kierunku.

Zaczęła się gramolić do tyłu. Znów huknął strzał, a kula trafiła w głaz nieopodal niej, niebezpiecznie rykoszetując tuż obok jej głowy i Corrie wpadła pomiędzy dwie skały. Brzęczenie wypełniło jaskinię jak odgłosy wielkiego, włączonego na pełną moc dynama. Poderwała się i pobiegła, ciągnąc za sobą uszkodzoną w kostce nogę. Kilka węży próbowało ją ukąsić, ale uskoczyła. Dwa grzechotniki wbiły się zębami w gruby materiał jej ocieplanych spodni. Z krzykiem zaczęła uderzać w nie otwartymi dłońmi, próbując je z siebie strząsnąć; nieomal tańczyła wśród atakujących węży, gdy między skałami rozległy się dwa następne strzały. Po chwili zostawiła za sobą wściekłą skłębioną masę gadzich ciał, kuśtykając w głąb tunelu, aż do momentu gdy nie była w stanie utrzymać się na nogach i z jękiem bólu osunęła się na ziemię. Leżała, ciężko dysząc, a po jej twarzy płynęły łzy. Kostkę miała z całą pewnością złamaną. No i jeszcze ręka; nawet w ciemnościach widziała, że rękawiczka przesiąkała ciemną ciecżą. Zdjęła ją i uniosła dłoń do światła, a to, co zobaczyła, kompletnie ją zdumiało: mały palec zwisał na wąskim pasku skóry niemal zupełnie oderwany, z postrzępionego otworu ciekła krew.

– Kurwa!

Pozbyła się bezużytecznego palca, potrząsając ręką, aż odpadł, i omal nie zemdląła z szoku i obrzydzenia. Zdjęła szalik, pocięła go nożem na paski i owinęła nimi uszkodzoną dłoń oraz kikut palca, aby zatamować upływ krwi.

Mój palec. Jezu. Jak we śnie, wstrząśnięta, z niedowierzaniem nałożyła rękawiczkę na dłoń z prowizorycznym opatrunkiem, aby go jeszcze lepiej przytrzymać. W tej samej chwili usłyszała za sobą krzyk, a potem wrzask i całą serię strzałów. Ale tym razem nie ona była celem. Tunel wypełnił się charakterystycznym grzechotaniem zdradzającym cały bezmiar gadziej wściekłości. Znów krzyki i strzały.

Musi iść dalej, w końcu znajdzie się poza siedliskiem węży, o ile rzecz jasna nie zostanie ukąszona. Podźwignęła się na nogi, próbując przewalczyć zawroty głowy i narastające mdłości. Chryste, potrzebowała kuli, ale nie widziała nic odpowiedniego. Mocno kulejąc, poszła dalej tunelem, który na pewnym odcinku opadał coraz bardziej, minęła kilka jego bocznych odnóg. W którymś momencie dotarła do niewielkiej wnęki przesłoniętej skałami, które tworzyły coś na kształt prowizorycznej ściany, ale połowa tej ściany już nie istniała. Kryjówka? Pokuśtykała w tę stronę, wyjęła kilka kolejnych kamieni i zajrzała do wnęki.

Promień światła padł na stadko szczurów, które rozpierzchły się na wszystkie strony, głośno popiskując i odsłaniając szczątki kilku ciał.

Popatrzyła na nie w osłupieniu. Były tam cztery szkielety ułożone jeden przy

drugim, albo raczej cztery mumie, gdyż na ich kościach wciąż było widać wyschnięte tkanki, zbutwiałą odzież, stare buty i włosy. Wysuszone głowy były odchylone do tyłu, a szczęki szeroko rozdziawione jak do krzyku, ukazując zмумifikowane usta pełne szerniałych, zepsutych zębów.

Gdy podpełzła bliżej, aby się lepiej przyjrzeć, dostrzegła wszystkie oznaki. Zostali zastrzeleni – zobaczyła liczne otwory w czaszkach, a wiele z kości było pogruchotanych zapewne wskutek trafienia ciężkim rewolwerowym pociskiem. Grupa samozwańszych stróżów prawa znacznie przesadziła, wymierzając im karę. Aby zabić tych ludzi, nie musieli wcale dziurawić ich jak sita, ale tak właśnie uczynili w przypływie niepomamowanej morderczej wściekłości.

Czterej górnicy obłąkani wskutek zatrucia rtęcią. Zostali zabici gdzieś w tych tunelach, zapewne w Świętecznej Kopalni, a potem ich ciała zawleczono tutaj i ukryto.

Obok szczątków leżała długa masywna laska, prawie maczuga, należąca zapewne do jednego z morderców. Posłuży jej za prowizoryczną kulę.

Tak szybko jak tylko mogła, nie naruszając przy tym integralności znaleziska, zdjęła plecak, wyjęła torebki na materiały dowodowe i rozłożyła na ziemi. Zdjęła rękawiczkę ze zdrowej ręki i pobrała od każdego z nieboszczyków próbki włosów, fragment zeschniętej skóry oraz niewielki kawałek kości. Włożyła je do zamykanych foliowych torebek i schowała do plecaka. Sfotografowała ciała komórką i zarzuciła plecak na ramiona.

Stękaając z bólu, zdołała się podnieść dzięki lasce. Teraz musiała ustalić, gdzie się znajduje, i odnaleźć wyjście, nie dając się przy tym zastrzelić.

Jak na zawołanie z miejsca gdzieś przy zapadlisku dobiegło ją kilka kolejnych strzałów. Prawie mogła sobie wyobrazić odgłosy rozjuszonych grzechotników i ciche posykiwanie w oddali, pełne zadowolenia, jak szmer oceanu.

Ruszyła dalej w głąb tunelu, pojękując z bólu i próbując wypatrzeć jakiś punkt orientacyjny, który mogłaby później odnaleźć na mapie i w ten sposób zlokalizować wyjście. Odetchnęła z ulgą, gdy dziesięć minut później natrafiła na rozgałęzienie tuneli – trzech poziomych i jednego pionowego szybu. Osunęła się na ziemię, wyjęła mapę i spróbowała odnaleźć ten punkt.

Udało jej się to bez większego trudu.

Dzięki Bogu. Nareszcie jakiś przełom. Zgodnie ze wskazaniem mapy znajdowała się teraz w kopalni Sally Goodin, niedaleko dolnego wyjścia. Tunel odprowadzający wodę z biegnącą tamtędy rurą znajdował się niespełna kilkaset metrów od miejsca, do którego właśnie trafiła, i prowadził wprost do Irlandzkiej Pompey w kotlinie pod Święteczną Kopalnią. Złożywszy mapę, schowała ją

i skierowała się do wskazanego tunelu.

I rzeczywiście: po kilku minutach mozolnego marszu dotarła wreszcie do płytkiego strumienia płynącego na dnie chodnika i ujrzała wylot starej rury do odprowadzania wody, mającej prawie metr średnicy, ciągnącej się wzdłuż jednej ze ścian tunelu. Schyliła się i wpełzła do środka zadowolona, że nie musi dalej iść, po czym zaczęła przesuwać się coraz bardziej w głąb rury do odprowadzania wody.

Było w niej ciemno i ciasno, a grube ubranie Corrie co chwila zahaczało się i rozdzierało na przerdzewiałych fragmentach odpływu. A jednak dziewczyna posuwała się naprzód względnie gładko, nie grzęznąc nigdzie ani nie natrafiając na żadne przewężenia. Niecałe dziesięć minut później poczuła, że dopływające tu powietrze jest chłodniejsze i bardziej rześkie, wydawało się jej też, iż poczuła śnieg. Po kilku minutach ujrzała przed sobą słabe światło i oto wyszła na zewnątrz, najpierw przez boczny, a następnie przez częściowo uchylone drewniane drzwi. Znalazła się w ciemnym, cuchnącym pomieszczeniu pełnym zardzewiałych rur i wielkich zaworów. Zrobiło się naprawdę bardzo zimno, a szare, przyćmione światło sączyło się przez szczeliny w drewnianym suficie. Pomyślała, że musiała się znaleźć gdzieś w głębi budynku mieszczącego starą Irlandzką Pompe.

Z westchnieniem ulgi rozejrzała się wokoło i zauważyła stare schody prowadzące pod górę. Gdy pokuśtykała w ich stronę, kątem oka zobaczyła poruszający się ciemny kształt. Postać ludzką zbliżającą się do niej w błyskawicznym tempie.

Udało mu się przejść przez kłębowisko węży. Przedostał się i zaszedł mnie z boku...

Jedna ręka objęła ją w pasie, druga schwyciła za szyję, zakrywając usta, tłumiąc jej krzyk i odchylając jej głowę do tyłu. A potem w półmroku zobaczyła twarz, którą rozpoznała.

– ...Ted.

– To ty! – zawołał, rozluźniając uścisk i odsuwając dłoń od jej ust. – To ty! Co ty tu robisz, u licha?

– O Boże – wyszeptała. – Ted! Tam jest mężczyzna. Tam, w tunelach... próbował mnie zabić. – Nie była w stanie mówić, gdy ją tak trzymał.

– Ty krwawisz!

Zaczęła szlochać.

– Dzięki Bogu, Ted. Bogu dzięki, że tu jesteś. On ma broń...

Uścisk Teda wzmógł się, gdy zmusił ją, by wstała.

– Gdy tu przyjdzie, będzie po nim – wycedził złowieszczo.

Corrie szlochała i pojękiwała cichutko.

– Tak się cieszę, że cię widzę... Odstrzelił mi palec... Muszę pojechać do szpitala.

Ted wciąż ją przytrzymywał.

– Zajmę się tobą – powiedział.

58

O wpół do trzeciej po południu mężczyzna w przepastnym płaszczu, rękawiczkach, jedwabnym szaliku i filcowym kapeluszu, niosący butelkę szampana zadzwonił do drzwi wielkiej rezydencji w stylu włoskim przy Mountain Trail Road 16. Służąca ubrana w prosty czarny strój i biały fartuszek oraz czepek otworzyła drzwi.

– W czym mogę pomóc? – zaczęła, lecz mężczyzna już wparował do środka, składając świąteczne życzenia i skutecznie ją zagłuszając.

Oddał jej kapelusz, szalik i płaszcz, ukazując czarny garnitur, który miał pod spodem.

– Śnieżycy chyba odpuszcza! – rzucił w przestrzeń, a jego głos odbił się gromkim echem w marmurowym foyer. – Wielkie nieba, ależ dziś ziąb!

– Rodzina zasiadła do wigilijnej wieczerzy... – zaczęła ponownie służąca, ale nieznajomy w czerni zdawał się jej nie słyszeć, gdy kroczył przez foyer, minął wielkie łukowate schody i wszedł do długiego korytarza wiodącego do jadalni. Służąca pospieszyła za nim, niosąc jego odzienie wierzchnie. – Jak pańska godność?

Nie zwracał jednak na nią uwagi.

– Powinnam pana zaanonsować.

Nie mogła za nim nadążyć. Stał przed podwójnymi olbrzymimi drzwiami do jadalni, schwycił obie klamki i otworzył je silnym szarpnięciem, ukazując całą rodzinę, ponad tuzin osób, siedzącą wokół eleganckiego stołu błyszczącego od sreber i kryształów. Na wielkiej tacy pośrodku stołu spoczywały resztki prosięcia: sterczące żebra otoczone strzępami tłuszczu i zupełnie nietknięty łeb z poskręcanyymi uszami i nieodłącznym pieczonym jabłkiem w pysku.

Wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem na nowo przybyłego.

– Próbowałam... – zaczęła służąca, ale dżentelmen w czerni przerwał jej, unosząc butelkę szampana.

– Perrier-jouët fleur de champagne z najlepszymi życzeniami świątecznymi dla

wszystkich! – oznajmił.

Cisza. Wszyscy byli zbyt wstrząśnięci, aby się odezwać. Wreszcie Henry Montebello siedzący u szczytu stołu podniósł się z krzesła.

– Co ma znaczyć to najście? – Przymrużył oczy. – Pan... pan jest tym agentem FBI.

– W rzeczy samej. Aloysius Pendergast, do usług! Odwiedzam wszystkich swoich przyjaciół, aby życzyć im wesołych świąt i wszelkiej radości. – Usiadł na wolnym krześle pozostawionym przy stole.

– Pan wybaczy – rzekł chłodno Montebello – to miejsce jest zarezerwowane dla pani Kermode, która niebawem powinna się tu zjawić.

– Cóż, pani Kermode tu nie ma, ale za to jestem ja. – Mężczyzna zamaszystym ruchem postawił butelkę szampana na stole. – Otworzymy?

Patrycjuszowskie oblicze Montebello nagle stężało.

– Nie wiem, za kogo pan się uważa, że ma czelność tak wparowywać na prywatną, rodzinną kolację. Muszę jednak prosić, aby natychmiast opuścił pan ten dom.

Agent znieruchomiał, zachwiał się lekko na krześle, a na jego twarzy odmalował się zboląły grymas.

– Nie chcecie otworzyć tego szampana, w porządku, ale nie wyrzucajcie mnie stąd, nie poczęstowawszy uprzednio czymkolwiek. – Sięgnął nad stołem po na wpół pełną butelkę wina i spojrzał na etykietę. – Hmm. Cabernet castle leap rocznik dwa tysiące.

– Co pan wyprawia? – warknął Montebello. – Proszę to odłożyć i wyjść stąd natychmiast albo wezwąć policję!

Nie zważając na groźby, Pendergast wziął stojący na stole kieliszek, nalał wina i zaczął celebrować cały rytuał z kręceniem wina na dnie kieliszka, wężaniem, upiciem małego łyżeczka, hałaśliwym nabieraniem powietrza, wydęciem policzków i ponownym skosztowaniem trunku. Odstawił kieliszek.

– Niezła nuta jagodowa, ale brak mocy i krótki finisz. Niestety nieciekawe. Cóż to za wina, aby serwować je w Wigilię? Czyż jesteśmy barbarzyńcami, dziedzicu Montebello? Albo filistrami?

– Lottie, zadzwoń na policję. Zgłoś wtargnięcie do domu.

– Och, ależ ja zostałem tu zaproszony – odrzekł Pendergast. Odwrócił się do służącej. – Prawda, moja droga?

– Ja tylko otworzyłam drzwi...

– Co więcej – ciągnął Montebello głosem przepełnionym wściekłością, podczas gdy reszta jego rodziny przyglądała się temu z coraz większą

konsternacją – jest pan pijany!

W tej samej chwili jak na zawołanie weszła kucharka w towarzystwie kuchcików, niosąc olbrzymie flambé, aż płomienie strzelały w górę ze srebrnej tacy.

– Wiśniowy deser! – zawołał Pendergast, zrywając się na nogi. – Jakież to cudowne! – Rzucił się naprzód. – To dla was zbyt ciężkie, pozwólcie, że pomogę. Ten ogień może być niebezpieczny, zwłaszcza tu, w Roaring Fork!

Kucharka zaniepokojona tym, że podpity mężczyzna chce się na nią rzucić, cofnęła się o krok, ale zrobiła to zbyt późno. Agent FBI schwycił wielki płonący półmisek, a potem stracił równowagę i półmisek z wiśniami, lodami i płonącym brandy runął na stół, a deser rozbryznął się po tym, co pozostało z prosięcia.

– Pożar! Pali się! – zawołał Pendergast z przerażeniem w głosie, gdy płomienie wystrzeliły w górę. Na jego twarzy odmalowała się mieszanina konsternacji i paniki. – To straszne! Uciekać! Wszyscy na zewnątrz!

Wokół stołu rozległ się chór głośnych okrzyków i wrzasków, gdy zebrani zerwali się z miejsc, przewracając krzesła i rozlewając wino.

– Szybko, wyjdźcie z domu! – dyrygował Pendergast. – Wezwijcie straż pożarną! Dom się pali! Spłonimy żywcem tak jak tamci!

Przerażenie w jego głosie okazało się zaraźliwe. W jadalni rozpętało się pandemonium. Rozległ się sygnał alarmu, gdy uaktywnił się czujnik dymu, i to zawrodożenie spotęgowało bezmyślną panikę, chęć opuszczenia zagrożonego miejsca i znalezienia się jak najdalej od zarzewia ognia. W ciągu zaledwie paru sekund biesiadnicy, kucharka, jej pomocnicy i służba opuścili salę, przepychając się między sobą i nieomal tratując nawzajem w szaleńczym pędzie w kierunku holu i frontowych drzwi. Wszyscy wybiegli z domu w mroźną noc. Człowiek w czerni został sam.

Nagle już spokojnie wyciągnął rękę, podniósł olbrzymią sosjerkę i wylał jej zawartość na płonącą brandy, która i tak zaczynała już dogasać za sprawą roztopionych lodów i soków z resztek pieczonego prosięcia. Dzięki odrobinie wina z butelki fatalnego caberneta do reszty uporał się z ogniem. Potem szybkim zdecydowanym krokiem przeszedł przez jadalnię do salonu, a stamtąd do ciągu elegancko urządzonych pokoi na tyłach domu, gdzie Henry Montebello urządził sobie kancelarię. Zbliżył się do znajdujących się tam szafek archiwizacyjnych. Popatrując na fiszki przy każdej z nich, wybrał w końcu jedną i silnym szarpnięciem wysunął zamkniętą na klucz szufladę, przejrzał znajdujące się wewnątrz papiery, wyjął jedną wyjątkowo grubą kartonową teczkę, zasunął szufladę i przemaszerował z teczką przez cały dom do głównego holu, zabierając

po drodze ze stołu butelkę szampana. Podniósł swój płaszcz, szalik, kapelusz i rękawiczki upuszczone na podłogę przez ogarniętą paniką służącą, starannie ukrył teczkę pod płaszczem i wyszedł na zewnątrz.

– Panie i panowie – oznajmił – pożar zastał ugaszony. Możecie bezpiecznie wrócić do środka.

Po czym oddalił się w śnieżne popołudnie do czekającego na niego samochodu i odjechał.

59

Corrie poczuła na sobie opasujące ją z całej siły mocne ramiona Teda. Odetchnęła z ulgą. Rozluźniła się i przestała opierać się na uszkodzonej kostce, bo przecież teraz podtrzymywał ją Ted.

– Zajmę się tobą – powtórzył nieco głośniej.

– Nie do wiary, że tu jesteś – wyszlochała. – Ten facet w kopalni to zbir najęty przez Kermode, żeby przegnać mnie z miasta. To on zabił mojego psa, ostrzelał mój samochód... a teraz próbuje mnie zabić.

– Kermode – rzekł Ted, a w jego głosie pojawiła się gniewna nuta. – Można się było tego spodziewać. To suka. Nią też się zajmę. O tak, o Boże, zajmę się tą suką.

Jego zawziętość trochę ją zaskoczyła.

– Już dobrze – powiedziała. – Boże, tak mi się kręci w głowie, że muszę się położyć.

Chyba jej nie usłyszał, a w każdym razie takie sprawiał wrażenie. Jego ramiona znów wzmocniły uścisk na jej ciele.

– Ted, pomóż mi usiąść... – Corrie lekko się odwróciła, bo ścisnął ją tak mocno, że aż zaboląło.

– Cholerna suka – powtórzył głośniej.

– Zapomnij o Kermode... Proszę, Ted. Sprawiasz mi ból.

– Nie mówię o Kermode. Mówię o tobie.

Corrie była całkiem pewna, że się przesłyszała. Kręciło jej się w głowie. Ted ścisnął ją jeszcze mocniej, aż prawie nie mogła oddychać.

– Ted... To boli. Proszę!

– To wszystko, co masz teraz do powiedzenia, suko?

Jego głos brzmiał już inaczej. Był szorstki. Ochrypły.

– Ted... Co?

– Co, Ted, co? – zaczął ją przedrzeźniać wysokim, piskliwym głosem. – Ależ z ciebie ziółko.

– O czym ty mówisz?

Ścisnął ją jeszcze mocniej, aż krzyknęła.

– Lubisz to? Wiesz, o czym mówię. Nie zgrywaj niewiniątka.

Próbowała się wyrwać, ale prawie nie miała już siły. To było jak koszmar. Może to był koszmar. Koszmar – i nic więcej.

– O czym ty mówisz?

– O czym ty mó-ó-ówisz? – powtórzył, przesadnie akcentując słowa.

Znów próbowała się wyrwać, a on brutalnie obrócił ją tak, że jego twarz niemal dotykała teraz jej twarzy. Wykrzywiona, pokryta czerwonymi plamami, spocona twarz Teda przeraziła ją nie na żarty. A najgorsze były jego oczy. Przekrwione i łzawiące.

– Spójrz na siebie – wycedził, zniżając głos, a jego usta wykrzywił gniewny grymas. – Stale mnie prowokowałaś, kusiłaś, dawałaś nadzieję, obiecywałaś, a potem powiedziałaś „nie” i przez ciebie wyszedłem na durnia.

Niemal ją zgniótł potężnymi, muskularnymi ramionami. Corrie poczuła, jak pod ich naciskiem jedno z żeber pęka; palący ból przeszył jej klatkę piersiową. Krzyknęła, próbowała coś powiedzieć, ale znów ją ścisnął, wyduszając powietrze z jej płuc.

– Skończ z tymi gierkami, i to zaraz.

Kropelki jego śliny opryskały jej twarz. Jego usta, pokryte warstewką czegoś białego, dotykały teraz jej ust, jego dziwnie cuchnący oddech omiótł ją niczym wyziewy z gnijącego truchła. Próbowała oddychać, ale nie była w stanie. Ból w kostce, dłoni, a teraz żebrach był tak dojmujący, że nie mogła pozbierać myśli. Strach i szok sprawiły, że jej serce, mimo zmęczenia po ucieczce z kopalni, znów zaczęło walić jak szalone. Nigdy jeszcze nie widziała tak dziwnie wykrzywionej i przerażającej twarzy. On był kompletnie obłąkany.

Obłąkany. Obłąkany... Nie chciała myśleć o tym, co to oznacza, nie chciała, nie mogła podążyć tym tokiem rozumowania, by wyciągnąć nasuwające się oczywiste wnioski.

– Błagam... – wychrypiała.

– Czyż to nie było doskonałe? Tak po prostu nagle wpadasz mi w ramiona. To karma. Ale oszczędziło mi wszystkich niezbędnych w innej sytuacji przygotowań. Wszechświat chce, abym dał ci lekcję, i odegram rolę nauczyciela.

Rzucił ją na ziemię. Upadła ciężko, z okrzykiem bólu. Wymierzył jej silnego kopniaka w zranione żebra. Ból był nie do wytrzymania, więc ponownie krzyknęła, spazmatycznie chwytając powietrze. Poczuła, że świat wokół niej zaczyna wirować, było to dziwnie ulotne doznanie: ból, przerażenie

i niedowierzanie przyćmiły racjonalny tok myślenia. Mgła zasnuła oczy, a świadomość się wyłączyła.

Wydawało się, że minęło dużo czasu, zanim kolejne palące ostrze bólu sprawiło, że Corrie odzyskała przytomność. Wciąż znajdowała się w tym samym obskurnym pomieszczeniu. Musiało minąć zaledwie parę sekund. Ted stał za nią, jego twarz wciąż była groteskowo zniekształcona, oczy mu łzawiły, a wargi pokrywała warstewka białej substancji. Złapał ją za nogę, obrócił i zaczął ciągnąć po szorstkich deskach podłogi. Próbowwała krzyczeć, ale nie mogła. Uderzyła mocno głową o podłogę i przez moment znów była bliska utraty przytomności.

Wywłókł ją z pomieszczenia na tyłach do głównej części tego miejsca. Wznosiła się tu olbrzymia pompa, istny moloch wielkich rur i cylindrów. Wysoki budynek skrzypiał na wietrze. Ted pociągnął Corrie w stronę poziomych rur, zdjął jej rękawiczki i zauważył zranioną dłoń – na ten widok jego usta wykrzywił złowieszczy uśmiešek – po czym ujął ją za drugą rękę i brutalnie przykuł kajdankami do rury. Leżała, dysząc ciężko i balansując na granicy utraty przytomności.

– Spójrz teraz na siebie – powiedział i splunął na nią.

Gdy próbowała usiąść, część jej umysłu zareagowała tak, jakby to wszystko nie przydarzało się jej, ale komuś innemu, a ona tylko przyglądała się z daleka. Ale druga część umysłu, zimna i bezlitosna, mówiła coś dokładnie przeciwnego. Że to się dzieje naprawdę. I że Ted ją zabije.

Ted cofnął się, zaplótł ręce na piersiach i przyjrzał się swemu dziełu. Ciemna mgła, która otaczała Corrie, trochę się rozwiała, i dziewczyna mogła teraz zobaczyć, co znajduje się w pobliżu niej. Na podłodze walały się kawałki starych desek. Obok wisiało parę lamp naftowych rzucających słabe żółtawe światło. W rogu stała polówka ze śpiworem, pudełkiem kajdanek, paroma kominiarkami i dużymi puszkami z naftą. Na stole leżało kilka noży myśliwskich, zwoje sznura, rolki taśmy klejącej, butelka ze szklanym korkiem zawierająca jakiś przezroczysty płyn oraz kilkanaście par ciepłych skarpet i grubych czarnych swetrów. Był tam też pistolet i wyglądał na berettę kalibru 9 milimetrów. Po co Tedowi pistolet? Na kołkach na ścianie wisiały czarne skórzane kurtki i – co wydało jej się dziwne – maski kłowna.

To wyglądało na jakąś kryjówkę. Kryjówkę Teda. Ale po co miałby jej potrzebować? I po co mu te wszystkie rzeczy?

Z boku stała stara koza opalana drewnem, przez szczeliny w metalowej obudowie widać było ogień i czuło się ciepło. Teraz jednak Corrie wychwyciła węchem coś jeszcze, nieprzyjemną woń.

Ted przystawił sobie krzesło, odwrócił je i usiadł na nim okrakiem, opierając obie ręce na prostym drewnianym oparciu.

– No to jesteśmy tutaj – powiedział.

Coś było z nim nie tak, i to bardzo. A jednak ten wściekły, brutalny, na wpół obłąkany Ted sprzed kilku minut zmienił się. Stał się spokojny, drwiący. Corrie przełknęła ślinę, nie rozumiejąc tego wszystkiego. Może gdyby do niego mówiła, dowiedziałaby się, co go dręczy, i wyprowadziłaby go z tego mrocznego miejsca, w którym się znalazł. Ale kiedy spróbowała się odezwać, wydała tylko nieartykułowany bełkotliwy dźwięk.

– Gdy zjawiłaś się w mieście, myślałem, że może jesteś inna niż cała reszta tutaj – zaczął. Jego głos znowu się zmienił, jakby tłący się w nim gniew został zamknięty w lodzie. Słowa były bezosobowe, zimne, jakby mówił do siebie albo do trupa. – Roaring Fork. Kiedy byłem mały, to było prawdziwe miasto. Teraz przejęły je łajzy z mnóstwem forsy, dupki ze swoimi wypindrzonymi dziwkami, które w jeden wiadomy sposób osiągnęły swój status, gwiazdy filmowe, prezesi i władcy wszechświata. Zrównują góry z ziemią, wycinają lasy. A, i jeszcze przez cały czas plotą o ochronie środowiska! O tym, że trzeba zdrowo się odżywiać, przejść na organiczną dietę i zredukować poziom spalin, kupując specjalne paliwo do swoich odrzutowców gulfstream, chwając się tym, jakie przyjazne środowisku są ich wielkie wypasione rezydencje. Skurwysyny. To jest po prostu chore. Są pasożytami żerującymi na naszym społeczeństwie. Roaring Fork jest miejscem, gdzie się gromadzą i obsypują wzajemnie pochlebstwami, iskają jeden drugiego jak szympansy wyłuskujące sobie nawzajem wszy z sierści. A całą resztę, nas wszystkich zwykłych ludzi, mieszkańców, którzy się tu urodzili, traktują jak śmiecie, które mogą jedynie zamiatać ich olbrzymie pałace i łechtać ich ego. Jest na to tylko jedno lekarstwo: ogień. To miejsce powinno spłonąć. Musi spłonąć. I spłonie. – Uśmiechnął się, a jego twarz znów zniekształcił demoniczny grymas, gdy nachylił się groźnie w jej stronę.

Nafta. Kajdanki. Sznur. Musi spłonąć. Mgiełka spowijająca jej umysł rozwiała się i Corrie zrozumiała. Ted był podpalaczem. Przeszył ją potężny dreszcz strachu i zaczęła szarpać za kajdanki pomimo bólu, jaki temu towarzyszył.

I nagle, równie gwałtownie, jak zaczęła się szamotać, ni stąd, ni zowąd przestała. Zależało mu na niej, wiedziała, że tak. Musi tylko w jakiś sposób do niego dotrzeć.

– Ted – wychrypięła z trudem – wiesz, że nie jestem jedną z nich.

– Ależ jesteś! – wrzasnął i nachylił się w jej stronę, a z jego ust prysnęły na nią kropelki białej piany. Lodowaty spokój i chłód zostały znowu zastąpione przez

szaleńczą, zwierzęcą wściekłość. – Przez chwilę udało ci się mnie oszukać, ale nie, jesteś taka sama jak oni! Jesteś tu z tego samego powodu co oni: dla pieniędzy.

Oczy miał tak przekrwione, że niemal czerwone. Jego dłonie drżały z wściekłości. Całym jego ciałem wstrząsały silne konwulsje. A jego głos był taki dziwny, taki inny. Gdy na niego patrzyła, odnosiła wrażenie, że widzi piekielną otchłań. Ted wyglądał tak potwornie, tak nieludzko, że Corrie musiała odwrócić wzrok.

– Ale ja nie mam pieniędzy – powiedziała.

– Właśnie. Po co tu jesteś? Żeby znaleźć jakiegoś bogatego dupka. Ja nie byłem dla ciebie dość bogaty! To dlatego tak ze mną igrałaś! I zwodziłaś mnie, a potem odtrąciłaś.

– Nie, wcale tak nie było...

– Zamknij się, kurwa! – wrzasnął na całe gardło tak głośno, że Corrie poczuła, jak jej bębunki w uszach zadrżały pod wpływem nagłej zmiany ciśnienia.

I wtedy, równie nagle jak zniknął, pojawił się lodowaty spokój. Ta zmienność – od pełnych wściekłości, gwałtownych i ledwie pohamowywanych wybuchów morderczego szału po chłodne, skalkulowane zdystansowanie – była nie do zniesienia.

– Powinnaś być mi wdzięczna – przez chwilę mówił jak dobrze jej znany Ted. – Podzieliłem się z tobą swoją wiedzą. Teraz rozumiesz. Inni – inni, ci, którym też dałem lekcję – nie nauczyli się niczego.

Odwrócił się gwałtownie i znowu spojrzał na nią z upiornym, badawczym uśmiechem.

– Znasz Roberta Frosta?

Corrie nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

Zaczął recytować:

Jedni twierdzą, że świat nasz zginie w morzu ognia.

Inni – że pod pokrywą lodu.

Temperatura żądy nie jest zbyt łagodna.

Wiem coś o tym, więc trzymam z prorokami ognia^[4].

Podniósł drewnianą szczapę leżącą na podłodze wśród innych starych bierwion walających się wokół i jednym jej końcem uchylił drzwiczki starego piecyka. Gorejące wewnątrz płomienie zalały wnętrze pokoju żółtawym blaskiem. Włożył koniec szczapy do ognia i czekał.

– Ted, błagam. – Corrie wzięła głęboki oddech. – Nie musisz tego robić.

Zaczął pogwizdywać jakąś atonalną melodyjkę.

– Jesteśmy przyjaciółmi. Wcale cię nie odrzuciłam. – Szlochała przez chwilę, próbując się opanować. – Po prostu nie chciałam przyspieszać rozwoju wydarzeń, to wszystko.

– To dobrze. Bardzo dobrze. Ja też cię nie odrzuciłem. I nie będę niczego przyspieszał. Po prostu pozwolę działać naturze.

Wyjął szczapę z piecyka, jej koniec rozpałił się teraz na dobre i na podłogę posypały się drobne iskierki. W oczach Teda odbijał się roztańczony blask płomieni. Popatrzył wolno w jej stronę, a przekrwione białka nagle wydały się Corrie przeraźliwie duże. Przenosząc wzrok z Teda na płonący kawałek drewna i z powrotem, zdała sobie sprawę, co się wydarzy.

– O Boże – powiedziała, a jej głos przerodził się we wrzask. – Proszę cię. Nie rób tego! Ted!

Postąpił krok w jej stronę, wymachując przed jej twarzą płonącym patykiem. Jeszcze krok i Corrie poczuła żar.

– Nie – wychrypiała.

Ted przez dłuższą chwilę tylko na nią patrzył, a ze szczapy w jego ręku sypały się iskry. Gdy się odezwał, jego głos był tak cichy, tak opanowany, że nieomal przyprawił ją o utratę zmysłów.

– Pora spłonąć – rzekł po prostu.

Pendergast zjawił się w swoim gabinecie w piwnicach posterunku policji i położył pękata teczkę na blacie biurka. Były w niej dokumenty, których szukał wcześniej w miejskim archiwum, ale które zdaniem archiwisty zaginęły w tajemniczych okolicznościach przed kilkoma laty. Tak jak się tego spodziewał, odnalazł je – lub ich kopie – w szafce z aktami w kancelarii Henry’ego Montebello, architekta, który nawiasem mówiąc, sam je uprzednio sporządził. Akta zawierały dokumentację dotyczącą pierwotnej zabudowy The Heights: schematy, mapy, zezwolenia, rozmaite podania oraz plany zagospodarowania terenu, które zgodnie z prawem powinny być dostępne dla opinii publicznej.

Z tej grubej teczki Pendergast wyjął kilka cieńszych, kartonowych i rozłożył je przed sobą etykietami do góry. Wiedział dokładnie, czego szuka. Pierwsze dokumenty, które przejrzał, dotyczyły pierwotnej inspekcji tego terenu przeprowadzonej w połowie lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, były do nich dołączone fotografie. Zawierały również raporty na temat topografii tych okolic wraz z plikiem zdjęć ukazujących, jak wyglądała dolina i sąsiednie szczyty przed rozpoczęciem prac.

To było odkrywcze.

Pierwotna dolina była znacznie węższa i ciaśniejsza, nieomal jak wąwóz. Wzdłuż całej jej długości, głęboko w zboczach kotliny, trzydzieści metrów ponad strumieniem Silver Queen Creek, rozmieszczone były pozostałości wielkiego kompleksu przetwarzania kruszywa i wydobywania srebra z urobku, pobudowanego przez Staffordów w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, stanowiącego źródło całego ich bogactwa. Pierwszy budynek, jaki tam postawiono, mieścił probiernię, gdzie badano zawartość srebra w skałach, które wydobywano w kopalni. Potem pojawiła się znacznie większa budowla – koncentrator – z trzema olbrzymimi kruszarniami o napędzie parowym, gdzie potężne kafary miażdżyły urobek i zagęszczały ilość srebra dziesięciokrotnie. A na koniec rzecz jasna stanęła huta. Wszystkie te działania pozostawiały po

sobie olbrzymie ilości pogruchotanych kamieni i były doskonale widoczne na planach jako wielkie sterty i stosy żwiru, kamieni oraz kruszywa. Odpady tych wszystkich operacji zawierały toksyczne minerały i substancje, które przesiąkały do wód gruntowych. Ale ostatnie pozostałości – z huty – były naprawdę zabójcze.

Huta srebra w Roaring Fork wykorzystywała metodę łączenia amalgamatowego z Washoe. Wstępnie przetworzone w niej i zagęszczone kruszywo było miażdżone na papkę, do której dodawano różne chemikalia, w tym – do każdej jego tony – trzydzieści kilogramów rtęci. Rtęć rozpuszczała srebro, łącząc się z nim w formie amalgamatu, a powstała w ten sposób ciężka papka osiadała na dnie kadzi, podczas gdy zbędne odpady zwyczajnie z niej wylewano. Srebro odzyskiwano, podgrzewając amalgamat w retortach, i tak też pozbywano się rtęci, którą pozyskiwano później na nowo w wyniku skraplania.

Proces nie był efektywny. Za każdym razem tracono około dwóch procent użytej rtęci i musiała ona dokądś trafiać, a konkretnie do odpadów z huty, które bezceremonialnie porzucano w dolinie. Pendergast przeprowadził szybkie obliczenia: dwa procent utraconej rtęci równało się pół kilograma rtęci na każdą tonę przetwarzanego kruszywa. W hucie każdego dnia przetwarzano około stu ton urobku. Innymi słowy każdego dnia do środowiska trafiało pięćdziesiąt kilogramów rtęci w odpadach toksycznych, składowanych tam przez ponad dwie dekady działalności huty. Rtęć była wyjątkowo szkodliwą substancją, która mogła wywołać poważne i trwałe uszkodzenie mózgu u osób narażonych na jej działanie, zwłaszcza u dzieci, a w jeszcze większym stopniu u płodów.

Wszystko sprowadzało się do jednego: The Heights, a przynajmniej tę część kompleksu, która została wzniesiona w dolinie, pobudowano na miejscu skumulowanego składowiska toksycznych odpadów, a przesączające się z niego trucizny skażyły znajdujące się pod tym osiedlem wody gruntowe.

Gdy Pendergast odłożył dokumenty na miejsce, w jego umyśle wszystko połączyło się w klarowną całość. Zrozumiał wszystko – dosłownie wszystko – w tym także to, co kryło się za atakami podpalacza, co było ich powodem.

Teraz już szybciej i bardziej zdecydowanie zaczął przeglądać dokumentację osiedla. Zgodnie z decyzją o zagospodarowaniu przestrzennym odpady zostały w większości wykorzystane do zasypania wąskiego wąwozu i stworzenia szerokiego, atrakcyjnego dna kotliny, tak jak wygląda ono obecnie. Budynek klubu wzniesiono nieopodal miejsca nad strumieniem, gdzie znajdowała się stara huta, i na tym obszarze usytuowano jeszcze kilkanaście wielkich domów. Zaprojektowaniem tego wszystkiego zajął się osobiście główny architekt Henry

Montebello – ruiny huty wyburzono, zmieniono ukształtowanie terenu, odpadów użyto do zasypywania wąwozów oraz wypoziomowania terenu, na którym postawiono ekskluzywne domy i lokalny klub. A jego szwagierka, pani Kermode, także miała znaczący głos w tej rozgrywce.

To ciekawe, pomyślał Pendergast, że dom Montebello znajdował się po drugiej stronie miasta, a dom Kermode wysoko na wzgórzu, z dala od strefy skażenia. Zarówno oni, jak i inni członkowie rodziny Staffordów, którzy stali za rozwojem The Heights, musieli wiedzieć o rtęci. Przyszło mu na myśl, że prawdziwym powodem decyzji o budowie nowego klubu oraz spa – co z pozoru mogło się wydawać niepotrzebnym wydatkiem – na miejscu dawnego cementarza była chęć postawienia ich poza strefą skażenia.

Pendergast przewertował znajdujące się w pozostałych teczkach dokumenty dotyczące pierwotnych podziałów i dodatkowego planowania przestrzennego. Działki były olbrzymie, co najmniej hektarowe, i w rezultacie nie było tu wspólnego ujęcia wody – każda nieruchomość miała własną studnię. Domy stojące na samym dnie kotliny, jak również pierwotny klub, musiały pobierać wodę ze studni czerpiących ją bezpośrednio ze skażonych rtęcią wód gruntowych.

W aktach znajdowały się także zezwolenia na drążenie studni. Pendergast przejrzał je po kolei. Konieczne było przeprowadzenie kontroli jakości wody w każdej studni, to standardowa procedura. I wszystkie studnie przeszły badania pomyślnie: nie wykazano skażenia rtęcią ani wód gruntowych, ani wody w studniach.

Bez wątpienia wyniki badań sfałszowano.

Teraz przyszła kolej na umowy sprzedaży pierwszych domów wybudowanych w The Heights. Pendergast wybrał akta dwunastu nieruchomości usytuowanych w skażonej strefie, na samym dnie kotliny, aby uważniej im się przyjrzeć. Sprawdził nazwiska nabywców. Większość z nich okazała się starszymi zamożnymi emerytami. Domy te kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk, zwłaszcza gdy w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku ceny nieruchomości gwałtownie skoczyły w górę.

Pendergast rozpoznał jednak nazwisko pewnej pary nabywców: „Sarah i Arthur Romanowie, małżeństwo”. Bez wątpienia rodzice Teda Romana. Data zakupu domu: rok 1982.

Dom Romanów był wzniesiony dokładnie tam, gdzie kiedyś stała huta, w strefie największego skażenia. Pendergast powrócił myślami do tego, co Corrie mówiła mu o Tedzie. Zakładając, że jest on w jej wieku albo nawet kilka lat

starszy, nie ulegało wątpliwości, iż Ted Roman już w łonie matki był narażony na działanie toksycznych substancji, wychowywał się w toksycznym domu, pił skażoną wodę, brał trujące prysznicze...

Pendergast odłożył akta, a na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Po chwili wyjął telefon i zadzwonił na komórkę Corrie. Został przekierowany na pocztę głosową. Następnie zadzwonił do hotelu Sebastian, gdzie od kilku osób dowiedział się, że wyszła z hotelu wkrótce po zakończeniu swojej zmiany, czyli o jedenastej. Pojechała samochodem, nie mówiła dokąd. Zapytała jednak recepcjonistkę o mapę tras dla skuterów śnieżnych w górach wokół Roaring Fork.

Z coraz większym zaniepokojeniem Pendergast wybrał numer biblioteki miejskiej. Nikt się nie zgłosił. Zadzwonił na numer domowy głównej bibliotekarki. Kiedy odebrała, wyjaśniła mu, że dwudziestego czwartego grudnia biblioteka jest czynna tylko do wczesnego popołudnia, ale z uwagi na burzę śnieżną postanowiła jej dziś w ogóle nie otwierać. W odpowiedzi na następne pytanie agenta odparła, że Ted powiedział jej, iż zamierza wykorzystać ten niezapowiedziany wolny dzień, oddając się ulubionej rozrywce – jeździe skuterem śnieżnym po górskich szlakach.

Pendergast rozłączył się. Zadzwonił na komórkę Stacy Bowdree, ale i w tym wypadku włączyła się poczta głosowa.

Jego blade czoło spochmurniało. Już miał wstać, gdy nagle jego wzrok padł na coś, co powinien zauważyć wcześniej, gdyby nie był zaaferowany zbyt wieloma sprawami – papiery na jego biurku nie były poukładane równo, tak jak je pozostawił.

Spojrzał na nie, a jego niemal fotograficzny umysł odwzorował to, jak leżały poprzednio. Jedna kartka, ta, na której zapisał wiadomość Zgromadzenia Siedmiu, została wysunięta, a inne dokumenty wokół niej poprzekładane.

Spotkajmy się przy Ideale punkt 11 dzisiaj w nocy oni się ukrywają we w nieczynnej Świontecznej kopalni przy ścianie przemytnika

Czym prędzej opuścił gabinet, wszedł na górę i podszedł do Iris, która wciąż jeszcze pilnie siedziała za biurkiem.

– Czy ktoś wchodził do mojego biura? – zapytał uprzejmie.

– Ach, tak – odparła. – Dziś po południu wprowadziłam tam Corrie. Za ledwie na parę minut. Szukała swojego telefonu komórkowego.

61

Odrażająca woń zgnilizny w powietrzu wydawała się przybierać na sile, gdy Ted zaczął wymachiwać zapaloną szczapą. Płomienie liżące koniec drewnianka zaczęły przygasać, więc na powrót wsunął szczapę do piecyka.

– Miłość jest płomieniem życia, pożera lub też oczyszcza – zacytował, obracając wolno szczapę w piecyku. Było teraz coś ohydneho i strasznego w spokojnej rozwadze Teda tuż po jego pełnym pasji, szaleńczym wybuchu. – Przygotujmy się do oczyszczenia.

Wyjął szczapę z piecyka i znów zaczął machać nią przed twarzą Corrie, lecz robił to dziwnie delikatnie, bez większego zdecydowania, choć na tyle blisko, że żar osmalił jej lekko włosy.

Próbowała zapanować nad galopującą paniką. Musiała dotrzeć do Teda, spróbować mu wyperswadować jego zamiar. Miała sucho w ustach i trudno jej było wypowiadać słowa przez gęstą mgłę bólu i strachu.

– Ted, lubiłam cię. To znaczy wciąż cię lubię. Naprawdę. – Przełknęła ślinę. – Posłuchaj, wypuść mnie i zapomnijmy o tym. Chodźmy gdzieś. Chodźmy na piwo. Tak jak wcześniej.

– Taa. Jasne. Teraz jesteś gotowa wcisnąć mi każdy kit. – Wybuchnął cichym, obłąkańczym śmiechem.

Pociągnęła za kajdanki, ale jedna obręcz była zamknięta ciasno wokół jej nadgarstka, a druga opinała rurę.

– Nie narobię ci kłopotów. Nikomu nie powiem. Zapomnimy o tym wszystkim.

Nie odpowiedział. Przyjrzał się z uwagą zapalonej szczapie jak narzędziu, którego zamierzał użyć.

– Dobrze się razem bawiliśmy, Ted, i może tak być dalej. Nie musisz tego robić. Nie jestem taka jak inni. Jestem tylko biedną studentką. Żeby zapłacić za pokój w hotelu, muszę harować w kuchni na zmywaku! – Zaszlochała, ale zaraz się opanowała. – Proszę, nie rób mi krzywdy.

– Musisz się uspokoić, Corrie, i przyjąć swój los. Czeka cię ogień, oczyszczający ogień. Oczyści cię z twoich grzechów. Powinnaś mi podziękować. Daję ci szansę odpokutowania za to, co zrobiłaś. Będziesz cierpieć i jest mi przykro z tego powodu, ale tak trzeba.

Groza tej sytuacji i przekonanie, że Ted mówi prawdę, ścisnęły ją za gardło.

Ted cofnął się i rozejrzał dokoła.

– Bawiłem się w tych tunelach, będąc dzieckiem. – Jego głos brzmiał teraz inaczej, był pełen smutku, jakby poprzedzał konieczną, choć budzącą w nim obrzydzenie posługę. – Spenetrowałem każdy zakamarek tych budynków. Znam je jak własną kieszeń. To całe moje dzieciństwo. Właśnie tu. Tu się wszystko zaczęło i tu się zakończy. Te drzwi, przez które wyszłaś... To było wejście na mój plac zabaw. Te kopalnie były magicznym placem zabaw.

Zwiedziona tym nostalgicznym wyznaniem Corrie jeszcze przez chwilę łudziła się nadzieją. Wtedy jednak, z zatrważającą gwałtownością zachowanie Teda diametralnie się zmieniło.

– I zobacz, co zrobili! – To zabrzmiało jak krzyk. – Spójrz! To było kiedyś miłe miasto. Przyjazne. Wszyscy się znali. A teraz to pieprzona pułapka na turystów, dla milionerów... miliardarów i całej ich świty wazeliniarzy, sługusów. Dla takich jak ty! Dla ludzi takich jak ty! Ty!... – Echo tego wrzasku rozbrzmiało w spowitej półmrokiem przestrzeni, zagłuszając na moment odgłosy śnieżycy, wichury i skrzypiących desek.

Corrie zaczęła sobie uświadamiać, że nic, co by powiedziała, nie zdoła wpłynąć na Teda.

Jednak nagle atak wściekłości minął. Ted niespodziewanie zamilkł. W jednym jego oku pojawiła się łza i ściekała wolno po policzku. Wziął ze stołu pistolet i włożył za pasek spodni. Nie patrząc na nią, obrócił się energicznie na pięcie i oddalił poza zasięg jej wzroku, w mroczny kąt za silnikiem wielkiej pompy. Teraz widziała już tylko żarzący się koniec drewnianej szczapy kołyszący się i nieomal tańczący w ciemnościach, a po chwili żar zaczął przygasać, aż w końcu zniknął zupełnie.

Czekała. Wokoło panowała kompletna cisza. Czy on odszedł? Aż nie mogła w to uwierzyć. Zaczęła odzyskiwać nadzieję. Dokąd poszedł? Rozejrzała się gorączkowo, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność. Nic.

Ale nie – to by było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Nie mógł odejść. Musiał gdzieś tu być.

I wtedy poczuła słabą woń dymu. Z piecyka? Nie. Wyprężyła się, zerkając to w jedną, to w drugą stronę, zapominając o bólu w dłoni, kostce i żebrach. Dymu

było coraz więcej i bardzo szybko gęstniał. Po chwili Corrie spostrzegła czerwoną poświatę bijącą z za silnika pompy.

– Ted!

Nagle z czerni wystrzelił jęzor ognia, a zaraz po nim drugi, pełznąć w górę po przeciwległej ścianie i szybko się rozprzestrzeniając.

Ted podpalił stary budynek.

Corrie krzyknęła, ponownie mocując się z kajdankami. Płomienie strzelały wysoko, wielkie kłęby gryzącego dymu z przerażającą szybkością rozchodziły się po całym pomieszczeniu. Ryk ognia przybierał na sile, aż stał się tak zajadły, że przerodził się w samą wibrację powietrza. Poczują żar omiatający jej twarz.

To wszystko stało się zaledwie w kilka sekund.

– Nie! Nie! – krzyknęła.

I wtedy dostrzegła wysoką sylwetkę Teda. Stał w drzwiach obskurnego pokoiku, przez które się tu dostała. Zobaczyła otwarte drzwi do kopalni Sally Goodin i tunel do odprowadzania wody znikający w ciemnościach. Ted trwał w absolutnym bezruchu, wpatrując się w ogień, i czekał, a w miarę jak ogień rozprzestrzeniał się i przybierał na sile, Corrie mogła dostrzec wyraz malujący się na jego twarzy – czyste, niczym niezłagodzone podniecenie.

Na chwilę zamknęła oczy i pomodliła się, po raz pierwszy w życiu pomodliła się o szybki i litościwy koniec.

Kiedy płomienie zaczęły rozchodzić się coraz wyżej, pochłaniając drewniany budynek ze wszystkich stron i przynosząc ze sobą niemożliwy do wytrzymania żar, Ted odwrócił się i zniknął we wnętrzu góry.

Wokół Corrie szalały płomienie, a ich trzask był tak głośny, że nie słyszała nawet własnych krzyków.

62

O trzeciej po południu Mike Kloster wyprowadził z garażu swój ratrak VMC 1500 z ośmiopozycyjnym lemieszem do odgarniania śniegu, szykując się do nocnej zmiany. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin nasypało pół metra śniegu i prawdopodobnie przybędzie jeszcze ze dwadzieścia centymetrów. Zapowiadała się długa noc – a była przecież Wigilia.

Podkręcił ogrzewanie w kabinie, poczekał, aż pojazd się rozgrzeje, a tymczasem zamierzał przymocować z tyłu ramę holowniczą. Gdy pochylił się nad uchwytami, wyczuł za sobą czyjaś obecność. Wyprostował się i odwrócił, by ujrzeć zbliżającą się ku niemu dziwną postać w czarnym płaszczu, filcowym kapeluszu i ciężkich butach. Nieznajomy wyglądał prawie jak kłown.

Już miał powiedzieć coś zabawnego, gdy jego wzrok padł na twarz mężczyzny. Była zimna jak lód i blada niczym krajobraz dokoła, oczy przypominały okruchy lodu i na ten widok głos uwiązł Klosterowi w gardle.

– Ee... tu nie wolno wchodzić – zaczęła, ale tamten już wyjął coś spod płaszcza: podniszczony portfelik ze skóry aligatora, który rozchylił się, ukazując odznakę.

– Agent Pendergast. FBI.

Kloster spojrzał na odznakę. FBI? Naprawdę? Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, mężczyzna znów się odezwał:

– Jak pana godność?

– Kloster. Mike Kloster.

– Panie Kloster, proszę natychmiast zdjąć to urządzenie i wsiąść do kabiny. Zabierze mnie pan na górę.

– Ale ja, no wie pan, muszę mieć najpierw jakieś potwierdzenie, zanim...

– Zrobi pan, co każę, albo zostanie pan oskarżony o utrudnianie pracy funkcjonariuszowi federalnemu.

Ton głosu agenta był tak niewzruszony i tak przekonujący, że Mike Kloster postanowił bez szemrania wykonać polecenia.

– Tak jest.

Zdjął ramę holowniczą i wspiął się do kabiny, by zająć miejsce za kierownicą. Mężczyzna usiadł na fotelu pasażera; jego ruchy pomimo niewygodnego ubioru wydawały się zwinne i szybkie.

– Ee, dokąd właściwie jedziemy?

– Do Świątecznej Kopalni.

– A gdzie to jest?

– Nad starym kompleksem górniczym Kotliny Przemysłownika, tam gdzie znajduje się słynna Irlandzka Pompa.

– Ach, tak. Jasne. Wiem, gdzie to jest.

– Wobec tego niech pan rusza. Tylko szybko.

Kloster włączył biegi, uniósł przedni lemiesz i ruszył ratrakiem pod górę. Zastanawiał się, czy skontaktować się przez radio z szefem i powiedzieć mu, co się dzieje, zrezygnował jednak. Ten facet był prawdziwym wrzodem na tyłku i mógł zrobić z tego aferę. Lepiej powiadomić szefa, gdy będzie po sprawie. Bądź co bądź jego pasażer był z FBI, czyż mógł znaleźć sobie lepszą wymówkę?

W miarę jak wspinali się coraz wyżej, Klosters zaczęła zżerać ciekawość.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał przyjaznym tonem.

Mężczyzna o bladej twarzy nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie, jakby go w ogóle nie słyszał.

VMC miał świetny system stereo, więc Kloster podłączył swojego iPada i właśnie miał włączyć muzykę. Sięgnął ręką, aby uruchomić urządzenie.

– Nie – powiedział agent.

Kloster cofnął dłoń, jakby coś go ugryzło.

– Proszę jeszcze bardziej przyspieszyć.

– Nie powinniśmy przekraczać trzech tysięcy obrotów...

– Będę wdzięczny, jeżeli zrobi pan tak, jak powiedziałem.

– Tak jest.

Kloster dodał gazu, a pojazd zaczął pełznąć szybciej po zboczu góry. Znow sypnęło śniegiem, zerwał się też silny wiatr. Płatki były maleńkie jak śruciny z wiatrówki – Kloster znał każdy rodzaj płatków śniegu – i odbijały się od przedniej szyby przy wtórze głośnego stukotu. Kloster włączył wycieraczki i reflektory na pełną moc. Snopy światła przeszły szarówkę, pośród której wirowały śruciny śniegu. O wpół do czwartej zaczęło się robić ciemno.

– Jak długo? – zapytał agent.

– Piętnaście, może dwadzieścia minut do zabudowań kopalni. Nie sądzę, aby ta maszyna wjechała dużo wyżej, nad Kotliną Przemysłownika zbocza są zbyt

strome. Istnieje też szczególnie wysokie zagrożenie lawinowe. Przy tych opadach śniegu cała okolica zostanie objęta zagrożeniem lawinowym.

Zdał sobie sprawę, że bredzi – ten facet naprawdę nieźle go zdenerwował – ale i tym razem nic nie wskazywało na to, iż agent w ogóle go słyszał.

Na szczycie stoku narciarskiego Kloster skręcił w drogę dojazdową biegnącą wzdłuż grani i łączącą się ze szlakami dla skuterów śnieżnych. Zdziwił się, gdy zobaczył świeże ślady skuterów. Ktokolwiek tędy jechał, musiał być prawdziwym twardzielem, wyruszając na szlak przy takiej pogodzie. Jechał dalej, zastanawiając się, o co, u licha, mogło chodzić jego pasażerowi...

Wtem ponad wierzchołkami czarnych świerków zauważył coś dziwnego. Łunę, wysoko na zboczu góry. Instynktownie zwolnił, spoglądając w dal.

Agent FBI też to dostrzegł.

– Co to jest? – zapytał oschle.

– Nie wiem. – Kloster, mrużąc lekko powieki, spojrział w górę. W oddali za drzewami mógł już dostrzec górne partie Kotliny Przemysłownika. Strome zbocza i szczyty skąpane były w migoczącej żółtej poświacie. – Wygląda na to, że tam się pali.

Bładolicy mężczyzna wychylił się do przodu, zaciskając dłonie na desce rozdzielczej, a jego oczy były tak błyszczące i zimne, że przeraziły Kloстера.

– Gdzie?

– Powiedziałbym, że w kompleksie starej kopalni.

Łuna przybierała na sile, a teraz Kloster mógł już dostrzec bijący ku zachmurzonemu niebu słup czarnego dymu.

– Szybko. Już.

– Tak, jasne.

Tym razem Kloster naprawdę bardzo przyspieszył, a ratrak pomknął przez śnieg z największą prędkością, jaką osiągał, czyli zaledwie trzydziestu kilometrów na godzinę, jednak była ona całkiem spora jak na masywny pług śnieżny.

– Szybciej.

– Przykro mi, ale szybciej się nie da.

Zanim dotarli do ostatniego zakrętu przed linią drzew, Kloster mógł się zorientować, że pożar w kotlinie jest naprawdę duży. Wręcz olbrzymi. Płomienie strzelały na trzydzieści metrów w górę przy wtórze ogromnych snopów iskier i kłębow czarnego dymu, gęstego jak przy erupcji wulkanu. To musiał być budynek, w którym mieściła się Irlandzka Pompa, tam na dole nie było nic równie wielkiego, co mogłoby się stać zarzewiem takiej pożogi. Ale tak czy

inaczej nie mógł to być zwykły pożar, nic, co naturalne, nie rozprzestrzeniło się tak szybko ani tak gwałtownie. Kloster uświadomił sobie, że musiało to być dzieło podpalacza, i ogarnął go strach, którego nie zdołała złagodzić obecność dziwnego, spiętego mężczyzny siedzącego obok niego. Wcisnął pedał gazu do dechy.

Minęli ostatnie karłowate drzewka i znaleźli się teraz na gołej grani. Śnieg był tu płytszy, bo usuwał go wiatr, a Kloster zdołał jeszcze trochę przyspieszyć. Boże, tam na dole musiała szaleć prawdziwa burza ognia, gęsty dym i jęzory ognia strzelały w niebo, a Kloster odniósł wrażenie, że słyszy ryk rozszalałego żywiołu pośród ogłuszających dźwięków diesla pracującego na najwyższych obrotach.

Minęli ostatni odcinek grani i zaczęli kierować się ku kotlinie. Tu śnieg był znowu głębszy i pług z trudem brnął naprzód. Pokonali grzbiet na skraju kotliny, a Kloster odruchowo zatrzymał pojazd. To faktycznie był ten irlandzki budynek i płonął tak gwałtownie, tak wściekle, że został z niego jedynie gorejący szkielet masywnych belek, które na ich oczach zaczęły walić się przy wtórze rozzwierającego trzasku i kaskad iskier. Została już tylko Irlandzka Pompa, naga, z odłóżką farbą, dymiąca. Ogień zaczął dogasać równie szybko, jak wybuchnął – gdy budynek się zawalił, do rumowiska osypały się z dachu olbrzymie zwały śniegu, powodując pojawienie się rozchodzących się na wszystkie strony gęstych kłębow par.

Kloster patrzył, oszołomiony brutalnością tej sceny, a zniszczenie budynku nie wiedzieć czemu przepełniło go głębokim smutkiem.

– Proszę podjechać bliżej – rozkazał mężczyzna.

Kloster podprowadził ratrak do budynku. Drewniana konstrukcja budowli została strawiona przez ogień z niesamowitą szybkością, a czapy śniegu ze zwałonego dachu ugasiły resztę płomieni. Żaden inny budynek nie spłonął, ośnieżone dachy uchroniły je przed niesamowitym deszczem iskier, który spadł na nie jak pozostałości niezliczonych fajerwerków. Kloster wjechał ratrakiem pomiędzy stare górnicze zabudowania.

– Dalej nie jadę – powiedział.

Nie usłyszał spodziewanego sprzeciwu, tylko zobaczył, że mężczyzna o bladej twarzy po prostu otwiera drzwiczki i wysiada. Kloster przyglądał się, najpierw ze zdumieniem, a potem ze zgrozą, jak agent zmierza powoli w stronę dymiących osmolonych zgliszczy starej budowli i okrąża je, poruszając się miękko niczym pantera, podchodząc blisko – o wiele za blisko.

Pendergast patrzył na tę scenę z piekła rodem. W powietrzu wokół niego roilo

się od sypiących się iskier mieszających się z płatkami śniegu, które spadały na jego kapelusz i płaszcz, by zgasnąć z cichym sykiem na wilgotnym materiale. Kłęby dymu i pary były z setek drobnych zarzewi żaru, a walające się wszędzie belki syczały i dymiły. Tu i ówdzie widać było drobne języki płomieni. W powietrzu unosił się kwaśny smród przemieszany z czymś jeszcze: wonią spalonych włosów i przypieczonego mięsa. Agent słyszał cichy syk pary, trzask ognia w kilku pomniejszych miejscach, gdzie coś się jeszcze paliło i zawrozenie wiatru hulającego wśród zgliszczy. Obszedł całe pogorzelsko. W świetle ognia, który tlił się to tu, to tam, mógł dobrze wszystko zobaczyć.

W którymś momencie zatrzymał się gwałtownie.

Następnie, poruszając się bardzo wolno, wszedł głębiej w strefę ognia, zasłaniając szalikiem usta od gryzącego dymu. Lawirował pomiędzy rurami i zaworami, a pod jego butami chrzęściły walające się na popękany beton gwoździe i odłamki szkła. Nagle ujrzał przed sobą coś, co sprawiło, że w jednej chwili znieruchomiał. To wyglądało jak długa czarna kłoda, która również syczała i dymiła. Gdy podszedł bliżej, stwierdził, że są to szczątki ciała ludzkiego, które zostało przykute kajdankami do jednej z rur. Chociaż ręka się spaliła, a ciało leżało na ziemi, zwęglona dłoń pozostała w metalowej obręczy kajdanek, a palce wykrzywiły się niczym odnóża martwego pająka – poczerniałe kości sterczały w miejscu, gdzie powinien się znajdować nadgarstek.

Pendergast osunął się na kolana. To był mimowolny ruch, jakby opuściły go wszystkie siły, zmuszając, wbrew woli, do ukłęknięcia. Głowa opadła mu do przodu, dłonie złączyły się. Z jego ust zaś wydobył się prawie niesłyszalny jęk zawierający w sobie cały bezmiar niewypowiedzianego żalu.

Pendergast nie zatrzymał się na długo przy zwęglonych zwłokach. Wstał, jego wysoka sylwetka górowała pośród dymiących ruin, otaksowując lodowatym spojrzeniem zgliszcza stacji pomp. Przez chwilę trwał w bezruchu jak posąg, i tylko jego blade oczy lustrowały pogorzeliśko, wychwytyjąc raz po raz jakiś niedostrzegalny szczegół.

Minęła minuta. Agent znów przeniósł wzrok na ciało. Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął wykonanego na zamówienie kolta Les Baer rocznik 1911, wysunął magazynek, wbił go z powrotem i przeładował, wprowadzając nabój do komory. Broń pozostała w jego prawej dłoni.

Teraz zaczął posuwać się naprzód, a w jego drugim ręku pojawiła się niewielka latarka. Żar ognia stopił niemal cały śnieg w najbliższej okolicy, pozostawiając liczne kałuże wody, a tu i ówdzie także splachetki odsłoniętej zbrązowiałej trawy, które jednak szybko znów zaczął przysypywać śnieg. Pendergast obszedł zgliszcza, przestępując nad stertami zwęglonych i dymiących szczątków. Zapadał zmrok, na ramionach płaszcza i kapeluszu agenta zbierało się coraz więcej śniegu, co sprawiało, że wyglądał teraz jak zbłąkany duch.

Po drugiej stronie pogorzeliśka, gdzie wznosiły się górskie zbocza, agent przystanął, by przyjrzeć się osmalonym niewielkim drewnianym drzwiom skrywającym, jak się zdawało, wejście do tunelu. Po chwili ukląkł i obejrzał klamkę, ziemię dokoła, a następnie same drzwi. Schwycił rączkę i poruszył nią. Drzwi były zamknięte od środka, najwyraźniej na kłódkę.

Pendergast wstał i jednym potężnym kopnięciem sforsował drzwi. Wyrwał gołymi rękami rozłupane drzwi z framugi i cisnął osobne fragmenty na bok. Nagły atak wściekłości minął. Agent ponownie ukląkł i poświecił latarką do środka. Słaby snop światła ukazał pusty tunel do odprowadzania wody ciągnący się do wnętrza góry.

Pendergast skierował snop światła na ziemię. Było na niej widać sporo śladów, ktoś się tu sporo kręcił, wchodził, wychodził. Chwila bezruchu... nagle agent

znów ożył i pobiegł truchtem wzdłuż rury miękko jak kot. Płaszcz unosił się za nim jak peleryna, a kolt w jego dłoni lśnił łagodnie w półmroku.

Rura kończyła się w płytkim strumieniu i tu znikaly ślady. Idąc nieprzerwanie naprzód, Pendergast dostał się do rozgałęzienia tuneli, po czym dotarł do następnego i próbując myśleć jak jego ofiara, skręcił w prawo w miejscu, gdzie tunel nagle zaczynał stromo się pięć.

Tunel ciągnął się tak jeszcze przez dobre czterysta metrów, prowadząc w głąb góry, do czegoś, co wydawało się szerokim na cztery metry złożem jakichś minerałów. Złoże to natychmiast zmieniało tunel na prawdziwy labirynt szybów, chodników i nisz, przestrzeni i pomieszczeń pozostałych po prowadzonych tu dawno temu pracach górniczych, które pozwoliły oczyścić wnętrze góry z najmniejszego pokładu srebra, jaki znajdował się w tych skałach.

Pendergast przystanął. Zrozumiał, że jego ofiara spodziewa się pościgu i w rezultacie doprowadzi swego przypuszczalnego prześladowcę do tego miejsca, do tego labiryntu sztolni, gdzie dysponując nadzwyczajną wiedzą o tej kopalni, będzie miała przewagę. Domyślał się, że najprawdopodobniej jego obecność w tunelach została już zauważona. Najrozsądniej byłoby teraz wycofać się i wrócić tu z posiłkami.

Ale tak się nie stanie. Nic z tego. Jego ofiara mogłaby wykorzystać tę zwłokę i zbiec. A poza tym to pozbawiłoby Pendergasta tego, co chciał zrobić tak bardzo, że nieomal czuł już w ustach nieodparcie towarzyszący temu smak żółci.

Zgasił latarkę i nasłuchiwał. Jego nadzwyczajnie wyczulony słuch wychwycił wiele dźwięków: rytmiczne kapanie wody, słabe ruchy powietrza i rozlegające się od czasu do czasu odgłosy osiadających skał i drewnianych stempli. Nigdzie jednak nie było światła, charakterystycznego dźwięku czy zapachu. Mimo to czuł, po prostu wiedział, że jego ofiara – Ted Roman – jest blisko i zdaje sobie sprawę z jego obecności.

Znów zapalił latarkę i poświecił nią wokoło, przepatrując wnętrze tunelu. Większość skał w tej części kopalni była popękana, pokryta szczelinami i śladami minerałów; aby je utrzymać, założono tu dodatkowe stemple. Podszedł do jednego z nich, wyjął z kieszeni nóż i wbił ostrze w drewno. Zagłębiło się w nim bez trudu aż po rękojeść. Agent wyjął nóż i zaczął podcinać drewniany stempel, odkrawając długie wielkie strużyny.

Drewno było zbutwiałe. Zwalenie stempla nie powinno być trudne... ale mogło prowadzić do nieprzewidywalnych konsekwencji.

Znieruchomiał na chwilę, przerywając wykonywaną czynność i bacznie nasłuchując. Usłyszał cichy dźwięk spadającego kamyka. W tej pełnej ech

przestrzeni trudno było określić źródło dźwięku. Odniósł wrażenie, że było to celowe działanie. Czekał. Znów kamyk uderzył o skałę. Teraz wiedział na pewno, że Ted Roman z nim igrał.

Fatalny błąd.

Z zapaloną latarką, zachowując się, jakby nic nie usłyszał ani niczego nie podejrzewał, wybrał na chybił trafił jeden z tuneli i wszedł do niego. Po kilku krokach zatrzymał się, aby zrzucić obszerny płaszcz, rękawiczki i kapelusz i wrzucić je do wnęki przy ścianie chodnika. Głęboko we wnętrzu kopalni było dość ciepło, a płaszcz nazbyt krępowałby mu ruchy, uniemożliwiając realizację celu.

Tunel meandrował i zawracał, to unosił się, to opadał, to rozdzielał się na odnogi, które ponownie się łączyły. W różnych kierunkach od głównego tunelu odchodziły inne, dużo mniejsze sztolnie i szyby. Wszędzie walał się staroświecki sprzęt i ekwipunek górniczy, bloki, klatki, kable, wiadra, wagoniki i zbutwiałe zwoje lin w różnych stadiach rozkładu. W kilku miejscach pionowe szyby wiodły w mroczną czeluść. Pendergast przyjrzał się uważnie każdemu z nich, oświetlając latarką ściany szybów i badając ich głębokość przez wrzucenie tam kamyka.

Przy jednym z szybów zabawił nieco dłużej. Potrzeba było dwóch sekund, zanim kamyk dosięgnął dna, a szybka kalkulacja pozwoliła ustalić, że głębokość musiała wynosić dwadzieścia metrów. To powinno wystarczyć. Sprawdził skałę tworzącą ścianę szybu i stwierdził, że jest nierówna, mocna, z dostateczną ilością punktów oparcia dla stóp – w sam raz do tego, co obmyślił.

W którymś momencie, obchodząc szyb, potknął się i ciężko upadł, upuścił przy tym latarkę, która pękła z trzaskiem na kamiennym podłożu i zgasła. Pendergast zaklął, zapalił zapałkę i spróbował iść dalej wzdłuż krawędzi szybu, jednak zapałka wnet zgasła, parząc go w palce, odrzucił ją więc, klnąc cicho pod nosem. Podniósł się i spróbował zapalić następną zapałkę. Zaskwierczała i pojawił się mały płomyk, ale agent najwyraźniej zbyt się pospieszył i zaraz zgasła, tuż nad samą krawędzią czeluści, Pendergast poślizgnął się i zepchnął obluzowany kamień poza krawędź do wnętrza szybu, wydając przy tym przeraźliwy okrzyk, jakby to on sam runął w otchłań. Jego silne palce odnalazły pęknięcie tuż poniżej krawędzi szybu, a ciało agenta płynnie ześlizgnęło się w dół i zawisło w mrocznej pustce, niewidoczne z korytarza powyżej.

Jego nagły krzyk urwał się jak ucięty nożem, gdy zrzucony przez niego kawałek skały roztrzaskał się na dnie szybu.

Cisza. Zwisając luźno, agent odnalazł oparcie dla stóp, a lekko ugięte kolana zapewniły mu niezbędną sprężystość. Czekał, przywierając do krawędzi szybu

i nasłuchując z uwagą.

Wkrótce usłyszał, jak Ted Roman przemyka tunelem w jego stronę. Promień latarki prześlizgnął się nad krawędzią szybu, a ostrożne kroki ucichły na chwilę. Bardzo wolno mężczyzna zbliżył się do szybu. Mięśnie Pendergasta napięły się, gdy wyczuł, że tamten zakrada się do krawędzi, poniżej której się ukrył. Po chwili ujrzał nad sobą twarz Teda, przekrwione oczy, dziki wzrok, w jednym ręku latarkę, w drugim pistolet.

Błyskawicznie jak atakujący wąż Pendergast wybił się i chwytając Teda za przegub, silnym szarpnięciem pociągnął go w stronę ziejącej czeluści. Ten odchylił się do tyłu, jego pistolet i latarka poszorowały z grzechotem po kamienistym gruncie, gdy starał się obiema rękami odeprzeć atak i zniwelować skutki szarpnięcia. Był zaskakująco silny i szybki, więc udało mu się odzyskać utraconą na moment równowagę. Zapierając się piętami, zaczął uderzać Pendergasta przedramieniem, wydając przy tym ogłuszający ryk wściekłości jak rozjuszony niedźwiedź. Agent jednak już wy dostał się z szybu i w okamgnieniu przepelznął ponad krawędzią otworu. Ted próbował się wycofać. Pendergast uniósł pistolet do strzału, ale w tunelu było teraz zupełnie ciemno i Ted, spodziewając się strzału, rzucił się w bok. Kula zrykoszetowała od kamiennego podłoża, nie czyniąc nikomu szkody, jednak błysk przy wystrzale zdradził położenie Teda. Pendergast znów strzelił, tym razem jednak błysk nie ukazał niczego: Ted Roman zniknął.

Agent sięgnął do kieszeni garnituru i wyjął zapasową ręczną LED-ową latarkę. Ted musiał ukryć się w niskim wąskim wyrobisku dawnych złóż odchodzącym stromo od głównego tunelu. Agent wpełzł na czworakach do przesmyku i ruszył dalej tą drogą. Przed sobą słyszał Teda, który rozpaczliwie starał się uciec, brnąc przez wąski tunel, sapiąc i dysząc z przerażenia. Najwyraźniej on także miał drugą latarkę, bo Pendergast dostrzegł słabe światło w ciemnościach dawnego wyrobiska znajdującego się na wprost niego.

Agent ruszył nieubłaganie za swoją ofiarą i choć nie zwalniał ani na chwilę, Ted wciąż trzymał się w pewnej odległości przed nim. Młody mężczyzna był w świetnej formie, a jego wiedza o tej kopalni i układzie tuneli dawała mu znaczną przewagę. Pendergast praktycznie brnął na oślep, podążając za odgłosami, światłem i od czasu do czasu także za śladami tamtego. Teraz dotarł do obszaru większych tuneli, szczelin i ziejących pustką pionowych kominów. Mimo to z uporem ścigał swoją ofiarę. Wiedział, że Ted stracił pistolet i panowanie nad sobą. Aby jeszcze bardziej zintensyfikować jego strach i wytrącić go z równowagi, od czasu do czasu oddawał strzał w stronę

uciekającego, a kula z wizgiem i jękiem rykoszetowała od kamiennych ścian chodnika daleko przed nim. Szanse, że zdoła trafić Teda, były niewielkie, ale ogłuszający huk pistoletu i odgłosy rykoszetujących pocisków zapewniały pożądany efekt psychologiczny.

Młody człowiek najwyraźniej zmierzał do jakiegoś konkretnego miejsca i niebawem stało się oczywiste – w miarę jak powietrze w tunelu robiło się coraz bardziej mroźne i rześkie – że chce wyjść na zewnątrz. W szalejącą burzę śnieżną, gdzie będzie miał dodatkową przewagę nad Pendergastem, który pozbył się okrycia wierzchniego. Ted Roman mógł umierać z przerażenia, ale wciąż był w stanie myśleć perspektywicznie i opracowywać strategię działania.

Po kilku minutach podejrzenia Pendergasta się potwierdziły. Pokonał załom tunelu i ujrzał przed sobą zardzewiałą stalową ścianę z wprawionymi w nią drzwiami kołyszącymi się na wietrze, a z zewnątrz dochodziło wycie rozszalałej śnieżnicy. Podbiegłszy do drzwi, poświecił latarką w półmrok. Wszędzie czerni, bo zapadła już noc. Słabe światło ukazało wejście do kopalni: potrzaskane drewniane kozły i strome zbocze kotliny opadające pod kątem pięćdziesięciu stopni. Promień latarki nie sięgał daleko, ale mimo to agent zobaczył w głębokim śniegu ślady stóp Teda znikające w śnieżnej burzy.

Poniżej, w gęstniejącym półmroku, zauważył żarzące się punkciki – zgliszczą stacji pomp i światła stojącego nieopodal ratraka.

Wyłączył latarkę. Dostrzegł słabą, kołyszącą się poświatę latarki Teda schodzącego po stromym stoku, jakieś sto metrów w dół. Mężczyzna poruszał się bardzo wolno. Pendergast uniósł pistolet. To będzie wyjątkowo trudny strzał z powodu silnego wiatru i różnicy wysokości. Mimo to wycelował starannie w poruszające się światełko, uwzględniając parametry wiatru i opadania kuli. Nacisnął spust. Pistolet drgnął przy wystrzale, a głośny huk poniósł się wśród gór, powracając po chwili z kilku stron grzmącym echem odbitym od skalistych stoków.

Pudło.

Postać szła dalej i nawet trochę przyspieszyła, ześlizgując się w dół zbocza i oddalając się coraz bardziej poza zasięg strzału. Pendergast, pozbawiony ciepłego ubrania, nie mógł się łudzić, że zdoła go dopaść.

Nie zważając na śnieg kłujący twarz i smagające podmuchy wiatru, które przenikały przez materiał jego garnituru, znów złożył się do strzału i pociągnął za spust, ale i tym razem spudłował. Szanse na trafienie w szybkim tempie zmalały do zera. Gdy jednak agent uniósł pistolet, aby oddać trzeci strzał, usłyszał dziwny odgłos, jakby stłumiony trzask, potem łoskot o niskiej częstotliwości.

Powyżej Pendergasta i przed nim powierzchnia ciężkiego śniegu rozszczępiała się na wielkie płyty, które odrywały się i osuwały zrazu powoli, potem coraz szybciej, rozpędzając się i łącząc ze sobą w jedną rozszalałą masę. To była lawina wywołana odgłosem strzałów i bez wątpienia także przez samego Teda Romana idącego w dół po stromym stoku. Z coraz głośniejszym rykiem skłębione czoło śnieżnego osuwiska minęło wejście do kopalni. Powietrze stało się nagle nieprzejryste, pełne wirujących śnieżnych drobin, a pęd lawiny odrzucił Pendergasta do tyłu, gdy potężna, grzmiąca, niepohamowana masa śnieżna przemknęła niemal tuż obok niego.

Po trzydziestu sekundach ryk ustał. To było łagodne osunięcie. Stok, na którym znajdował się Pendergast, był teraz zupełnie pozbawiony śniegu; ostatnie sypkie strużki białego puchu spływały leniwie po zboczu. Zrobiło się bardzo cicho, jeśli nie liczyć zawodzenia wiatru.

Pendergast spojrział w dół, w kierunku miejsca, gdzie widział ostatnio kołyszący się promyk latarki Teda Romana. Nie było tam już nic prócz zwałów skotłowanego śniegu, żadnych oznak ruchu, wołania o pomoc – niczego.

Przez chwilę tylko wpatrywał się w ciemność. W jego żyłach wciąż wrzała żądza zemsty i niepohamowana wściekłość, gdy z posępną miną zastanawiał się nad sprawiedliwą nieuchronnością tej sytuacji. Ale gniew płonący w jego wnętrzu zaczął powoli gasnąć. Jakby lawina zupełnie wyczyściła jego umysł. Zatrzymał się na chwilę, by przyznać przed samym sobą to, co podświadomie wiedział już wcześniej, dopóki widok zwęglonych zwłok Corrie nie pozbawił go do reszty zdolności logicznego rozumowania, a mianowicie że Ted Roman był w takiej samej mierze ofiarą co Corrie Swanson. Prawdziwe zło kryło się gdzie indziej.

Ze stłumionym okrzykiem rzucił się od wejścia do kopalni w śnieg i brnąc z mozołem, zszedł powoli po zboczu, bez płaszcza, raz po raz potykając się, w stronę miejsca, gdzie zeszła lawina i gdzie powinno znajdować się jej czoło u podnóża kotliny. Zajęło mu to kilka minut, ale zamarzył prawie na kość.

– Roman! – zawołał. – Ted Roman!

Odpowiedziało mu tylko zawodzenie wiatru.

Pendergast przyłożył ucho do śniegu. W pewnej chwili wychwycił dziwny, zduszony, przerażający dźwięk brzmiący niemal jak muczenie krowy: Muuuuuuuuu muuuuuuu, muuuu muuuu.

Zdawał się dochodzić od strony czoła lawiny. Zmierzając w tę stronę pomimo siarczystego mrozu, Pendergast zaczął kopać zawzięcie gołymi rękami. Śnieg był jednak zbyt zwarty wskutek ciśnienia lawiny i nie dawał rady. Bez płaszcza

i kapelusza, przemarznięty, był mocno osłabiony, a jego ręce zdrętwiały tak, że odmawiały mu posłuszeństwa.

Gdzie był Ted Roman? Znów nasłuchiwał, przykładając ucho do zbitego śniegu, próbując ogrzać dłonie.

Muuu... muuu...

Dźwięk coraz bardziej cichł. Ten człowiek się dusił.

Pendergast znowu kopał przez chwilę, a potem nasłuchiwał. Nic. Kątem oka dostrzegł światło wysoko na stoku. Nie zważając na nie, kopał dalej. Po chwili para silnych rąk schwyciła go i delikatnie odciągnęła na bok. To był Kloster, kierowca pługą śnieżnego, z łopata i długą tyczką w dłoniach.

– Hej! – powiedział. – Hej, spokojnie. Bo się pan zabije.

– Tam pod śniegiem jest człowiek – wysapał Pendergast. – Porwała go lawina.

– Widziałem. Niech pan zejdzie i wsiądzie do ratraka, zanim pan zamarznie na śmierć. Nic pan nie może zrobić. Ja się tym zajmę.

Mężczyzna zaczął sondować tyczką czoło lawiny, zagłębiając jej koniec w śniegu i lekko nim poruszając. Działał szybko i wprawnie. Robił to już wcześniej. Pendergast nie poszedł do ratraka, lecz stanął z boku, obserwując Kloстера i trzęsąc się z zimna. Po dłuższej chwili Kloster zmienił badany obszar, wyraźnie go zawężając, a następnie sięgnął po łopatę i zaczął kopać. Pracował energicznie, efektywnie i z oddaniem, dlatego w ciągu paru zaledwie minut odkrył fragment ciała. Po kilku kolejnych minutach wyjątkowo gorączkowej pracy odsłonił twarz.

Pendergast podszedł, gdy Kloster omiół twarz Teda Romana promieniem latarki. Śnieg wokół głowy młodego mężczyzny był wilgotny i czerwony od krwi, czaszka częściowo wgnieciona, usta otwarte jak do krzyku, ale wypełnione zbitą masą śniegu, oczy wyszły z orbit, przepełnione szaleństwem.

– Nie żyje – powiedział Kloster. Położył dłoń na ramieniu agenta, aby go podtrzymać. – Proszę posłuchać, odprowadzę teraz pana do ratraka, żeby mógł się pan ogrzać, bo w przeciwnym razie pójdzie pan w jego ślady.

Pendergast pokiwał głową i bez słowa pozwolił, aby Kloster poprowadził go przez głęboki śnieg do czekającego nieopodal pługą śnieżnego.

64

Niespełna kilometr dalej, na niższym, wschodnim stoku kotliny, u wejścia do tunelu kopalni otworzyły się metalowe drzwi. Po chwili kołyszącym krokiem wyłoniła się stamtąd postać ciągnąca za sobą nogę, podpierająca się na kiju i pokaszująca gwałtownie. Postać przystanęła, zachwiała się, oparła o słup i zaraz potem znów zgięła się wpół pod wpływem silnego ataku kaszlu. Powoli osunęła się na ziemię, nie mogąc utrzymać się w pionie, i wylądowała w śniegu, opierając się o masywną belkę.

To była ona. Dokładnie tak, jak się tego spodziewał. Wiedział, że kiedyś musi stamtąd wyjść – i teraz stanowiła doskonały cel. Nigdzie nie pójdzie, a on miał tyle czasu, ile dusza zapragnie, aby przygotować się do oddania strzału.

Snajper, który przykucnął w drzwiach starego górniczego szałas, zdjął z ramienia winchestera 94, wykonał energiczny ruch dźwigienką, by wprowadzić nabój do komory, po czym przyłożył karabin do ramienia, składając się do strzału z użyciem lunety. Choć robiło się już ciemno, wciąż było dość światła, aby zdołał odnaleźć pomiędzy nitkami celownika jej rozmazaną, skuloną sylwetkę. Dziewczyna wyglądała, jakby była w naprawdę kiepskim stanie: włosy osmalone, twarz i ubranie czarne od dymu. Był przekonany, że przynajmniej jeden z jego wcześniejszych strzałów okazał się celny. Kiedy ją ścigał w tunelach, widział sporo kropel krwi. Nie był pewien, w co oberwała, ale grzybkujący pocisk kalibru .30-30 to nie przelewki, gdziekolwiek trafi.

Snajper nie rozumiał, dlaczego tu była, po co ścigała się z nim na szczyt góry ani dlaczego spłonęła stacja pomp. Nie obchodziło go całe to szaleństwo, w które ona była zamieszana. Montebello dał mu zlecenie i dobrze zapłacił za jego realizację – wyjątkowo dobrze, jeśli chodzi o ścisłość. Instrukcje, jakie otrzymał, były proste: wypłoszyć z miasta dziewczynę nazwiskiem Corrie Swanson. Jeżeli nie wyjedzie, zabić ją. Architekt nie powiedział mu nic więcej, a on nic więcej nie chciał wiedzieć.

Ostrzelanie samochodu nie przyniosło rezultatu. Podobnie jak zabicie

kundelka; to, co z nim zrobił, wspominał z pewną dozą czułości. Był dumny z instalacji, jaką stworzył z liścikiem w pysku zdekapitowanego psa, i jednocześnie zdziwiony i rozczarowany, że to nie wystraszyło jej na tyle, aby opuściła Roaring Fork. Okazała się twardą suką. Ale teraz już nie wyglądała na taką twardą, gdy na wpół żywa leżała pod belką.

Nadszedł ten moment. Śledził ją niemal bez przerwy od trzydziestu sześciu godzin, czekając na odpowiednią chwilę. Jako doświadczony myśliwy znał wartość cierpliwości. Ani w mieście, ani w hotelu nie miał dogodnej okazji do strzału. Gdy jednak dziewczyna pojechała do The Heights, ukradła skuter śnieżny i pognąła w stronę góry, czort wie po co, okazja nadarzyła się sama, jak wymarzone zrządzenie losu. Zawłaszczył drugi skuter śnieżny i podążył za nią. To prawda, że okazała się wyjątkowo pomysłowa, ten numer z grzechotnikami w tunelu nielecho nim wstrząsnął. Udało mu się jednak znaleźć inne wyjście z kopalni, a gdy odkrył, że jej skuter śnieżny wciąż tam stoi, postanowił na nią zaczekać. Urządził sobie kryjówkę nieco niżej, przy zboczu góry, w ciemnym górniczym szałasie, skąd miał doskonały widok na większość starych wejść do tunelu w całej kotlinie. Uważał, że jeżeli wciąż jest wewnątrz góry, to prędzej czy później musi którądyś stamtąd wyjść. Albo przez Święteczną Kopalnię, przed którą zostawiła skuter. Tak czy owak w drodze na dół będzie musiała go minąć.

I oto się pojawiła. W idealnym miejscu, z dala od zamieszania powyżej i poniżej, gdzie spłonęła stacja pomp i stał skuter śnieżny. Ktoś oddał kilka strzałów, a te wywołały lawinę. Ze swej kryjówki obserwował przez silną lunetę gorączkowe odkopywanie i odkrycie ciała porwanego przez lawinę. Tam na dole rozgrywała się jakaś grubsza afera, pewnie chodziło o narkotyki. Ale to nie miało z nim nic wspólnego, a im szybciej sprzątnie cel i wyniesie się stąd, tym lepiej.

Spowalniając oddech i trzymając palec na spuście, wymierzył w leżącą dziewczynę. Nitki celownika ustabilizowały się, palec mocniej napał na język spustowy. Wreszcie nadszedł czas. Załatwi ją, wsiądzie na skuter zaparkowany za szałasem i odbierze wypłatę. Jeden strzał, jeden trup...

Nagle silne uderzenie z tyłu wytrąciło mu karabin, który wypalił w śnieg.

– Co do...

Snajper schwycił karabin, spróbował się podnieść, a gdy to zrobił, poczuł coś zimnego i twardego wpijającego mu się w skroń. To była lufa pistoletu.

– Spróbuj choćby mrugnąć, sukinsynu, a odmaluję na śniegu aniołka twoim mózgiem.

Głos kobiety; władczy, poważny i surowy.

Dłoń sięgnęła i schwyciła karabin za lufę.

– Puść.

Puścił karabin, a nieznajoma rzuciła go w głęboki śnieg.

– Reszta broni, jaką masz. Wyrzuć wszystko na śnieg. Ale już.

Zawahał się. Wciąż miał pistolet i nóż, a gdyby zmusił ją, żeby go obszukała, mogłaby nadarzyć się okazja...

Cios w głowę był tak mocny, że przewrócił się na ziemię. Leżał przez chwilę otępiały na drewnianej podłodze, zastanawiając się, jak, u licha, się tu znalazł i kim jest stojąca nad nim kobieta. I wtedy wszystko zaczęło do niego powracać, bo kobieta pochyliła się, przeszukała go szybko, wprawnie i zdecydowanie, a gdy znalazła nóż i pistolet, wyrzuciła je daleko w śnieg.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – zapytał.

Odpowiedź nadeszła wraz z kolejnym uderzeniem kolbą pistoletu w twarz, które rozcięło mu wargi aż do krwi i pogruchootało przednie zęby.

– Nazywam się Stacy Bowdree – odparła krótko. – Jestem kapitanem Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych i twoim najgorszym koszmarem.

65

Corrie Swanson ujrzała wysoką atrakcyjną sylwetkę Stacy Bowdree wyłaniającą się ze śnieżnej zadymki i prowadzącą mężczyznę ze związanymi rękami i nisko pochyloną głową. Uznała, że to musi być sen. Oczywiście, że to był sen. Stacy nie mogła się tu przecież pojawić, bo niby jak? Gdy więc Stacy zatrzymała się przed nią, Corrie zdołała wykrztusić: – Witaj, śnie.

Stacy wyglądała na wstrząśniętą.

– Mój Boże! Co ci się stało?!

Corrie próbowała powrócić myślami do tego wszystkiego, co się wydarzyło, ale nie mogła pozbierać myśli. Im bardziej usiłowała sobie przypomnieć, tym dziwniejsze wydawało jej się to wszystko.

– Czy ty naprawdę tu jesteś?

– Pewnie, że tak! – Stacy wychyliła się do przodu, przyglądając się Corrie uważnie. Jej niebieskie oczy przepełniła troska. – Co znaczą te kajdanki na twoim przegubie? I masz osmalone włosy. Jezu, byłeś na miejscu tamtego pożaru?

Corrie próbowała coś z siebie wykrztusić:

– Mężczyzna... próbował mnie zabić... w tunelach... ale grzechotniki...

– Tak. To on.

Pchnięciem Stacy powaliła mężczyznę w śnieg twarzą do dołu przed Corrie i postawiła na jego karku obutą stopę. Corrie zauważyła czterdziestkępiątkę w dłoni Stacy. Próbowała się skupić na napastniku leżącym na ziemi, ale wzrok jej się mącił.

– To facet, którego wynajęli, żeby cię zabił – ciągnęła Stacy. – Dorwałam go w chwili, gdy szykował się do strzału. Nie chciał powiedzieć, jak się nazywa, więc nazwałam go Złamasem.

– Ale jak? Jak...? – To wszystko wydawało się takie pogmatwane.

– Posłuchaj, musimy zawieźć cię do szpitala, a Złamasa oddać w ręce komendanta policji. Niecały kilometr stąd, przy spalonej stacji pomp, stoi ratrak.

Stacja pomp.

– Spalona... On... próbował mnie spalić żywcem.

– Kto? Ten Złamas?

– Nie... Ted. Miałam wytrych... otworzyłam nim kajdanki... w samą porę...

– Bredzisz – powiedziała Stacy. – Pomogę ci wstać. Możesz iść?

– Mam złamaną kostkę. I straciłam... palec.

– Szlag. Musimy cię obejrzeć.

Poczuła, jak Stacy ją bada, delikatnie dotykając kostki, zadając pytania i obmacując stopę w poszukiwaniu obrażeń. Od razu poczuła się lepiej. Kilka minut później twarz Stacy pojawiła się znowu w jej polu widzenia, tuż nad nią.

– No dobra, masz oparzenia drugiego stopnia. I rzeczywiście złamałaś kostkę i straciłaś mały palec. Nie jest dobrze, ale na szczęście nie masz poważniejszych obrażeń. Dzięki Bogu, że masz na sobie ciepłe ciuchy, w przeciwnym razie doznałabyś o wiele poważniejszych oparzeń.

Corrie pokiwała głową. Nie rozumiała, co mówi do niej Stacy. Ale czy to naprawdę była Stacy, a nie jakaś zjawa?

– Zniknęłaś...

– Przepraszam za tamto. Kiedy ochłonełam, zdałam sobie sprawę, że te łajzy wynajęły jakiegoś oprycha, żeby przepędził cię z miasta. Śledziłam cię więc przez pewien czas i wkrótce zauważyłam tego tu Złamasa wężącego za tobą jak pies gończy. Podążyłam za nim. W końcu zwędziłam skuter śnieżny z magazynu – tak jak to zrobiliście obydwój – i dotarłam po twoich śladach aż tutaj, dokładnie w chwili, gdy Złamas zniknął w tunelu kopalni. Zgubiłam twój trop wewnątrz góry, ale pomyślałam, że on też, i wycofałam się w porę.

Corrie pokiwała głową. Nic nie miało dla niej sensu. Ludzie próbowali ją zabić – to wszystko, co wiedziała. Ale Stacy ją uratowała. I to wszystko, co musiała wiedzieć. Kręciło jej się w głowie i z trudem utrzymywała ją uniesioną. Przed oczami zawirowały jej czarne chmury.

– Dobra – ciągnęła Stacy – ty zostajesz tutaj, ja odprowadzę Złamasa do ratraka, a potem wrócimy po ciebie. – Corrie poczuła dłoń Stacy na ramieniu. – Wytrzymaj jeszcze trochę, dziewczyno. Nieźle oberwałaś, ale wyjdiesz z tego. Zaufaj mi, coś o tym wiem. Widziałam... – Przerwała. – ...gorsze rzeczy. – Odwróciła się.

– Nie – zaszlochała Corrie, wyciągając rękę do Stacy. – Nie odchodź.

– Muszę. – Stacy delikatnie ułożyła dłoń Corrie przy jej boku. – Nie mogę równocześnie czuwać nad tobą i mieć oko na Złamasa. To nawet lepiej, że nie możesz chodzić. Daj mi dziesięć minut.

Ale Corrie czekała krócej niż dziesięć minut. Usłyszała ryk diesla, a po chwili ujrzała snopy światła potężnych reflektorów przecinające ciemność, zbliżające się bardzo szybko i podjeżdżające pośród śnieżnej zadymki pod wejście kopalni. Z kabiny wyłoniła się dziwna blada postać – Pendergast? – a ona nagle znalazła się w jego ramionach, na jego rękach, podniósł ją, jakby znów była dzieckiem, i oparła głowę o jego tors. Poczowała, że jego ramionami wstrząsnęło nagłe drżenie, niezbyt silne, lecz regularne, jakby zaszlochał. Ale to przecież było niemożliwe, bo Pendergast nigdy nie płacze.

EPILOG

Promienie zimowego słońca wpadały przez okno, tworząc złociste pasma światła na łóżku Corrie w szpitalu w Roaring Fork. Dano jej najlepszy pokój, narożną jedynekę na najwyższym piętrze, z wielkiego okna rozpościerał się widok na prawie całe miasto i góry w oddali, a wszystko spowijał kokon magicznej bieli. Taki właśnie widok powitał Corrie, gdy obudziła się po operacji zranionej dłoni, i piękna panorama poprawiła jej humor. To było trzy dni temu i za dwa następne miano ją wypisać. Złamanie kostki nie było poważne, ale straciła mały palec. Po niektórych poparzeniach mogły jej zostać blizny, ale niewielkie i tylko – jak ją poinformowano – na podbródku.

Pendergast siedział na krześle po jednej stronie łóżka, a Stacy po drugiej. Na podłodze leżały prezenty. Komendant Morris zajrzał, by złożyć wyrazy uszanowania – od dnia operacji odwiedzał ją regularnie – a zapytawszy, jak Corrie się czuje, i podziękowawszy gorąco Pendergastowi za pomoc w śledztwie, dorzucił do stosu na podłodze prezent od siebie (płytę ze składanką największych przebojów Johna Denvera).

– To jak – zapytała Stacy – otwieramy je czy nie?

– Corrie powinna zacząć – rzekł Pendergast, podając jej cienką kopertę. – Aby uczcić zakończenie swoich badań.

Corrie, trochę zaskoczona, rozerwała kopertę. Wyjęła z niej wydruk komputerowy pokryty kolumnami cyfr, wykresów i tabel. Rozłożyła go. Był to raport z laboratorium badań sądowych w Quantico, analiza skażenia rtęcią w dwunastu próbkach szczątków obłąkanych górników, które odnalazła w tunelach.

– Mój Boże – powiedziała. – Wskazania wykraczają poza skalę.

– Ostatni szczegół, jakiego potrzebowałaś do swojej pracy. Nie wątpię, że będziesz pierwszą w historii juniorką w college'u Johna Jaya, która zdobędzie Nagrodę Rosewella.

– Dziękuję. – Corrie zawahała się. – Ee... jestem panu winna przeprosiny.

Naprawdę szczerze przeprosiny. Jeszcze jedno. Spieprzyłam sprawę, i to dokumentnie. Pan tak bardzo mi pomógł, a ja nie potrafiłam tego nawet docenić ani uszanować. Byłam niewdzięczną... – już miała powiedzieć brzydkie słowo. – ...dziewuchą. Powinnam pana posłuchać i nie jechać tam sama. Postąpiłam głupio. Bardzo głupio.

Pendergast uniósł głowę.

– Pomówimy o tym kiedy indziej.

Corrie odwróciła się do Stacy.

– Tobie też jestem winna ogromne przeprosiny. Wstyd mi, że podejrzewałam ciebie i Teda. Uratowałeś mi życie. Naprawdę nie potrafię wyrazić wdzięczności słowami... – Z emocji aż ścisnęło ją w gardle.

Stacy uśmiechnęła się i ujęła ją za rękę.

– Nie obwiniaj się, Corrie. Prawdziwa z ciebie kumpela. A Ted... Jezu, nie mogę uwierzyć, że był podpalaczem. Mam od tego koszmara.

– W pewnym sensie – rzekł Pendergast – Ted Roman nie był odpowiedzialny za to, co robił. To wina rtęci w jego mózgu, która zatruwała jego neurony od czasu, gdy Ted znajdował się jeszcze w łonie matki. Był w takim samym stopniu przestępcą jak tamci górnicy, którzy pracowali w hucie i ostatecznie stali się kanibalami. Oni wszyscy byli prawdziwymi ofiarami. Prawdziwymi przestępcami są inni ludzie, a zwłaszcza pewna rodzina, której zbrodnicze czyny sięgają stu pięćdziesięciu lat wstecz. Ale teraz zajęło się tym FBI i ta rodzina zapłaci za wszystko. Może nie tak jak pani Kermode, ale mimo wszystko zapłaci.

Corrie wzdrygnęła się. Dopóki Pendergast jej tego nie powiedział, nie miała pojęcia, że gdy była przykuta kajdankami do pompy, pani Kermode też znajdowała się w tym samym budynku, tyle że niewidoczna, przypięta kajdankami do silnika po drugiej stronie i zapewne nieprzytomna, po tym jak została pobita przez Teda.

O Boże, zajmę się tą suką, powiedział...

– Tak mi się spieszyło, aby uciec przed ogniem, że nawet jej nie zauważyłam – wyjaśniła Corrie. – Wątpię, aby ktokolwiek zasługiwał na taki los. Spalenie żywcem to straszna śmierć.

Wyraz twarzy Pendergasta zdradzał, że miał w tej kwestii odmienne zdanie.

– Ale Ted nie mógł przecież wiedzieć, że to Kermode i Staffordowie byli odpowiedzialni za jego szaleństwo, prawda? – zapytała Corrie.

Pendergast pokręcił głową.

– Nie. Jej śmierć z jego rąk była poetycką sprawiedliwością, niczym więcej.

– Mam nadzieję, że cała reszta zgnije w więzieniu – powiedziała Stacy.

Po krótkiej chwili milczenia odezwała się Corrie:

– Naprawdę wziął pan spalone szczątki pani Kermode za moje zwłoki?

– Nie rozumowałem logicznie – odparł Pendergast. – Gdybym myślał bardziej trzeźwo, mógłbym się domyślić, że Kermode była potencjalną kolejną ofiarą Teda. Reprezentowała sobą wszystko, czym pogardzał. Całe to *auto-da-fé* na górze było przeznaczone dla niej, nie dla ciebie. Ty po prostu się napatoczyłaś, że użyję potocznego zwrotu. Ale mam pytanie, Corrie: jak udało ci się rozpiąć kajdanki?

– Ee, to były stare, zniszczone kajdanki. A ja wsunęłam swoje wytrychy pomiędzy wewnętrzną a zewnętrzną rękawiczkę, gdy próbowałam sforsować zamek w kopalni, bo jak sam pan wie najlepiej, trzeba umieć używać kilku narzędzi naraz.

Pendergast pokiwał głową.

– Imponujące.

– Potrzebowałam chwili, aby sobie przypomnieć, że je mam. Byłam taka przerażona. Ted zachowywał się... Nigdy w życiu nie spotkałam się z czymś takim. To, jak przechodził od wściekłego wrzasku do zimnej, wystudiowanej precyzji słowa... Boże, to było chyba jeszcze bardziej przerażające niż sam ogień.

– Typowy efekt obłądu wywołanego przez zatrucie rtęcią. I być może to tłumaczy zagadkę wygiętych rur w miejscu drugiego podpalenia...

Stacy rzuciła pospiesznie:

– Ale może przestańmy już o tym mówić i otwórzmy prezenty.

– Przepraszam, że nie mam nic dla nikogo – powiedziała Corrie.

– Byłaś zajęta czym innym – skwitował Pendergast. – A skoro jesteśmy przy tym temacie, biorąc pod uwagę to, co ci się przydarzyło w jaskiniach Krausa w Medicine Creek, radziłbym ci unikać podziemnych labiryntów, zwłaszcza takich, które zamieszkują obłąkani mordercy. – Przerwał. – No i przykro mi, że straciłaś palec.

– Mam nadzieję, że do tego przywyknę. To niemal równie malownicze jak noszenie przepaski na oku.

Pendergast wziął do ręki niewielkie pudełko i obejrzał je. Nie było przy nim przywieszki, tylko nazwisko.

– To od pani, pani kapitan?

– Jasne.

Pendergast rozerwał papier, odsłaniając aksamitne pudełko. Otworzył je. Na satynowej wyściółce spoczywało Purpurowe Serce.

Patrzył na nie długo. Wreszcie zapytał.

– Czemu miałbym je przyjąć?

– Ponieważ mam jeszcze trzy takie i chcę panu jedno podarować. Zasługuje pan na medal. Ocalił mi pan życie.

– Pani kapitan Bowdree...

– Mówię serio. Byłam zagubiona, opuszczona, każdego wieczoru upijałam się do nieprzytomności, dopóki pan nie zadzwonił. I ściągnął mnie pan tutaj, wyjaśnił sprawę z moim przodkiem, dał mi cel w życiu. A przede wszystkim... potrafił mnie pan uszanować.

Pendergast zawahał się. Uniósł medal w dłoni.

– Będzie dla mnie wyjątkowo cenną pamiątką.

– Z najlepszymi życzeniami świątecznymi, choć Gwiazdka była trzy dni temu.

– A teraz pani musi otworzyć swój prezent.

Stacy sięgnęła po niewielką kopertę. Otworzyła ją i wyjęła dokument, który wyglądał na oficjalny. Przeczytała treść, a jej czoło zmarszczyło się.

– O Boże.

– To nic takiego – powiedział Pendergast – tylko zaproszenie na rozmowę wstępną. Reszta zależy od pani. Ale z moją rekomendacją i przebiegiem pani wojskowej kariery jestem przekonany, że przejdzie ją pani z powodzeniem. FBI potrzebuje takich agentów jak pani. Rzadko widywałem lepszych kandydatów. Któregoś dnia może Corrie będzie w stanie pani dorównać, brak jej tylko trafności osądów, ale to kwestia doświadczenia.

– Dziękuję.

Przez chwilę mogło się wydawać, że Bowdree obejmie i mocno przytuli Pendergasta, ale najwyraźniej uznała, że ten gest nie zostałby przyjęty z aprobatą. Corrie uśmiechnęła się w duchu, bo cała ta ceremonia z jawnymi przejawami uczuć sprawiała, że agent czuł się coraz bardziej niezręcznie.

Były jeszcze dwa inne prezenty dla Corrie. Rozpakowała pierwszy z nich, by ujrzeć obwolutę nieco już podniszczonego podręcznika *Techniki prowadzenia dochodzeń i analiz na miejscach zbrodni, wydanie trzecie*.

– Znam tę książkę – powiedziała. – Ale mam już egzemplarz, o wiele późniejsze wydanie, korzystamy z niego na studiach.

– Mam tego świadomość – odparł Pendergast.

Otworzyła podręcznik i nagle zrozumiała. Tekst wewnątrz był opatrzony mnóstwem przypisów na marginesach: komentarzami, odnośnikami, pytaniami i spostrzeżeniami dotyczącymi poruszanego tematu. Charakter pisma był precyzyjny i rozpoznała go od razu.

– To... to był pański egzemplarz?

Pendergast skinął głową.

– Mój Boże. – Dotknęła okładki delikatnym, niemal nabożnym gestem. – To prawdziwa skarbnica wiedzy. Może czytając ten podręcznik, zacznę myśleć tak jak pan.

– Zastanawiałem się nad innymi, bardziej frywolnymi prezentami, ale ten – z uwagi na twoje zainteresowanie karierą w służbie prawa – wydał mi się najbardziej użyteczny.

Pozostał już tylko jeden prezent. Corrie sięgnęła po niego i starannie zdjęła drogi, jak się wydawało, papier, w który był zapakowany.

– To od Constance – wyjaśnił Pendergast. – Parę dni temu wróciła z Indii i poprosiła mnie, abym ci to dał.

Wewnątrz znajdowało się pióro wieczne firmy Waterman, prawdziwy antyk, z filigranową złotą obwódką, i niewielki notatnik oprawiony w elegancką skórę, z kremowymi, złożonymi na brzegach stronicami. Przepiękna ręczna robota. Z notatnika wypadł liścik, który Corrie podniosła i przeczytała:

Droga Panno Swanson,

z zainteresowaniem przeczytałam niektóre z wpisów na Pani internetowym „blogu” (okropne słowo). Pomyślałam, że mogłaby Pani uznać oddawanie się bardziej permanentnemu i osobistemu wyrażaniu swoich spostrzeżeń za całkiem użyteczne zajęcie.

Ja sama prowadziłam dziennik przez wiele lat. Zawsze był on dla mnie źródłem zaciekawienia, pocieszenia i ważnych osobistych przemyśleń.

Mam nadzieję, że ten cienki notatnik pomoże Pani w osiągnięciu tych samych korzyści.

Constance Greene

Corrie popatrzyła na leżące wokół niej prezenty. A potem spojrzała na Stacy, przycupniętą na skraju łóżka, i na Pendergasta, siedzącego w rozluźnionej pozie na krześle, z nogą założoną na nogę. I nagle ku swemu głębokiemu zdziwieniu wybuchnęła płaczem.

– Corrie! – zawołała Stacy, podrywając się na nogi. – Co się stało? Coś cię boli?

– Nie – odparła Corrie przez łzy. – Nic mnie nie boli. Jestem po prostu szczęśliwa, tak szczęśliwa, że nie macie pojęcia. Nigdy nie miałam wspanialszej Gwiazdki.

– Gwiazdka była trzy dni temu – wymamrotał pod nosem Pendergast, a na jego ustach pojawił się cień czegoś, co od biedy można byłoby uznać za uśmiech.

– I chyba nie ma nikogo, z kim pragnęłabym dzielić tę chwilę, oprócz was dwojga.

Corrie energicznie otarła łzy z oczu, po czym, nieco skrępowana i zawstydzona, odwróciła się, by wyjrzeć przez okno. Poranne słońce ozłacało Roaring Fork, niskie partie gór i – nieco dalej – rozłożystą nieckę Kotliny Przemysłownika z małą, czarną, rozmazaną plamą odcinającą się na tle śniegu, gdzie omal nie straciła życia w płomieniach.

Postukała palcem wskazującym w okładkę dziennika.

– Wiem już, co będzie zawierał mój pierwszy wpis – oznajmiła.

Podziękowania

Oto osoby, którym pragniemy podziękować za wsparcie i pomoc:

Mitch Hoffman, Eric Simonoff, Jamie Raab, Lindsey Rose, Claudia Rülke, Nadine Waddell, Jon Lellenberg, Saul Cohen. Dziękujemy także Estate of Sir Arthur Conan Doyle.

Składamy hołd wspaniałej działalności Ochothnikom z Baker Street.

Z góry przepraszamy za swobodę, z jaką potraktowaliśmy dla celów tej powieści las Kielder, *Królewskie kworum*, Hampstead Heath oraz inne miejsca i osoby.

Przypisy

- [1] Fragmenty w przekładzie A. Krochmal i R. Kędzierskiego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] Fragment *Skandalu w Bohemii* w przekładzie M. Domagalskiej.
- [3] Fragment *Drugiej plamy* w przekładzie M. Domagalskiej.
- [4] Fragment wiersza *Ogień i lód* R. Frosta w przekładzie S. Barańczaka.

Biogram autorów



DOUGLAS PRESTON (ur. 1956 w Cambridge) - popularny pisarz amerykański, brat Richarda, znanego autora książek popularnonaukowych. Pracował w Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku.

LINCOLN CHILD (ur. 1957 w Westport w stanie Connecticut) – amerykański pisarz, autor technothrillerów, horrorów i powieści sensacyjnych.

Był redaktorem pierwszej książki Douglasa Prestona - *Dinosaurs in the Attic*. Nawiązali bliższą współpracę. Jej owocem była wydana w 1994 roku powieść **Relikt**, sfilmowana niedługo potem przez Petera Hyamsa. Wspólnie napisali ponad 20 powieści.

Obaj mają w dorobku po kilka powieści pisanych samodzielnie: *Jennie*, *Testament*, *Kanion Tyranozaura*, *Mystyfikacja*, *Konfrontacja*, *Projekt Kraken* – Preston. *Utopia*, *Eden*, *Głębia*, *Terminalny mróz*, *Grobowiec* – Child.

Wspólne powieści:

Cykl: Agent Pendergast

Relikt (*The Relic*, 1994)
Relikwiarz (*Reliquary*, 1997)
Gabinet osobliwości (*The Cabinet of Curiosities*, 2002)
Martwa natura z krukami (*Still Life with Crows*, 2003)
Siarka (*Brimstone*, 2004)
Taniec śmierci (*The Dance of Death*, 2005)
Księga umarłych (*The Book of the Dead*, 2006)
Krażąc ciemności (*The Wheel of Darkness*, 2007)
Kult (*Cemetery Dance*, 2009)
Granice szaleństwa (*Fever Dream*, 2010)
Bez litości (*Cold Vengeance*, 2011)
Dwa groby (*Two Graves*, 2012)
Biały ogień (*White Fire*, 2013)
Błękitny labirynt (*Blue Labyrinth*, 2014)
(*Crimson Shore*, 2015)

Cykl: Gideon Crew

Miecz Gideona (*Gideon's Sword*, 2011)
Trup Gideona (*Gideon's Corpse*, 2012)
Zaginiona wyspa (*The Lost Island*, 2014)

Inne

Laboratorium (*Mount Dragon*, 1996)
Zabójcza fala (*Riptide*, 1998)
Nadciągająca burza (*Thunderhead*, 1999)
Granica lodu (*The Ice Limit*, 2000)